

A man in a brown trench coat is shown from the side, holding a black revolver in his right hand. He is standing in front of a large, multi-paned window with a brick wall to the right. The scene is lit from the window, creating a dramatic, high-contrast atmosphere.

RYSZARD **ĆWIRLEJ**
ZAŚPIEWAJ
MI KOŁYSANKĘ

Ryszard Ćwirlej to niekwestionowany mistrz powieści kryminalnej. Światowa liga! Katarzyna Bonda



RYSZARD **ĆWIRLEJ**
ZAŚPIEWAJ
MI KOŁYSANKĘ

RYSZARD **ĆWIRLEJ**
ZAŚPIEWAJ
MI KOŁYSANKĘ



Copyright © Ryszard Ćwirlej, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Szymon Langowski

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Redakcja: Beata Mes

Konsultacja historyczna: Marek Daroszewski

Korekta: Katarzyna Smardzewska i Maria Moczko | panbook.pl

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Katarzyna Borkowska

Fotografia na okładce: © CollaborationJS | Trevillion Images

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66553-50-7

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Prolog

Wtorek

4 kwietnia 1922 roku

Godzina 10.15 przed południem

Rudy pies siedział koło śmietnika i uważnie obserwował podwórko. Ale niewiele się działo, bo i co mogło się dziać w takim ponurym miejscu, otoczonym z czterech stron szarymi, odrapanymi ścianami czynszówek. Gdyby podwórko było przechodnie, to co innego. Ruch byłby jak na ulicy, bo wiadomo, że niektórzy ludzie bardziej niż szerokimi chodnikami wolą przemykać w tych miejscach, w których niezbyt rzucają się w oczy. Tu jednak, gdy weszło się bramą od ulicy Poznańskiej, można było co najwyżej dostać się do jednej z trzech oficyn, w których o tej porze życie toczyło się utartym, dość leniwym rytmem.

Dopiero co stara Maryniakowa wywiesiła pierwsze dziś pranie na wieszaku koło śmietnika. Będzie tak wieszać jeszcze z pięć albo i sześć razy. Za jakieś dwie godziny, gdy szmaty obeschną, na sznur rozciągnięty między dwoma ramami z drewna trafi kolejna porcja pocerowanych i pozszywanych ręczników, prześcieradeł, poszew, poszewek, gaci, kalesonów i koszul. A tam na górze, w dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią, synowa z trzema córkami i przywołaną jeszcze do pomocy jej siostrą, mieszkającą dwie przecznice stąd, na Kościelnej, znów wezmą się za pranie na tarce w mydlinach, potem gotowanie w wodzie z krochmalem, a na koniec wyżymanie.

Takie pranie robione raz na dwa tygodnie dla całej ośmioosobowej rodziny było nie w kij dmuchał. Roboty na cały dzień, a później jeszcze dwa albo i trzy dni prasowania. No ale jak kto miał pełno dzieciaków, a ojciec rodziny nie zarabiał stale, lecz dorywczo, przy rozładunku na dworcu towarowym, to pieniądze, które przynosił, starczały ledwo na jedzenie. Na pranie i krochmalenie w maglu stać było tylko lepiej sytuowanych. Ci, którzy mieszkali w oficynach, musieli sobie radzić sami.

Szewc Wilhelm Bartosik, którego żona zmarła trzy lata temu na hiszpankę, sam nie wyprałby nawet chusteczki do nosa, więc swoje brudy oddawał do sąsiadki z drugiego piętra. Majewska prała samotnym panom, a prócz tego jeszcze gotowała dla nich smaczne, domowe obiady. Szewc miał więc wolną głowę od trosk aprowizacyjnych i opierunkowych i mógł ze spokojem oddawać się swojemu ulubionemu zajęciu – popijaniu wódki podczas pracy w warsztacie. Otworzył go już dwie godziny temu i z jego sutereny w lewej oficynie słychać było co chwilę rytmiczne uderzenia młotka. Po zimie trzeba było podzelać sporo znoszonych butów, żeby mogły jeszcze trochę posłużyć ich właścicielom. Jak zawsze po tym, jak śniegi spłynęły z ulic i chodników, dla Bartosika zaczynał się czas wyteżonej pracy. Dzisiaj zdążył już obsłużyć trzech klientów, a czwarty właśnie przemierzał podwórko szybkim i zdecydowanym krokiem. Mężczyzna w wieku może czterdziestu lat, w wytartym paltocie, z niestarannie ostrzyżoną brodą i długimi wąsami, na głowie miał lekko sfatygowany kapelusz w stylu angielskim, z niewielkim okrągłym rondem i płaskim denkiem. Był dobrze zbudowany, w ramionach szeroki jak atleta. Pod pachą trzymał paczkę sporządzoną z gazety owiniętej konopnym sznurkiem. Wewnątrz musiały być sfatygowane trzewiki, bo co innego mógłby nieść do szewca.

Pies na jego widok zawarczał cicho i wcisnął się w kąt. Widać wolał zachować dystans. Pewnie już nieraz zarobił kopniaka od człowieka, do którego podszedł zbyt blisko.

Mężczyzna, przechodząc koło szeroko otwartych drzwi prowadzących na klatkę schodową do lewej oficyny, przystanął na moment. Jego spojrzenie zatrzymało się na drobnej, szczupłej

postaci dziewczynki, ubranej w granatową kieckę i wełniany, robiony na grubych drutach brązowy sweterek.

Uśmiechnął się do niej, a uśmiech miał całkiem sympatyczny. Ona odpowiedziała niepewnym grymasem, za którym kryła się ostrożność połączona z nieufnością.

– A panienka nie w szkole? – zapytał takim tonem, jakby rzeczywiście się dziwił.

Pokręciła szybko głową.

– Nie można do szkoły, bo mama gorączkuje. Ktoś jej musi wodę podawać i kompresy robić. – Jakby dla uwiarygodnienia tego, co powiedziała, wskazała na aluminiowe wiaderko. – Muszę wody przynieść.

– To czemu panienka nie niesiesz?

– Bo nie idzie odkręcić kurka. Ktoś mocno zakręcił.

Mężczyzna rozejrzał się po podwórku. Kran był na ścianie oficyny naprzeciwko.

– Chodź, pomogę ci.

Dziewczynka chwyciła za rączkę wiadra i pobiegła do kranu. Nim brodacz podszedł, ona już zdążyła podstawić kubełek.

– A zakręcić dasz radę? – zapytał, odkręcając kurek. Woda polała się różnym strumieniem. Pies natychmiast się ożywił i wyszedł ze swojego ukrycia. Ostrożnie, krok za krokiem, zaczął zbliżać się do wiadra.

– Co mam nie dać rady? Zakręcić to nietrudne zbytnio.

Znowu się do niej uśmiechnął, a potem sięgnął do kieszeni i wydobył metalowe, okrągłe pudełko. Otworzył wieczko i podsunął otwartą puszczkę w kierunku dziewczynki.

– Weź se kilka.

– O, kanoldy! – ucieszyła się.

– No, kwaskowe – potwierdził.

Wzięła w palce trzy landrynki, jedną natychmiast wsunęła do buzi, a pozostałe schowała do kieszeni sukienki.

– Pan je cukierki? – zdziwiła się.

– A co to, nie można cukierków jeść? – spytał, robiąc przy tym śmieszny minę, taką jak to w cyrku kłowni mają w zwyczaju robić, gdy chcą rozśmieszyć publikę.

– Hi, hi! – Udało mu się ją rozbawić. – Można, ino że panowie to raczej palą cygara i piją wódkę.

– Taki ze mnie pan, że wolę bombony. A kanoldy najlepsze.

– Prawda – potwierdziła, wkładając kolejnego cukierka do buzi.

– Jak się nazywasz? – zapytał, patrząc w jej zielone oczy.

– Zosia Węgorkówna.

– Do widzenia, Zosiu. Nic się nie martw. Mama będzie zdrowa, tylko się nią opiekuj!

– Dziękuję! – powiedziała trochę zbyt głośno i zaraz się odwróciła, bo usłyszała, że woda przelewa się przez krawędzie wiadra. Chciała zakręcić kurek, ale zobaczyła, że rudy pies zaczął chleptać kranówkę, która zebrała się w niewielkim kamiennym korycie. Uśmiechnęła się.

– Pij se, Rudy, na zdrowie!

Zwierzak zastrzygł uszami, ale nie przestał pić. Widać był bardzo spragniony. Gdy koryto wypełniło się już po brzegi, zakręciła kran. Teraz koty, psy i gołębie będą mogły pić tu do woli.

Rozejrzała się po podwórku, ale tego miłego pana nigdzie nie było już widać. Zostawiła więc na chwilę wiadro i poszła rozejrzeć się w pobliże warsztatu szewskiego. Może gdy będzie stamtąd wychodził, jeszcze przez chwilę porozmawiają. No i może da jej kolejnego cukierka? Wydobyła z kieszeni ostatnią landrynkę, która zrobiła się już trochę wilgotna. Włożyła cukierka do ust i z rozkoszy aż zamknęła oczy. Rzeczywiście, te kwaśne kanoldy były najlepsze. Smakowały jak nic na świecie.

Naraz jej spojrzenie powędrowało ku jasnej smudze światła, która wlewała się wprost z ulicy do ciemnej bramy przez szparę w osadzonej w niej furtce. Widać ostatnia wchodząca osoba musiała zostawić ją niedomkniętą.

– A może by tak wyjrzeć na zewnątrz i popatrzeć, co się tam dzieje? – powiedziała Zosia sama do siebie. Pies chyba zrozumiał, w czym rzecz, bo ruszył przodem. Po chwili zgrabnie przecisnął się przez szparę i zniknął. Dziewczynka poszła za nim. Chwyciła kłamkę i pociągnęła do siebie. Od razu zalał ją ostry strumień jasności. Przymrużywszy oczy, wyszła na chodnik. Spojrzała w prawo, potem w lewo... Nic ciekawego się nie działo. Już chciała zawrócić, gdy

naraz dostrzegła dorożkę, którą ciągnęła srokata szkapa. Postanowiła więc poczekać jeszcze chwilkę, by popatrzeć sobie na konia. Bardzo lubiła zwierzęta. Rudy pies, który wysikał się pod bramą naprzeciwko, teraz wrócił do niej i usiadł przy jej nodze. Jego chyba też zainteresowała ta dorożka. Gdy się zbliżyła, zawarczał złowrogo, obnażając kły. Zosia spojrzała na niego zdumiona i zaraz położyła mu rękę na głowie.

– Cicho, głupi. Przecież to zwykła drynda.

Przestał warczeć, uspokojony delikatnym drapaniem za uchem.

Dryndziarz ubrany w gruby wojskowy szynel ściągnął lejce ku sobie.

– Prrrr! Stój, stara! – zawołał, a szkapa posłusznie stanęła w miejscu.

Spod budy wychyliła się jakaś postać. Młoda, porządnie ubrana kobieta, w modnym kapeluszu o niewielkim rondzie, obrzuciła dziewczynkę ciekawym spojrzeniem. Na jej ustach natychmiast pojawił się uśmiech. Zosia od razu poczuła do niej sympatię.

– Lubisz cukierki? – zapytała kobieta i wyciągnęła w jej kierunku metalowe pudełko. Natychmiast je rozpoznała. Takie samo jak to, które miał tamten pan z podwórka. Przełknęła szybko ślinę. W ustach cały czas miała jeszcze ten cudowny kwaśny smak.

– No chodź, mała. Weź sobie kilka. Weź, ja mam ich dużo.

Pies znowu zawarczał ostrzegawczo, ale Zosia nie zwróciła na to uwagi. Śmiało podeszła do dorożki i wyciągnęła rękę w górę. Pudełko było zbyt wysoko.

– Podsadzę cię, bo żeś jest za mała. – Usłyszała męski głos za swoimi plecami. Silne dłonie chwyciły ją pod pachy i uniosły w górę. Poczowała silny zapach landrynek.

– O, chyba się trochę usmarkałaś – powiedziała do niej ta miła pani i przyłożyła jej do nosa chusteczkę. Dziewczynka poczuła, że wszystko wokół zaczyna wirować, a obrazy rozplływają się i zlewają w jedną szarą masę.

Dlaczego ten Rudy tak szczeka? zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim zamknęły się nad nią ciemności.

Rozdział I

Środa

5 kwietnia

Godzina 3.30 w nocy

Na pustym, kiepsko oświetlonym trakcie słycać było stukot podkutych butów. Metaliczny dźwięk odbijał się od sprawiających ponure wrażenie, ciemnoczerwonych ścian kamienic, wspinał na dachy i niknął w ciemnościach chłodnej nocy. Mężczyzna przystanął i obejrzał się za siebie, ale nikogo nie dostrzegł. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył z niej papierosa. Przez chwilę walczył z nieco zawilgotniałymi zapałkami, ale w końcu udało mu się zapalić. W jasnym płomieniu widać było okrągłą twarz, ozdobioną krótko przyciętym wąsem, przypominającym swoim wyglądem ryżową szczotkę. Zaraz jednak płomień zgasł i przechodnia znów skryła ciemność.

Wąsacz, zaciągnąwszy się głęboko, wpuścił dym nosem, a potem rozejrzał się wokół. Na ulicy nic się nie działo. Najmniejszego ruchu, żadnych odgłosów kroków na kamiennym trotuarze czy turkotu kół na brukowanej jezdni. Widać mleczarzy, którzy swój towar rozwozili najwcześniej, jeszcze grzali tyłki pod grubymi pierzynami. Bo i komu by się chciało wstawać tak wcześnie, zwłaszcza że na dworze, mimo że był to już kwiecień, cały czas czuć było zimowy chłód, a na nadwarciańskich łąkach gdzieś leżały jeszcze śnieżne poduchy.

Pewnie mi się zdawało, pomyślał i wzruszywszy ramionami, poszedł przed siebie, w kierunku Starego Rynku. Kto by tam chciał

za mną iść? próbował racjonalnie wytłumaczyć swoje lęki, które przecież nie mogły być prawdziwe. Któż by się interesował takim człowiekiem jak on? Był co prawda dobrze odziany, ale odzienie to jeszcze nie powód, żeby ktoś za nim szedł. A o tym, że ma pieniądze z zaliczki za jutrzejszą transakcję w kieszeni, dość sporo pieniędzy, nie wiedział nikt oprócz niego. No może jeszcze prócz tej małej Francuzeczki...

Gdzieś w oddali, od strony Wielkich Garbar, a może jeszcze dalej, od nadrzecznego Chwaliszewa, poniosło się ujadanie psa. Upiorne wycie skończyło się naraz, tak jakby ktoś wyjące zwierzę nagle pozbawił życia.

Poczuł, że po karku i dalej w dół, między łopatkami, spływa mu zimna kropla potu. Plecy przeszył dreszcz. Właściwie to człowiek niczego nie mógł być tak do końca pewny. Dlatego jeszcze raz się odwrócił. Nic. Cisza. A to stukotanie butów to pewnie od jego własnych zelówek. Echo się niesie po pustej ulicy, bo o tej porze wszyscy normalni ludzie śpią. Nawet zziębnięte kurwy uliczne już poszły do domu. Tylko on nie spał, bo miał ważniejsze sprawy na głowie.

Wracał z pewnego przybytku przy Wielkich Garbarach, gdzie wydał sporo pieniędzy, ale za to napił się pierwszorzędnego szampana i do tego jeszcze zaznał rozkoszy w ramionach pewnej niezwykle pięknej kruczowłosej panny o niecodziennym imieniu Monique. Musiała być chyba Francuzką, bo na francuskiej miłości znała się jak mało kto. Dlatego, gdy już było po wszystkim, wyjął z kieszeni swój gruby portfel i bez większych ceregieli wydobył z niego plik banknotów, każdy o nominale dziesięciu tysięcy marek polskich. Fachowość trzeba doceniać, pomyślał, odliczając pięć banknotów i kładąc pieniądze na łóżku. Dziewczyna, dostrzegłszy tę fortunę, aż zapiszczała z radości.

– O kurwa! – jęknęła na widok pieniędzy wcale nie po francusku, a jej gość uśmiechnął się zadowolony.

– Dzisiaj jest szczęśliwy dzień, mój ptaszku. Proszę, oto twoja nagroda. *Voilà!* – Zwinąwszy pieniądze, podał je dziewczynie. Ta usiadła koło niego na łóżku, prawą ręką chwyciła banknoty i włożyła je szybko za gorset, a lewą położyła na jego kroczu. Uśmiechnął się

radośnie, chwycił tę drobną dłoń i ucałował z gracją. Zostałby chętnie, ale niestety musiał wrócić do hotelu, żeby się jeszcze trochę przespać.

– Wiesz, Monique – mówił powoli, starannie dobierając słowa, bo język mu się trochę plątał. – Człowiek całe życie robi jak głupi, a prawdziwe bogactwo jest na wyciągnięcie ręki. O, widzisz? – Wskazał na swój portfel. – Jak człowiek ma łeb nie od parady, to wie, jak się zakręcić i ot tak – pstryknął palcami – raz-dwa fortuna w kieszeni

Postukał palcem w portfel i wsadził go do kieszeni marynarki.

– Ale po co ja ci to wszystko powiadam, jak ty nic po ludzku nie rozumiesz. No, rozumiesz, co mówię?

Dziewczyna pokręciła głową.

– *Oui, oui, oui! Je t'aime.*

– Tem-srem! Nie mogą te żabojady gadać po naszymu? – stwierdził, wstając, gotowy do wyjścia. Założył na głowę kapelusz i uśmiechnąwszy się do dziewczyny, wyszedł z pokoju.

Madame Alouette, korpulentna właścicielka ekskluzywnego domu dla panów, poderwała się z kanapy, gdy wkroczył do urządzonego z krzykliwym przepychem salonu. Z udawaną skromnością zasłoniła zwiewnym, czerwonym szlafrokiem swoje wielkie piersi, nie na tyle jednak szczelnie, by zakryć przed podpitym gościem wszystkie swoje wdzięki. Burdelmama znała się na swojej robocie, więc dobrze wiedziała, że gość, który właśnie skończył zabawę, może się jeszcze skusić na dodatkową rozrywkę, jeśli mu się tylko umiejętnie podsunie odpowiedni towar. A pełne, okrągłe cycki madame Alouette były specjałem, o którym niejednen szanowany mieszkaniec Poznania śnił po nocach, leżąc obok swojej kościstej małżonki.

– Chyba nie chce już nas pan opuścić, drogi... – Spojrzała uważnie na gościa, starając się w miarę trafnie ocenić jego profesję. Garnitur z dobrej wełny, lśniące czarne buty za kostkę i modny kapelusz, który trzymał w ręce, mówiły jej, że ma do czynienia z poważnym urzędnikiem. – ...Drogi panie radco.

Uśmiechnął się, słysząc jej czysty berliński akcent. Jak większość poznaniaków z towarzystwa mówiła po niemiecku literackim językiem, takim, jaki wynosi się prosto ze szkoły.

– Pani wybaczy, ale śpieszę się, gdyż pociąg czekać nie będzie. Ale za miesiąc znów w podróż służbową do Posen się wybieram, więc może być pani pewna, że zawitam w jej progach, bo ta mała Francuzeczka Monique warta jest grzechu.

– Nie tylko Monique ma swoje zalety. – Szlafrok burdelmamy rozsunał się zupełnie przypadkowo, a wzrok gościa natychmiast spoczął na miejscu, na którym powinien był się zatrzymać. Widać mężczyzna nie był jednak na tyle pijany, by stracić panowanie nad sobą. Pokręcił głową, złożył pocałunek na pulchnej dłoni i wyszedł z salonu, tłumacząc, że musi skorzystać z toalety.

– Na lewo. – Burdelmama wskazała drogę.

Trafił bez problemów. Załatwił potrzebę, odświeżył twarz zimną wodą i wyszedł. W korytarzu było ciemno, ale wydawało mu się, że właściwie odnajduje kierunek. Ruszył przed siebie, ale zaraz się zatrzymał, bo coś go zaniepokoiło. Usłyszał jakby kwilenie dziecka. Nie, przecież to niemożliwe, pomyślał, ale cichy płacz się powtórzył. Zaczął nasłuchiwać. Teraz był już pewny. Za drzwiami po lewej wyraźnie szlochało dziecko.

Pociągnął za klamkę i stanął na progu zdumiony widokiem. Na łóżku siedziała chuda kobieta z mokrą szmatą w ręce. Obok niej leżała naga, może ośmioletnia dziewczynka. Jej uda i podbrzusze usmarowane były krwią. Podobnie jak szmata, którą kobieta obmywała dziecko. Dziewczynka przyciskała małe piąstki do oczu. Jej drobnym ciałem wstrząsały spazmy. Jęczała z bólu i przerażenia.

– Czego tu? – zapytała kobieta. – Jeszcze niegotowa! – warknęła, ale on i tak nic z tego nie zrozumiał. Stał przez chwilę jak słup soli, nie wiedząc, co ma zrobić. Wtedy dostrzegł może czterdziestoletniego, nagiego mężczyznę z blizną na policzku, który siedział w fotelu, na prawo od drzwi. Ten z całkowitą obojętnością spoglądał na dziewczynkę, paląc przy tym cygaretkę. W dłoni trzymał kieliszek szampana. W zakrwawionej dłoni. Bo obie jego ręce były całe uwalane krwią, podobnie jak brzuch i usta.

Dostrzegłszy konsternację przybysza, zakrwawiony „upiór” podniósł się, postawił szkło na niewielkim stoliku o okrągłym blacie i ruszył wolnym krokiem do wejścia. Zatrzymał się przed nim,

uśmiechając się, jakby chciał w ten sposób powiedzieć: „Pan wybaczy, ale to nie pański interes”.

– To ty? – zapytał zdziwiony, bo naraz rozpoznał w oprawcy z blizną swojego dawnego znajomego z burszowskiej korporacji[1].

– Pan się pomylił – odburknął po niemiecku zapytany i zatrzasnął drzwi.

Po chwili był już na ulicy. Stanąwszy przed bramą, zaczął głęboko oddychać, by się uspokoić. Nerwowo rozejrzał się dookoła. Do hotelu miał spory kawałek drogi, a tu nie było widać żadnego dorożkarza. Poszedł więc na Wielką, bo tam czasami stawały nocą dorożki. Jak na złość dziś wszyscy wozacy jakby się zmówili i poszli albo pić, albo spać. Nie było co stać i się zastanawiać. Roztrzęsiony ruszył przed siebie. Pomyślał nawet, że spacer dobrze mu zrobi po tym, co zobaczył w burdelu. Jeszcze nigdy w życiu nie spotkał się z czymś tak paskudnym. Ale nic nie mógł na to poradzić. Miał swoje sprawy i nie powinien zajmować się jakimiś zboczeńcami. Zresztą w jego sytuacji zawiadomianie policji nie było możliwe. Zaraz zaczęłyby się pytania, przesłuchania, a tej małej i tak pewnie nie zdołałby pomóc.

Dobrze znał drogę, bo w Poznaniu spędził całe swoje dzieciństwo. Wyjechał stąd wraz z rodziną zaraz po tym, jak miasto i całe wschodnie kresy Rzeszy dostały się pod polskie panowanie. Nie miał czego szukać w kraju, gdzie rozpanoszyli się obcy. Ale od pewnego czasu znów zaczął się tu pojawiać. Nie żeby na dłużej. Nic z tych rzeczy. Wpadał do Poznania tylko na chwilę, żeby załatwić swoje sprawy, a po ich sfinalizowaniu zaraz uciekał do siebie z pełnym portfelem. A że gotówki miał sporo, od czasu do czasu mógł jej trochę przepuścić, przeznaczając na rozrywki, które bardzo sobie cenił...

Z Wielkiej miał do siebie zaledwie kilka kroków. Zamierzał przejść rynek, dojść do placu Wolności, a stamtąd było już tylko o rzut kamieniem do hotelu przy Świętym Marcinie, w którym się zatrzymał. Gdyby panowały tu dawne porządki, za nic na świecie nie spałby w tym paskudnym Royalu, który schował się za fasadą destylarni win markowych Świtalskiego w obskurnym podwórku. Przed wojną zamówiłby pokój w De Rome przy Wilhelmplatz, który

teraz nazwano placem Wolności. Wtedy był to najbardziej elegancki hotel w mieście. Teraz, szkoda gadać. Zrobili z niego jakąś budę z książkami. Zresztą wszystko się tu pozmieniało i dawny niemiecki Posen, który znał od dzieciństwa, stał się nagle polskim miastem w którym on, Niemiec z dziada pradziada, musiał się odnajdywać na nowo. Na szczęście niektóre miejsca były takie same jak zawsze, chociażby burdel madame Alouette. Ten nic się nie zmienił, tylko właścicielka jakby trochę się postarzała. Ale panny pierwsza klasa, zwłaszcza ta Francuzeczka... Tylko to zakrwawione dziecko burzyło cały ten piękny obraz dzisiejszej nocy. Trzeba będzie o tym szybko zapomnieć...

– *Hast du Feuer?*^[2] – Drogę niespodziewanie zastąpił mu jakiś niewysoki człowiek w krótkiej marynarskiej kurtce i cyklistówce na głowie. Twarzy nie było widać zbyt wyraźnie, bo facet stał odwrócony plecami do bladej lampki oświetlającej narożnik kamienicy.

– *Feuer?* – zdziwił się nie tym, że ktoś go prosi o przypalenie papierosa, ale że mówi do niego po niemiecku. Skąd mógł wiedzieć, że ma do czynienia z Niemcem? To go zastanowiło. – *Warten Sie, ich habe hier irgendwo Streichhölzer*^[3].

Wsunął rękę do kieszeni płaszcza.

– Skąd pan wie, że jestem Niemcem? – zapytał.

– Pierdol się, gnoju... – Ten mały chciał jeszcze coś powiedzieć, ale słowa zamarły mu na ustach na widok wycelowanego w brzuch pistoletu Luger.

– Kładź się, świnió, na ziemi i nie próbuj się ruszyć! – polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu, nawykłym do wydawania poleceń.

Mężczyzna w cyklistówce zaczął powoli unosić ręce. Naraz zatrzymał je w pół drogi i uśmiechnął się pod wąsem.

Dostrzegł wyraźnie ten uśmiech, bo facet odwrócił głowę w lewo, wystawiając twarz na poświatę bladej latarni. Nagle zrozumiał, dlaczego ten się uśmiecha, ale na reakcję było już zbyt późno...

Silny cios w głowę sprawił, że natychmiast padł na kolana. Nie wypuścił jednak z ręki pistoletu. Powinien był spróbować się odwrócić i strzelić do tego, który zaatakował go od tyłu. Popełnił błąd. Niemal nie mierzając, pociągnął za spust. Huk wystrzału na pustej ulicy zagrał głośno jak salwa armatnia. Postrzelony w udo,

ten w cyklistówce, pchnięty siłą wystrzału, przewrócił się na plecy. W tym momencie na głowę napadniętego mężczyzny spadł drugi, znacznie silniejszy cios, zadany cegłówką. Za jego przyczyną siły całkowicie go opuściły, a resztki świadomości uciekły, by za moment wrócić jeszcze na sekundę czy dwie, w chwili gdy mężczyzna zawył głosem rozpaczliwym i bolesnym, który zdawał się nie prośbą o pomoc, a skargą udręczonego człowieka na całą niesprawiedliwość tego okrutnego świata. Długi, wojskowy bagnet wszedł lekko w przestrzeń między żebrami i dla pewności został jeszcze sprawnie obrócony o sto osiemdziesiąt stopni.

– A zamknijcie te ryje, chłelerne wy szuszwole niemyte, bo zaraz tam na dół zlizę i zrobię z wami porzundek! – zawołała jakaś kobieta z okna na drugim piętrze, którą te hałasy musiały wyrwać ze snu.

– *Halt die Klappe, du alte Hexe!* – zawołał z dołu ten, który wyszedł ze starcia bez szwanku.

– *Soll dich doch die Pest holen, du slender Dreckskerl. Dass Dir Vögel auf den Kopf scheißen und Hunde ans Bein pinkeln und das simmer wieder in Scheße trittst, am besten in die eigene Schweinebacke du Mistgeburt.* – Kobieta płynnie przeszła na niemiecki.

– *Das ist verrückt!*^[4] – Postukał się palcem w czoło, ale kobieta najwyraźniej musiała wyrzucić z siebie złe emocje.

– Chłelerne gnoje! – Znów przeszła na polski. – Skaranie boskie z nimi. A idźta se w cholerę stąd! A jak nie pójdzieta, to ja tam zaraz do was zejde i zrobię z wami co trzeba! – Splunęła jeszcze w dół, pogroziła pięścią i w końcu z bezsilności zatrzasnęła okno.

Postawny mężczyzna przestał się nią interesować. Z flegmatycznym spokojem chwycił swojego kompana pod ramiona i oparł go plecami o ścianę kamienicy. Szepnął mu coś do ucha. Tamten pokiwał głową na znak zgody.

Wrócił do ciała zabitego mężczyzny i wciągnął je w bramę prowadzącą na podwórko. Po chwili wyszedł stamtąd, ocierając umazane krwią dłonie o boki spodni. Pochyliwszy się nad swoim kompanem, z łatwością zarzucił go sobie na plecy. Minutę później przestrzeń ulicy wypełniła całkowita cisza. Na bruku w świetle

księżycą spora plama krwi wyglądała, jakby ktoś rozlał w tym miejscu smołę.

Godzina 6.30 rano

Przodownik Edmund Walczak, czterdziestoletni, barczysty mężczyzna rozpiął rozporek, chwycił się za przyrodzenie i zaraz na ceglana, czerwoną ścianę popłynął rażno strumień uryny, wzbijając w chłodnym powietrzu obłoczki pary. Policjant z ulgą spojrział na niewielką kałużę, tworzącą się na udeptanej ziemi, tuż przy samych czubkach jego wyglansowanych i świecących się – co lubił powtarzać – jak psu jajka, czarnych butach z cholewkami. Z ulgą, bo wreszcie mógł sobie ulżyć. Sikać mu się chciało przynajmniej od godziny. Tyle że nie mógł się oddalić za potrzebą, bo policjantowi na służbie przecież nie wypadało tak lać gdzie bądź. Nie mógł jako dowódca trzyosobowego patrolu, przemierzającego dla strzeżenia porządku uliczki Starego Miasta, zwyczajnie zatrzymać dwóch podległych mu żółtodziobów, którzy dopiero niedawno zaczęli służbę w policji, i powiedzieć im: „Stójcie tu i czekajcie, bo ja idę sikać”. Nie wypadało, by podoficer wlaź w bramę jak miejscowy szuszwol, których to pełno było w okolicach Starego Rynku. Co to to nie. On musiał dawać przykład i pokazywać tym gołowąsom, że na służbie trzeba się zachowywać godnie. Dlatego gdy poczuł, że musi za potrzebą, zaczął rozglądać się za odpowiednim miejscem do opróżnienia pęcherza, ale jak na złość od strony Wielkich Garbar, tam, skąd właśnie szli, nijak takiego nie mógł znaleźć.

Najprostszym rozwiązaniem było skorzystanie z wychodka w jednej z knajp, które o tej porze już były otwarte. Od świtu bowiem chłopci, którzy przyjeżdżali handlować na rynku, musieli gdzieś odpocząć po trudach podróży. Ich kobiety prowadziły handel wprost z wozów, a oni w tym czasie szli pogadać o polityce przy kieliszku zimnej wódki. Jednak policjantowi na służbie ot tak wejść do knajpy nie wypadało, gdy nie było ku temu wyraźnego powodu. Nie mógł sobie wejść i nie wypić wódki, którą każdy właściciel na widok munduru natychmiast nalewał do szklanki. Co innego po służbie, wtedy jak

najbardziej, jeden czy drugi szybki przy szynkwasio, i do tego za darmo, jak najbardziej. Ale nigdy nie na służbie – takich zasad uczył Walczak swoich młodych podwładnych. No i gdyby teraz wlaź, tak ni stąd, ni zowąd, choćby do tej winiarni po drugiej stronie ulicy, którą właśnie otwierał młody pomocnik właściciela, to co by sobie mogli pomyśleć jego podkomendni? Że gębę ma wypchaną kłamliwymi pomyjami, czyli co innego mówi, a co innego robi, i przy pierwszej okazji wskakuje na kielicha... Walczak był honorowym podoficerem i prędzej narobiłby w portki, niż wystawił na szwank swój piękny policyjny mundur.

W końcu, gdy jego myśli powoli zaczęły spływać na samo dno rozpaczy, a wyobraźnia malowała przemoczone w kroku spodnie, przyszedł mu do głowy pewien prosty pomysł. Tam gdzie Wielka zwężała się do szerokości niewielkiej uliczki, by tym dawnym wąwozem wpłynąć w przestrzeń rynkową, była szeroka brama, od dawna zniszczona i niezamykana, a zaraz za nią znajdował się obszerny śmietnik. Bramy nikt nie zamykał, odkąd stara czynszówka straciła właściciela. Abram Ferszt zmarł jakiś czas temu, a jego krewni nie mogli się dogadać, komu należy się spadek. No a jak nie było właściciela, to i nie było stróża, któremu by ktoś płacił. Więc kamienica i jej podwórko wyglądały wyjątkowo niechlujnie. I to było odpowiednie miejsce.

– No więc słuchajcie mnie wy oba. – Zatrzymał się i odwrócił do idących za nim posterunkowych. – W tym fyrtku[5] to jest najbardziej dziadowska chata, bo nikt jej nie pilnuje. Ty, Mrugała, staniesz se tu z giwerą – wskazywał na uchyloną bramę – i będziesz czekał.

– Tak jest! – Mrugała nie dyskutował z rozkazami. Jak kazali stać, to stał.

– A ty, Ćwikła, zajdziesz do bramy od Żydowskiej i tam się zasadzisz.

– Niby na co się zasadzę, panie przodowniku? – Ten drugi był bardziej dociekliwy.

– Zasadzisz się, jakby kto z drugiej strony chciał uciekać, bo tu podwórek przechodni jest.

– Łe! – Zadowolony Ćwikła pokiwał głową. – Znaczy się, jakby kto chciał dać dyla, to go pierdalnąć kolbą i zatrzymać? – Domyślił się

bystry posterunkowy.

– Zatrzymać! Zatrzymać tak, żeby został zatrzymany! – Przodownik pokiwał głową. – A teraz dalej mi, na stanowiska! – rzucił rozkaz i sam wszedł w bramę. Obejrzał się jeszcze, czy aby na pewno ten Mrugała tam stoi. Stał i patrzył w głąb podwórka. Mógł się tam gapić. Śmietnik był po lewej, więc nic nie zobaczy.

Policjant przelazł przez kupę śmierdzących śmieci ostrożnie, by nie zabrudzić błyszczących cholewek, i stanąwszy za murkiem, zaczął sikać. Poczawszy w końcu ulgę, zamknął z błogości oczy. Gdy już skończył, usłyszał jakiś dziwny szmer w samym śmietniku. Coś się tam poruszało.

Kejter albo kociamber[6], pomyślał. Spojrzał uważniej i zaraz mu coś mignęło, bo śmietnik, mimo że murowany, miał kilka prześwitów, takich na jedną pustą cegłę. No więc zajrzał w jedną z tych dziur i ze zdziwieniem dostrzegł szeroko otwarte oczy jakiegoś człowieka.

– A ty to co tam robisz, łachudro? – zapytał groźnie. – Wyłaż mi tu zaraz – polecił. Oczy natychmiast zniknęły i po chwili na podwórku przed śmietnikiem stanął jakiś lichy odziany, piegowaty, młody, może dwunastoletni chłopak w pocerowanym na połach paltociku i porządnym kapeluszu na głowie. Do tego na piersiach dyndały mu dwa czarne skórzane trzewiki, przewieszane na karku związanymi sznurówkami. Spojrzał na policjanta i naraz wybuchnął głośnym śmiechem.

– Trzym se ptoka, bo ci łodfrunie! – zawołał, wskazując na rozporek policjanta. Ten spojrział w dół. Zupełnie zapomniał o tym, co robił przed chwilą, dlatego cały czas trzymał w ręce przyrodzenie.

– Ażeby cię jasno chłelera! – krzyknął, ale młodego już nie było. Wybiegł przez uchyloną bramę i sprytnie ominąwszy zdziwionego szeregowego Mrugałę, pobiegł w głąb Wielkiej, w kierunku Garbar. Dopiero gdy go minął, młody policjant zdjął z ramienia swojego mausera i tym karabinem pomachał za uciekającym, jakby widok broni mógł zatrzymać uciekiniera. Ale chłopak nawet nie próbował się obejrzeć. Po chwili nie było już po nim śladu. Policjant, straciwszy go z oczu, naraz przypomniał sobie o czymś i z niepokojem popatrzył w stronę podwórka. Od razu natrafił na

twarde spojrzenie swojego dowódcy, który pogroził mu pięścią. Zaraz jednak odwrócił się do szeregowca plecami. Przeklinając pod nosem, zapiał po kolei wszystkie cztery guziki rozporka i już chciał iść do swojego podwładnego, żeby go obsztorcować za brak należytej uwagi, gdy naraz przyszło mu coś do głowy.

Skąd ten szczon miał taki ładny kapelusz? Takie fedory noszą przecież tylko eleganccy mężczyźni, a nie takie zasmarkane wywijasy. Pewnie komuś ukradł. Tak jak te trzewiki, co powiesił sobie na karku. Na giry ich nie wzuł, bo za wielkie dla niego. Na pewno zwędził. Tylko komu? Gdyby ten ćwok Mrugała był bardziej bystry, zaraz by się młodego wzięło na przesłuchanie, pasem dupę przetrzepało, toby powiedział, od kogo ten kapelusz...

Naraz uwagę przodownika przykuło coś dziwnego. Coś, czego w tym miejscu być nie powinno. Spojrzał uważnie w głąb śmietnika. W półmroku coś wyraźnie odbijało się swoją jasnością od sterty śmieci. Zrobił dwa kroki naprzód, odruchowo wstrzymując oddech. Ale zupełnie niepotrzebnie, bo przy niezbyt wysokiej temperaturze, jak ta dzisiejsza, smrodu czuć nie było, a i to, co dostrzegł, co go zaintrygowało, jeszcze śmierdzieć nie mogło...

Na smród rozkładu było zdecydowanie za wcześnie. Trupy bowiem nie śmierdzą od razu, stary policjant, a wcześniej frontowy żołnierz, wiedział to z doświadczenia. Przy takiej pogodzie zaczynają cuchnąć dopiero po trzech, czterech dniach. A ten tu truposz, którego białe, bose stopy wystawały spośród śmieci, nie wyglądał na bardzo zmęczonego leżeniem w tym śmietniku. Będzie ze dwie godziny miał. Albo trzy, ocenił go natychmiast Walczak i zaraz wydarł się najgłośniej jak mógł:

– Do mnie, Mrugała, ino mi tu migiem! – Ale wcale nie musiał krzyżeć, bo Mrugała stał tuż za nim, wpatrzony w twarz nieboszczyka jak w obraz święty i do tego zegnał się jeszcze kilka razy, jak to chłopci z Kongresówki mają w zwyczaju w obliczu ostateczności.

– O Jezusie, Maryjo, Józefie święty, nieboszczyk, świeć Panie nad jego duszą... – wyszeptał, ale zaraz wrócił do rzeczywistości, gdy poczuł, jak wielkie niczym imadło paluchy przodownika łapią i wykręcają jego ucho. – Auu! – zawył.

– Nad twoją dupą niech się świeci, ćwoku glapami futrowany. Jak chcesz się modlić nad nieboszczykami, to uniform zamień na sukienkę. Tu nie kruchta, ino policja, trąbo jerychońska. Leć no zaraz do apteki na Wielkiej i zatelefonuj... – Przodownik przerwał na moment, by spojrzeć na niezbyt lotną facjatę swojego podwładnego.

– Telefonował żeś już kiedy?

Zapytany pokręcił szybko głową.

– U nas w Szymankowie był telefon na poczcie – stwierdził z dumą.

– Pocztowy Lisiak z nim gadał zawsze...

Walczak machnął ręką.

– Sam pójde. A ty tu stój i pilnuj.

Naraz spojrział w głąb podwórka. Z drugiej strony, od wejścia od strony ulicy Żydowskiej, spokojnym krokiem szedł drugi z jego młodych podwładnych, ten, który miał zabezpieczać tyły.

– A ty, Ćwikła, co tu robisz? Pozwolił ci kto zejść z posterunku? – zapytał Walczak, biorąc się pod boki.

– Nie, bo ja tego że właśnie... – Policjant próbował coś wytłumaczyć, ale nie było mu łatwo zebrać myśli pod ostrym spojrzeniem dowódcy.

– No długo mam czekać, chacharze sakramencki?

– Ja przez te baby. – Wskazał ręką za siebie. W bramie, z której wyszedł, stało pięć kobiet i wszystkie w napięciu obserwowały to, co dzieje się na podwórku.

– Co, bab żeś się przestraszył? – warknął z niedowierzaniem przodownik.

– He, he, he! – zaśmiał się jego kolega, ale zaraz zamilkł, gdy dowódca, marszcząc brwi, popatrzył na niego groźnie.

– Nie, ino one chciały tu wleźć na podwórek, tom im powiedział, że nie wolno i mają tam stać i czekać, aż je się przywoła.

– A niby po co się je przywoła?

– Bo ta w czerwonej chustce powiada, że ten, co uciekał ze śmietnika, to ona jego zna i chciała donieść, co to za jeden jest. A ta druga też powiadała, że go bez łokno widziała. Obie jego widziały.

– No to co tu jeszcze stoisz? Ale migiem leć mi po nie!

Posterunkowy Ćwikła zasalutował i natychmiast pobiegł po kobiety.

Po chwili przyprowadził obie. Podoficer wskazał palcem na chudą, z długim nosem, której głowę ozdabiała czerwona chustka w zielone kwiatki.

– Jak się nazywacie? – zapytał.

– Jańczak Genowefa, zez drugiego kija. O, tam mieszkam, panie oficerze. – Odwróciła się, by wskazać głową odrapaną fasadę budynku za swoimi plecami.

– Ja też tam mieszkam tak samo jak łona. Kulebiokowa Agnieszka.

– Druga odezwała się niepytana. Walczak chciał do niej zagadać, ale nie zdążył. Była szybka jak karabin maszynowy Maxim.

– Jo tyż widzioła wszystko bez łokno. Obiedwie my wszystko widzioły.

– Prawda, prawda, wszyściutko – poparła ją znajoma.

– Że co niby...

– Że niby widzioły my, jak pan oficer lał pod murkiem i jak tyn szuszwol młody ze śmietnika wylecioł i jak jeszcze się śmiał...

– No, no! Ino mi tu pierdół nie gadać! – Pogroził kobietom palcem, ale one i tak wiedziały swoje.

– Jakich pierdół? My nie żadne pierduśnice. Pod Bogiem powiadam, że jak pan oficer już się wylał, to ten tam rudy wylecioł ze śmietnika, a on jest nam znany, bo niedaleko zamieszkuje, i jakby co, to my jego możemy wskazać względem tego, kto zabił...

Policjant zdziwiony pokręcił głową.

– A niby skąd to wiecie, że ktoś kogoś zabił? – zapytał podchwytliwie.

– Co mamy nie wiedzieć, że zabity jak nieboszczyk, o, tam se leży jak jako klofta. – Kulebiokowa wskazała głową, a Jańczakowa pokiwała na znak, że się zgadza całkowicie.

– To wiecie, kto onego zabił? – zapytał policjant.

– No a jakże. – Tym razem szybsza była Genowefa. – Tyn, co uciekoł, znaczy się tyn młody szczon Brodziak, co mieszka tu niedaleko, bo na Woźnej...

Usłyszawszy to, Walczak spojrział na swojego podwładnego Mrugałę.

– Zostać na warcie i pilnować mi wszystkiego! – rozkazał. – A ja idę zatelefonować, że mamy tu do czynienia z morderstwem – obwieścił

z dumą, tak żeby wszyscy dookoła usłyszeli.

– Niby czego pilnować, panie przodowniku?

– Pilnuj, żeby ci nieboszczyk nie zwiął.

– Spokojna głowa – stwierdził Mrugała, który chciał się zrehabilitować po ucieczce małego opryszka. Dlatego zdjął z ramienia swojego mausera, przeładował i wymierzył w opartą o ścianę śmietnika głowę. Teraz był już pewien, że powierzone mu zadanie wykona najlepiej jak się da, ku chwale ojczyzny i Policji Państwowej.

Godzina 8.20 rano

Na Starym Rynku, jak zwykle o tej porze, kłębił się tłum. Chłopi, baby, handlarze i handlarki, kupujący i sprzedający, a do tego jeszcze przechodnie przemierzający rynkowy plac w tę i z powrotem zlewali się w jedną gwarną, szaroburą masę. Najtłoczniej było przy pręgierzu, u stóp ratuszowych schodów, i dalej, przy krużgankach prowadzących od starego do nowego ratusza

– Łe jery, jak nieboszczyk?

– No normalnie, zastrzelony albo jakim innym knypkiem sprawiony. Nieżywy i do tego jeszcze goły jak świnty turecki.

– Goły? – zdziwiła się Gabriela Olbrachtowa, okrągłolica, rumiana handlarka, sprzedająca suszone zioła pod fontanną ozdobioną figurą bamberki z dwoma cebrzykami przewieszonymi na nosidle. Fontannę wystawił winiarz Goldenring jako reklamę swoich wyrobów, ale że było to już ponad dziesięć lat temu, mało kto pamiętał, że lejąca się z cebrzyków woda miała zachęcać do picia wina. Ludzi zapomnieli, a psy, które bardzo chętnie korzystały ze specjalnie dla nich przygotowanego u stóp fontanny poidełka, o winie nie miały zielonego pojęcia. Tak jak ten rudy kundel, który ugasiwszy pragnienie, patrzył teraz ciekawie na ubraną na czarno starą Frejmanową. Kobieta, machając swoim kościstym paluchem przed nosem siedzącej na rycze Gabrieli, objaśniała jej całą złożoność dzisiejszej sensacji.

– Giry chude mu wystawają ze śmietnika, a jak giry gołe, to i wszystko musi być bez odzienia.

– Łe, to nic pewnego – prychnęła zielarka. Z gołymi girami wiara łązi po ulicach, ale z gołą dupą to już się nie zdarza. Choć w zeszłym roku, pamięta pani, latem, jeden student przeleciał od Ratuszowej przez Kurzą Nogę aż do Wrocławskiej, bo niby że zakład przegrał i musiał lecieć bez gaci, i tak szybko gnał, że szkieły nie dały rady jego chycić...

– To nie ten. – Frejmanowa pokręciła głową. – Tamten uciekł, a ten się został leżeć w tej gemeli. Biedaczek.

– A pani skąd niby to wszystko wie? – zainteresowała się Olbrachtowa, poprawiając chustkę na głowie.

– No jak skąd? No bo ja sama widziała wtedy, jak ten student uciekoł tym szkiełom...

– Nie o tym gadam. O tym, co to tam leży na Wielkiej.

– A, o tym... – Kobieta uśmiechnęła się i znów pomachała kościstą dłonią. – Wszyscy gadają. A najwięcej gada Kaczmarkowa, bo ona zaraz naprzeciwko mieszka i widziała, jak tam szkieły wlażyły na podwórko i jak uciekał stamtąd tyn mały wywijas, tyn rudzielec piegowaty Brodziak, co to mieszka na Woźnej – mówiąc to, odwróciła się za siebie i wskazała na tę właśnie ulicę, oskarżycielsko dźgając powietrze palcem, jakby chciała powiedzieć, że cała ta Woźna to bandycka ulica, choć wszyscy dobrze wiedzieli, że najbardziej bandyckie jest Chwaliszewo, a Woźna dopiero druga w kolejności okolicznej niesławy.

– Brodziok, tyn od tego pijanicy Antka Brodzioka, co to ciągiem ino gorzołę chleje? Ale to jest juchciarz[7], a nie morderca. On by nikogo nie zabił. Nie może być, że to Brodziok.

– Tyn som, pani kochano. Tyn szczon uciekoł z gemeli[8] przed szkiełami w takim dużym kapelutku, a na śnurku to miał przewieszane trzewiki. Leciół, że tyn szkieł[9], co tam pilnowoł na ulicy, to ani się nie obejrzoł, jak tego młodygo już nie było, ino smród po nim się został – wyjaśniła wszystko dokładnie chuda Frejmanowa.

– Znaczy się, że on tam co nabroił? – zapytała na wszelki wypadek zielarka.

– On sam – potwierdziła jej znajoma. – Bo jakby nic nie nawywijając, to po cholere by uciekał?

– Bo kto by chciał mieć ze szkiełami okoliczność? – wtrącił się do rozmowy dryndziarz Kucharczyk, który właśnie wyprzągnął swojego siwka z dorożki i podprowadził do fontanny, żeby zwierzę się napiło. A że też był, podobnie jak obie kobiety, osobą obytą w świecie, musiał się wtrącić w tę ciekawą rozmowę, bo w takich kwestiach, jak każdy dorożkarz, był człowiekiem na rzeczy się znającym. – Oni nawet niewinnego mogą wsadzić do aresztu i trzymać przez miesiąc albo i dłużej. Wiem, bo jak mojego szwagra zgarnęli, że niby węgiel z gazowni kradł, tutaj zaraz na Grobli. – Wskazał głową kierunek, tak jakby kobiety nie wiedziały, jak do gazowni trafić. – A on w życiu węgla nie kradł, ino se leżał opity na tym węglu, bo do chaty nie mógł trafić, jak mu się rychtung pochachmęcił. No i onego przez tydzień trzymali w komisariacie na Garbarach, bo se o nim zapomnieli, aż moja siora nie wytrzymała i poleciała tam do nich i taką gemelę zrobiła...

– O tym wywijasie Brodziaku to nie zapomną, bo go od cholery wiary widziało, jak dawał dyla – stwierdziła z pełnym przekonaniem Frejmanowa.

– Jakim Brodziaku? – zapytał szczupły, ale jednocześnie dobrze zbudowany mężczyzna, ubrany w białą koszulę z porządnie wykrochmalonym kołnierzykiem i czarną krawatką pod szyją, bordową, połyskliwą kamizelkę i spodnie knykry za kolana. Kolorowe, kraciaste kolanówki i czarno-białe trzewiki dopełniały reszty. Popielate palto miał niedbale rozpięte, pewnie po to, żeby każdy mógł dojrzeć to, co ma pod spodem. A było czym się chwalić, bo fachowiec jego garderobę ocenić mógł bez większego trudu na jakieś sto tysięcy marek polskich. Baby nie musiały oceniać. Znały go dobrze i wiedziały doskonale, że ten elegant nie wypadł sroce spod ogona. Tolka Grubińskiego znało dobrze Stare Miasto, a o jego rozlicznych złodziejskich talentach krążyły opowieści w całym Poznaniu.

– Jak o jakim? O tym wywijasie Zenusiu Brodziaku gadamy, panie Tolku szanowny – wyjaśniła Frejmanowa.

Anatol Grubiński znany był na Starym mieście i nie tylko tutaj z tego, że pieniądze się go trzymały. Zawsze miał pełen portfel wypchany banknotami, a i schowek w jego pokoju na Mostowej też nigdy nie był pusty. Ludzie mówili, że ma więcej złota niż niejeden kupiec. Ale co się dziwić, skoro Anatol, do którego przyjaciele i koledzy mówili Tolek, zajmował się zawodowo i na co dzień przynoszeniem ulgi napęczniałym kupieckim sakwom. Trudnił się bowiem włamaniami do bogatych mieszkań, a jego specjalnością od pewnego czasu było opróżnianie domów do cna, czyli wynoszenie wszystkiego, co tylko wpadło mu w ręce.

Na ten pomysł wpadł dwa lata temu podczas włamania do mieszkania adwokata Alfonsa Majeranka, który mieszkał na Łazarzu, przy ulicy Grottgera. Tolek był jeszcze wówczas zwykłym złodziejem, okradającym mieszkania w pośpiechu i bez jakiegoś konkretnego planu. Ale był też człowiekiem wielkich ambicji i równie wielkich perspektyw. Wtedy to właśnie, podczas tego włamania, zaświtała mu w głowie myśl prosta, acz genialna. Gdy ładował do swojego złodziejskiego wora wszelkie wartościowe precjoza, srebrne lichtarze, talerze i sztuce z wytwornego, bogato rzeźbionego kredensu, naraz wzrok jego zatrzymał się na koniu.

– A ty na co się żeś tak zagapił? – zapytał Walek, jego rówieśnik i jednocześnie najstarszy z trójki braci Kaźmierczaków, którzy wraz z Grubińskim tworzyli złodziejską bandę.

– Na konia się gapię – wyjaśnił rzeczowo.

– Na jakiego konia? – Kaźmierczak spojrzał na kolegę, jakby ten postradał zmysły. Bo na konia to można się gapić, ile się chce, na ulicy albo w stajni, ale nie w porządnym mieszkaniu na drugim piętrze. Zaraz jednak zrozumiał, gdy jego wzrok powędrował wyżej. Koń był piękny, maści karej i najpewniej był to ogier dobrze zadbany, bo aż lśnił blaskiem takim, że w pierwszej chwili Walek aż przymknął oczy.

– Jak prawdziwy – jęknął.

– No – potwierdził Tolek. – A ten, co to siedzi na nim, to wygląda, jak jakiś kakalud w kapeluszu przekrzywionym.

– To nie kapelusz, ino jakby mu kto pieroga na łeb nasadził – odezwał się zza ich pleców średni z braci, Leon, który wszedł właśnie

do jadalnego z sąsiedniego pokoju. – Ale chabeta niczego sobie.

– Nie chabeta, tylko ogierek piękny – zganił go Tolek. – Ale nawet całkiem niczego sobie wygląda. Bierzemy go – zdecydował.

– Jak bierzemy? – Nie zrozumiał w pierwszej chwili Walek. Obaj bracia spojrzeli na Tolka jak na wariata. Przecież zawsze kradli tylko to, co udało się im zmieścić do worków i ewentualnie weszło jeszcze do kieszeni, ale żeby wielki jak lustro u fryzjera obraz nieść przez miasto?

– Normalnie, bierzemy i już.

– Ale coś ty, chłopie, zwariował. Jak my z onym koniem i kakaludem na nim siedzącym drałować mamy po Poznaniu? No przecie pierwszy posterunkowy, jak nas zobaczy na ulicy, zaraz zatrzyma i się zapyta, skąd taki malunek mamy...

– Żeby zapytać, to najpierw musi nas z tym koniem zobaczyć, nie?

– A jak ma nie zobaczyć? Do kiejdy go schowasz, ha, ha? – zaśmiał się głośno Leon.

– Nie do kiejdy, ale porządnie, z fasonem się pojedzie, jakby my przeprowadzkę robili...

Tolek oczywiście improwizował, bo nie miał jeszcze przed chwilą pojęcia, jak obraz przetransportować, a poza tym nie wiedział najważniejszego – co z nim zrobić. No ale ten koń tak mu się spodobał, że nie potrafił się oprzeć. I wtedy narodził się genialny w swojej prostocie pomysł przeprowadzkowy.

Wyszli z mieszkania z trzema workami, pod ciężarem których ugiął się Walek, a on i Leon znieśli po schodach obraz. Nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, bo mężczyźni znoszący płótno w bogatej, złoconej ramie wyglądali jak zwykli tragarze. W tym czasie najmłodszy Kaźmierczak, który dotąd stał na świecy na klatce schodowej, wtedy dziesięcioletni Krystek, poinstruowany przez starszego brata, pobiegł na sąsiednią ulicę Matejki i przyprowadził pod kamienicę towarową lorę, ciągniętą przez dwa perszerony. Tam bowiem, niedaleko skrzyżowania z Grunwaldzką, swój przystanek mieli wozacy, których wynajmowało się do przewozu towarów. No więc Tolek postanowił wynająć wóz i przejechać nim przez miasto, tak jakby cała ta operacja była jak najbardziej legalna. Przejechali przez most Teatralny i dalej aż na plac Sapieżyński, by przeciąwszy

go, wjechać w zapełniony straganami plac Wroniecki. Tu, niedaleko potężnej bryły nowej synagogi, miał swój kantor znany dobrze Tolkowi handlarz Jacob Jakobsberg, u którego najczęściej na pniu sprzedawali cały swój urobek. Tolek lubił brodatego Kubę, bo ten w interesach był niezwykle konkretny. Wystarczyło mu rzucić okiem na towar i bez większych ceregieli płacił uczciwie, tak żeby opłacało się to obu stronom. Tym razem jednak było inaczej. Zapłacił za drobnicę, a obraz wziął, kręcąc nosem.

– Nie mój asortyment, panie Tolek szanowny, nie moja branża. Co ja z takim malunkiem mam zrobić? Przecie ja sobie konia z Napolitonem w salonie nie powieszę, bo moja Sara będzie się bała, że jej ten koń wyskoczy prosto do talerza, bo on jest jak żywy. Trzeba by go gdzie sprzedać, żeby jego miał w domu ktoś, kto się takiego konia nie boi i tego Napolitona również.

Trzy dni później Tolek poszedł sprawdzić, jak mają się sprawy. Okazało się, że obraz został sprzedany, a Kuba wypłacił za niego dwa razy tyle, ile za wszystkie przyniesione fanty z włamania. To dało Tolkowi do myślenia. Skoro za taki towar dostał tak dużo, to co by się stało, jakby przywiózł do kupca wszystkie obrazy, które wisiały w tym mieszkaniu? No a poza tym były tam przecież jeszcze piękne meble. Musiał to sprawdzić.

Do następnego skoku przygotował się jak nigdy. Najpierw wybrał w porozumieniu z pewnym stróżem odpowiedni lokal, wynajął duży magazyn w składzie węgla na Rybakach, a potem znalazł furmana z porządnym wozem, który za odpowiednią opłatą zgodził się wozić i o nic nie pytać. Kiedy właściciel mieszkania wraz z rodziną wyjechał na letnisko do Zoppot, banda Tolka Grubińskiego, wzmocniona przez kilku zawodowych tragarzy, przystąpiła do dzieła.

Wyprowadzka mebli, obrazów lamp i dywanów trwała cały dzień, ale na koniec efekt przerósł najśmielsze oczekiwania. Mieszkanie zostało opróżnione do gołych ścian, magazyn zapełniono po brzegi, a paser Jakobsberg towar musiał sprzedawać przez tydzień. Ale w końcu udało mu się upłynnić wszystko co do jednej sztuki.

Okazało się, że za ten jeden skok zarobili tyle, co przez ostatni rok, włamując się do kilkunastu mieszkań. Nie mieli więc wyjścia. Musieli powołać do życia własne przedsiębiorstwo przeprowadzkowe.

Jego właściciel, Anatol Grubiński, stał teraz tuż przy pomniku bamberki i wpatrywał się uważnie w handlarzkę sprzedającą zioła.

– A niby tak w ogóle to co ten szczun nawywijał? – zapytał pozornie obojętnym tonem.

– Na Wielkiej, w podwórku, zadźgał jednego gościa i uciekł z jego lompami w łapie – stwierdziła Olbrachtowa z pełnym przekonaniem, choć jej wiedza pochodziła z trzeciej ręki. No ale skoro powiedziała to Grubińskiemu, trzeba było wszystko wyjaśnić, bo takim jak on ludziom mówi się wszystko dokładnie jak było. – Pistoletem odstrzelił i bajonetem zadźgał jakiegoś człowieka, zrabował mu co się dało, i nawiał.

– Zenuś Brodziak? – Tolek z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Już go pewnie szkieły w całym Poznaniu szukają – stwierdził dorożkarz. – Nie wywinie się łachudra jedna. Ale wiadomo, że z rudego to nic dobrego nie wyrośnie. Rudy zawsze musi być fałszywy.

– A wy, panie Kucharczyk, chociaż na dryndzie jeździcie, to jednakowoż o życiu gównu wiecie. – Grubiński pokręcił głową i nie pożegnawszy się nawet, ruszył szybkim krokiem przed siebie, w kierunku ulicy Woźnej, która otwierała się przed nim szarymi ramionami fasad marnych kamienic, poznaczonych liszajami zmurszałego, odpadającego płåtami tynku.

Godzina 8.30 rano

Słusznym wzrostem by się nie pochwalił, za to w wielkości brzucha z niejednym piwoszem mógłby pójść w zawody. Wywiadowca policyjny Seweryn Gil rzucił niedopałek papierosa pod nogi i przydeptał go czubkiem wysłużonego buta. Ubrany był w znoszone palto z futrzanym kołnierzem, na głowie zaś miał wyświechtany kapelusz typu homburg z wywiniętym do środka rondem. Wąsy starannie wypomadowane i lekko podkreśnione ku górze dawały do zrozumienia wszystkim, którzy miewali z nim do czynienia, że nie przejmuje się on paryskim szykiem i nowymi modami, ale hołduje

wartościom ponadczasowym, takim jak choćby wąs, który zawsze był ozdobą prawdziwego męskiego lica.

Efekt, jaki osiągał, był jednak nieco groteskowy, bo swoją facjatą Gil przypominał kiepsko opłacanego buchaltera z urzędu powiatowego, a nie szanowanego przedstawiciela Policji Państwowej. Jednak stary wyga dobrze wiedział, że w jego fachu sukces osiąga ten, kto potrafi się wtopić w tłum, nie budząc najmniejszych podejrzeń i skojarzeń. A niekiedy najlepszym sposobem na takie wtopienie jest drobny szczegół, który sprawia, że człowiek będący tego szczegółu posiadaczem, automatycznie staje się osobą poza wszelkim podejrzeniem.

Gil był policjantem z krwi i kości, który całe swoje dojrzałe życie spędził w policyjnych szeregach. Służbę zaczynał jako wywiadowca kryminalny jeszcze za czasów pruskich, by po wielkiej wojnie i powstaniu wielkopolskim zająć się tworzeniem w Poznaniu polskiej policji. A było co robić, bo w tym czasie, gdy władze w mieście obejmowali powstańcy, a później cywilna administracja, policja właściwie przestała istnieć. Porządku na ulicach pilnowała utworzona z byłych żołnierzy frontowych Straż Ludowa. Ale sprawami przestępczymi praktycznie nie miał się kto zajmować, bo zawodowych szkieł w mieście nie było. Ci, którzy dotąd tropili przestępców – niemieccy policjanci kryminalni i obyczajowi – w większości wsiedli do pociągów i odjechali do Niemiec, nie chcąc mieć nic wspólnego z nowym państwem polskim. W komisariatach zostali nieliczni Polacy, przeważnie podoficerowie, tacy jak Gil właśnie. To im przypadła rola nauczycieli. Musieli dzielić się swoją nabytą przez lata pracy wiedzą z niedoświadczonymi oficerami, których oddelegowano z powstańczej armii do tworzenia zrębów policji. Każdy, kto miał jakiegokolwiek pojęcie o prawie, był brany w ciemno przez przysłane z Warszawy dowództwo.

W ten sposób właśnie do policji trafił oficer, który z fajką w zębach nachylał się teraz nad trupem leżącym w śmieciach.

– Chodźcie no tu, panie Gil! – Machnął ręką, nie obracając się za siebie. Nie było w tym geście odrobiny lekceważenia. Gil był starszy i bardziej doświadczony, ale miał sporo szacunku dla starszego

stopniem oficera, który już nieraz wykazał się dużą przenikliwością. Podszedł więc zaraz, drobiaz kroki.

– A co tam, panie komisarzu? Nie żyje na ament?

– Nieżywy, zimny jak dobra wódka w restauracji – stwierdził oficer. Zdjął z głowy czapkę i otarł wierzchem dłoni czoło, odsłaniając jasne, ostrzyżone na krótko, po wojskowemu, włosy. Wyglądał mniej więcej na trzydzieści lat. Ubrany był zgodnie z regulaminem służbowym w płaszcz mundurowy z dystynkcjami podkomisarza, spodnie bryczesy i lśniące czarne oficerki. Cały mundur, wraz z płaszczem, miał szyty na miarę, mimo to ubiór ten sprawiał wrażenie, jakby wszystko, w co był odziany, było na niego trochę za ciasne, jakby nieco zbyt na nim opięte. Wszystko przez mocno rozwinięte mięśnie karku i ramion oraz bicepsy, które wyhodował, ćwicząc codziennie z ciężarkami od najmłodszych lat. Później, w wieku już znacznie dojrzałym, bo w czasach szkolnych, zapisał się do junackiej sekcji zapaśniczej i zapasy okazały się jego prawdziwą pasją. Dziś co prawda już nie brał udziału w walkach sportowych, ale ćwiczeń fizycznych nie zanieczywał. Każdy dzień zaczynał od porannej gimnastyki, dla rozruszania mięśni. Mawiał, że ciało trzeba utrzymywać w gibkości i sprawności, bo nigdy nie wiadomo, kiedy może się to przydać, zwłaszcza w tej policyjnej robocie. Gil całkowicie się z nim zgadzał w tej kwestii, ale tylko w teorii. W praktyce zaś zbyt cenił sobie uroki suto zastawionego stołu i kufla piwa z pianką.

– Bym się nie przejmował – stwierdził Gil. Zabity człowiek w tym miejscu nie był niczym nadzwyczajnym i wywiadowca doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ale jego dowódca Fischer już taki miał charakter, że wszystko lubił mieć poukładane, na biurku i w głowie. Więc Gil wiedział dobrze, że trup miał szczęście. O ile w ogóle o szczęśliwym zrządzeniu okoliczności dla nieboszczyka można w tym wypadku mówić. A okoliczności były takie, że dziś na dyżurze dochodzeniowym był akurat Fischer, a to oznaczało jedno – zabójca mógł mieć pewność, że raczej prędzej niż później stanie przed obliczem sprawiedliwości.

– Już widziałem jego wcześniej. – Wywiadowca wskazał głową zabitego. – Akuratnie przechodziłem i jakem zobaczył, że się tu wiara

kołtuję i jeszcze młody mundurowy stoi wew bramie, to wesłem rzucić okiem.

– I co żeście zobaczyli?

– Kosa pod żebra, znaczy się zwyczajnie po wojskowemu zaszlachtowany z obrotem w bebechach.

– Może i zwyczajnie, ale coś mi się widzi, że niezwykajne jest to, że... – wtrącił się Walczak. Przodownik od momentu wezwania na miejsce dodatkowych sił z Dyrekcji Policji, którą poznaniacy w dalszym ciągu, tak jak za pruskich czasów, nazywali Prezydium, cały czas kręcił się w pobliżu, w razie gdyby ktoś poprosił go o jakieś bardziej szczegółowe informacje. Ale jak dotąd nikt o nic go nie pytał, więc sam postanowił zwrócić na siebie uwagę.

– No co tam widzicie niezwykajnego? – zainteresował się komisarz Fischer, który właśnie skończył oględziny i wydobywszy z mundurowej marynarki kapciuch z tytoniem, zaczął nabijać swoją wygasłą już dawno fajkę. Widząc to, jego podwładni sięgnęli od razu po papierosy.

Gil podsunął zapaloną zapalną swoją koledze. Ten, zaciągnąwszy się, spojrzał na szefa.

– Nadzwyczajne, panie komisarzu jest to, że tak powiem, że na moje wychodzi, że jego tą kosą poczęstowali, jak już był na ament załatwiony.

– A po czym wnioskuje? – pytał dalej Fischer, uśmiechając się lekko pod wąsem. Lubił jak jego ludzie samodzielnie wyciągali wnioski.

– A po tym, że łeb ma rozbity, a cegłówka zakrwawiona leży o, tam.

– Wskazał palcem połówkę czerwonej cegły, na której widać było nieco ciemniejsze plamy.

– I co to oznacza? – pytał dalej Fischer.

– A no tyle że dostał w łeb i padł jak klofta. Znaczy się dostał cegłówką, padł i mógł nawet wyżyć, ale wtedy go ktoś nożem sprawił.

– Znaczy się pechowiec – stwierdził trzeźwo Gil.

– Więc podsumujmy, według was dostał po głowie od kogoś, a później, gdy już leżał, kto inny go dokończył?

– Jak dwa i dwa cztery. – Walczak był pewny swego. – Bo to jest tak, panie komisarzu, że jak kto weźmie w łeb i padnie na pysk, to

po co go jeszcze nożem ciąć? Przecie takiego sprawionego można ze wszystkiego okraść. A on pewnie obrobiony, bo widzi mi się, że grosza przy nim nie ma wcale. A i widać, że mu też głabnęli trzewiki i kapelusz. Znaczy się ten rudy, com go tu widział, wziął to wszystko.

– Znaczy się jak? – Gil najwyraźniej się zgubił.

– Leżał se nieboraczek z rozbitym łbem i wtedy napatoczył się jeszcze jeden, co chciał mu wziąć resztę lompów. Zezuł mu buty i pewnie chciał płaszcz, ale ten tu się ocknął i zaczął się niepotrzebnie szarpać, to mu ten kosę pod ziobro zasunął.

– Niby kto? – Przodownik widać miał dziś kłopoty z kojarzeniem.

– No jak kto? Ten, co ja jego widział. Co to za jeden, to mnie powiedziały pod Bogiem baby, co tu mieszkają. Bo ja onego nie znałem dotychczasowo. Ale teraz już wszystko wiem w niniejszej sprawie, panie komisarzu.

– To co wiecie, Walczak?

– Wiem, że ten, co mu kosę sprzedał, to się nazywa Zenuś Brodziak, co mieszka tu niedaleko, na Woźnej.

– Na Woźnej, powiadacie?

– Ja melduję, że tak jest, panie komisarzu.

Fischer uśmiechnął się pod równo przyciętym wąsem, usłyszawszy ten osobliwy sposób meldowania. „Ja melduję” było prostym tłumaczeniem meldunku pochodzącego z armii pruskiej, gdy żołnierze stający na komendę przed oficerem mówili „*Ich melde*”. W armii powstańczej komendy wydawano już po polsku, tyle że były to polecenia niemieckie przetłumaczone na polski. Stąd to „ja melduję”, które w dwudziestym roku zgodnie z nowym regulaminem zastąpiono przez „melduję posłusznie”. Zastąpiono, ale jak wiadomo przyzwyczajenia trudno się pozbyć, więc dawni wojskowi, wywodzący się z pruskiej armii, meldowali się tak, jak się tego nauczyli dawniej. I dzięki temu od razu można było wśród podoficerów i szeregowców bezbłędnie wyłowić starych wiarusów. Fischer, który sam był podporucznikiem w armii pruskiej, a potem walczył w powstaniu, szczególnym sentymentem darzył takich właśnie nieregulaminowo meldujących się dawnych żołnierzy, niegdyś towarzyszy broni.

– No to jak wiecie, Walczak, kto się przy tym nieboszczyku kręcił i kto jest być może podejrzany, to powiedzcie mi, co wy tu jeszcze

robicie?

– Że niby jak, panie komisarzu? Przecie na służbie jestem tutaj...

– Że niby tak, że trzeba by tego szczonego zaprosić na pogaduchy. – Uśmiechnięty od ucha do ucha Gil klepnął Walczaka w plecy.

– Znaczy się, że mogę iść go szukać?

Fischer założył czapkę na głowę, a potem wskazał otwartą szeroko bramę, za którą zebrał się spory tłum gapiów. Nikt jednak nie mógł dostać się do środka, bo przejścia pilnowali dwaj posterunkowi z karabinami na ramieniu.

– Idźcie, Walczak, i przyprowadźcie mi tego gówniarza do Prezydium. Pogadamy sobie z nim trochę i zobaczymy, co nam powie ciekawego.

– Ja już mu wytłumaczę, że nie kalkuluje się kłamać...

– To ja pójdę z nim, panie komisarzu, jednakowoż – zaoferował się Gil – bo mu jeszcze za dużo przetłumaczy.

Fischer pokiwał głową. Fajka mu się wypaliła więc uniósł lewą nogę i uderzył nią kilka razy w obcas, tak żeby opróżnić cybuch z resztek popiołu. Naraz zwrócił uwagę na coś, czego wcześniej nie dojrzał. Odwrócił się plecami do swoich podwładnych, jakby całkowicie o nich zapomniał, i ruszył w kierunku śmietnika. Podeszedłszy do zwłok, pochylił się nad nimi. Zdjął białą chustę, którą przykryta była twarz zabitego. Sam ją tam położył, by utrudnić dostęp muchom, których coraz więcej zlatywało się z okolicy, zwabionych zapachem krwi. Przez chwilę wpatrywał się w twarz tego człowieka, a potem chwycił jego zwiniętą w pięść lewą dłoń. Wcześniej wydawało mu się, że garść ściśnięta została w śmiertelnym skurczu, ale przed chwilą dostrzegł z daleka coś jasnego. Dlatego wrócił do śmietnika, by sprawdzić, czy to nie jest przypadkiem złudzenie.

Z trudem udało mu się rozprostować palce zabitego i zaraz przekonał się, że jednak miał rację. Wewnątrz dłoni dostrzegł papierowe, płaskie, reklamowe pudełko zapalek, jakie restauracje i lokale rozrywkowe dają swoim klientom po to, by przypomnieć adres i miejsce, w którym ci spędzili przyjemne chwile. Na kolorowej etykiecie opakowania były obrazek przedstawiający tancerkę, nazwa

klubu i adres. Fischer uśmiechnął się zadowolony. Sama nazwa mu wystarczyła. Adres znał bowiem doskonale.

Godzina 8.45 rano

– A ty to co jeszcze w chacie robisz? – zapytał zdumiony Tolek Grubiński na widok Zenusia. Chłopak siedział na taborecie i zadowolony zajadał pajdę chleba ze smalcem. Na widok gościa uśmiechnął się radośnie. Tolek też się uśmiechnął, bo widok był isticie groteskowy. Poszukiwany przez policję i podejrzany o morderstwo chłopak, ubrany w kalesony i podkoszulkę, siedział sobie najspokojniej w świetle za stołem i majtał nogami. Do tego na głowie miał czarny kapelusz. Wyraźnie za duży.

– Że niby jak? A gdzie mam siedzieć? – zdziwił się.

– Jak gdzie? Wszędzie, ino nie w chacie.

– Ja nie mogę wyjść nigdzie, panie Tolku, bo mi mamusia pory uprała właśnie. – Wskazał na spodnie suszące się na sznurku rozwieszonym nad piecem. I koszulę też wyprała.

– A niby czemu ci musiała to pranie zrobić? – Grubiński wszedł do kuchni i usiadł na krześle po przeciwnej stronie pomalowanego na biało olejną farbą stołu.

– A bo się uślomprały – wyjaśnił.

– A od czego?

– Jak od czego. Normalnie, od brudu.

– Tak? No to ja ci powiem od czego. Od juchy masz lompki uwalane. Boś z jednym gościem miał okoliczność, co to leży w śmietniku na Wielkiej. Oto jest przyczyna. A kapelusz też jego. – Tolek oskarżycielsko wysunął palec, wskazując na nakrycie głowy Zenusia.

– Fedora – powiedział z dumą chłopak. – Prosto z Berlina. O, wew środku ma napis, że Berlin i coś tam jeszcze, ino że po niemiecku – mówiąc to, zdjął kapelusz i odwrócił go dnem w stronę gościa, by ten mógł się przekonać, że ma do czynienia z najnowszym berlińskim krzykiem mody.

– Ja nie przylazłem tu na kapelusz patrzeć, ino by ci powiedzieć, że masz zaraz się zrywać stąd, bo za chwilę wleczą tu szkieły i już będzie po tobie.

– Jak szkieły? Do mnie przyjdą? A niby po co? – Chłopak wyglądał na autentycznie zdumionego.

– Aleś ty głupi jest, Zenuś. – Tolek z niedowierzaniem pokręcił głową. – Jak się idzie na robotę, to się tak robi wszystko, żeby nikt nic nie zobaczył, a ty nie dość, żeś na mokro gościa załatwił, to jeszcze gada o tym wiara w całym Poznaniu. Już baby na rynku wiedzą, że toś ty go sprawił.

– Jak ja? Pierdola, głupie... – powiedział szybko i zaraz przerwał, jakby naraz coś sobie uzmysłowił. – Nie może być! – zawołał.

– Co nie może, jak może. Wypatroszył żeś jakiegoś gościa i teraz już cię będzie szukać cała policja w Poznaniu. Dziwne, że jeszcze ich tu nie ma.

– Jak Boga szczerze kocham, nikogom nie wypatroszył. Gość sprawiony leżał, to go ino przepatrzyłem i wzięłem, co się dało. Jeszcze więcej by się wzięło, jakby nie ten szkieł, co się napatoczył...

– To nie twoja robota? – Grubiński spojrzał na chłopaka uważniej.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha. – Zenuś przeżegnał się szybko i złożył dłonie jak do modlitwy.

Tolek podjął decyzję.

– Ubieraj się i idziemy!

– Gdzie?

– Nie pytaj gdzie, ino się ubieraj. Zakładaj pory...

Zenuś wyciągnął rękę i wskazał mokre spodnie wiszące nad piecem. Musiały zostać wyprane przed chwilą, bo skapywały z nich krople wody, które z sykiem lądowały na rozgrzanych fajerkach.

– Mamusia dopiero co uprała. Jak w takich galotach mam po mieście łaźić?

– Załóż drugie.

– Ni mom drugich.

– No to idziesz w kalesonach...

– Zaraz! – Zenuś poderwał się z krzesła i w dwóch susach dopadł do drzwi prowadzących z kuchni do drugiej izby. Do uszu Tolka natychmiast dobiegło charakterystyczne, pijackie pochrapywanie.

Nie było wątpliwości, że ojciec chłopaka śpi po ciężkiej nocy spędzonej w towarzystwie kilku flaszek wódki. Zapach, który natychmiast wpłynął do kuchni, był tak charakterystyczny, że nie dało się go pomylić z niczym innym.

– Tatuś, pory mi są potrzebne. – Zenuś pochylił się nad nieprzytomnym Brodziakiem, ale żadnej reakcji się nie doczekał, więc pociągnął ojca za rękaw podkoszulki.

– Ostaw mnie, do cholery, ja... – Stary nie dokończył, zasypiając w pół zdania.

– Tatuś, bo szkieły mnie zaraz wsadzą do kozy!

– Łe tej... – Poszarpywany Brodziak odwrócił się twarzą do ściany, wypinając tyłek odziany w mocno znoszone, ale jednak suche spodnie.

– A ty po co starego budzisz? – Rozległ się głos dochodzący od drzwi prowadzących na schody. Brodziakowa wróciła właśnie z miasta z koszem pełnym ziemniaków i marchwi.

– Porów potrzebuję, mamusia!

– O, pan Tolek! – Kobieta ucieszyła się na widok gościa, który stał przy oknie, wpatrzony w ciemne podwórko.

– Dzień dobry, pani Brodziakowa. – Grubiński, zdjawszy kapelusz, uklonił się z gracją, a potem jak prawdziwy amant filmowy wziął w swoją rękę dłoń matki Zenusia i pochyliwszy się szarmancko, musnął ją ustami. Kobieta zachichotała.

– Pan to ale z kobietą się umi obejść jak jaki Valentino.

– Kobiecie się należy szacunek – stwierdził, uśmiechając się półgębkiem, tak jak to ów słynny aktor Rudolf miał w zwyczaju. Zaraz jednak spoważniał.

– A Zenuś musi dać dyla, bo zaraz szkieły będą go szukać. Znaczą się już pewnie szukają i tylko kwestia czasu, zanim tu przyłezą.

– Łe jery, a ja pyrków na obiad kupiłam i marchew jeszcze. Kto to teraz zje. Ja sama nie dam rady. Tyle bejmów przyniósł dziś do chałupy, że se pomyślałam, że mu obiadu nagotuję, a on co, musi uciekać? – Spojrzała uważnie na Grubińskiego, ale ten tylko pokiwał głową. Zrozumiała więc, że to nie przelewki. Bo skoro taki poważny człowiek mówił, że trzeba uciekać, to nie było o czym gadać. Zaraz więc wzięła sprawy w swoje ręce. Kosz z warzywami postawiła na

blacie kuchennego stołu i otarłszy dłonie o fartuch, ruszyła ku pokojowi.

Brodziakowa była kobietą solidnej postury, przy której mąż wyglądał jak chudy kot. Nie miała więc problemów z ściągnięciem mu spodni. Obróciła go sprawnie w tę i w tę i po chwili stary Brodziak był już w samych kalesonach. Zdziwiony otworzył oczy i widząc nad sobą pochylającą się żonę, zasłonił na wszelki wypadek głowę ramieniem, spodziewając się zapewne jakiegoś ciosu. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

– No co ty, Pelagia? – wymamrotał jeszcze bardziej zdziwiony.

– A nic ty, pijanico chłelerna. Śpij i ani mi nie godej.

– Nic nie godam! Ino pić mi się chce... Jakoś tak mnie zemgliło...

Brodziakowa nie miała najmniejszej ochoty ulżyć pijakowi w jego cierpieniach. Podała Zenusiowi portki, a męża pozostawiła samemu sobie. Temu jednak nie było już nic potrzeba, bo pokój zaraz wypełnił się donośnym chrapaniem. Chłopak tymczasem szybko wciągnął spodnie. Były wyraźnie za długie, lecz co było robić. Podwinął więc nogawki i zaraz wzuł swoje odrapane buty. Przewiązał się sznurkiem od bielizny, bo porządnego paska w domu od dawna nie było. Ojciec nosił spodnie na szelkach, ale nie sposób było z nich skorzystać, bo dla Zenusia były za długie. Matka wyciągnęła z szafy gruby sweter i podała chłopakowi. Gdy się już odział, obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

– Wyglądasz jak strach na wróble, ale jak na razie może być. Gdzie będziesz, powiadaj mi zaraz? To później ci przyniesę twoje lompę, jak wyschną.

– U mnie będzie, na Mostowej, pani Pelagio. Przechowam go przez te kilka dni, aż się nie uspokoi.

– To zaś przyjdę i zupy nagotuję z pyrków na słonince. Pojecie se, chłopaki...

– Mamusia, to ja już będę leciał. – Zenuś szybko pochylił się nad jej ręką i ucałował po synowsku z pełnym szacunkiem. – Ino niech mamusia uważa, żeby mamusi ogona nie podczepili.

– A co ty se, synek, myślisz, że ja jestem glapami futrowana? Dam se radę z każdym szpiclem.

Zenuś założył na głowę kradziony kapelusz i zasalutował do ronda pełną dłonią, bo do tego nowego salutu z dwoma palcami jakoś się jeszcze nie przyzwyczaił.

– No to dalej, lecimy, bo zaraz się tu zrobi gorąco. – Tolek podszedł do drzwi prowadzących na schody i otworzył je szeroko. Zrobił krok ku wyjściu i naraz zatrzymał się jak wryty. Na wprost niego stał niewysoki mężczyzna w czarnym paltociku z futrzanym kołnierzem, zapiętym na jeden guzik na okazałym brzuchu. Człowiek ten w lewej dłoni trzymał kapelusz, którym wachlował czerwoną z wysiłku i wilgotną od potu twarz. Widać wejście na drugie piętro było dla niego nie lada wyczynem. Na widok Tolka zrobił zdziwioną minę, jednak zdziwienie to nie wytrąciło go z równowagi. Bynajmniej, znajoma twarz złodzieja znanego całej poznańskiej policji wprawiła go w całkiem niezły nastrój.

– No proszę, widzę, że tu cała banda się ukrywa. To jakaś bandycka jaskinia zbójców?

– No nie, ino nie żadnych zbójców. Tu porządni ludzie mieszkają – rzucił Tolek obrażonym tonem, choć wcale nie obraził się na Gila. Raczej pokrzykując na niego, starał się zyskać na czasie, żeby spróbować coś wykombinować. Zrobił przy tym krok naprzód i zasłonił wejście do mieszkania całym swym ciałem, tak żeby gruby policjant nie mógł się precyzyjnie przesuwać. To dawało Zenusiowi pewną szansę. Tylko jaką? myślał gorączkowo Grubiński. Przecież przez okno nie wylezie, bo jakby chciał skoczyć z drugiego piętra, to jak nic połamie nogi. W tym mieszkaniu nie było drugiego wyjścia. W zasadzie więc Zenuś nie miał najmniejszej szansy na ucieczkę, no chyba żeby pchnąć policjanta i zrobić mu miejsce...

Z tego pomysłu niestety też musiał zrezygnować, bo naraz dostrzegł na ciemnych schodach sylwetkę mundurowego policjanta, który powoli wspinał się na górę.

– No jak tam, panie Gil, już żeście zaobrączkowali tego typka? – zawołał przodownik Walczak.

– Zaraz się go weźnie, ino w drzwiach stoi pewien jegomość i chyba nie chce nas wpuścić.

– Jaki jegomość, do cholery, z Policją Państwową chce mieć bliższą okoliczność?

– Znany, znany... to przecież sam pan Grubiński Anatol we własnej osobie broni mi wejścia.

– A kto wam broni? Ja tylko otwarłem, jakeście zapukali. O, bardzo proszę, wchodzi i se szukajta, ino nie wiem czego. Chyba szczęścia? – powiedziawszy to, odsunął się nieco, robiąc wąskie przejście. Stanowczo za wąskie dla Gila. Ale jego intencje wyczuł bezbłędnie Zenuś. Wcisnął się w tę szparę między Tolkiem a framugą i wyskoczył na podest piętra, wpadając prosto na policjanta. Ten nie spodziewał się ataku, więc pchnięty w brzuch zatoczył się do tyłu, padając na plecy. Przodownik Walczak również nie zdążył zareagować. Rozłożył tylko szeroko ręce, próbując pochwycić chłopaka. Ten jednak był dla niego za sprytny. Przemknął mu pod ramieniem, zbiegając w dół schodów, a o policyjną rękę zawadzając jedynie kapeluszem. Ten spadł mu z głowy i potoczył się za uciekającym, który właśnie przesadzał dwoma susami półpiętro. Tolek, spoglądając w ślad za nim, był przekonany, że Zenuś już wymknął się policyjnej obławie, gdy naraz dostrzegł rudą czuprynę z powrotem na półpiętrze. Chłopak chwycił leżącą na deskach podłogi fedorę, wcisnął ją na głowę i spojrzał w górę. Zdziwiony dostrzegł wycelowaną w niego lufę pistoletu Browning.

– Ani mi się rusz, chłelerny szczonie, bo zastrzelę jak psa! – krzyknął przodownik Walczak.

– Haknij mnie w motykę, ćwoku opipiały! – zawołał Zenuś i skoczył w dół schodów.

– Ożeż ty gilejzo chłelerno, szuszwolu nicpoty!

Walczak wycelował i już chciał pociągnąć za spust, gdy naraz poczuł silne uderzenie prosto w tyłek. Stracił natychmiast równowagę i poleciał w ślad za uciekinierem, tyle że głową w dół.

– No toście się doigrali, panie Grubiński – odezwał się wywiadowca Gil, któremu właśnie udało się podnieść z podłogi. W dłoni trzymał niemieckiego walthera i mierzył nim w pierś Tolka. – Nie dość, żeście pomogli bandycie w ucieczce, toście jeszcze kopnęli szacowny policyjny tyłek. A na to niestety jest całkiem poważny paragraf. No to podnoś pan do góry rączki, pókim dobry.

Co było robić. Tolek podniósł posłusznie ręce. Nie musiał się obawiać jakichś paragrafów. W końcu nic wielkiego nie zrobił. Tym

razem był niewinny jak dzieciątko w kołysce. A że kopnął w dupę tego szkieła? Też coś. Policyjna dupa jak każda inna, a przecież nie od dziś wiadomo, że kto wypina tego wina.

Godzina 3.30 po południu

Urzędnik poznańskiego magistratu Franciszek Geisler wszedł do sali restauracyjnej i rozejrzał się wokół. Wyraźnie kogoś szukał. Naraz dostrzegł poszukiwaną osobę, bo na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia. Przywołał kelnera, powiedział mu kilka słów i zaraz ruszył do stolika, przy którym siedział jego dobry znajomy Seweryn Gil.

– Dobrze, że cię widzę, Seweryn.

– Franek, jak pragnę Litwy Środkowej! Siadaj, przyjacielu. Czytałeś w gazecie? – Wskazał na płachtę „Kurierza Poznańskiego” rozłożoną na stoliku. – Jutro sejm ma przegłosować ustawę o przyjęciu w granice polski Ziemi Wileńskiej. To znaczy, że ostatecznie żeśmy Litwinom odebrali Wilno. No proszę, jakie z nas mocarstwo. Podpisujemy pokój w Rydze, oddając bolszewikom dawne polskie ziemie, które z ich łap wyrwali nasi żołnierze za cenę krwi, i grzecznie zgadzamy się na ich dyktat, pomimo że to myśmy wygrali wojnę, a teraz małej Litwie odbieramy pół kraju, bo pan naczelnik Piłsudski jest z Wilna.

– Na politykę nic nie poradzisz.

Do stolika podszedł kelner z półlitrowką wódki od Kantorowicza i dwoma kieliszkami. Postawił je na stole i natychmiast napełnił.

– A ty co, już w obiad se chcesz tytę sprawić? – zdziwił się Gil.

– Łe, a co mi tam?

– Do obiadu można co najwyżej maluszka se strzelić, żeby letkiego szmergla mieć w głowie, ino nie za dużego, żeby się człowiekowi klepki nie pomieszały. Ale żeby całą flaszkę do kotleta?

– Są sprawy, do których bez pół litra nie podejdziesz – wyjaśnił. Gil pokiwał głową. No tu Geisler niestety miał rację. Jak człowieka dopada chandra, to trzeba się napić. A widać miał chłop dziś powód, żeby przepłukać gardło. No i co było robić? Gil wcale nie planował

picia. Wszedł tu do restauracji Grand Café, nie do tej wielkiej, przy placu Wolności, ale do mniejszej pod tą samą nazwą, przy Wrocławskiej 38. Tu nie było tego całego wielkomiejskiego blichtru, którym charakteryzowała się położona w samym centrum miasta duża „Grandka”. W tej mniejszej było znacznie przytulniej, mniej ludzi, a i ceny, co dla Gila było niebagatelne, też nieco niższe. Za to jedzenie palce lizać. Policjant od rana myślał o tym, że na obiad wpadnie na Wrocławską, tym bardziej że podawali tam doskonałe, wielkie jak szneki z glancem zrazy zawijane z modrą kapustą i pyzami w ciemnym sosie pieczeniowym. Do tego zaplanował wypić kufel zimnego grodzisza z browaru Huggera i na koniec popić setką czystej od Kantorowicza. A tu masz ci los, ledwo wszedł do restauracji, ledwo zdążył usiąść za swoim ulubionym stołem tuż przy oknie, skąd można było spokojnie obserwować przez ażurowe franki uliczny ruch, a mała wódka zamieniła się w dużą półlitrowkę. Trzeba było wypić. No ale najpierw jedzenie. Z obiadu na rzecz alkoholu nie miał zamiaru rezygnować, choćby nie wiadomo w jak złym nastroju był jego koleżka. Skinął na kelnera

– Wiedziałem, że tu będziesz. – Geisler był wyraźnie uradowany spotkaniem. Gil znacznie mniej, ale znał się z nim już tak dawno, że nie wypadało powiedzieć, żeby szukał sobie innego towarzystwa.

– To znaczy, że żeś miał przeczucie, bom ja wcale nie wiedział na pewno, że tu zajdę dzisiaj akuratnie.

– Wiedziałem, że od czasu do czasu wpadasz na obiady, więc zaglądam tu od jakiegoś czasu i czekam.

– Cierpliwość jest cnotą bogów. – Gil przypomniał sobie jakieś powiedzenie, które znał nie wiadomo skąd. Ale wydało mu się, że pasuje do sytuacji.

– Jak się chce czego, to trzeba być cierpliwym, a nie niecierpliwym – zgodził się z nim kolega.

Gdy po chwili pojawił się kelner, Gil zamówił kotlet schabowy i jeszcze zupę pomidorową z ryżem. A co tam, na pomidorowej majątku nie straci, ale za to policzył natychmiast, że i tak wyjdzie do przodu nawet z tym dodatkowym talerzem zupy, bo za wódkę płacił Geisler. Ma chandrę i potrzebuje wsparcia, niech płaci, pomyślał policjant, który nie bardzo lubił rozstawać się ze swoimi pieniędzmi.

Geisler tymczasem podniósł kieliszek i wskazał Gilowi drugi. Wypili bez słowa i tracenia czasu. Dopiero po tym pierwszym łyku znajomy policjanta smutno pokiwał głową.

– Pewnie się zastanawiasz, dlaczego taki markotny – zaczął niepewnym tonem.

– Co tam się zastanawiam. Myślisz se, że ja życia nie znam? Są dwie przyczyny, dla których chłop może być smutny. Jedna to niepowodzenia w robocie, druga to kłopoty w domu. W robocie musi być wszystko dobrze, bo wiadomo, że na państwowej posiadzie da się przeżyć, nawet pomimo kryzysu. Znaczą się w domu ci się nie układa.

Geisler spojrział na Gila z szacunkiem, jakby ten był co najmniej wróżką z kart babą, która zna się na ludziach i ich przyszłości.

– Ty jesteś jakiś czarodziej.

– Nie czarodziej, ino policjant. Ciągłe widzę, jak ludzie mają problemy. Bo nie ty jeden je masz. Każdy ma, ino różnie sobie ludzie radzą. Jedni sięgają po lewolwer i strzelają se w łeb, inni lewolwerem zabijają żonę, a jeszcze inni idą się napić, bo nic mądrzejszego im do głowy nie przychodzi. No i mi się widzi, że ty się teraz zastanawiasz, jak se poradzić.

– Dobry musi być z ciebie policjant. – Geisler smutno pokiwał głową. – Znasz życie jak mało kto.

– He, he, he! I właśnie dlatego jestem policjantem. No to gadaj, co się dzieje, znaczą o co się rozchodzi, żeby wiedział, jak można zaradzić – powiedział i zaraz sam chwycił butelkę, by napełnić kieliszki, poczuł bowiem, że już nadszedł czas na drugi łyk, tym bardziej że wódki oszczędzać nie było trzeba, skoro gość płacił.

– W magistracie wszystko się dobrze układa, odkąd zostałem naczelnikiem wydziału.

– O brawo! – pochwalił go Gil. Już sama funkcja „naczelnik” brzmiała dumnie. Taki naczelnik to musiał zarabiać porządne pieniądze. To znaczą, że jakby go dobrze podlać, to jeszcze i za ten obiad zapłaci, a kto wie i drugą butelkę być może postawi? Postanowił więc kuć żelazo, póki gorące. Mógł sobie dziś pozwolić na picie. Tym bardziej że sprawa, którą od rana się zajmował, dotycząca morderstwa na Wielkiej, w zasadzie była na ukończeniu,

a współwinny siedział już w areszcie. Co prawda ten mały zwiął, ale Gil wiedział dobrze, że to tylko kwestia czasu, zanim się go złapie. Nie było możliwości, żeby taki wywijas mógł się gdzieś w Poznaniu przed nim ukryć. Jutro tego Grubińskiego weźmie na przesłuchanie Fischer, wydusi go jak cytrynę i wszystko będzie jasne. Tym bardziej że i podkomisarz, i Gil znali dobrze Grubińskiego z jego dawnych sprawek. Fakt, złodziej od czasu do czasu współpracował z policją, zwłaszcza w sprawach niemających nic wspólnego z jego złodziejskim zajęciem, no ale czy jego zasługi w dawnych kwestiach mogły przesłonić i zamazać obraz zwyczajnego rabunkowego morderstwa? Tym razem Grubiński przesadził, wysyłając chłopaka na mokrą robotę. Za morderstwo szło się do ciężkiego więzienia i to bezwzględnie się szło, więc Gil był przekonany, że Grubiński wreszcie dostanie to, na co zasłużył.

– ...z dziećmiakami też wszystko jak najlepiej, tylko z żoną nie wiem, w czym rzecz – mówił monotonnym głosem urzędnik. Ten głos sprawił, że Gil wrócił do rzeczywistości. Przypomniał sobie żonę Geislera, piękną i zgrabną blondynkę, która sprawiała całkiem ponętne wrażenie. Rozmawiali nawet kilka razy podczas jakichś przypadkowych spotkań w parku czy kawiarni. Wydała mu się wtedy nawet za bardzo atrakcyjna jak na zwykłego urzędnika. Ale być może jej mąż miał w sobie coś, czego Gil nie potrafił należycie ocenić. A może Geislerowa ceniła przede wszystkim grubość mężowskiego portfela i stabilność zawodową. W dzisiejszych czasach to nie w kij dmuchał, taka pewność roboty, myślał Gil, wpatrując się z apetytem w parujący talerz zupy, który właśnie postawił przed nim młody pomocnik kelnera.

– Smacznego – powiedział urzędnik.

– A ty nic nie zjesz?

– Obiad mam w domu.

– Obiad w domu i narzekasz na żonę? – zdziwił się policjant.

– No w tym właśnie szkopuł. Nic jej nie mogę zarzucić. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– No to w czym rzecz? – Gil chwycił łyżkę i zaczął mieszać zupę, tak aby gęsta śmietana, której solidna porcja piętrzyła się na środku talerza, rozpuściła się w pomidorowej.

– Niby wszystko jest jak najlepiej, dzieci zadbane, obiad zawsze gotowy na czas, w domu tak czysto, że można by z podłogi jeść, a do tego moja żona to piękna kobieta. Życie nie umierać.

– Nie śpicie ze sobą – rzucił Gil, który zawsze podążał prostą ścieżką do celu, szukając najprostszych rozwiązań. Tym razem jednak nie trafił.

– Ależ skąd. Niby o tym się nie powinno mówić, ale mogę ci zdradzić jak księdzu, że namiętna jest nadzwyczaj. Nawet teraz jest lepiej niż kiedyś. Bo dawniej... – przerwał na chwilę, by znaleźć odpowiednie słowo. Widać rozmowa o sprawach intymnych wyraźnie go krępowała. Gil za to nie bawił się w żadne subtelności.

– Jeśli wszystko jest w porządku, a do tego jeszcze żonka cię zaspokaja w odpowiedni sposób, to mnie się zdaje, że szukasz dziury w całym.

– Bynajmniej! – Geisler szybko pokręcił głową. – Pozory, bracie, wszystko pozory!

– Jak to?

– Ona często wychodzi z domu.

– Kto nie wychodzi? Każdy wychodzi...

– Kiedy ona mnie o tym wychodzeniu nie mówi.

– To skąd wiesz, że wychodzi.

– Stróż mi powiedział.

– To co, stróż szpieguje twoją żonę?

– Nie, to wcale nie tak... – Urzędnik szybko pokręcił głową. – To całkiem przypadkowo się wydało. Rozchodzi się o to, że kilka dni temu zostawiłem stróżowi klucz od piwnicy, żeby zrobił porządek, bo węgiel mieli przywieźć węglarze. No i kazałem mu tam wszystko ogarnąć, drewno, co jest na podpałkę, przesunąć w kąt, żeby węglem nie zasypali... No wiesz, w czym rzecz.

Gil zmrużył oczy na znak, że rozumie, bo powiedzieć nic nie mógł, gdyż usta miał pełne mięsa i kapusty. Jedzenie co prawda było tak dobre, że rozplýwało się w gębie, jednak zanim się rozplýnęło całkowicie, musiał je jeszcze dokładnie pogryźć. Geisler tymczasem mówił dalej:

– I jak już się wyrobi, kazałem mu zanieść klucz do domu i oddać żonie. No to ten wziął klucz, do kieszeni schował, a potem powiada,

że przecie dziś wtorek, to jak ma oddać? No to ja się patrzę na niego jak na wariata, że niby co to ma do rzeczy, że wtorek, no a on na mnie patrzy, jakbym nie wiedział, co gadam, i powiada mi, że przecież jak jest wtorek, to nie można klucza oddać mojej żonie, bo wiadomo, że ona we wtorki wychodzi i wraca do domu krótko przed piątą, zanim ja przyjdę z pracy. I tak samo jest w poniedziałki, środy, czwartki i soboty. Tyle że w soboty jest wcześniej, bo zaraz o drugiej wraca... No to ja jemu odpowiedziałem, że oczywiście musiałem się pomylić i odbiorę te klucze sam, jak wrócę... I widzisz, w czym rzecz?

Gil wreszcie uporał się ze zbyt wielką porcją jedzenia wepchniętą do ust. Jednak, żeby odpowiedzieć, musiał popić. Sięgnął więc po smukłą szklanicę z piwem i upił spory łyk. Potem otarł usta serwetą i zrobiwszy poważną minę, wskazał na pustą butelkę wódki.

– Tego bez kielicha nie rozbierzemy.

Geisler natychmiast zrozumiał, że jego kolega ma całkowitą rację. Sprawa była zbyt poważna, żeby nie zamówić drugiej flaszki. Skinął na kelnera. Chłopak w lot zrozumiał intencję.

– I co myślisz? – zapytał policjanta.

– Myślę, że powinieneś z nią pogadać.

– Myślałem o tym, ale przecie ona się wszystkiego wyprze.

– A gosposia? Macie gosposię i kucharkę. One powinny wszystko o tych wyjściach wiedzieć.

– Nic z tych rzeczy. – Pokręcił głową. – Obie to jakieś jej krewne. Kuzynka i ciotka spod Szamotuł. Przywiozła je do nas już dawno, dała im robotę, to one pary nie puszcza z gęby. Nie, to się nie uda.

– No to nie pozostaje nic innego jak tylko...

– Co tylko, no mów, o co się rozchodzi.

– Trzeba by ją wyśledzić.

– I o tym myślałem. Ale ja nie dam sobie rady. Zresztą zaraz by mnie zobaczyła, jakbym za nią poszedł.

Kelner postawił na stole oszronioną butelkę wódki. Geisler nalał do kieliszków i obaj natychmiast wypili.

– Do wyśledzenia nie może pójść byle paterok. To sprawa delikatna. Za śledzoną personą trzeba umieć chodzić. A takie rzeczy potrafi tylko prawdziwy policyjny wywiadowca.

– Zrobiłbyś to dla mnie?

– No wiesz, to nie takie proste. Trzeba i za dorożkę zapłacić i różne koszty...

– O pieniądze się nie martw. Zapłacę, ile trzeba.

Gil spojrzał na swojego znajomego i uśmiechnął się lekko. Pomyślał, że ma dziś dobry dzień. W pracy udało mu się śledztwo doprowadzić prawie do szczęśliwego końca. A tu jeszcze wpadała dodatkowa fucha. I to taka, co do której miał pewność, że się nie napracuje. Jeśli ta kobieta wychodziła regularnie, to nic prostszego, jak zaczekać na nią, aż wyjdzie, pójść za nią i zobaczyć, gdzie mieszka ten gach, do którego łązi. Bo czego jak czego, ale tego, że Geislerowa ma kochankę, wywiadowca policyjny Gil był pewien. W końcu po co by babsko wychodziło z chaty tak często? No przecież nie do kościoła. I bardzo dobrze, że miała jakiegoś kochasia na boku. Dzięki temu on będzie przynajmniej na boku mógł sobie dorobić.

[1] Korporacja burszowska – związek skupiający studentów w niemieckich szkołach wyższych, bardzo popularny w XIX i na początku XX wieku. Charakterystyczną, zewnętrzną oznaką przynależności do korporacji była blizna na policzku, ślad po modnych wśród burszów pojedynkach honorowych na szpady. Bursz – korporant.

[2] Ma pan ogień? (niem.).

[3] Proszę poczekać, mam gdzieś zapałki (niem.).

[4] – Zamknij gębę, ty stara wiedźmo!

– A niech cię jasna cholera weźmie, ty brudny gnoju. Żeby ci ptaki srały na łeb, a psy sikały po nogach i jeszcze żebyś zawsze włożył w gówno, najlepiej własne, ty świński ryju.

– To wariatka! (niem.)

[5] Fyrtel (gwar.) – dzielnica, okolica.

[6] Kejter (gwar.) – pies, kociamber (gwar.) – kot.

[7] Juchciarz (gwar.) – złodziej.

[8] Gemela (gwar.) – śmietnik.

[9] Szkieł (gwar.) – policjant.

Rozdział II

Czwartek

6 kwietnia

Godzina 8.30 rano

Skrzyżowanie ulic Ratajczaka i 27 Grudnia należało do najruchliwszych w mieście. O tej porze samochody, dorożki, wozy towarowe przemierzały je we wszystkich czterech kierunkach, przewożąc towary i przede wszystkim ludzi, którym zazwyczaj było śpieszno do załatwiania własnych interesów. Większość podążała w kierunku najbardziej okazałego placu w mieście, któremu na cześć odzyskania niepodległości nadano nazwę plac Wolności. Mężczyźni śpieszyli się do biur, kantorów i banków, kobiety na zakupy do modnych domów towarowych – po sprzęty kuchenne, szkło i porcelanę do sklepu Brandta, po konfekcję męską do Centowskiego czy w końcu do największego magazynu Hasse&Co po materiały na ubrania, ekskluzywną bieliznę i resztę fatałaszków wprost z Berlina i Paryża.

Wozy towarowe kierowały się w stronę Świętego Marcina, by szeroką arterią miejską dotrzeć w pobliże towarowych składów kolejowych, z których codziennie w miasto płynęło to wszystko, czego potrzeba było mieszkańcom, a co przyjeżdżało pociągami z bliskiej i dalszej prowincji. Na wozy ładowano więc skrzynie z głowami cukru ze Środy Wielkopolskiej, mąkę z Wągrowca, olej rzepakowy z Szamotuł, piwo z Grodziska, a z każdego z tych kolejowych kierunków do miejskiej rzeźni na Małych Garbarach wieziono głośno kwiczące i przerażone świniaki.

Utrapieniem wszystkich poznańskich szoferów i wozaków były chłopskie furmanki, podążające na miejskie place targowe. Wjeżdżały na główne ulice, gubiąc się w tych ruchliwych wąwozach, bo chłopi nieobcy z wielkim ruchem tracili cały swój rezon i umiejętność odnajdywania drogi, a wiejskie konie, nienawykłe do miejskiego zgiełku, stawały się narowiste i niepodatne na pokrzykiwania woźniców. Tak jak ten stary kasztan, który od placu Nowomiejskiego, ciągnąc wóz wypełniony po brzegi ziemniakami, miał zapewne skręcić za okazałym budynkiem Esplanady w lewo i podążać dalej w kierunku Bazaru. Przestraszył się jednak wjeżdżającego na skrzyżowanie ciężarowego renaulta, którego kierowca ostro zahamował i do tego jeszcze przycisnął klakson. Koń szarpnął mocno w prawo, uciekając przed stalowym potworem, i mało brakowało, a stratowałby stojącego na środku krzyżówki policjanta, który z gwizdkiem w ustach i lizakiem w prawej ręce kierował ruchem. Policjant uciekł w ostatniej chwili, gwizdząc przeraźliwie, wystraszony końskim atakiem. Złęczniony kasztan nie miał pojęcia, jak się zachować, więc w końcu stanął tam, gdzie dotąd stał policjant, blokując obie ruchliwe ulice.

– Ty bambrze cholerny, a bierz mi to bydlę stąd, bo zaraz taką karę dostaniesz, że do końca życia będziesz płacił! – Wściekły policjant wydarł się na rumianego chłopa w sfatygowanym kapeluszu i baranim, krótkim kozuchu, który jak każdy szanujący się wieśniak ubierał na drogę, mimo wiosennej pogody, bo przecież w podróży nigdy nie wiadomo, czy naraz zima nie wróci i nie sypnie śniegiem. Gospodarz zeskoczył szybko z wozu z lejcami w jednej, a batem w drugiej ręce. Podbiegł do konia i zaczął go ciągnąć za uzdę. Nadaremno, bo wałach zaparł się i stał nieporuszony, tak jakby przez ten hałas, który go otaczał, stracił całą chęć do życia. A zgiełk narastał, bo niecierpliwi szoferzy aut, które utkwily w korku, zaczęły wyrażać swoje niezadowolenie, trąbiąc przeraźliwie, a wozacy przeklinali na czym świat stoi, bo wiadomo, że w ich fachu czas to pieniądz.

Gospodarz, widząc, że jego wysiłki zdają się psu na budę, wpadł w panikę i zaczął batem okładać koński grzbiet.

– Wypierdalać stąd, ćwoku niemyty! – wołał policjant i na dodatek jeszcze co chwila dął w gwizdek, żeby ponaglić niezdarę.

Kasztan rżał i kwiczał coraz bardziej przerażony, ale chłop widać wpadł w jakiś amok, smagając gdzie popadnie bezradne zwierzę. A na chodniku przed Dyrekcją Policji ustawił się już spory tłum gapiów obserwujących z ciekawością całe zajście.

– Zabije go! – zawołała jakaś kobiecina w chustce i czarnej sukni. – Jezusie Nazareński, zabije jak nic!

– Zabierzcie mu bat! – krzyknął mężczyzna wyglądający jak urzędnik w staromodnym melonie na głowie.

– W łeb się sam pierdolnij tym batem, ćwoku z Mosiny, a nie konia!
– poinstruował chłopą chudzielec w kraciastej marynarce i jaskrawoczerwonej cyklistówce.

Do woźnicy jednak nic nie docierało, a policjant zamiast pomagać, jeszcze głośniej wydzierał się na coraz bardziej bezradnego bambra.

Ten właśnie znów uniósł bat, by smagnąć nim koński zad, gdy naraz poczuł, że ktoś go łapie za rękę. Szarpnięcie było tak mocne, że woźnicę aż obróciło w miejscu.

– Czego, kurwi synu! – krzyknął i nie zdążył już nic więcej powiedzieć, bo człowiek, który trzymał jego rękę, drugą wolną walnął go na odlew w pysk. Wyrwał mu też z ręki bat, złamał go na kolanie i rzucił na bruk.

Uderzony chłop stanął jak wryty, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje. Jedno na pewno do niego dotarło. To, że ten elegancko ubrany, postawny mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem na pewno potrafi przyłać w pysk i może lepiej nie szukać z nim zwady.

Tymczasem elegant podszedł do konia i położywszy mu dłoń na łbie, zaczął delikatnie głaskać. Zdenerwowany zwierz prychał cały czas, przebierając niespokojnie kopytami. Mężczyzna zbliżył się na ile to było możliwe do końskiego ucha i począł przemawiać do zwierzęcia opanowanym, acz stanowczym głosem.

Na skrzyżowaniu zrobiło się cicho. Ci, którzy jeszcze przed chwilą krzyczeli i trąbili klaksonami, z zainteresowaniem spoglądali teraz na zaklinacza koni. Kasztan po chwili przestał wierzgać. Widać było jak zwierzę niemal w magiczny sposób przejmuje od człowieka jego spokój.

– Matusiak melduje się do pomocy, panie komisarzu – odezwał się starszy posterunkowy, który widząc, co się dzieje, opuścił swój posterunek przy drzwiach prowadzących do Dyrekcji Policji i przebiegłszy skrzyżowanie, stanął obok doskonale znanego mu oficera.

– Matusiak, wy jesteście z wsi. – Fischer spojrzął na policjanta, nie przestając głaskać końskiego łba.

– Spod Rawicza, panie komisarzu.

– To wiecie, że trzeba mu coś nałożyć...

– Zobaczę w wozie. – Od razu domyślił się, w czym rzecz. Odszedł wolno, żeby gwałtownym ruchem nie spłoszyć zwierzęcia. Zaraz wrócił ze starym kocem, który woźnica rozkładał pod tyłek na swoim koźle. Oficer z uznaniem pokiwał głową. Policjant przerzucił derkę przez koński grzbiet, po czym obszedł wóz, tak aby nie zbliżyć się do konia od przodu. Stojąc po drugiej stronie, spojrzął na oficera, a gdy ten skinął głową, obaj przesunęli koc ku górze i zaraz przykryli nim końskie ślepia. Kasztan zarżał nerwowo, ale Fischer był czujny. Od razu zaczął głaskać zwierzę po pysku, mówiąc przy tym uspokajające zaklęcia. W końcu obaj z posterunkowym chwycili za uzdę i lekko pociągnęli wałacha do przodu. Ruszył posłusznie. Gdy minęli skrzyżowanie, wokół rozległy się oklaski, jednak zaraz zamilkły, gdy Fischer podniósł rękę, na znak, że operacja jeszcze nieskończona. Minutę później wóz wjechał na szeroki chodnik przed Bankiem Włociańskim. Policjant kierujący ruchem zaczął dąć w swój gwizdek i machając wielkim, biało-czerwonym lizakiem, wskazywał szoferom i dryndziarzom kolejność jazdy. Zakorkowane skrzyżowanie szybko się odblokowało.

Policjant Matusiak wyciągnął spod koźlej ławki na wozie worek z obrokiem i założył go koniowi na pysk, zdejmując niepotrzebny już koc. Koń stał spokojnie i parskał zadowolony.

– A kto mi zapłaci za bacik? – odezwał się naraz właściciel wozu i konia, który z połamanym batem w ręce szedł krok w krok za swoją własnością, nie spuszczać ani na moment z oczu obu policjantów. Szczególnie tego postawnego w kapeluszu, który strzelił go w pysk, wolał mieć na oku, bo z takimi to nigdy nic nie wiadomo. Może jeszcze na kozioł wskoczyć i odjechać, skoro bez munduru

chodzi, znaczy się musi mieć co na sumieniu, kombinował chłop. No a poza tym bat prawie nowy był, więc chyba coś mu się należy. Zdobył się więc na odwagę, stając obok furmanki, jednak w bezpiecznej odległości, żeby się znów nie nawinać pod twardą rękę.

Fischer, odwróciwszy się do niego, już chciał coś odpowiedzieć, ale uprzedził go Matusiak.

– Tyś ćwoku, jużes raz jeden dziś po ryju dostał, to znaczy się, że chcesz jeszcze raz oberwać? – Podsunął mu pięść pod nos i pokiwał nią groźnie.

– Ja swoje prawa znam... – Gospodarz próbował postawić na swoim.

– To co, panie komisarzu, wsadzić go do kozy na dwa dni o chlebie i wodzie za zakłócanie publicznego ruchu w środku miasta?

Fischer machnął ręką.

– Niech znika, pókim dobry, bo za chwilę policja mu konia zarekwiruje!

– Słyszał żeś, dupo wołowa, co pan oficer powiedział. Won stąd, pókim dobry! – Matusiak złapał chłopca za kołnierz i pchnął w stronę wozu, po czym ruszył za Fischerem, który przemierzał szeroką brukowaną ulicę, podążając w kierunku budynku Dyrekcji Policji.

– Ładnie pan tego konika uspokoił – stwierdził posterunkowy, zrównując się z oficerem.

– Wyście ładnie osadzili tego durnia.

Matusiak uśmiechnął się zadowolony.

– Co tam taki ćwok. Jak kto w mundurze chodzi, to musi se z takimi zasrańcami radzić. Ale z koniem to nie każdy da radę.

– Nie pierwszyczna dla mnie. Na wojnie człowiek nie raz musiał wystraszone koniki uspokajać. A przecież one strzałów i wybuchów zwyczajne.

– Nie każdy da radę, panie komisarzu. Do tego trzeba mieć rękę. Wiem, co powiadam, bom z gospodarstwa jest i na konie się człowiek napatrzył. I jedno, co jest najważniejsze, to do gadziny z nerwami nie można podchodzić, bo zwierzak jest jak woda.

– Jak to jak woda? – Fischer spojrzał zdziwiony na posterunkowego.

– Normalnie, panie komisarzu. Jak się kamień ciśnie do wody, to się kręgi rozejdą. Jak kamień w złości rzucić, to wokół niego jak te kręgi zło się rozchodzi, a jak chleb się dla ryb wrzuci, to się takimi samymi kręgami dobro rozchodzi. Tak samo jak na wodzie, tak i w powietrzu zło i dobro kręgami się rozchodzi. Człowiek to wyczuje, a zwierz tym bardziej.

– Prawdziwy z was filozof, panie Matusiak. Musimy sobie kiedyś więcej o tym, co dobre, a co złe, pogadać.

– Na rozkaz, panie komisarzu! – Policjant zasalutował zadowolony, choć nie miał pojęcia, kto to taki ten filozof. Jednak o tym, kto jest dobrym, a kto złym człowiekiem, na ten temat wiedział wszystko, bo nad istotą dobra i zła zastanawiał się od najmłodszych lat, kiedy to wysyłano go do pasania krów na łąkę, a on rozmyślaniami skracał sobie czas, podczas gdy jego koledzy woleli w tym czasie walczyć ze sobą, okładając się kijami.

– A tam w środku to jedna baba czeka na pana komisarza.

– Jaka baba?

– Taka jedna, co powiada, że jej córkę ukradli. Jakaś chyba musi być głupia, bo się nie dała przegonić i powiada, że ona specjalnie z panem Fischerem musi się widzieć.

– Jak mus to mus – stwierdził oficer i przyłożywszy dwa palce do runda kapelusza, otworzył drzwi. Po chwili wkroczył do szerokiego westybulu policyjnego budynku.

Marmurowe, szerokie schody na wprost drzwi wiodły na piętro, na którym znajdowały się pokoje należące do najwyższych policyjnych szarż w mieście. Na prawo stał, wyłożony również szarym marmurem, kontuar, którego nie powstydziliby się żaden porządny hotel. Zasiadało za nim dwóch dyżurnych, podoficer w stopniu przodownika, który za pomocą aparatu telefonicznego mógł się łączyć ze wszystkimi oficerskimi pokojami oraz szeregowiec, który był na posyłki, jeśli któregoś z oficerów nie można było zlokalizować przez telefon. On wiedział doskonale, w którym pokoju można znaleźć wywiadowcę albo komisarza, który akurat udał się na papierosa, kawkę czy zwyczajne pogaduszki.

Gdy Fischer wszedł do środka, obaj policjanci poderwali się na równe nogi.

– Melduję posłusznie, panie komisarzu, że ta kobieta mówi, że pana zna i ma sprawę niecierpiącą zwłoków.

– Zwłoki. – Fischer poprawił go automatycznie i zaraz odwrócił się za siebie. Na krzesłach dla interesantów jak zwykle czekało kilkanaście osób, dla których policja w tej chwili była jedynym ratunkiem. Ale żeby ratunku doczekać, trzeba było odsiedzieć swoje.

Kobieta ubrana w skromne zielone palto, takie jakie krawcy szyli, przerabiając zalegające jeszcze dotąd w magazynach wojskowe niemieckie szynele, i w szarej chustce na głowie natychmiast poderwała się z krzesła i podbiegła do oficera.

– Pani mnie zna? – zdziwił się, bo nie mógł sobie jej twarzy skojarzyć z żadną spośród tych, które widział w ostatnim czasie.

Spojrzała na niego pełnymi bólu, załzawionymi oczami.

– W panu jedyna nadzieja! – krzyknęła błagalnym tonem.

– Ale o co się rozchodzi.

– O Zochnę, moją córeczkę, co zaginęła.

– Kiedy ja... – Chciał powiedzieć, że zaginięciami zajmuje się zupełnie inny dział, bo on tylko morderstwami i ciężkimi przestępstwami, ale nie zdążył. Kobieta rzuciła na szalę argument, którego Fischer nie mógł zlekceważyć.

– Bo panienka Gretchen powiadała, że ino Antoni Fischer może pomóc. Nikt inny, ino on! No to niby do nikogo ja mam iść?

Wtedy zrozumiał, że nie ma wyjścia. Musi się zająć tą sprawą.

Godzina 9.15 rano

Zenuś obudził się i niespokojnie rozejrzał wokół. Mógł się rozejrzeć, bo było już całkiem jasno, a to oznaczało, że jest już dość późno. Czyli przespał całe popołudnie i wieczór, potem, gdy było ciemno, wstał się wysikać i znów położył się do łóżka, ale tylko na chwilę, bo liczył, że lada moment wróci Tolek Grubiński, który jak zwykle wywinie się policji. Ale Tolek nie wrócił, a on w oczekiwaniu zasnął ponownie i oto teraz otworzył oczy. Był więc wyspany jak nigdy. Ale która jest godzina, tego wiedzieć nie mógł, bo nie miał zegarka... Zaraz, jak nie miał? Oczywiście, że miał. Od wczoraj był szczęśliwym

posiadaczem srebrnego patka na łańcuszku. Nie miał tylko gdzie tego łańcuszka przyczepić, bo nie posiadał żadnej kamizelki. Zegarek na razie leżał na krześle obok łóżka, na tym, na którego oparciu wisiały starannie wyprasowane spodnie.

Mieszkanie na czwartym piętrze kamienicy przy Mostowej składało się z niewielkiego, zagraconego korytarzyka i całkiem obszernego pokoju z oknem wychodzącym na podwórze. Wewnątrz nie było zbyt bogato. Pod ścianą stała szafa garderobiana, naprzeciwko szafka kredensowa, a pomiędzy nimi kwadratowy sosnowy stół z czterema krzesłami. Prócz tego było jeszcze jedno krzesło całkowicie niepasujące do kompletu, bogato rzeźbione i zapewne droższe niż wszystkie inne meble w tym domu. Stało koło prostego, metalowego łóżka i pełniło rolę nocnej szafki, albo raczej wieszaka, na który można rzucić zdjętą garderobę.

Zenuś nie miał problemów z dostaniem się do środka. Wiedział, podobnie jak wszyscy członkowie złodziejskiej szajki Tolka, że klucz znajduje się na rancie framugi. Ale nawet gdyby go tam nie było, z łatwością poradziłby sobie z otwarciem prostego zamka za pomocą scyzoryka. W takich sprawach dwunastoletni Zenuś był ekspertem, który każdą wolną chwilę spędzał na rozkręcaniu i skręcaniu zamków czy klódek.

Wczoraj po południu, zgodnie z zapowiedzią, przyszła matka Zenusia z zaopatrzeniem dla syna. Pod pachą miała starannie zawinięte w gazetę spodnie, koszulę i sweter, a w drugiej ręce dźwigała wielką, trzylitrową kanwę na mleko, wypełnioną smaczną kartoflanką na boczku.

– Łe jery, ślepe ryby![\[10\]](#) Kto to wszystko zje, mamusia?

– Jedz, synek, na zdrowie – powiedziała, stawiając blaszankę na stole. – Ino jakie talerki by się zdało znaleźć. O, tu może są? – Otworzyła szafkę, która mogła pełnić rolę kredensu. Nie pomyliła się. Wewnątrz znalazła porcelanową miskę, dwa niewielkie talerzyki i kilka aluminiowych sztućców. Na szczęście była wśród nich łyżka. Poza tym w szafie nie było niczego, co by mogło ją zainteresować, bo na stojące równym rzędem półlitrowe butelki wódki nawet nie spojrzała.

Nalała zupy do miski i machnięciem ręki przywołała syna.

– No dali, synek, jedz.

– A nikt za mamusią nie szedł? – Chłopak naraz przypomniał sobie, że szuka go policja.

– Ostawili jednego szkieła do pilnowania naszej chaty, ale zaraz jak onego ostawili, to on se poszedł precz do birsztuby, tej na Wronieckiej. Ojciec za nim polazł i pilnuje, czy tam siedzi. Raz się chłelernik przydał, alem musiała mu dać na piwo bejmy^[11].

– Dobrze mamusia zrobiła! Przynajmniej pije w dobrej sprawie.

Zenuś usiadł przy stole i z zapałem zabrał się do pałaszowania zupy. Po chwili poprosił o dolewkę.

– Jeszcze ino kapeńkę, mamusia, bo Tolkowi też trzeba co zostawić. Jak wróci, będzie głodny.

Pokręciła głową.

– Tak rychło to on nie wróci. Szkieły go wzieny ze sobą na komisariat. Jak nic przez noc przesiedzi w kozie. Te szkieły miały jaką złość na niego, że niby jednego kopnął w dupę...

– No! Tak było. Ten w mundurze poleciał na ryło ze schodów, że aż miło było patrzeć. Ino że ja nie miałem czasu się gapić, bo trzeba było wyrwać stamtąd.

– Za pobicie szkieła to nawet na rok do Wroniek mogą człowieka posłać, choćby nie wiem jak by był niewinny – stwierdziła Brodziakowa, która dobrze wiedziała, co mówi, bo jej własny kuzyn przesiedział dwa lata we Wronkach jeszcze za czasów pruskich po tym, jak przypadkowo i niechcący wlał po pijaku dwóm żandarmom i zamiast uciekać, dał się złapać trzeciemu. A że był to już kolejny jego wybryk, dali mu dwa lata, które odbębnił co do dnia we wronieckim więzieniu. Stąd matka Zenusia jako kobieta obyta w świecie łatwo porachowała sobie, że skoro za dwóch były dwa lata, to jak nic Tolek musi dostać połowę kary.

Zenuś wyciągnął dłoń przed siebie i pomachał nią, jakby się opędzał od natrętnej muchy.

– Mamusia, Tolek nie z tych, co by się dał byle policyjnemu łachudrze posadzić. On ma takie chody na policji, że niedługo będzie na wolności se pił zimne piwko. Nic mu nie zrobią – mówił z pełnym przekonaniem. W końcu Grubiński nie raz chwalił się swoim

znajomym, że on w areszcie nie przesiedział jeszcze ani dnia i nigdy nie da się zapuszkować. Tym razem sprawa jednak chyba musiała być poważniejsza, niż zdawało się Zenusiowi, bo Tolek nie wrócił do domu od wczoraj, a to mogło oznaczać jedno – poważne kłopoty.

Usiadłszy na łóżku, chłopak przeciągnął się, podrapał po rudej czuprynie, a potem wziął do ręki zegarek. Przez chwilę patrzył na cyferblat, by zaraz przyłożyć go do ucha. Usłyszał ciche tykanie, więc odetchnął z ulgą, bo przez moment mu się zdawało, że mechanizm nie chodzi. A niechodzącego zegarka przecież by nie chciał mieć.

Kłopot tylko w tym, że niezależnie od tego, czy zegarek był sprawny czy też nie, to Zenuś i tak nie bardzo wiedział, którą wskazuje godzinę. Wszystko przez to, że zamiast normalnych cyferek były tam wymalowane na złoto jakieś kreski i krzyżyki. Dlatego chłopakowi trudno było się zorientować w tym krzyżykowym galimatiasie. Gdyby choć wiedział, który krzyżyk czy która kreska oznaczają południe. Na ratuszowej wieży sprawa była prosta, bo tam dwie wskazówki nachodziły jedna na drugą na samej górze i każdy wiedział, że to czas, kiedy wyskoczą ze swojej stajenki dwa koziołki i zaczną się trykać rogami, czyli że jest właśnie samo południe. A po południu już było łatwiej, bo wskazówki przesuwwały się na pierwszą, drugą i tak dalej. A tu za nic nie dało się zorientować, która to może być. Bo skąd niby wiadomo, gdzie jest góra, a gdzie dół tego zegarka, zastanawiał się gorączkowo, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Zegarek wraz ze spodniami i odrobiną gotówki na wszelki wypadek przyniosła mu wczoraj mama. Resztę pieniędzy, tych, które Zenuś rąbnął wraz z portfelem tego gościa w śmietniku na Wielkiej, schowała tak jak przykazał, żeby czasami ojciec nie znalazł, bo wiadomo, że gdyby wpadły w jego łapy, zaraz by wszystko przechlał, a jej wystarczy tego nawet na dwa czy trzy miesiące.

Włożył zdobycz ostrożnie do kieszeni spodni, obiecując sobie, że jak tylko będzie miał okazję, poprosi kogoś, żeby mu objaśnił, o co się rozchodzi z tymi krzyżykami. Na razie jednak postanowił trochę rozprostować kości, bo przecież nie mógł spędzić całego dnia w łóżku. Pomyślał więc, że się ubierze i pójdzie na miasto, żeby zasięgnąć języka o Tolku i w ogóle o świecie.

Wciągnął więc portki, koszulę i sweter, potem na chude stopy mocno pocerowane skarpety i w końcu swoje sfatygowane buty, które od dawna domagały się wizyty u szewca. Tyle że marne były widoki na takie spotkanie, bo wiadomo, że żaden szewc nie podzela trzewików od ręki, a Zenuś nie mógł ich zostawić w warsztacie. Innych nie miał, więc nie zamierzał przez kilka dni łązić po mieście na bosaka jak byle szuszwol.

Naraz usłyszał jakieś głosy na schodach. Podszedł więc szybko do drzwi, żeby posłuchać, czy aby nie czai się za nimi niebezpieczeństwo. Rozmawiali ze sobą jacyś mężczyźni wspinający się w górę i tupiący dziarsko, tak jak tupać potrafią tylko tacy, którym nie zależy wcale na tym, by zachować dyskrecję. Policja raczej nie tupała.

Gdy stukot obcasów ucichł, niemal natychmiast rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Chyba jeszcze śpi – powiedział ktoś za drzwiami.

– To go trzeba obudzić, bo przecie już po dziewiątej godzinie.

Zenuś teraz zorientował się, kim byli ci, którzy stukali.

– No dalej, Leon, przywal w drzwi, to się obudzi.

– Słuchaj, Walek, a jak on tam jaką melę obraca.

– Głupiś, jak się z nami umówił na dziewiątą, to znaczy się, że musi być w chacie sam, co najwyżej napity leży w wyrze i chrapie i dlatego go trzeba zbudzić...

O tym, że nikogo nie trzeba budzić, obaj bracia Kaźmierczakowie przekonali się kilka sekund później, gdy drzwi przed nimi otworzyły się z charakterystycznym jękiem dawno nieoliwionych zawiasów, a w nich zamiast gospodarza dostrzegli rudą czuprynę i uśmiechniętą, piegowatą gębę Zenusia Brodziaka.

– A ty co tu robisz? – zapytał Walek, najstarszy z braci, dwudziestoosmioletni szczupły brunet z równo przyciętym wąsikiem. Na głowie miał kraciastą, czerwono-czarną cyklistówkę, a na grzbiecie wełnianą marynarkę w pepitkę. Szyję przyozdabiała mu kanarkowo żółta apaszka, której nie powstydziałaby się żadna z pańienek pracujących na ulicy. O ile Walek mógł uchodzić, przy swoich stu siedemdziesięciu centymetrach wzrostu, za postawnego mężczyznę, o tyle jego brat Leon był jego przeciwieństwem. Był

o siedem lat młodszy, o głowę niższy i na pewno nikt nie mógłby powiedzieć o nim, że jest szczupły. Twarz miał pucułowatą i do tego jeszcze poznaczoną śladami po ospie, której w dzieciństwie mało nie przyplącił życiem. Teraz za to tryskał energią i pomysłami, podczas gdy jego brat był raczej typem flegmatycznym, który zanim coś zrobił, najpierw dwa razy musiał pomyśleć. Mimo że Leon jako ten bardziej porywczy z braci najczęściej prowokował różne awantury kończące się bójką, to jednak Walek zawsze stawał solidarnie przy jego boku, bo podobnie jak brat lubił się od czasu do czasu potarmosić i obić komuś gębę.

Ich najmłodszy brat, dwunastoletni Krystek, był najlepszym przyjacielem Zenusia Brodziaka, więc gdy Kaźmierczakowie zobaczyli w drzwiach chłopaka, natychmiast pomyśleli, że i ich brat jest tutaj.

– Krystek jest z tobą? – zapytał podejrzliwie Leon, gotowy spuścić lanie najmłodszemu z rodziny. Obaj starsi Kaźmierczakowie przyrzekli umierającej matce, że zrobią wszystko, żeby Krystek wyszedł na ludzi i wyuczył się jakiegoś zawodu. No więc starali się jak mogli, nakazując mu codziennie chodzić do szkoły. Chłopak czuł mores przed braćmi i chodził, ale gdy tylko nadarzała się okazja, uciekał z lekcji, najczęściej razem z Brodziakiem. Tym razem jednak tylko Zenuś był na wagarach.

Chłopak otworzył szerzej drzwi, by mogli wejść do środka. Wystarczył więc rzut oka, by stwierdzić, że jest sam. Co ważne, nie było też Grubińskiego.

– A gdzie jest Tolek? – zainteresował się Walek, siadając przy stole. Leon tymczasem podszedł do spiżarki i wydobył z niej butelkę wódki i dwie szklanki. Postawił je na stole, zębami wyciągnął korek i rozlał po równo. Widać było, że w tym mieszkaniu czuje się jak u siebie w domu.

– No... bo... Tolek... to od wczoraj jest na policji... – wybąkał zmieszany Zenuś. Czuł dobrze, że to on ponosi odpowiedzialność za aresztowanie Tolka, więc trochę było mu głupio przed ludźmi, którzy od pewnego czasu uczyli go zawodu, zabierając wraz ze swoim najmłodszym bratem na roboty.

Obaj Kaźmierczakowie spojrzeli na niego zdziwieni, a Walek dodatkowo zmarszczył krzaczaste brwi. Cisza, jaka w tej chwili zapadła, była aż nadto wymowna. Zenuś zrozumiał, że nie ma co kręcić. Opowiedział więc o tym, co wydarzyło się na Wielkiej i później u niego w domu, a na dowód, że mówi prawdę, pokazał kapelusz oraz piękny zegarek.

– Trzeba mu pomóc! – wykrzyknął porywczy Leon. – Komuś w łapę dać albo jak!

Walek ostrożnie wziął do ręki srebrne trofeum chłopaka, postukał w cyferblat, a potem przyłożył do ucha.

– Nie chodzi – stwierdził, po czym zaczął go nakręcać. – O, teraz jest dobrze, ino że trzeba nastawić godzinę. Ustaw se sam, jak już masz sikora, to se musisz poradzić... – Delikatnie położył zegarek na blacie i przesunął go w kierunku Zenusia.

– No, Walek, śpisz? – ponaglił brata Leon. – Gadajże!

– Jak jego posadził ten Gil za napaść na policjanta – zaczął spokojnie tłumaczyć starszy brat – to znaczy się, że jeszcze spróbuje go umoczyć w morderstwo. Bo Gil ma do Tolka dawną złość za to, że ten dał mu po ryju w gospodzie U Okonia dwa lata temu. I wew takiej okoliczności Tolek byłby już dla świata stracony.

– No co ty gadasz? – obruszył się Leon.

– Byłby stracony, gdyby nie miał kolegów.

– To co poradzimy? – rzucił Zenuś.

– Jak to co? Odbijemy go z więzienia.

Zapadła kompletna cisza. Przez czas, który potrzebny był na to, żeby wszyscy zebrani w tym pokoju uzmysłowili sobie wagę słów wypowiedzianych przez Walka, słychać było tylko brzęczenie muchy na szybie i pojękiwania gosposi spod piątego, którą w pokoju za ścianą właśnie chędożył mieszkający po sąsiedzku student geografii.

Godzina 9.30 rano

Tolek Grubiński, leżąc wygodnie na pryczy, patrzył przez zakratowane okno na chmury. Po raz pierwszy w swoim życiu oglądał niebo z perspektywy człowieka osadzonego w celi. Wiele

jednak nie mógł dojrzeć, bo miejsce, w którym go trzymano, miało mocno ograniczony widok. Aresztancka cela znajdowała się w suterynie i na dodatek jeszcze od strony podwórka. Nawet gdyby podeszło się do tego niewielkiego okienka, umieszczonego niemal pod samym sufitem, podciągnęło się na kracie, by wyrzeć na zewnątrz, widziało się tylko ściany kamienic otaczających dziedziniec Dyrekcji Policji. Tolkowi nie chciało się nigdzie ruszać, bo widok błękitnego nieba z pierzastymi obłokami w zupełności mu wystarczał. Czuł się niemal tak komfortowo, jakby zalegał na nadwarciańskiej łące w upalny dzień. W celi było wilgotno jak nad rzeką, śmierdziało z aresztanckiego kibla tak samo jak z rury, którą ze Starego Miasta do Warty płynęły miejskie gówna, a do tego jeszcze było gorąco jak w najgorętszy dzień lata.

Ludzie mówili, ci oczywiście, którzy znali się lepiej niż on na specyfice policyjnego budynku, że jest to najlepiej ogrzana kamienica w Poznaniu. Wszystko przez kaloryfery, czyli żeliwne rury wiszące w każdym pokoju, do których płynęła gorąca woda wprost z pieca zainstalowanego w piwnicy. We wszystkich domach w mieście ogrzewano pokoje w zwyczajny, ludzki sposób, czyli żywym ogniem, który palił się w kaflowych piecach. A tu jakiś pomysłowy niemiecki inżynier jeszcze przed wojną postanowił wprowadzić zupełnie nowe rozwiązanie. No i kaloryfery grzały, jakby palił w nich sam diabeł, bo nikt nie potrafił należycie obsłużyć pieca w kotłowni. Starzy policjanci, którzy w tym budynku pracowali jeszcze przed wojną, pamiętali, że dawniej nie było problemów z ogrzewaniem. Kaloryfery działały po bożemu, ogrzewając pokoje, korytarze i cele aresztanckie. Tyle że odpowiedzialny za palenie w piecu palacz był Niemcem i po powstaniu, gdy nastąpiła tu Polska, wyjechał z Poznania. Jego polski pomocnik, który przejął po nim obowiązki, na zaworach regulujących temperaturę i ciśnienie wody nie znał się wcale. Jedyne, o czym miał pojęcie, to sypanie węgla w czeluść piekielną paleniska. No więc robił to najlepiej jak umiał, czyli szczerze i z fantazją.

Nic więc dziwnego, że policjanci w gabinetach i pokojach musieli otwierać zimą okna na oścież, bo inaczej nie dało się wysiedzieć. W areszcie było znacznie gorzej. Tu nikt okien otwierać nie pozwalał,

dlatego zatrzymani musieli ratować się w jedynie możliwy sposób, rozbierając się do samej bielizny.

– Za Niemca to tu było jak w domu, miłutko i ciepłutko – rzucił Bazyli Koziołek, znany w całym Poznaniu sutener, który sławny był przede wszystkim z tego, że nie szło mu w interesach. Jak wiedzieli wszyscy dookoła, był frajerem i dawał się robić na kasę swoim własnym dziwkom, które nie oddawały mu całego utargu, a jedynie małą część. Tłumaczyły mu zazwyczaj, że nic nie zarobiły albo że klient nie zapłacił, a on, jak na prawdziwego frajera przystało, wierzył w takie bzdury. Byli też tacy, którzy tłumaczyli to dobrym sercem i mówili mu, że ktoś taki do tego interesu się nie nadaje, bo jak wiadomo, gdy ma się dobre serce, trzeba mieć twardą dupę.

– Niby że co? – zainteresował się Willi Mayer, piekarz z piekarni przy Małych Garbarach, który mimo niemieckiego imienia i nazwiska uważał się za stuprocentowego Polaka katolika i do tego jeszcze takiego, który niezbyt za Niemcami przepada. W dodatku dziś był zły, bo miał kaca, więc suszyło go okropnie, a przy tym jeszcze bolał go obity nos.

– Że niby było jak u mamy – rzucił na odczepnego Bazyli, który jako aresztant z pokaźnym dorobkiem zawodowym, zatrzymany przez policję już chyba po raz dwudziesty, nie musiał się tłumaczyć jakiemuś niedorostkowi. W końcu miał już dobrze ponad trzydziestkę, podczas gdy piekarz miał jeszcze mleko pod nosem i nieukończone nawet dwadzieścia lat.

– To tak niby było dobrze za Niemca? – Willi najwyraźniej szukał zaczepki. Taki już miał parszywy charakter, że ciągle z kimś wchodził w zwadę. I dlatego dziś w nocy w końcu się doigrał. Pił i grał w karty z kolegami piekarzami, którzy wraz z nim skończyli wieczorną zmianę. A po robocie wiadomo, że koniecznie trzeba przepłukać gardło, więc poszli do knajpy koło rzeźni na piwo. No i tam napatoczył im się pijany rzeźnik Alojz Nowak, który nie dość, że gadał słabo po polsku, to jeszcze w tej słabej polszczyźnie zaczął wyjaśniać swoim kolegom, że za Niemca żadnych kryzysów nie było i gospodarka była silna i zdrowa jak całe cesarstwo, a psuć się wszystko zaczęło za Polski, bo Polacy na gospodarce się nie znają i wszystko, czego się dotkną, to zaraz spartaczą. Takiej obelgi

rzuconej przez Niemca uczciwym Polakom Willi nie mógł puścić mimo uszu i postanowił wepchnąć Nowakowi jego plugawe słowa z powrotem do gardła. No i pewnie udałoby mu się nawet tego dokonać, ale koledzy rzeźnicy nie mogli dopuścić, żeby jakiś piekarzyna lał po ryżu ich kompana. Stanęli murem za Nowakiem. Piekarze więc nie mieli wyjścia. Poparli swojego i w ten oto sposób uroczy pijacki wieczór zamienił się w karczemną awanturę z rozbitymi kuflami, podbitymi oczami i dwoma przetrąconymi nosami. Jeden należał do sprawcy głównego, czyli Willego Mayera, który jako taki został zakwalifikowany na podstawie spisanych przez policję zeznań i wtrącony do aresztu, żeby móc niebawem stanąć przed sądem i odpowiedzieć za swoje grzechy. Widać było jednak, że nie potrafił jeszcze wyciągać wniosków i za nic nie chciał uczyć się na błędach.

– Było dobrze i szlus! – warknął Koziółek, wyczuwając zaczepkę w głosie chłopaka. Ten, podniósłszy się z pryczy, zacisnął wielkie pięści.

– Polska jest dla Polaków, a nie dla Niemców. Jak się co nie podoba, to wypierdalać mi stąd, ale już! – zawołał młokos, patrząc na sutenera ze złym blaskiem w oczach.

– A tobie już kto klukę[12] za głupotę obił? – Koziółek wskazał palcem na opuchniętą gębę piekarza. – Mało żeś dostał, że jeszcze chcesz? – zapytał i powoli podniósł się z pryczy, widząc, że być może trzeba będzie się bronić. Uśmiechnął się przy tym, bo jako człowiek zaprawiony w ulicznych czy knajpianych bójkach wiedział dobrze, że nikt, kto ma złamany nos, nie staje do walki, bo każdy cios, nawet lekki, otrzymany w obolałe miejsce sprawia, że uczestnik pojedynku natychmiast odpada z zawodów. Willi chyba jeszcze nie zdążył się o tym przekonać, ale był na dobrej drodze do odebrania bolesnej lekcji.

– Polska jest dla Polaków, a nie Szwabów!

– Polska jest dla wszystkich – stwierdził flegmatycznie Tolek Grubiński, unosząc się na łokciu. – Nieważne, czy żeś jest mądry czy głupi, stary czy młody, czy żeś jest Niemiec, Polak czy Żyd. Jak żeś jest stąd, jak żeś jest tutejszy albo nawet, jak żeś tu przyjechał i chcesz tu być, to Polska jest właśnie dla ciebie. I nikt nie jest

w prawie, żeby gadać komuś, że nie może tu żyć, bo to tak, jakbyś komuś zabronił oddychać. I dlatego, szczerze, nie powiadaj nikomu, że czegoś nie można. Jedyne, co nie można, to drugiemu zabraniać tego, czego sam chcesz mieć pod dostatkiem. Polska jest jak powietrze i jak woda w Warcie dla wszystkich.

– Aleśmy przecie Niemców stąd pogнали?! – Willi nie mógł się pogodzić z tym, co właśnie usłyszał. Wiedział jednak, że z Tolkiem Grubińskim lepiej nie szukać zwady, bo nie jest to człowiek, z którym warto by mieć na pieńku. Dlatego nawet nie przyszło mu na myśl, żeby się postawić. A pytanie zadał jak najbardziej grzecznym tonem.

– My nie Niemców pogonili, ale niemieckie władze, ówoku! – rzucił Nowak, który nigdy nie gonił nikogo, bo w powstaniu udziału nie brał jako człowiek o zbyt miękkim sercu.

– Prawda. Władza niemiecka poszła precz, ale Niemcy se mogą tu mieszkać i nikt im smrodu nie robi – zgodził się z nim Tolek. – Bo tu u nas każdy ma prawo do życia i żeby se te swoje klunkry po swojemu układać...

Pewnie powiedziałyby jeszcze więcej, żeby młodego i zapalczywego piekarza naprowadzić na dobrą drogę, ale nie zdążył, bo w zamku zazgrzytał klucz. Jęknęły zawiasy i stare solidne drzwi rozwarły się na oścież. Pojawił się w nich wysoki i przy tym chudy jak szczapa, wąsaty policjant z krokiewkami sierżanta na mankietach. Zrobiwszy krok, stanął w progu celi. Obrzucił trzech rozebranych do gaci mężczyzn i uśmiechnął się pod nosem, stwierdziwszy zapewne, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Potem jego spojrzenie zatrzymało się na Tolku.

Żaden z zatrzymanych nie patrzył jednak na policyjną gębę. Ich spojrzenia popłynęły w kierunku policyjnej lewej ręki, która dzierżyła wielki wiklinowy koszyk.

– Co tak długo, panie Marciniak, jak Boga kocham – odezwał się Tolek, siadając na pryczy. – Czy pan se myślisz, że normalny niewinny człowiek ma tu siedzieć za jaką karę o suchym pysku.

– No wie pan, panie Tolku szanowny, że od ręki nie idzie wszystkiego załatwić, tym bardziej że ci młodzi, co do nas na służbę trafiają, to materiał gorszego sortu. Do trzech taki ledwie zliczyć

umi, a szkiełem chce zostać. Strach pomyśleć, co będzie dalej... Pośle się takiego do magazynu na zakupy, napisze mu na kartce, co ma kupić, a on i tak nie dość, że się pomyli, to jeszcze czasu zmitręży tyle, że aż strach.

Pokręcił głową, machnął ręką i przemierzywszy cełę, podszedł do stolika przymocowanego pod oknem do ściany. Koszyk wypełniony brzęczącymi rozkosznie flaszками postawił na podłodze, a sam włożył na taboret, oparł kolano na blacie stołu i uniósłszy się, złapał za uchwyt przymocowany do drewnianej okiennej ramy. W otwór po klamce, z którego klamka dawno została usunięta ze względów bezpieczeństwa, włożył śrubokręt. Przekręcił w prawo i zapadka puściła. Do środka natychmiast wpłynęło chłodne, orzeźwiające powietrze.

– Niby zakaz jest otwierania okien, panie Tolku, żeby czasem jakiemu szuszwolowi nie przyszło do łba krat przecinać. – Na wszelki wypadek zmarszczył brwi, obrzucając groźnym spojrzeniem dwóch pozostałych aresztantów. – No ale w pana celi można zrobić wyjątek.

Schylił się po koszyk i zaraz ustawił go na blacie stolika. Tolek wydawał się obojętny na dyskretny urok dzwoniących delikatnie flaszek, ale Willi nie mógł oderwać od nich spojrzenia. Nieświadomie zrobił nawet krok przed siebie, by przyjrzeć się bliżej delikatesowym specjałom, ale czujny klawisz dźgnął go paluchem w pierś.

– Nastąp się, łachudro, i dalej nazad na swoją pryczę siadać i ani mru-mru!

Chłopak szybko wykonał polecenie. Koziółkowi nie trzeba było wyjaśniać zasad życia w areszcie. On znał je na tyle dobrze, że wiedział, jak się zachować. Dlatego od chwili wejścia policjanta do celi siedział na tyłku i nie ruszył się nawet o centymetr.

– A dla siebie se pan co naszykował, i dla kolegów ma się rozumieć? – zapytał fundator tej uczy.

– A jakże, panie Tolku szanowny. Kilka flaszeczek stoi u nas w dyżurce. A tu jak widać kiełbasa suszona, chlebuś świeży prosto z piekarni, dziesięć flaszek jasnego i sześć butelczyn stołowej od Kantorowicza. Od Kantorowicza, wiadomo, najlepsza wódeczka.

– No to smacznego życzę wam i sobie. – Zadowolony Grubiński podszedł do stolika.

– Pana zdrowie wypijemy! – Policjant ukłonił się i ruszył do drzwi.
– A, jeszcze jedno, panie Marciniak. – Tolek skinął dłonią na policjanta. Ten momentalnie zawrócił.
– A co z komisarzem Fischerem?
– Jeszcze mu się nie meldowało, bo zajęty.
– A wiadomo, kiedy nie będzie zajęty?
– Nie wiadomo, póki co. Jak to przy zabiciu. Pełne ręce roboty... – Klawisz rozłożył bezradnie swoje niezbyt zajęte ręce. – Ino że jak już będzie wolny, to zaraz mu się zamelduje, co i jak. Tak że spokojna głowa, panie Tolku szanowny. U nas za niewinność nie wsadzają, co najwyżej pomyłkowo.

Gdy policjant wyszedł z celi, Tolek od niechcienia chwycił butelkę piwa Huggera, zdjął sprawnym ruchem porcelanowy kapsel na drutach i przyłożył flaszkę do ust. Obaj współwięźniowie patrzyli na znikający w gardle złoty płyn, przetykając ślinę. Tolek tymczasem wypił do dna, beknął głośno i postawił pustą butelkę na stół.

– No dobra! – Wycelował palcem w pechowego sutenera, którego znał z widzenia i słyszenia, ale jeszcze nigdy nie miał okazji z nim porozmawiać. – Siednij se tu. – Wskazał taboret przy stoliku. Bazyli Koziółek natychmiast zrobił, co mu kazano.

– Wew związku z tym, że możemy tu jeszcze trochę razem posiedzieć, bo ze szkiełami nigdy nic nie wiadomo, powiedz mi ty, za co żeś tu trafił? Bo tego drugiego szuszwola z przetrąconym klubrem nawet się nie pytam, bo widać dobrze, że za głupotę.

Wydobył z koszyka kolejną flaszkę i podał ją sutenerowi. Ten skinąwszy z wdzięcznością głową, szybko otworzył piwo, wziął solidnego łyka, a potem otarłszy wierzchem dłoni wilgotne wargi, uśmiechnął się półgębkiem.

– Ja, panie Tolku, to trafiłem tutaj za dobre serce.

– Że niby jak? Bo do aresztu to się przeważnie za niewinność trafia.

– Tak właśnie jest, że za niewinność, bo ja, panie, nie chcę mieć nic wspólnego z tymi gnojami, co to chcą, żeby w Poznaniu wszystkie dziewczynki dla nich pracowały. I oni nie tylko chcą, żeby dziewczynki, ale nawet dzieci.

– Tfu! Dzieci? Co pan gadasz? Obrzydlistwo. Co to za bydlaki?

- Takie, panie szanowny, ze stosunkami, że jak się im postawisz, to właśnie tak jak ja do aresztu możesz pan trafić.
- Pewnie Niemce. – Nie wytrzymał piekarczyk.
- I tu się mylisz, szczone niemyty – mruknął sutener. – Takie oni Polacy, że lepszych trudno by szukać. Same najlepsze.

Godzina 12.15 po południu

- To wyście przyjęli zgłoszenie?

- Melduję, że nie ja.

- A kto?

Przodownik wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą. Bo i skąd mógł wiedzieć. Przecież nikt mu nie powiedział, kto to zgłoszenie mógł przyjąć. Przyjęli i tyle, a jemu dali spisany adres, to wziął, jak mu kazali, i poszedł. – Pewnie jaki dyżurny – stwierdził w pełni przekonany, że mówi prawdę.

- No tak, bo kto mógł tu być, jak nie dyżurny. – Fischer uśmiechnął się pod wąsem.

- Ja tam nie wiem, panie komisarzu, bo i skąd mam wiedzieć, jak my się jeszcze wcale nie znamy. – Rozejrzał się dookoła, jakby te gołe ściany pokoju w niedawno otwartym pierwszym komisariacie chciał wziąć na świadków. – Nas tu wszystkich wrzucili i powiedzieli, że to teraz jest nasz komisariat. To on może i nasz, ale dopiero od miesiąca tu robię. Wcześniej byłem w Straży Ludowej, a nasz posterunek był na Garbarach, w tym czerwonym budynku po artyleryjskim arsenale. I teraz kazali nam ściągnąć te nasze zielone mundury wojskowe i dali nam granatowe policyjne, że niby my teraz Policja Państwowa. Niby i dobrze, że policja, a nie jakaś straż, ino żeby jeszcze te mundury nie były takie byle jakie. A sam pan widzi. – Złapał za kołnierz swojej mundurowej marynarki, jakby chciał pokazać, że wystarczy pociągnąć i zostanie w dłoni.

- Nie podoba się wam służba? – Fischer miał wrażenie, że policjant mówi dokładnie to, co on sam ostatnio myślał. A jego rozmówca

chyba wyczuł okazję, że wreszcie znalazł możliwość wylania swoich frustracji komuś z wyższą szarżą, kto go może wysłuchać...

– Jakby się nie podobała, to czy ja bym w policji został? Po wojnie chciałem do zawodu, bo ja zecer jestem wyuczony, tom chciał do roboty przy składaniu gazet się wrócić, ale przyszło powstanie, tom musiał iść do Straży Ludowej, a potem tak już się zostało. I takem se myślał, że jak w tej straży bieda, to chociaż w tej nowej policji to będzie ho, ho! Miód i mleko. A tu proszę, człowieka wrzucają do jakiegoś komisariatu w podwórku, jakby się bali, żeby policja swoim widokiem w gęby ludziom nie świeciła, dają mundury, a jakże, ino że wszystkie duże, w jednym rozmiarze i każdy za swoje pieniądze musi dawać do przerobienia, ale najlepsze to jest to, że jak kto chce uzbrojony na patrole chodzić, to se musi sam załatwić pistolet, bo Policja Państwowa daje ino pas główny, koalicyjkę i pustą kaburę...

Fischer pokiwał głową, pochylony nad raportem, który przed chwilą położył przed nim na biurku narzekający podoficer. Otworzył teczkę i zaczął czytać starannie wykaligrafowany tekst, pozbawiony najmniejszych nawet kleksów.

Raport w sprawie zaginięcia dziecka pułci kobiecej, lat 8, zamieszkałej przy ulicy Poznańskiej No 43.

Nazwisko zaginionej: Węgorek Zofia Krystyna

Data urodzenia: 12 czerwca 1914 roku

Wyznania: rzymskokatolickiego

Imię ojca: Feliks

Zaginięcie zgłosił/a: Matylda Węgorek (matka)

Dzień zaginięcia: Wtorek 4 kwietnia 1922

Godzina zaginięcia: 10.00 przed południem

Okoliczności zaginięcia (opisać własnymi słowami)

Rzeczona Zofia lat 8 wyszła z domu w kwestii napętnienia wiadra wodą i przyniesienia do domu, gdyż jej matka leżała w łóżku, gdyż była słaba i ogólnie ostatnimi czasy jak sama matka twierdzi jest słabego zdrowia, więc po wodę musi chodzić dziecko, które nie poszło do szkoły i poszło po wodę i jak poszło na podwórko, bo tam jest

kran, to już nie wróciło. I matka się zaniepokoiwszy, zeszła o własnych siłach na dwór i znalazła same wiadro, co stało przy kranie, a dziewczynki nie było i nikt nic nie widział. To pomyślała, że jej Zosia gdzieś poleciała na ulicę, ale się nie wróciła na noc, to następnego dnia (środa 5 kwietnia br.) poszła zawiadomienie złożyć na komisariacie właściwym ze względu na rejon, czyli na I komisariacie przy ulicy 27 Grudnia 21.

W miejscu zeznanie spisał:

Waldemar Karolak przodownik P.P.

Przeczytawszy raport, spojrzął na siedzącego skromnie na krześle policjanta, który wpatrywał się w jakiś punkt na ścianie. Fischera zdziwił fakt, że notatka była niemal całkowicie pozbawiona błędów ortograficznych i napisana całkiem składnym językiem. No ale w końcu ten podoficer musiał umieć formułować myśli, skoro był zecerem. Jednak kontakt z drukowanym słowem potrafi ukształtować nawet proste umysły, pomyślał z pełnym szacunkiem o precyzyjnych informacjach, które podoficer wydobył od zapewne rozhisteryzowanej kobiety.

Matka zaginionej dziewczynki, której wysłuchał dziś rano, mówiła bardzo nieskładnie i chaotycznie. Z trudem udało mu się uzyskać od niej informacje na temat ciągu zdarzeń. Zapisał sobie wszystkie szczegóły w swoim służbowym notesie i obiecał jej, że się sprawą zajmie osobiście. Nie miał innego wyjścia, skoro przysłała ją do niego Greta, którą traktował jak własną córkę. Cztery lata temu kierowany jakimś niewytłumaczalnym impulsem przygarnął sierotę i zabrał do domu, w którym mieszkał razem ze swoją siostrą^[13]. To, co miało być tylko tymczasowym rozwiązaniem, okazało się nad wyraz trwałe. Dziewczynka została u nich i błyskawicznie stała się pełnoprawnym członkiem rodziny.

Gdy kobieta, którą przysłała do niego Greta, wyjaśniła, że mieszka przy Poznańskiej, natychmiast zrozumiał, skąd wzięta się ta interwencja. To właśnie przy tej ulicy mieszkał dziadek Grety, człowiek, który ją wychowywał, kiedy została sama. Gdy zginął w tajemniczych okolicznościach, Antoni Fischer, świeżo upieczony

oficer śledczy powstającej właśnie policji, przyszedł do jego mieszkania i na klatce schodowej pod drzwiami znalazł dziewczynkę. Właściciel kamienicy, dowiedziawszy się, że lokator nie żyje, kazał dziecku wynosić się z mieszkania. Siedziała więc na schodach, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić. I wtedy pojawił się Antoni. Nie miał pojęcia, jak się powinien wobec dziecka zachować i przede wszystkim, co się robi z takimi sierotkami. Rozwiązał więc sprawę w najprostszy sposób. Wziął ją za rękę i poprowadził do swojego domu, zrzucając cały ciężar odpowiedzialności na własną siostrę. Na szczęście dla nich Anna była świętą kobietą i już pierwszego dnia między nią a Gretką nawiązała się nić sympatii i porozumienia.

– Płacą tyle, co kot napłakał, tak że człowiek ledwie wiąże koniec z końcem – ciągnął dalej niezadowolony policjant.

– To czemu nie odejdziecie ze służby? – rzucił Fischer, który kilka dni temu całkiem poważnie myślał o takim rozwiązaniu.

– Jakże ja mam odejść ze służby, jak czas niepewny, A na utrzymaniu mam żonę, jej siostrę, teściową i dwójkę dzieciaków jeszcze. Muszę być w policji, bo w moim zecerskim fachu teraz nie najlepiej się wiezie.

– Podobno gazety padają. – Oficer przypomniał sobie, że jedna z gazet codziennych ma poważne kłopoty finansowe i lada dzień może przestać się ukazywać.

– No właśnie. Gazety piszą, że kryzys idzie. A w policji praca pewna.

– Pewna, ale i niebezpieczna.

– Niebezpieczna, jeśli funkcjonariusz chodzi na patrol bez broni. O proszę, moja kabura jest pusta – powiedział.

Fischer pomyślał o swojej kaburze. Tkwił w niej pistolet Parabellum, ten sam, który miał przy boku od pierwszego dnia swojej służby w pruskiej armii. Do policji przyszedł oddelegowany wprost z powstańczego frontu tylko dlatego, że przed wojną studiował prawo na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma w Berlinie. Nie ukończył studiów, ale jak szybko się okazało i tak był jednym z najlepiej przygotowanych do pracy policyjnej oficerów. On przynajmniej miał jakieś pojęcie o kryminalistyce i nawet medycynie

sądowej. Jego nowi koledzy na temat pracy policyjnej nie wiedzieli nic. Tak jak i wszyscy pozostali oficerowie, którzy przyszli z wojska, na początku było ich zaledwie ośmiu, otrzymali rangę komisarza. Wtedy jeszcze policja w Poznaniu nie miała stopni służbowych, więc oficerowie komisarzami stali się niejako automatycznie. Teraz, kiedy policja zaczęła się zmieniać i stawać częścią Policji Państwowej, komendant okręgowy Bernard Śliwiński wezwał Fischera do siebie i oznajmił, że musi go zdegradować.

– Jak to, panie komendancie? – zdziwił się Fischer. – Czym sobie na to zasłużyłem? – zapytał. Nie przypuszczał, że rozmowa, na którą został zaproszony, przybierze taki obrót. Tym bardziej że Wądołowski na początek zaproponował kawę i koniak. O degradacji powiedział mu dopiero wtedy, gdy opróżnili już swoje kieliszki, a komendant napełnił je ponownie.

– Drogi panie komisarzu, wie pan, jak pana cenię. Ale mam nowe wytyczne w związku z przekształceniami w policji. Idzie o to, że pan jest najmłodszy wiekiem spośród tych, którzy tu w dziewiętnastym roku zaczynali służbę. I do tego jeszcze najmłodszy stażem, bo oni pracują nieprzerwanie od dziewiętnastego roku, a pan miał pewną przerwę w służbie...

Tym razem Fischer pomyślał, że się przesłyszał. Owszem, miał ponad rok przerwy, ale nie dlatego, że był na urlopie.

– Myśli pan o mojej delegacji na front bolszewicki? – zapytał chłodnym tonem.

Wądołowski machnął ręką.

– Drogi panie Antoni, przecież ja doskonale wiem, że pan nie pojechał do wód w Karlsbadzie na leczenie podagry, ale walczył pan dzielnie za naszą kochaną ojczyznę, a sam Naczelnik przypinał panu krzyż *Virtuti Militari*, ale pan rozumie... Parytety, te cholerne parytety. Mam mieć siedmiu komisarzy i jednego podkomisarza. Jak tak dalej pójdzie, to może się jeszcze okazać, że w ramach parytetów nakażą nam zatrudniać kobiety...

W tym momencie Fischer zrozumiał, w czym rzecz. Jego koledzy, którzy zaczynali z nim służbę w policji, umościli sobie gniazdko i zajęli się pracą biurową, a do roboty na ulicy został on. Już chciał

powiedzieć, że w takim razie musi to wszystko przemyśleć i zastanowić się, czy aby nie odejść ze służby, ale komendant nie dał mu dojść do słowa.

– Kochany panie Antoni, podkomisarz to nic złego. Dostanie pan własny obszerny gabinet, ale najważniejsza jest funkcja. Otóż chciałbym, żeby pan został szefem formującej się właśnie brygady śledczej, której będą podlegać lotne brygady we wszystkich sześciu komisariatach. A to oznacza, że pan będzie się zajmował nadzorem, oczywiście w miarę potrzeb samodzielnym nadzorem nad wszystkimi najważniejszymi sprawami kryminalnymi w całym Poznaniu. Nie muszę dodawać, że w związku z tym pańska pensja znacznie wzrośnie.

– A co ze służbową bronią? – rzucił ironicznie. Komendant nie wyczuł prześmiewczego tonu. Należał do tych ludzi, którzy wcale nie znali się na żartach.

– No przecież ma pan swoje parabellum. Ale jakby pan potrzebował czegoś ekstra, to poszukamy w naszej zbrojowni.

– Słuchajcie no, Karolak – oficer spojrzał na gadatliwego podoficera, uśmiechając się lekko – a czym wy się zajmujecie na komisariacie?

– Ja melduję, że wszystkim. Znaczą się dyżury w komisariacie i patrole na mieście, włamania i zaginięcia, opilstwo, awanturnictwo, włóczęgostwo, żebractwo, czyli mydło i powidło, panie komisarzu.

– A nie chcielibyście przejść do mnie, znaczą do Prezydium, do brygady śledczej?

Karolak wbił w Fischera zdziwione spojrzenie. Raczej spodziewał się bury za niezbyt obszerny raport, ale na pewno nie takiej propozycji. Poderwał się więc na równe nogi i zrobiwszy krok w kierunku biurka, za którym siedział Fischer, stanął przed nim, przyjmując postawę zasadniczą.

– Ja melduję, panie komisarzu, że jestem całkowicie do pana predyspozycji. I nawet se gnata gdzieś mogę kupić, żeby gołą dupą... znaczą się kaburą gołą na służbie nie świecić.

– Przyjdźcie jutro o dziewiątej do Prezydium. Zgłosicie się do naszego zbrojmistrza Wilhelma Kaczmarka i powiecie mu, że was

przysłałem w kwestii rewolweru. A jak już będziecie mieli gnata, meldujcie się w moim biurze.

Przodownik Waldemar Karolak jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywał się w drzwi, które zamknęły się po wyjściu z pokoju podkomisarza Fischera. Nie do końca dotarł do niego sens tego, co się przed chwilą wydarzyło. Rozumiał, że będzie pracował w Prezydium, czyli jak to się teraz mówi – Dyrekcji Policji. Ale dlaczego, za diabła nie mógł pojąć. Może dlatego, że tak ładnie potrafił wszystko upisać, nie stawiając kleksów. Pomyślał wtedy, że jednak dokładność i staranność mają sens. Ten swój raport przerabiał pięć razy, zanim w końcu udało mu się napisać go bez błędów i brudów.

Godzina 1.20 po południu

Wywiadowca Gil zatrzymał się przed monumentalnym neogotyckim budynkiem Komendantury Miasta przy placu Wolności. Spojrzał na główne wejście i uśmiechnął się zadowolony, podkreślając jednocześnie swój okazały wąs. Uśmiechał się, bo miał doskonały humor. W ciągu zaledwie jednego poranka i przedpołudnia rozwiązał zagadkę znikającej żony swojego kolegi. Nie dość, że sprawa okazała się nadzwyczaj prosta, to jeszcze można na niej było zarobić o wiele więcej niż sam zwrot kosztów, jaki oferował mu zdradzany przez żonę Geisler. Trzeba tylko było umiejętnie to wszystko rozegrać. No ale do rozgrywek to on już się nadawał jak nikt.

Rozejrzał się szybko dokoła, choć tylko dla stworzenia pozoru obcego człowieka w tym miejscu. Nie zaniedbywał nigdy takich drobiazgów i dzięki temu był bardzo skuteczny w śledczej robocie. Budka z papierosami i gazetami stała nieopodal, tuż przy bocznej ścianie budynku Esplanady. Podszedł więc tam szybko, zajrzał do okienka, do którego nawet nie musiał się nachylać jak większość ludzi, bo jego niezbyt okazały wzrost pozwalał mu na nawiązanie konwersacji z siedzącym na taborecie kioskarzem twarzą w twarz.

– Pudełko egipskich poproszę i odkrytkę z Poznaniem.

– O, pan komisarz to od rana będzie listy pisał? – zdziwił się sprzedawca, który znał dobrze Gila, więc w tym przypadku udawanie obcego zdało się psu na budę. Policjant od zawsze kupował tu papierosy. Pracował wszak w Dyrekcji Policji, niemal dokładnie naprzeciw budki gazetowej.

– Sprawa służbowa, więc cicho sza.

– Się rozumie. Tajemnica policyjna. – Mężczyzna o ospowatej twarzy pokiwał głową ze zrozumieniem. Znał się na sprawach policyjnych, bo wszyscy policjanci z naprzeciwka zaopatrywali się u niego w prasę oraz tytoń i dzięki temu niejedno już słyszał. Gil nie był specjalnie rozmowny, ale kioskarsza wcale to nie zrażało.

– A markę na kartkę to też szanowny pan komisarz se winszuje?

– Daj pan ino kartkę.

– A jaką, bo to mamy nowe z uniwersytetem i z banhofem, i z Tiergartenem, i jeszcze...

– Dawaj pan najtańszą – mruknął Gil, odwracając się niespokojnie w kierunku drzwi prowadzących do dowództwa wojskowego. W zasadzie nic się tu nie zmieniło od chwili, kiedy dotarł na plac Wolności, poza tym, że zdołał nieco odsapnąć, bo przeszedł w końcu kawał drogi od Jeżyc, a ten, za którym podążał, był od niego zdecydowanie wyższy i szybciej poruszał nogami. Na szczęście dla wywiadowcy część dystansu śledzony i śledzący pokonali tramwajem, bo gdyby nie to, mogłoby się zdarzyć, że wywiadowca nie dałby rady dotrzymać kroku temu postawnemu mężczyźnie.

Ale najpierw szedł za Geislerową. Zgodnie z ustaleniami poczynionymi w Grandce, tak jak obiecał swojemu koledze, do śledzenia niewiernej żony zabrał się od razu. Dziś rano stanął w bramie kamienicy położonej *vis-à-vis* tej, w której mieszkał podejrzliwy urzędnik. Najpierw zobaczył samego Geislera, jak ten wychodzi z domu, udając się jak co dzień do nowego ratusza. Pół godziny później na ulicy pojawiła się Geislerowa. Musiał przyznać, że kobieta wyglądała całkiem smakowicie. Zgodnie z obowiązującą modą miała na głowie okrągły, kremowy kapelusik, niemal pozbawiony randa, za to ze sztuczną różą, wpiętą w bok przylegający do prawej skroni. Spod niego wyłaniały się dwa kosmyki jasnych jak perły włosów.

Ubrana była w jasnobrązowy wełniany płaszcz z kołnierzem z króliczego futra, do tego kremową spódnicę, odsłaniającą dyskretnie nieznaczną kawałek łydki w białej pończosze. Brązowe buty na niezbyt wysokim, solidnym obcasie dopełniały reszty.

Wywiadowca Gil, zobaczywszy ją, jak wychodzi z bramy, oblizał spierzchnięte usta. By się upewnić, że to właśnie obiekt jego zainteresowań, spojrzał w lewo. Tam, na chodniku, zasłonięty płachtą gazety, stał Geisler. Musiał w tej gazecie zrobić sobie dziurę obserwacyjną, bo gdy tylko dostrzegł pytające spojrzenie policjanta, złożył ją wpół i prawą ręką uniósł w górę swój kapelusz. To był właśnie umówiony znak, który spuszczał ze smyczy gończego psa Gila.

Ten ruszył za zwierzyną jak chart na polowaniu, wyczuwając w powietrzu zapach jej konwaliowych perfum. Pomyślał nawet, że gdyby nie zadanie, które miał do wypełnienia, na widok takiej kobiety z klasą ruszyłby za nią w nadziei, że ta zwróci na niego uwagę. Teraz jednak musiał zrobić wszystko, żeby nie zwróciła. Ale widać było, że nie czuje się śledzona czy obserwowana. Wyszedłszy z bramy swojej kamienicy, ani razu nie obejrzała się za siebie. Szła krokiem pewnym i dostojnym zarazem, jak na żonę urzędnika przystało. Tłum przechodniów rozstępował się przed nią jak morska toń przed smukłym dziobem fregaty, a niejedni mężczyźni spoglądał w ślad za nią tęsknym wzrokiem. Człowiek przebrany za tubkę pasty do zębów Sfinks nawet spróbował zastąpić jej drogę w nadziei, że odbierze od niego ulotkę, ale ona wyminęła go zgrabnie i po chwili zniknęła za rogiem.

Gil pobiegł szybko, ale na szczęście nie odeszła daleko. Dogonił ją blisko Zwierzynieckiej. Tu przy narożnikowej kamienicy, stojącej frontem do muru warsztatów tramwajowych, przystanęła na chwilę i rozejrzała się dookoła.

Nikt z przechodzących tu ludzi, podążających z przystanku tramwajowego w kierunku wojskowych szwalni, nie zaniepokoił jej swoim widokiem. Na Gila stojącego obok ulicznej lampy elektrycznej i spokojnie palącego papierosa nie zwróciła najmniejszej uwagi. W końcu weszła w drzwi, bo chata była tak nędzna, że nawet nie miała bramy wjazdowej. Wywiadowca tymczasem patrzył uważnie,

oceniając to miejsce. Zwykła szara czynszówka z niezbyt szerokimi oknami. Żadnych ozdób na elewacji. Trzy piętra i dwa wejścia. Pokój na godziny można było tu zapewne wynająć za grosze.

Policjant przebiegł ulicę, poganiany dzwonkiem tramwaju nadjeżdżającego od strony zoo. Przed wejściem do budynku przystanął na chwilę. Zza uchylonych drzwi nie dochodził najmniejszy nawet szmer. Czuć było za to wyraźnie intensywny zapach kwaśnej kapusty, gotowanych ziemniaków i kocich szczyn. Wszedł na korytarz po trzech schodach i znów przystanął, nasłuchując.

Albo weszła na pierwsze piętro, albo poszła na podwórko, analizował sytuację, bo gdyby szła na drugie albo wyżej, to usłyszałby stuk obcasów na drewnianych schodach. Tymczasem nic nie było słyhać. Spojrzał w głąb korytarza. Drzwi po drugiej stronie musiały prowadzić na podwórze i zapewne dalej do jakiejś oficyny.

– A pan szanowny to co tu szuka? – Z zamyślenia wyrwał go skrzeczący głos jakiejś starszej kobiety. Początkowo niczego nie dojrzał. Dopiero po chwili, gdy oczy przyzwyczyły mu się do półmroku, zrozumiał, że to, co brał dotąd za leżący na krześle w kącie korytarza tobiół albo worek, było żywą istotą. Upewnił się w tym, gdy worek poruszył ręką.

– Bo jak kto nie ma interesu, to nie ma tu co łązić. A pan ma interes?

– Ja względem jednej pani...

– Jakiej pani? – wyskrzeczwała kobieta.

– Takiej, co tu chyba mieszka...

– Żadna tu nie mieszka.

– Ale jak ona wchodziła... bo chusteczka jej wypadła... – kłamał jak najęty. – A na poparcie łgarstwa wyciągnął z kieszeni swoją brudną i pomiętą chustkę.

– Nie było nikogo. Ani nic nie było. Nie ma tu co łązić.

– A Koziółek to mieszka na trzecim? – Naraz przypomniał mu się Koziółek, którego właśnie posadził za pobicie dziwki.

– Na drugim! Ino że onego ni ma... – powiedziała ostrożnie, ważąc słowa.

– A gdzie jest?

– Jak gdzie, w robocie musi być. Porządne ludzie to panie pracują, a nie łażą po chałupach. – Wyczuł, że jej nastawienie do niego całkowicie się zmieniło. Zdaje się, że nazwisko Koziółka było niczym zakłęcie Ali Baby otwierające wrota do skarbcza.

– Ale niby jak od Koziółka, to insza sprawa. Jak pan se chcesz poruchać, to trza było od razu gadać... – Kobieta wstała z taboretu, kiwnęła na policjanta i ruszyła w kierunku drzwi prowadzących na podwórze. Gil poszedł za nią, nie bardzo wiedząc, co teraz powinien zrobić.

Rajfurka zatrzymała się i znów pomachała na Gila.

– No dalij, dalij, panie... Od Koziółka to inna sprawa... Jest ładna dziewczynka. Zdrowa, miód malina i mliko. Zara się ją naszykuje. No chodź pan, dalij, dalij, miód malina i mliko. Tako ładno, że aż strach... Ino dla gości od Koziółka...

Uśmiechnęła się do niego, odsłaniając kilka poczerniałych zębów.

– To niby gdzie mam iść? – zapytał, rozglądając się po dziedzińcu otoczonym z czterech stron ścianami oficyn. Do każdej prowadziło jedno wejście. Podprowadziła go do tego po lewej stronie. Naraz odwróciła się za siebie i spojrzała w korytarz, z którego właśnie wyszedł wywiadowca. Ktoś tam w tym momencie wszedł z ulicy, bo trzasnęły drzwi i zaraz rozległy się kroki.

– Pan poczeka w sieni, ino szpyncę, kogo tam niesie... – Zostawiła go samego.

Gil na wszelki wypadek wszedł w głąb klatki schodowej. Wolał nie ryzykować spotkania z kimś znajomym, bo nadchodzący mógł być przecież człowiekiem, który miał już do czynienia z prawem, skoro miejsce, w którym się znalazł, a był o tym coraz bardziej przekonany, było czymś w rodzaju nielegalnego burdelu i domu schadzek w jednym. Fakty mówiły same za siebie. Skoro starucha proponowała mu panienkę, a kobieta z dobrej rodziny przyszła tu na spotkanie z gachem, znalazł się w samym sercu kurwiego interesu, o którym policja dotąd nie miała pojęcia.

Stanąwszy przy ścianie w niewielkim korytarzyku, wyjrzał dyskretnie na podwórko. Z zewnątrz nie dało się go dostrzec, ale on widział wszystko przez wybitą szybkę w drzwiach.

Starucha tymczasem, gnąc się w pas, wskazywała ręką drogę. Ten, któremu ją pokazywała, był wysokim, postawnym mężczyzną, ubranym w czarne palto z futrzanym kołnierzem. Na głowie miał czarny kapelusz fedora. W ręce trzymał także czarną, połyskliwą laskę, zakończoną srebrną rączką. Policjant miał wrażenie, że gdzieś już go widział. Mężczyzna miał na policzku wyraźną bliznę, zapewne ślad po studenckim pojedynku. Przed wojną wśród niemieckich studentów poznańskiej Akademii Królewskiej bardzo rozpowszechniony był zwyczaj załatwiania sporów honorowych właśnie na drodze pojedynku. Szpady, których używano, mogły zostawiać rany tylko na policzkach, bo inne części ciała były szczelnie osłonięte.

Prowadzony przez sutenerkę podszedł do drzwi znajdujących się niemal dokładnie naprzeciwko tych, w których stał ukryty policjant. Kobieta zapukała, pewnie w szybę. Nie musieli długo czekać. Drzwi się otworzyły i Gil dostrzegł w progu, rozebraną już z płaszcza oraz kapelusza, rozpromienioną żonę Geislera.

Gdy gość zniknął wewnątrz, wywiadowca uśmiechnął się do swoich myśli. W końcu sprawdziły się jego podejrzenia. Kobitka miała gacha i przyjmowała go w tajnej garsonierze na godziny. Ciekawe tylko, kto za to płacił? Z zamyślenia wyrwała go stara rajfurka.

– No, dziewczynka czeka. Na górę, dalij, dalij, na górę, czeka miód malina...

Odepchnął ją lekko i poszedł do wyjściowych drzwi. Nie miał ochoty na jakieś dziewczynki. Musiał doprowadzić sprawę do końca. A koniec wydawał mu się całkiem obiecujący. Przemyślał sprawy błyskawicznie i już wiedział, co powinien zrobić. Dlatego odczekał ponad dwie godziny po drugiej stronie ulicy. W końcu ze środka wyszedł amant, który spotkał się z niewierną żoną urzędnika. Ona przestała zajmować policjanta, bo na jej temat zebrał już wszelkie dane. Teraz musiał się wszystkiego dowiedzieć o gachu. Ruszył więc za nim i w ten sposób pół godziny później znalazł się przed budynkiem komendantury.

Kupiwszy najtańszą kartkę pocztową, przedstawiającą naczelnika Piłsudskiego na galowo i przy orderach, napisał na niej kilka słów i z

tą kartką w ręce podszedł do wartownika w wojskowym mundurze, strzegącego wejścia do budynku.

– Tu wchodził jeden pan... – stwierdził władczym tonem Gil. Ale jego stanowczość nie zrobiła żadnego wrażenia na kapralu.

– Różne tu wchodzi.

– Masz tu kartkę do tego pana, co to miał palto z futrzanym kołnierzem i czarny kapelusz, i szramę na gębie. A jakby ci się co pomyliło i komuś innemu byś ją oddał, to bodajby cię matka nie urodziła...

– Trzeba było od razu, że do pana pułkownika Gatnera. – Żołnierz uśmiechnął się przymilnie, wyciągając rękę po kartkę. A Gil, słysząc to nazwisko, poczuł nagle zimno na karku. Uniósł pocztówkę, zastanawiając się, czy aby na pewno robi dobrze...

Wartownik złapał ją i pociągnął. Już było po sprawie. Albo wóz, albo przewóz. Albo się uda, albo... Pomyślał przez chwilę, że właśnie dosiadł się do stołu do gry w pokera, przy którym grają sami bogacze, lecz on nie dość, że ma słabe karty, to na dodatek nie ma nawet pieniędzy na otwarcie, a co dopiero na zagrywkę w ciemno.

Godzina 2.30 po południu

– Dziś jest pomidorowa! – rzuciła mu na powitanie Greta.

– No to zapowiada się pomidorowa ucztą! – odpowiedział, uśmiechając się do panny, która jak zwykle, gdy wracał do domu, wybiegła na korytarz, by go powitać. Odczekała chwilę, aż zdejmie palto, i w momencie, gdy zawiesił je na wieszaku, rzuciła mu się na szyję. Mieli ten rytuał opracowany w najdrobniejszych szczegółach, więc gdy wybijała się w górę, łapał ją wpół i pozwalał, by objęła go mocno. Całus w czoło dopełniał ceremonii, która zależnie od sytuacji domowej kończyła się wniesieniem lekkiej jak piórko, szczupłej trzynastolatki do jadalni albo do kuchni.

– Kierunek kuchnia marsz! – wydała polecenie, a tragarz mruknął z zadowolenia. Kuchnia oznaczała bowiem, że nikogo w mieszkaniu poza domownikami nie było i obiad można było zjeść mniej oficjalnie, przy kuchennym stole.

– O, pan kapitan już są! – przywitała wchodzących Karolka, gruba jak baleron, wiecznie uśmiechnięta sześćdziesięciolatka, która od zawsze była najważniejszą osobą w kuchni. Prowadziła jeszcze przed wojną dom starego Edmunda Fischera, ojca Antoniego i Anny. Gdy ten zmarł, córka zabrała ją do siebie, na Jeżyce. Miała własne mieszkanie, ponieważ krótko przed wybuchem wojny wyszła za mąż za Wojciecha Krukowskiego, lekarza, któremu wrócono wielką medyczną karierę. Te przepowiednie zapewne by się ziściły, gdyby nie wojna. Krukowski został zmobilizowany i wysłany na front wschodni. Jako lekarz zajmujący się rannymi żołnierzami miał zdecydowanie większe szanse na przeżycie niż jego pacjenci. Niestety, zaraził się tyfusem i zmarł w jakimś polowym szpitalu.

Gdy po wojnie do Poznania wrócił brat Anny, porucznik Fischer, swoje pierwsze kroki skierował do domu siostry, bo ich dawne rodzinne mieszkanie od dawna stało opustoszałe. Ustalili, że nie ma sensu, by przenosił się na swoje, skoro u niej było dość miejsca dla obojga.

Antoni nie miał w planach żeniaczki, bo na horyzoncie jak dotąd nie pojawiła się żadna panna, która mogłaby w przyszłości stać się panią Fischerową. Dlatego pomieszkiwanie u siostry bardzo mu odpowiadało. Nic więc dziwnego, że właśnie tu przyprowadził dziesięcioletnią wówczas Gretę.

Fischer nie miał pojęcia, co powinien był zrobić z dzieckiem, ale o jednym był przekonany. Nie mógł jej pozostawić na pastwę losu na korytarzu kamienicy.

– Jak ci na imię, dziecko? – zapytał ją po niemiecku.

– Gretchen.

– Ja jestem Anthon. Anthon Fischer. Masz dokąd pójść?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie masz żadnych krewnych?

Przez chwilę milczała.

– Ciotka Hilda cały czas pije razem z tym swoim Fritzem. Piją i się ciągle leją, a ona chodzi z obitą gębą.

Spojrzał uważnie na dziewczynkę. Oczy miała wilgotne, ale widać było, że ostatkiem sił powstrzymuje płacz.

– Nie umiem, cholera, rozmawiać z małymi dziewczynkami – mruknął do siebie pod nosem po polsku.

– To wcale nie jest trudne – odpowiedziała też po polsku i się uśmiechnęła.

W tym momencie podjął decyzję. Automatycznie, bez większego namysłu. Tak jak decydował w czasie wojny, gdy musiał podrywać swoich żołnierzy do ataku. Wiedział, że musi to zrobić i tyle, bo nie było wtedy czasu na roztrząsanie wszystkich za i przeciw. Podniósł się z krzesła, a ona zrobiła natychmiast to samo. Chwycił jej walizkę i wskazał na drzwi. Pokiwała szybko głową i ruszyła przodem. Pół godziny później przedstawił Gretchen Annie.

– Czy wy w końcu dorośniecie kiedyś? – Anna, słysząc śmiech Grety, przyszła do kuchni. Do tej chwili siedziała w gabinecie nad jakąś książką. Bo jako nowoczesna i wyzwolona kobieta cały czas uzupełniała swoje naukowe wiadomości. W ubiegłym roku ukończyła wydział lekarski poznańskiego uniwersytetu i od kilku miesięcy praktykowała w szpitalu wojskowym przy Libelta. Choć, jeśli chodzi o praktykę, miała już jej pod dostatkiem, bo przez całe cztery lata wielkiej wojny i później w czasie powstania wielkopolskiego pracowała w tym szpitalu jako pielęgniarka.

– Tak, pani doktor. – Antoni postawił na podłodze dziewczynkę, podszedł do siostry i ucałował ją w czoło. – Melduję, że robimy wszystko, żeby dorosnąć, ale z tą pannicą niewiele się zda poradzić. Skacze jak koza. – Wskazał na Gretę, która już sadowiła się na swoim krześle przy pomalowanym na biało kuchennym stole.

– Jakby wujcio mnie nie nosił, tobym nie skakała.

– Żeby tylko to skakanie nie zakończyło się kiedyś jakimś wypadkiem. – Anna groźnie zmarszczyła brwi i pogroziła palcem dziewczynce. Ale groźby nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia.

– W razie pilnej potrzeby mamy na szczęście pod ręką wykwalifikowaną pomoc medyczną, w dodatku jeszcze z wieloletnim doświadczeniem w opatrywaniu ran postrzałowych i wszelkich kontuzji nabytych podczas walki – stwierdził Fischer, wkładając sobie ogromną serwetę za koszulę pod szyją.

– Wolałabym jednakowoż nikogo z was nie opatrywać.

– Jakby mi się co stało, tobym nikomu nie dała się opatrzeć, tylko mamci – stwierdziła poważnym tonem Greta. Anna uśmiechnęła się do niej i pogłaskała ją po jasnej głowce.

– Nic ci się nie stanie! Już my o to zadbamy. Bo co by tata powiedział?

– Wincenty pisał? – Antoni przypomniał sobie naraz, że już najwyższy czas, żeby nadszedł list od ojca Greta. Kapitan Wesołowski, który od dwóch lat był mężem Anny, przebywał bowiem z misją wojskową w Paryżu. Mniej więcej raz w tygodniu przychodziła od niego korespondencja, w której opowiadał swoim bliskim o tym, co robił i co zwiedzał, ale także opisywał z literackim zacięciem paryskie ulice i restauracje. Każdy list był odczytywany na głos w obecności wszystkich domowników.

– Listowy już chodził dzisiaj i ja jego pytała, ale nic nie było – stwierdziła Karolka, stawiając na stole wazę z zupą. – Ja jemu kazała jeszcze raz szpytnąć do torby, żeby sprawdził, czy aby mu się gdzie nie zawieruszył. No i sprawdzał na korytarzu przy mnie wszystkie listy i nic nie było.

– Tatuś napisze. Spokojna głowa!

– Spokojna głowa? A cóż to za powiedzonko, moja panno? – zdziwiła się Anna.

– Powiedzonko całkiem adekwatne. – Fischer jak zwykle stanął po stronie Greta. – Mój podkomendny Anastazy Olkiewicz powiadał jeszcze mocniej do swoich żołnierzy.

– Jak wujciu, jak?

– Antoni!

– Niech was o to łby nie bolą, wy dębowe pały. Ha, ha, ha!

– Hi, hi, hi! Pięknie, dębowe pały.

– Antoni, ja cię bardzo proszę, żebyś mi do domu koszarowych manier nie wnosił! – powiedziała z wyrzutem Anna, choć widać było, że i jej te pały przypadły do gustu. Nie była kobietą zasadniczą i specjalnie konserwatywną w kwestiach wychowawczych. Jednak zależało jej na tym, by Greta otrzymała staranne wychowanie. Jakoś podświadomie próbowała jej wynagrodzić ten czas, kiedy dziecko cierpiało z braku matczynej miłości, której tak bardzo potrzebuje każda dorastająca dziewczynka. Sama od dwunastego roku życia

wychowywała się bez matki i teraz, gdy przyszło jej matkować Grecie, starała się to robić najlepiej jak umiała.

Wtedy, w dziewiętnastym roku, gdy Antoni przyprowadził do jej domu osieroconą dziewczynkę, w pierwszym odruchu chciała poszukać dla niej jakiegoś domu opieki czy sierocińca. Ale to była tylko pierwsza myśl, której się do dziś przed samą sobą wstydziła. Odrzuciła ją szybko i schowała głęboko, by nigdy więcej nie wróciła. Nie było potrzeby. Już następnego dnia, gdy weszła do pokoju, w którym spała Greta, gdy spojrzała na jej jasne włosy, spływające po białej poduszce, wiedziała, że to dziecko zostanie w jej domu tak długo, jak długo będzie trzeba. Aż znajdzie się ktoś bliski z rodziny, komu będzie można powierzyć opiekę nad dziewczynką. Choć tak naprawdę wcale nie wierzyła, że ktoś taki mógłby się znaleźć, a nawet gdyby się znalazł, czy by sobie poradził? Aż wreszcie któregoś dnia do mieszkania Anny zapukał pewien mężczyzna ubrany w egzotyczny niebieski mundur i rogatą czapkę z daszkiem.

– Czy jest pan pewien? – zapytała, gdy wyjaśnił, z czym przyszedł.

– Najzupełniej. Ten adres wskazał mi właściciel kamienicy. Podał też nazwisko pana porucznika Antoniego Fischera. Pani brat zostawił te informacje na wszelki wypadek, gdyby były jakieś sprawy urzędowe.

– Tak, to oczywiste. Antoni jest bardzo skrupulatny.

– Oczywiście, droga pani, dzięki temu tu jestem.

– Ale przyzna pan, że to sytuacja dość... nietypowa.

– Tak, oczywiście. Ale to wojna właśnie sprawia, że znajdujemy się w nietypowych sytuacjach.

– Chodzi o to, że nie bardzo rozumiem, jak to możliwe.

– Nie ma w tym niczego dziwnego, szanowna pani. Byłem na froncie tak jak wielu moich kolegów, ale to ja miałem więcej szczęścia od nich. Podczas ataku wybuchający przy mnie pocisk ogłuszył mnie i pozbawił przytomności. Gdy się ocknąłem, okazało się, że leżę przywalony jakimiś belkami z okopowego szalunku. Wołałem pomocy, ale nikt nie słyszał. Wreszcie na moje wołanie odpowiedział ktoś po polsku. Przywołałem do siebie rodaka i naraz okazało się, że ten jest z wrogiej, francuskiej armii. Wytłumaczył

swoim, że jestem Polakiem. Odkopali mnie i odesłali do niewoli. A stamtąd już była prosta droga do armii generała Hallera. No i teraz wracamy do...

– Pan jest Polakiem, a Greta... Myśleliśmy, że jest Niemką.

– Moja świętej pamięci żona była Niemką, a jej ojciec, Niemiec i do tego jeszcze nacjonalista. Najpierw dostał zapewne informacje, że zaginałem bez wieści, a potem, gdy już byłem w armii polskiej, pisałem do niego via Szwajcaria przez Czerwony Krzyż, ale nie było żadnego odzewu. Chyba nie mógł mi wybaczyć, że przeszedłem na stronę wroga. To zapewne powód, dla którego nie powiedział jej, że żyję. Dla niego umarłem tam w okopach.

– Ale nazwisko... Przecież Gretchen nazywa się Urlich, a pan się przedstawił jako...

– Wincenty Wesołowski. Ona też się tak nazywa. Widać dziadek postanowił zmienić jej nazwisko na swoje i panińskie matki...

Greta Wesołowska, córka polskiego oficera, pozostającego w służbie czynnej, ze smakiem zjadała swoją ulubioną zupę pomidorową z makaronem. Naraz odłożyła łyżkę na blat stołu i spojrzała na Antoniego. Ten od razu domyślił się, w czym rzecz.

– Tak, oczywiście, tak jak poleciłaś, zająłem się sprawą!

Dziewczynka rozpromieniła się w uśmiechu.

– No to teraz już jestem pewna, że Zosia się znajdzie! Dziękuję, wujciu.

– O czym wy mówicie? – Anna nie miała pojęcia o zaginięciu dziewczynki z kamienicy, w której dawniej z dziadkiem mieszkała Greta. Zrozpaczona matka, wiedząc, że jej dawna sąsiadka mieszka pod jednym dachem z komisarzem śledczym, przyszła prosić Grete o wstawiennictwo. A ta kazała jej iść prosto do Fischera, przekonana, że ten nie odmówi pomocy. I jak zwykle okazało się, że miała całkowitą rację.

– Musi mi wujcio wszystko opowiedzieć ze szczegółami.

– Nic ci nie opowiem, bo to tajemnica służbowa.

– Dowiem się wreszcie, o co chodzi? – zirytowała się Anna.

– Wybacz, kochana, ale nie mogę powiedzieć. Tajemnica służbowa – stwierdził Antoni, pochłaniając ostatnią łyżkę zupy. Pomidorowa

z makaronem była jego ulubionym daniem.

[10] Ślepe ryby (gwar.) – zupa ziemniaczana.

[11] Bejmy (gwar.) – pieniądze.

[12] Kluka (gwar.) – nos.

[13] Więcej na ten temat w powieści *Pójdę twoim śladem*.

Rozdział III

Wysoka, powiat wyrzyski

Piątek

7 kwietnia

Godzina 7.05 rano

Co to jest daktyloskopia? Daktyloskopia jest to najnowszy środek indentyfikacji, który służy jako najpewniejszy środek do stwierdzeń tożsamości i wykrycia przestępstwa. Daktyloskopowanie jest nieomylnym dowodem do stwierdzenia tożsamości, ponieważ wzory utworzone na palcach, które nazywamy liniami papilarnymi, są stałym, t.j. że w życiu ludzkim nigdy się nie zmieniają od dnia urodzin dziecka do śmierci człowieka, aż do zupełnego rozpadu ciała, te same liczby i ten sam kształt zawsze równy jest.

Przodownik Ludwik Bielawski z komisariatu Policji Państwowej w Wysokiej, miejscowości położonej niedaleko granicy polsko-niemieckiej, przerwał przepisywanie instrukcji do służbowego brudnopisu i z ciekawością spojrzął na opuszki swoich palców uwalane atramentem. Na ten widok uśmiechnął się pod wąsem.

Niby człowiek zna swoją rękę od dzieciaka, a tu proszę, skąd by mógł wiedzieć, że ma jakieś linie papilarne? Popatrzył uważniej i rzeczywiście dostrzegł płynne, kolisty rozchodzące się po palcu kreski. I niby moje są tylko moje, a tego tam Frąckowiaka to niby inne?

Bielawski był dociekliwym policjantem, więc zaraz tę swoją wiedzę musiał sprawdzić.

– Ej ty! – zawołał na szeregowca, który siedział za biurkiem i obserwował uliczny ruch. Przodownik kazał mu patrzeć na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo, czy aby coś się nie stanie na ulicy, a wołał go samego na patrol nie wypuszczać, bo młody i głupi, więc nie wiadomo, czy jakichś szkód nie narobi. Ale na drodze niewiele się działo. Przejechała chłopska furmanka, wypełniona zeszłorocznym sianem, a dwaj mężczyźni wyszli z piwiarni Pod Kogutem z kuflami w dłoni, żeby zapalić na zewnątrz papierosa.

– Na rozkaz! – Młody szeregowiec natychmiast poderwał się na równe nogi.

– Chodź ino tutaj – przywołał go podoficer. Chłopak podszedł natychmiast i stanął w przepisowej odległości od biurka swojego pryncypała.

– Pokaż łapę.

– Co?

– No rękę pokaż.

– A którą?

– Prawą.

– Aha.

Przez chwilę zastanawiał się, czy aby na pewno prawa to prawa, a gdy już się upewnił, otarł dłoń o portki i wyciągnął ją przed siebie.

– Bliżej – zalecił Bielawski.

Policjant podsunął rękę niemal pod nos podoficera. Niezbyt czystą, co natychmiast zostało zauważone.

– A ty czemu se ręki nie umyjesz?

Zapytany wzruszył ramionami.

– Melduję, że myłem wczoraj.

– A ty nie wiesz, czym różni się urzędnik państwowy od chłopca?

Znów wzruszył ramionami.

– Ma mundur... – bąknął nieśmiało. Bielawski pokiwał głową, spojrzawszy na chłopaka. Ten ubrany był przepisowo w nową policyjną uniformę, który nie zdążył się jeszcze przetrzeć na kolanach i łokciach. Co innego on, dowódca, który na służbie był od dziewiętnastego roku. Najpierw chodził w wojskowym mundurze

niemieckim, później w granatowym policyjnym, ale ten wysłużył się zupełnie, więc musiał napisać podanie do komendanta powiatowego w Wyrzysku, żeby pozwolili mu chodzić na służbę w tym starym, poniemieckim. Liczył trochę na to, że dostanie asygnatę na nowy, ale komendant jego prośbę rozpatrzył pozytywnie i oto znów musiał ubrać szary mundur wojskowy, taki jak ten, który nosił od czternastego roku. Na szczęście wyglądał znacznie lepiej niż wtedy, gdy miał na nim niemieckie dystynkcje, bo żona Marta ponaszywała mu nań numery służbowe i krokiewki starszego posterunkowego.

– Ma mundur i świeci przykładem, znaczy się, że jest czysty i ogolony, a zwykły chłop to może co najwyżej gołą dupą świecić. Rozumie się?

– Tak jest. Jestem ogolony.

– To jak już się golicie, to od razu myjcie ręce.

Spojrzał na pryszczatą twarz młodzika. Próżny trud z tym myciem po goleniu. Chłopak się jeszcze nie golił, a tylko udawał mężczyznę.

Chwycił tę jego prawą rękę i zaczął uważnie przyglądać się liniom na opuszkach palców. Potem porównał ze swoimi i wyszło, że rzeczywiście różnią się zasadniczo.

– Kto by, cholera, przypuszczał – powiedział zdumiony.

– Że co, panie posterunkowy?

– Linie papilarne – wyjaśnił.

– Aha. To już mogę iść tam się patrzeć?

– Możecie iść. Aha. Jutro od rana będziecie w swoim kajecie przepisywać to o daktyloskopii, bo jak człowiek przepisuje, to mu się najlepiej utrwała w głowie – mówiąc to, postukał w okólnik, który sam przepisywał z mozołem. No ale skoro on mógł, to dlaczego by nie dać szkoły temu chłopakowi. Niech się gnojek uczy.

Umoczył stalówkę w atramencie i zaczął pisać dalej.

Aby zrobić odbicie palców, bierze policjant danej osobie rękę w swoją lewą rękę, mocno przytrzymuje wskazującym palcem swej prawej ręki czubek palca i kładzie palec na poczernioną kartkę na lewy bok i obróci palec na prawą stronę. To samo powtarza się ze wszystkimi palcami. Jako czernidło używamy czernidło drukarskie,

zastąpić można tuszą używaną do pieczętowania, a już w najgorszym razie atramentem...

Przodownik spojrział na poduszkę nasączoną tuszem do nawilżania służbowych stempli, a potem znowu na Frąckowiaka, gapiącego się przez okno.

– Chodź no tu! – zawołał znowu.

Chłopak poderwał się z miejsca, tym razem nieco się ociągając, bo dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, przed sklepem drogerijnym Rosińskiego zatrzymał się automobil. Piękny zielony i lśniący renault przywiózł panią Popielową z pobliskiego majątku w Mościskach po sprawunki. Szofer właśnie otwierał drzwiczki i dziewczynka wysiadała z auta, a tu masz ci los, przodownik znów go potrzebował.

– Na rozkaz, panie przodowniku. – Stanął w przepisowej odległości od biurka pryncypała. Ten zaś, chichrając się pod wąsem, jakby właśnie zrobił komuś przedniego psikusa, zatarł ręce, by zaraz rozłożyć białą kartkę papieru podaniowego na wysłużonym blacie. Otworzył przy tym poduszkę do stempli i wskazawszy na nią, wyjaśnił.

– Najsampierw przyłóż tu palec wskazujący.

– Jak wskazujący?

– Ten, którym dłubiesz w nosie.

– Aha. – Frąckowiak natychmiast zrozumiał i wyciągnął palec. Bielawski chwycił go lewą ręką, tak jak kazali w instrukcji, i przyłożył go do poduszki, przytrzymując jednocześnie palcem wskazującym prawej ręki. Gdy palec szeregowca był już odpowiednio usmarowany, przyłożył go do kartki i wykonał odcisk, tak jakby to robił z posterunkową pieczęcią. Ale efekt nie był zadowalający. Linie ledwo było widać, bo palec był zbyt obficie pomoczony atramentem. Ale przodownik nie poddawał się i spróbował zrobić jeszcze jeden odcisk. Ten wreszcie okazał się niezwykle udany. Położył więc obok białej kartki kartę bibuły i zabrał się do roboty z drugim palcem, ale tym razem najpierw go do tej bibuły przyłożył, lekko go osuszając, i dopiero potem przycisnął do kartki. Po chwili miał już komplet odcisków palców swojego podwładnego.

– No proszę, jakie ładne te linie papilarne. – Ucieszył się, patrząc na efekt swoich zabiegów.

– Po co to, panie przodowniku?

– To daktyloskopia – wytłumaczył chłopakowi, robiąc przy tym mądrą minę.

– Aha – potwierdził młodzieniec, ale na jego twarzy nie malował się nawet najmniejszy ślad zrozumienia. Podrapał się więc po skroni i oczywiście pobrudził ją sobie tuszem.

– Idź no do pompy i się obmyj, bo żeś się cały usmarował.

Frąckowiaka ucieszyło to polecenie. Dzięki temu mógł wyjść na ulicę, bo do najbliższej pompy trzeba było przejść kawałek.

Młody policjant właśnie otworzył drzwi od posterunku i już chciał wyjść na zewnątrz, gdy w przejściu zderzył się z chłopem o sumiastych wąsach, który ubrany był jak do kościoła – w czarną marynarkę, białą koszulę bez kołnierzyka, kamizelkę, również czarną i także spodnie. Na nogi miał wciągnięte buty z cholewami. W lewej ręce trzymał bat, a prawą zdjął z głowy hamburską czapkę z daszkiem.

– Jak Boga kocham, panowie, obrabowali mnie! – zawołał, wkraczając do środka. Frąckowiak na wszelki wypadek cofnął się do swojego biurka. Mycie mogło poczekać w chwili, gdy wreszcie zaczynało się dziać coś ciekawego.

– Kto was obrabował? – zapytał przodownik.

– Złodzieje – wyjaśnił chłop, podchodząc do biurka Bielawskiego. Odwrócił ku sobie krzesło dla interesanta, usiadł na nim ciężko, czapkę położył na blacie biurka, a bat oparł o ścianę. Gdy ręce miał już wolne, przyłożył je do twarzy, zakrywając policzki. Jego ramionami wstrząsnął spazm.

– No, nie trzeba płakać, panie...– spróbował przerwać tę żenującą scenę posterunkowy. Już miał nawet pogłaskać płaczącego chłopca po łysym czubku głowy, ale na szczęście w porę się powstrzymał. Okazywanie czułości nie było przecież obowiązkiem służbowym kierownika posterunku. Chrząknął więc znacząco, dając gościowi do zrozumienia, że powinien się uspokoić.

– No to powiadajcie, o co się tak w ogóle rozchodzi?

Siadł na swoim wysłużonym krześle i otworzył notes na pierwszej wolnej stronie.

– Się rozchodzi o to, że mnie ukradł złodziej świniaka. Dziś w nocy ukradł, bo wczoraj jeszcze był.

– A niby kto jest ten, co ukradł? – zapytał policjant, który jako bystry człowiek natychmiast zauważył pewną nieścisłość w zeznaniach. Najpierw mężczyzna mówił o złodziejach, a teraz o jednym. Coś tu się nie zgadzało.

– A bo ja wiem, panie oficerze. Ukradł, znaczy złodziej. O Jezusie Nazareńskim, co z moją świnką będzie. Na stracenie poszła!

– No to gadajcie po kolei, jak było, ino żebyście nic nie pokręcili, bo to wszystko idzie tu do protokołu.

– To znaczy się było tak właśnie, że...

Posterunkowy wziął do ręki ołówek i zaczął skrupulatnie wszystko notować.

Wysoka, dnia 7 kwietnia 1922 roku

Doniesienie

Niezawezwany stawia się w biurze Posterunku Pol. P. Wysoka Jakub Pawlak, gospodarz posiadający 40 mórg roli z inwentarzem, zamieszkały w Brzostowie powiat wyrzyski, urodzony 18 maja 1882 r. w Potulicach, powiat wągrowiecki, syn rodziców Jana i Marty z domu Napiecek, religii rzymsko kat., żonaty, 4 dzieci, służył w wojsku, armji niemieckiej od 1915 do 1918 r. rzekomo nie karany donosi:

W nocy z dnia 6 na 7 kwietnia r.b. skradziono mi z mego zamkniętego na kłódkę chlewa świnię wagi około 150 funtów. Dziś rano zajrzałem do mego chlewa, znalazłem chlew próżny, a kłódkę, którą wieczorem dnia 6 kwietnia r.b. sam zamknąłem na klucz rozbitą i leżącą na ziemi. Żadnego rumoru w nocy nie słyszałem i nikogo nie mam w podejrzeniu. Na podwórzu znalazłem czerwoną chustkę do nosa, a którą oddaję w biurze policyjnym.

Ślad prowadził przez pola ku drodze do Mościsk, jednak na drodze ślad zgubiłem.

Wnoszę prośbę o wykrycie mej świni i ukaranie złodzieja.

Jakub Pawlak podpisał się koślawymi literami, za to podpis posterunkowego Bielawskiego był kaligraficzny i dodatkowo ozdobiony pięknym podwójnym brzuszkim w literze B.

– A ta chustka? – Przypomniał sobie policjant.

Pawlak sięgnął do kieszeni marynarki i zaraz na biurku położył niezbyt świeżą chusteczkę do nosa. Policjant przysunął ją do siebie i za pomocą ołówka nieco wygładził. Miała wyraźne ślady używania w postaci smug zaschniętych smarków, jednak nie było na niej żadnego wyszytego monogramu.

– Ma katar, pierdolony – stwierdził przodownik. – Ino szkoda, że się nie da linii papilarnych zez niej zdejmnać.

– Że co? – Zdziwił się okradziony chłop.

– Daktylokoskopia – odezwał się z tyłu młody policjant Staszek Frąckowiak. Usłyszawszy to, Bielawski pokiwał z uznaniem głową.

Jednak ten chłopak nie jest wcale taką niedojdą, jakby się wydawało, pomyślał i schował chusteczkę do kieszeni. Kto wie, mogła się przydać jako ten korpus czy jakoś tak. Jak z tym korpusem było dalej, za nic nie mógł sobie przypomnieć.

Poznań

Godzina 7.15 rano

– Prrr! – zawołał Krystek Kaźmierczak do siwego perszerona, a koń posłusznie przystanął. Dopiero wtedy trzymający lejce zorientował się, że powinien je ściągnąć ku sobie. Ale nie ściągnął, bo zapomniał, a koń, widać mądrzejszy od woźnicy, zareagował tak jak powinien. Bo Krystek przecież żadnym woźnicą nie był, ale zwykłym początkującym złodziejem. A koń i wóz wypełniony beczkami piwa nie należały do niego, ale do jakiegoś wozaka, który zajmował się rozwożeniem piwa po knajpach. Tyle że dzisiaj furman miał pecha, bo gdy wszedł za potrzebą do miejskiego wychodka na placu Świętokrzyskim, drzwi kabiny zatrzasnęły się tak mocno, że nie dało się ich otworzyć ani od środka, ani od zewnątrz. Sprowadzony

specjalnie ślusarz stwierdził ze zdziwieniem, że w mechanizmie zamka zapadkowego jest kawałek zwykłego gwoźdźca, który ktoś musiał włożyć tam celowo. Dopiero po wyciągnięciu tej blokady udało się wozaka wypuścić. Gdy wyszedł na plac, okazało się, że w czasie gdy on walczył z zatrzaśniętymi drzwiami, jego wóz z piwem odjechał w nieznanym kierunku. Nieznanym okradzionemu woźnicy, bo ten nowy kierunek był doskonale znany Krystkowi Kaźmierczakowi, sprawcy całego zamieszania.

To jego właśnie dwaj starsi bracia wysłali, żeby zorganizował wóz z piwem. To było zadanie w sam raz dla najmłodszego z trójki braci. Starsi poszli na piwo do kawiarni na Podgórną, a on w tym czasie wraz z tym, przez którego do całego bałaganu doszło, czyli Zenusiem Brodziakiem, mieli załatwić wóz z piwem.

Ustalili, że najlepszym do tego miejscem będzie ten plac w centrum. Tędy bowiem przez cały dzień przejeżdżały wozy wypełnione beczkami, jadące od Półwiejskiej z browaru Huggera. Mijały zdobny dwoma wieżami ewangelicki kościół, nazywany przez poznaniaków „księżymi portkami”, by podążać dalej do północno-zachodniej części miasta. No i tu właśnie znajdował się ważny punkt na trasie wozaków, szalet miejski zdobiący swoją bryłą przypominającą myśliwski dworek sam środek placu Świętokrzyskiego.

Wozacy, którym ładowano na wozy transport piwa, musieli na towar czekać nawet po kilka godzin. Jedli, pili, łazili wzdłuż i wszerz, a gdy była potrzeba, sikali pod najbliższym płotem. Jednak z grubszą sprawą trzeba było zaczekać, bo wiadomo, że żaden porządny woźnica na ulicy srać nie będzie, a do bramy nie da rady wejść, bo stróż nie wpuści. Wyjeżdżali więc wozami wyładowanymi towarem, często z myślą, by wreszcie usiąść na klozetowej desce. A wychodek na placu był pierwszym na trasie w kierunku centrum i Starego Miasta. Często się więc widywało wóz piwny stojący pod szaletem. Obaj młodzi złodzieje musieli tylko doczekać sposobnej chwili. Gdy zielony wóz z napisem na burcie „Kaczmarek J. Przewóz piwa”, ciągnięty przez siwego perszerona, zatrzymał się na placu, młodzi złodzieje podjęli błyskawiczną decyzję.

– Ja idę wsadzić gwóźdek, a ty ciągnij mi po chłopaków – polecił Krystek.

– A czemu ja? Co ty się myślisz, że ja nie poradzę z gwóźdkiem? – Zenuś chciał się za wszelką cenę wykazać i jednocześnie zrehabilitować za kłopoty, których narobił Tolkowi.

– Głupiś, Zenuś. Idzie o to, że ja mam kombinerki i gwóźdek, a ty nie masz – wyjaśnił Krystek, który rzetelnie przygotował się do skoku. Jego kolega musiał przyznać mu rację. Klepnął Krystka w ramię i pobiegł na Podgórną, gdzie w kawiarni Warszawskiej, słynnej z podawania doskonałej kury w rosole i francuskich pasztecików, mieli oczekiwać dwaj starsi Kaźmierczakowie.

– A ty gdzie, szuszwolu niemyty? – spróbował mu zastąpić drogę pomocnik kelnera, który pilnował drzwi, żeby byle łachudra nie wchodziła na żebrzy i nie przeszkadzała gościom.

– Ja z poleceniem do panów Kaźmierczaków – odpowiedział hardo Zenuś, ucinając w ten sposób rozmowę z cerberem. Kaźmierczakowie znani byli w Warszawskiej od dawna jako porządni i wypłacalni klienci. Gdy podszedł do ich stolika, akurat kończyli dopijać piwo.

– Krystek zaraz będzie zajeżdżał – poinformował złodziei. Walek przywołał więc skinieniem ręki kelnera i wskazał na talerzyk, na którym położył cztery banknoty, każdy o nominale 10 tysięcy marek polskich.

Zadowolony garson schował pieniądze do grubego portfela.

– Już niedługo będzie musiał się pan szanowny kupić taczkę do wożenia bejmów – zażartował Leon, wskazując na pękaty pugilares.

– Zobaczmy, zobaczmy. Powiadają że za dziesięć tysięcy osiemset będzie jedna złotówka dawana, jak zaczną wreszcie tą wymianę pieniędzy. Jak Grabski był premierem, to już dawno obiecywał, że te marki na złotówki wymienią.

– Pożyjemy, zobaczmy. – Leon z powątpiewaniem pokręcił głową. On tam w żadne reformy walutowe nie wierzył. Tylko w pieniądze we własnej kieszeni, a te papierowe były całkiem sympatyczne, bo człowiek czuł, że ma przy sobie gotówkę.

– Skończą się wreszcie te tysiące i milionerzy z gołą dupą! – podsumował kelner, zabierając szkło ze stołu.

Kaźmierczakowie wyszli na ulicę, akurat w chwili, gdy pod kawiarnię zajechał wóz.

– Hamulec zaciągnij, lebiego, bo się wóz stoczy w dół. – Walek wskazał na pochyłość ulicy Podgórznej, a Krystek złapał za drążek, tyle że nie miał siły go szarpnąć do siebie. Leon wskoczył więc szybko na kozioł i sam zabezpieczył wóz. Chłopcy przeszli bez gadania na tył i zajęli miejsce między beczkami, podczas gdy starsi bracia usiedli na koźle. Walek wziął lejce w dłonie i spuściwszy hamulec, pognął konia do przodu. Perszeron był silnym zwierzęciem, ale pokonanie pochyłej Podgórznej wymagało od niego sporego wysiłku. Widać było jednak, że przyzwyczajony jest do tego podjazdu, gdyż niepoganiany sam przyśpieszył kroku, by jak najszybciej dostać się na proste jak stół Aleje Marcinkowskiego. Potem musieli tylko przeciąć plac Wolności, minąć Esplanadę, by dojechać do budynku Prezydium Policji. Dotąd więc plan był jasny i prosty. Tyle że później sprawy się komplikowały.

– Walek, to co robimy, jak przyjedziemy pod policję? – zapytał z tyłu Krystek.

– Zobaczysz, jak dojedziemy!

– Ino że lepiej wiedzieć...

– Zamknij dziób, szczonie! – Walek właśnie obmyślał dalszą część planu, ale nie bardzo wiedział, co dalej zrobić.

Dotychczas planował wszystko Tolek, a oni się zgadzali i zawsze dobrze na tym wychodzili. Tyle że teraz Tolek siedział w areszcie, a oni chcieli go stamtąd wyciągnąć. Nie bardzo jednak wiedzieli, jak się za to zabrać. Jeszcze dwie godziny temu pomysł wydawał się świetny i możliwy do realizacji. Obaj starsi bracia uradzili bowiem, że ukradną wóz z piwem i pojedą nim do budynku Prezydium Policji, który od niedawna nazywano Dyrekcją, ale żaden poznaniak nie używał tego określenia, bo wiadomo, że nowe tak łatwo nie może się przyjąć. No więc chcieli podjechać pod Prezydium i powiedzieć wartownikowi, że przywieźli zamówione piwo.

– Ale przecież do Prezydium nikt piwa nie wozi – miał wątpliwości Leon.

– No właśnie, i dlatego nas wpuszczają. – Walek bronił planu. – O to właśnie idzie. Nikt tam nigdy piwa nie woził. Bo jakby kto woził, toby takiego, co woził, znali z tego, że wozí, a tu przyjeździemy my i powiemy, że przywieźliśmy piwo, i pokażemy, że mamy list przewozowy.

– A skąd niby mamy taki list?

Walek zrobił mądrą minę i wydobył z kieszeni złożoną na czworo kartkę z pieczętką. Na kartce ktoś wypisał na maszynie bardzo poważny tekst.

Poznań 7 kwietnia 1922 roku wew Poznaniu.

Zaświadcza się, że piwo jest dostarczone na zamówienie od browaru Huggera do Prezydium Policji w Poznaniu na ulicę 27 Grudnia za pokwitowaniem wartownika i oddane ma być do rąk własnych, co je mają złożyć w piwnicy, bo tak ustalono zez samem naczelnym komendantem głównym policji wew Poznaniu. I dużo nie gadać, ino przyjąć piwo, a jakby co to komendant objaśni w czym rzecz i jego się pytać.

Pod pismem widać było niewyraźny podpis, coś jak Jan Kowalski, ale tego nie można było być pewnym, za to można było z pełnym przekonaniem przyjąć, że okrągła pieczęć jest jak najbardziej urzędowa.

– Skąd masz takie pismo? – Leon nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Jak się ma łeb nie od parady, to się wie, do kogo w sprawie urzędowej uderzyć. – Waldek się uśmiechnął. – Ten Jabłoński, co to był kancelistą wew ratuszu, a co mieszka na Chwaliszewie i co jego zredukowali w zeszłym roku, jak odchodził z ratusza, to wziął ze sobą tyle pieczętek, ile się tylko dało zwinąć, gdzieś kupił maszynę do pisania i teraz sam prowadzi urząd pod szyldem „Pisanie urzędowych pism i podań”. Wszystkim umi napisać, co se tylko wiara zażyczy. A jak trzeba, to i pieczętkę przystawi, jaką se chcesz. Ja chciałem okrągłą i proszę, jest okrągła z koziołkami wew środku.

– Koziołki, to znaczy się poznańska – przyznał z uznaniem Leon.

– No i nawet jeszcze napis jest doobkoła, ino nie widać dokładnie, co tam pisze, niby coś z drogami, ale to dobrze, bo my przecież

wozem po drodze jedziemy.

I dotarli w końcu do wjazdu na dziedziniec od ulicy 27 Grudnia. Wóz stanął na wprost bramy. Nie musieli długo czekać, żeby zainteresował się nimi wartownik, młody chłopak w nieco za dużej czapce, której daszek opadał mu na oczy, i z karabinem przewieszonym przez ramię.

– Tu nie wolno stać! – krzyknął groźnie. Dalej, odjeżdżać mi stąd, bo wjazd się blokuje! – zawołał w kierunku dwóch wozaków. Ale oni ani myśleli odjeżdżać. Starszy z nich zlął z kozła, zeskokczył na chodnik i sięgnąwszy do kieszeni, wydobył z niej papier.

– A tu jest kwit, że mamy wjeżdżać.

– Jak wjeżdżać? – Zdziwiony wartownik sięgnął po pismo. Rozłożywszy je, zaczął powoli sylabizować.

– Jak piwo? – Tego nie mógł pojąć, bo piwa nigdy nie wwożono do Prezydium.

– No normalnie – odpowiedział wozak. – Piwo jest w beczkach i ma się je rozładować.

– Piwo na policję?

– A co to, szkieły piwa nie piją?

– No niby piją, ale po służbie.

– No to znaczy, że teraz pewnie komendant będzie dawał policjantom po służbie kufelek na przepłukanie gardła, jak na służbie nie wolno.

– Ale jak? Nie mam rozkazu wpuszczać.

– A masz rozkaz nie wpuszczać?

– No nie.

– To znaczy się masz wpuszczać. Co innego, jakbyśmy piwo wywozili z Prezydium, to znaczy, że Prezydium by piwo straciło. A tu nie traci, ino zyskuje. A poza tym jest pieczęć, znaczy się pismo urzędowe jest.

– Ale...

– A tu żeś widział, co jest napisane? Nie gadać, ino przyjąć...

– Co tu się dzieje? – W bramie pojawił się podoficer z wielkim brzuchem, wąsacz o czerwonym nosie, który był wyraźnym dowodem, że jego właściciel za kołnierz raczej nie wylewał.

– Piwo przywieźli, panie przodowniku.
– Jak piwo? – Policjant obrzucił uważnym spojrzeniem wóz i Walka z papierem w ręce.
– Pokażcie to!
Przez chwilę studiował pismo, po czym podał je wozakowi.
– To o co się rozchodzi? – zapytał wartownika.
– Melduję, że...
– Nie chce puścić, panie sierżancie – wyjaśnił szybko Walek.
– A ty żeś pismo widział?
– Ja... widział... ino...
– No to nie widzisz, ówoku jeden, że to nie złodzieje, ino dostawcy. Złodziej nie wnosi, ale wnosi, a ci co wnoszą? Nic, jeszcze wniosą i ustawią w piwnicy zgodnie z poleceniem. Nie rozumiesz czegoś, ofiaro losu? No to jak wszystko rozumiesz, to otwieraj szlaban. A wyjeżdżać mi tu i rozładowywać, byle szybko. Zaraz pokażę, gdzie składować. I jeszcze się sprawdzi wew środku, czy aby na pewno piwo żeście przywieźli.
– Czemu nie, można sprawdzać, panie sierżancie. Pierwsza klasa pilzner prosto od Huggera.

I w ten oto sposób banda Tolka Grubińskiego dostała się do najpilniej strzeżonego miejsca w Poznaniu. Na zewnątrz został tylko Zenuś. Walek kazał mu stać po drugiej stronie ulicy na świecy, żeby miał na wszystko oko i w razie czego przybiegł z ostrzeżeniem. Tylko nikt nie wiedział, na co ma mieć oko i przed czym ostrzegać. Bo przecież nie przed szkiełami, których w tym budynku było więcej niż gdziekolwiek indziej.

Godzina 7.25 rano

Gil podniósł głowę i rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem dookoła. Musiała minąć dobra chwila, zanim otępiały umysł pozwolił mu zrozumieć, gdzie jest. W końcu dotarło do niego, że to jego własne biuro na poddaszu Dyrekcji Policji. W pokoju było gorąco, a on miał na sobie tylko podkoszulek. Buty też zdjął, tylko wcale nie pamiętał kiedy.

Kotara dachowego okienka była zasłonięta, więc do środka wsuwała się nieśmiało tylko wąska smużka porannego światła, która przechodziła przez zawalone papierami biurko i ginęła gdzieś w stosie teczek i akt zalegających na podłodze.

Gil z upodobaniem zbierał stare dokumenty, znosił je do siebie do pokoju i nikomu nie oddawał. Nie musiał, bo tak naprawdę nikt ich nie szukał. W większości były to teczki zawierające dossier bandytów, którzy już dawno przeszli na zasłużoną emeryturę albo na wieczny odpoczynek w krainie szczęśliwych przestępców.

Akta, które walały się jeszcze po różnych biurach, prowadzone w języku niemieckim, były dla wywiadowcy niczym powiew świeżości, wiatr, który niegdyś owiewał młodą twarz początkującego policjanta Gila. Przy większości z tych spraw pracował osobiście, sam śledził, łapał i zamykał oprychów, którym te teczki zakładano. A teraz nikt już nie potrzebował starych poniemieckich akt ani złodziei z początku wieku. Pracownicy policyjnych biur, robiąc porządki, wynosili papiery ze swoich szaf na korytarz po to, by sprzątacze mogli je wrzucić do kotłowni, bo nowe archiwum nie było nimi zainteresowane. Ale dla Gila były one zbyt cenne, żeby je można, ot tak, wrzucić do pieca. Więc brał te zakurzone teczki do siebie na górę, a później przeglądał je godzinami.

Ostatnio w ogóle dużo czasu spędzał w policyjnym biurze. Od momentu gdy rok temu owdowiał, coraz rzadziej wracał do domu, bo nie chciało mu się siedzieć samemu w czterech ścianach, w których każdy kąt nadal pachniał lawendowymi perfumami.

Tutaj za to śmierdziało swojsko kurzem, dymem papierosowym i brudnymi skarpetkami. Dziś dodatkowo jeszcze do tego zestawu codziennych aromatów dołączył smród wydychanej wódki zapijanej sporą ilością piwa.

Gdy rozejrzał się wokół, pomyślał nawet, że właściwie to powinien iść do domu i doprowadzić do porządku swoją garderobę, bo nie pachniał najlepiej. Tyle że nie miał żadnej pewności, czy w szafie garderobianej znajdzie w ogóle cokolwiek czystego, co nadawałoby się do założenia na grzbiet. Wyglądając przez okno, obrzucił ciekawym spojrzeniem wewnętrzny dziedziniec policyjnego budynku, które ograniczała szeroka brama prowadząca do podwórka obok

Teatru Polskiego. Naraz aż zastygł, wlepiając wzrok z niedowierzaniem, bo widok, który miał przed sobą kilka metrów poniżej, był tak niezwykle, że nie mógł weni uwierzyć.

Przez bramę właśnie wjeżdżała powoli na plac platforma browarnicza, załadowana po brzegi piwem.

– Nie, to przecie niemożliwe... Dostawa piwa do Prezydium Policji?
– wymamrotał do siebie.

Naraz poczuł, że tego mu właśnie było trzeba. Po wczorajszym spotkaniu suszyło go jak diabli. Niewiele się zastanawiając, rozejrzał się szybko po swoim zagraconym do granic możliwości pokoju.

Naraz jego spojrzenie padło na krzesło przywalone starymi gazetami. Tych gazet miał już dawno się pozbyć, ale jakoś mu było szkoda. To czasopisma z początku wojny w czternastym roku, znak czasu, który trzeba zachować dla potomnych, tłumaczył wtedy swojemu przyjacielowi Rudiemu Mayerowi, z którym dzielił pokój. Niemiec po wojnie spakował całe swoje życie w dwie walizki i wyjechał do Rzeszy. A on został z tymi gazetami i emaliowanym białym dzbankiem, ozdobionym czerwonymi różyczkami, w którym kiedyś nosiło się wodę do mycia.

Zajrzał pod krzesło. Tam też były gazety, ale w jakimś dziwnym nieładzie. Zgarnął kilka z wierzchu. Dzbanek leżał tak jak zawsze. Znaczy jak kiedyś, wtedy kiedy razem z Mayerem polewali sobie wzajemnie zmęczone po całonocnej pracy głowy nad miednicą. Dziś też by się przydało wodą łeb zmoczyć, ale nie było na co czekać. *Katzenjammer* miał swoje nieubłagane prawa.

Szybko wzuł trzewiki, które wczoraj rzucił pod biurko, szelki zaciągnął na ramiona, założył marynarkę, a na głowę nasunął kapelusz. Przynajmniej nie będzie widać, że ma potargane włosy.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Swoją drogą ciekawe, skąd wziął się tutaj ten wóz. Najwyraźniej dostawa piwa do Dyrekcji. Tylko z jakiego powodu szefostwo zamawiało piwo? Czyżby jakieś święto się szykowało? A może jakie nowe przepisy wprowadzili, które każą podawać policjantom po służbie piwo dla przepłukania gardła? Byłoby to najmądrzejsze prawo pracownicze, jakie kiedykolwiek ktoś wprowadził. Schodząc boczną klatką schodową, pomyślał

z uznaniem, że gdyby tak było w istocie, nie musiałby już wydawać swoich pieniędzy na picie po służbie.

Wczoraj też nie wydał ani grosza, a mimo to wypił tyle, że do tej chwili czuł skutki tego pijaństwa. A musiał przyznać, że na to spotkanie szedł pełen obaw, czy aby czasami nie przeliczył się w swoich rachunkach i czy jego chytry plan nie sprawi, że dostanie po uszach.

Jeśli to Pan Szanowny był na Zwierzyńskiej dziś przed południem, to lepiej, żeby się spotkać w wiadomej sprawie dziś wew barze u Okonia na ulicy Mostowej vis a vis kościoła ewangelickiego, przy stoliku pod oknem o godzinie 9.00. Dyskrecja zapewniona. Życzliwy Policjant.

Zapisana pocztówka przedstawiająca Naczelnika leżała na niezbyt czystym blacie stołu. Wywiadowca policyjny Gil ledwie rzucił na nią okiem, ale nie dał poznać po sobie, że kiedykolwiek miał z nią coś wspólnego. Było ich trzech, jeden wyglądający na szefa i dwóch osiłków, którzy go pilnowali. Obaj goryle stanęli za plecami Gila. Ten, który usiadł naprzeciwko, uśmiechnął się lekko pod równo przystrzyżonym czarnym wąsem i wskazał palcem na kaligraficzne pismo.

– Pan to napisał, prawda? – zapytał niezbyt głośno, jednak na tyle stanowczym tonem, że Gil poczuł się nieswojo.

– Nie znam pana – burknął, żeby zyskać na czasie, i od razu chwycił szklany kufel, by dopić resztkę piwa. Mężczyzna znowu się uśmiechnął, tym razem bardziej przyjaźnie, jakby chciał tym uśmiechem pokazać, że nikt nie musi się go obawiać. Jednak Gil, nie wiedząc czemu poczuł, że oblewa się zimnym potem. Mężczyzna sprawiał wrażenie człowieka, z którym lepiej nie zadzierać. I najważniejsze, nie był to wcale ten, którego się spodziewał. Od tamtego, którego śledził i do którego napisał ten list, był znacznie młodszy. Mógł mieć około trzydziestki. Coś w jego zachowaniu, ruchach, zdradzało, że pod cywilnym ubraniem kryje się żołnierz.

– Nie musi mnie pan znać. Ale żeby panu było łatwiej rozmawiać, to powiem, że nazywam się Jan Nowak. Teraz już mnie pan zna.

– No to o co się rozchodzi?

– Niech pan nie bierze mnie za idiotę. Napisał pan to. – Nowak postukał palcem w kartkę

– Być może, ale nie do pana napisałem...

Mężczyzna znów się uśmiechnął. Gil zauważył, jak zabłyszczały przy tym jego zęby. Nie dość, że miał wszystkie, to jeszcze lśniły śnieżną bielą, tak jakby pomalował je sobie olejnicą. Owszem, wywiadowca już nie raz widział takie białe zęby, ale u małych dzieci. Starszym żółkły, czerniały i wypadały. Choćby i jemu. Miał prawie wszystkie oprócz tych kilku u dołu i u góry, które trzeba było wyrwać, gdy go zaczęły boleć. Ale na szczęście to były te tylne, więc przód prezentował się niemal nienagannie. Niemal, bo zęby już dawno straciły kolor i teraz były lekko brązowe. Gil myślał sobie, że to naturalna kolej rzeczy i wszystko się w człowieku starzeje. A tu proszę, taki facet sobie przyłazi do knajpy, siada naprzeciwko niego, wyciąga jego własną kartkę pocztową i do tego wszystkiego jeszcze świeci białymi zębami. Trzeba z nim będzie zrobić porządek, zdecydował wywiadowca policyjny i spojrzawszy groźnym wzrokiem na mężczyznę, odpowiedział, cedząc słowa.

– A idź se, chłopie, do cholery, bo ja z tobą gadać nie będę, boś mi ani brat, ani swat.

– No dobrze, jak nie chcesz po dobroci, to trzeba ci będzie przemówić do rozsądku.

Usłyszawszy to, Gil lekceważąco wydał wargi. Też coś! Taki facet to tutaj, w jego knajpie, do której ciągle zachodził po służbie, ale i przed, a nawet w trakcie, to może jemu naskakać.

– Możesz mi pan naskakać... – zdążył tylko powiedzieć, ale kontynuować już nie miał zamiaru, bo naraz, ni stąd, ni zowąd, został pchnięty silną ręką i przesunięty w kierunku ściany. Z trudem mógł złapać oddech. Przyciskał go jeden, większy z dwójki goryli, bo drugi usiadł sobie na brzegu ławki i tylko patrzył na Gila groźnym wzrokiem. Wywiadowcy przez głowę przeleciała nawet myśl, że odtąd zawsze już będzie wiedział, jak czuć się muszą biedne sardynki, wciśnięte wbrew swojej woli w puszkę i zalane olejem. Na szczęście jak na razie nikt olejem go nie podlewał.

Białozębny typ skinął na barmana, a ten bezbłędnie wypatrzył w tytoniowej zawieszynie z drugiego końca lokalu gest człowieka znacznie lepiej ubranego niż ci wszyscy siedzący tu piaskarze, tragarze, wozacy i drobni złodzieje. Niepytany, tak na wszelki wypadek, wsunął pod pachę butelkę czystej od Kantorowicza, w lewą dłoń wziął cztery kieliszki, a w prawą talerz z zimnymi zakąskami, na którym leżały grube plastry wędzonej polskiej kiełbasy, gotowanej szynki, opiekanej karkówki i siekane kotlety, już z daleka pachnące czosnkiem i majerankiem.

– Zostaw pan to wszystko i przynieś jeszcze cztery piwa, a i cztery talerzyki, widelce noże i chleba. Macie chleb?

– A jakże, co bym miał nie mieć? – Bufetowy skłonił się nisko i pognał do baru, przy którym już utworzyła się kilkuosobowa kolejka zwykłych pijaków, cierpliwie czekających na napełnienie kufli.

– No to w takim razie, panie... Jak pan się właściwie nazywa?

– Ja?

– No a kto?

– Jak mnie tak będą przyciskać do ściany, to powietrza nie dam rady złapać i zaraz się tu zaduszę.

– Och, moi ludzie tak z troski, żebyś pan czasem pod stół nie wleciał i krzywdy sobie nie zrobił.

– Obejdzie się.

Mężczyzna znów błysnął białymi zębami. Gil czuł, że wcale nie jest to przyjazny uśmiech.

– Panowie, trochę delikatniej, bo nam się pan... No właśnie, jak się pan nazywasz?

– Gil, wywiadowca policyjny Gil...

– Bo panu Gilowi się piórka powyginają i nie będzie mógł latać. Chodź pan, panie Gienku, tu na drugą stronę. – Wskazał miejsce obok siebie. Krótco ostrzyżony osiłek podniósł się lekko i sprężyście jak kot i natychmiast przesiadł się na wskazane miejsce. Ten drugi, pachnący mocno woda kolońską, o czym Gil mógł się przekonać, gdy osobnik ów wgniótł go w ścianę, teraz odsunął się na spory dystans, nie na tyle jednak daleko, żeby policjant mógł myśleć o ucieczce.

– No a teraz, panie Gil, jak już masz pan trochę miejsca, to możemy sobie wypić za spotkanie i pogawędzimy. Opowie mi pan wszystko od początku do końca, o co panu chodziło z tą kartką pocztową. No to zdrowie! – Biały Kieł, jak go w myślach nazwał Gil, uniósł kieliszek napełniony przez pana Gienka. Policjant zrobił to samo.

Wypili, potem jeszcze jednego i kolejnego, aż w końcu Gil opowiedział swojemu nowemu koledze o lśniących zębach wszystko, co wiedział i może nawet więcej, ale dziś już nie bardzo pamiętał, co jeszcze nagadał, skoro nawet nie pamiętał, w jaki sposób znalazł się w swoim pokoju na policyjnym poddaszu. Wiedział za to dobrze, że jeśli napije się świeżego zimnego piwa, to zaraz mu się w głowie rozjaśni i będzie mógł wszystko dokładnie przeanalizować.

Wyszedł z dzbankiem w dłoni na dziedziniec i zaraz musiał przymrużyć, oczy, bo światło dzienne osłepiło go swoim blaskiem. Nie na tyle jednak, by nie dostrzegł czegoś, co wprowadziło go w prawdziwe osłupienie. Woźnica, który przyprowadził wóz i teraz uśmiechnięty od ucha do ucha opowiadał coś dwóm stojącym obok niego policjantom, był osobnikiem dobrze znanym Gilowi i bynajmniej nie kojarzył mu się z wozem i koniem.

Godzina 9.30 przed południem

Kapitan Feliks Mikołajewski, trzydziestolatek o jasnej cerze, z mocno podkrążonymi oczyma, którego starannie przycięte wąsy spływały w dół, przechodząc pod dolną wargą w hiszpańska bródkę, siedział za swoim wielkim dębowym biurkiem i przyglądał się znudzony żołnierzom, którzy pakowali papiery do skrzyń. Bardzo za to uważnie, można by powiedzieć nawet z należytą dla wagi tych papierów estymą, patrzył pakującym na ręce podporucznik Baranowski. Młody człowiek wziął sobie do serca polecenie szefa, który powiedział mu, że gdyby któryś z tych dokumentów wpadł w ręce wroga, to armia, a co za tym idzie ojczyzna ukochana mogłyby ponieść niepowetowane straty. Dlatego teraz ten młody

oficer obserwował każdy ruch szeregowców, pilnując, by żaden papierek się nie zawieruszył.

Mikołajewski przyglądał się temu wszystkiemu z całkowitą obojętnością, bo zdawał sobie sprawę, że kwity, które wynoszono z jego biura, tak naprawdę nie mają już żadnej wartości poza historyczną. Nie mógł tego jednak powiedzieć młodemu podwładnemu, bo ten mógłby stracić zapał, a może i nawet wiarę w sens ich pracy.

Gdy w 1919 roku Mikołajewski został oddelegowany do sztabu wojsk powstańczych wprost z Warszawy, otrzymał rozkaz stworzenia w Poznaniu struktur kontrwywiadowczych, które miały podlegać dowódcy naczelnemu powstania Dowborowi-Muśnickiemu. Gdyby generał mógł, pewnie odesłałby Mikołajewskiego z powrotem do Warszawy. Sęk w tym, że porucznik podlegał mu tylko formalnie. Faktycznie pracował dla Warszawy. Dowbor musiał się więc pogodzić z zaistniałą sytuacją i zaakceptować Mikołajewskiego. Musiał mu również przydzielić pomieszczenie, w którym ten mógłby zająć się swoimi sprawami.

Pałac zamykający swoją bryłą północny kraniec Alei Marcinkowskiego, w którym mieściło się Dowództwo Główne Wojsk Powstańczych, został przejęty od niemieckiego Sztabu V Korpusu Armijnego. Z zewnątrz sprawiał bardzo miłe dla oka wrażenie swoją lekką, klasycystyczną formą. Mniej przyjemnie było w środku, bo pomieszczenia, które Mikołajewski otrzymał do dyspozycji, były całkowicie pozbawione mebli i jakiegokolwiek wyposażenia, a bez tego nie dało się prowadzić pracy biurowej, nie mówiąc już o wywiadowczej. Na szczęście przydzielono mu ludzi, którzy potrafili stanąć na wysokości zadania. Trafiło do niego dwóch łazików i kombinatorów z wojennym stażem w pruskiej armii. Mikołajewski oficjalnie został szefem Wydziału VIII Intendentury, czyli zaopatrzenia taborów. Teraz ten wydział ulegał rozwiązaniu i likwidacji. Kwestie zaopatrzenia taborów przejmowała na siebie Intendentura, która i tak się tym dotąd zajmowała, a Mikołajewski i jego ludzie, mimo że nadal byli na etatach wojskowych, w strukturze armii przestawali oficjalnie istnieć.

– Uważaj, do cholery, człowieku! – krzyknął podporucznik Baranowski, stając nad szeregowcem, któremu dokumenty rozsypały się po podłodze. – Pozbierać mi to wszystko do najdrobniejszego papierka. Dalej, pomóżcie mu! – Wskazał na dwóch innych żołnierzy, którzy właśnie wrócili z podwórza, gdzie ładowali skrzynie na samochód ciężarowy.

Mikołajewski uśmiechnął się zadowolony. Będą ludzie z tego Baranowskiego. Chłopak aż rwie się do roboty. Tylko jak mu teraz powiedzieć, że od jutra ma chodzić już bez munduru? Przecież on się popłacze, kapitan spojrzał na młodego oficera, który wyglądał w swoim mundurze jak malowany, a w jego wyglancowanych oficerkach można było się przeglądać jak w lustrze.

Wzruszył ramionami. Jak mu się nie będzie podobać, zawsze może poprosić o przeniesienie. W końcu wywiad to nie zabawa w piaskownicy. Kto tego nie rozumie, niech idzie machać szabelką do ułanów, myślał kapitan, który jeszcze niedawno uważał, że skierowanie do wywiadu to coś w rodzaju zesłania na Sybir. Choć tu, w Poznańskim, nie było tak mroźno jak na wschodzie, ale i tak był to skraj świata. Ale przez te trzy lata okazało się, że wcale nie jest tu tak najgorzej. Zaczął się przyzwyczajać i urządzić, a i w wywiadowczej robocie szło mu coraz lepiej. Jego ludzie zbierali informacje wywiadowcze na całym pograniczu, ale – co najistotniejsze – także w samych Niemczech. Dumny był więc ze swoich osiągnięć i raportów, które – sporządzane w jego biurze przez młodych, dobrze rokujących oficerów – szły co kilka tygodni do Warszawy. Jego oddział pracował z takim rozmachem, że w końcu sam Mikołajewski doszedł do wniosku, iż czas najwyższy, żeby skończyć z tą niemal jawną działalnością. I właśnie dlatego dziś ostatecznie zamykał VIII Wydział Intendentury. Od jutra w tych pokojach zagnieżdżą się prawdziwi intendenci wojskowi. A on i jego ludzie przeniosą się na Sołacz, do pewnej niepozornej willi.

– To jak się tera będziem nazywać, panie kapitanie? – zapytał sierżant Stachowiak, jeden z dwóch podoficerów którzy od pierwszego dnia pracowali w wydziale z kapitanem

– Poznańskie Zrzeszenie Kółek Rolnych i Gospodarskich – wyjaśnił Mikołajewski.

– A co to za cholera? – zdziwił się drugi z sierżantów o nazwisku Zielonka.

– Jak to, nie wiecie? – Kapitan zrobił tajemniczą minę.

– Pod Bogiem, że za cholere. – Stachowiak uderzył się w pierś.

– A wy, Zielonka, przecież jesteście ze wsi. Tam kółek rolnych nie było?

– Były, ale one to miały radę główną, czy jakoś tak...

– No widzicie, a nasze mają zrzeszenie.

– I co dalej? – Zielonka domagał się dalszych wyjaśnień

– A dalej gównu was to obchodzi. Kółka to kółka. Rolnicze to rolnicze i tyle.

Obaj podoficerowie wreszcie zrozumieli, a na obu twarzach pojawił się uśmiech.

– Znaczy, że możemy zboże i pyry sprzedawać?

– Jak najbardziej! Handel nadgraniczny albo pograniczny. – Mikołajewski pokiwał głową. – Branża rolna ma przyszłość, panowie. Wiecie, w czym rzecz?

– Tak jest! – odpowiedzieli zgodnie, ale nic na temat przyszłości branży rolnej nie wiedzieli. Za to każdy z nich zdawał sobie sprawę, że na różnicach cen między Polską a Niemcami można zarobić, a oni przecież nic innego nie robili od trzech lat, jak tylko kombinowali, by ich przykrywka była jak najbardziej szczelna i by nikt nie domyślił się, że kwestie furazu przykrywają sprawy wywiadowcze.

To im się udawało na samym początku, jednak im więcej operacji wywiadowczych prowadzili, tym więcej strona przeciwna otrzymywała sygnałów, że być może VIII wydział wcale nie zajmuje się sprawami aprowizacyjnymi.

Pomysł na zmiany zrodził się w chwili, gdy w ręce ludzi Mikołajewskiego wpadła willa na Sołaczu. Pewien Niemiec, niejaki Johan von Kügelen, drobny przemysłowiec, trudniący się produkcją z branży cukierniczej, którego fabryczka położona na Jeżycach, zajmująca się wytwarzaniem cukierków i czekolad, całkiem niedawno przeszła w polskie ręce, postanowił ostatecznie wynieść się z Polski, uznając, że władze miejscowe są nieprzychylnie przemysłowi

niemieckiemu. Pech chciał, że ów człowiek w trakcie swojej szerokiej działalności cukierniczej podpisał kilka weksli na dość sporą sumę, kupując cukier z cukrowni w Środzie Wielkopolskiej. Nie zapłacił za dostawę gotówką, ale tymi właśnie papierami wartościowymi.

Wielce prawdopodobne, że zapomniał o takim drobiazgu, kończąc swoje poznańskie interesy. A chciał je zakończyć definitywnie, sprzedając jeszcze swoją willę. Tyle że weksle z jego podpisem wprost z cukrowni trafiły do biura kapitana. Przynieśli je dwaj sierżanci, którzy od pewnego czasu prowadzili interesy z kierownictwem średniego zakładu. Dlatego gdy w prasie ukazało się ogłoszenie o sprzedaży willi, do drzwi przemysłowca zapukał Mikołajewski, proponując Niemcowi, by ten w zamian za oddanie połowy kwitów, przepisał willę na Zrzeszenie Kółek Rolnych.

Człowiek ten nie miał innego wyjścia. Tym bardziej że kapitan utwierdził go w przekonaniu, że druga część weksli zostanie w jego kieszeni i nigdy nie zostanie wykorzystana. Przepisał więc dom i wyjechał do Niemiec, na wszelki wypadek jednak zostawiając swój nowy berliński adres Mikołajewskiemu. Panowie postanowili utrzymywać ze sobą kontakt, gdyby przypadkiem dłużnikowi powiodło się w interesach i znalazł pieniądze na wykup weksli.

Mikołajewski miał jednak nadzieję, że von Kùgelenowi nigdy się nie powiedzie i zamiast zajmować się nieudanymi przedsięwzięciami przemysłowymi, uruchomi rodzinne koligacje i znajdzie pracę w którymś z ważnych urzędów. Dzięki temu będzie można jeszcze skorzystać na tej znajomości. Na razie skorzystał z willi, do której właśnie przewożono dobytek byłego już VIII wydziału.

– A cóż tu się dzieje? Wojna jakaś czy jak? – Zdziwiony podkomisarz Fischer stanął w szeroko otwartych drzwiach prowadzących do biura Mikołajewskiego. Ten na widok dobrego znajomego natychmiast poderwał się zza biurka.

– Witaj, Antoni. W czas przychodzisz, w sam czas! – Kapitan przemierzył pokój pięcioma krokami, omijając dwóch szeregowców pochylonych nad drewnianą skrzynią, którzy tylko na sekundę podnieśli wzrok, by sprawdzić, kto pojawił się w biurze. A że

mężczyzna był po cywilnemu, nie musieli się prężyć i salutować, ale całkowicie regulaminowo mogli go potraktować jak powietrze.

Oficerowie uścisnęli sobie dłonie.

– Czas, a na co? – zainteresował się Fischer.

– Na rozstanie! – wypalił Mikołajewski.

– Z kim?

– Nie z kim, a z czym. Z ósemką!

– O czym ty gadasz? – Policjant popatrzył na kolegę, jakby ten był niespełna rozumu, ale kapitan, uśmiechnięty od ucha do ucha, nie zamierzał na razie nic więcej zdradzać. Wskazał tylko na żołnierzy kręcących się po pokoju i dyskretnie przyłożył palec do ust. Fischer wreszcie zrozumiał, że dzieje się tu coś, o czym głośno nie powinno się mówić. A zresztą, czy mówili kiedy głośno o poczynaniach Intendentury?

– Chodź, pójdziemy zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. – Mikołajewski wskazał na drzewa za oknem. – Zapalimy po papierosku... A pan, panie poruczniku, przypilnuje tu wszystkiego.

– Tak jest, panie kapitanie! – potwierdził rozkaz Baranowski.

Gdy obaj oficerowie znaleźli się na tyłach budynku sztabowego, wśród drzew i krzaków, które właśnie obsypywały się świeżą zielenią, Mikołajewski w kilku zdaniach wyjaśnił Fischerowi powód zamieszania.

– To teraz będziecie zajmować się tylko handlem płodami rolnymi?

– zapytał policjant, wkładając do ust papierosa, którym poczęstował go kapitan. Na co dzień palił fajkę, no ale skoro częstowali, nie mógł odmówić.

– Dokładnie jest tak, jak powiadam.

– Pomysł niezły, ale co z całym tym wojskowym sztafażem, pisma, rozkazy, okólniki...

– Nic, żadnych wojskowych kwitów. Nul. Przechodzimy całkowicie i nieodwołalnie do cywila. Nareszcie się od tego uwolnimy, przyjacielu. Nasze raporty będą szły prosto z Poznania do Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych. Wyobrażasz to sobie? Do ministra Raczyńskiego. A oni tam już będą wiedzieli, co z tym dalej robić.

– Ale póki jesteś w wojsku, jeszcze możesz mi coś załatwić?

– Mogę, oczywiście. Z czym masz problem?
– Z tym. – Fischer wydobył z kieszeni dokument i zaraz podał go Mikołajewskiemu.

– Paszport. Niemiecki – zauważył kapitan.

– Owszem, paszport niejakiego Heinza Josepha Langsdorffa.

– A co zrobił ów Joseph?

– W zasadzie nic. Ot zwyczajnie, dał się zabić na ulicy.

– Rabunek?

– Tak jakby. Tego właśnie nie wiem. Paszport i jego portfel znaleźliśmy w mieszkaniu pewnego chłopaka, którego widziano na miejscu morderstwa. Ale nie jestem przekonany, że to on zabił. Raczej obstawiałbym, że tylko obrabował zwłoki. W każdym razie tego nie wiem i nie będę wiedział dopóty, dopóki chłopaka nie przesłucham, a nie mogę tego zrobić, bo chwilowo nam się wymknął.

– Znajdzie się. Poznań to nie Warszawa. To rynek i pięć ulic na krzyż. Zadupie.

Fischer spojrzał na swojego kolegę, który najwyraźniej nie pozbył się jeszcze warszawskiego poczucia wyższości. Ale nie skomentował tego w żaden sposób. Wiedział, że kogo jak kogo, ale Mikołajewskiego nie można posądzić w żadnym wypadku o złośliwość. Kapitan jednak sam się zreflektował.

– Wybacz, nie chciałem cię... znaczy Poznania urazić...

– Poznania nie może obrazić galicyjok z Kongresówki, ha, ha, ha! – powiedziawszy to, policjant klepnął kapitana w ramię. – A wracając do sprawy. Sprawdzisz mi go?

– Heinza Josepha? Oczywiście. Dlaczego by nie.

– Wiesz, nie sądzę, żeby był kimś istotnym, rozumiesz, w czym rzecz...

– Sprawdzę i dam ci wkrótce znać. Lepiej dwa razy sprawdzić, niż się potem dziwić. A od jutra zapraszam do naszej nowej wili na Sołaczu.

Fischer rzucił pod nogi niedopałek papierosa i ruszył w kierunku miasta alejką, na której jeszcze niedawno stał piękny pomnik cesarza Wilhelma. Po brązowej figurze nie było już śladu, jednak został po niej kamienny postument, którego jakoś nikt nie śpieszył się usunąć.

Ciekawe, czy czekają z nim na Piłsudskiego? pomyślał podkomisarz, który nie za bardzo cenił Naczelnika.

Godzina 11.15 przed południem

– Najgorzej jak za robotę biorą się pateroki – stwierdził Tolek, dmuchając lekko na pianę, która powoli opadała, jednak nie na tyle szybko, by mógł ze spokojem zanurzyć usta. Nawet lubił pianę, ale nie znosił, gdy ta czepiała się wąsów i sprawiała, że piwosz, upiwszy łyk, ukazywał światu zadowoloną gębę z uwalanym zarostem.

– Lepiej coś zrobić, jak nic nie robić – stwierdził Leon Kaźmierczak, który jeszcze do końca nie mógł pojąć, co się zdarzyło, gdy wjechali wozem z piwem na dziedziniec policyjny. A wszystko naraz zaczęło wyglądać naprawdę groźnie, gdy na podwórzu pojawił się ten mały grubas Gil. Stał w drzwiach prowadzących z klatki schodowej na dziedziniec i naraz spojrzenia woźnicy i policjanta skrzyżowały się.

Walek, ujrawszy szkieła, poczuł, że pod czapką włosy stają mu dęba. Znali się od dawna, a okoliczności ich poznania wcale nie były miłe. Trzy lata temu Gil chciał w barze U Okonia na Mostowej aresztować Tolka Grubińskiego, jednak mu się nie udało. Policjant dostał po łbie i sprawa mogła zakończyć się nawet jakimś aresztem, a kto wie, może i odsiadką. Na szczęście za Tolkiem wstawił się wtedy zaczynający swoją karierę w policji porucznik Fischer. Grubiński zupełnie przypadkowo pomógł mu w śledztwie, więc policjant odwdzieczył się zamknięciem sprawy pobicia. „Zresztą co to była za sprawa?”, mówił później Grubiński. „Facet dostał ino trochę po ryju i nawet mu się oddało jego własnego gnata, którym chciał nas wszystkich wystrzelać. Nie ma w ogóle o czym rozpamiętywać”.

Teraz jednak Walek poczuł, że chyba jednak było o czym, bo Gil, kręcąc głową, podszedł do wozu i kiwnął palcem na woźnicę, nakazując mu zejść na dół. Co było robić? Kaźmierczak posłusznie zeskoczył z kozła i stanął przed o głowę niższym policjantem. Zaraz przypomniał sobie, że powinien dodatkowo okazać mu, na wszelki wypadek, trochę pokory, więc zdjął z głowy swoją kraciastą lujówkę[14].

– Co to, panie Kaźmierczak, branżę pan zmieniłeś? – zapytał wywiadowca Gil, wskazując pustym dzbankiem na rząd beczek z piwem, ustawionych równo na wozie.

– Ludzie powiadają, że nigdy nie jest za późno, żeby się uczciwej roboty chyć, panie komisarzu.

– Niby racja – zgodził się z nim policjant. – Ino że dla was, panie Kaźmierczak, to jednakowoż już trochę za późno.

– Ksiądz w farze gadał, że nic tak nie cieszy Pana Boga jak nawrócony grzesznik.

– To jak żeś pan taki uczciwy, to może do policji was przyjmujemy...

Walek nie odpowiedział. Jego spojrzenie uciekło w prawo, gdzie okute drzwi prowadziły do piwnicy. Przed chwilą dwaj bracia, Leon i Krystek, stoczyli tam z łatwością pierwszą beczkę. Na szczęście schody miały zainstalowane z boku stalowe szyny do przetaczania beczek, a na wozie znalazły się solidne pręty do ich przytrzymywania. Teraz obaj zadowoleni z siebie złodzieje szli po następną sztukę. Naraz przystanęli jak wryci. Oni też znali Gila.

– No proszę, cała rodzina w komplecie. Brakuje tylko pana Grubińskiego – zawołał na ich widok Gil. – A w beczkach to niby jest piwo, co?

– A co ma być? – Walek zrobił zdziwioną, a można by powiedzieć nawet urażoną minę, tak jakby ktoś oskarżał go o niestworzone rzeczy. – Przecie nie gaz bojowy. Prawdziwe piwo od Huggera my tu przywieźli, a się nas oskarża nie wiadomo o co. Krystek, skocz ino na wóz i otwórz jedną beczułkę, żeby pan komisarz mógł se szpycnąć.

Chłopak zwinnie wdrapał się na górę. Szybko przewrócił beczkę i nad podziw sprawnie odbił młotkiem korek, by zaraz na jego miejsce wbić kranik, który pół godziny wcześniej znaleźli w skrzynce narzędziowej należącej do wozaka. Widać ten musiał mieć swoje za uszami i zapewne spuszczał z przewożonych beczek piwo na własne potrzeby.

– Pan da dzbanuszek. – Walek wyciągnął rękę przez burtę wozu. Gil podał naczynie, obserwowany pilnie przez kilku ciekawskich policjantów, którzy widząc, co się święci, zatrzymali się przy wozie.

Na świeże piwo w końcu każdy miał ochotę, więc trzeba było sprawdzić, czy coś się nie da ulać na boku.

Najwyraźniej się dało, bo po chwili dzbanek powędrował w dół. Wywiadowca zajrzał do środka.

– Wygląda jak piwo – stwierdził, obwąchując baniak.

– Wypij Seweryn, bo może jakie stare przywieźli – rzucił wąsaty przodownik Wolica, którego podkrążone oczy świadczyły o niewyspaniu, a nieświeży oddech o tym, że niewyspanie mogło być spowodowane nadmiarem wypitego wczoraj alkoholu.

Gil spojrział na Walka, groźnie marszcząc brwi. Jednak szczery uśmiech złodzieja przekonał go, że z piwem musi być wszystko w najlepszym porządku. Przyłożył więc brzeg naczynia do ust i pociągnął solidny łyk.

– No i co... niby dobre? – zapytał Wolica, przełykając ślinę.

– Pilsner – wyjaśnił Gil i wypił kolejny łyk. – Chodź, skosztuj. – Skinął głową na przodownika. Lepiej mieć świadka i współwinnego, jak by się kto zainteresował, pomyślał wywiadowca, podając kanke koledze. Ten od razu zaczął pić łapczywie, jakby właśnie wrócił z marszu przez Saharę.

Zadowolony oddał puste naczynie Gilowi. Policjant na wszelki wypadek zajrzał do środka.

– Panowie też by spróbowali. – Wskazał na trzech innych podoficerów, którzy podeszli i łakomie patrzyli na dzbanek. I szybko dostali, czego chcieli, bo „dostawcy” piwa gotowi byli lać, ile dusza zapragnie. Tym bardziej że obaj bracia, którzy przed chwilą byli w piwnicy, wiedzieli już wszystko, co trzeba.

Na dole, zaraz za piwnicznym przedsionkiem, do którego wtoczyli pierwszą beczkę, były solidne, drewniane drzwi, obite żelazem. Stał przy nich stolik, za którym na krześle siedział szczupły i wysoki policjant, który wyglądał na dość spragnionego. Zapytał nawet chłopaków o zawartość beczki, a gdy wyjaśnili mu, że to piwo, natychmiast zaczął wypytywać o możliwości wyjęcia szpuntu.

– A tam to siedzą bandyci? – zapytał Krystek, wskazując na pancerne drzwi jak gdyby nigdy nic. Policjant, który był najwyraźniej

w dobrym humorze, uśmiechnął się do chłopaka, a potem mrugnawszy do niego, wskazał na okienko judasza.

– A weź no se ryczkę i szpycnij[15]. – Wskazał na taboret stojący przy stole. Chłopakowi nie trzeba było dwa razy mówić. Po chwili przyglądał się uważnie jasno oświetlonemu korytarzowi, na którym widać było sześcioro pomalowanych na zielono drzwi do cel. Krystek po raz pierwszy w życiu widział takie drzwi, mimo to jednak doskonale wiedział, jakie jest ich przeznaczenie. Starsi bracia, którym zdarzyło się już nie raz spędzić za kratką noc czy dwie, opowiadali mu o areszcie ze wszystkimi szczegółami.

– No dalej, złaź, no chyba że chcesz, żebym cię w kozie zamknął! – zażartował policjant, a chłopak udał, że się przestraszył tej groźby. Zeskoczył z taboretu i pobiegł ku schodom. Tam go dogonił Leon.

– I co żeś widział? – zapytał, pochylając się do ucha młodszego brata.

– Drzwi jest sześć i pomalowane na zielono.

– Nie o to pytam, ćwoku, ino o to, czy tam, wew środku, kto jest.

Chłopak pokręcił głową.

– Korytarz pusty – stwierdził. – Ino te drzwi trzeba by otworzyć.

– Klucze ma ten policjant. Trzeba go bez łeb i do środka – stwierdził Leon, który lubił szybkie i zdecydowane działania. Chciał się szybko naradzić ze starszym bratem i przystąpić do akcji, ale jak zaraz się okazało, Walek zajęty był konwersacją z tym tajniakiem Gilem.

Gdy ten podał opróżnioną kankę Krystkowi do ponownego napełnienia, Leon szybko zdał bratu relację. Walek wskazał na kolejną beczkę, co oznaczało, że mają ją wtoczyć do piwnicy i chyba przystąpić do akcji uwalniania Tolka. Tak przynajmniej wydawało się Leonowi, który już ruszył, by zająć się wytaczaniem kolejnej beczki po drabiniastej rampie, przystawionej do wozu, gdy naraz pojawił się tam ubrany po cywilnemu człowiek, który z rozmachem klepnął Walka w ramię. Złodziej odwrócił się za siebie, gotowy do walki, gdyby okazało się, że to władza kładzie łapę na jego ramieniu i może nawet wolności. Ale to nie policjant zaszedł go od tyłu.

– No co się tak gapisz jak szpak w dupę? Pierwszy raz mnie widzisz czy jak? – zapytał Tolek Grubiński, głosem lekko zniekształconym przez długotrwałe zwilżanie aparatu mowy.

– Tolek, jak Boga kocham... – wyszeptał najstarszy z Kaźmierczaków. – Zrywamy się w trymiga, a wóz zostawiamy, ino chłopaki...

Pierwszy z szoku na widok Grubińskiego otrząsnął się Gil.

– Panowie, brać go! – zawołał w kierunku swoich kolegów policjantów, wskazując jednocześnie na Tolka. – To uciekinier! Ucieka z aresztu. A oni wszyscy są w znowie. To zorganizowany napad na areszt. Łapać ich wszystkich i do więzienia...! – wołał histerycznie wywiadowca, ale policjanci stali zdziwieni, wpatrując się to w Gila, to w Tolka, to w wóz z piwem. Coś tu najwyraźniej było nie tak jak powinno, ale nikt na razie nie wiedział co.

– No dalej, co tak stoicie jak dupy wołowe? Brać ich!

– O pardonsik. – Tolek wysunął przed siebie dwie dłonie w geście obronno-uspokajającym. – Jedna chwileczka, ino wydobędę papier, bo żadnego uciekiniera tu nie ma i nie było, panie Gilu szanowny. O proszę bardzo, jest kwit. Masz pan, czytaj se, a wy, chłopaki, jak już żeście po mnie przyjechali z pompą, to dajcie no łyka piwa, bo mnie od tego gadania w gębie zaschło całkowicie. – Skinął na Krystka, a ten uśmiechnięty od ucha do ucha wydobył wielki kufel, należący do właściciela wozu, i nalał do niego złotego płynu.

– Ale jak? Znaczy się, o co się rozchodzi? – Gil trzęsącymi się dłońmi rozkładał papier złożony na czworo.

– A no tak, że w naszym kochanym kraju pod rządami wielce szanownego pana naczelnika Piłsudskiego Józefa żaden człowiek niewinnie nie może wew puszcze siedzieć. I wew z związku z tym jako niewinny jak Dziewica Panna opuszczam ten przybytek. No, chłopaki, zawracać wóz, jedziemy do chaty.

– Zaraz, zaraz! Nie tak szybko – zawołał ten sam służbowy podoficer, który podjął decyzję o wpuszczeniu wozu na dziedziniec policyjny. – A piwo to niby kto wyładuje?

Tolek wzruszył ramionami.

– Jak mus to mus! Znaczy się, chłopaki, do roboty. Dajcie im jeszcze jedną beczkę piwa...

– Jak jedną? – Podoficer zaprotestował. – W papierach było, że rozładować piwo, znaczy się...

– W papierach było, że rozładować, ale ile, to wiem ja jako kierownik rozładunku – stwierdził Walek tonem prawdziwego kierownika, który niekoniecznie wie, co mówi, ale za to zawsze wie, jak to powiedzieć. – Jedna beczka i szlus! – zawołał do braci, a sam wdrapał się na kozioł. Zaraz pochylił się, by podać rękę Tolkowi. Ten jednak nie skorzystał z dźwigni. Podszedł do Gila i nachylił się nad nim, biorąc się pod boki.

– Jużes pan odczytał?

– No niby...

– Niby podpis pana komisarza Fischera jest? A jak jest podpis samego komisarza Fischera, to wiesz pan, panie Gil, że możesz mi pan...

– No co? Mów więcej, to cię zaraz za obrazę munduru policyjnego każę wsadzić!

Tolek uśmiechnął się, wyjął ostrożnie z dłoni Gila papier, powoli złożył go we czworo i wsunął do kieszeni.

– Pan wybaczy, ale mnie ważne sprawy oczekują i w związku z tym nie dotrzymam szanownemu panu wykwintnego towarzystwa.

– Ażeby cię jasna cholera przetrąciła – warknął Gil.

– A wy dajcie jeszcze panom policjantom piwa, żebyśmy się nie w złości, ale w żalu rozstawali – polecił Walek, a obaj jego bracia wzięli się za nalewanie piwa do naczyń, które nie wiedzieć skąd i kiedy pojawiły się w dłoniach spragnionych szkiełków. Widać ci, co stali na podwórku, od dawna byli przygotowani na to, że piwo za chwilę się poleje.

Tolek opróżnił do dna kufel, który mu na powitanie wręczył Walek, uśmiechnął się do przyjaciela i klepnął go w plecy.

– Prawda, że lepiej coś robić, jak nie robić. Ale najważniejsze to żeby zrobić dobre wrażenie. Co nie, panie Gilu szanowny?

Chwycił lejce i pociągnął konia ku sobie. Ten zrozumiawszy intencje woźnicy, zaparł się kopytami na bruku, by po chwili zacząć się wycofywać. Wóz się cofnął, ustawiając bokiem do bramy, i w końcu kierowany pewną ręką Tolka wałach pociągnął swój piwny ciężar do przodu

Wysoka

Godzina 12.10 po południu

– Kłódkę rozwalił jakąś breszką – stwierdził posterunkowy, oglądając uważnie drzwi. Solidna, czarna kłódka miała wyrwany półokrągły pałak z otworu, w którym powinna była tkwić.

– Dziwne, żeście nic nie słyszeli, Pawlak.

– Pod Bogiem nic nie słyszałem.

– Przecie on musiał tu się trochę natrudzić przy tym majstrowaniu.

– Oj, natrudził się, natrudził – przyznał były właściciel świni.

– Opity leżał i ani się nie podniósł, jak mu powiadałam, że ktoś tam po obejściu łązi – odezwała się kobieta zza pleców policjanta.

Obejrzał się za siebie. Mogła mieć ze czterdzieści lat. Chuda i zasuszona, z chustką na głowie i poszarzałą chustą narzuconą na ramiona. Kościste ręce splotła na brzuchu. Policjant zwrócił uwagę na obrączkę na jej palcu. Była złota. To znaczy, że gospodarzom powodziło się całkiem dobrze. Na złoto mało kto mógł sobie pozwolić. On też taką miał, ale to dlatego, że trochę złota, które przypadkiem wpadło mu w ręce, przywiózł z wojny i przed ślubem dał wszystko do przetopienia złotnikowi, który dla niego i żony zrobił piękne obrączki. Wystarczyło jeszcze na pięć krzyżyków do noszenia na łańcuszkach dla dzieci. Kto wie, może ten Pawlak, który też był na wojnie, również coś przywiózł? Wielu przywiozło. Przecież grzechem by było zostawić na zmarnowanie, bo zabitym do niczego złoto przydać się już nie mogło.

– No to jasne, że jak kto opity, to usłyszeć nie może niczego. – Policjant pokiwał głową ze zrozumieniem. Wiedział, co mówi, bo przecież jak się opił, to spał jak zabity i nic nie mogło go zbudzić. No chyba że artyleryjski ostrzał. No ale na szczęście od dawna nikt w pobliżu z armat nie strzelał.

– On tak ciągle. Ino by chłał i chłał, moczymorda jedna...

– A idźże, cholero, bo jak wyjdę z nerw, to nie wiem, co zrobię...

– Co zrobisz, no powiedz panu policjantowi, co zrobisz, ty pijaku zatracony.

– Widzi pan oficer, nie dość, że świnie ukradli, to jeszcze baba zołzowata się trafiła. Idź do chałupy, cholero, pókim dobry, bo jak nie to...

– No co, no co mi zrobisz, ty opoju cholerny? Nic ino gorzałę chleje i chleje.

– Macie coś do powiedzenia w sprawie ukradzionej świni? – zwrócił się do kobiety nieco już zniecierpliwiony policjant.

– A pewnie, że mam. Jego to wina, nie kogo innego, ino jego. – Wskazała palcem na męża, który stał z zaciśniętymi pięściami i gdyby nie obecność przodownika, to pewnie już dawno pokazałby swojej kobiecie, na czym polega dobre wychowanie.

– W takim razie możecie iść do domu, a ja sobie tu wszystko przepatrzę.

– Ja ino chciała...

– Idźcie, kobieto, do chałupy, bo na miejscu popełnienia przestępstwa nie wolno się kręcić nikomu oprócz policji, bo ślady można zdeptać – przypomniał sobie niedawno przepisywany z okólnika fragment dotyczący miejsca popełnienia przestępstwa.

– Słyszała żeś, co pan oficer powiedział? Ale już mi do chałupy!

Jeszcze spojrzała na policjanta, jakby szukała u niego zrozumienia, ale ten odwrócił się do niej plecami. Poszła więc, mrucząc coś niezrozumiale pod nosem.

– Babę powinni wam ukraść, nie świnie – stwierdził Bielawski.

– Widać pan Bóg się musiał pomylić. – Chłop pokiwał głową. – Ino że jej by się tak prosto wziąć nie dało, bo okrutnie pyskata.

– A świni to niby ciche? Przecie kwiczą.

– Nie kwiczała.

– I nic a nic żeście nie słyszeli?

– Nic a nic.

– A pies nie szczekał? – Posterunkowy wskazał na kosmatego, czarno-białego kundla, który wygrzewał się na słońcu koło skleconej byle jak budy, przyczepiony do niej krowim łańcuchem.

– A ten to nie. On już ledwie co widzi. Stary jest.

– To po co wam stary pies?

– A co mam go precz pognać, jak on tyle lat dobrze służył? Ma dożywocie u mnie.

Posterunkowy wzruszył ramionami. Co go tam mogło obchodzić, że jakiś chłop chce za darmo trzymać wyleniałego psa. Głupi musiał być, bo przecież gdyby miał młodego, toby nikt mu świni nie ukradł. Musiał to być więc ktoś z okolicy, kto wiedział, że ten pies nie będzie szczekać.

Policjant wszedł do chlewa, uważając, żeby nie uwaląć butów. Jego oficerki lśniły wyglancowane jak szklanki, więc szkoda by było, żeby się upaskudziły. Na szczęście w przedsionku góvien nie było. Były za to po lewej stronie, w kojcu. Mógł dostrzec to dzięki niewielkiemu okienku, które wychodziło na pole za chlewem. Małe szybki były brudne, ale i tak światło wpadało do środka.

Rozejrzał się wewnątrz, ale niczego interesującego nie dostrzegł.

– O, tu była świnia, panie oficerze. – Pawlak wskazał na kojec, jakby policjant mógł mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

– No przecie widzę.

Naraz jego uwagę zwróciła jakaś ciemna plama na ściółce. Otworzył więc drzwi kojca, zrobił ostrożny krok, uważając, by w co nie wdepnąć, i powoli uniósł wiecheć zdeptanej słomy.

– A co tam widać?

– Jeszcze nie wiem, bo oględziny niezakończone – stwierdził i precyzyjnie się między brzuchem gospodarza a deskami kojca, wyszedł na zewnątrz.

W jasnym dziennym świetle od razu zrozumiał, z czym ma do czynienia.

– Jucha. – Gospodarz też się zorientował.

– Znaczą się obuchem w łeb dostała i ani nie kwiknęła – wyjaśnił przodownik.

Cisnął słomę pod nogi i sięgnął po paczkę papierosów, żeby tytoniowym dymem zabić smród świńskich góvien. Zapaliwszy, rozejrzał się po podwórku.

Po prawej stronie, frontem do drogi, stał murowany dom z czerwonej cegły, jakich pełno było na tutejszych wsiach, z dwuspadzistym dachem, przykrytym czerwoną ceglana dachówką. Naprzeciwko chlewa, który wraz z oborą stanowił jeden budynek

o ścianach szachulcowych, wypełnionych cegłami, stał drewniany kurnik. Jego drzwi były szeroko otwarte, a kury łąziły po całym obejściu, gdacząc głośno.

– Tam musiał uciekać. – Pawlak wskazał solidną, również drewnianą, stodołę o wielkich dwuskrzydłowych wrotach, którymi zapewne można było przejechać na pole, otworzywszy drugą parę drzwi w tylnej ścianie.

– Przez stodołę? – zdziwił się policjant, bo przecież wrota gospodarz musiał zamykać na noc. Ten pokręcił natychmiast głową i wskazał niewielkie przejście między stodołą a kurnikiem.

– Tam jest taka furtka na haczyk.

Policjant przez chwilę przypatrywał się furtce, jakby analizował skomplikowane dane, i naraz zastygł w bezruchu z papierosem podniesionym w górę, ale niewłożonym do ust.

– Niby co, panie oficerze? – zapytał zdziwiony gospodarz, bo rzadko zdarzało mu się widywać policjantów przy pracy. A Bielawski, gdy dopadła go jakaś myśl odkrywczą, zamierał w bezruchu, żeby tej myśli nie zgubić. Naraz, zostawiwszy zdumionego Pawlaka, pognął czym prędzej do sadu, który ciągnął się od chlewa do drogi. Podbiegł do płotu, poruszał jedną, drugą sztachetą i natrafiwszy w końcu na trzecią, poluzowaną, szarpnął ją mocno. Wysłużone drewno poddało się sile policyjnych mięśni. Pawlak stał w bezpiecznej odległości i wołał nie podchodzić bliżej, bo wiedział dobrze, czym może się kończyć wyrywanie sztachet z płotów. Nieraz bowiem rwał, gdy był młodszy i gdy na zabawie tanecznej trzeba było wygarbować skórę jakimś chłopakom z innej wsi. Policjant jednak nie miał zamiaru nikogo okładać sztachetą. Rzucił ją na trawę i przecisnął się przez wyrwę w płocie.

Chwilę go nie było i Pawlak pomyślał nawet, że być może poszedł gdzieś sobie i już nie wróci. Ale nie miał racji. Przodownik po kilku minutach przelazł ponownie przez dziurę i uśmiechnięty od ucha do ucha podszedł do gospodarza.

– Panie przodowniku, melduję, że są ślady! – zawołał zza furtki szeregowy Frąckowiak, który wraz ze swoim szefem przyjechał do Brzostowa, bo jak stwierdził Bielawski: „zawsze się mogą przydać dodatkowe oczy”. I jak widać, rzeczywiście się przydały. Gdy tylko

weszli do zagrody, młody policjant zagubił się gdzieś w zakamarkach gospodarstwa, a teraz wylazł, przynosząc nowinę.

– Czyli, że niby jakie ślady? – zawołał Bielawski.

Fraćkowiak otworzył furtkę, przeszedł przez podwórko i stanął przed dowódcą.

– Kółka przez porane pole, znaczy się taczkę musiał złodziej pchać. I do drogi wiodą ślady. Widać też ślady trzewików, ale ich jest więcej, jakby dwóch złodziei było.

Dowódca chciał coś powiedzieć, ale dojrzał, że gospodarz stoi blisko i ciekawie nadstawia ucha.

– A wodę wew studni to macie? – zapytał Bielawski.

– A co bym miał nie mieć?

– To jak macie, to przynieście trochę, bo w gębie zaschło od tego gorąca.

Chłop zdziwił się, bo wcale gorąco nie było, no ale co miał zrobić, jak władza kazała. Poszedł więc do domu po kubek. Właściwie to pobiegł, żeby nie stracić nic z tego, co działo się w obejściu.

Tymczasem posterunkowy nachylił się do ucha swojego podwładnego i przez chwilę coś mu klarował.

– O, jest woda, panie oficerze. Niech pije na zdrowie. – Gospodarz podał kubek policjantowi, ten ledwie umoczył usta i resztę wylał na ziemię.

– No to słuchajcie, Pawlak, idziemy po tych śladach zobaczyć, dokąd to zawieźli waszego wieprzka.

Oddał kubek gospodarzowi i ruszył szybkim krokiem przed siebie. Pawlak postął chwilę, nie wiedząc, co zrobić z garnuszką. W końcu spojrzał na młodego policjanta.

– A wy nie idziecie?

– Ja tu mam pilnować.

– Aha, no to idźcie se z wiadra wody nabrać. – Wcisnął mu kubek w dłoń i pobiegł za posterunkowym.

Dopadł policjanta na polu. Ten stał pochylony nad wyraźnym śladem kółka od taczki i śladami butów męskich. Tych śladów było więcej, niż można się było spodziewać.

– Szliście po śladach? – zapytał gospodarza, wskazując na wydeptany szlak.

– A jakże, po śladach, jak za sarenką. Ziemia świeżo przeorana, to i widać było wyraźnie. I tam, do drogi wiodą. – Pawlak wskazał podwójny rząd drzew porastających bitą drogę, prowadzącą do pobliskich Mościsk.

Zaledwie pół godziny zajęło im dotarcie do sąsiedniej miejscowości. Policjant chciał od razu pójść do sołtysa, ale naraz wpadł na pewien pomysł, dostrzegłszy szkolny budynek z czerwonej cegły.

Drzwi do sali lekcyjnej były szeroko otwarte, a ze środka słychać było chór dziecięcych głosów, powtarzających za nauczycielem:

– Ile kół ma wóz? W jaki sposób powstała sól kamienna? Mów zawsze prawdę. Gdzie znajduje się grób Adama Mickiewicza? Miód jest słodki. Róg wołu jest pusty. Obowiązkiem naszym jest kupować wyrób krajowy...

Policjant stanął w drzwiach i odkaszlnął znacząco. Wszystkie oczy, jakieś piętnaście par młodych i jedna w średnim wieku, skryta za okularami w rogowych oprawkach, zwróciły się na niego.

– Dzień dobry, można by panu nauczycielowi w służbowej kwestii zadać zapytanie niecierpiące zwłoki? – zapytał niezwykle uprzejmym głosem, świadom, że słuchają go dzieci, które powinny wiedzieć, że policjant na służbie jest zawsze bardzo grzeczny.

– Tak jest! – odpowiedział nauczyciel tonem ostrym i władczy. – Dzieci, siedzieć cicho i nie gadać. Za chwilę będzie się kontynuować.

Podszedł do drzwi i za policjantem podążył na korytarz. Tam dostrzegł Pawlaka z czapką w dłoni, ale obrzucił go tylko przelotnym spojrzeniem, takim jakim się spogląda na siedzącą na płocie kure.

– Mogę w czymś dopomóc? Majewski jestem.

– Bielawski, przodownik z Wysokiej. – Podali sobie dłonie. Mocny uścisk, sprężyste ruchy, nic więcej nie trzeba było tłumaczyć. Weterani potrafili wyczuwać się nawzajem na odległość.

– To jest coś, co znalezione na miejscu przestępstwa, znaczy się kradzieży rabunkowej świni. – Policjant wyciągnął z kieszeni czerwoną chusteczkę. – I pomyślałem, że jak kto może wiedzieć, do kogo ta chusteczka należy się, to już na pewno dzieciaki, bo one wszystko widzą.

Nauczyciel wziął do ręki chustkę, przyjrzał się jej dokładnie, a potem powąchał.

– Czuć tytoń, znaczy męska – stwierdził z miną znawcy. – Ma pan całkowitą rację. Jeśli ktoś wie, to na pewno dzieci. One są niesłychanie spostrzegawcze. Jak się pan chce czegoś dowiedzieć, to wystarczy ich zapytać. Powiedzą wszystko. Za mną! – Odwrócił się i poszedł do klasy. Zatrzymał się przy biurku, policjant stanął obok niego.

– To jest właśnie pan policjant, przodownik z Wysokiej. Co robi policja?

– Policja pilnuje porządku i dba o bezpieczeństwo – odpowiedziała zgodnym chórem i bez zastanowienia cała klasa.

– Bardzo dobrze. A to jest chustka, którą ktoś zgubił, i pan policjant chce ją oddać właścicielowi. Kto wie, kto ma taką chustkę i teraz jej pewnie szuka?

Dwie ręce szybko podniosły się ku górze. Nauczyciel wskazał dziewczynkę z dwoma warkoczykami. Ta wstała zadowolona, że może pochwalić się swoją wiedzą.

– Kleszczyński ma taką chusteczkę, bo widziałam.

– Każdy widział – nie wytrzymał chłopak, którego nauczyciel nie wybrał.

– Skurwysyn pierdolony! – zawołał od drzwi okradziony Pawlak. Odwrócił się i zaraz zniknął.

[14] Lujówka (gwar.) – czapka z daszkiem.

[15] Ryczka (gwar.) – taboret, szpynij (gwar.) – popatrz.

Rozdział IV

Sobota

8 kwietnia

Godzina 5.30 rano

W pokoju było ciemno, tylko niewielka smuga światła wpadała do środka przez zamknięte drewniane żaluzje. Usłyszała jakiś ruch, a potem rozbłysło światło zapałki, które przeniosło się na knot świeczki.

– Wstawajcie – powiedziała najstarsza dziewczynka.

Odpowiedziały jej pomruki i ziewnięcia.

– Ej ty, nie śpisz już? – Nachyliła się nad nią i szarpnęła za ramię.

– Śpię.

– Wstawaj.

– Nie chcę. Chcę spać. Nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę tu być.

– Wstawaj, bo stara zaraz przyjdzie i będzie się drzeć – ostrzegła ją i poszła.

Zosia nie lubiła jej od samego początku. Ta blondynka z długimi włosami była najstarsza. Miała ze trzynaście lat i nic dziwnego, że chciała wszystkim rządzić. Teraz też wstała pierwsza, zapaliła świeczkę i szła od łóżka do łóżka, budząc wszystkie dziewczynki. Było ich w pokoju sześć. Ta ze świeczką była chyba najlepiej zorientowana w tym, co to za miejsce i co się tutaj dzieje. Ale jak się okazało, jej sąsiadka, ta ruda, która spała na łóżku obok, też wiedziała co nieco.

Wcale nie chciała spać. Ale wolała udawać, że śpi. Tak na wszelki wypadek, żeby jej nikt nie ruszał i żeby niczego od niej nie chcieli.

Gabrysia z kręconymi rudymi włosami pogładziła ją po głowie.

– Najlepiej udawać chorą. To oni chorej nie ruszą. Mów, że cię brzuch boli.

– Ale ty już im tak mówisz.

– To nic, głupia. Tak będzie dobrze. Jak nas dwie będą brzuchy bolały, to pomyślą, żeśmy zachorowały. A jak kto chory, to się nie nadaje.

– Do czego ma się nadawać? – pytała Zosia.

– Do ruchania.

– Co?

– No nie wiesz, głupia, że mężczyźni ruchają dziewczyny?

– Jak to?

– No normalnie... A ty to żeś się skąd urwała, że nic nie wiesz o świecie?

– Ja nie wiem, bo...

– Skąd jesteś?

– Z Poznania.

– Z Poznania, a ja ze Sznajdemila.

– Skąd?

– No ze Sznajdemila, znaczy się to niby po polsku Piła, ale Schneidemühl ładniejszy jest. Rzeka tam płynie i jeziora są, i lasy...

– To ja nie wiem co to.

– Miasto, głupia. Ja tam mieszkałam.

– I czemu już nie mieszkasz?

Dziewczynka umilkła. Przez chwilę nic nie mówiła, wpatrując się w brudną ścianę.

– Bo mnie sprzedał ten skurwysyn.

– Kto?

– Egon, ten pierdolony gnój mnie sprzedał, jakbym była jakimś workiem kartofli. Powiedział mi, że już nie mieszkam w naszym domu i że mam iść z tym panem, co z nim przyszedł, bo on zabierze mnie do Polski, bo tam jest moje miejsce, bo jestem małą śmierdzącą Polką, a Polacy mają iść precz do Polski.

– Kto to jest Egon?

– Skurwysyn. Był narzeczonym mojej mamusi. Ale ona umarła w zeszłym roku, a on nie chciał mnie trzymać w domu, no i mnie

sprzedał.

– Przecież ludzi się nie sprzedaje.

– A ciebie to nikt nie sprzedał?

– Mnie mamusia by nigdy nie sprzedała.

– No to skąd żeś się tu wzięła?

– Nie wiem... Znaczy nie wiem jak, ale pamiętam, że rozmawiałam z taką panią, która była tak ładnie ubrana. Dała mi cukierka, a potem to już nic nie pamiętam.

– Uśpili cię. Uśpili i porwali. Skurwysyny.

– Jak uśpili? Przecież nikt mi nie śpiewał kołysanki... Naraz przypomniała sobie mamę, jak ta pochyła się nad jej łóżkiem i swoim pięknym, melodyjnym głosem śpiewa jej do snu piosenkę o królewiczu i księżniczce...

Łzy pociekły jej po policzkach, a piersią wstrząsnął rozpaczliwy spazm. Nie potrafiła powstrzymać płaczu. Czuła się tak, jakby wpadła do studni i nie mogła liczyć na żadną pomoc. Mamy nie było nigdzie w pobliżu i nikt nie mógł nic zrobić, żeby ją uratować.

Naraz poczuła, że delikatna dłoń znów głaszcze ją po czole.

– Nie płacz, mała, wszystko będzie dobrze. – Rozpoznała głos Gabrysi.

– Boję się...

– Nie bój się. Nic ci nie zrobią.

– Nie?

– Zobaczysz. Nie pozwolę im.

– Tak? Pogłaszcz mnie jeszcze i...

– I co?

– Zaśpiewaj mi kołysankę.

Przez chwilę czuła tylko delikatne muśnięcia na czole i włosach. Gabrysia położyła się obok niej, przysunęła blisko, dotykając ustami jej ucha, i naraz zaczęła cicho śpiewać tę samą piosenkę, którą tak lubiła, którą tyle razy śpiewała jej mama...

Śpij, dziecińko, już

Śliczne oczka zmruż

Słuchaj, deszczyk pada tam

Piesek szczeka, grozi nam

*W bramie dziad wyciąga rękę
Pies rozerwał mu sukienkę
Aż biedaka broni stróż
Śpij, dziecińko, już...*

Najstarsza dziewczynka już się ubrała i siedziała na krześle gotowa do pracy. Pozostałe trzy, które były tu już wcześniej, też się szykowały, zakładając proste, szarobure sukienki. Tylko Zosia i Gabrysia leżały w dalszym ciągu na swoich łóżkach. Wszystkie miały pracować w ciągu dnia, myć podłogi, palić w piecu, a wieczorem miały się dobrze bawić. Tak przynajmniej powiedziała ta chuda kobieta o złym wyrazie twarzy. Ona tu wszystkim zarządzała. Pomagał jej człowiek, którego Zosia polubiła przy pierwszym spotkaniu. To on dał jej cukierki. I to przez niego tu trafiła. Teraz już go nie lubiła. Teraz bała się go i nienawidziła.

Wysoka

Godzina 7.30

- To co, zeznanie podpiszecie? – zapytał przodownik Bielawski, patrząc uważnie na zatrzymanego wczoraj mężczyznę.
- Mogę podpisać. – Ten skinął usłużnie głową. Policjant podkreślił lekko wąsa. Był bardziej niż zadowolony. W ciągu kilku godzin udało mu się rozwiązać zagadkę tajemniczej kradzieży świni i do tego ująć przestępcę, a wszystko to dzięki przenikliwości własnego umysłu.
- To siadajcie se. – Wskazał na stojące przed biurkiem krzesło.
- Ja za przeproszeniem bym nie chciał. – Zatrzymany zrobił minę człowieka cierpiącego, więc policjant wzruszył tylko ramionami. Rozumiał, że na obitej dupie ciężko się siedzi. No ale ten tu obwieś, który dzisiejszą noc spędził zamknięty w komisariacie, sam był sobie winien. Gdyby chciał być bardziej pomocny, to nic by mu nie było i nie musiałby teraz narzekać na bolący tyłek.

Wczoraj, gdy Bielawski poznał nazwisko złodzieja, natychmiast wezwał na świadka sołtysa Mościsk, Jana Markowicza, a na drugiego powołał pokrzywdzonego Pawlaka i w ten oto sposób mógł w majestacie prawa przystąpić do otwarcia piwnicy należącej do złodzieja. Podejrzany Kleszczyński zatwardziałym musiał być przestępcą, bo pokrętnie tłumaczył, że właśnie zgubił klucz od kłódki i do piwniczki wejść się za nic nie da. Nie wiedział, że z przodownikiem Bielawskim żartów nie ma, a policjant ma policyjnego nosa i od razu widzi, jak jakiś łotr kręci. Kazał więc, żeby obaj świadkowie ściągnęli mu portki, chwycili mocno za ręce i kark, tak żeby tyłek był wypięty. On zaś wziął do ręki solidną witkę, którą wyciął scyzorykiem z pęku wikliny rosnącej przy płocie, i dalej tą witką przemawiać chłopu do rozsądku.

Po dwóch minutach zagubiony klucz nagle się odnalazł. Gdy drzwi otwarto, ze środka wyleciała cała chmara much. Policjant jako najważniejszy w tym towarzystwie pierwszy wszedł do piwniczki po kilku schodkach. W zasadzie to nawet nie musiał wchodzić, bo zapach świeżo zaszlachtowanego wieprzka był tak charakterystyczny, że trudno go było pomylić z czymkolwiek innym. Świnia leżała w korycie, zabita zapewne pchnięciem bagnetu pod lewą przednią racicą, wprost w serce. Śladów krwi nie było, więc to oznaczało, że zabito ją w innym miejscu i tam spuszczone krew, którą złodziej zamierzał wykorzystać na kaszanki i salcesony.

– Moja świnia! – zawołał uradowany Pawlak.

– Nie zdążył jej jeszcze przerobić na kiełbasy – zauważył trzeźwo sołtys Markowicz, który trochę posmutniał na ten widok. Świnia nieprzerobiona oznaczała, że nie będzie z czego pobrać choć części wyrobów jako zadośćuczynienie za pomoc w przesłuchaniu złodzieja.

Bielawski spojrzał groźnie na stojącego przed biurkiem aresztanta Kleszczyńskiego

– No to podpisujcie tu gdzie ptaszek. – Policjant wskazał miejsce u dołu zeznania. Zatrzymany podszedł bliżej, trzymając w garści portki, żeby mu nie opadły, bo zgodnie z regulaminem szelki wczoraj jeszcze zostały mu odebrane, ponieważ jak głosiła instrukcja w sprawie zatrzymania przestępcy: *istniało zawsze*

prawdopodobieństwo, że zdesperowany aresztant może się na szelkach czy na pasku obwiesić.

Mężczyzna wziął do ręki pióro i umoczył stalówkę w kałamarzu wypełnionym atramentem. Bielawski spojrzał na jego palce. Wszystkie były brudne od pieczęciowego atramentu.

– Możecie najpierw przeczytać, zanim co podpiszecie.

– Mogę? – Zatrzymany najwyraźniej się zdziwił. – A po cholere jak i tak świnia przepadła – stwierdził i złożył kulfoniasty podpis.

– I o to się właśnie rozchodzi. – Zadowolony przodownik spojrzał na swojego podwładnego, który wpatrywał się w ulicę za oknem.

– Frackowiak, odprowadzić aresztanta do aresztu.

– Tak jest! – Młody policjant zerwał się z krzesła. – Gdzie, panie przodowniku?

– No do piwnicy – wyjaśnił jak małemu dziecku. Gówniarz musi się sporo nauczyć, pomyślał stary policjant.

Poznań

Godzina 8.30

– A pani szanowna to niby w jakiej sprawie?

– A pan szanowny to niby kto?

– Ja tu mieszkam.

– Znaczy się pan właściciel kamienicy.

– No... nie, ale...

– Jak nie właściciel, to pewnie stróż?

– No nie, ale...

– Ale tak mi się zdaje, jak kto nie jest właściciel ani stróż, to gównogogo może obchodzić w jakiej ja sprawie.

Mężczyzna wyglądał jak strach na wróble. Marynarkę miał za dużą, więc rękawy podwinął, bo były wyraźnie za długie. Spodnie za to miał za krótkie, odsłaniające chude łydki. Gęby nie golił od dawna, więc cała była zarośnięta. Nieprzycinane włosy, wychodzące spod sfatygowanego melonika, zakrywały uszy, a z tyłu sięgały kołnierza. Człowiek ów siedział na schodach prowadzących na klatkę

schodową i zjadał świeży chleb. Okrągły bochenek trzymał pod pachą i co chwilę odrywał od niego kawałek skórki, którą zaraz wpychał sobie do ust.

– Może obchodzić, a może i nie obchodzić – odezwał się, uśmiechając się szeroko i ukazując dwa rzędy poczerwiałych zębów.

– Ale do chlebka to ja lubię się piwa napić.

– A niby co mnie to może obchodzić. Trzym się pan swojego bochenka i nie zwracaj głowy.

Brodziakowa zrobiła dwa kroki w głąb podwórka, właściwie nie wiedząc, dokąd powinna iść. Dlatego przystanęła i spojrzała w górę. Żeby dostać się do któregoś z mieszkań na piętrach, musiałyby przejść koło tego ciekawskiego gościa, bo za nim było wejście na klatkę schodową. Dopiero z niej można było wydostać się na drewniane krużganki prowadzące do izb mieszkalnych. Tyle że nie wiedziała, do których drzwi powinna zapukać.

Dziś postanowiła, że dość już tej bezczynności, że musi coś zrobić, bo inaczej jej synka wsadzą do więzienia i oskarżą o morderstwo. A ona przecież wiedziała, że jej Zenuś to może i jest wywijas i juchciarz, ale za mokrą robotę w życiu by się nie zabrał. Tak już go wychowała, że chłopak doskonale rozumiał, co mu wolno, a czego nie. I jeszcze pomagał matce, bo wszystko, co ukradł, przynosił do domu. Zupełnie inaczej niż ten moczymorda, jego ojciec, który potrafił z domu wynieść i sprzedać, co się dało, byle się tylko napić. Dziś rano sama dała mu parę groszy, z tych zarobionych przez chłopaka, żeby poszedł do knajpy i posłuchał, co wiara mówi o tym zabitym gościu i o Zenusiu. Poszedł więc zadowolony już o siódmej. Była przekonana, że wróci dopiero na obiad, a tu okazało się, że przylazł po godzinie i wcale nie pijany. Obrzuciła go więc złym spojrzeniem, pewna, że wrócił po pieniądze, bo te, co mu dała, przegrał w karty. Tym razem się pomyliła.

– Jedna baba, co mieszka na Wielkiej, tam gdzie tego człowieka zaszlachtowali, to widziała tych gości.

– Jakich gości? – zapytała zdziwiona, przede wszystkim tym, że stary Brodziak mówił do rzeczy

– No tych, co onego zadźgali.

– Skąd niby wiesz?

– A co ty myślisz se, że ja już nie umiem słuchać, jak się o synka rozchodzi? No i taki jeden, co to na Wielkiej mieszka, a robi wew rzeźni, powiadał swojemu szwagrowi, że ona wszystko widziała, ale szkiełom nic nie rzekła, bo ze szkiełami się przecie nie gada.

– A jak się nazywa ta baba?

Brodziak wzruszył ramionami.

– Się zapytałem, ale oni nie wiedzieli, ino powiadali, że ona ich z okna widziała i nawet na nich ryja darła. A mieszka wew tej kamienicy, co to jest na rogu Wielkiej i Kramarskiej, co to właścicielem był ten stary Żyd, co umarł, i nie ma kto po nim wziąć spadku, a ona taka gruba jest, że ledwo łązi...

Usłyszawszy to, Brodziakowa postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Znała jedną taką grubą z tej kamienicy...

– Ja tam się swojego trzymam – stwierdził obdartus zajadający chleb. – I właśnie dlatego, że się trzymam, to wiem wszystko, co trzeba.

– Niby co?

– Niby że jak się pani nazywa. Bo pani jest Brodziakowa. A ja wiem, bo ja na Żydowskiej ulicy urodzony, to wiem, że Brodziakowa...

– Wielkie mi tajemnice! A co, nie można?

– Można, pewnie, że można. Ale umiem i do kupy wszystko poskładać i pomóc nawet mogę.

– Że niby jak do kupy?

– Ano tak, że jak pani Brodziakowa przychodzi tutaj, to znaczy się jest w potrzebie, bo tu Zenusia oskarżyli o zabicie i niby to Ograbkowa z okna widziała...

Brodziakowa podeszła bliżej.

– Ograbkowa to na którym kiju siedzi?

– Ona widziała, ale kto tam był, to nie bardzo, bo już ślepa trochę, to niedowidzi, co na dole się wyprawia.

– Zobaczymy. To na którym? Mówże, człowieku. Na piwo dam. – Potarła kciukiem o palec wskazujący, tak żeby obdartus poczuł woń pieniądza.

– A po co mnie na jedno piwo zarabiać, jak ja mogę na litra z kotлетem mielonym. I śledzia jeszcze zjeść dzisiaj mogę na obiad – stwierdził, uśmiechając się chytrze.

– Niby jak?

– Jak się wie, kto tego Szkiebra zaszlachtował, to można to sprzedać, nie? Może kto będzie chciał zapłacić.

– Kto wie?

– Ja!

– Niby skąd?

– Jak skąd? No z ulicy. Ja tu po drugiej stronie mam posłanie, pod arkadami. To niejedno widzę. A ile usłyszę... Ho, ho, ho!

– A wtedy, w nocy, to co żeście słyszeli?

– Dwóch ich było. Po niemiecku gadali, ale to Polacy.

– Skąd wiecie, że Polacy?

– No jak skąd? Przecie ja ich znam. Znaczy się tego jednego to ino z widzenia, ale drugi to jest tutejszy, zez Starego, znaczy się z naszego fyrta.

– Jak się nazywa?

– Całkowicie i zupełnie zapomniałem, alem dziś raniuchno jeszcze pamiętał. Ja se tak myślę, że jak ja bym jeszcze jakiej polskiej kiełbasy se pojadł, toby mi na pamiętanie dobrze zrobiło...

– A niech cię jasna cholera weźmie! – burknęła raczej dla porządku i wyciągnęła trzy banknoty, każdy po dziesięć tysięcy marek.

Obdartus wysunął drżącą dłoń w jej kierunku. Naraz przyszło jej coś do głowy. Cofnęła rękę z pieniędzmi. Mężczyzna spojrział na nią zdziwiony.

– Widzieliście, jak jego zarznąli, i nie wróciliście, żeby go obrobić? – zapytała podejrzliwie, patrząc mu prosto w oczy.

Wzruszył ramionami.

– A co ja głupi jestem czy jak? Jak go zarznąli, to zaraz uciekłem najdalej jak się dało. Przecie jakby zobaczyli, że coś widziałem, toby mnie raz-dwa załatwili na ament. Świadców się nie zostawia żywych, nie?

Skinęła głową. Miał rację.

– To jak on się nazywa?

– Alojzy Spychała, co mieszka na Szkolnej.

– Nie kłamiecie? Bo jak by co, to wiecie, że mój synuś robi dla Tolka Grubińskiego?

Delikatnie wyciągnął jej z dłoni marki i natychmiast schował je do kieszeni.

– Niech ja, szanowna pani, skonam w boleściach tutaj na miejscu, jak kłamię. Spychała Alojzy to gnida jakich mało, nie dość, że ludzi ma sporo na sumieniu, to jeszcze pilnuje porządku w burdelach. Powiadam pani, gnida, że aż strach.

– Jeszcze się taki nie narodził, co by dał radę Tolkowi... I mojemu Zenusiowi z nim razem. – Uśmiechnęła się zadowolona i pozostawiwszy informatora samemu sobie, wyszła z bramy w kierunku ulicy Wielkiej, na której panował zwyczajny o tej porze ruch ludzi śpieszących na wielkie targowisko na Starym Rynku.

Godzina 10.30 przed południem

Gil chrząknął coś na powitanie i nie czekając na zaproszenie, usiadł przy okrągłym kawowym stolyczku, przy którym zwykle jego przełożony siadywał z oficjalnymi gośćmi. Wywiadowca miał tu jednak specjalne prawa i mógł w zasadzie robić, co mu się podobało, oczywiście w granicach przyzwoitości. Zazwyczaj więc siadał na krześle na wprost biurka. Dziś jednak to krzesło było zajęte przez jakiegoś przodownika, którego na dodatek Gil widział po raz pierwszy w życiu. No ale nie wypadało przecież, ot tak zwyczajnie, wyrwać siedzenia spod tyłka policjantowi, tym bardziej w obecności dowódcy. Dlatego Gil, wszedłszy do gabinetu Fischera, usiadł nieco z boku, czekając, aż szef przejdzie do rzeczy.

– Coś pan niewyraźnie wyglądasz, panie Gil. – Podkomisarz Fischer uśmiechnął się krzywo tylko prawą częścią ust, bo lewą miał zajętą przez ogryziony cybuch fajki, którą właśnie odpalał. Tę fajkę dostał od ojca, gdy po ukończeniu kursu oficerskiego wyjeżdżał na wojnę do Francji. Wtedy nawet jeszcze nie palił tytoniu, ale prezent przyjął, bo w końcu nie wypadało powiedzieć ojcu, że nie wie, co miałby z tą fajką o połyskliwym wiśniowym cybuchu zrobić. Dopiero na froncie zrozumiał, jak ważny był ten ojcowski podarunek. Fajka

szczególnie przydawała się podczas artyleryjskiego ostrzału, gdy ludzie wariowali w transzejach ze strachu. On, bądź co bądź oficer, powinien był świecić przykładem i opanowaniem, więc własny strach, rozrywający swoim ostrzem trzewia, skrywał pod pozorem obojętności palacza. Trzymał fajkę mocno w zębach, gryząc niemilosiernie czarny ustnik, ale na zewnątrz wyglądał jak posąg młodego oficera w stalowym hełmie. Ten widok sprawiał, że jego podwładni czuli siłę spokoju, którą roztaczał wokół siebie.

Podobnie było podczas ataku, gdy jako dowódca kompanii musiał prowadzić swoich żołnierzy na wrogie okopy. I prowadził zawsze z nieodłączną fajką w zębach. Nic dziwnego, że dziś jej ustnik wyglądał tak, jakby mu go obgryzły szczury, ale Antoni Fischer wcale się tym nie przejmował. To była jego fajka, dzięki której, tak mu się przynajmniej wydawało, przetrwał wielką wojnę, powstanie wielkopolskie i w końcu wojnę bolszewicką. Dlatego właśnie za nic w świecie nie wymieniłby jej na nową.

– Wywiadowca Marian Stolarski melduje się na rozkaz, panie komisarzu. – Do pokoju wszedł uśmiechnięty od ucha do ucha, szczupły dwudziestokilkulatek. Wyglądał jak robotnik, który właśnie skończył szychkę w fabryce i teraz czysty i zadowolony zamierza pójść na piwo. Ubrany był w drelichową kurtkę i kraciastą czapkę, więc w strój, który mógł założyć dosłownie każdy szary przechodzień. Zaraz za nim do pokoju wsunął się niższy od Stolarskiego o kilka centymetrów, za to o wiele postawniejszy i szerszy w ramionach, brodaty trzydziestolatek w okularach. Ubrany w prosty, grafitowy surdut, w ręce trzymał wychodzący już z mody melonik. O tym można było na pierwszy rzut oka powiedzieć, że to zapewne gimnazjalny nauczyciel, ale z pedagogiką ów mężczyzna nie miał nic wspólnego. Podobnie jak jego kolega również był człowiekiem, którego zadaniem było jak najlepsze wtapianie się w tłum.

– Wywiadowca Albert Krause na rozkaz – zameldował się i zaraz rozejrzał za miejscem, na którym można przycupnąć.

– Krzesła pod ścianą. – Fischer wskazał na dwa meble stojące na lewo od jego biurka, nad którymi wisiał obraz w złoczonej ramie, oleodruk przedstawiający alpejski krajobraz z lasami porastającymi

dolne partie skalistych gór. Landszaft powiesił tu poprzedni właściciel tego biura, niemiecki komisarz, który jak większość jego kolegów w dziewiętnastym roku wyjechał do Niemiec. Fischer nie miał nic przeciwko pejzażowi, ale nawet jakby miał, to nie miał pojęcia, czym można by go zastąpić. Więc obraz został na ścianie, stanowiąc jedyną artystyczną ozdobę skromnie urządzonego pokoju. Krzesła pasowały do siebie tak jak ten obraz do policyjnego biura. Każde z innej parafii i chciałoby się powiedzieć od innego stolarskiego mistrza, ale wystarczyło im się tylko dokładniej przyjrzeć, by zobaczyć, że żaden mistrz koło nich nawet nie przechodził. Były to kiepskiej jakości krzesła, produkowane masowo z lichych materiałów, takich jak sośnina czy olcha, oklejanych, na bogato, fornirem dębowym. Podobnie było z pozostałymi meblami wypełniającymi biuro Fischera. Jak mówił sam gospodarz, jego szafa na akta, biurko, stolik czy nawet ten niewielki szezlong dla szczególnie ważnych gości, wszystko to szajs i erzac świadczący o tym, że w przedwojennej niemieckiej policji nie powodziło się zbyt dobrze. Ale w polskiej musiało być jeszcze gorzej, skoro nikt nie pomyślał nawet, żeby w takim urzędzie jak poznańska Dyrekcja Policji zastąpić pruskie meble nowymi, polskimi. Skoro te były jeszcze dobre, to po co je wymieniać. Doskonale rozumiał ten sposób myślenia podkomisarz Fischer, który mimo że narzekał na odłóżką z blatu okleinę, nie widział powodu, by pisać podanie o nowe biurko. Zresztą kto by mu taki papier zaakceptował. Póki meble się nie rozlecą, będą służyć jeszcze całe lata. Podkomisarz w przypływie dobrego humoru powiedział nawet Gilowi, że za jego biurkiem będzie pracował jego własny wnuk, bo i za pięćdziesiąt lat w Poznaniu nikt nie wpadnie na to, żeby dla policji kupić nowe biurka.

– Tu, bliżej. – Machnął ręką na dwóch wywiadowców, którzy chcieli właśnie zająć miejsce pod ścianą. – Tutaj. – Wskazał na siedzącego na krześle przodownika. – A to jest właśnie pan przodownik Waldemar Karolak, którego w chwili obecnej przenieśliśmy do nas. Pan Karolak umie dobrze pisać na maszynie i układać wyrazy z czcionek drukarskich, bo dawniej, przed wojną, był drukarzem. A teraz został szkiełem i jako że się marnował na swoim posterunku, postanowiłem dać mu szansę i przenieśliśmy go do nas w trybie

natychmiastowym, więc oczekuję od panów, że pomożecie mu się u nas odnaleźć.

– Można pomóc, czemu nie – zgodził się ochoczo Stolarski.

Gdy krzesła ustawiono w równym rzędzie, Fischer spojrzał na Gila. Ten nadal siedział przy małym stolyczku.

– Chodź pan bliżej również. – Skinął głową, wskazując na innych wywiadowców. – Nie pogryzą pana.

– Światło mnie pogryzie, panie komisarzu.

– Światłowstręt może być następstwem hulaszczego trybu życia! – stwierdził oficer.

– Wszystko, że tak się wyrażę, w imieniu służby – odparł Gil, któremu kac powoli zaczynał rozsadać czaszkę od środka. Piwo, które pił od rana, na niewiele się zdało. Czuł, że musiałby wypić coś mocniejszego, a tymczasem ta narada u dowódcy mogła potrwać godzinę, a kto wie, czy nie więcej. Fischer najwyraźniej zatroskany zdrowiem swojego podwładnego, ale i człowieka, który pomagał mu w policji stawiać pierwsze kroki, postanowił wyciągnąć ku niemu pomocną dłoń.

Otworzył szafkę biurka, nachylił się nad nią, pogrzebał w środku i po chwili na blacie pojawił się odrapany aluminiowy kubek z czarnym emaliowanym uchwytem. Zaraz po tym postawił obok butelkę francuskiego koniaku Martel. Chwycił korek, który wystawał do połowy swojej długości, szybko go wyciągnął i otworzył flaszkę.

– Francuzi to jednak znajdują się na robieniu trunków. Koniak pierwsza klasa, panowie – powiedziawszy to, nalał do kubka sporą porcję. – Wybaczcie, że was nie częstuję, ale sami wiecie, jak służba to służba. To dla pana Gila lekarstwo. Chodź pan tu i się lecz, bo ja potrzebuję pana w dobrej kondycji a nie zdalasiałego starego kociambra z katzenjamerem[16].

Gil podszedł szybko do biurka szefa, zabrał kubek i wrócił na swoje miejsce. Natychmiast upił łyk i zaraz poczuł, że ten dzień wcale nie musi być taki zły, jak mu się od rana wydawało.

Fischer schował butelkę do szafki i obrzucił swoich ludzi uważnym spojrzeniem. Wiedział że na tych dwóch wywiadowców może liczyć. Pracowali dla niego przy kilku sprawach kryminalnych i zawsze wykonywali solidną robotę. O tym nowym nic jeszcze nie wiedział,

ale czuł, że i on stanie się przydatnym trybem w jego śledczej maszynie. Co do Gila... Traktował go nieco ulgowo. Jego podwładny rzeczywiście był jak kot, który zawsze chadza swoimi ścieżkami, ale te ścieżki nieodmiennie prowadziły do celu, jaki wyznaczył Fischer. Dlatego wcale mu nie przeszkadzało, że wywiadowca niekiedy przesadzał z piciem. W końcu wiadomo było, że najlepsze informacje potrzebne przy śledztwie można zdobyć, pijąc z informatorami. No to Gil pił i informacje rzeczywiście spływały do niego jak piwo do kufla.

– Panowie, sprawa, którą już znacie i przy której zaczęliście chodzić, jest priorytetowa. Chodzi o zabitego człowieka na ulicy Wielkiej. Fakty są następujące. – Tu spojrzął na otwarty kajet w czarnej okładce, w którym miał zwyczaj zapisywać wszystkie dane dotyczące prowadzonej właśnie sprawy. – Zamordowany to niejaki Heinz Joseph Langsdorff, lat 38. To są dane z paszportu niemieckiego, który pan Gil był uprzejmy znaleźć w mieszkaniu należącym do matki, jeszcze w tej chwili podejrzanego w sprawie, młodocianego Zenona Brodziaka, który chwilowo zbiegł. Prócz tego znalazł tam trzewiki męskie rozmiar czterdziesty czwarty, pasujące do stóp zabitego oraz portfel, w którym był paszport. Pieniądzy żadnych nie znaleziono. Ów Zenon Brodziak najprawdopodobniej tylko okradł zwłoki, ale wydaje mi się być kluczową postacią, która może nam pomóc w ustaleniu sprawców. Bo z przesłuchania bab mieszkających w kamienicy, pod którą zginął Niemiec, wiadomo, że napastników było dwóch i do tego posługujących się językiem niemieckim. W związku z tym poprosiłem mojego dobrego znajomego kapitana Mikołajewskiego o pomoc w identyfikacji ofiary, albo dokładniej, ustalenia, czy ten człowiek nie ma czego wspólnego z jakimiś kwestiami, że tak się wyrażę...

– Czy to nie jest jaki szpieg? – przyszedł mu w sukurs Gil, który już wyraźnie poczuł się lepiej.

– Sprawdzamy to, oczywiście, na wszelki wypadek – dodał Fischer, który zawsze lubił zbadać każdą z możliwości. – I jednocześnie czekamy na informacje od mojego informatora w kwestii samego zabójstwa, czyli informacje z pierwszej ręki od samego małoletniego Zenona Brodziaka.

– Czyli że Grubiński Anatol dlatego został wypuszczony? – domyślił się w końcu Gil, który w tej chwili zrozumiał, skąd na papierze potwierdzającym zwolnienie z aresztu Tolka znalazł się podpis Fischera. Tylko jak to się stało, że Fischer w ogóle dowiedział się o zatrzymaniu Grubińskiego? Przecież dopiero dziś Gil chciał mu o tym zameldować, jako o swoim śledczym sukcesie, a tu się okazuje, że sukces poszedł sobie najspokojniej do domu, ułożywszy się z podkomisarzem.

– Jak pan wie, panie Gil, z Grubińskim w ważnych sprawach od czasu do czasu współpracujemy – powiedziałwszy to, Fischer spojrzał na swoich ludzi. – Muszą panowie wiedzieć, że współpraca ta już nam się parę razy opłacała. Szczególnie w dziewiętnastym roku, kiedy to w Poznaniu miało wybuchnąć niemieckie nacjonalistyczne powstanie. Grubiński mocno nam dopomógł w pokrzyżowaniu niemieckich planów.

– Znaczy jest naszym kapusiem? – domyślił się wywiadowca Stolarski.

Fischer pokręcił głową.

– On, drogi panie Stolarski, nie kapuje na swoich kumpli złodziei. On niekiedy pomaga nam przy szczególnie skomplikowanych sprawach.

– To znaczy że tę sphawę uważa pan za skomplikowaną – zapytał Krause, jednocześnie przecierając kraciatą chusteczką swoje okulary. Był Niemcem, dlatego „r” wymawiał jak „h”, z niemiecka.

– Tego jeszcze nie wiem, moi panowie. Tego się właśnie musimy dowiedzieć. Dlatego pan Krause będzie tak uprzejmy i zasięgnie języka wśród tutejszych Niemców. Pokręci się pan po niemieckich knajpach i posłucha, co mówią ludzie. Pan, panie Stolarski robi dokładnie to samo wśród Polaków zamieszkujących okolice ulicy Wielkiej. Co do pana Gila, to chciałbym, żeby pan powęszył trochę po okolicznych burdelach. – Wywiadowca na słowo „burdel” wyraźnie się ożywił. – Zakładam, że skoro ten nasz nieszczęśnik wracał nad ranem, to zapewne był w którymś z domów oferujących cielesne usługi. Popyta pan o niego i mam nadzieję, że gdzieś na jego ślad w końcu trafimy. A tu, proszę, zapałki, które nieboszczyk trzymał w zaciśniętej dłoni. Być może to właśnie tam bawił się feralnej nocy.

Podał Gilowi papierowy pasek z wklejonymi w środku płaskimi zapałkami, na którym ładnym pismem reklamowano przybytek Erosa i Psyche.

*Salon dla panów z wyższych sfer
madame Alouette
przy ulicy Wielkie Garbary 56
Najlepsza obsługa wszystkich zmysłów*

Wywiadowca rzucił tylko okiem i zaraz schował zapałki do kieszeni marynarki.

– Nie ma takiej możliwości, żeby go nie zapamiętali, jak tam był. A tą Alouette to ja znam. Ino by się fotografie przydały jego gęby...

Fischer postukał w kopertę, która leżała przed nim na blacie biurka. Jak zwykle działał w sposób przemyślany i bardzo staranny, bo wiedział, że od tego zależeć może sukces śledztwa. Niczego nie lubił zostawiać przypadkowi.

– Tu znajdziecie, panowie, fotografie. Mistrz fotograficzny Jurecki z placu Wolności wykonał nam artystyczne zdjęcia twarzy zabitego, na której nasz przyjaciel wygląda, jakby miał zaraz pójść na piwo. – Wysypał zawartość koperty i skinął na swoich ludzi, by się zbliżyli. Twarz zamordowanego człowieka wyglądała rzeczywiście jak żywa.

– Jurecki ma rękę do trupów. – Gil z uznaniem pokiwał głową.

– Jakies pytania? – Dowódca spojrzał na swoich podwładnych. Starzy wyjadacze znali swoją robotę doskonale. Tylko ten najmłodszy stażem, przodownik Karolak, nieśmiało uniósł rękę, jak uczeń zgłaszający się do odpowiedzi.

– Ja właśnie chciałem zapytać pana komisarza... że to niby nie wiem, co mam robić w sprawie.

– No i nie możesz pan wiedzieć, bo jeszcze nic nie powiedziałem na ten temat.

– Aha...

– Pan, panie Karolak, zajmie się papierami – stwierdził Fischer. Pozostali wywiadowcy uśmiechnęli się pod nosem. Nowy dostał najgorszą robotę. Będzie siedział przez cały dzień, przepisywał ich nabazgrołone raporty i kompletował akta sprawy. Najgorsza robota

w policyjnym fachu ominęła więc ich wszystkich, a załapał się na nią najnowszy członek grupy dochodzeniowej.

– Znaczy mam pisać?

– Oczywiście. Bo zdaje się, że na pisaniu znasz się pan jak mało kto w tym pokoju.

Pozostali pokiwali głowami z wyraźną aprobatą, szczęśliwi, że ktoś zdejmie im z głowy pisarski ciężar. Bo przecież nie od dziś wiadomo, że prawdziwy policjant żyje rytmem wyznaczanym przez tętno ulicy, a od pisania to są gryzipiórki i pisarze.

Godzina 11.45 przed południem

– No to teraz nam wszystko po kolei jak na świętej spowiedzi powiedzieć masz i żebyś nic nie kręcił. – Tolek pogroził palcem Zenusiowi, a ten przełknął ślinę, jakby mu w gardle nagle zaschło.

– No to ja już wszystko powiedział...

– Nie kręć, ino godej – mruknął Walek Kaźmierczak, który usiadł obok Tolka za stołem. Po drugiej stronie na taborecie zasiadł Zenuś. Z boku, na lewo, pod oknem wychodzącym na ciemne podwórko, zajął miejsce Leon. Gdyby nie fakt, że to osobliwe przesłuchanie odbywało się w pokoju Tolka, na czwartym piętrze oficyny przy ulicy Mostowej, można by odnieść wrażenie, że jest to badanie obwinionego przed składem sędziowskim w obecności adwokata, choć bez oskarżyciela. Bo przecież za takiego nie mógł uchodzić Krystek, najmłodszy z braci Kaźmierczaków, który sprawiał wrażenie niezainteresowanego sprawą. Leżał rozwalony na metalowym łóżku i obgryzał skórkę od chleba. Wielki bochen kupili w piekarni na Garbarach, a u rzeźnika obok boczek i kiełbasę. Do tego wszystkiego jeszcze Tolek posłał obu najmłodszych członków swojego gangu do knajpy U Okonia po skrzynkę piwa, żeby wykwintne śniadanie było czym popić. Gdy dotarli na miejsce, zaraz wszyscy rzucili się na jedzenie. Kwadrans wystarczył, by zakupy zostały pochłonięte w całości, a jedynymi po nich śladami były okruszki na stole i ostatni kawałek skórki chleba w ręce Krystka. No i oczywiście jeszcze było piwo. Całej skrzynki, czyli dwudziestu pięciu butelek,

nie daliby rady wypić w tak krótkim czasie, bo kupili grodzisza, a wiadomo, że to piwo drożdżowe pieni się mocno i skutecznie zatyka brzuch gazami, które sprawiają, że pijący muszą co jakiś czas ich się pozbywać, by móc dalej delektować się napojem. Jednak dla prawdziwych smakoszy, a do takich właśnie koneserów zaliczała się trójka dorosłych złodziei, nie stanowiło to żadnego problemu. Grunt, że świeże piwo smakowało jak należy.

– Przecie gadam wszyściutko.

– No to po kolei, żebyś nic nie ominął, bo sprawa gardłowa... – Tolek przerwał, chwycił się za brzuch, a potem beknął głośno. – Znaczy się sprawa ważna jest.

– No to ja już wiem dobrze. To i powiadam, że ino tam przechodziłem, jak szłem na targ, na Stary Rynek.

– I co? – zainteresował się Walek.

– I zobaczyłem jednego kejtra. Taki czarny, co to łązi po Wielkiej i nie ma chaty, znaczy się pewnie nawiał od jakiego bambra z obejścia i teraz włóczy się po mieście. A cwany jest jak diabli, bo żaden hycel jeszcze se nie dał z nim rady. Nawet ten Węglarski, co to każdego kejtra umi chycić, tego jeszcze nie chycił. I ten kejter, no wiesz który, co nie, Krystek? – Odwrócił się za siebie, szukając potwierdzenia swoich zeznań u przyjaciela.

– Prawdę gada. Ja znam tego kejtra – potwierdził młody Kaźmierczak.

– A co ty mi farmazony tu zasuwasz! – Tolek spojrzał groźnie na chłopaka. – Ty nam tu nie o jakimś kundlu, ino o tym gościu, co żeś go obrobił.

– A co, miałem na zmarnowanie zostawić tyle dobra? Choćby ten kapelutek. – Wskazał na swój zdobyczny kapelusz, który wisiał na wieszaku koło drzwi.

– Głupi by był, jakby zostawił – odezwał się znów Krystek.

– A ty co, adwokat żeś jest? – Leon pogroził mu palcem.

– Jak wy we trzech na jednego jedziecie, to wiadomo, że ja z nim będę sztame trzymał.

– Trzymać to se możesz, ile chcesz na ulicy, ale tutaj jest spowiedź święta przed kolegami z eki[17] – wyjaśnił cierpliwie Tolek. – A przed eką ino się prawdę gada. A jak kto kłamie, to w trymiga z eki może

kopa w dupę dostać i niech se szuka gdzie indziej kolegów, co go na robotę biorą.

– Przecież ja nie kłamię! – zawołał wzburzony Zenuś. Poderwał się na równe nogi i dla podkreślenia wagi swoich słów szybko się przeżegnał. – Kłamać to ja mogę szkiełom, ale wam nigdy w życiu.

– Siadaj, szczone, i opowiadaj po kolei wszystko, jak było! – Tolek wskazał mu taboret. – O to się rozchodzi, żebyśmy mogli wszystko wew kolejności ustalić i żeby szkiełom dać tych, co tego gościa zaszlachtowali, bo jak na razie jedynym podejrzanym jesteś ty sam. A skoro tak jest, to musisz nam wszystko opowiedzieć, jak było.

Widać zaschło mu w gardle po tym przemówieniu, bo spojrzał na Krystka, a potem wskazał na stojącą na podłogę skrzynkę z piwem.

– A ty daj mi ino tu flaszkę, bo mi się pić zachciało.

– I mi też – rzucił Leon.

– Ja też chcę. – Walek również skorzystał z okazji. Chłopak wstał więc z łóżka, wyjął trzy butelki i postawił je na stole. Znudzony leżeniem podszedł do okna, żeby zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Na brudnym i ciemnym podwórku nie działo się nic.

– No to gadaj – ponaglił Brodziaka Leon.

– Gość leżał sprawiony. Aha, nie, najpierw ten kejter. Idę se po ulicy i patrzę, a kejter coś liże. No to idę bliżej, żeby zobaczyć, co on tam liże...

– A to było w nocy czy rano? – zainteresował się Walek.

– Rano, pewnie, że rano. Bo jakby było wew nocy, tobym nic nie zobaczył, bo tam światła wcale nie ma na Wielkiej, jak się idzie od strony Starego Rynku. No to się patrzę, a ten kejter coś liże. No to trzeba było sprawdzić, w czym rzecz. No to ja się patrzę, a to jest czerwone, znaczy się krew. No to pytam się kejtra, czy on szczura zeżarł czy jak. A on na to...

– Z psem żeś gadał? – zdziwił się Leon.

– No a jak. Wiadomo, że z psem da się pogadać. Taki kundel to mądrzejszy niż niejeden ćwok.

– I co, odpowiedział ci co? – Walka najwyraźniej rozbawiła ta historia.

– Jak by miał odpowiedzieć? Przecie to nie Wilijum.

– Każdy głupi wie, że psy ino we Wilijum gadają – wtrącił się Krystek, który dowiedział się o tym od księdza, bo jeszcze rok temu chodził na katechizm w niedzielę, ale przestał, bo nie miał czasu na uczenie się jakichś niepotrzebnych modlitw na pamięć. A że bracia niespecjalnie byli religijni, więc nie miał go kto zmusić do kontynuowania nauki, tym bardziej że niedziela była dniem, w którym wraz z Zenusiem chodzili na mszę do pobliskich kościołów. W każdą do innego, żeby się za mocno nie rzucać w oczy. Bo w niedzielę w kościelnym tłoku łatwo można było obrobić pograżonych w modlitwie ludzi, których myśli szybowwały ku Bogu, podczas gdy ich kieszenie padały łupem małych bezbożników.

– Ady nie o psie godej! – ponaglił Zenusia Tolek.

– Bez kejtra bym nic a nic nie wiedział. A że on taki mądry, to mnie zaprowadził gdzie trzeba. Ja do niego o tego szczura się pytam, a on patrzy się na mnie tymi swoimi ślepiami i dalej ogonem machać. Bo on mnie zna dobrze, bo ja już nie raz dałem jemu żryć, bo taki był chudy jakiś czas temu, że aż przykro patrzeć, no to my zez Krystkiem raz jemu otworzyli śmietnik na tym podwórku za restołracją Szymańskiego, na Kurzej Nodze, bo tam do śmieci to wywalają nieobżarte gnoty po golonce, bo w tej restauracji dają golonkę...

– Trzymajcie mnie, bo zaraz dam mu pasem po dupie – warknął Walek, który już miał powyżej uszu słuchania historii o psie i kościach od golonki. – Gadaj mi zaraz, co z tym trupozem!

– Z trupozem nic, zimny trup. Kejter polecioł do śmietnika, ino nie tego, co był za restołracją Szymańskiego, ino do tego na podwórku, na Wielkiej. No polazłem za nim, bo mi się zdawało, że chce mi pokazać tego szczura, bo aż mlaskał, tak się od tej juchy oblizywał. No to ja się patrzę, a on mi pokazuje tego truposza. No to ja rozglądnę się doobkoła, czy nikt się nie patrzy, no i nikt się nie patrzył, no to mu wzięłem wszystko, co niepotrzebne, bo przecie nieboszczykowi bejmy już nie są potrzebne, pugilares też nie i trzewiki, i kapelutek to już w ogóle niepotrzebny...

– Racja, wew kapeluszach przecie nie chowają do grobu – zgodził się z kolegą Krystek. – Głupi by nie wziął, jak leżało...

– Pytał cię kto? – warknął Leon.

– Krystek ma rację – poparł chłopaka Zenuś. Jakbym ostawił onego w spokoju, toby kto inny wziął. A to przecie jasne, że obcemu szkoda oddać i lepiej samemu wziąć.

– I co? – Walek czekał na ciąg dalszy, ale młody Brodziak najwyraźniej nie miał już nic do dodania.

– A bejmów dużo było? – Tolek przeszedł do konkretów. Chłopak rozłożył szeroko ręce, pokazując, że nie ma nic do ukrycia.

– Łe szkoda gadać. Ze sto tysięcy co najwyżej, no może dwieście... Sobiem nic nie ostawił. Wszystko mamusi dałem. Wiecie, że u nas bida z nędzą, bo stary ciągiem chleje, to teraz mamusia będzie miała bejmy na żarcie.

– Dobrześ zrobił – pochwalił go Walek. – Bejmy szczęścia nie dają, a jak się ma ich za dużo, to o nieszczęście nietrudno. A mama zawsze wie, co z forszą zrobić. Jak nasza mamusia żyła, to żeśmy zawsze z Leonem wszystko jej oddawali. Co do feniga. Co nie, Leon?

– Prawda. Mamusia zawsze jest najważniejsza, a potem żona. Jak będę mieć żonę, to też jej będę forszę przynosił. Ino se na ćmiki i wódeczkę ostawię trochę.

– A flepy zabitego? – pytał dalej Tolek.

– Flepy w chacie się ostały. Po cholere mnie niemiecki paszport.

– Niemiecki?

– Z niemieckimi pieczętkami, znaczy się Niemiec. A prócz paszportu to tam nic nie było, ino taki bilet wizytowy z jednego burdelu.

– Burdelu? Którego? – zapytał Leon bez specjalnego zainteresowania. Przecież żaden z nich do burdelu nie chodził, skoro zaprzyjaźnione panny chodziły po ulicach.

– No ten, co jest na Garbarach, co jego prowadzi ta stara żydówka, co każe na siebie mówić „madam Alušet”, a i tak wszyscy wiedzą, że ona jest Rachela.

– Prawda, że żadna z niej Francuzka, ale w takim interesie liczy się dobre francuskie imię – stwierdził Tolek.

– I francuska miłość, he, he! – rzucił Krystek, ale zaraz spuścił głowę pod ostrym spojrzeniem obu starszych braci.

– A nazwisko tego Niemca to pewnie ci ze łba uleciało. – Na wszelki wypadek zapytał szef bandy.

– A czy ja jestem glapami futrowany? Jak człowiek przeczyta, to i zapamięta. On się nazywał Heinz Joseph Langsdorff.

Usłyszawszy to nazwisko, Tolek aż otworzył usta ze zdumienia. Przez chwilę zbierał myśli, które uciekły błyskawicznie do zamkniętej dawno szufladki ze wspomnieniami. Nie otwierał jej od wielu lat i miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał. Ale upiór noszący nazwisko Langsdorff nagle go znowu dopadł.

– Widziałeś jego gębę? – zapytał w końcu.

Chłopak wzruszył ramionami.

– No niby widziałem. Co miałem nie widzieć. Było już jasno, to widziałem.

– I co żeś widział?

– No nic, gęba jak gęba. Okrągły, spasiony pysk, jak to u Szwaba.

– A na policzku?

– Ano to zapomniałem o tej bliznie, co miał na tym policzku. No to miał bliznę... A niby skąd wiedział żeś o tym, że miał taką na policzku, jakby mu ktoś po niej nożem przejechał...

– Szablą – rzucił Tolek. – Na lewym policzku.

Zenuś spojrzał na Grubińskiego, jakby ten był co najmniej cyganką wróżącą z kart albo jasnowidzącą, która potrafi za pomocą kuli kontaktować się z umarlakami. Bo ten jego umarlak miał rzeczywiście bliznę na lewym policzku, ale przecież on o tym nie zdążył powiedzieć, a Tolek już wiedział. No ale w końcu to on był ich szefem, a szefowie wiadomo, że są szefami właśnie dlatego, że wiedzą wszystko. – Prawda, że na lewym miał szramę – potwierdził.

– No to jak to jest on, ta ja wam powiem, że skurwysynowi się należało. I jeszcze wam powiem, że miał gnój szczęście, bo jakby wpadł w moje łapy, to ja bym temu skurwysynowi na żywca wszystkie flaki wypruł i nakarmił nimi tego twojego kejtra.

Wszyscy zebrani w mieszkaniu złodzieje spojrzeli na zaciętą twarz Tolka Grubińskiego. Szanowali go jak mało kogo i wiedzieli, że nigdy nie rzuca grózb na wiatr. Więc jeśli mówił coś takiego o tym zabitym Niemcu, to znaczy, że musiał mieć do niego dużą złość i w zasadzie ten zabity powinien się tam w niebie, albo w piekle, cieszyć, że nie natrafił na Tolka.

– No to miał skurwysyn szczęście – przyznał Walek Kaźmierczak, popijając piwo grodziskie wprost z butelki i uważając przy tym, żeby nie wzburzyć drożdży, które jak to w porządnym grodziszu, opadły na dno flaszki.

– No i jeszcze jedno. – Zenuś wstał z taboretu i włożył rękę do kieszeni spodni. Pogrzebał w niej chwilę, by wyciągnąć coś połyskliwego. Uśmiechnięty od ucha do ucha podszedł do stołu i położył na blacie swoje trofeum.

– Myślałem, żeby do tego bleroczka klucz od chaty se przyczepić, ale to potem. Bo na razie to może by trzeba zobaczyć, czy czego ciekawego ten Szkieber tam pod numerem nie zostawił. Wiecie, walizka czy coś tam jeszcze...

Trzej mężczyźni pochyliłi się nad przedmiotem, który leżał na stole. Był to klucz przyczepiony do mosiężnej, okrągłej blaszki. W środku okręgu widniał wygrawerowany numer 15 otoczony napisem „HOTEL ROYAL”.

Godzina 12.05 po południu

Wywiadowca Gil spojrzał w górę na chowające się właśnie do swojej obórki dwa stalowe koziołki. Spóźnił się i nie dał rady obejrzeć w całości tego spektaklu, kiedy dwa mechaniczne stwory skakały na siebie i trykały się rogami niemal jak prawdziwe kozły. Niby widział już nie raz ten codzienny pokaz ze szczytu starej wieży ratusza, ale niezmiennie go on fascynował na tyle, że gdy tylko mógł w południe przejść przez Stary Rynek, za każdym razem przystawał i patrzył, podobnie jak wielu mieszkańców miasta dumnych z faktu, że mają u siebie taką niespotykaną gdzie indziej atrakcję.

Gil słyszał kiedyś od kogoś, że to jedyne takie kozły w Europie, więc tym bardziej cenił to południowe widowisko. Wiedział, że jeszcze w Pradze czeskiej jest podobny mechanizm zegarowy, ale tam nie ma kozłów, tylko jakieś figurki wyłażą z zegara i kręcą się dookoła. Ponoć ludzie tam są, biskupi i nawet kościotrup. I pokazują się ku uciesze gawiedzi. A skoro tak, to znaczy, że nie mają tam niczego nadzwyczajnego, bo przecie i u nas na co dzień można zobaczyć

ludzi, biskupów czasami też, a na kościotrupy nikt patrzeć nie ma ochoty. Za to na koziołki, które są prawie jak żywe, jak najbardziej, rozmyślał Gil, spoglądając na widzów, którzy obejrzawszy spektakl, rozchodzili się do swoich spraw. Gil też miał sprawy niecierpiące zwłoki. Przed chwilą, siedząc w swoim pokoju biurowym, zrobił sobie listę miejsc, które powinien odwiedzić w pierwszej kolejności. Były to burdele w okolicach rynku, od strony ulicy Wielkiej i Garbar. Wyszło mu, że jest ich zaledwie osiem, tych porządniejszych ma się rozumieć, bo takich dziadowskich dla pospólstwa z tanimi kurwami było drugie tyle. Jednak Gil zdążył przyjrzeć się dobrze umarłakowi i przede wszystkim jego garderobie. Wynik tych badań był jednoznaczny – zabity nie był biedakiem, więc jeśli chciał się zabawić, musiał to robić w porządnym przybytku.

Policjant postanowił, że przyjemność odwiedzania burdeli rozłoży sobie na dwa albo trzy dni, tak żeby nie zmęczyć się zanadto, korzystając służbowo z atrakcji, które te miejsca mu zaoferują. Dziś chciał spróbować szczęścia w pierwszych dwóch.

Pora na takie odwiedziny była idealna, ponieważ w południe nie przyjmowano jeszcze klientów, a pracujące tam kobiety odsypiały noc. Oznaczało to, że wszystkie pracownice były pod ręką i w razie czego można je było przesłuchać. Zmierzał więc do pierwszego burdelu z listy. Jednak najpierw chciał załatwić sprawę ze swoim kolegą Geislerem. Miał mu w końcu sporo do opowiedzenia.

Przecisnął się przez tłum uwijający się wokół bab sprzedających jabłka, ziemniaki, marchew i cebulę, wystawiane na widok kupujących w wiklinowych koszach, ustawianych wprost na rynkowym bruku, przed rzędem małych kamieniczek, w których kiedyś mieszkali budnicy, a teraz diabli wiedzą, kto tam się zagnieździł.

Minął pręgierz, na którego stopniach bamberki w czarnych bufiastych sukniach oferowały worki z kaszą, grochem i fasolą. Nie zwrócił na nie uwagi, mimo że jedna z bab próbowała zachęcić go uczciwą ceną. Ale on nie kupował takich produktów. A nawet jakby dostał w prezencie worek fasoli, to i tak nie wiedziałby, co z nim zrobić.

Wiedział za to doskonale, jak trafić do nowego ratusza, który łączył się ze starym sklepionymi podcieniami, wspartymi na smukłych kolumnach. Idąc w tym osobliwym rynkowym tunelu, mijał gospodarzy pilnujących swoich wozów z kurczakami, świniakami, zbożem i ziemniakami. Obserwując uważnie swoje dobra, wraz z kolegami oblewali interesy, popijając wódkę wprost z flaszek. Wśród nich uwijały się grupy młodych chłopaków, zawsze skorych do pomocy w każdej sprawie, od przyniesienia kolejnej flaszki, przez tytoń w dobrej cenie i świeży chleb z boczkiem na zagryzkę, aż po załatwienie dziewczynki, która w bramie albo ciemnym zaułku mogła tanio i szybko obciągnąć pałkę.

Wśród tych załatwiaczy pełno było też takich, którzy tak naprawdę szukali tylko okazji, żeby coś zwędzić. Tych Gil potrafił szybko i bezbłędnie wyłowić z gwarne go tłumu i w razie potrzeby złapać za ucho i wytarmosić, tak na wszelki wypadek. Bo mimo że był policjantem, to małych złodziei nie chwycił po to, żeby wsadzać do kozy, ale po to, żeby dać im nauczkę. Wiedział, że nie na wiele takie wytarmoszenie się zda, bo chłopaki kradli, nie mając innego wyjścia. W końcu z czegoś musieli żyć. Liczył więc po cichu na to, że któryś złapie się za czerwone ucho i pomyśli, że może jednak warto zamiast na juchte[18] pójść pod drukarnię, żeby gazety wziąć do roznoszenia po mieście. Uczciwa praca, choć nie tak dochodowa jak obrabianie cudzych portfeli.

Sam był najlepszym przykładem człowieka, u którego nauka nie poszła w las. Wiele lat temu, gdy był jeszcze dzieciakiem latającym w krótkich spodenkach, zajmował się właśnie jak ci oberwańcy z okolic Starego Rynku okradaniem handlujących chłopów i pijanych gości wychodzących z winiarni. I kto wie, czy w końcu nie zostałby złodziejem, gdyby nie pewien policjant, który złapał go z ręką w kieszeni pewnego gościa. Ale złapawszy, nie poprowadził na komisariat, ale do bocznej uliczki. Tam kazał zdjąć portki, przełożył go przez kolano i ku uciesze sporego tłumu gapiów wlał mu na gołą dupę tak, że młody złodziej nie mógł przez tydzień sięść na krzesło. Ale najważniejsze było to, co powiedział mu po wszystkim na ucho. Pochylił się wtedy nad zasmarkanym, płaczącym Sewerynem i rzekł:

– A jak jeszcze raz cię tu na juchcie chyczę, szczone chłelerny, to nie pasem po dupie, ale od razu giry z dupy powyrywam, tak że łązić już nie dasz rady.

Młody Gil tak się przestraszył życia bez nóg, że postanowił więcej nie kraść. I ta właśnie decyzja zaważyła na jego przyszłości. Nie dość, że nigdy więcej niczego nie ukradł, to postanowił jeszcze, że ze złodziejstwem będzie walczył ze wszystkich sił. Dlatego zaraz po odbyciu trzyletniej obowiązkowej służby w armii cesarskiej zgłosił się do pracy w policji. A że z wojska dostał dobrą rekomendację, w której dowódca przedstawiał go jako karnego i posłusznego, choć niezbyt lotnego żołnierza, przyjęto go na okres próbny jako wywiadowcę policyjnego.

Dziś nie było już ani pruskiej armii, ani cesarskiej policji, za to Seweryn Gil nadal był policyjnym wywiadowcą i to jednym z najlepszych w mieście.

Uśmiechnął się na widok dwóch wyrostków, którzy siedzieli zaczajeni między wozami, czekając zapewne, aż gospodarz się odwróci, by ściągnąć mu z góry kilka jabłek.

A niech se szczone jedzą na zdrowie! pomyślał, podkreślając węża. Nie miał zamiaru zajmować się dziś takimi nic niewartymi sprawami. Tym bardziej że za pomocą aparatu telefonicznego umówił się z Geislerem, że przyjdzie do niego do ratusza i przedstawi mu swoje ustalenia. Uznał, że to, co zobaczył, nadawało się do przekazania koledze. Oczywiście, nie miał zamiaru mówić, kim jest kochanek, bo tę informację postanowił zachować dla siebie. Tak się zresztą umówili z tym sympatycznym człowiekiem, który przyszedł na spotkanie z nim do knajpy U Okonia. Geislerowi musiało wystarczyć tylko, że jego żona najwyraźniej się puszczała.

Wyszedł z podcieni, minął ostatnie stragany ze starymi ciuchami, ustawione w bramie prowadzącej na Kurzą Nogę, niewielki zaułek między dwoma ratuszami, by po chwili dojść do bocznych drzwi, prowadzących na małą klatkę schodową, z której można było od tyłu wejść do ratuszowego urzędu. Tędy właśnie wchodzili do pracy wszyscy zatrudnieni tam urzędnicy średniego i niższego szczebla. Ci najważniejsi zaś, kierownicy i naczelnicy, używali głównego wejścia

z wielkimi, rzeźbionymi i kutymi drzwiami, które prowadziły do obszernego, wyłożonego czerwonym marmurem foyer.

Gil, ilekroć miał do załatwienia sprawę w ratuszu, wolał korzystać z bocznych drzwi i schodów, bo wejście to było mniej rzucające się w oczy, a co za tym idzie, bardziej dyskretne. Po co ktoś niepotrzebnie miał wiedzieć, że policjant kręci się po urzędzie. Jako wywiadowca z krwi i kości cenił sobie dyskrecję.

Gdy otworzył drzwi, zaraz natknął się na kancelistę z wydziału akt ziemskich, który zdjawszy kapelusz, ukłonił mu się i pozdrowił szanownego pana komisarza. Gil mruknął coś pod nosem i szybko pobiegł na drugie piętro. Tam, na korytarzu, spotkał radcę sądowego, którego znał z kilku spraw, na których stawał jako osoba policyjna po zatrzymaniu sprawcy. Potem wpadł na kierownika od spraw ludności, u którego bywał w kwestii sprawdzania meldunków osób podejrzanych i w końcu, gdy już był przed drzwiami wydziału, którym kierował Geisler, wpadł na kolegę policjanta z komisariatu na Marcinkowskiego. Ten też załatwiał tu jakieś sprawy urzędowe.

– Seweryn, a ty co tutaj porabiasz? – zawołał wywiadowca Alfred Górski, który pracował w wydziale obyczajowym i zajmował się sprawami prostytucji osób nieletnich.

– A wiesz... służbowo. – Wskazał na drzwi prowadzące do sekretariatu Geislera.

– No tak, my ciągle na służbie. – Górski klepnął go w ramię. – Trzeba by się było kiedy napić, nie uważasz? No wiesz, pogadać o tym i o owym...

– Owszem – rzucił Gil niezbyt zachęcającym tonem, ale Górskiego niełatwo było się pozbyć. Widać czuł potrzebę pogadania.

– Bo wiesz, że ja tu w sprawie zaginięć, bo to już cztery przypadki w dwa miesiące. Dzieci, znaczy dziewczynki, po osiem lat, dziewięć, a jedna jedenaście. Wszystkie z biednych rodzin. Powiadam ci, jeszcze nikt nie połapał się, że to może być jakaś seria. Znikły jak kamfora. U nas nikt się tym nie zajmie, bo wiesz, co powiedzą, że same uciekły. Rozumiesz, tak mi ten mój Łodyga powiadał, że mam se dać spokój, bo pewnie zwiały z domu. Ośmioletnia dziewczynka ucieka z domu? A gdzie niby ucieka, do Ameryki? Rozumiesz, Seweryn? Dałem mu raport w tej sprawie, gdzie wszystko opisałem

czarno na białym, a on mi powiedział, że mam se go zawiesić w wychodku.

Zniecierpliwiony Gil pokiwał głową.

– Wiesz, bo ja już jestem spóźniony...

– Ale widzisz, w czym rzecz? – Górski nie dawał za wygraną. – Myślałem może, by do tego twojego Fischera uderzyć. On ma łeb na karku. Mógłbyś mi załatwić z nim rozmowę? Sam rozumiesz, że sprawa ważna jak diabli.

– Alfred, przyjdź w poniedziałek o ósmej rano. Fischer akuratnie o ósmej przychodzi do roboty. Ma mnóstwo spraw na głowie, ale wiesz, jak jest... Jak ja jemu powiem, w czym rzecz, to cię przyjmie.

– Wiedziałem, że można liczyć na was z Prezydium. Wy to się jednakowoż znacie na robocie, nie to, co te moje ćwoki... Pojutrze rano się melduję!

– Ino wiesz...

– Co?

– Żebyś z jaką pierdołą nie przychodził. Czarne na białym, bo Fischer lubi konkrety, a nie jakieś pierdoły.

– Konkrety, Seweryn, same konkrety. Sam zobaczysz. Całą teczkę konkretów mam... Same konkrety!

Gil, uściskawszy rękę kolegi, wszedł do sekretariatu z poczekalnią, w której za barierkami siedziała panna lat może dwudziestu w granatowym fartuchu urzędniczym z białym kołnierzykiem i czarnymi zarękawkami, skrywającymi zapewne również białe mankiety. Pod ścianą, na czterech krzesłach, czekało czworo interesantów – jedna kobieta i trzech mężczyzn.

Gdy Gil wszedł do środka, sekretarka zajęta wpisywaniem czegoś do grubego kajetu nawet nie podniosła spojrzenia. Wywiadowca podszedł do drewnianej przegrody, zza której wystawała mu tylko głowa. Zdjął kapelusz i skłoniwszy się, już chciał coś powiedzieć, ale dziewczyna go uprzedziła.

– Dzisiaj już interesantów więcej się nie przyjmie. Na poniedziałek się można zapisać w brulionie. – Wskazała zeszyt leżący na blacie barierki, zaczepiony sznurkiem do haczyka w ścianie. – Się można wpisać – wyjaśniła i stwierdziwszy, że wystarczy już uprzejmości,

wróciła do swoich zajęć. Ale Gil nie miał zamiaru nigdzie się wpisywać.

– Idź no, panna, do naczelnika Geislera i powiedz mu, że pan Gil z Prezydium Policji się pofatygował.

Więcej już nic nie musiał mówić. Sekretarka natychmiast poderwała się z miejsca i niemal biegiem pognąła do gabinetu szefa. Zadowolony policjant spojrzał na wpatrujących się w niego interesantów, którzy jeszcze przed chwilą nie dostrzegali w nim żadnego zagrożenia dla własnych interesów. Jednak odkąd usłyszeli, że jest z policji, ich obojętność zmieniła się w wyraźną niechęć. Wiadomo bowiem, że policja nie musi czekać w kolejce, a to oznaczało, że to oni będą musieli poczekać znacznie dłużej, niż zakładali. No chyba że naczelnik nie przyjmie policjanta...

– Zapraszam, zapraszam do środka, drogi Sewerynie. – Geisler stanął w progu i kłaniając się, wskazał wejście do swojego pokoju. Gdy drzwi się zamknęły za dwoma mężczyznami, sekretarka podeszła do biurka, spojrzała na czekających, wzięła głęboki oddech, a potem oznajmiła wypranym z emocji, wyćwiczonym urzędniczym głosem:

– Ze względu na przybycie policji naczelnik Geisler już nikogo dzisiaj nie będzie przyjmować i wew związku z tym należy się zapisać na dogodny termin od poniedziałku.

Godzina 12.10 po południu

Przodownik Bielawski nachylił się nad niewielką skrzynką, pogładził jej ebonitową obudowę, a potem chwyciwszy cylindryczne pokrętło, lekko przekręcił w prawo. Przez chwilę nic się nie działo, ale on wiedział, że tak właśnie ma być. Najpierw nic się nie dzieje, a potem powinno się zapalić takie niewielkie światełko nad pokrętłem. O, właśnie zamrugało i zaraz rozjarzyło się na czerwono. Bielawski z uznaniem pokiwał głową. Niby takie małe, a można tu zmieścić kawał świata. Byleby tylko zadziało. Przecież nie miał możliwości reklamowania tego cudu techniki, bo sam go nie kupował. Kupił albo może i ukradł kto inny. On tylko przejął to w jak najbardziej

legalny sposób, rekwirując cały towar, jaki przemytnik przeniósł przez granicę z Niemcami. Nawet zdziwił się, że temu przemytnikowi opłacało się ryzykować z przenoszeniem radia. Rozumiał, że szmugluje się to, czego ludzie najbardziej potrzebują. Tu przez granicę przemycano, albo właściwie przeganiano, konie, krowy, świnię, gęsi, a nawet kury. W Polsce gadzina była tańsza, a w Niemczech droższa, więc Polacy zamiast sprzedawać u siebie na targu, woleli zaryzykować i sprzedać odbiorcy w Niemczech. A Niemcy z kolei przynosili wyroby przemysłowe, których u nas próżno było szukać, czyli dobre emaliowane garnki, patelnie, a nawet widły, siekiery czy kosy. Ale żeby ktoś przemycał do nas odbiorniki radiowe? O tym Bielawski jeszcze nigdy nie słyszał i jakby mu kto o tym powiedział, toby nie uwierzył. Jednak gdy zobaczył na własne oczy worek przemytniczy, porzucony niedaleko granicy, wypełniony garnkami, w którym prócz zwykłej kontrabandy było radio, nie mógł uwierzyć własnym oczom. A potem, gdy już doszedł do siebie, uznał, że jest nie lada szczęściarzem. Bo radioodbiornika nikt nie miał w całej okolicy. No, poza strażnikami granicznymi, którzy od kilku miesięcy mieli jeden na swoim posterunku.

Bielawski, ilekroć pojawiał się w budynku strażnicy, nie mógł się oprzeć ciekawości, by nie sprawdzić, co też ciekawego dają przez tę czarną skrzynkę. Pogranicznicy, dumni ze swojego sprzętu, pozwalali mu zakładać słuchawki i kręcić gałką, by mógł posłuchać przez chwilę muzyki czy wiadomości. Z muzyką nie było kłopotu, bo jej język jest uniwersalny i dociera do każdego odbiorcy. Gorzej z wiadomościami, bo polskich nie nadawali wcale, ponieważ nie istniała żadna stacja, która by nadawała program po polsku. Bielawski więc mógł słuchać tylko informacji radiowych w języku niemieckim, bo ten znał doskonale jako człowiek wychowany i wyuczony w niemieckich szkołach oraz pruskiej armii.

Ale teraz wreszcie od kilku dni, czyli od chwili, gdy przejął worek z przemytem, mógł słuchać sobie radia, ile mu się tylko podobało. Zainstalował odbiornik na parapecie okiennym, z którego łatwo można było dosięgnąć sznurem z wtyczką do gniazdka elektrycznego. A że parapet był blisko jego biurka, więc siedząc, mógł zakładać słuchawki połączone z radiem i słuchać do woli.

Teraz też założył je na uszy i czekając, aż pojawi się w nich charakterystyczny szum, ujął w dłonie pokrętko do szukania stacji radiowych, by ustawić częstotliwość Königs Wusterhausen, podberlińskiej stacji, która w południe podawała informacje ze świata. A że Bielawski zawsze interesował się polityką międzynarodową, gdy tylko mógł, starał się nie przegapić tego programu.

W słuchawkach rozległy się głośne trzaski i zgrzyty, by po chwili zmienić się w twardy, ale melodyjny głos spikera, który mówił o miejscowości uzdrowiskowej Rapallo we Włoszech.

...Do spotkania niemieckiej i sowieckiej delegacji dojdzie w Niedzielę Wielkanocną, 16 kwietnia 1922 w Rapallo, w pobliżu Genui. Wszystko wskazuje na to, że nasz minister spraw zagranicznych Walther Rathenau oraz sowiecki ludowy komisarz spraw zagranicznych Georgij Cziczerin podpiszą traktat normalizujący dotychczasowe relacje obu krajów. Zdaniem obserwatorów sceny politycznej najwyższy już czas, aby nieporozumienia między oboma wielkimi krajami odstawić na plan dalszy, a zająć się codziennymi sprawami, takimi jak gospodarka, a co za tym idzie eksport i import towarów. Tym bardziej że Rosja sowiecka to ogromny rynek zbytu, który przyjmie każdą ilość towarów wysokiej jakości, produkowanych przez niemiecki przemysł...

Policjant zamyślił się, wpatrzony w widok za oknem. Akurat zaczynał padać deszcz, a świecące dotąd słońce przykryły nabrzmiałe wiosenne chmury. On jednak nie myślał o pogodzie. Jego uwagę zaprzętała treść komunikatu radiowego. Bielawski nie był może jakimś politycznym analitykiem, ale był za to trzeźwo myślącym człowiekiem, który potrafił wyciągać wnioski z politycznych wydarzeń. A to, które nadciągało, zapowiedziane przez niemieckiego spikera, nie niosło niczego optymistycznego. Jeśli bowiem Rosja i Niemcy porozumiewają się ze sobą, to czynią to nad polskimi głowami. A to, myślał dalej Bielawski, mogło oznaczać jedno. Kłopot dla Polski. Bowiem współpraca niemiecko-rosyjska zawsze w mniejszym lub większym stopniu stanowiła dla naszego

kraju zagrożenie... Tak jak te ciemne chmury za oknem zwiastują deszcz, tak i takie niepozorne informacje z jakiegoś Rapallo, o którym dotąd nigdy nie słyszał, potrafiły zapowiedzieć poważne kłopoty. Tylko zapewne mało kto zdawał sobie z tego sprawę. Bielawski to czuł. Miał instynkt polityczny, wyrobiony na codziennej lekturze gazet, a teraz wzmocniony jeszcze informacjami radiowymi. Szkoda tylko, że w Polsce nie ma polskiego radia, bo ciekawe, co nasi by powiedzieli na temat tego porozumienia Sowieców z Niemcami?

Chciał wrócić do słuchania, by dowiedzieć się czegoś więcej, jednak nie dane mu było zagłębić się ponownie w płynące z zagranicy dźwięki.

Pukanie do drzwi posterunku sprowadziło policjanta do rzeczywistości. Spojrzał więc w prawo, tam gdzie siedział zazwyczaj jego młody pomocnik, ale nie było go przy drugim biurku. Chłopak został wysłany do piekarni po chleb i do rzeźnika po kiełbasę. Przodownik więc musiał sam przyjąć interesanta. Poprawił swoją szarą poniemiecką kurtkę mundurową z oznaczeniami polskiej policji i zawołał głośno i na wszelki wypadek groźnie:

– Wejść!

Drzwi otworzyły się i do środka wsunął się znany policjantowi nauczyciel Majewski, ten sam, który pomógł mu w ustaleniu właściciela czerwonej chusteczki. Był więc ważną personą, na tyle że nie można było go potraktować jak byle kogo. Dlatego Bielawski wstał zza biurka i podszedł do gościa z wyciągniętą ręką. Pedagog uściśnił ją mocno, po wojskowemu, co bardzo spodobało się policjantowi. Nie znosił bowiem tych wszystkich ludzi, którzy w powitanie nie wkładali żadnej energii, a rękę do uściśnięcia podawali w sposób zniewieściały, jakby za chwilę mieli omdleć ze zmęczenia.

– A co też do mnie sprowadza pana nauczyciela? Bo chyba nie kradzież świni, he, he, he!

– Bynajmniej, panie przodowniku, bynajmniej.

– Papierosa pan zapali? – Policjant podsunął paczkę egipskich, a nauczyciel skwapliwie wykorzystał poczęstunek. Wiadomo, że nauczycielom się nie przelewa, bo zarobki marne, to i każdego

papierosa podarowanego warto wziąć, bo parę fenigów w ten sposób się zaoszczędzi, a zamożny policjant na tym jednym nie zbiednieje. Po chwili aromatyczny zapach dymu wypełnił pomieszczenie.

– Nie daje mi to spokoju...

– Że niby w czym rzecz, tak w ogóle?

– W dzieciakach.

– He, he, he... nauczycielskie sprawy. Jak nauczyciel, to o dzieciach.

– W tym właśnie tkwi sedno, że człowiek na dzieci szczególnie wyczulony. Znaczą jak się uczy w szkole, to się wszystkie dzieciaki zna z okolicy. To tak jak pan zapewne zna tutejszych wszystkich podejrzanych typów.

– No owszem. Zna się tego czy owego...

– Taką mamy pracę, panie przodowniku, że w niej obcujemy z ludźmi. Pan z przestępcami, a ja z dziećmi. I stąd to nasze specjalne wyczulenie, a nawet w pewnych sprawach intuicja.

– Prawda – potwierdził Bielawski, choć jak dotąd nie zaobserwował jakiegoś specjalnego wyczulenia, choć przyznać musiał, że niekiedy udawało mu się na pierwszy rzut oka ocenić jakiegoś typka, który miał nieczyste sumienie. Czyli miał tę intuicję.

– Przepraszam więc za ten przydługi wstęp, ale chciałem być dobrze zrozumiany.

– Jak najbardziej. Rozumie się, że zrozumianym trzeba być, żeby można było wszystko zrozumieć należycie...

– I dlatego, bijąc się z myślami, postanowiłem przyjść do pana i o wszystkim mu powiedzieć.

– A co, dzieciaki coś zmajstrowały? – Próbował domyślić się Bielawski. Nauczyciel pokręcił głową.

– Nie w tym rzecz. Dzieci nic nie zrobiły. Nawet nie wiem dokładnie, co to za dzieci, i w tym szkopał.

– Jakie dzieci? – Teraz policjant zaczął się gubić.

– Te dzieci u tego złodzieja od świni.

– A, u niego! – Bielawski się uśmiechnął, bo wreszcie z tego nauczycielskiego kręcenia trafili na znany mu dobrze teren. – To trzeba było tak od razu. Ja tu mam wszystko spisane. – Wskazał ręką teczkę na akta, leżącą na blacie biurka. Ten... ma pięć dzieci,

z tego dwa drobiazgu, co do szkoły nie chodzą, i trzy, co chodzą, znaczy się, uczą.

– I o to chodzi właśnie, panie przodowniku.

– Nie chodzą? Znaczy, że nie puszcza i każe w polu robić? To się jeszcze dodatkowo cholernikowi za to da pałą po dupie...

– Nie, nie, chodzą, ale...

– Ale co?

– Tam, jak byliśmy wczoraj, za dużo było tych dzieciaków.

– Jak za dużo? Mają jakieś dzieci na boku?

– No właśnie to mnie zastanowiło. Bo widzi pan, jak kto ma piątkę dzieciaków, to znaczy, że nie może mieć jakichś dzieci dodatkowych. A ja sobie później uzmysłowiłem, że tam były jeszcze dwie dodatkowe dziewczynki, jak żeśmy weszli do chałupy, żeby na stole podpisać zeznanie. Pamięta pan przodownik? Musiał pan napisać protokół przejęcia świniaka zaszlachtowanego...

– Co mam nie pamiętać?

– No to żeśmy tam weszli do kuchni, a ja tak zupełnie przypadkowo pchnąłem te boczne drzwi, co prowadziły do izby po lewej stronie, a ta Kleszczyńska to zaraz zawołała, że kuchnia jest tu, a tam chore dzieciaki i żeby nie wchodzić. A pan przodownik już był z przodu, to nic nie widział, ale ja zobaczyłem, może niewiele widziałem, ale ja twarze dzieci to akuratnie dobrze pamiętam. I te dwie buźki, co tam były, to ja je pierwszy raz widziałem. A to znaczy, że nigdy do naszej szkoły nie chodziły.

Wyrzuciwszy wreszcie z siebie wszystko, nauczyciel sięgnął po leżące na biurku pudełko zapalek i odpalił spalonego do połowy papierosa, który zgasł mu w dłoni. Zaciągnął się dymem i spojrzał wyczekująco na policjanta. Ten przez chwilę skubał zakręconego w górę wąsa, jakby się nad czymś mocno zastanawiał. Ale prawda była inna. Bielawski szukał w pamięci jakiegoś ustępu w regulaminach, które namiętnie przepisywał do swojego kajetu, czy aby czasami nie ma tam jakiej wzmianki o dzieciakach. Niczego niestety nie znalazł, więc postanowił, że na wszelki wypadek trzeba zapytać tego, u którego te dzieciaki w domu były. Na szczęście Kleszczyński cały czas siedział w areszcie.

– Zaraz się wszystko wyjaśni – powiedział pełnym przekonania głosem, wstając z miejsca. Podszedł do ściennego wieszaka, na którym wisiał pęk kluczy.

Już chciał iść po aresztanta, ale na szczęście w drzwiach stanął szeregowy Frąckowiak z chlebem pod pachą.

– Dawaj to! – Wskazał na bochenek. Chłopak natychmiast podał chleb dowódcy. – A kiełbasę gdzie masz?

– Wew kieszeni – stwierdził chłopak i sięgnął zaraz do bocznej kieszeni swojej bluzy, by wydobyć zawinięte w gazetę dwa pęta polskiej wędzonej. Zapach chleba i świeżej wędliny natychmiast wypełnił pomieszczenie, atakując zmysły swoim apetycznym aromatem, ale na jedzenie nie było czasu.

– Masz klucze i przyprowadź tu tego od świni – polecił Bielawski i Frąckowiak natychmiast pobiegł wykonać rozkaz. Tymczasem sam ustawił na środku pokoju taboret. Gdy po chwili w izbie posterunku pojawił się zatrzymany złodziej, o niezbyt świeżym wyglądzie i równie nieświeżym zapachu, policjant kazał mu zająć miejsce na przygotowanym stołku. Usiadł, posłusznie czekając na to, co władza ma do powiedzenia. A władza, nauczona doświadczeniem, postanowiła specjalnie się nie patyczkować, ale od razu zaatakować i przycisnąć przestępcę.

– No to słuchajcie, Kleszczyński, z władzą nie ma żartów. Jak kto chce tę władzę oszwabić, to prędzej czy później się przekona, że to się nie kalkuluje. I dlatego jakem ci powiadał, że masz gadać wszystko jak na świętej spowiedzi, tom ci gadał prawdę, bo ino prawda może cię ocalić. Ale ty żeś tego nie pojął chyba i dlatego prawda sama wyszła na jaw, a ja ci powiem, że dla ciebie to bardzo, ale to bardzo źle...

– Że niby co? – zapytał płaczkliwym tonem Kleszczyński.

– A niby to, ty cholerny gnoju, że ty nie same świni kradniesz, ale i dzieci! – rzuciwszy oskarżenie, wymierzył palcem wprost w pierś złodzieja. Ten zrobił wielkie oczy i przez moment Bielawskiemu wydawało się, że wszystkiemu gwałtownie zaprzeczy. Tymczasem aresztant przyłożył obie dłonie do twarzy, przykrywając oczy, schylił się nisko i zaczął płakać jak małe dziecko.

[16] Zdalasiały kociamber z katzenjamerem (gwar.) – wynędzniały kot z kacem.

[17] Eka (gwar.) – grupa koleżeńska, złodziejska.

[18] Juchta (gwar.) – kradzież.

Rozdział V

Niedziela

9 kwietnia

Godzina 6.20 rano

Trup leżał z głową zanurzoną w kałuży, więc od razu nie dało się powiedzieć, czy jest młody czy stary. Zresztą kogo to właściwie mogło obchodzić, ile truposz ma lat? Tu ludzi mało co obchodziło oprócz tego, żeby co do garnka włożyć i jakoś przeżyć kolejny dzień. Temu widać się nie udało, choć z głodu nie umarł, bo dupę miał wielką, a to znaczyło, że nietutejszy był. Bo tu nikt, kto mieszkał w tej okolicy, nie mógł pochwalić się jakimś dodatkowym funtem tłuszczu, rozłożonego na brzuchu, cyckach czy tyłku. Tłuszcz, jak wiadomo, bierze się z dobrobytu i lenistwa, a tu ani dobrobytu, ani czasu na nicnierobienie nie było. Takie to miejsce szczególne w Poznaniu, że nikt nie chciał tu być, a ci, co byli, nie mieli innego wyjścia.

Mówili o nim „Wesołe miasteczko”, ale tak po prawdzie zbudowane było na łzach, niedoli i ludzkim nieszczęściu i nikomu z zamieszkujących tę nadwarciańską krainę biedy nie było do śmiechu. Wzniesiono je z tego wszystkiego, co udało się znaleźć, ukraść i przytargać na miejsce na własnych plecach. Najczęściej były to stare belki i przegniłe deski, pochodzące z rozbiórek starych domów. Z nich tworzone chybotliwe konstrukcje bud wypełnianych rzecznią gliną i nadbrzeżną trzcina. A wszystko to kryto czym się dało, układaną na gałęziach darnią, kopaną na łąkach i podtrzymywaną gdzieniegdzie solidniejszymi gałęziami, wycinanymi w okolicznych chaszczach. Tu wykorzystywało się jako budulec

wszystko, co mogło tylko spoić i związać te nędzne chatynki, które być może w dzikiej afrykańskiej dżungli stanowiłyby szczyt luksusu, jednak tu były obrazem nędzy i ludzkiej rozpacz, wstydlwym wyrzutem sumienia dla władz miejskich, które z bezdomnością w żaden sposób nie potrafiły sobie poradzić.

Wesołe miasteczko rozłożyło się na nadbrzeżnych łąkach, na zieleniejących wiosną połaciach, które rok w rok przy roztopach zalewała rzeka, podmywając i zabierając ze sobą co bardziej lichy konstrukcje, niekiedy nawet z ich lokatorami. To tu właśnie trafiali ci wszyscy, których miasto wypłuło ze swoich najbiedniejszych i najnędzniejszych trzewi. Biedacy, których nie stać było na opłacenie najtańszego czynszu w najpodlejszych kamienicach, rodziny chłopów folwarcznych, których nikt po parcelacji majątków nie potrzebował już do pracy, bezrobotni, dla których nikt nie miał zajęcia, i żebracy, którzy żadnych zajęć już od dawna nie szukali. Wszystko to, co niezaradne i nieumiejące sobie w życiu poradzić, co nie potrafiło odnaleźć dla siebie kąta w tej zdrowszej tkance miejskiej, trafiało tu, w to cuchnące zgnilizną ludzkie rozlewisko, które w tym miejscu zatrzymywało się, jakby czekając, aż wreszcie porwie je rzeczna fala i ostatecznie pochłonie ciemny nurt. Bo kogo raz prąd biedy i nieszczęścia porwał i zaniósł do miasteczka, tego już nie oddawał więcej. Tu życie kończyło się definitywnie i ostatecznie, choć miejscowi trzymali się go jeszcze kurczowo, a każdy dzień przeżyty w tym ludzkim bagnie był jak zwycięstwo w pojedynku ze śmiercią.

Leżącemu teraz w błocie nieszczęśnikowi widać się nie udało. Przegrał, choć jego wygląd wskazywał na to, że nie był mieszkańcem tej podłej dzielnicy.

– A może to który z tych pijusów, co się dziś w nocy awanturowali?
– odezwała się stara Barciakowa, która zatrzymała się tu przywiedziona ciekawością. Bo jakże się nie zatrzymać, gdy tłum ludzi na coś patrzy i żywo komentuje. Jak wiele bab o tej porze, szła od rzeki z nosidłami, dźwigając na nich dwa drewniane cebrzyki wypełnione czystą wodą, którą tutaj brało się bezpośrednio z Warty, bo i skąd indziej miałoby się brać. W Miasteczku wodociągi kranów nie zakładały.

Postawiła swoje wiadra na poboczu wydeptanej, błotnistej ścieżki i podeszła do ludzkiej ciżby, tam gdzie przy kępie krzaków tworzyły się zawsze poroztopowe bajora. To w tym miejscu właśnie, jako że blisko było do drogi wiodącej od mostu do starego szachulcowego kościoła Jana Jerozolimskiego, który podobnie jak sąsiednie biedne Miasteczko wyglądał tak, jakby się miał zaraz rozsypać, ludzie pozbywali się różnych niepotrzebnych rzeczy. Wyrzucano tu śmieci, których nikt nie potrafił już wykorzystać w domu czy warsztacie. Ale mieszkańcy Miasteczka także w tych odpadkach znajdowali przedmioty, które dawało się jeszcze przerobić, szczególnie w tej krainie biedy i niedostatku.

Zgniłe deski i belki stawały się więc doskonałym materiałem budowlanym, a dziurawy, nienadający się do lutowania garnek po zalaniu odrobiną zaprawy murarskiej mógł być całkiem przydatnym naczyniem do przechowywania deszczówki. Jednak mieszkańcy miasta pozbywali się też innych niepotrzebnych rzeczy. To tutaj właśnie podrzucano padłe zwierzęta, psy, koty czy w końcu zmarłych ludzi, których nikt nie chciał albo nie mógł pochować.

Ten jednak nie wyglądał na biedaka. Tubylcy znali się na rzeczy. Tu wyrzucano truposzy wychudłych i pomarszczonych ze starości, a ten wyglądał całkiem krzepko i na pierwszy rzut oka widać było, że nie umarł ze starości, ale zejść musiał śmiercią gwałtowną.

– O, tu mo dziurę. – Chudy starzec w wytartej marynarce i sfatygowanym kapeluszu na głowie wyciągnął przed siebie drewnianą laskę, którą podpierał się podczas chodzenia po niezbyt równych zaułkach, by wskazać nią otwór w karku.

– To od pistoletu. – Mocno zarośnięty trzydziestolatek widać znał się na rzeczy. – Tak się dobija rannych, znaczy się strzał miłosierdzia.

– A ty skąd wiesz? – zainteresował się starzec.

– Jak skąd? Nibym nie widział? Jak żem był na wojnie, to my nie raz strzelali do dyzynterów, co uciekali i ich chycili. A jak już takiego się chyciło, to dawaj pod sąd polowy i zaraz do słupka na rozstrzelanie. Czasem to i kilku naraz się strzelało.

– Zez pistoletów? – dociekał dalej stary.

– Ady tam, zez karabinów. Pistolet to miał oficer i jak który z tych rozstrzelanych jeszcze dychał, to oficer podchodził i w kark strzelał, że niby to jest właśnie ten strzał miłosierdzia.

– Ładne mi miłosierdzie, jak się młodych wojaków zabija za nic – odezwała się kobieta w chustce na głowie, z ramionami okrytymi kawałkiem grubego, wojskowego koca.

– Co tam wy wiecie o wojnie – mruknął starzec. – Niby już dawno po wojnie jest, a tu proszę bardzo, ludzi się rozstrzeliwuje, jakby wojna ciągle jeszcze była.

– Wew mieście to wojna jest ciągle. – Barciakowej wreszcie udało się precyzyjnie bliżej przez tłum wyrostków. Podparłszy się więc pod boki, stanęła nad trupem, by bacznie mu się przyjrzeć. Goły tyłek nie zrobił na niej żadnego wrażenia.

– Trzeba by mu w gębę spojrzeć, żeby zobaczyć, co to za jeden.

– To niech Barciakowa się patrzy – zakpił stary.

– No to weź ino, Marceli, tego swojego kijaszka i odchyl mu sznupę, to szpyncę. A wy, szczone, uciekajta stąd, bo jak truposz wam w ślepiu zajrzy, to już po was.

– Że niby jak? – zdziwił się chłopak w za dużym, męskim płaszczu, związanym w pasie sznurkiem.

– Normalno, przez oczy wejdzie ci do gardła jakiś dybuk czy coś i koniec z tobą. Zeżre cię od środka – wyjaśnił mu jego nieco starszy kolega o czarnych kręconych włosach. Młodsze dzieciaki, słysząc o tak strasznych konsekwencjach ciekawskiego gapienia się na trupa, zaraz się rozpierzchły. Ale ci najstarsi byli twardzi. Kto by się tam bał jakichś dybukowych historii.

– Ja jego mogę przytrzymać, jakby co – zadeklarował kudłaty.

– To ja też. – Ten w męskim płaszczu nie chciał być gorszy.

– To złapta go za łapę i pociągta. – Stary wskazał na zanurzoną w wodzie dłoń, która wystawała spod brzucha. Chłopcy spojrzeli po sobie, pewnie dla dodania sobie wzajemnie animuszu. Ten wyższy zrobił krok do przodu i ukucnął przy skraju kałuży. Drugi chwycił go za kołnierz kurtki i dzięki temu ten mógł bezpiecznie nachylić się nad rozlewiskiem. Złapawszy zimną i oślizgłą dłoń w rękę, wzdrygnął się z obrzydzenia.

– Uważaj, żeby cię nie wciągnął! – zażartował brodaty weteran.

– Zimny – odpowiedział chłopak i szarpnął z całych sił. Zwłoki odwróciły się na bok, ale ręka wyszła spod brzucha. Wtedy obaj młodzieńcy złapali za dłoń i przegub i szarpnęli ponownie. Ciało z chlupotem rozgarnęło zimną wodę i przesunęło się na suchy brzeg.

– Łe jery! – jęknęła Barciakowa.

– Co, znacie go? – zapytał stary.

– Ady nigdy w życiu gom nie widziała. Ino że ma tak pysk okrutnie zmasakrowany.

– To czemu jęczycie jak potępiona dusza. Jak dostał strzał w kark, to kula musiała gdzieś wyleźć, no to wylazła przez gębę i mu pół ryja odleciało – wyjaśnił były żołnierz.

– No i nie żyje biedaczek. – Kobieta przeżegnała się na wszelki wypadek.

– O, tu bagnetem w bebechy dostał. – Weteran wskazał na ranę w grubym brzuchu.

– Od takiej rany to się tak od razu umrzeć nie da. – Stary widać też się znał na wojskowym rzemiośle.

– Pewnie, że nie, bagnety w bebechach to jeszcze nie śmierć. Idzie się wylizać, no chyba że w sam żołądek się dostanie albo w trzustkę, albo...

– Tego wew wątrobę dziabnęli – stwierdziła ta ubrana w kawał wojskowego koca.

– Od wątroby to by nie umarł. – Stary widać w temacie ran czuł się dość pewnie. – Mnie w roku siedemdziesiątym jeden Francuz bagnetem przejechał, alem go lufą odbił i przeciął ino udo. O, tu mam jeszcze szramę...

– I dlatego go dobili z lewolweru w kark – stwierdził brodac. – Powiadałem, że to strzał miłosierdzia.

– O, tutaj mam szramę. – Stary chciał koniecznie pochwalić się swoim życiowym osiągnięciem, ale jego zarośnięta blizna nie była nawet w połowie tak atrakcyjna jak świeże rany nieboszczyka.

– I kto teraz po nim zapłacie, jak on golusieńki jak święty turecki? – stwierdziła z troską w głosie Barciakowa.

– A co to, po gołym nie można zapłakać? – Weteran nie zrozumiał, o co chodzi kobiecie.

– Można, ino trzeba wiedzieć, kto on jest, a po gołej dupie się nie pozna, bo dokumentu ni ma.

– Tutej, panie sierżancie! – zawołał piegowaty chłopak, wskazując drogę policjantowi.

– Nie sierżancie. Sierżant to w wojsku. W Policji Państwowej to jest przodownik.

– No właśnie, pan idzie przodem, panie przewodniku. O, tu właśnie, gdzie stoją. – Wyrostek wskazał na ludzi spoglądających pod nogi na jakieś znalezisko.

– Zróbcie tam miejsce, żeby można było co zobaczyć. – Policjant pomachał ręką, wskazując dwóm swoim podwładnym, uzbrojonym w przewieszane przez ramię pruskie mausery. Tym nie trzeba było dwa razy tłumaczyć. Zdjęli karabiny i chwyciwszy je w dłonie, zaczęli lufami rozgarniać tłum. Nie musieli specjalnie się wysilać. Ludzie żądni kolejnej sensacji rozstępowali się chętnie, dając służbowym osobom miejsce do dokonania oględzin. Gdy tłum się rozstał, przodownik Edmund Walczak ruszył przed siebie, bacząc, by nie uwaląć swoich czystych oficerek. Przeklinał przy tym swój los i rudzielca, który dopadł jego patrol na Mostowej i poinformował, że w Miasteczku leży goły trup.

Informacji o trupie Walczak nie mógł zignorować, choć wcale nie chciało mu się łączyć po tej miasteczkowej gemeli[19]. Nie mógł jednak odmówić i zlekceważyć doniesienia, zwłaszcza że na patrolu nie był sam. Jego podwładni musieli widzieć w nim przykład sumienności. Dlatego teraz, idąc przez błoto, przeklinał w myślach swoją wyrywność, przekonany, że truposz nie jest wart złamanego feniga, bo to zapewne przedstawiciel miejscowej hołoty.

Twarz była uwalana błotem, zuchwa ledwie trzymała się reszty, oderwana siłą wystrzału, który musiał wejść z drugiej strony gdzieś przez kark i potylicę. Zrozumiał to natychmiast, gdy tylko zobaczył tę krwawą miazgę. Ale wtedy spojrzął na nos i szeroko otwarte oczy i zaraz bezwiednie się przeżegnał. Nie żeby się bał jakiegoś trupiego spojrzenia. Poczł zimno na karku i całych plecach, uświadomiwszy sobie, że ten leżący u jego stóp goły człowiek wcale nie jest mieszkańcem tutejszych bud. Zabity był znajomym Walczaka, a do

tego jeszcze policjantem, z którym pracował na jednym posterunku przez kilka miesięcy.

– A żeby ich wszystkich jasna cholera wzięła! – mruknął przodownik i dyskretnie otarł wierzchem dłoni łzę spływającą mu po policzku.

Od strony Warty zerwał się lekki wiatr, który zmarszczył spokojną dotąd taflę płynącej leniwie wody.

Godzina 7.40 rano

– To co z pana za sąsiad, jak se pan nic nie chce przypomnieć? – rzucił przodownik Karolak, spoglądając groźnie na Wilhelma Bartosika. – Dziecku pan nie chcesz pomóc?

Postanowił zagrać na emocjach, bo poprzednim razem, gdy był tu nazajutrz po zaginięciu dziewczynki, szewc nie powiedział mu nic ciekawego. Mówił, że niczego nie pamięta, choć przecież był wtedy w warsztacie i być może mógł coś dostrzec. I dlatego Karolak spróbował dziś jeszcze raz, mimo niedzieli. Nie musiał tu przychodzić, ale jego nowy dowódca, podkomisarz Fischer, powiedział mu, że sprawy tej dziewczynki nie uważa za zamkniętą i chciałby ją odnaleźć, ale brakuje mu czasu na poważne zajęcie się tą kwestią. Więc jeśliby przodownikowi się chciało... Niby się nie chciało w niedzielę, ale poczuł, że Fischerowi rzeczywiście na tym zależy.

Szewc Bartosik zmarszczył brwi, jakby chciał pokazać, że z całej siły wyteża swój szewski umysł, ale trudno mu się przebić przez opary alkoholowe, które zamglily całe poranne spojrzenie na świat. Owdowiały mistrz siedział w brudnych kalesonach i niezbyt świeżej podkoszulce na taborecie w kuchni. Trzęsącymi się dłońmi próbował skrócić sobie papierosa, ale mu nie szło. Karolak, widząc te nieporadne ruchy, nawet pomyślał o tym, że może powinien mu pomóc z tym skręcaniem, ale zaraz zdał sobie sprawę, że jest tu mimo niedzieli jak najbardziej służbowo, a na służbie takie odruchy ludzkiej życzliwości, szczególnie wobec zapijaczzonego szewca, są jak najbardziej nie na miejscu.

W końcu jednak wyciągnął z drżących dłoni pijaka bibułkę, strzepnął tytoń do kapciucha, który leżał na stole, nabrał odpowiednią szczyptę i rozłożywszy ją równomiernie na całej długości papierka, szybko skręcił, przejechałszy jeszcze koniuszkiem języka po krawędzi. Papieros był równy i prosty. Wyglądał niemal tak, jak zrobiony w maszynie. Podał go szewcowi. Ten obejrzał wyrób bardzo dokładnie, a potem z uznaniem spojrzał na policjanta.

– Pan szanowny to ma w rękach prawdziwy talent. Mało kto tak potrafi ukłęcić ćmika. Ja już stary, to i nie poradzę, ale dawniej to ho, ho! Mogliby my iść w zawody. Weź no se pan zapal. – Wskazał na swój worek z tytoniem. Karolak, już skręcając papierosa, zauważył, że to najgorszy, najtańszy rodzaj tytoniu pozagatunkowego, w którym więcej było pyłu i grubych kołków niż liści, ale głupio mu było odmówić. Sięgnął więc po bibułkę i jeszcze raz skręcił, niemal nie patrząc na palce, które same zwinęły cygaretkę.

– Gdzieś się pan tak wyuczył? – zapytał Bartosik.

– W okopach nad Sommą. Trzeba było czymś ręce zająć, jak artyleria waliła po naszych łbach... – przerwał, widząc, że wyraz twarzy szewca się zmienia, a oczy wilgotnieją.

– Co jest, panie Bartosik? Co niby się stało?

– Nad Sommą... Mój synuś Krzysio się tam został. We Francji w siedemnastym roku. Dostałem list z pułku, że na polu chwały za cesarza i *vaterland*^[20] oddał życie i zginął bohatersko. – Przetarł załzawione oczy. – A ja w dupie mam, panie, taki *vaterland*, który zabiera nasze dzieci i każe im oddawać życie. Pierdołę, panie, taką ojczyznę. Na cholere mi ona, jak mój synuś już nigdy nie wróci. A taki miał chłopak talent do robienia trzewików. Mało kto miał takie zgrabne palce. Szył, panie, skórę tak, jak pan skręcasz te ćmiki...

Wstał od stołu, podszedł do kuchennego kredensu, otworzył przeszkłone drzwiczki i wydobyl litrową butelkę podłej, mętnej wódki, takiej, jaką sprzedają na litry i rozlewają wprost do przyniesionych flaszek w Fabryce Wódek Kantorowicza.

Rozlał gorzałkę do dwóch szklanek i jedną podał policjantowi.

– Za mojego Krzysia i za wszystkich naszych synków, co się tam wew tyj Francycji zostali.

Przodownik spojrział na alkohol, a potem na starego. Takiego toastu nie mógł odmówić. Stuknęli się szklankami. Szewc wypił do dna, a policjant z trudem przełknął niewielki łyk. Zaraz zaciągnął się skrętem, żeby zdusić w ustach paskudny smak źle przedestylowanej wódki.

– A co, niezła gorzoła, panie. Taka czyściocha najlepsza. Te wszystkie perfumowane to się mogą schować. Jeszcze kapinkę?

– Nie, ja na służbie. Tak nie za dużo mogę.

– No jak służba, to wiadomo! – Szewc nalał sobie i usiadł na powrót na swoim miejscu.

– Wtedy to ja pamiętam, że ona stała se w drzwiach od domu i czekała.

– Kto?

– No ta Zosia. – Pobudzony wódką szewc naraz zobaczył wszystko wyraźniej. Zniknęły łyzy, bo widać alkohol miał zbawienny wpływ na jego zranioną duszę. Zapomniał o Francji i pogrzebanym na tamtejszych polach synu i zaczął wydobywać z zakamarków pamięci obrazy, których, gdy po raz pierwszy rozmawiał z nim Karolak, za nic nie mógł odnaleźć.

– Ona tak zawsze staje, jak ją matka po wodę pośle.

– Niby jak staje.

– No normalnie. Stoi w przejściu i czeka.

– Na co czeka?

– Łe no, panie, musi poczekać, bo sama nie da rady odkręcić kurka.

– A, już rozumiem. Znaczy się kranu nie może odkręcić.

– No właśnie o to się dokładnie rozchodzi. Czeka, aż kto dorosły będzie szedł, i wtedy woła, żeby odkręcić. Bo ten kurek trzeba mocno zakręcić, bo jak się go nie dokręci, to woda ciurkiem leci.

– I wtedy też stała.

– No może i nawet z dziesięć minut stała. I ja już chciałem iść do niej i odkręcić, bo mi się żal biedactwa zrobiło. Bo jak ja tam se siedzę w moim warsztacie, co jest w suterynie, to ja akuratnie mam okno na całe podwórko i wszystko widzę. Siedzę se tak i przybijam

zelówkę, i tak se powiadam, że jak ta Zosia tak tyle już stoi, to ja już ino podzelum tego trzewika, com go miał akuratnie na kopycie, i pójdę do niej. A tu się patrzę i widzę, że jakieś nogi wew czarnych sztybletach idą i czarnych portkach, jak na mój gust to nawet te pory trochę za krótkie były. No ale co mnie pory obchodzą? Tak naprawdę to ja się na trzewiki patrzę. No i słyszę że ona woła, żeby jej odkręcić wodę. I zaraz tam poszła z wiadrem. A ja se myślę, co to za jeden wew tych sztybletach, bo trzewiki wszystkich, co tu mieszkają w okolicy, to ja znam, a pierwszy raz widzę takie buty, to się znaczy, że nietutejszy.

– I co z nim?

– Miałem rację.

– Bo dlaczego?

– Bo za chwilę przyszedł on do mnie i ja się patrzę, a to właśnie jest on.

– Niby skąd to wiadomo, jak żeś pan twarzy nie widział.

– Ja, panie, wystarczy, że raz popatrzę na trzewiki i już wszystko wiem o człowieku. No to mnie jego gęba nie była potrzebna. Wszedł do mnie do warsztatu, tom popatrzył się na trzewiki i już wiedziałem, że to te same, co tamten miał, co poszedł tę wodę odkręcić dla małej Zosi. A ona to tam jeszcze stała, bo ten kejter przylazł.

– Jaki kejter?

– A taki rudy, co tu łązi ciągle. Niczyj jest, ale tu do niej przylazi, bo ona taka z dobrego serca zawsze jemu co do żarcia da. A przecie u nich w chacie się nie przelewa. Sama nie zje i kawałek chleba dla kejtra znajdzie. No to on chyba wywachuje ją z daleka, bo co ona wyjdzie, to on już jest. I wtedy też był, to ona mu zostawiła wodę, żeby się do tej niecki kamiennej nalało, co by kejtry i kociambry się napiły. A ten w tych sztybletach, tom od razu widział, że on je pożyczyl od kogoś, bo one za porządne na niego, bo jak wszedł do mnie do warsztatu, to ja się onemu dokładnie przyjrzałem. Miał brodę i wąsy, ale takie za długie i nie przycięte, jakby zaniedbane. Ale duży był, taki w barach obszerny. Taki raczej anarchista.

– A pan kiedy widział anarchistę?

– Broń Boże. Na własne oczy to nie. Alem widział rysunki z procesu, jak sądzili tego Gawriłę Principa, co to zastrzelił Ferdynanda. I tych innych jego współników też sądzili. Sami anarchiści, panie.

– To przyszedł i co chciał?

– Nic. Znaczy jak to u szewca. Buty chciał nareperować. Pokazał, że dziurawe podeszwy i poszedł se. Akurat wtedy, jak widziałem, że Zosia wiadro przy wejściu postawiła i poszła patrzeć na ulicę. Ona tam poszła, to on zostawił trzewiki i poszedł akuratnie za nią.

– A kiedy je odebrał? To znaczy, kiedy był po odbiór nareperowanych?

Szewc wzruszył ramionami. Chwycił szklanę w dłoń i stuknął nią w krawędź tej, którą cały czas trzymał w dłoni policjant. Wypili. Tym razem Karolak mało się nie zadławił.

– A co, dobra cholera! – Ucieszył się gospodarz na widok miny policjanta.

– Mocna.

– Nic dziwnego, jak kto niezwyčajny, to się od dobrej wódki usmarcze. Ale ja to bez zmrużenia oka wypiję.

– To co z tym człowiekiem? Tym anarchistą?

– To były jego własne trzewiki.

– Które?

– No te, co oddał do nareperowania. A te porządne sztyblety to miał pożyczone.

– Powiedział panu.

– Nie, sam widziałem. Tamte były na taką łachudrę za dobre. A te dziurawe w sam raz dla niego akuratne.

– To kiedy je odebrał?

– Nie odebrał.

– Jak to?

– Nie mógł odebrać, bo my uzgodnili, że gotowe będą na wtorek. Znaczy się za dwa dni do odbioru. Do wtorku jeszcze czasu a czasu, panie. Jutro się dopiero za nie zabiorę...

– To są w warsztacie?

– No a gdzie niby by miały być? – zdziwił się szewc.

– Chodź pan, idziemy!

– Do aresztu? A za co niby mam być aresztowany?

– A kto powiedział, że do aresztu? Do warsztatu pójdziemy. Dalej, wdziej pan coś na siebie, bo jak taki wygogolony^[21] pan pójdziesz, to jeszcze się pan zaziębisz.

Szewc wstał z taboretu, podszedł do drzwi, które z kuchni prowadziły wprost na klatkę schodową, i zdjął z wieszaka palto. Założył je na siebie, a z haczyka na framudze wziął pęk kluczy.

– To od warsztatu – wyjaśnił zupełnie niepotrzebnie.

Zeszli po schodach na dół, a potem do piwnicy, w której śmierdziało starą kiszoną kapustą, węglem i tak jak wszędzie kocimi szczynami.

– Do warsztatu idzie wejść od podwórka albo od piwnicy. Ja jak zamknę od środka te drzwi od zewnątrz, to wychodzę z roboty tędy.

– Wskazał na solidne drzwi obite blachą. – Byle kto ich nie otworzy. – Poklepał metalowe zabezpieczenia, a potem włożył klucz w drzwi.

Zamek wbrew zapewnieniom szewca wcale nie wyglądał solidnie. Ale tak po prawdzie pewnie nikt by się tu włamywać nie miał ochoty, pomyślał policjant, rozglądając się po szewskiej graciarni, w której unosił się intensywny zapach kleju i garbowanej skóry.

– Buty też pan szyje? – zapytał tylko po to, żeby w ogóle coś powiedzieć.

– Łe, panie. – Bartosik z rezygnacją machnął ręką. – Przed wojną to się szyło. Jedna para na tydzień stąd wychodziła, a czasem to nawet dwie. I męskie, i kobiece, i dla dziecioków też. Ale teraz to szkoda gadać. Wiara biedna, to nie staluje se trzewików. Ino se zelówki przybija, obcasy podkleja albo łata dziury. Bieda, panie, bieda – powiedziawszy to, wskazał na regał. Jego pięć półek było zawalonych byle jakimi, sfatygowanymi butami.

– Wszystko to szajs.

– A buty tego, no... anarchisty?

– O... to będą te. – Sięgnął na drugą półkę po parę czarnych, mocno sfatygowanych butów, których podeszwy już na pierwszy rzut oka prosiły się o wymianę.

– To mówi pan, że mają być nareperowane na wtorek? – upewnił się policjant, biorąc jednego do ręki. Spojrzał na niego uważnie, ale

zaraz odstawił na stół warsztatowy, zmarszczywszy nos ze wstrętem. But nie pachniał zbyt ładnie.

– Do smrodu się idzie przyzwyczaić. – Majster uśmiechnął się zadowolony, dostrzegłszy reakcję policjanta. – Od rana mają być.

– Co?

– Z samego rana może już być. Takem mu powiedział, że w poniedziałek na wieczór zrobię, to rano we wtorek już będą, bo na wieczór podkleję i zeszyję nowe podeszwy, to rano będą akuratnie...

Policjant wyszedł na podwórze zadowolony, że nie musi już wachać szewskich smrodów. Tu wciągnął powietrze głęboko w płuca. Było rześkie i przyjemnie łaskotało w środku.

Pies siedział pod ścianą i patrzył na niego zaciekawiony. Gdy przyszedł tu pół godziny temu, nie widział kundla. Pewnie to ten, któremu dziewczynka dawała wodę? Spojrzał na zwierzaka i na kurek po prawej stronie. Kamienne poidło było puste. Podeszedł więc do kranu, odkręcił go i przez chwilę czekał, aż woda je wypełni.

Zakręcił kurek i zrobił kilka kroków w kierunku bramy. Pies podbiegł do poidła. Natychmiast zanurzył jęzor w zimnej wodzie i zaczął chleptać, uważnie obserwując mężczyznę.

– Szkoda, że nie powiesz mi nic o Zosi – powiedział policjant.

Pies przestał pić i spojrzał na niego swoimi wielkimi, brązowymi ślepiami.

Godzina 8.30 rano

– A pan szanowny to jak długo zabawi w naszym hotelu?

– Być może nawet dwa dni, albo nawet trzy jakby co.

– A skąd szanowny pan przyjechał?

– Ja? Ja przyjechał z Warszawy.

– O, z samej stolicy.

– Zez samej.

– Przyjemną miał pan podróż?

– Owszem, niczego sobie...

– Jechał pan pociągiem?

– Jak najbardziej... pociągiem.

– Zapewne męcząca taka podróż?

– Podróż... męcząca... jak cholera...

– Ha, ha, no tak. Wiadomo, że to w końcu kilka bitych godzin jazdy. I do tego jeszcze z przesiadką. To musi być męczące. A cóż tam słyhać w tej naszej nowej stolicy?

– ...jak chcesz się pan wywiedzieć, co słyhać wew stolicy, to se pan kup bilet na banę[22] i se jedź się dowiadywać. Albo możesz pan se tą korbką zakorblować i się połączyć przez telefoniczny aparat i oni już tam wszystko powiedzą, jaka jest pogoda w Warszawie, a nawet o tym, co pan naczelnik Piłsudski wtrząchnął dziś na śniadanie. I nie zwracaj mi pan gitary, bo nie mam czasu ani chęci na pierdoły. Dajesz mi pan, do ciężkiej cholery, klucz do numeru czy mam se poszukać innego hotelu?

Portier aż otworzył usta ze zdumienia. Różnych miewał gości hotelowych, mniej lub bardziej uprzejmych, wesołych i ponuraków, rozmownych i burkliwych, ale jeszcze mu się nie zdarzyło, żeby któryś przywołał go do porządku w tak obcesowy sposób i do tego jeszcze językiem pochodzącym wprost z ulicy... poznańskiej ulicy.

– Oczywiście, jak najbardziej, jest klucz szanownego pana – wyjaśnił tonem usłużnym i uległym, tak żeby na wszelki wypadek zatuszować swoją gafę sprzed chwili. Facet mówił jak ulicznik z Chwaliszewa, ale ubrany był bardzo elegancko i wyglądał jak lord Rockefeller. Trzeba więc być dla niego nadzwyczaj miłym, myślał recepcjonista. Kto wie, jakich napiwków można się po kimś takim spodziewać...

Odwrócił się do gościa plecami i zaczął przyglądać się szafce z przegródkami na klucze i korespondencję. Gość też spojrział w tamtym kierunku. Przegródka oznaczona numerem piętnaście była doskonale widoczna. Zauważył, że nie ma w niej klucza, za to tkwi tam kilka kartek. To oznaczało, że gość od jakiegoś czasu nie odbierał listów.

– Proszę bardzo, mamy bardzo ładny pokój z oknem na podwórze albo może być znacznie jaśniejszy na sąsiednie podwórko, ale ono jest od południa, znaczy się słoneczne.

– Masz pan na pierwszym piętrze? – zapytał klient.

– Oczywiście. Na pierwszym dla najlepszych gości. Każdy numer z własną łazienką i wanną na dodatek. Ciepła kąpiel najlepsza po podróży.

– Dawaj pan z wanną, gdyż dawno nie zażywałem luksusu kąpieli i jestem bardzo mocno umęczony i brudny jak cholera, jak to po długiej jeździe sznylcugiem[23], znaczy się kolejną ma się rozumieć. I może być na podwórko.

– Pokój numer dwanaście. Piękny pokój, proszę szanownego pana.

– Owszem, może być.

– Na jak długo pan sobie winszuje?

– Już powiedziałem, że dwa albo trzy dni...

– Bo ja muszę wpisać do księgi gości.

– Napisz pan trzy.

– A nazwisko szanownego pana.

– Hm... Anatol Raczyński, ino że jestem tu inkognitem, więc wpisz pan Kowalski, może być Anatol również.

– Oczywiście. Jak pan szanowny sobie życzy. A co do płatności...

– Że co? – warknął Raczyński-Kowalski.

– Że niby pan szanowny raczy zapłacić z góry czy z dołu?

– Hmm... Mnie tam wszystko jedno, byleby płacić przy wyjeździe, jak już się we wszystkim wydatki będą akuratnie zgadzać, znaczy się za restaurację i wino i co ino, he, he!

– A bagaż pański?

– Ino tą małą walizeczkę chwilowo posiadam, a reszta kufków przyjedzie z dworca za jakiś czas i jakby mnie nie było, to je dajcie do numeru, a ja teraz idę się ukąpać...

– Oczywiście, jak najbardziej. Proszę, oto pański klucz. Schodami na pierwsze piętro i korytarzem w lewo.

– Nic się pan nie martw, panie starszy. Dam se radę.

Klient wziął w dłoń walizkę obciążoną świńską skórą i ruszył w kierunku schodów. Przeszedłszy pięć kroków, zatrzymał się i odwrócił. Portier spojrzał na niego.

– Czy ja mogę jeszcze w czemś pomóc?

– A przynieś pan na górę ze dwie flaszki zimnego jasnego piwa i butelczynę jakiej dobrej wódeczki, bo mnie od tego pociągu to w gardle trochę zaschnęło.

- Jak najbardziej. A coś na ząb?
- A co macie?
- Na zimno czy na ciepło?
- Jak do wódeczki, to na zimno.
- Zimne nóżki polecam.
- Dawaj pan, ino żeby było migiem, bo zaraz idę zażywać kąpieli.
- Natychmiast dla szanowanego pana się przyniesie.
- No nie pożałujesz pan.

Portier z uznaniem pokiwał głową. Takich konkretnych klientów lubił. Zaraz mu na górę dostarczy napitek i zagryzkę, a on odwdzięczy się do ręki. Widać, że gość miał klasę albo – kto wie – może nawet był z klasy wyższej, choć gadał jak zwykły chłop.

Zwykły chłop z klasy wyższej, Anatol Grubiński, nadzwyczaj zadowolony z samego siebie wspiał się po niezbyt szerokich schodach na pierwsze piętro i skręcił w lewo. Tak jak przypuszczał, właśnie tam był numer piętnasty. Rozejrzał się uważnie dookoła, sprawdzając, czy aby nie ma jakiegoś zagrożenia w postaci wścibskich oczu sprzątaczk, ale niczego takiego nie dostrzegł. Pokoje musiały być już wysprzątane. Zostawił więc piętnastkę na później i poszedł do swojej dwunastki. Początkowo chciał tylko wejść na górę i od razu spenetrować pokój zabitego, ale po rozmowie z tym tam gościem w liberii doszedł do wniosku, że jeśli okazja pcha się w łapy, to trzeba ją wykorzystać. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz kąpał się w prawdziwej wannie, więc skoro była tu do dyspozycji, to dlaczego nie poleżeć trochę w gorącej wodzie. No i dla tej kąpieli postanowił nieco przedłużyć swój pobyt. Ażeby kąpiel była przyjemniejsza, zamierzał napić się wódeczki, popić ją piwkiem, a skoro już zaproponowali, to jeszcze zagryźć zimnymi nóżkami. A co, raz się żyje!

Otworzył drzwi od swojego pokoju i wszedł do środka. Miejsce wyglądało bardzo przyzwoicie. Po lewej stronie, od okna, które było na wprost wejścia, stało drewniane łóżko z wysoką burtą za głową i nieco niższą od strony nóg. Było tak szerokie, jak to stalowe, które miał u siebie w mieszkaniu. Usiadł zaraz na nim, by sprawdzić jakość. Materac na sprężynach zajęczał cicho. Ten jego nie miał sprężyn, a wypchany był zwykłym sianem. No ale na taki luksus, jak

ten tu, przecież nie mógł sobie pozwolić, a poza tym nigdy nawet nie pomyślał, że mógłby potrzebować takiego materaca. Nie pomyślał aż do tej chwili, kiedy nie wyciągnął się na nim i poleżawszy przez chwilę, zaczął kołysać biodrami i nogami. Materac poddawał się tym ruchom i w płynny sposób je oddawał. Tolek uśmiechnął się zadowolony z siebie. Nie ma co, pomyślał, człowiek może całe lata życia stracić, nie mając pojęcia, jak życie może być wygodne.

Zeskoczył z łóżka akurat w chwili, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył je. Na korytarzu stał portier z tacą w rękach. Nie posłał hotelowego boya, licząc na obiecaną gratyfikację.

– No dawaj pan, coś tam przytaszczył. – Gospodarz odsunął się od drzwi, robiąc przejście. Portier wszedł do środka i położył tacę na niewielkim kawowym stoliku, przy którym stały dwa lekkie krzesła z giętego drewna.

– Proszę bardzo, wszystko tak jak sobie szanowny pan życzył, ale na wszelki wypadek dodałem jeszcze tatarą, bo właśnie w kuchni zmielili świeżą polędwiczkę, więc pomyślałem, że pan pewnie skosztuje. Powiadam panu, palce lizać. A co do pozostałych asortymentów to wódeczkę pozwoliłem sobie smakową Machandel zaproponować i piwko świeże Pilsner od Huggera.

Tolek sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej pięć dziesięciotysięcznych banknotów. Zwinął je w rulon i wsunął do kieszonki na piersi mężczyzny.

– To masz pan za zaproponowanie, a i za fatygę. A to wszystko wpisz pan do rachunku, co ja jego ureguluję, jak będę wyjeżdżał z hotelu.

Zadowolony recepcjonista uklonił się i wyszedł z pokoju, cicho zamykając drzwi. Grubiński podszedł do nich i przekręcił klucz w zamku. Na wszelki wypadek, bo przecież lichy nie śpi i gdy on będzie leżał w wannie jakiś złodziej może wejść i jeszcze mu coś rąbnąć, buty albo portki. A tego by nie chciał, bo ubranie, które miał na sobie, było nadzwyczaj eleganckie i po raz pierwszy dziś je założył ze względu na charakter przedsięwzięcia, w którym brał udział. Pochodziło z szafy pewnego kupca, którego mieszkanie obrobił wraz ze swoimi ludźmi w zeszłym miesiącu. I jak zwykle większość towaru sprzedali na pniu paserowi, ale rzeczy, które mogły się przydać,

każdy ze złodziei tradycyjnie zostawił sobie. On wybrał porządny, szary garnitur z kanarkową kamizelką i płaszcz z futrzanym kołnierzem. Na szczęście ów obrobiony kupiec był jego postury i wzrostu, więc nie było nawet potrzeby dawać ubrania do przeróbki. Teraz Tolek zdjął buty i z szacunkiem ustawił je obok drzwi. Portki zaprasowane w kant zawiesił na specjalnym garderobianym stojaku, na którym również starannie rozłożył najpierw kamizelkę, a potem marynarkę.

W samych gaciach i skarpetkach poszedł do łazienki. Na widok wanny jęknął z rozkoszą. Była tak wielka, że mógł w niej wykąpać się w towarzystwie jakiejś niewiasty. Szkoda tylko, że żadnej nie było pod ręką...

Odkręcił kurek z gorącą wodą i zaraz ten drugi z zimną. Woda zaczęła lecieć silnym strumieniem. Oceniał, że wanna napełni się dopiero za kilka minut. Wrócił więc do pokoju, nalał sobie wódki do szklanki, upił łyk i zaraz poprawił piwem, by spłukać wódczany smak.

Spojrzał w okno. Rzeczywiście, słońce od południowej strony wpadało do środka, przeciskając się ponad dachami i spływając na obszerne podwórze kamienic, które stały odwrócone frontem do budynku poczty. Rozejrzał się po okolicy. Podwórko jak podwórko, z szopkami na węgiel i jakimiś zakładami i składami. Nigdy tu nie był, bo i po co. Otworzył okno i wyjrzał na zewnątrz. W dole widoczny był nasmołowany i pokryty papą dach jakiejś budy, która, sądząc po dobiegającym zapachu, mogła być stajnią dorożkarską albo wozacką. Przyglądając się, oceniał ten dach pod kątem przydatności. Wyglądał solidnie. Gdyby więc musiał, mógłby stąd spokojnie zeskoczyć i przedostać się na sąsiednie podwórko. Tyle że nie było jak na razie takiej potrzeby. No ale sprawdzić musiał, bo przecież na tym właśnie polegał jego fach, że zawsze oceniał możliwości szybkiej ewakuacji.

Usłyszał, że woda bulgocze inaczej niż przed chwilą. Wanna musiała się już napełnić. Wrócił więc do łazienki i zakręcił kurki. Szybko rozebrał się do naga i wszedł do wody. Jęknął głośno, bo była nieco zbyt gorąca, ale po chwili wyczuł, że da się w niej wykąpać. Po chwili zanurzył się cały, układając się wygodnie na dnie.

Zamknawszy oczy, leżał w zupełnej ciszy, rozkoszując się chwilą, która była tak cudowna, że mogłaby trwać wiecznie...

Wtedy pomyślał, że powinien mieć tu obok siebie przynajmniej butelkę piwa, żeby rozkosz była pełniejsza. Ale żeby mieć tę flaszkę, trzeba byłoby wyjść z wanny. Wyjść czy nie wyjść? zastanawiał się. Pukanie do drzwi sprawiło, że momentalnie wrócił do szarej rzeczywistości.

– Spieprzać, do cholery, bo pan Anatol właśnie się kąpie i żadnej łachudry nie będzie się w chwili obecnej przyjmować! – zawołał głośno, tak aby natręt usłyszał i poszedł sobie.

Pukanie powtórzyło się i tym razem było głośniejsze.

– Tolek, to ja, Krystek, jak Boga kocham, otwierajże te drzwi, bo zaraz ktoś usłyszy.

– I jeszcze ja, Zenuś, też tu jestem!

– Ażeby was jasna cholera wziena! – jęknął Grubiński, wylaź szybko z wanny, opasał się wielkim ręcznikiem i poczłapał do wejścia, zostawiając na podłodze mokre ślady. Otworzył drzwi i zaraz do środka wsunęło się dwóch chłopaków.

– A wy na cholere żęście tu przyleźli?

– Bracia nakazali, że niby do pomocy – wyjaśnił Krystek.

– Walek powiada, że se możesz tu nie poradzić, więc jakby co – tłumaczył Zenuś.

– Jak żęście przez portiernię przeszli?

– Patrzyło się przez okno. Jak ten w tym mundurze, co stał za bufetem, poszedł na górę, to my hyc za nim. A jak zapukał do ciebie, to my zaraz na drugie piętro. Poczekali my tam jeszcze przez chwilę, bo łaził po korytarzu cholernik jeden i podsłuchiwał pod drzwiami, ale jak już se poszedł, to my zaraz do ciebie migiem.

– Znaczy, że was nie widział?

Obaj chłopcy pokręcili głowami.

Tolek podszedł do wieszaka z marynarką. Z kieszeni wydobył klucz i podał go Zenusiowi.

– To jest klucz do numeru tego zabitego.

– No i się wie. Mój klucz. – Przypomniął sobie chłopak.

– No to teraz po cichutku pójdziecie do tego pokoju, wejdziecie do środka i przepatrzcie. Jak już się zorientujecie, co i jak,

przyniesiecie tu wszystko, co się tam da znaleźć, ale nie to, co hotelowe, ale co zostawił ten gość.

– Się rozumie, cały dobytek – potwierdził Krystek

– I o to się rozchodzi. A te drzwi będą niezakluczone. Wchodzicie tu i czekacie po cichutku. Jasne?

– Jak słońce. Idziemy. – Zenuś klepnął w ramię kolegę. Ten spojrzał na Tolka.

– No co jeszcze? – zapytał szef bandy.

– Namierzyli my tego jednego, co zarznął tego gościa zabitego, co jemu Zenuś podprowadził kapelutek i bejmy – zameldował Krystek.

– Jak?

– Moja mamusia onego znalazła – pochwalił się Zenuś. – Wyśledziła jednego szuszwola, co widział wtedy w nocy, jak tego gościa zabili. Wszystko jej powiedziało.

– Nie kłamał? – Tolek miał jeszcze wątpliwości.

– Ady tam! – Zenuś pokręcił głową. – Powiedziała mu, że jakby nakłamał, to będzie miał z Tolkiem Grubińskim do czynienia.

Tolek uśmiechnął się pod wąsem, bo zrobiło mu się przyjemnie, że jego nazwisko coś znaczy.

– A ten gość – wyjaśniał dalej Zenuś – ten, co zaszlachtował tego Szkiebra, to jest Alojz Spychała, co mieszka na Szkolnej. No to my już go namierzyli.

– No to bardzo dobrze. A czym on się zajmuje, bo nazwisko to jakbym gdzie słyszał?

– Wiaruchna gada, że był w wojsku i ponoć też w branży burdelowej robi. Ale co robi, to jeszcze nie wiemy – wyjaśnił Zenuś.

– No to go sprawdźcie dokładnie. Połączcie się za nim trochę. Fischer musi dostać o nim wszystkie informacje, wtedy szkieły odczepią się od ciebie. – Tolek poczochnął rudą grzywę Brodziaka.

– A ty co będziesz teraz robić? – zainteresował się Krystek.

– Ja w chwili obecnej będę zażywał rozkoszy kąpieli – stwierdził Grubiński i zaraz wypchnął ich na korytarz. Nie zamierzał przecież rezygnować z byle powodu z tak nieprawdopodobnej przyjemności. Przedtem jednak postanowił napić się jeszcze zimnego piwa. Podszedł do stolika i... zdębiał. Butelka wódki stała tam, gdzie ją

zostawił, pusta flaszka po piwie również, ale tej drugiej, pełnej, nie było.

– Cholerne szczony, rąbnęły mi piwo! – powiedział do siebie, a potem roześmiał się w głos.

Godzina 9.00 rano

Komisarz Fischer wcale nie musiał przychodzić dziś do pracy. Mógł się wyręczyć którymś spośród swoich podwładnych. Miał w końcu pod sobą prócz wywiadowców jeszcze trzech młodych oficerów policji w stopniu aspiranta. Nawet jeden z nich, Piotr Pikuła, był od rana na służbie i mógł ze spokojem zająć się śledztwem do czasu, aż jego szef nie zechce zapoznać się ze szczegółami. Ale szef chciał się zapoznać od razu i gdy tylko Pikuła przyjechał do jego mieszkania, by poinformować o zabójstwie policjanta, Fischer podjął natychmiastową decyzję – trzeba samemu przyjrzeć się sprawie, żeby w poniedziałek móc przedstawić pierwsze ustalenia zastępcy komendanta, a kto wie, może nawet samemu szefowi.

– No to gadaj pan, co tam mamy ustalone? – rzucił Fischer, wsiadając do dorożki z rozłożonym dachem. Niebo było dziś pochmurne, więc zapobiegliwy dryndziarz podniósł budę na wszelki wypadek.

Młody policjant, ubrany w przepisowy, idealnie dopasowany płaszcz mundurowy, wydobył spod pachy skórzaną teczkę. Fischer zauważył natychmiast, że była to teczka szyta na zamówienie, która musiała kosztować majątek. On też miał skórzaną aktówkę na papiery, ale ta jego wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy w porównaniu z tą połyskującą szlachetną nowością teczką jego podwładnego. Widać rodzice musieli mu sprezentować to cudo, zanim chłopak zaczął robotę.

– No więc melduję posłusznie, że trup został odnaleziony dziś o godzinie mniej więcej 6.30 rano. Meldunek złożył w tej kwestii przodownik Edmund Walczak, że niby...

– Walczak. – Fischer przypomniał sobie postawnego wusacza. – Ten to ma szczęście do nieboszczyków.

– Nie rozumiem, panie komisarzu. – Chłopak spojrział na swojego szefa jak wół na malowane wrota, więc oficer zorientował się, że nie pojął jego subtelnego żartu.

– Drugi trup w ciągu tygodnia, panie aspirancie. Drugi trup i kto go znajduje? Oczywiście Walczak. Znaczy chłopina ma szczęście do umarłaków i jak rozumiem, ów truposz nie zszedł z tego świata w sposób naturalny, ale ktoś mu dopomógł.

– A, pojmuję, panie komisarzu. Ale ja bym to raczej nazwał pechem, a nie szczęściem...

– Jak pan to nazwiesz, to już pańska sprawa. A teraz referuj pan, co i jak, bo zaraz dojedziemy do Prezydium.

Woźnica niespecjalnie poganiał swoją kasztankę, żeby czasami nie zgrzała się za mocno, a że pasażerowie nie naciskali, prowadził ją spokojnie i lekko, stępa. Tym bardziej że nie było daleko. Właśnie dorożka przejechała ulicę Kochanowskiego i skręciła w szeroką, wielkowiejską Dąbrowskiego, która wiodła na most Teatralny. Stamtąd do policyjnej centrali był już żabi skok.

Skarcony młody śledczy, oblawszy się rumieńcem, odchrząknął, próbując w ten sposób ukryć zakłopotanie. Zrozumiał, że z dowódcą nie należy dyskutować, lecz słuchać jego poleceń. Otworzył teczkę i wydobyl z niej raport wstępny, napisany przez siebie samego na brudno, więc niezbyt starannym pismem. Mimo to można było z łatwością referować temat, korzystając z tej notatki.

– ...Hm, przodownik Edmund Walczak od godziny szóstej rano był na patrolu z dwoma szeregowcami i na tym patrolu, akurat gdy przechodził przez ulicę Mostową, został zagadnięty przez jakiegoś młodocianego na okoliczność trupa leżącego na terenach nadrzecznych w pobliżu tak zwanego Miasteczka. I policjanci podążyli natychmiast w tamtym kierunku, żeby sprawdzić, czy kwestia trupa jest wiarygodna i w mig stwierdzili, że młodociany informator nie mijał się z prawdą i trup był we wskazanym miejscu. Policjant Walczak od razu ustalił tożsamość denata, gdyż go znał z pracy i okazał się on policyjnym wywiadowcą, chodzącym po cywilnemu, o nazwisku Anatol Górski z komisariatu Nowe Miasto

przy Alejach Marcinkowskiego, a wcześniej z komisariatu na Wielkich Garbarach...

– Nie gadaj mi pan o komisariatach. Co mu się stało?

Dorożka przejechała most Teatralny, rozłożony nad szerokimi, dzielącymi miasto na pół torami kolejowymi, by po chwili znaleźć się przed rozłożystymi schodami, prowadzącymi do klasycystycznego, wzorowanego na greckiej świątyni budynku Opery. Wejścia do niego strzegły wyrzeźbione z piaskowca ogromne lwy w towarzystwie rozneglizowanych młodzieńców.

– Leżał goły i nieżywy w kałuży.

– Tak goły jak ci tutaj? – Fischer wskazał na jednego z dwóch nagich strażników operowych schodów. Młody oficer pokiwał głową.

– Melduję, że tak właśnie. Ciekawe, po co ktoś zadał sobie trud, żeby go rozebrać? Przecież to bez sensu.

Fischer spojrzał zaciekawiony na Pikule. Lubił jak jego podwładni snuli własne teorie. Uważał bowiem, że dobry szef jest mądry mądrością swoich ludzi. Trzeba słuchać, co mają do powiedzenia, i dopiero po wysłuchaniu wyciągać wnioski. Dlatego starał się do swojego zespołu przyjmować tylko najlepszych, którzy umieli logicznie myśleć albo chcieli się uczyć. Tego najwyraźniej jeszcze trzeba będzie poduczyć, bo widać, że chłopak chce być przydatny, myślał, uśmiechając się lekko pod wąsem na zachętę.

– Proszę, niech pan kontynuuje myśl – polecił. Młodzieńca nie trzeba było specjalnie namawiać. Widać było, że ma wątpliwości, które nie dawały mu spokoju.

– Zastanawiam się nad tym, co chciał osiągnąć morderca. Najpierw zranił człowieka ostrym narzędziem. Przodownik mówił, że wbito mu bagnet w brzuch, a potem jeszcze ten bagnet został w ciele ofiary odwrócony i wyrwany. Przecież to zupełnie niepotrzebne okrucieństwo.

Fischer uśmiechnął się, wpatrzony w ogród cesarskiego zamku, otoczony kutym stalowym płotem, osadzonym na podmurówce wyłożonej piaskowcem. Mimo wczesnej pory w ogrodach zamkowych już było sporo osób, które po niedzielnym śniadaniu wybrały się na spacer, licząc zapewne, że uda im się złapać trochę świeżego powietrza przed zbliżającym się deszczem.

– To żadne okrucieństwo, mój panie.

– Jak to?

– Walczak jak najbardziej zna się na rzeczy i wie, co mówi. Nie wyjaśnił tylko, w czym rzecz. Po rodzaju rany poznał od razu, że to robota fachowca.

– Płatnego mordercy? – Chłopak zrobił wielkie oczy.

– Nie o takiego fachurę mi idzie. O takiego, który wie, jak jednym sztychem spowodować, że rana jest śmiertelna. Gdyby wbił bagnet w brzuch i zwyczajnie go wyciągnął, to byłaby to czysta rana, którą być może dałoby się zaszyć i uratować człowieka. Ale żołnierz frontowy wie dobrze, że wroga trzeba eliminować skutecznie. Więc żołnierz, wbiwszy bagnet w trzewia, przekręca go w ranie, by wywołać w organizmie wroga jak największe spustoszenie.

– Okropne.

– No cóż, samo życie.

– No więc po cóż jeszcze strzelono mu w kark? Przecież sam pan mówił, że rana była śmiertelna.

– Tak, ale ranny umarłby za kilka albo kilkanaście godzin. A przez ten czas męczyłby się okrutnie. Nasz morderca zrobił to, co robi człowiek, w którym kołacze się jeszcze odrobina ludzkich uczuć. Zadał mu tak zwany *coup de grâce*, czyli...

– Cios miłosierdzia – przetłumaczył Pikuła – a właściwie można by powiedzieć – strzał miłosierdzia.

– Na jedno wychodzi. W każdym razie policjant Górski został zaatakowany bagnetem, którym go skutecznie wyeliminowano, a później dobito. Być może został dobity, bo sprawca obawiał się, że ranny go zna i przed śmiercią zdąży jeszcze wydać? Czyli albo ostrożność, albo współczucie.

– A ubranie, panie komisarzu? Po co zdjęto mu ubranie?

Dorożka opuściła ulicę Fredry, by wjechać na szeroki plac, przy którym rozsiadł się narożny gmach Banku Cukrownictwa. Budynek swoim prawym ramieniem wchodził w ulicę 27 Grudnia. Ta, krzyżując się z Ratajczaka, wyznaczała ich docelowy punkt, czyli Dyрекcję Policji. Woźnica wstrzymał kasztankę, zauważywszy nadjeżdżający tramwaj, oznaczony jedyką na kwadratowej białej tablicy. Gdy wóz, zgrzytając kołami, przejechał obok, ruszył dalej.

– Był pan tam? Na miejscu znalezienia zwłok. Znaczy w tym, no, tak zwanym Miasteczku.

– Oczywiście. Przecież stamtąd przyjechałem do pana komisarza.

– I co pan widział?

– W sensie, że ciało i w ogóle...?

– Nie, gdy się pan rozejrzył wokół, to co pan zobaczył.

Pikuła przez chwilę milczał, jakby próbował ogarnąć do kupy wszystkie zebrane wrażenia.

– Rudery, bieda, że aż strach, nędza i smród...

– A ludzie, panie aspirancie. Widział pan tam jakichś ludzi?

– Całkiem sporo, panie komisarzu. Cały tłum przyszedł się napatrzeć.

– A jak byli ubrani ci ludzie?

– No ubrani, można by powiedzieć, że byli ubrani w byle co. W łachmany.

– No to niech pan doda dwa do dwóch i sam sobie odpowie na pytanie, dlaczego nasz kolega policjant był goły.

– Rozebrali go, znaczy okradli ze wszystkiego. – Domyślił się w końcu aspirant. Spojrzył na Fischera dumny ze swojego odkrycia, ale miejsce obok było puste. Gdy tylko dorożka zatrzymała się przy wejściu do policyjnego budynku, podkomisarz wyskoczył na chodnik i ruszył przed siebie. Przed drzwiami się zatrzymał, gdyż niemal zderzył się w nich z wychodzącym ze środka wywiadowcą Gilem. Ten chwycił swojego przełożonego za rękaw i zaczął mu coś tłumaczyć, machając ręką.

Nim aspirant Pikuła zdążył zapłacić za kurs dorożkarzowi, obaj policjanci zniknęli już wewnątrz budynku. Oficer pobiegł za nimi. Bardzo był ciekaw tego, co miał do powiedzenia Fischerowi ten stary cwaniak Gil, który był najwyraźniej wzburzony albo podniecony. No ale tego się można było domyślić. Cała policja była dziś wzburzona tym morderstwem. Zapewne śledztwo w tej sprawie będzie miało najwyższy priorytet. Każdy policjant w mieście postawi sobie za punkt honoru odnalezienie sprawcy. A Gil zapewne musiał znać tego Górskiego.

Nie odpowiedziawszy nawet na salut strażnika stojącego przed drzwiami, wbiegł do środka, do obszernego holu. Z prawej strony

była wielka marmurowa lada, za którą zawsze siedział służbowy podoficer. Teraz nie siedział, ale stał. Musiał wstać na widok Fischera, który oparty o kamienny blat słuchał uważnie Gila.

– Ja jego znam od lat. On był wywiadowcą jeszcze przed wojną, panie komisarzu. Przedwojenny typ, solidna robota. Jak się za co brał, to tak, żeby doprowadzić to do końca. No i doprowadził się sam do końca, biedaczek.

– To mówcie szybko i po kolei.

– Lepiej wolniej i w ogóle... – Wskazał na stojącego cały czas służbowego. Ten wzruszył ramionami.

– Posterunkowy, wracać na swoje miejsce! – polecił Fischer. – A pan, panie Pikuła, idzie z nami. Do mojego pokoju, panowie – zarządził i ruszył szybko ku szerokim, marmurowym schodom.

Godzina 10.30 przed południem

Przodownik Bielawski, jak każdy porządny stróż prawa i do tego jeszcze rzymski katolik, chodził co niedzielę do kościoła. Dziś też był, jak zawsze, o ósmej rano. Stawił się na mszę ze swoją małżonką. Kobieta była elegancko ubrana w granatową sukienkę i do tego modną garsonkę z bielskiej wełny. Bielawski zlustrował ją uważnym policyjnym spojrzeniem, a stwierdziwszy, że wstydu nie ma, pozwolił się wziąć pod mankiet.

Nabożeństwo jak zwykle było długie i nudne, no i co istotne, całkowicie niezrozumiałe nie tylko dla takiego wykształconego policjanta jak Bielawski, ale także dla całej reszty wysockiej elity. Nikt tu bowiem nie mówił po łacinie. Ale kto by się tym przejmował? Przez całe swoje życie posterunkowy siedział na mszy jak na tureckim kazaniu i słuchał modlitw i pieśni. Na szczęście pieśni były po polsku, więc jako miłośnik śpiewu i do tego jeszcze posiadacz bardzo ładnego barytonu mógł sobie pośpiewać, ile dusza zapragnie.

Dziś, naśpiewawszy się do woli, postanowił przed obiadem trochę popracować. Odprowadził więc swoją Martę do domu i poszedł na posterunek, żeby napisać raport, z którym nie bardzo wiedział, co zrobić. Od wczoraj bowiem bił się z myślami, zastanawiając się, czy

czasami nie ośmieszy się, śląc te informacje o dziewczynkach do Wyrzyska, a kto wie, może nawet dalej, bo tam mogą przecież nie wiedzieć, co z tą sprawą zrobić. Tak jak i on nie wiedział. I dlatego postanowił pisać. Niech mądrzejsi myślą, co i jak.

Na posterunku nie było nikogo, więc miał ciszę i spokój. W zasadzie to któryś z policjantów powinien dyżurować nawet w taki świąteczny dzień jak dzisiaj. No ale jeśli się nie wyznaczyło dyżuru niedzielnego, to policja nie musiała płacić dyżurującemu. Teoretycznie więc dyżurnego nie było, a ludzie z okolicy wiedzieli, że nie ma co przychodzić na komisariat, bo nikogo tam nie zastaną. No chyba że zdarzyłoby się coś niezwykle poważnego, jakiś pożar, rabunek albo nie daj Boże zabójstwo. W takich nagłych wypadkach ludzie wiedzieli, że mają lecieć prosto do Bielawskiego, który zazwyczaj siedział w domu.

Ale dziś przodownik wyjątkowo mimo niedzieli zasiadł za swoim biurkiem, rozłożył na blacie brudnopis i zaczął w nim wolno, ale za to niezwykle starannie pisać urzędowe pismo.

Wysoka dnia 9. Kwietnia 1922.

Komendant Pow. Pol. P. w Nakle

W sprawie przeciw robotnikowi rolnemu Marcinowi Kleszczyńskiemu, zamieszkałemu w Mościskach pow. Wyrzyski, urodzony dnia 22 maja 1888 r. w Wroniawach pow. Szamotulski, syn rodziców Andrzeja i Anny z domu Słaboszewska, religji rz. Katolickiej, żonaty, 5 dzieci, służył w wojsku niemieckim 46. Pułk piechoty w Poznaniu od 1908 do 1910 r. rzekomo nie karany, majątku nie posiada.

Dnia 8 kwietnia r.b. zameldował się na komisariacie w Wysokiej nauczyciel Majewski ze szkoły powszechnej w Mościskach, który to poinformował mnie, że zatrzymany Kleszczyński, który ukradł świnie swojemu sąsiadowi Pawlakowi, jest w posiadaniu większej liczby dzieci niż te, które są jego. Nauczyciel wyjaśnił, że wszystkie dzieci Kleszczyńskich zna, bo je uczy, a te, co nie uczy, to będzie uczył i wie ile dzieci jest w każdym domu w jego wsi, i stwierdził na własne oczy, że u Kleszczyńskich przebywa dzieci o dwa za dużo.

W związku z tym, że w.w. Kleszczyński przebywa w chwili obecnej w areszcie na komisariacie policji w Wysokiej jako zatrzymany w związku z raportowaną wcześniej kradzieżą i ma być przetransportowany do Wyrzyska w poniedziałek 10 kwietnia, bo wcześniej nie było transportu, a w poniedziałek ma być. W tej sytuacji postanowiono od razu sprawdzić, czy czasami nauczyciel Majewski się nie myli i co na to powie sam Kleszczyński.

Kleszczyńskiego wezwano natychmiast na przesłuchanie i zgodnie z instrukcjami dotyczącymi sposobów i metod przeprowadzania przesłuchiwań od razu został on poinformowany o tym, że kłamanie tylko utrudni jego sytuację i lepiej jest dla niego, żeby nie kłamał i powiedział wszystko po dobroci.

Kleszczyński został więc zapytany, skąd u niego w domu dwie dodatkowe dziewczynki się znajdują. Przesłuchujący stwierdził ponadto, że policja już wszystko wie, że niby on handluje żywym towarem i Kleszczyński zaczął płakać i wszystko wyjawiał, co następuje...

– Mów, gnoju, dla swojego dobra, bo jak mnie nerwy puszczą, to ja za siebie nie zaręczam i powiem ci tylko, że jak będziesz coś kręcił, to na gołą dupę dostaniesz wyciorem od karabinu tak, że nie będziesz mógł przez miesiąc usiąść. – Bielawski mógł łagodnie obchodzić się ze złodziejem świń, ale gdy w grę weszła domniemana kradzież dzieci, stał się w jednej chwili innym człowiekiem.

– Ja ino miał je przetrzymać w domu. Nic im się nie działo. Jak u siebie miały. Pan sam spyta.

– Spytam, a jakże. Ale jak kłamiesz, gnoju jeden, to marny twój los. Niech ja się ino dowiem, że żeś którąś tknął...

– Nigdy w życiu. Jak Boga Kocham. – Szybko przeżegnał się, by podkreślić swoją katolicką uczciwość. Ja by dziecioka nigdy nie ruszył.

– To znaczy, że masz dziś szczęście. I wiesz, czemu jeszcze masz szczęście?

Przesłuchiwany pokręcił głową.

– Bo całe twoje szczęście, że myśmy wykryli z tu obecnym panem nauczycielem Majewskim, że te dzieciaki nie są twoje. I dzięki temu

będziesz mógł nam pomóc.

– Komu pomóc?

– Policji Państwowej przede wszystkim, po wtóre tym dzieciakom, no ale poza wszystkim będziesz mógł pomóc sobie.

– Że niby jak? – zainteresował się zaraz Kleszczyński, z którego twarzy momentalnie znikła maska przerażenia, a w oczach pojawił się cwany błysk.

– Zdaje się, że pan Kleszczyński będzie chciał panu komendantowi coś zaproponować. – Majewski jako człowiek bystry, a do tego jeszcze wykształcony, natychmiast dostrzegł przemianę. Przez ostatnie dziesięć minut siedział cicho i tylko przysłuchiwał się rozmowie policjanta i złodzieja, ale w końcu znudziła mu się rola biernego obserwatora, więc postanowił wspomóc stróża prawa.

– Pan Bielawski zapewne chce panu powiedzieć, że za handel ludźmi dostaniecie jakieś dwadzieścia pięć lat, a może i więcej. A jeśli nie daj Boże okazałoby się, że na przykład jakieś dziecko zostało zabite albo zgwałcone, no to możecie nawet dostać kulkę w łeb.

– O Mateczko Najświętsza, ja nic nie zrobił!

– Pan nauczyciel ma całkowitą rację! – Policjant najwyraźniej ucieszył się z nieoczekiwanego wsparcia. – Za takie przestępstwa to się płaci głową. Więc lepiej gadaj jak na spowiedzi wszystko o tych dzieciach. Skąd są i gdzie miały trafić?

– Jezusie Nazareński, Matko Boska Przenajświętsza i święty Józefie, całą prawdę powiem tak jak na spowiedzi świętej, bo ja nic nie zrobił, ino te sierotki pod dach przyjął z dobroci serca.

– A skąd są te sierotki? – Bielawski zadowolony, że przesłuchanie zaczyna iść w dobrym kierunku, sięgnął po papierosa. Podsunął też paczkę najpierw nauczycielowi. Ten pokręcił głową. Dziś miał ze sobą swoją fajkę i kapciuch z tytoniem. Gdy policjant zapalał papierosa, Majewski starannie ubijał tytoń w cybuchu. Każdy jego ruch uważnie śledził aresztant.

– Ani se nie myśl, że dostaniesz tytoniu. – Policjant zauważył to jego łakome, głodne spojrzenie palacza na odwyku. – No chyba że będziemy zadowoleni. Prawda, panie nauczycielu?

– Prawda. – Majewski pokiwał głową. Aromatyczny dym z jego fajki wypełnił szybko całe pomieszczenie. Kleszczyński zaczął nerwowo przełykać ślinę, poruszając przy tym wystającą grdyką.

– Dziecioki są ze Sznajdemilu. Przywiózł je taki jeden Hoffman, co to jeździ wte i wewte z towarem. Jak najbardziej legalnym towarem. Ino że on też przewozi ludzi przez granicę. Jedzie do lasu, tam ludzi wysadza i jedzie na drugą stronę już bez kontrabandy. Potem wjeżdża znów do lasu, jakie dwa kilometry dalej, i czeka, aż ludzie same przejdą.

– I chcesz mi powiedzieć, że taki drobiazg sam idzie przez granicę?

– Bielawskiego nie można było zbyt łatwo przekonać.

– Sam nie. Jedna baba mu pomaga. Ona te dziecioki przeprowadziła i potem wsiadła do auta z nimi i przywieźli je do mnie.

– A po co do ciebie?

– Że niby trzeba im wyrobić dokumenta jakies, bo niemieckich nie miały.

– To znaczy, że to są Niemki? – zdziwił się nauczyciel.

– Ady tam zaraz Niemki. Po naszymu gadają jak każdy, ino że ino tak „hhh” zamiast „r” gadają. Ale wszystko pojną, co się do nich gada.

– A ta kobieta, co je przeprowadziła, to kto?

– Diabli ją wiedzą. Nie jest tutejsza, bo ja jej jeszcze nie widział ani razu wcześniej. Będzie jaka przyjezdna. Bo ubrana tak jakoś inaczej, jakby z miejska.

– Kto miał te małe odebrać? – pytał dalej policjant.

– No właśnie, że ona. Powiadała, że we wtorek albo najpóźniej we środę się po nie zgłosi i zapłaci za przechowanie i za to, co zjadły, ma oddać.

Policjant spojrział na nauczyciela, jakby liczył na to, że ten zada jeszcze jakieś pytanie.

– Powiedzcie, Kleszczyński, bo od tego bardzo wiele dla was może zależeć...

– Co zależeć?

– Czy chcecie pomóc policji, czy wolicie resztę życia spędzić w więzieniu.

– Pomogę, panie nauczycielu, jak Boga kocham, pomogę!

– Bo ja sobie myślę, panie komendancie, że jak pan Kleszczyński jest taki skory do współpracy, to trzeba te jego dobre chęci wykorzystać. Bo jak wiadomo, panie Bielawski, tłusta kura jest więcej warta od chudego wróbla.

Policjant spojrział na zatrzymanego, uśmiechnął się pod wąsem zadowolony, że wszystko tak ładnie się układa, a potem, patrząc Kleszczyńskiemu w oczy, przesunął w jego kierunku paczkę egipskich.

...W tej sytuacji zatrzymany Kleszczyński podpisał pisemne zobowiązanie do współpracy z Policją Państwową w celu pochwylenia szajki groźnych przestępców zajmujących się przemytem ludzi. Nie wyjawił niestety, bo jak powiada, tego nie wie, co ma się dzieć z dziećmi po przetransportowaniu do Polski i dokąd mają być wywiezione. To można się więc będzie dowiedzieć, jak już się złapie wyżej wspomnianą kobietę, co pomogła przeprowadzić obie dziewczynki przez granicę i co ma wrócić się tu po nie.

I dlatego właśnie współpracownik Kleszczyński został pod przysięgą zwolniony i wypuszczony do domu, żeby wyglądało tak, jakby się nigdy nic nie stało, mając rozgłaszać, że za świnię będzie musiał zapłacić Pawlakowi, któren jak dostanie zadośćuczynienie w postaci pieniędzy, będzie zadowolony, bo Kleszczyński mu jeszcze krzywdę odrobi w polu.

A jego dom pozostanie pod obserwacją za przyczyną nauczyciela Majewskiego, który w śledztwie już pomógł i chce jeszcze pomóc więcej, i jak coś zauważy, że ktoś przyjechał po dzieci, od razu przekaze informacje do posterunku, dzięki czemu wyżej wymieniona kobieta zostanie na gorącym uczynku zabrania dzieci ujęta i aresztowana.

Podpisano: Bielawski przodownik.

Policjant spojrział zadowolony na swoje pismo. O ile wcześniej miał wątpliwości, czy działa w zgodzie z prawem, o tyle teraz, gdy sobie już wszystkie kwestie poukładał w głowie, stwierdził, że to chyba jest

najlepsze z możliwych rozwiązań. Poświęca wróbla, ale może mieć kurę.

Spojrzał przez okno. Na dworze było całkiem przyjemnie. Jeszcze przyjemniej musiało być w tej gospodzie naprzeciwko, w której teraz siedziało ze trzydziestu chłopów. Ci wszyscy, którzy po wyjściu z kościoła poszli przepłukać gardła w oczekiwaniu, aż w domu żony przygotują obiad. Bielawski spojrzął na zegarek, który zawsze nosił w prawej, górnej kieszeni mundurowej kurtki. Dopiero minęła jedenasta. Obiad miał mieć na wpół do pierwszej, więc pomyślał sobie, że skoro tak pięknie uwinął się z pisaniem raportu, to co mu szkodzi. Wypije kufelek albo dwa. A poza tym posłucha sobie jeszcze, o czym ludzie mówią. Na pewno żaden z nich nie ma pojęcia o rozmowach rusko-niemieckich w Genui. No ale co zrobić. U nas lud jeszcze ciemny i o polityce niemający zielonego pojęcia.

Godzina 1.20 po południu

– Ja tu nic nie widzę, panie komisarzu. – Gil odwrócił się i popatrzył na swojego szefa, który skrupulatnie przeglądał teczkę z aktami. Rozłożył ją na biurku należącym jeszcze kilkanaście godzin temu do wywiadowcy Górskiego. Teraz znów stało się tylko i wyłącznie własnością Policji Państwowej, a każda rzecz, która znajdowała się na nim czy w jego wnętrzu, mogła stać się dowodem w sprawie albo poszlaką, która sprawi, że uda się znaleźć mordercę policjanta.

– To musi być tateczka, którą chciał nam przedstawić, o której pan mówił. Są tu zgłoszenia zaginięć dzieci. Same dziewczynki. Wszystko z ostatnich dwóch miesięcy. Cztery przypadki zaginięć. Ale to są tylko suche fakty. Nie widzę tu żadnych notatek własnych, jakichś wniosków...

– Może miał to wszystko w swoim notesie ponotowane? Bo wybierał się do nas z konkretami – stwierdził Gil, zapatrzony w widok na zewnątrz. Za dużym oknem, wychodzącym na Aleje Marcinkowskiego, dojrzał solidną kamienicę, przed którą co chwila zatrzymywały się powozy i automobile. Ludzie wchodzili i wychodzili. Ruch był jak na dworcu kolejowym, jednak stąd nie odjeżdżały

żadne pociągi. Tam, w środku, mimo niedzieli, w najlepsze działała giełda rolnicza, na której sprzedawało się wszystko to, co rolnik polski wytworzył i co obrodziło w obejściu i na polach. W niedzielne popołudnie giełda działała tak jak w każdy inny dzień. Z tym że dziś wśród kupców, handlowców i maklerów giełdowych przeważali ci wyznania mojżeszowego, którzy po sobotnim odpoczynku przystępowali do transakcji ze zdwojoną energią, odrabiając straty, które powstały, gdy zmuszeni religijnym nakazem zostawali beczynni w swoich domach. Dziś mieli za to używanie, bo jak to przy niedzieli, w domach siedzieli katolicy, którym księża zabraniali pracować w dzień święty.

– Niech pan dalej szuka. – Głos Fischera przywołał go do rzeczywistości. – Na coś, do cholery, musimy tu w końcu trafić.

Na myśl o starym koledze Gilowi zakręciła się w oku łza. Biedny głupiec, pomyślał. Gdyby się nie wychylał i zamiast szukać nie wiadomo czego, pił sobie piwko wieczorami, to pewnie mógłby jeszcze długo żyć. A tak szast-prast i nie ma człowieka.

– Cholerny idiota! – mruknął pod nosem.

– Że co? – odezwał się zza biurka Fischer.

– Że melduję, że nic. Tak ino se gadam pod nosem, bo mi żal tego durnego Górskiego. Młody był jeszcze. Może z pięćdziesiątkę miał co najwyżej. Tak, musiał mieć z dziesięć lat mniej ode mnie, bo przyszedł do roboty, jak już byłem stary szkieł...

– Tak się zastanawiam, panie Gil, bo pan to już długo w tym policyjnym fachu robi...

– Czterdzieści lat będzie, panie komisarzu. Zaczynałem to już było kilka lat po wojnie z Francuzami, nie tej ostatniej, ma się rozumieć, ino tej, co cesarz Bonaparte tak po dupie dostał pod Sedanem.

– No tak, wielkie zwycięstwo, tylko po co?

– Jak po co? Pogonili Francuzów!

– Zwycięstwa w wojnach mają jeden cel, panie Gil, chodzi o to, żeby złożyć daninę krwi, by zapewnić pokój. Pokój na lata. Ale jeśli zwycięstwo tylko klajstruje coś, czego zlepić się nie da, to nie żadne zwycięstwo. To tylko coś w rodzaju rozejmu, w którym strony przygotowują się do kolejnej wojny. I tak właśnie było wtedy. Francja dostała po dupie i prędzej czy później musiało dojść do nowego

konfliktu, bo nikt nie wygrał pokoju. Owszem, Europa dostała czterdzieści lat *belle époque*, za którą zapłacić jej przyszło hekatombą wielkiej wojny.

– Ale wojna się skończyła i już ludzie nigdy nie będą tak głupi, żeby jeszcze raz dać się zapędzić do okopów.

– Pan jest optymistą, panie Gil, optymistą, który wierzy w ludzki rozum. A ja powiem panu, że mózg, w którym tkwi rozum, to najbardziej zawodna część ludzkiego organizmu. Nogi służą do chodzenia, ręce do chwytania, gęba do jedzenia, a mózg niby do myślenia. Tyle że o ile z chodzeniem zazwyczaj sobie radzimy bez problemu, o tyle z myśleniem już gorzej. Jeśli kto krzywo idzie, to od razu widzimy, że ma chorą nogę. Ale człowiek może być głupi jak but i tego niestety nie widać. Dlatego ludzi głupich z krzywymi rozumami łatwo zwodzą tacy sami jak oni głupcy, którzy im każą umierać w okopach nie wiadomo za co.

– Pan sam był w okopach – przypomniał mu Gil.

– Byłem i nie wiem po co.

– Może we Francji pan nie wiedział, ale u nas, w powstaniu, czy podczas wojny z bolszewikami?

– To było co innego. Trzeba było walczyć. Myśmy nie mieli innego wyjścia. Najpierw walczyliśmy o swoje miasto, o swój kawałek ziemi. Ale to nie była dobra wojna. Bo jak sam pan dobrze wie, biliśmy się ze swoimi dawnymi kolegami, sąsiadami, a nawet z własną rodziną. Bo to, co żeśmy mieli tutaj, w Poznaniu, to była najgorsza ze wszystkich wojen, wojna domowa. A ta druga z bolszewikami to była walka o wszystko. I myśmy dobrze wiedzieli, że jeśli nie zatrzymamy ich na Wiśle i nie wyrzucimy z Polski, to oni przyjdą tutaj do nas, do naszego Poznania. Więc musieliśmy pojechać na wschód, sprać im dupy, bo w ten sposób broniliśmy naszych rodzin, naszych sąsiadów i nawet tych naszych Niemców, bo gdyby nie my, to bolszewicy dziś by pili szampana w Berlinie i Paryżu, a pan, panie Gil, mógłby dziś być pracownikiem czerezwyczajki.

– Wojna, panie komisarzu, to wojna. Niezależnie od tego, o co się walczy, zawsze jest zła.

– Tu ma pan rację i dlatego za jakieś dwadzieścia lat znów pójdziemy się zabijać, bo głupi ludzie z krzywymi rozumami niczego

się nigdy nie uczą. Tak jak myśmy przegrali pokój po wojnie siedemdziesiątego roku, tak teraz, narzucając swoje warunki, Francuzi i Anglicy właśnie ten pokój przegrywają.

– A to niby dlaczego?

– Bo hodoją sobie niezadowolonych i upokorzonych Niemców. Wojna, panie Gil, nadejdzie, czy to się komu podoba, czy nie...

Fischer zamilkł zamyślony. Fajka z wiśniowym cybuchem, którą trzymał w zębach, dawno zgasła. Dym nie był mu potrzebny. Widać jego myśli musiały powędrować gdzieś na francuskie pola, gdzie spędził najstraszniejsze dwa lata swojego życia. Gil nigdy nie był na żadnej wojnie. Ale jak sam powtarzał, był od dawna weteranem, bo walczył od czterdziestu lat każdego dnia. „Moja wojna jest tu i teraz, na ulicach miasta, z bandziorami i złodziejami. Człowiek wychodzi z domu i nigdy nie wie, czy wróci”, lubił powtarzać. I teraz sobie o tym przypomniał. Górski poległ podczas tej codziennej wojny, która dzieje się tu i teraz.

Drzwi do biura otworzyły się i do środka wsunął się szczupły, nieogolony mężczyzna w szarym palcie i czapce cyklistówce na głowie. Nie miał krawata ani nawet koszuli. Spod płaszcza wystawała mu tylko biała, niezbyt świeża podkoszulka, na którą, zapewne w pośpiechu, nałożył marynarkę.

Za nim pojawił się o głowę niższy aspirant Pikuła. Dziś od rana jeździł dorożką i zwoził odpoczywających w niedzielę policjantów do pracy. Po Fischerze przyszła kolej na aspiranta Łodygę, którego przywiózł na jego własny komisariat. Ten chudy Łodyga, który swoim niechlujnym wyglądem nie zrobił zbyt dobrego wrażenia na podkomisarzu, był bezpośrednim przełożonym zabitego policjanta.

– Co to się stało i w zasadzie o co się rozchodzi? – zapytał Łodyga, wkraczając do pokoju. Nie wyjął nawet rąk z kieszeni, więc Fischer dostrzegłszy to, od razu postanowił, że nie będzie dla tego chamskiego typa miłym rozmówcą.

– Podkomisarz Fischer jestem. A pan, jak się domyślam, nazywa się Łodyga.

– Owszem, Łodyga Andrzej, aspirant policji...

– Siadaj pan, panie aspirancie. – Podkomisarz wskazał na krzesło zavalone papierami, które już zdążył wcześniej przejrzeć Gil.

– Panie Gil, zrób pan miejsce dla aspiranta, bo nie wie, gdzie sięść. Gil popatrzył najpierw na swojego szefa, potem na krzesło i uśmiechnął się pod nosem. Od razu wyczuł zmianę nastroju Fischera i dlatego bezbłędnie odgadł, jak powinien się zachować. Podszedł do krzesła i bezceremonialnie zrzucił stertę makulatury na podłogę. Łodyga już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale zdążył tylko z sykiem wciągnąć powietrze, bo Gil go uprzedził.

– Siednij se pan na dupie i posłuchaj, co pan komisarz ma do powiedzenia. A potem se pan będziesz mógł syczeć, ile dusza zapagnie.

– To oburzające, ja się poskarżę. – Aspirant zaczął syczeć jeszcze bardziej, ale Fischer nie zamierzał się z nim bawić.

– Pański podwładny Górski zgłaszał panu sprawę porwań dzieci, dokładniej dziewczynek?

– Co? Jakich dziewczynek?

– Panie Gil, co dokładnie mówił Górski?

– Powiadał, że zgłaszał do aspiranta Łodygi, a ten mu odpowiedział, że pewnie uciekły do Ameryki, a raport w tej sprawie to Górski ma se w sraczu powiesić, bo tylko do tego się nadaje.

– A to łajdak jeden. Na własnego pryncypała donosi. Niech jak go tylko dostanę...

– Już go pan nie dostanie w swoje ręce.

– A co, zabierzecie go sobie ze sobą do tej waszej Dyrekcji?

– Już za późno, choć widzę, że taki rozsądny policjant by się u nas przydał. Ale niestety nie weźmiemy go, bo już odszedł na wieczną służbę.

– Że co?

– Że gdybyś pan się zainteresował tym, co ma do powiedzenia, to być może by jeszcze żył.

– Jak to, na Boga, cóż się stało?

– Rano go znaleźli zabitego – wyjaśnił Gil niechętnie. Ten Łodyga drażnił go samą swoją gębą, nie mówiąc już o głupocie i braku kompetencji.

– Gdzie jest raport? – rzucił Fischer.

– A bo ja wiem? Zabrał go chyba...

– Do wychodka – odpowiedział wywiadowca.

– Broń Panie Boże. To był tylko taki żart. Wiecie, panowie...

– To idź pan teraz do siebie do pokoju i poszukaj pan tego raportu. Tyle że jak najszybciej, bo my w trybie natychmiastowym przejmujemy śledztwo pana Górskiego. Panie aspirancie Pikule, pan już zdążył polubić się w dorożce z panem Łodygą, więc niech pan z łaski swojej pójdzie z nim i pomoże mu w poszukiwaniach. Jakby trudno było znaleźć ten raport, to zajrzyj pan do kibla...

– Właśnie sobie przypomniałem, że on jest chyba jeszcze u mnie. – Łodyga, który nagle nabrał ochoty do pomocy, zerwał się z krzesła. Poszukam i przyniosę.

– Ależ nie będziemy szanownego pana fatygować. Niech pan odda raport panu Pikule. Pan pójdzie z panem aspirantem. – Fischer skinął ręką na młodego. Ten wyprężył się jak na placu apelowym i brakowało tylko, żeby zasalutował. Ale nie miał na głowie służbowej czapki.

– A, jeszcze jedno, panie Łodyga. – Obaj wychodzący zatrzymali się w drzwiach. Łodyga spojrzął za siebie na tkwiącego za biurkiem Fischera. – Niech pan poda naszemu młodemu koledze adres domowy Górskiego. Trzeba by się tam wybrać. Miał żonę, dzieci?

– Adresu zaraz poszukam, ale żona i dzieci? To ja niestety nie wiem. Nie wnikam w prywatne życie moich ludzi. Rozdzielamy pracę i służbę, żeby te dwa obszary...

– No to dzisiaj się już rozdzielić nie da, panie Łodyga, bo pański człowiek poległ na służbie i być może kogoś osierocił.

– Żona i trójka dzieciaków – rzucił Gil. – Adres niepotrzebny. Ja sam tam trafię, panie komisarzu.

Gdy dowódca zabitego policjanta wyszedł, a młody aspirant zamknął drzwi, Gil podszedł do krzesła, z którego wcześniej zrzucił teczkę z dokumentami.

– Był chłop i nie ma chłopca, ino papiery po nim zostały.

– O to właśnie idzie! Notes, panie Gil. Najważniejszy jest notes. On zanim sporządził raport, gdzieś to wszystko musiał notować. A ja tu żadnego notatnika nie widzę. A każdy dobry szkieł ma przecież swój, bez tego ani rusz.

– To znaczy, że albo jest w domu, albo zabrali mu go ci, którzy go zabili.

Fischer przypomniał sobie o swojej fajce. Wyciągnął więc z kieszeni pudełko z tytoniem i zaczął nabijać cybuch palcem wskazującym. Nie używał do tego celu żadnego drewnianego kołka czy metalowej szpatułki. Robił to dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy się uczył palenia tytoniu w okopach we Francji. Kiedy fajka była gotowa, zaczął przeszukiwać kieszenie. Gil był jednak szybszy. Podał mu pudełko swoich zapalek z kolorową etykietką, przedstawiającą górala w ludowym stroju.

– Pan o coś chciał zapytać, aleśmy się zagadali o tych wszystkich wojnach. – Naraz przypomniał sobie Gil.

– Tak? – zdziwił się Fischer, który zdążył już zapomnieć nie tylko o pytaniu, ale i o wszystkich wojnach, o których niedawno rozmawiali. Jak prawdziwy policjant poczuł bowiem świeży trop, którego za nic nie chciał zgubić. – A o co to ja się pytać chciałem...?

– Zapytał się pan komisarz, jak długo pracuję w policji – spróbował mu pomóc Gil.

– A właśnie, bo tak mi po głowie chodzi od jakiegoś czasu. Powiedz pan, czemu w Poznaniu i okolicy na policjantów mówi się szkieły.

Gil podrapał się po łysiejącej głowie, zmarszczył brwi, jakby się intensywnie zastanawiał, ale po chwili uśmiechnął się szeroko.

– Wszystko przez żandarmów pruskich, panie komisarzu.

– To znaczy?

– Żandarmi jeszcze przed tą wojną z Francją mieli takie granatowe mundury i na nich srebrne guziki. Dwa rzędy guzików. No i te guziki polerowali, żeby ładnie wyglądały. No i one na słońcu świeciły się jak psu jajca, błyszczały jak szkło, tak że złodzieje już z daleka widzieli, że idzie żandarm, bo świecił jak flaszką od wódki. No i tak od tego szklanego blasku mamy szkiełów do dzisiaj.

– Kto by przypuszczał? – Fischer wyciągnął z ust fajkę i wytrzepał popiół do szklanej popielniczki. Trzeba było się brać do roboty.

[19] Gemela (gwar.) – bałagan.

[20] *Vaterland* (niem.) – ojczyzna.

[21] Wygogolony (gwar.) – za lekko ubrany.

[22] Bana (gwar. z niem.) – pociąg.

[23] Sznylcug, sznelcug (gwar. z niem.) – pociąg pośpieszny.

Rozdział VI

Godzina 8.30 wieczorem

Kobieta, zakrywszy dłońmi oczy, siedziała pochylona nad stołem kuchennym. Gil usiadł naprzeciwko i patrzył na Górską, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Nie nadawał się na pocieszyciela. Na fraszunek dobry trunek, z takiego wychodził założenia. I początkowo nawet pomyślał, że Górską powinna się czegoś napić. A nawet jeśli nie ona, no to on sam potrzebował dziś jakiejś butelczyny.

– Jak to się stało? – zapytała po kilku minutach trwania w tym katatonicznym skuleniu. Dopiero po chwili do Gila dotarło, że kobieta mówi coś do niego.

– Co?

– Jak to się stało? Kto go zabił?

– Nie wiem, pani Górską. Nikt nie wie. Przyszedłem ino po to, żeby pani o tym powiedzieć, żeby nie wysłali do pani jakiegoś szuszwola z komisariatu. Ja jego w końcu znałem od dawna, to mnie się widziało, że lepiej będzie, jak ja sam przyjdę, ale teraz widzę, że chyba niedobrze zrobiłem.

– Czemu?

– Bo ja nic nie wiem. Wiem tylko, że zabity. Pójdę już...

Wstał od stołu. Kobieta też się poderwała.

– Nie, niech pan poczeka.

Otarła zaczerwienione, mokre oczy fartuchem.

– Myślałam, że gdzie poszedł i się zaraz wróci. Jak usłyszałam kroki na schodach, to sobie nawet pomyślałam, że to on właśnie idzie. Niekiedy się zdarzało, że był na jakiejś akcji, to i ze dwa dni go nie widziałam.

– Taka robota – potwierdził Gil.

– Ale jak pana zobaczyłam, to zaraz wiedziałam, że jest coś nie tak. Ale żeby zabity?

– Zabity.

– I co ja teraz mam robić?

– Że niby jak?

– Z czego mam żyć? Ja nie pracowałam, bo musiałam się opiekować dziećmi. Zresztą jak by to wyglądało, żeby żona policjanta chodziła do roboty. No i teraz będę musiała iść do pracy. Gdzie ja jaką posadę znajdę?

Mówiła szybko, skarżąc się na swój los, a Gil czuł się tak, jakby sam był temu wszystkiemu winny. Coraz bardziej był przekonany, że niedobrze zrobił, przychodząc tu z tą złą nowiną. W końcu Górski to nawet nie był jego przyjaciel. Ot, kolega, z którym przepracował ładnych kilka lat. Ale tam, na komisariacie, się wyrwał i już nie było innej możliwości. Musiał tu przyjść. Wszystko przez tego cholernego Łodygę. To jego cholerna wina. Bo gdy pomyślał, że taki ćwok miałby przyjść tutaj i mówić Górskiej o śmierci męża, poczuł, że nie wolno mu do tego dopuścić.

– Niech pan usiądzie – powiedziała spokojnym, ale stanowczym głosem. Gil przestraszył się tej stanowczości więc usiadł posłusznie.

– Zaraz przyjdę – stwierdziła i wyszła z kuchni. Policjant dopiero teraz zaczął się rozglądać po pomieszczeniu. Kuchnia była całkiem obszerna i bardzo czysta. Pod ścianą stał pomalowany na biało stół, przy którym właśnie siedział. Pod nim naliczył cztery białe taborety. Dalej, idąc w kierunku okna, był biały kredens z oszklonymi drzwiczkami w części górnej, w której przechowywało się porcelanę.

Pod drugą ścianą, na wprost stołu, stał westfalski stalowy piec z czterema fajerkami. A tuż obok nieco mniejszy stolik z górnym i dolnym blatem. Ten służył do przygotowywania posiłków i przechowywania garnków. Okno na wprost wychodziło na obszerny plac Wroniecki. Było już dość późno, ale jeszcze dzień całkiem się nie skończył, więc do środka wpadało nieco światła.

Gil, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, sięgnął po papierosy. Palenie było najlepszym zajęciem, kiedy się nie miało żadnego pomysłu.

– Już jestem – odezwała się Górska zza jego pleców. Odwrócił się gwałtownie. W ręce trzymała butelkę wódki, a pod pachą coś, co wyglądało jak album na zdjęcia. Postawiła butelkę przed Gilem.

– Tu są fotografie – wyjaśniła, kładąc album na stole. – Powiadałam mu, że to go zabije, ale nie myślała, że tak właśnie będzie.

– Że co? Ten album od zdjęć go zabije?

– Nie album. To, co w nim jest. To, o czym nie chciał zapomnieć.

Gil nie mógł zrozumieć, o co chodzi kobiecie. Być może po tym, jak się dowiedziała, że jej mąż nie żyje, najzwyczajniej w świecie zwariowała? zastanawiał się policjant. Przypadki nagłego popadnięcia w obłąd zdarzały się wśród wielu ludzi. Kiedyś nawet czytał o tym w „Kurierze Poznańskim”, że ludzie wariują ze strachu albo z tęsknoty. No więc może ona jest już kompletną wariatką?

Postawiła na stole dwa kieliszki z grubego, rżniętego szkła.

– Dziękuję, że pan przyszedł. Nie wiem, co bym zrobiła, jakby tu przyszedł kto obcy i by mnie zostawił z myślami. Bym chyba zwariowała. A tak jest tu pan, kolega Alfreda.

Wyciągnęła korek i rozlała wódkę.

– Wypijmy. – Uniosła kieliszek i nim Gil zdążył chwycić drugi, ona opróżniła już swój.

– Niech pan otworzy, śmiało. – Wskazała na album. Zobaczysz pan wszystko.

Posłusznie otworzył, zapominając o wódce.

– A teraz niech pan wypije – przypomniała mu.

Wypił. Znowu naląła. Gil udawał, że ogląda zdjęcia, ale kątem oka obserwował kobietę. Jeszcze nie widział, żeby któraś tak piła. Pierwszy kieliszek pochłonęła bez zmrużenia oka. Z drugim zrobiła to samo. No i to go ostatecznie upewniło, że Górska zwariowała kompletnie. Dowodem dodatkowym był ten album, w którym jakieś bezimienne postaci w ubraniach z czasów, kiedy on zaczynał pracę w policji, patrzyły na niego z wyrzutem, tak jakby chciały powiedzieć mu, że jest obcy, więc nie ma prawa oglądać ich zastygłych w sepii twarzy.

– To nie tutaj. Dalej niech pan otworzy. – Machnęła ręką, zauważywszy, że przygląda się jakiemuś jegomościowi w kożusku

i rogatywce. – To dziadek Jeremiasz, który walczył w powstaniu styczniowym. Ale to nie o niego się rozchodzi.

– A o kogo?

Chwyliła album i przerzuciła kilka kartek.

– O, tutaj, niech pan spojrzysz. – Dotknęła palcem fotografii.

– Mamusiu! – zawołało dziecko za ścianą, a Górska natychmiast zerwała się z krzesła, by zniknąć za drzwiami prowadzącymi do sąsiadującego z kuchnią pokoju.

Gil tymczasem wpatrywał się w zdjęcie przedstawiające dwójkę siedmio-, ośmioletnich dzieci. Chłopiec ubrany był w szkolną marynarkę, krótkie spodenki i okrągłą czapkę z daszkiem na głowie. Dziewczynka była również w stroju szkolnym, sukience za kolana, na którą nałożony był czarny fartuszek. Jej głowę ozdabiał beret.

Policjant nadal niczego nie mógł zrozumieć. Obejrzawszy dokładnie obie postaci, skupił się na ich twarzach. Było i w jednej, i drugiej coś znajomego. Nie miał jednak pojęcia, co to jest. To tak jakby zobaczyć kogoś na ulicy przez chwilę i pozostać z tym dziwnym uczuciem, że skądś zna się tę osobę, ale za nic nie da się dopasować jej do jakiegokolwiek rzeczywistości, nie mówiąc już o takim szczególe jak imię i nazwisko...

Naraz Gil poczuł, że jest blisko. Te dwie twarze, chłopca i dziewczynki, wyglądały tak, jakby należały do jednej osoby. Bezwiednie sięgnął po butelkę wódki, nalał sobie kieliszek i wypił dla rozjaśnienia umysłu. I naraz doznał olśnienia. Te dzieci z fotografii były bliźniakami. Dziewczynka i chłopiec byli podobni do siebie jak dwie krople wody. I jeszcze jeden szczegół. Obie twarze przypominały martwego policjanta Górskiego.

– To jego siostra – odezwała się wdowa, wchodząc z powrotem do kuchni. – To przez nią to wszystko.

– Jak przez nią? To ona go zabiła? – Policjant Gil odwrócił się, by spojrzeć na kobietę. Na jej twarzy malowała się pewność.

– Gdyby nie ona, pewnie żyłby dalej, ale on sobie postanowił, że ją znajdzie. Przez całe życie jej szukał. I zatracił się w tym szukaniu. Bo chciał pomóc wszystkim tym biednym istotom.

I dopiero w tym momencie dotarło do Gila, co chciała mu powiedzieć. Przypomniał sobie rozmowę, którą odbył w Dyrekcji

Policji z młodym, zaczynającym właśnie pracę, wywiadowcą Alfredem Górskim.

Gil miał nad nim sprawować opiekę i wdrażać go do obowiązków. Jako że był już dość doświadczonym policjantem z długim stażem, najczęściej przydzielano mu pod komendę młokosów – Polaków, żeby mógł pokazać im wszystkie polskie ścieżki, którymi mogli poruszać się przestępcy.

– Po co żeś przyszedł do policji? – zapytał wtedy Górskiego, nie mając względem niego jakichś specjalnych zamiarów. Ot, kierowała nim zwykła ciekawość.

– Bo chcę łapać przestępców – odpowiedział hardo młodzieniec.

– I co, będziesz ich zakuwał w kajdany?

– Jak trzeba, to będę.

– A strzelać będziesz?

– Jak kto będzie miał broń, to będę strzelać.

– A ty wiesz, że nasza praca to wcale nie gonienie za bandziorami, ale godziny siedzenia i słuchania tego, co ludzie mówią?

– Lepiej siedzieć i słuchać w knajpie, niż nosić wiadra z piaskiem w porcie.

– I tu masz całkowitą rację. Ale coś mi się zdaje, że przyszedłeś tu wcale nie dlatego, że nie chce ci się nosić ciężarów. Mnie możesz powiedzieć – spróbował go skłonić do zwierzeń.

– To przez siostrę.

– Siora ci kazała iść do policji?

Chłopak pokręcił głową.

– Moja siostra zniknęła. Dziesięć lat temu zniknęła i nikt jej więcej nie widział. Wyszła z domu i koniec, ani śladu.

– Może uciekła z domu? – Gil powiedział to, co w pierwszej chwili pomyślałby każdy. W końcu dzieci uciekają z domów od zawsze.

– Ona nie uciekła.

– Skąd wiesz?

– Bo to jest moja siostra bliźniaczka. My jesteśmy jak jedna dusza w dwóch ciałach. Jakby chciała coś zrobić, tobym o tym wiedział. Nikt inny nie wiedziałby nic, a ja bym wiedział.

– I chcesz ją odnaleźć?

– Odnajdę ją prędzej czy później, ale w policji chcę robić wszystko, żeby nikt więcej nie ginął bez wieści.

– To ci się, chłopaku, tak łatwo nie uda.

– Przynajmniej spróbuję.

Wtedy nie zwrócił większej uwagi na tę rozmowę. Zapamiętał, że chłopakowi zginęła siostra, i tyle z niej wyniósł. Przez lata stykali się ze sobą, raz częściej, raz rzadziej, współpracowali przy różnych sprawach i wtedy chodzili razem na wódkę, ale Gil nie przypuszczał, że jego kolega cały czas ugania się za zaginionymi dziećmi. Nawet ostatnio, gdy spotkali się przypadkowo w ratuszu, też nie skojarzył faktów. Gdy Górski powiedział mu, że ktoś porywa dzieci, pomyślał, że to jakaś niezbyt ważna sprawa, i kazał mu pójść z nią do Fischera tak naprawdę po to, żeby samemu zdjąć sobie problem z głowy. A tu nagle okazuje się, że chłop zostaje zabity. Może ta śmierć związana była z czymś zupełnie innym, choć ten dowódca Górskiego, Łodyga, nie potrafił wskazać żadnej sprawy, przy której pracował policjant, a która mogłaby nieść jakieś zagrożenie.

– To jest jego notes. – Górski wyciągnęła z szuflady stołowej grubego zeszytu w czarnej obwolucie. Nie podała go jednak policjantowi. Przez chwilę ze zdziwieniem patrzył, co robi. Ona tymczasem powoli i ostrożnie wzięła się za zdejmowanie okładki.

– Owijka ze skóry – stwierdziła. – Kupiłam mu ją w prezencie. Przyda się dzieciakom do szkoły. Szkoda by było stracić, a jak dam panu kajet, to już może do nas nie wrócić.

Naraz zza obwoluty wypadła jakaś niepozorna karteczka – bilet wizytowy. Kobieta spojrzała na nią, a potem przyłożywszy palec, przesunęła ją w kierunku Gila. Ten musiał unieść bilet, by przeczytać, co tam jest napisane, bo wzrok do czytania miał już nie najlepszy, a okularów nie chciał sobie zamawiać, bo wydawały mu się starym atrybutem, a on jeszcze czuł się młodo.

Salon dla panów z wyższych sfer

u madame Alouette

przy ulicy Wielkie Garbary 56

Najlepsza obsługa wszystkich zmysłów

Przeczytawszy, odłożył bilet na stół. Przez chwilę miał wrażenie, że gdzieś już widział taką wizytówkę. Ale kto by pamiętał o takich szczegółach. Trzeba będzie tam pójść i pogadać z właścicielką, może kobieta coś wie? pomyślał i zaraz spojrzął na wdowę. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– On nie z tych, pani szanowna. On nie z tych – powtórzył dla podkreślenia wagi tego, co powiedział.

– Ja wiem – odparła cicho, a w jej oczach znów pojawiły się łzy. Gil włożył wizytówkę do brulionu. Już chciał go zamknąć, ale jego uwagę przykuł ostatni wpis.

So. 8 kw. G. 11 w, spo. „Bursz z blizną” u A

Cholera, jakiś pieprzony szyfr, pomyślał i zniechęcony zamknął notes. Nie przepadał za szyframi, bo nigdy nie udało mu się żadnego odczytać.

– Pójdę już. – Skinął jeszcze głową na pożegnanie i ruszył w kierunku drzwi. Nie poszła za nim, nie odprowadziła go nawet spojrzeniem. Nalała sobie wódki i wypijała.

Godzina 9.15 wieczorem

Teczka wyglądała całkiem niepozornie. Szara z dwoma tasiemkami, które ktoś starannie związał na kokardkę. Nic nadzwyczajnego w sobie nie miała i nawet w miejscu, w którym wpisuje się zazwyczaj jakiś tytuł albo nazwisko osoby, której dotyczą dokumenty, nie było nic. Mimo to była opasła i zawierać musiała w swoim wnętrzu sporo różnych papierów. Tolek początkowo nie miał zamiaru w ogóle w niej grzebać. Otworzył tylko tę teczkę, zajrzał do środka, stwierdził, że wewnątrz są jakieś dokumenty, i związał na powrót tasiemki. Co go obchodziły jakieś papiery, w dodatku pisane po niemiecku?

– A to będzie na podpałkę w piecu – stwierdził nonszalancko, odkładając teczkę na okienny parapet. W końcu kto by się chciał zajmować papierami, skoro w dwóch walizkach nieżywego Niemca było sporo znacznie ciekawszych rzeczy, poczynając od porządnej

bielizny, przez kilka par spodni, koszul, krawatów, butów, aż po przybory toaletowe, szczotki i nawet pomady do włosów. Było tam więc wszystko, co elegancki mężczyzna posiadać powinien. Jeden, a nie kilku. Dlatego Tolek jako szef bandy podjął decyzję, że nie będzie się tym dzielił z chłopakami. Młodzi dostaną wielką paczkę cukierków i kilka tabliczek czekolady, które znalazł w największej z walizek. Dwaj starsi Kaźmierczakowie będą musieli się zadowolić dużym kufrem i może dwiema parami spodni. Resztę postanowił zatrzymać dla siebie.

Za to, co wycierpiał od tego gnojka, to i tak było za mało, tłumaczył sam sobie. I tak mógł czuć satysfakcję, bo nie dość, że będzie od jutra golił się jego brzytwą i nosił jego krawaty, to jeszcze będzie to robił ze świadomością, że ich dawny właściciel leży sztywny w trumnie, co mu się słusznie od lat należało.

Doskonale pamiętał wściekłą twarz porucznika Heinza Josepha Langsdorffa, gdy musiał stać przed nim na baczność.

- A co ty sobie myślisz, śmierdzący gównem gnoju, że ja będę z tobą w ogóle dyskutował? Ty jesteś od wykonywania rozkazów jak dupa od srania. A spóźnienie się na zbiórkę w warunkach wojennych to przestępstwo. Bo jeśli się spóźnisz na froncie, na który niedługo trafisz, to ktoś przez ciebie może zginąć, ty worku do gówna!

Spóźnił się, bo ktoś z zewnątrz zablokował drzwi od blokhausu jego drużyny. On i jego koledzy musieli biec. Zajęło im to prawie pięć minut. Ten ktoś musiał to zrobić celowo, domyślił się Tolek, patrząc hardo w oczy oficera. Pomyślał nawet przez chwilę, że może powinien unieść karabin, który trzymał przy nodze, i uderzyć z całej siły kolbą w ten wściekły oficerski ryj. Ale wtedy nic by nie zyskał. Postawiono by go natychmiast przed sądem polowym i zapewne rozstrzelano za podniesienie ręki na oficera albo bunt. Był na straconej pozycji i dlatego postanowił zdusić w sobie wściekłość i wykonać rozkaz. Pobiegł więc w pełnym rynsztunku z karabinem uniesionym nad głową wokół twierdzy, meldując się na każdym posterunku obserwacyjnym, by dyżurni mogli przekazać do centrali za pośrednictwem telefonu wiadomość, że ukarany żołnierz zaliczył

kolejny odcinek trasy biegu. On tymczasem biegł i z każdym krokiem powtarzał sobie jak mantrę, że jego oprawca prędzej czy później odpowie za swoje podłe czyny.

W twierdzy Boyen, położonej na przesmyku między mazurskimi jeziorami, tuż przy miejscowości Lötzen[24], Tolek służył od sześciu miesięcy i wiedział dobrze, że ma tu jak u Pana Boga za piecem. Wojna trwała już ponad trzy i pół roku. Na wschodzie, zachodzie i południu toczyły się walki i ciągle ginęli ludzie, podczas gdy tu nie działo się nic. Mówiło się nawet, że Bóg śpi na Mazurach. Żołnierze się szkolili, pilnowali magazynów wojskowych, patrolowali okolice i nudzili się jak diabli.

Szef kompanii, w której służył Tolek, był Polakiem z Poznania. Nazywał się Franciszek Nowaczyk i co ważne, podobnie jak Grubiński, pochodził z Chwaliszewa. Nie byli co prawda kolegami, ale znali się z widzenia z przedwojennych czasów. Najbliższy kumpel Nowaczyka, szef aprowizacyjny jednostki Kuntze, był Niemcem z Bawarii. Obaj doskonale się ze sobą dogadywali i prowadzili wspólnie nielegalne interesy. Zarabiali pieniądze na wszystkim, na sprzedaży wojskowych racji żywnościowych, mundurów, a nawet broni. Przez ich ręce przechodziło wszystko, co dało się sprzedać, i oczywiście to, co można było kupić. Dzięki ich pomysłowości oficerowie z twierdzy mieli zawsze dostęp do dobrych wódek, koniaków i likierów, najlepszych cygar, a nawet francuskiego szampana. Współpracowali też z miejscowym burdelem oficerskim, zaopatrując go w niezbędne w tym interesie alkohole, dzięki czemu korzystający z usług pańienek oficerowie mogli liczyć na poważne zniżki.

I pewnie wszystko układałoby się dalej pięknie jak w bajce, gdzie wszyscy byliby szczęśliwi i zadowoleni do samego końca wojny, gdyby nie porucznik Langsdorff, wrzód na dupie całej armii, jak go zaraz po pojawieniu się w twierdzy nazwał Tolek.

Nowy oficer przybył tu pod koniec szesnastego roku i zamiast docenić ciszę i spokój zapomnianego garnizonu, zaczął wprowadzać koszarowe metody wychowania szeregowców. Do zwyczajnych i rutynowych obowiązków dołożył dodatkowe zajęcia z musztry,

ćwiczenia biegowe w pełnym rynsztunku, a nawet nocne dwudziestokilometrowe marsze.

Nie to jednak było najgorsze, bo wiadomo, że żołnierz na tyłach zniesie wszystko, byleby tylko nie wysyłali go na front. Najgorsze było to, że Langsdorff wprowadził system kar dla najgorszych żołnierzy, którego zwieńczeniem była kara najdotkliwsza, czyli przeniesienie do Francji albo Rosji. W ciągu kilku miesięcy służby w Boyen porucznik wysłał na front kilkunastu ludzi. I wtedy miarka się przebrała, bo na kolejną ofiarę, która lada moment mogła się spodziewać przeniesienia, upatrzył sobie Tolka Grubińskiego.

A on wcale nie miał ochoty ginąć za cesarza i *vaterland*. Dlatego poszedł do swojego znajomka Nowaczyka.

– Słuchaj, Franc, on chce mnie zabić – poskarżył się poznaniakowi.

– Tak to już jest na wojnie, że ludzie chcą cię zabić. Nic na to nie poradzisz.

– No ja to rozumiem, ale jak mnie chcą zabić wrogowie, to jest normalne. Ale jak chce mnie zabić mój własny dowódca, to coś jest nie w porządku.

– No niby tak. – Nowaczyk siedział przy stole, palił fajkę i jednocześnie jadł pajdę chleba grubo posmarowaną smalcem ze skwarkami. Przed nim stała butelka piwa. Widać, że tu, na zapleczu wojskowej piekarni, w jego pokoju biurowym, w którym załatwiał wszystkie papierkowe sprawy, jest mu dobrze jak w niebie. – Dowódca powinien chronić swoich ludzi, a nie ich zabijać. A może to tego kutasa powinno się wysłać na front, żeby zobaczył, jak tam jest? – powiedział szef kompanii, tak jakby się właśnie zastanawiał nad tą ciekawą możliwością. Tolek poczuł natychmiast, że serce mu zadrżało.

– Gdyby tego gnoja tu nie było, to wszyscy by mieli spokój.

– No dobra, to w takim razie słuchaj. – Nowaczyk wskazał Tolkowi taboret przy stole, a gdy chłopak usiadł, nachylił się i zaczął mu szeptać do ucha.

Następnego dnia Grubiński zameldował się u porucznika z donosem.

– No co, zasrańcu, tak żeś się przestraszył tego, że wylądujesz we francuskich okopach, że postanowiłeś się wykupić?

- Tak jest, panie poruczniku. Nie chcę niepotrzebnie ginąć.
- Masz rację, nikt by nie chciał, ale to jest wojna i nic się na to nie poradzi. Jak jest wojna, to ludzie giną.
- Ale mogą ginąć inni.
- I tu masz całkowitą rację. Więc co chciałeś mi powiedzieć?
- Chciałem powiedzieć, że dwaj żołnierze idą dziś bez przepustki na wesele się zabawić.
- E, za to dostaje się najwyżej tydzień ścisłego.
- Tak jest, jak idzie zwykły szeregowiec, ale jak idzie ktoś znaczniejszy?
- A kogo masz na myśli?
- Melduję, że Kuntzego i Nowaczyka.
- Co, nie przesłyszałem się? Ci dwaj idą na lewiznę?
- Tak jest, podsłuchałem ich rozmowę. Idą się zabawić dziś w nocy.
- A to gnoje. Zamiast świecić przykładem, postanowili zdezerterować! – stwierdził głosem pełnym radości. Widać już układał sobie w głowie treść raportu, który zamierzał złożyć na złapanych na gorącym uczynku podoficerów.
- Wiesz dokładnie, w której wsi?
- Tak jest, melduję, że tu niedaleko, w Willkassen.
- No to my już im urządzimy powitanie. Pójdiesz ze mną i złapiemy ich na gorącym uczynku. A, i jeszcze jedno. Od dziś będziesz moimi oczami i uszami. Będziesz mi meldował o wszystkim, co dzieje się w koszarach, a ja zastanowię się, czy odsyłać cię na front czy zostawiać tutaj. Rozumiemy się?
- Tak jest, panie poruczniku! – Tolek zasalutował i uśmiechnął się od ucha do ucha szczerze i radośnie, jak żołnierz, któremu właśnie darowano życie.

Akcja pojmania dezertersów udała się wyśmienicie. Dom weselny został otoczony nad ranem przez drużynę żołnierzy pod dowództwem porucznika Langsdorffa. Zza biesiadnego stołu wojacy wygarnęli jak pisklęta z gniazda nie tylko dwóch, ale dodatkowo jeszcze trzech kompletnie pijanych żołnierzy w podoficerskich mundurach. Wszyscy byli tak spici, że z żadnym z nich nie dało się porozmawiać. Zresztą porucznik nie miał ochoty na rozmowy z takimi armijnymi

zakałami. Kazał ich wrzucić związanych na wóz, który żołnierze wytoczyli z chłopskiej stajni, i zawieźć całą piątkę wprost do aresztu.

Następnego dnia już o siódmej rano Langsdorffa obudził podoficer służbowy z rozkazem natychmiastowego stawienia się przed obliczem samego komendanta twierdzy. Trochę się zdziwił, że komendant każe mu się meldować nie w swoim gabinecie, ale wprost w areszcie. Pomyślał jednak, że ktoś życzliwy powiedział komendantowi o nocnej akcji i ten postanowił na własne oczy przekonać się, jakie przyniosła efekty.

Pobiegł więc czym prędzej i gdy znalazł się na miejscu, adiutant komendanta wskazał mu na w pół otwarte drzwi do celi.

– Czyżby generał-komendant już zaczął sam przesłuchanie? – zapytał konfidencjonalnym tonem.

Kapitan nic nie odpowiedział, tylko jeszcze raz wskazał drzwi. Porucznik poprawił mundur i wkroczył do środka.

W celi śmierdziało tytoniem, ludzkim potem, przetrawionym alkoholem i czymś jeszcze, czego Langsdorff nie potrafił nazwać. Ale wkrótce miał się przekonać, że tak właśnie śmierdzi strach.

Siedzący na aresztanckiej pryczy generał wyglądał jak... zwykły aresztant, w białej koszuli i wojskowych spodniach bez butów. Pozostali czterej zatrzymani wyglądali dokładnie tak samo. Od razu zrozumiał swój błąd. Spozrzegł, że prócz generała rozpoznaje jeszcze dwóch pułkowników i dwóch podoficerów. Oficerowie i jeden podoficer patrzyli na Langsdorffa, jakby go chcieli zamordować, ale jeden podoficer, ten o nazwisku Nowaczyk, uśmiechał się do niego radośnie.

Następnego dnia porucznik Langsdorff opuścił twierdzę Boyen, wyjeżdżając na front do Francji. Tolek Grubiński natomiast dożył spokojnie w twierdzy końca wojny.

Jeszcze przed długie miesiące żołnierze przy piwie opowiadali piękną historię, jak to pewien nadgorliwy oficer chciał chwycić dezertersów, a złapał kompletnie pijanego komendanta.

Ktoś zagwizdał głośno na zewnątrz. Tolek podniósł się z hotelowego łóżka i podszedł do okna. Na dworze było już ciemno, jednak wyraźnie było widać sylwetki dwóch ludzi, których zarysy postaci

wydobywał płomień świeczki. Tolek gwizdnął i świeca natychmiast zgasła. Jego dwaj młodzi pomocnicy zajęli miejsce na posterunku pod oknem. Nie było czasu do stracenia. Kufer Langsdorffa został spuszczonej w dół na sznurze od prania, który godzinę wcześniej przyniósł do hotelu Zenuś. Gdy w ślad za pierwszą przesyłką miała powędrować walizka, spojrzenie Tolka padło na opasłą teczkę, która nadal leżała na parapecie.

Niby te flepy do niczego niepotrzebne, ale... po co zostawiać ślad? pomyślał i szybko włożył teczkę do walizki, którą zaraz odprawił w dół. Teraz pozostało mu tylko wyjść z hotelu już zupełnie normalną drogą, tą, którą pokonuje każdy przyzwoity gość. Założył więc palto, kapelusz i chciał ruszać, gdy naraz popatrzył na łóżko ze sprężynowym materacem. Myślał tylko przez sekundę i błyskawicznie podjął decyzję. Chwycił materac, poniósł go do okna i wyrzucił na zewnątrz.

Jak chłopaki mają jaja, to takiego skarbu nie zostawiają. Spojrzał w dół, ale nic nie było widać. Zamknął więc okno i obrzuciwszy jeszcze raz pokój spojrzeniem, jakim bada opuszczane miejsce uważny lokator, wyszedł na korytarz.

Godzina 10.00 w nocy

W Willi Flora przy ulicy Grunwaldzkiej od lat mieściło się bardzo popularne w wyższych kręgach kasyno. Jak co dzień o tej porze panował tu spory ruch, choć ten niedzielny znacznie różnił się od tego w tygodniu. W wolne dni do Poznania zjeżdżali bowiem ludzie z prowincji, właściciele ziemscy, dzierżawcy i lokalni urzędnicy. W tygodniu natomiast do kasyna zaglądali miejscowi miłośnicy kart i ruletki, zasilani przez gości wytwornych hoteli, którzy musieli w Poznaniu zostać nieco dłużej i odczuwali nieodpartą potrzebę wieczornej rozrywki.

Fischer nie należał do ludzi, którzy emocjonowaliby się hazardem. Nie grał ani w karty, ani nie obstawił numerów ruletki. Patrzył na rozpędzoną kulkę z pewnym zainteresowaniem badacza, którego fascynował sam dookólny ruch, prędkość i siła bezwładności.

Wylosowana w ten sposób liczba była dla niego tylko konsekwencją wzajemnie oddziaływających na siebie siły odśrodkowej, grawitacji i pędu. Za to jego kolega, kapitan Mikołajewski, grał z dużą przyjemnością, do tego jeszcze emocjonując się każdą partią.

– *Rien ne va plus!* – oznajmił głośno krupier, zakrećwiwszy kołem od rulety i puszczając w ruch kulkę. Kapitan, a właściwie w tej chwili już według papierów kapitan w stanie spoczynku i jednocześnie prezes Poznańskiego Zrzeszenia Kółek Rolnych i Gospodarskich, zacisnął kciuki, czekając, aż kulka wpadnie w odpowiednią szczelinę. Obstawił zachowawczo czarne, więc szansę miał jak jeden do dwóch.

– *Douze rouge* – stwierdził prowadzący grę szczupły mężczyzna, gdy koło wreszcie się zatrzymało. Nad stołem uniósł się jęk zawodu. Nikt nie obstawił dwunastki, a zaledwie trzy osoby obstawiły czerwone. Mikołajewski patrzył z obojętną miną, jak jego dwa sztony o wartości każdy po pięćdziesiąt dolarów zabierają krupierskie grabki. W kasynie ze względu na niepewny los polskiej i niemieckiej waluty, które traciły na wartości, obstawiało się w dolarach. Straciwszy po raz drugi dzisiejszego wieczora sto dolarów, prezes Kółek Rolnych, do którego jeszcze nie należało żadne kółko, postanowił przestać grać i zająć się bardziej przewidywalnymi od obstawiania wygranych sprawami.

– O, patrzcie się państwo, jak to w życiu bywa – zwrócił się z uśmiechem do Fischera. – Nie dalej jak w czwartek wygrałem tu dwieście dolarów za jednym obstawieniem. Postawiłem wtedy sto na czarne i podwoiłem sumę. A dziś chciałem postawić znów na czarne, ale ta sztuka już mi się nie udała.

– Trzeba było postawić na dwunastkę – stwierdził policjant.

– Trzeba było, trzeba... Gdyby człowiek był prorokiem, nie byłby biedakiem. A wiesz, że nawet przemknęła mi przez głowę myśl o dwunastce właśnie.

– Trzeba było zaufać intuicji.

– O właśnie, intuicja to ta niezwykła siła, która niekiedy trafnie podpowiada nam, co robić, ale właściwie musimy odczytać wówczas sygnał, który nam daje. Mnie na przykład mówi teraz, że może warto by było coś przekąsić. A co mówi twoja?

– Moja mówi, że trzeba by pogadać.

– O to się rozchodzi. – Mikołajewski klepnął kolegę w ramię i ruszył do stolika, który zarezerwował wcześniej telefonicznie. Gdy tylko na biurko dostarczono mu informacje na temat Niemca o nazwisku Langsdorff, uznał, że nie ma co czekać i trzeba jak najszybciej spotkać się z Fischerem. Willa Flora była ulubionym miejscem ich spotkań. Fischer miał tu dosłownie dwa kroki pieszo z domu, a Mikołajewski, który mieszkał w samym centrum, na placu Nowomiejskim, dorożką mógł tu dojechać w kwadrans. Poza tym tutejsza restauracja słynęła w mieście z wyśmienitej kuchni, więc spotkanie robocze w sprawach zawsze odbywało się przy suto zastawionym stole.

– Sprawdziłem dzisiejszą kartę i chyba się zdecyduję na sandacza – stwierdził kapitan-rolnik. Do popicia oczywiście grodziskie. A ty na co masz ochotę?

– Gicz cielęcą z sałatką jarzynową, a do tego portera poznańskiego poproszę – zamówił Fischer, patrząc na młodego kelnera. Chłopak tylko skinął głową, nie zapisując niczego. Ciekawe, czy się nie pomyli, pomyślał policjant, który sam lubił zapisywać każdy szczegół, żeby mu nic nie umknęło.

– Oprócz tego do picia co jeszcze? – zapytał chłopak.

– Butelczynę starki Baczewskiego daj pan na początek. – Mikołajewski był zdecydowany, bo zawsze zamawiał to samo, a Fischerowi było to całkowicie obojętne.

Chłopak skłonił się i poszedł szybkim krokiem w kierunku kuchni.

– Jak myślisz, czy to intuicja pomogła Naczelnikowi podjąć właściwą decyzję? Zastanawiam się nad jej rolą w historii. – Mikołajewski sięgnął po srebrną papierośnicę, wypełnioną brązowymi cygaretkami, które jego przedsiębiorczy ludzie sprowadzali mu wprost z Berlina. Wskazał dłonią na swój ulubiony tytoń, ale Fischer pokręcił głową. Przed jedzeniem nie palił. Fajkę wyciągał dopiero po posiłku.

– O której decyzji mówisz? Czy o tej, żeby przyjąć dymisję rządu premiera Ponikowskiego, czy o tej, żeby w miejsce rządu Ponikowskiego powołać rząd Ponikowskiego?

– Co tam obalenie czy jakieś przetasowania w rządach. Ja myślę o tej najważniejszej, wiekopomnej, która kazała mu zaatakować bolszewików w najdogodniejszym miejscu.

Mikołajewski był dawnym peowiakiem i legionistą, więc jak większość ludzi służących pod Piłsudskim uważał swojego dowódcę za geniusza myśli wojskowej.

– Mówi się, że to Weygand całą tę akcję zaplanował do spółki z Sikorskim.

– Bzdura, kłamstwo zazdrosnych o sukces endeków!

– Jak było, to ja nie wiem, Felek, ale jedno wiem na pewno. Jak myśmy tu najbardziej potrzebowali pomocy, jak powstanie się zaczynało, to ten twój Piłsudski nawet palcem nie kiwnął. Nie mieliśmy żadnej pomocy z Warszawy. Nawet oficerów, którzy by się znali na sztabowej robocie. Nie przysłali nam ani jednego.

– Zaraz, zaraz, a generał Taczak?

– Kapitan, panie kapitanie, kapitan Taczak, pracownik Sztabu Generalnego, zresztą pracownik administracyjny niższego szczebla. Gdy wybuchło powstanie, był przypadkiem pod Poznaniem z wizytą u jakiegoś swojego krewniaka. Na szczęście ktoś w dowództwie, które sformowało się z polityków i poruczników, bo wyższych szarż w armii pruskiej nie mogliśmy się dosłużyć, posłało do niego prośbę, by objął dowództwo. I on się zgodził pod warunkiem, że Warszawa da zgodę. I na tę zgodę, w czasie, gdy każda minuta decydowała o życiu ludzi i powodzeniu akcji, myśmy czekali cały dzień. A Taczak siedział w tym swoim cywilnym garniturze i palił papierosa za papierosem. A jak już zadzwoniono z Warszawy, że jest zgoda, wtedy poszedł do pokoju z walizką w ręce, a po chwili wyszedł ubrany w mundur. I tak zaczął administrować powstaniem. Nie powiem, dobrze administrował, ale nie dowodził. Dopiero jak ten twój Dowbor przyjechał, to się zaczęło tworzyć prawdziwe wojsko, tyle że było już prawie po walkach. Powstanie więc wygrało się samo siłą ochotników, weteranów z pruskiej armii i młodszych oficerów.

– Dowbor wcale nie był mój, drogi Antoni, nie mój. – Mikołajewski z uśmiechem na ustach przywołał go do porządku. – Został przez Piłsudskiego oddelegowany do dowodzenia powstaniem w momencie, gdy na powstańczych frontach ustaliło się już status quo i obie

armie zaległy w okopach. Zajął się więc nie prowadzeniem wojny, ale umocnieniem i utrzymaniem zdobyczy. – Mikołajewski przypomniał sobie, jak przyjechał do Poznania kilka tygodni po Muśnickim, skierowany tu z Warszawy do tworzenia zrębów wywiadu armii powstańczej. Wtedy to poznali się z Fischerem, rozpracowując wspólnie niemiecką organizację, która zamierzała wywołać w mieście kontrapowstanie i przywrócić na tym terenie niemieckie panowanie. Niemieccy bojownicy zamierzali skoordynować tę akcję z ofensywą swojej armii, która miała uderzyć na Polaków wiosną 1919 roku. Ale do ofensywy nie doszło, bo francuski marszałek Ferdinand Foch zagroził, że atak niemiecki na Polskę spotka się ze zdecydowaną odpowiedzią francuską. Niemieckie dowództwo zrezygnowało więc ze swoich planów, a Fischer z Mikołajewskim rozbili całą siatkę niemieckich agentów działających w Poznaniu[25].

– No tak, to prawda, ale dla nas okazał się szczęśliwym fakt, że Piłsudski go nie lubił i zesłał do nas. To on stworzył nowoczesną wielkopolską armię.

– A Piłsudski armię polską, drogi przyjacielu. Wszyscyśmy pracowali dla wspólnego zwycięstwa, każdy jak umiał.

Z tym Fischer nie mógł się nie zgodzić, choć do Naczelnika miał żal, podobnie jak większość jego kolegów z poznańskich pułków.

– Masz rację. To już przeszłość, więc czas nie na rozdrapywanie ran, a na budowanie.

Kelner postawił przed nimi dwie szklanice z cienkiego szkła, wypełnione ciemnym i jasnym piwem. Mikołajewski podniósł swoją i delikatnie uderzył o brzeg drugiej szklanki.

– Za budowanie, nie dzielenie!

– Za to zawsze z przyjemnością.

– I właśnie *à propos* budowania chciałem się z tobą pilnie spotkać.

– Domyślam się, że nie z potrzeby serca, ha, ha, ha!

– Zawsze miło cię ujrzeć, drogi przyjacielu, ale sprawy ważne muszą iść swoim tokiem. A te sam do mnie przywlokłeś i dobrze, że tak się stało.

– Chodzi o tego zabitego Niemca? – domyślił się policjant.

– W rzeczy samej. Powiem ci, że mam z nim problem.

– Mianowicie?

- Rozmawiamy pod rygorem tajności - zaznaczył na wszelki wypadek wywiadowca.

- Ma się rozumieć. - Fischerowi nie trzeba było takich rzeczy tłumaczyć. Był współpracownikiem polskiego wywiadu od samego początku służby w policji w 1919 roku. Dlatego jeśli w zakres jakiegoś śledztwa wchodziły kwestie wywiadowcze, natychmiast przejmował nad nim nadzór. O wynikach takich spraw raportował drogą służbową przełożonym w policji, a prócz tego meldował się również Mikołajewskiemu, który odbierał od niego raporty wywiadowcze.

- Ten człowiek współpracował z naszym wywiadem.

- Z tobą chyba nie?

- Bezpośrednio z Warszawą.

- To znaczy, że to nie nasz kłopot.

- Właśnie, że całkiem odwrotnie. Centrala chce, żebyśmy jak najszybciej się dowiedzieli, co się stało, kto za tym stoi i żebyśmy odzyskali dokumenty, które miał przy sobie.

- Nie miał żadnych dokumentów.

- Mógł mieć w hotelu. Znaleźliście jego hotel?

Fischer pokręcił głową.

- Dopiero zrobiliśmy fotografie tego typu. Jutro dostaną je wszystkie patrole z nakazem zajrzenia do każdego hotelu w mieście. Znajdziemy miejsce, w którym nocował.

- To bardzo dobrze, bo miał ponoć dostarczyć naszemu człowiekowi niesłychanie ważne plany jakiejś armaty, której prototyp opracowywany jest w fabryce Kruppa. Zdobył całą dokumentację tej armaty i przyjechał z nią do Poznania. Spotkał się tu z naszym człowiekiem z Warszawy, przekazał mu kilka pierwszych stron planów, które ten zabrał do stolicy dla potwierdzenia ich autentyczności. Warszawa zapłaciła mu zaliczkę, a wczoraj ten wysłannik z Warszawy miał się z nim spotkać i odebrać resztę planów. Okazały się bardzo ciekawe. No ale jak się domyślasz, do spotkania nie doszło. Niemiec nie przybył na umówione miejsce.

- Ostatnio niezbyt dobrze wyglądał.

- Nie żartuj, Antoni, bo to sprawa poważna. Czy ty rozumiesz, co to oznacza? Jeśli oni rzeczywiście przymierzają się do produkcji czegoś

takiego, to znaczy, że łamią postanowienia traktatu wersalskiego. Sam Naczelnik zainteresowany jest tą sprawą. Potrzeba nam dowodów na to, że Niemcy się zbroją na potęgę.

– Jeśli tak jest w rzeczywistości, to mamy poważny problem – zauważył trzeźwo Fischer. – A do tego jeszcze Niemcy z bolszewikami rozmawiają właśnie w Genui. Jak się dogadają, to nasz problem będzie leżał z dwóch stron, na wschodzie i na zachodzie.

– Dlatego tak ważne są te plany. Wraz z innymi dowodami będziemy mogli pokazać je Francuzom i Anglikom. A wtedy Niemcom może zabraknąć argumentów.

– Jeśli się nie wycofają z tych przedsięwzięć, to można by zagrozić im... szybki atak z dwóch stron, wojna prewencyjna.

– I o to się rozchodzi. Ładnie to nazwałś. Wojna prewencyjna, czyli wyprzedzająca wrogie uderzenie. Przekażę to do Warszawy.

Na stole stanęły przed nimi talerze, jeden z rybą i drugi z cielecą giczą. Obiad wydawał się tak smakowity, że grzechem byłoby rozmawiać przy takich daniach. Nim jednak zabrali się do jedzenia, Mikołajewski upił spory łyk piwa, a potem pogroził Fischerowi palcem.

– Jak ty to robisz, cholerniku, że jednym celnym sformułowaniem potrafisz nazwać to, co wymaga wielkich planów i przygotowań?

Fischer uśmiechnął się mile polectany.

– Jaki masz rozmiar kapelusza? – zapytał Mikołajewskiego.

Ten zdziwił się, ale zaraz odpowiedział:

– Pięćdziesiąty ósmy.

– No widzisz, a ja mam sześćdziesiąty pierwszy. Mam duży łeb, dlatego dużo pomysłów w takiej głowie może się ulęgnąć!

A potem przy stole zapadła cisza, przerywana od czasu do czasu głośnym mlaskaniem i siorbaniem.

Godzina 10.20 w nocy

– Jak ja powiadam, że Francuzi to żadni żołnierze są, to mnie można wierzyć bardziej niż komu innemu, chyba nie? – Szczupły

sześćdziesięcioletek był pewny siebie. – Ja z nimi walczyłem jeszcze pod Sedanem. I w Paryżu byłem. To i wiem, co mówię.

– To czemu Francuzi nas pokonali? – Siedzący naprzeciwko brodacz pokręcił głową.

– Kto nas pokonał? Francuzi? Sami by nigdy nic nie zrobili. Pokonał nas spisek! – Ostatnie słowo wypowiedział głośno, wyraźnie je akcentując. – Normalny spisek!

– Jaki spisek?

– No jak jaki? Bolszewicki. Gdyby nie bolszewicy, to wojna by jeszcze mogła trwać i trwać i nikt by nigdy nie przegrał. Nasza armia jest niezwyciężona, ale przez ten nóż wbity w plecy musieliśmy się poddać. Nóż w plecy i tyle. Bo przecież to jasne jak słońce jest, kto wygrywał na jesieni osiemnastego roku. My żeśmy wygrywali. We Francji staliśmy, w Rosji tak samo staliśmy i żadnego żołnierza obcej armii nie było w Niemczech. I do tego jeszcze nasze okręty na wszystkich morzach panowały i jeszcze nasze u-booty robiły, co chciały. Wojna była wygrana.

– Prawda. – Tym razem zgodził się brodacz, który wyglądał jak marynarz. – U-booty to najlepsze łodzie podwodne na świecie. Byłem we wojnę w Kilonii.

– I co, widziałeś u-boota? – zapytał specjalista od polityki międzynarodowej i noża wbitego w niemieckie plecy.

– No pewno. – Pochwalił się brodaty. – W porcie wszędzie stały. U-bootów tam było jak psów. Gdzie się człowiek nie rozejrzał, to stały, przy każdym tym, no jak mu tam...

– Nabrzeżu – podpowiedział grubas z krótkim wąsem pod wydatnym nosem i niemal całkowicie łysą głową.

– Nie na nabrzeżu, ale przy każdym pomoście – wtrącił się ten od noża. Tyle że jak one tam stały, to jak mogły pływać po morzu? Przecież one powinny pływać i zatapiać Anglików.

– Może były na urlopie akuratnie – stwierdził brodacz. – Ja tam dokładnie nie wiem, ale gadałem z jednym marynarzem, co gadał z innym, co służył na takim podwodnym okręcie, i on powiadał, że pływanie pod wodą to tak, jakby człowieka żywcem do trumny złożyli. Straszne ponoć.

– Tu się zgodzę – wtrącił się gruby, który na myśl o zamknięciu pod wodą aż pobladł. Dlatego musiał się szybko czegoś napić, a jego kufel był już pusty. Skinął więc na dziewczynę w kraciastej spódnicy, by podeszła do stołu. Ta nawet specjalnie się nie zastanawiała nad charakterem zamówienia. Dostrzegłszy przywołujący gest klienta, chwyciła sześć kuflów stojących na ladzie bufetu, przygotowanych do wydania, i ruszyła z nimi do stolika. Sześciu mężczyzn siedzących na dwóch ławach rozdzielonych stołem na widok kelnerki z kuflami szybko dopiło swoje piwo, by zrobić miejsce następnym porcjom. Dziewczyna sięgnęła po biały kartonik leżący na stole i przy każdym oczku oznaczającym klienta postawiła po jednej dodatkowej kresce. W ten sposób zawsze miała kontrolę nad liczbą wypitych piw.

– Heidi, jak już tu jesteś, to przyniosłabyś dla mnie białe kiełbaski z musztardą? Bo już się głodny zrobiłem.

– Oczywiście, panie Kirchner. – Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko do szczupłego mężczyzny, ubranego w skórzaną marynarkę i koszulę związaną pod szyją aksamitką. Albert Kirchner był znanym w Poznaniu artystą, zajmującym się sztuką malowania portretów, a do tego jeszcze profesorem szkoły zdobniczej. Nie wyjechał po wojnie do Niemiec, ponieważ uważał, że jako poznaniak z dziada pradziada nie może opuszczać swojego miasta. A poza tym, jak mówił, niezależnie od tego, kto rządzi, władza zawsze będzie potrzebowała dobrych portretów. I tu się nie mylił, bo szybko okazało się, że po nastaniu nowych porządków przyszedł dla niego czas żniw, gdyż każdy dyrektor nowej albo odnowionej instytucji musiał zamówić sobie swój portret. Więc malował i zarabiał duże pieniądze, jako że w mieście był najlepszy. Znał się na malarstwie jak mało kto, ale jego prawdziwą pasją była polityka. Dlatego codziennie po pracy, wracając ze swojej pracowni przy placu Wolności, w której pracował nawet w niedzielę, zachodził do niemieckiej piwiarni Aschingera, przy rogu Ratajczaka i 27 Grudnia, żeby się napić, najeść i przede wszystkim przy dobrym niemieckim piwie pogadać o polityce.

Nie miał tutaj swojego własnego stolika, bo takich w aschingerowskich barach, znanych i popularnych w całym Niemczech, nie było. To były typowo ludowe knajpy, w których

podawano do picia piwa i sznapsy, a do jedzenia tradycyjne piwne dania, czyli kiełbaski i golonki z zasmażaną kapustą. W poznańskiej knajpie stoły ustawiono w dwóch rzędach pod dwiema ścianami obszernej i długiej piwnicy, a w samym jej końcu był bufet. Piwo nalewał tu stary ponurak o czerwonej, poznaczonej ospą twarzy, o imieniu Odillo. Bezbłędnie z wysokości swojego stanowiska oceniał potrzeby poszczególnych stołów i nim któryś z klientów podniósł rękę, by przywołać jedną z czterech kelnerek, Odillo już nalewał odpowiednią liczbę kufli.

Gdy Heidi podeszła do niego, by zamówić jedzenie dla malarza, ten bez słowa postawił przed nią talerz z parującymi kiełbaskami.

– Jak ty to robisz, że wiesz, co komu dać, zanim ja w ogóle coś powiem? – zapytała, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Jak będziesz tu pracować tyle lat co ja, to też będziesz wiedziała.

– Nigdy w życiu. Jak tylko uzbieram pieniądze, to jadę stąd do Niemiec. Tu już Niemcy nigdy nie wrócą.

– Nigdy nie mów nigdy, moja mała. – Barman uśmiechnął się i podał dziewczynie niewielką kopertę, taką, do której wkładało się wykwintny bilet wizytowy.

– Daj to profesorowi – powiedział i mrugnął do niej. Od razu zrozumiała, w czym rzecz. Trzeba było karteczkę oddać natychmiast i to najlepiej dyskretnie. Włożyła więc przesyłkę do kieszeni fartuszka i chwyciwszy talerz z kiełbaskami, ruszyła ku stolikowi.

Z dyskretnym podaniem liściku nie było najmniejszego problemu, bo piwiarnia wypełniona była po brzegi hałaśliwymi i podpitymi mężczyznami, z których każdy patrzył przede wszystkim w swój kufel. Jeden z nich, ten siedzący zaraz za profesorem, ubrany w robociarską szarą kurtkę szczupły dwudziestopięcioletek, też zaglądał do kufła, podobnie jak jego kolega, brodaty brunet w okularach, znacznie bardziej postawny od młodzieńca, odziany w nieco znoszony stalowy surdut. Obaj tylko od czasu do czasu wymieniali jakieś zdawkowe uwagi, tak jakby na poważniejszą konwersację brakowało im sił i chęci. Z piciem piwa też nie przesadzali. Odkąd weszli tu godzinę temu, pili oszczędnie. Właściwie można by powiedzieć, porównując rozmach innych

piwoszy, że ci dwaj nie pili wcale, a jedynie moczyli wąsate gęby w piwie.

Ten siedzący bliżej profesora zachowywał się jednak tak, jakby już miał mocno w czubie, bo głowa opadała mu niebezpiecznie do tyłu i od czasu do czasu zastygała w bezruchu w chwilach, w których profesor przemawiał do swoich towarzyszy.

– Za nóż w plecy wbity w serce naszego narodu odpowiadają Żydzi. Oni są wszystkim winni.

– Przecie mówił żeś, że bolszewicy – przypomniał sobie ten brodacz, który kiedyś widział całe wilcze stada u-bootów w Kilonii.

– No przecież powiadam, właśnie że Żydzi. Bo Żydzi to bolszewicy właśnie. Jedna banda.

– Ale Polacy pognali bolszewików. Jakby nie Piłsudski, toby doszli aż tu do nas. Do samego Berlina by doszli i już by nie było Niemiec, ale by była bolszewia – mówił łysy grubas.

– Prawda. Piłsudskiemu należy się szacunek – stwierdził profesor.

– Dzięki niemu żydobolszewia dostała nauczkę. Szybko się po tym laniu nie pozbierają.

– Ale nasi negocjują z nimi w Genewie w obecnej chwili. – Brodacz przypomniał sobie artykuł, który przeczytał w gazecie.

– Polityka to szukanie kompromisów. Trzeba sobie zabezpieczyć tyły, żeby zebrać siły własne. W Niemczech trzeba najpierw rozprawić się z bolszewią i Żydami, a potem będzie czas na tych bolszewików ze wschodu. I kto wie, czy nie pójdziemy na nich razem z Polakami.

– Jak to z Polakami? – Brodaty spojrział na profesora jak na wariata.

– A co wy sobie myślicie, że Polacy to głupcy? Oni dobrze wiedzą, że ten pokój, co podpisali w Rydze, to tylko chwilowe zawieszenie broni. Bolszewicy ruszą się prędzej czy później, bo oni są jak rak, który żywi się zdrową tkanką Europy. Póki ich się nie zetrze w pył, póty i Polska, i Niemcy będą w ciągłym zagrożeniu. A na razie póki można, trzeba korzystać z ich głupoty i naiwności.

Kelnerka postawiła przed profesorem talerz z kiełbaskami. Mężczyzna zauważył, że szybkim płynnym ruchem wsuwa pod niego jakąś karteczkę. W chwili, gdy zaczęła stawiać kufle z piwem przed

jego kompaniami, sięgnął po nią i pochyliwszy się, przeczytał, trzymając ją pod stołem. Nikt nawet się nie zorientował. On natomiast włożył bilecik do prawej kieszeni marynarki.

– To ja teraz muszę odcedzić kartofelki – powiedział kilka minut później, gdy uporał się już z porcją kiełbasy. Wstał od stołu i ruszył szybko do ubikacji. Pijany mężczyzna, który siedział za plecami malarza, całkiem przytomnym wzrokiem spojrzał na swojego kompana. Ten, wpatrzony w drzwi od toalety, za którymi zniknął mężczyzna, uspokajająco pokiwał głową. Przez kilka minut nic się nie działo. Jeden obserwował drzwi, a drugi obserwatora. W końcu ten wpatrzony w ubikację uniósł nieco prawą dłoń. Pijany zerwał się z ławy i zataczając się, ruszył przed siebie.

Profesor, widząc chwiejącego się na wszystkie strony pijaka, chciał go ominąć, ale nie było to łatwe. Odsunął się, by zrobić przejście, ale temu nie udało się skorzystać z uprzejmości malarza. Wpadł na niego i mało brakowało, a powaliłby go na zastawiony kuflami z piwem stół. Na szczęście siedzący tam łysy jak kolano osiłek zareagował błyskawicznie. Zerwał się z miejsca i chwycił profesora w objęcia, odpychając pijanego gościa dłonią wielką jak bochen chleba. Ten poleciał przed siebie prosto do wychodka.

– Dziękuję panu. – Profesor poprawił marynarkę i strzepnął z rękawa niewidzialny pyłek.

– Nie ma o czym gadać – rzucił wielkolud. – Trzeba by go wyrzucić z knajpy, bo porządni ludzie nie mogą być tu bezpieczni.

– Tyle hołoty się tu najechało w ostatnim czasie – stwierdził profesor, wracając do swojego stolika. Podszedłszy, nie usiadł jednak na swoim miejscu. Zdjął ze ściennego wieszaka czarny wełniany płaszcz i na głowę wcisnął melonik.

– Nic tu po mnie. Czas do domu. Człowiek nawet w spokoju nie może się napić piwa. To oburzające. Jakich my czasów dożyliśmy, panowie? To naprawdę oburzające.

Podszedł do baru, by uregulować należność, i zaraz wyszedł z piwiarni. Pijany osobnik, który staranował profesora, też wyszedł zza drzwi klozetu. Pewnym krokiem, po którym nie widać było jakiegokolwiek pijackiej nieporadności, zbliżył się do stolika, przy którym siedział łysy wielkolud. Ten wstał i objął mężczyznę, jakby

się z nim czule witał. Stali tak przez sekundę, by zaraz wrócić na wyjściowe pozycje. Łysy usiadł na ławie i chwycił kufel pełen piwa, a były pijany, teraz całkowicie trzeźwy, poszedł ku wyjściu śladem profesora. Jego kompan, okularnik, który siedział z nim przy stoliku, również się podniósł i podążył za towarzyszem. Nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, podobnie jak na incydent ze znanym malarzem. W końcu była to biersztuba i takie wypadki zdarzały się tu stale.

– I co? – zapytał okularnik, gdy już znaleźli się na dole. Mimo późnej pory na chodnikach było tłoczno, a po ulicy jeździły dorożki i auta. O tej porze, w niedzielny wieczór, ludzie z towarzystwa wracali z kawiarni i restauracji, by zdążyć odpocząć przed jutrzejszym porankiem, który dla wielu był zapowiedzą nużącego tygodnia pracy.

– Wszystko mam – stwierdził ten szczupły w robociarskiej kurtce, który udawał wcześniej pijanego. Sięgnął do kieszeni palta i wydobył z niej portfel. Obaj spojrzeli na trofeum, ale było zbyt ciemno, żeby dostrzec szczegóły. Popatrzyli na siebie, a potem na narożnik z ulicą 27 Grudnia. Tam była lampa elektryczna, oświetlająca wejście do nieczynnego o tak późnej porze sklepu z galanterią i obuwem. Podeszli tam natychmiast.

– No dalej, Mahjan – pogonił kolegę okularnik, który mówił po polsku z charakterystycznym niemieckim „h” zamiast polskiego „r”.

– Zaraz, Albert zaraz, przecie się nie pali. – Mężczyzna rozłożył szeroko portfel na dłoni i zaczął go przeglądać. – Bejmów żadnych. Gruby Marcel se je zabrał. Ale reszty nie ruszył. O, jakieś bilety wizytowe. – Zaczął wyciągać po kolei wizytówki, na których widać było nazwiska ludzi znanych z pierwszych stron poznańskich gazet.

– Ma, piehdolony, stosunki – mruknął pod nosem wywiadowca Albert Krause.

– Sama elita – dodał jego kolega, policjant Marian Stolarski. Już chciał zamknąć portfel, kiedy dostrzegł jeszcze jeden biały kartonik. Wydobył go i rzuciwszy tylko okiem, zaklął.

– Patrz się, gdzie ten gnój łązi. – Podsunął koledze pod nos wizytówkę. Ten wyjął ją z dłoni kompana i odczytał głośno:

*Salon dla panów z wyższych sfer
u madame Alouette
przy ulicy Wielkie Garbary 56
Najlepsza obsługa wszystkich zmysłów*

Odwrócił kartkę na drugą stronę. Tam znacznie mniej starannym pismem ktoś skreślił krótki liścik.

Piękna i świeża lilija do zerwania dla szanownego Pana czeka dzisiaj

Godzina 10.25 w nocy

- Co z nią jest? – zapytała kobieta.
- Boli ją brzuch – wyjaśniła ruda Gabrysia.
- Boli cię? – Szturchnęła ją w plecy laską. Zosia jęknęła. Tak jej kazała robić nowa przyjaciółka.

- Połóż się na boku, podciągnij nogi do góry i trzymaj się cały czas za brzuch – instruowała ją kilka godzin wcześniej.
- A jak zapytają, gdzie boli?
- Mów, że tutaj. O, tu jest najlepiej. Z tej strony jak boli, to można nawet umrzeć.
- Jak to?
- No jak tutaj cię będzie bolało, o, tu dokładnie, to już po tobie. To jest takie coś, co się nazywa ślepa kiszka, co ona jak zacznie boleć, to trzeba szybko do szpitala, bo ona jest taka, że pęka i człowiek umiera.
- Skąd to wiesz?
- Nasza sąsiadka Heinemannowa na to umarła.
- Bolało ją?
- Najpierw ją kłuło, a potem jak zaczęło boleć, to w dwa dni było po wszystkim. Była zdrowa i zaraz jej nie było.
- Jak to możliwe?

– Lekarz, co przyszedł wtedy do Heinemannów, powiedział mężowi tej Helgi, że jest durniem, bo jakby go wcześniej wezwali, toby jeszcze była jaka szansa zoperować i wyciąć ten wyrostek, ale teraz już za późno i nic się nie da zrobić. A jak lekarz poszedł, to ona, znaczy Heinemannowa, wszystko słyszała i dziękowała swojemu chłopu, że nie pozwolił jej kroić i dzięki temu ona w całości stanie przed Panem Bogiem.

– Głupia była – stwierdziła Zosia. Ja bym wolała żyć bez jakiegoś głupiego wyrostka. Nawet bez nogi bym wolała żyć. Bo przecież Panu Bogu to chyba obojętne, czy ktoś ma wyrostek albo nogę. Ważne, żeby dobrym człowiekiem być...

Nagle przerwała, wsłuchując się w ciszę za oknem. No może niezupełną ciszę. Słyszać było normalne wieczorne turkotanie kół dostawczych wozów i coś jeszcze. Naraz ten odgłos się przybliżył i serce jej zadrżało. To szczekał pies. Teraz słyszała to wyraźnie. To był pies i ten charakterystyczny chrapliwy szczekot, który znała doskonale. To był rudy pies z jej własnego podwórka.

– Boże, dziękuję ci, on znalazł mnie!

– Co ty gadasz? – Gabrysia spojrzała na nią jak na wariatkę.

– Pies! Słyszysz, jak szczeka?

– Pies jak pies.

– Nie, to mój pies. Pies z mojego podwórka. Ja znam ten głos. Żaden inny tak nie szczeka. Słuchaj, najpierw tak twardo, a potem piskliwie. On zawsze tak. Słyszysz? To jest mój Rudy. Kochany piesek.

Pies rozszczekał się znowu.

– Ciszej bądź, bo pobudzisz te głupie gęsi. I jeszcze wygadają o tym psie.

Wskazała na cztery łóżka, w których spały starsze dziewczynki. Z żadną z nich nie nawiązały dotąd bliższego kontaktu. One były tu dłużej, a Gabrysia i Zosia przybyły niedawno. Nic dziwnego, że się ze sobą szybko zbliżyły, a Gabrysia jako starsza od koleżanki czuła nawet, że powinna się nią opiekować.

Zosia wstała z łóżka i najciszej jak potrafiła, podeszła do okna. Wiedziała, że niczego tam nie dostrzeże, bo wychodziło na otoczone z czterech stron ceglanymi ścianami niewielkie podwórko. Ale

musiała jeszcze upewnić się w swoim przekonaniu. Uchyliła nieco jedno skrzydło. Szczekanie słychać było znacznie lepiej. Pies musiał oszczekiwać jakiegoś wroga albo miejsce. Kto to w końcu wiedział, dlaczego psy szczekają? Rudy szczekał, jakby chciał dać jej znać, że jest tu i w razie czego może na niego liczyć. Tylko niby co miałyby zrobić? Przecież trzymali je w tym zamkniętym pokoju, z którego wypuszczano ją i Gabrysię tylko kilka razy dziennie do wychodka na korytarzu. A stamtąd nie było żadnej możliwości ucieczki. Ten wielki facet, który w dniu jej wprowadzenia był na podwórku, dawał jej cukierki i odkręcał wodę, pilnował cały czas drzwi, a każdej wychodzącej za potrzebą dziewczynce towarzyszyła ta sucha jędra Wilhelmina o nieprzyjemnym wyrazie twarzy. Gdyby tak jak te cztery pozostałe mogły już pracować. One były tu od dawna i pomagały w kuchni i sprzątały pokoje, więc znały wszystkie wyjścia, wejścia i okna, którymi można było się wydostać z mieszkania. One dwie, nowe, dotąd zdążyły poznać tylko drogę do wychodka.

Naraz usłyszała jakiś ruch na korytarzu. Szybko podbiegła do swojego łóżka i położyła się dokładnie tak, jak jej kazała to zrobić Gabrysia.

– Ej ty, wstawaj. – Usłyszała skrzekliwy głos i zaraz poczuła dotknięcie czegoś twardego na plecach. Natychmiast jęknęła.

– Co ci jest?

– Boli mnie, oj, jak boli!

– Gdzie cię boli? – zapytała Wilhelmina, przybliżając do niej świeczkę na podstawku z uchwytem. Dziewczynka wskazała bok. – Tutaj, jakby mi kto rozpalony pogrzebacz przykładał – wyjaśniła.

– Cholera jasna! Akurat teraz musiała...

– Co jest? – zapytał mężczyzna stojący w drzwiach. Poznała ten głos. To był ten sam człowiek, który na podwórku częstował ją cukierkami.

– Cholera ją wie. Z boku ją boli. Może zapalenie ślepej kiszki?

– To jak ten wyrostek, to co będzie?

– To gówno. Nic z tego nie będzie, bo jakby ją chycił jaki gość, to byłby krzyk, jakby ją zarzynali. Trzeba odczekać. Zobaczmy jutro.

Zosia spojrzała na Gabrysię. Ta puściła do niej oko.

– A co z klientem? Przecie tu zaraz przyleci.

– No co... Trzeba inną. Ty, wstawaj – szturchnęła Gabrysię w bok. – Ciebie chyba nic dziś nie boli?

– Też mnie boli.

– Ha, ha! To jakaś epidemia. Zaraz mi tu wszystkie wymrą jak na hiszpankę. No dalej, wstawaj i się zbieraj. Już!

– Ale ja...

– Żadne „ale”, wstawać. Koniec tego lenienia się. Trzeba zapracować na swoje jedzenie.

Gabrysia naciągnęła koc na głowę, jak małe dziecko, które chowa się przed nocnymi strachami. Ale przed tymi, które miały nawiedzić ją dziś w nocy, nie miała żadnych szans. Poczowała, jak ktoś zrywa z niej przykrycie, a potem pochyła się nad nią ten wielkolud, chwytając ją wpół i jak piórko unosi w górę.

– Nie próbuj się wyrywać, bo zaraz dostaniesz na gołą dupę – powiedziawszy to, położył jej rękę na gołych pośladkach. Dziewczynka zadrżała ze strachu. – I żadnych krzyków, szepnął jej do ucha, a potem poniósł pod pachą ku miejscu, o którym wiedziała, że gdzieś jest, ale nie miała pojęcia, że tak blisko. Po chwili znalazła się w mieszkaniu naprzeciwko. Piekło wcale nie było gorące. Wyglądało jak zwykły pokój z szerokim łóżkiem.

– A teraz uważaj! – Wilhelmina podeszła do niej i spojrzała groźnie, biorąc się pod boki. – Masz tu grzecznie siedzieć i czekać. Niedługo przyprowadzę tu jednego pana. Jak tu przyjdzie, masz się do niego uśmiechać i jak o co zapyta, masz grzecznie odpowiadać. A jak ci każe coś zrobić, to masz to robić! Zrozumiano?

– A niby co mi każe robić?

– Zobaczysz, same przyjemne rzeczy.

– Ale co?

– To, co ci każe, i już. I nawet nie próbuj odmawiać. Bo jak zrobisz temu panu dobrze, to już będziesz od tej chwili mogła codziennie pracować. Dostaniesz piękne ubrania i najlepsze jedzenie. Zobaczysz, że nie pożałujesz.

Odwróciła się i wyszła z pokoju

Gabrysia została sama na tym wielkim łóżku, zupełnie naga, przykryta lekkim kocem w kwiaty. Cała się trzęsła. Nie z zimna, bo

temperatura była tu całkiem znośna. Ona trzęsa się ze strachu, bo wiedziała, co ją czeka. Już nie raz to widziała, jak ten pijany łajdak wlaził na jej matkę i ugniatał ją, sapiąc i jęcząc, a ona nic nie potrafiła zrobić. Musiała czekać, aż się zmęczy i wreszcie zaśnie. Wtedy spychała go z siebie i płakała.

Pomyślała, że z nią będzie dokładnie tak samo, że za chwilę przyjdzie jakaś zapijaczona stara świnią i położy się na niej, a potem będzie ją zgniatał tak jak tamten wieprz jej mamę. Czy miała przeżyć dokładnie taki sam koszmar?

Zsunęła się z łóżka. W pokoju stało krzesło przystawione do niewielkiej toaletki i szafa garderobiana z dwoma drzwiami. Podeszła szybko do szafy i otworzyła ją. Wewnątrz, na półkach, leżały równo ułożone, czyste i wykrochmalone prześcieradła. Za drugimi drzwiami były wieszaki, na których nic nie wisiało. Tylko jeden różowy szlafrok z falbankami. Był duży, o wiele za duży na nią, mimo to zdjęła go z wieszaka i zarzuciła na ramiona. Uszyty został z materiału lekkiego i niezwykle delikatnego. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego. Przyjemnie łaskotał skórę. Nie to jednak było istotne. Najważniejsze, że skrywał jej wstydliwą nagość.

Zostawiwszy szafę, poszła do toaletki, ciągnąc za sobą dół szlafroka, niczym panna młoda swój tren. Usiadła przed lustrem na miękkim, wyściełanym taborecie. Spojrzała na swoje odbicie. Włosy miała potargane i w nieładzie. Otworzyła szufladkę. Wewnątrz był kościany grzebień i miękka szczotka. Grzebyk miał kilka wyłamanych zębów, więc wybrała szczotkę. Zaczęła powoli gładzić nią włosy. Nie były mocno skołtunione, choć dawno niemyte. Pomyślała, że i tak to czesanie to zupełnie niepotrzebna czynność. Ten, który przyjdzie do pokoju, przecież nie będzie patrzył na jej włosy, ale będzie chciał dostać się między jej nogi...

Zrezygnowana odłożyła szczotkę do szuflady. Już chciała ją zamknąć, gdy naraz dojrzała coś błyszczącego. Wsunęła tam dłoń. Od razu poczuła chłodną gładź metalu. Chwyliła przedmiot i wyciągnęła go na wierzch. Nożyczki. Niewielkie, takie, którymi fryzjer podcinał grzywkę, a starszym ludziom usuwał włosy z nosa i uszu. Ktoś je tu schował? A może po prostu, zwyczajnie, leżały tam, bo osoba, która używała tego pokoju, tymi nożyczkami obcinała

sobie włosy na nogach. Słyszała, że niektóre kobiety tak robią, żeby być bardziej atrakcyjnymi...

Spojrzała na ostre czubki i zaraz uśmiechnęła się do swoich myśli. Nie była już całkiem bezbronna. Niech ją teraz ktoś spróbuje skrzywdzić.

Włożyła nożyczki do kieszeni i poszła z powrotem na łóżko. Usiadła na samym środku, podkurczając nogi jak najbliżej brzucha. Owinęła się szczelnie swoim zdobycznym szlafrokiem, położyła głowę na rękach opartych na kolanach i zaczęła się modlić. Ale ta modlitwa jakoś jej nie szła. Nie pamiętała, jak się składa zdanie po zdaniu. Za to przypomniało się jej coś zupełnie innego.

*W bramie dziad wyciąga rękę
Pies rozerwał mu sukienkę
Aż biedaka broni stróż
Śpij, dziecińko, już...*

Gdzieś na podwórku, za oknem, które zasłonięte było szczelnie drewnianymi okiennicami, znów zaczął szczekać pies.

Godzina 10.30 w nocy

Latarnie gazowe, ustawione w równym rzędzie po północnej stronie Wielkich Garbar, rozjaśniały ulicę mdłym światłem. Płomyki, które je rozświetlały, podskakiwały, mrugały, przygasały i żarzyły się raz mocniej, raz słabiej, rozrzucając swój blask na mokre od deszczu i lśniące łby brukowych kamieni pokrywających drogę. Jeszcze przed chwilą, mimo padającego deszczu, cała okolica tętniła życiem. Prostytutki, które pilnowały swoich rewirów, od placu Bernardyńskiego poczynając, aż na moście Chwaliszewskim kończąc, teraz nagle zniknęły jakby czarodziej skinął swoją magiczną różdżką i sprawił, że w jednej chwili stały się niewidzialne. Ale one nie musiały w takiej bagatelnej sprawie jak znikanie korzystać z usług prestidigitatorów. Umiały to robić doskonale, przyzwyczajone do częstych policyjnych nalotów, kiedy to stróże

prawa, by wykazać się przed swoją zwierzchnością wynikami w sferze zatrzymań, rzucali się na najłatwiejszy i najbardziej bezbronny łup w postaci dziewczynek. Trzeba było je tylko zgarnąć z ulicy, zabrać na komisariat i spisać, by wypuścić te, które miały aktualne badania w swoich książeczkach zdrowia. A te niekoncesjonowane, bez badań i papierów, zatrzymywało się na czterdzieści osiem godzin. I już robił się wynik potrzebny do policyjnych statystyk. Policjanci byli zadowoleni, ale na pewno nie prostytutki. One traciły wolność i miraż zarobku, choć wcale nie miały pewności, że upolują jakiś grosz. W zamian za to zyskiwały dwudniowy odpoczynek w schludnych warunkach aresztanckich cel, z wodą i mydłem, a do tego jeszcze trzy posiłki w ciągu dnia. A takiego luksusu żadna z nich nie mogła być pewna na wolności. Jednak mimo tych wygód za nic nie miały ochoty na siedzenie w kozie.

Dlatego gdy tylko na ulicy pojawiła się więzienna sanitarka, a za nią autobus Renault, powitał je przeciągły gwizd kilku alfonsów pilnujących interesów, którzy stali przyczajeni w bramach. Dziewczynki na ten sygnał od razu rzuciły się w głąb podwórek, by przeczekać niebezpieczeństwo. W pół minuty ulica zrobiła się niemal całkiem pusta. Zostali na niej tylko zdeorientowani tą rejteradą, podpici potencjalni klienci, którym naraz zabrakło partnerek do negocjacji cen za usługę. Ale i oni wkrótce pojęli, w czym rzecz. Ostatni, ci, którzy składali ze sobą fakty i wyciągali z nich wnioski wyjątkowo mozolnie, w końcu zrozumieli, że warto jednak się oddalić, gdy karetka policyjna zatrzymała się pod kamienicą opatrzoną numerem 56. Został tylko jeden człowiek, ubrany w robociarską kurtkę i czapkę lujówkę, który stał w bramie naprzeciwko i spokojnie palił papierosa.

Szofer, przodownik Bednarek, zaciągnął ręczny hamulec w swoim niezwykle charakterystycznym, amerykańskim fordzie T, który podczas wojny został przerobiony na ambulans wojskowy. Do Polski ten samochód trafił wraz z żołnierzami armii Hallera, a wojsko przekazało go jako przestarzały sprzęt policji. Tu nie bardzo wiedziano, co z nim począć, bo po co tak wielki ambulans, skoro w policji nie ma żadnego lekarza. Aż wreszcie wpadł ktoś na pomysł,

że zamiast uchwytów na nosze, trzeba tam zainstalować ławki i auto będzie mogło z powodzeniem służyć do transportu aresztantów. I tak zaczęto go używać do transportowania zatrzymanych nierzędnic lub do dowożenia policjantów na miejsce akcji.

Kierowca wyszedł na chodnik, a z drugiej strony, od ulicy, wyskoczył sprężysty jak struna aspirant Pikuła. Od razu podbiegł na tył karetki i pociągnął za klamkę od solidnych drzwi, które można było otworzyć tylko z zewnątrz.

Ze środka zaczęli wysypywać się umundurowani policjanci. Przodownik Bednarek poganiał ich, pokrzykując groźnie, a gdy wszyscy byli już na chodniku, zarządził zbiórkę w szeregu.

Tymczasem do oficera podszedł człowiek, który dotąd stał w bramie po drugiej stronie ulicy.

– Panie aspirancie, wywiadowca Stolarski na rozkaz.

– A, to wy – ucieszył się na jego widok Pikuła i zaraz rozejrzał się jakoś niepewnie. – Jesteście pewni, że to tu?

– Dokładnie tutaj.

– A gdzie wasz kolega, no jak on się nazywa...?

– Albert Krause.

– Aha, to gdzie on jest?

– Poszedł na górę do burdelu.

– A po co, na Boga, on tam poszedł?

– Żeby zobaczyć, co i jak.

– Aha. – Oficer znów się rozejrzał. Aspirant nie czuł się pewnie, a brak pewności wynikał z braku doświadczenia. Jeszcze nigdy dotąd nie dowodził żadną akcją i tak naprawdę nie wiedział, co powinien robić. Nie był nawet pewien, czy dobrze zrobił, zarządzając ten nalot. Wszystko przez wywiadowcę Stolarskiego, który przybiegł na posterunek w Dyrekcji Policji i przekazał mu informację o tym, że być może dziś właśnie w jednym z burdeli będzie dla starego zbereźnika przygotowana dziewczynka do rozdzwiczenia. Na dowód pokazał bilet wizytowy z liścikiem o białej lilii. Niby wszystko się zgadzało, bo biała lilia to symbol niewinności, a poza tym większość działań w jego wydziale, kierowanym przez Fischera, kręciło się wokół zaginionych i zapewne uprowadzonych dzieci. No więc Pikuła z drżeniem serca postanowił działać. Żeby mieć pewność, chciał

zapytać przełożonego o zgodę, jednak nie zdążył, bo ten młody wywiadowca przekonał go, że każda chwila zwłoki to śmiertelne zagrożenie dla dziecka.

A że Pikuła cenił sobie nade wszystko ideały rycerskości, wiedział, że oficer na służbie jest zobowiązany śpieszyć z pomocą dzieciom i kobietom. No i dlatego zarządził alarm dla lotnej brygady. W kwadrans później drużyna policyjna siedziała już w samochodzie. Ruszyli na Wielkie Garbary, czyli w miejsce wskazane przez Stolarskiego, który pobiegł tam, gdy tylko dowiedział się, że on i jego kolega dostaną wsparcie.

– No to co robimy? – zapytał głośno Pikuła, choć nie powinien pytać, ale rozkazywać.

– Panie aspirancie, jeśli pan pozwoli, to pięciu chłopaków na podwórko, żeby w razie czego odciąć drogę ucieczki, trzech tutaj, w bramie, a my z resztą walimy na górę i robimy gemelę.

– Bardzo słuszna koncepcja – zgodził się z nim natychmiast oficer.

– Starszy posterunkowy, pięciu na podwórko, żeby odciąć drogę ucieczki, trzech tutaj, a reszta z nami na górę! – wykrzyczał rozkazy i ruszył biegiem do góry.

Rozpadało się na dobre, kiedy wywiadowca Krause dogonił profesora na Podgórnej. Nawet specjalnie nie musiał się śpieszyć. Wiedział bowiem, dokąd idzie stary, i mógł się domyślać którędy. Tacy ludzie raczej nie skracali sobie drogi, chodząc o tak późnej porze przez rynek i wąskie uliczki Starego Miasta. O wiele bezpieczniej było przeciąć plac Wolności, puścić się w dół przez Podgórną, i dalej podążyć w kierunku placu Bernardyńskiego.

Postawił kołnierz i mocniej nacisnął na głowę kapelusz. Nie miał parasola tak jak ten przezorny, śledzony przez niego człowiek, który rozpiął go ponad głową i dzięki temu był z daleka dobrze widoczny. Od Podgórnej szedł już za nim spokojnie jednostajnym tempem. Nie mieli daleko, więc po zaledwie dziesięciu minutach byli na Garbarach.

Profesor natychmiast zniknął w bramie kamienicy, w której mieścił się przybytek madame Alouette. Wywiadowca nie poszedł za nim na górę. Zatrzymał się pod sklepowym okapem, który chronił go przed

deszczem. Wyciągnął kapciuch z tytoniem i zaczął skręcać papierosa. Od razu podeszła do niego jakaś mocno wymalowana i nieco już zużyta pięćdziesięcioletnia blond panienska.

– Naoliwić ci pałeczkę, chłoptasiu? – zapytała skrzeczącym głosem.

– Chodź do mnie, milutki cukiereczku – zawołała jej koleżanka stojąca kilka metrów dalej. – U mnie masz całonocną obsługę w cenie jednego ruchanka.

– Nie słuchaj tej starej raszpli – powiedziała jasnowłosa. – Ona ledwie zipie. Jest tak stara, że zasypia nawet w trakcie ruchania.

– Patrzcie się państwo, kto zasypia? Niby ja? Ty nędzna lampucero, sama ledwo łazisz, a jeszcze młodych chłopaków chcesz na lewe sanki brać. Uważaj na nią, kawalerze, bo jak nic złapiesz jakiego trypra i ptaszek ci odpadnie.

– Ożeż ty w mordę kopana chorlipo, jak ja cię zaraz dopadnę! – Blond piękność wzięła się pod boki i już chciała zaatakować parasolką swoją koleżankę, ale nie zdążyła.

– Spokojnie, ciotki, ja nie na ksiuty do was, ino do pani Alouette na poważne spotkanie.

Obie natychmiast zamilkły.

– Patrzcie się państwo, jaki to hardy, a mleko ma pod nosem. Na salony mu się zachciewa. A idźże se ruchać na pokoje. U nas za takie bejmy, co tam biorą, miałbyś obsługę przez tydzień, i tak by my we dwie ci zrobiły, żebyś ani nie zipnął. Co nie, Klarcia? – Spojrzała na swoją koleżankę, z którą przed chwilą jeszcze chciała zewrzeć się w bojowym uścisku.

– A pewnie, a pewnie, Joluś kochana. A niech idzie precz, bo nie wie, co traci, a mógłby u nas obu...

Wywiadowca nie zdążył się dowiedzieć, co by mógł. Zniknął w bramie i powoli wspiał się na drugie piętro. Przed drzwiami przystanął i poprawiwszy swój płaszcz z wełnianym kołnierzem, zapukał głośno i energicznie pięć razy. Po chwili powtórzył jeszcze raz pukanie, choć nie musiał. Nim uderzył po raz ostatni, jedno skrzydło otworzyło się. Stała w nim pulchna, uśmiechnięta od ucha do ucha brunetka w fartuszkach pokojówki.

– Pan szanowny zachodzi, bo cug od bramy idzie – stwierdziła na powitanie i zaraz pociągnęła go ku sobie za rękaw. Dał się

wprowadzić i ustawić pod ścianą, podczas gdy dziewczyna zajęła się zamykaniem drzwi. Stwierdził, że są trzy ryglowe zamki. Czas otwarcia to jakieś dziesięć sekund od środka. Da się to zrobić nawet szybciej. Wytrychem zajmie to jego ludziom trzydzieści, czterdzieści sekund, oczywiście jeśli będzie to robił Stolarski, który na otwieraniu zamków znał się w policji jak mało kto.

– A tutaj się można powiesić. – Wskazała na przytwierdzony do ściany solidny dębowy wieszak z kilkunastoma kołkami. Wisiało na nim pięć męskich palt. W niedzielny wieczór nie było więc wielkiego ruchu. Powiesił swoje obok tego należącego do profesora.

– Pan niech zachodzi, tu o, na prawo. – Wskazała na lewo.

– Na lewo – poprawił ją Krause.

– No przecie powiadam – zgodziła się z nim dziewczyna. – Prosto pan idzie. Wie pan, gdzie salon jest?

– Phosto.

– Właśnie, pan zachodzi, ja zaraz idę do madamy i powiem, żeś pan przyszedł. Zaraz dziewczynki się podeśle.

– Nie pali się. – Wywiadowca uśmiechnął się lekko wstydliwie, by pokazać, że jest nieobytym klientem, któremu będzie się należała specjalna opieka. – Najsampiehw bym się co napił – wyjaśnił swoje intencje.

– Pan idzie na salony, tam picia jest pod dostatkiem i w bród nawet – wyjaśniła i pognąła w głąb mieszkania, gdzie zapewne mieściły się pokoje rozkoszy. Wywiadowca ruszył korytarzem we wskazanym kierunku.

Szerokie drzwi na końcu były uchylone. Pchnął jedno skrzydło i wszedł do środka dość niepewnym krokiem. Światło miało tu kolor jasnej purpury. To za sprawą czterech kinkietów elektrycznych, których abażury zrobione były z bordowego jedwabiu. Mimo to jednak każdy element wnętrza był doskonale widoczny, a dodatkowo spowity pewną aurą tajemniczości.

Niczego tajemniczego nie miał w sobie za to mały, okrągły i łysawy jegomość, którego Krause rozpoznał natychmiast. Rozwalony na sofie, z butelką szampana w ręce prawej, lewą obejmował pannę, młodą i całkiem ładną brunetkę, która właśnie rozpinała mu koszulę.

– Nie tak szybko, nie tak szybko, moja piękna. Jeszczem szampana nie wypić.

– Wypijesz z moich ust w pokoju, mój ty ogierze.

– Że co?

– Że z moich ust...

– Ja nie o tym! – Wywiadowca Gil poderwał się na równe nogi. – A ty tu co...?

– Ja, no, w zasadniczej kwestii...

– Czyli, że jak?

– Ano tak, że hadziłbym jednakowoż hożpohek se zapnać, bo może być pohuta jak diabli.

– Ale... – Gil był dość mocno wstawiony, ale powoli zaczynał kojarzyć fakty. Fakt, że w tym pokoju znalazł się Krause, mógł według niego oznaczać jedno: ten Niemiec go śledził!

– Śledziłeś mnie?

– Ja, a po jaką cholehę?

– Kto kogo śledził? – Zza ramienia wywiadowcy wysunęła się platynowa blondynka, której długie włosy układały się na czarnym szlafroku jak kaskada wodospadu. Twarz miała naznaczoną dość mocno zębem czasu i najbardziej zdecydowany makijaż niewiele mógł z tym faktem zrobić. Ale kto by tam patrzył na twarz, jeśli tym, co przyciągało wzrok mężczyzn, były ogromne piersi, wręcz wylewające się z mocno związanego sznurkami gorsetu.

W pomalowanych na czerwono ustach kobieta trzymała długą, szklaną lufkę, w której tkwił papieros.

– Jestem madame Alouette. – Wyciągnęła w kierunku nowo przybyłego gościa dłoń do ucałowania. Krause chwycił ją oburącz i z gracją skłonił się, ledwie musnąwszy pomarszczoną skórę wargami.

– *Il est très charmant, n'est-ce pas?*^[26] – spytała, spoglądając na Gila. Ten tylko wzruszył ramionami, bo francuskiego nie znał ni w ząb.

– Pani zbyt łaskawa, madame – stwierdził bardzo grzecznym tonem wywiadowca.

– To kto kogo śledził? – zapytała burdelmama, podchodząc do stojącego na stoliku patefonu. Pokręciła korbką i opuściła igłę na

wirującą płytę. Pokój wypełniła muzyka Straussa, dzięki której zrobiło się miło jak *Nad pięknym modrym Dunajem*.

– Tak mnie się ino zdawało – próbował zatuszować gafę Gil, ale nie był zbyt przekonujący.

– Temu panu być może za dużo się zdaje, sama pani rozumie – powiedziawszy to, Krause mrugnął znacząco. Ta argumentacja wydała się jej w tej chwili bardzo rozsądna. Pijany grubas mógł mieć przecież alkoholowe zwidy. Trzeba by go czym prędzej dać do pokoju z dziewczyną, żeby jeszcze jakiej awantury nie sprokurował, pomyślała właścicielka domu uciech i od razu wydała polecenie.

– Monique, *ma chérie*, idź proszę, pokaż panu nasz najpiękniejszy, czerwony pokój, a pana zapraszam na kanapkę. Z przyjemnością zabawię pana interesującą i wytworną *conversation*.

Ale z zapowiadanej interesującej rozmowy nic nie wyszło, bo nagle od korytarza do uszu zebranych w pokoju osób dobiegł jakiś rumor, a zaraz potem ciszę rozdarł świdrujący dźwięk policyjnego gwizdka. I ten gwizdek właśnie sprawił, że Gil zrozumiał w końcu, o co chodziło Krausemu. Podał więc butelkę panie Monique, a sam zabrał się za doprowadzanie swojej garderoby do porządku.

W tym momencie do środka wkroczył sprężystym krokiem aspirant Pikuła.

– Wiecie już, co i jak? – zapytał bez zbędnych ceregieli wywiadowcę Krausego.

– Pokoje są tam, a to jest właśnie pani Alouette, co jest tutaj burdelmama.

– Tylko nie burdelmama! – zawołała kobieta, najwyraźniej urażona.

– Ja jestem tutaj *maitre d'hôtel* [27]!

– Hotele, burdele, marmułazele, he, he, he! – podsumował Gil, który już zdążył doprowadzić się do porządku. Jeszcze nie bardzo rozumiał, jak to się stało, że jego policyjni koledzy znaleźli się w tym miejscu o tej samej, co on porze, ale był na tyle cwany, żeby robić dobrą minę do złej gry i pokryć wszelkie niedomówienia na temat swojej tu bytności bezczelnością.

– Panowie razem co ustalili? – zapytał pewnym, a nawet można by powiedzieć dowódczym tonem oficer.

– Jeszcze nie było czasu na bliższe okoliczności – stwierdził Gil.

– Aha. – Pikuła spojrzał groźnie na szefową interesu. – To gdzie ten kwiat liliji?

– Co? To oburzające!

– Gdzie dziecko, gadać mi zaraz i ten, jak mu tam?

– Profesor Kirchner – podpowiedział wywiadowca Krause.

– Ależ, panie oficerze, ja złożę skargę. To oburzające! Pan nawet nie wie, na co się porywa. Ja jestem bardzo ustosunkowana! – Pani Alouette próbowała zrobić wszystko, by ochronić swoich klientów, ale robiła to pro forma. Przeżyła już bowiem niejedną naloć policyjny na swój burdel i wiedziała, że jej głośne groźby są tylko pustym gestem, skierowanym raczej do klientów niż policjantów. Ci i tak przecież robią swoje.

– A tego profesora od malunków to paniusia żeś sama pod rękę poprowadziła – przypomniał sobie Gil, który był świadkiem tego, jak profesor został tu przyjęty ze szczególnymi honorami.

– O proszę, no to pani prowadzi. – Aspirant wskazał jej palcem kierunek. Kobieta zawiązała mocniej szlafrok i ruszyła przed siebie, okazując demonstracyjnie swoją niechęć wobec tego jawnego gwałtu.

Korytarz pełen był policjantów. Odźwierna w fartuszkach stała przy wieszaku z rękoma złożonymi na podółku. Madame Alouette przeszła obok z dumnie uniesioną głową, nie uraczywszy jej nawet przelotnym spojrzeniem. Po chwili zatrzymała się przed drzwiami do jednego z pokoi. Popatrzyła z wyrzutem na oficera policji, a potem delikatnie zapukała.

– Panie profesorze, przepraszam...

– Nie teraz, do cholery! – zawołał z wnętrza ktoś piskliwym głosem.

– Ale bo właśnie... – nie dokończyła, bo Pikuła odsunął ją od drzwi, chwycił za klamkę i pchnął. Nie były zamknięte na klucz. Wszedł więc do środka pewnym krokiem. Pokój skryty był w półmroku rozświetlany podobnie jak salon czerwonym światłem z jednej lampki. Na łóżku ktoś gwałtownie się poruszył. Aspirant ruszył przed siebie.

Mężczyzna był do połowy rozebrany. Widać śpieszył się bardzo, bo nie zdążył zdjąć koszuli. Za to spodnie i gacie owszem. Wielki

w porównaniu do reszty ciała tyłek świecił nagością. Spod niego wystawały jakieś drobne, chude nogi.

– Ty śmierdzący, stary koźle – warknął policjant i złapawszy delikwenta za kołnierz, szarpnął mocno. Ściągnął go z całkiem gołej postaci, która zapiszczała głośno. Policjant spojrział machinalnie w dół. Jej podbrzusze i spora część prześcieradła uwalane było ciemną substancją. Pikuła domyślił się, że to musi być dziewczicza krew dziecka. Spojrzął w twarz niewiniątka, które dopiero co zostało skrzywdzone przez starego obleśnego dziadygę, i w oczach poczuł wilgoć.

– Chodź, dziecko, zawieziemy cię do lekarza na badanie. Nie bój się, maleńka.

Dziecko popatrzyło na aspiranta, marszcząc brwi, a potem odpowiedziało niezbyt przyjaznym tonem:

– A ciąg mi stąd, szuszwolu niemyty. Spierdalać w podskokach, szkieły zasrane, bo to jest prywatne spotkanie i nic wam do tego, kto tu kogo rucha i za ile, bo wszystko legalnie i zez książeczką się odbywa!

– Pierdolona Dzidzia – stwierdził, z trudem powstrzymując śmiech, wywiadowca Gil, który wsunął się do pokoju zaraz za dowódcą akcji. Tę dziecinę dobrze znali poznańscy policjanci. Pracowała dla kilku burdeli i zamawiana była na specjalne okazje. Jeśli klient miał życzenie rozdziewiczyć jakąś bardzo młodą panienkę, posyłało się po Dzidzię. Ta mimo swoich trzech krzyżyków na karku jakimś dziwnym kaprysem natury i losu była niewielkiego wzrostu, a twarz miała dziecinną i niewinną. Numer z dziewicą opracowała do perfekcji, używając dla zmylenia klienta rybiego pęcherza wypełnionego świńską krwią. Ponadto potrafiła bardzo udatnie odgrywać kwilenie dziecięce i dzięki temu akt pozbawiania cnoty małej dziewczynki był bardzo przekonujący. A głupcy za jej usługi płacili jak za zboże.

Aspirant Pikuła, spoglądając na zakrwawione prześcieradło i na anielską twarz kobiety, zrozumiał w końcu, co się stało, podjął błyskawiczną decyzję. Tylko w ten sposób bowiem mógł wyjść z tej nieudanej akcji z twarzą.

– Starszy posterunkowy! – zawołał głośno. Kierowca policyjnego autobusu przecisnął się przez drzwi i stanął na baczność przed oficerem.

– Na rozkaz, panie aspirancie.

– Bierzemy wszystkich!

– Co?

– Wszystkich, cały burdel. Wszystkich do wozu i na komisariat!

– Ja bym zasadniczo proponował panu aspirantowi, żeby jednakowoż nie wszystkich – wtrącił się Gil, który wiedział, że w policyjnej robocie ważne jest, żeby oddzielać ziarno od plew.

– Kwestionujecie moje rozkazy? – zapytał butnie oficer.

– Gdzieżbym śmiał, nigdy w życiu, ino że...

– Że co?

– Że melduję, że nic. – Wywiadowca wzruszył ramionami. Co go w końcu to obchodziło?

Dziesięć minut później policyjny autobus wypełniony był po brzegi rozneglizowanymi kobietami o obojętnych twarzach i mężczyznami o minach ponurych, które mogły zapowiadać wiele różnych nieszczęść. Znow zaczął padać deszcz.

[24] Teraz Giżycko.

[25] Więcej o tym w powieści *Pójdę twoim śladem*.

[26] *Il est très charmant, n'est-ce pas?* (franc.) – On jest bardzo szarmancki, nieprawdaż?

[27] *Maitre d'hôtel* (franc.) – zarządca hotelu.

Rozdział VII

Schneidemühl
Poniedziałek
10 kwietnia

Godzina 6.10 rano

Wydawało się, że kobieta patrzy przez okno na rozciągający się po drugiej stronie Friedrich Straße miejski park. Choć widok był niezbyt ciekawy, bo drzewa jeszcze na dobre się nie zazieleniły, a od rana z ciężkich chmur padał deszcz spływający na parkowe konary sążnistymi strumieniami. Kto wie, może nawet doceniłaby ten wodny spektakl, ale nie miała na to najmniejszej szansy. Nie żyła już od dłuższego czasu, a jej oczy zniknęły pod nabrzmiętymi powiekami, które zrobiły się bulwiaste, uniesione przez musze jaja, złożone w przestrzeni między gałką oczną a powieką.

– Jakieś osiem godzin najwyżej – stwierdził doktor Kamiński.

– Nawet jej pan nie dotknął – stwierdził z wyrzutem policjant, porucznik Kripo[28], Karl Aschmutat.

Stary lekarz uśmiechnął się pod wąsem wykręconym w górę, tak jak to był łaskaw czynić jeszcze kilka lat temu sam cesarz. Teraz Niemcy nie miały już cesarza, ale wielbiciele jego wielkości i chwały nadal trwali na posterunku.

– Pan mi wygląda na byłego frontowca – stwierdził, spoglądając na trzydziestoletniego oficera.

– Owszem, od 1917 roku na froncie zachodnim do samego listopada.

- Rozumiem, że w okopach, a nie w sztabie?
- Okopy, oczywiście.
- No to musiał się pan napatrzeć na trupy.
- Widziałem ich tyle, że...
- Że jeden więcej nie robi na panu wrażenia?

Oficer wzruszył ramionami, bo i cóż miał powiedzieć? Rzeczywiście, ta okrutna wojna uodporniła go. Śmierć stała się dla niego czymś całkowicie powszednim. Zastanawiał się nawet, czy to nie oznacza, że wojna odebrała mu resztki człowieczeństwa i przestał być już zdolny do ludzkich uczuć? Skoro majestat śmierci, z którym przez całe dzieciństwo stykał się jak z czymś wyjątkowym i podniosłym, przesiąkł zapachem gówna i rozkładających się zwłok, tracąc bezpowrotnie swoją transcendentálną wymowę.

- To normalne. Wiem coś o tym, choć moja wojna, również prowadzona we Francji, ale pół wieku temu, także sprawiła, że śmierć spowszedniała. Ale ja przynajmniej starałem się wyciągać z niej wnioski.

- Jakie na przykład?

- Ano takie, że jako człowiek dociekliwy obserwowałem owady. Ludzie brzydzą się owadów, a much w szczególności. A ja, drogi panie poruczniku, obserwuję muchy. I wie pan, co mi takie obserwowanie daje? Ot, choćby tyle, że wystarczy mi rzut oka na trupa i wiem, kiedy delikwent opuścił ziemski padół.

- Jak to? - zdziwił się policjant.

- Widział pan zapewne roje much nad trupami?

- Oczywiście.

- Ale niespecjalnie przyglądał się pan, co one tam robią. A one zwyczajnie szukają miejsca do złożenia jaj. Składają je tam, gdzie jest miętko i gdzie larwy szybko przebiją się przez tkanekę. Czyli w oczach, uszach i na ustach. No i oczywiście tam, gdzie są rany. Tu ran nie ma, bo nasza pani została uduszona. O, niech pan spojrzy na krwawe wybroczyny na szyi i koniuszek wystającego z ust języka. Muchy go jeszcze nie zaatakowały i nie ruszyły otworu gębowego, ale zaczęły od najbardziej miękkiego miejsca, czyli oczu. I nasze oczy zostały dosłownie zalepione. A to oznacza, że denatka nie żyje od jakichś ośmiu godzin. O proszę, oto i jajeczka. Całkiem dojrzałe

i niebawem się wyklują z nich piękne larwy, które zaczną żreć... o, tu... – Podważył skrawek powieki scyzorykiem i pęsetą zdjął z oka białą kolonię jaj. – O, niech pan spojrzy...

Policjant nie spojrział. Nie było go już przy lekarzu. Nachylał się bowiem nad wiadrem stojącym w kuchni i wymiotował.

– Panie poruczniku, melduję, że mamy gnoja. – Wachmistrz Kaulitz, wysoki i wielki jak dwudrzwiowa szafa policjant, stanął w odległości przepisowych dwóch metrów od oficera. Nie przejął się wcale tym, że ten właśnie kończył wymiotować. W policji pracował już od ponad trzydziestu lat i niejedno widział. Szczególnie młodych funkcjonariuszy rzygających jak koty podczas oględzin miejsca zbrodni.

– Zaraz, wachmistrzu, do cholery...

– Mamy go tu, na dole. Spał w komórcie na węgiel pijany jak świnia. Ale już wytrzeźwiał, bo Zaufan i Fickel się za niego zabrali.

– Jak zabrali? – Porucznik odwrócony tyłem do podoficera właśnie wycierał sobie usta chusteczką. Kaulitz rozejrzał się i dostrzegł rząd kubków w kredensie. Podszedł do szafki, wydobył największy i wybiegł z nim na korytarz. Nim jego przełożony zdążył się doprowadzić do porządku, wrócił z napełnionym garnuszkiem.

– Wodą trzeba by gębę wypłukać, żeby kwaśny niesmak przeszedł.

– Dziękuję. – Oficer wziął z rąk wachmistrza naczynie i szybko przepłukał gardło. – Od razu lepiej. Pieprzone muchy.

– Pan jednakowoż delikatny człowiek – zaśmiał się lekarz.

– Czyli że kogo mamy, wachmistrzu? – zapytał Aschmutat, który już wrócił do siebie, choć o niedyspozycji świadczyły jeszcze zaczerwienione oczy.

– Melduję posłusznie, że mamy jej męża. Ernst Lustig się nazywa, a jego nieboszczka żona to Klara.

Porucznik spojrział na kobietę, tak jakby chciał się upewnić, że rzeczywiście to mężatka. Wyglądała na jakieś trzydzieści, czterdzieści lat. Trudno było określić, ile dokładnie mogła mieć, bo widać było, że twarz ma mocno zniszczoną. Tak odciska swoje piętno na ludziach bieda, pomyślał.

Tę biedę widać było w mieszkaniu. Składało się ono z jednego pomieszczenia, które było kuchnią i sypialnią jednocześnie. Pod

ścianą stała koza, która zapewne służyła nie tylko do ogrzewania, ale i gotowania posiłków, pod drugą łóżko, a w kącie jeszcze jedno, mniejsze. Na tym małym, na rozgrzebanej pościeli, szmaciana lalka, której paciorkowe oczy wpatrywały się w jakiś punkt na suficie.

– A gdzie jest dziecko? – spytał oficer.

Kaulitz wzruszył ramionami. O dziecku nikt go wcześniej nie informował, więc nie szukał.

– Na łóżku jest lalka. Nie myślicie chyba, że ten jej mąż bawił się lalkami?

– Melduję, że nie myślę, znaczy się nie wiem, ale zaraz się go przepytam.

– Dajcie go tutaj, sam się zapytam. A wy idźcie do sąsiadów, do tych, co zawiadomili policję, niech powiedzą, gdzie jest dziecko albo dzieci.

Wachmistrz się odmeldował i wyszedł na schody. Tymczasem porucznik przełamał się i znów podszedł do lekarza, który oczyścił już zwłoki z muszego paskudztwa.

– No teraz już nam jej muchy nie zjedzą. – Lekarz uśmiechnął się, zadowolony. – A wie pan, że dzięki muchom można z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że w jakimś pomieszczeniu doszło do krwawej zbrodni, nawet jeśli zbrodniarz dokładnie zatrze ślady i zmyje krew z podłogi?

– Jak to? – zainteresował się porucznik.

– Bo muchy, drogi panie, nie mogą się oprzeć i jak poczują krew, to od razu w nią włożą i jedzą, ile się da.

– Tak jak my kaszanke – zażartował policjant.

– Dobre porównanie. Też widać mamy coś z muchy. No więc taka mucha, jak się nazre, to odlatuje gdzieś, gdzie może spokojnie wypocząć. No i tam, siadając, wysuwa swoją trąbkę, taki narząd, który jest jej językiem, i tym narządem dotyka miejsca, na którym usiadła. A że krew na jej trąbie jeszcze nie zaschła, zostawia ślad.

– Pieczętkę.

– O właśnie, już mnie pan rozumie.

– Staram się, doktorze. Ale takie ślady przestępca może przecież też usunąć.

Uśmiechnięty od ucha do ucha lekarz pokręcił głową.

– Przecenia pan naszych morderców. Mordują, ale rzadko który usuwa ślady. A jak już zdarzy się taki czyścioszek, który ściera umyje podłogę do czysta, to przecież nie wpadnie na pomysł, żeby sprawdzić miejsca, w których siadają muchy. A właśnie, gdzie takie muchy siadają?

– Na oknie.

– Owszem, wtedy gdy chcą wylecieć na zewnątrz. Ale jeśli mają krew pod bokiem, nigdzie nie będą uciekać. Siadają więc, drogi poruczniku, na lampę, na framugę okienną, na krawędź drzwi czy okna albo na sufit.

Aschmutat spojrział w górę, ale na suficie niewiele można było dostrzec.

– Założę się, że gdybyśmy sprawdzili górną krawędź tego obrazu – lekarz wskazał oleodruk przedstawiający Świętą Rodzinę z owieczkami – to znaleźlibyśmy tam sporo malutkich muszych plamek.

– Sugeruje pan, że kogoś tu zaszlachtowano już wcześniej, to znaczy było jeszcze jakieś inne morderstwo?

– Nie, to plamki z gówna.

– Co?

– No z tego wiadra, do którego pan łaskaw był rzygać. Tam się robi w nocy kupę, a mucha to zjada i leci na ramę obrazu odpocząć, he, he, he!

– Ohyda. – Porucznik potrząsnął głową. Na szczęście nie musiał dłużej zajmować się muchami. Dwaj policjanci wprowadzili bowiem do mieszkania szczupłego mężczyznę z kilkudniowym zarostem na twarzy. Nie miał na sobie butów, a jedynie dziurawe skarpetki. Jego spodnie były brudne i przetarte na kolanach. Biała koszula, uwalana sadzą, była zakrwawiona. Ale najgorzej wyglądała jego twarz. Przypominała befsztyk tatarski.

– Może mówić? – Porucznik spojrział z lekką przyganą na ubranego po cywilnemu wachmistrza Eryka Zaufana. To on właśnie odebrał doniesienie od sąsiadów, że w mieszkaniu na pierwszym piętrze zrobiło się kompletnie cicho po wielkiej awanturze. No więc na wszelki wypadek wziął ze sobą swojego kolegę Fickela i poszli we dwóch sprawdzić, w czym rzecz. Weszli na schody, zapukali do

drzwi, a że nikt nie otwierał, więc na wszelki wypadek Zaufan nacisnął klamkę i okazało się, że od środka nie jest zamknięte. Znaleźli nieżywą, uduszoną kobietę i ani śladu jej męża. Natrafili na kompletnie pijanego w komórce na podwórzu i od razu wzięli się do roboty, czyli zaczęli mu tłumaczyć, że policji mówi się tylko prawdę. Pięć minut później Lustig powiedział wszystko, co mogło zainteresować policjantów.

– To wyście zabili żonę? – zapytał Aschmutat?

Mężczyzna spojrzał na Zaufana, który uśmiechał się do niego i jednocześnie lekko pokiwał głową.

– Ja – przyznał Lustig.

– Dlaczego?

– Bo to zła kobieta była.

– Tak? Czyli biła was czy głodziła?

Pokręcił głową.

– Za to bym jej nie udusił.

– To za co?

Przez chwilę mężczyzna wpatrywał się w okno. Deszcz ciągle padał.

– Za dziewczynki... – powiedział cicho i spuścił głowę.

– Mówcie jaśniej, do cholery – zdenerwował się porucznik.

– Opowiadaj wszystko tak, jak żeś nam mówił, bo inaczej... – Wywiadowca Fickel podsunął mu pod nos pięść, z którą zapewne morderca zdążył się już zapoznać.

– Nasze małe córeczki. Ta suka je sprzedała. Wywiozła na wieś i sprzedała. No to jakem się dowiedział, to nie wytrzymałem. Musiałem ją ukarać. Bo jak kto jest zły, to go kara musi osiągnąć, kara ludzka albo boska. Ino że ja na boską to nie mam czasu czekać i wzięłem sprawy w swoje ręce. Wyrwałem chwasta.

Aschmutat uważnie popatrzył na przesłuchiwanego. Pod jego spojrzeniem mężczyzna spuścił wzrok.

– Komu je sprzedała?

– Handlarzowi, co się nazywa Heini Elken i mieszka w Usch, co je miał zawieźć do Polski, do Posen.

Lustig wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie, jakby wszystko dookoła stało się dla niego całkowicie obojętne.

– Zabierzcie go – rzucił Aschmutat w stronę swoich dwóch podoficerów.

– Tak jest, panie poruczniku. A co z nim zrobić?

– Skuć go i do aresztu. I nie cackać się z nim, to w końcu morderca.

– O, widzę, że pan porucznik już całkiem w formie – ucieszył się lekarz. – A wie pan, dlaczego gdy się kładziemy na poobiednią drzemkę, zaraz jakaś natrętna mucha siada nam na nos?

– Daj pan już spokój z tymi cholernymi muchami.

Dwaj podoficerowie chwycili mordercę pod pachy i podnieśli go w górę. Po chwili byli już na korytarzu.

– Taka mucha, panie poruczniku, siada na pańskim nosie, żeby sprawdzić... – nie dokończył, bo opowieść przerwał mu hałas, który dobiegł ze schodów. Zdaje się, że Lustig znalazł się na parterze szybciej, niż zdołał o tym pomyśleć. Podoficerom chyba nie chciało się go sprowadzać na dół.

Godzina 6.50 rano

– No dalej, wstawać! – zawołała kobieta. Dziewczynki zaczęły unosić zaspane głowy. – Musicie wreszcie zarobić na swoje utrzymanie. Ubierać się i szybko do kuchni na śniadanie. A potem będziecie sprzątać i myć podłogi.

Chuda i mocno już zwiędła Wilhelmina musiała sama zająć się poganianiem dziewcząt. Dotąd robiła to za nią trzynastoletnia Agata. Ale od wczoraj Agaty nie było. Została odesłana do innego miejsca w Poznaniu, w którym potrzebna była młoda i świeża dziewczynka.

Dziewczynki zaczęły zwlekać się z materaców. Tylko na prawo od drzwi, tam gdzie spały Gabrysia i Zosia, nic się nie działo. Obie leżały przykryte kocami, czekając na to, co się wydarzy. Wilhelmina podeszła więc do ich łóżek i pochyliła się nad Zosią. Ta spojrzała na nią przestraszona.

– Długo jeszcze będziesz się lenić?

– Ja się nie lenię, ale mnie brzuch boli.

– Pokaż ten brzuch. – Zdjęła z niej koc. – No dalej, odwrócić się.

Poruszyła się i jęknęła, jakby ją naprawdę coś wewnątrz bolało. Kobieta dotknęła jej boku z prawej strony. Nic się nie wydarzyło. Przejechała palcami na drugą stronę i wraziła palec mocno w bok.

– Auuu! O Jezusie, boli! – Zosia krzyknęła głośno, a spojrzenia wszystkich dziewczynek skierowały się w jej stronę.

– Zostaw ją, ty cholero! – Gabrysia usiadła na łóżku. Oczy miała podkrążone, tak jakby nie spała całą noc.

– A ty co? – zdziwiła się kobieta, która nie była przyzwyczajona do pyskowania.

– Gównu. Nie widzisz, że jest chora? Trzeba by jej lekarza.

– Za lekarza się płaci.

– To zapłać, ale sama jej nie dotykaj.

– Bo co? – Kobieta wzięła się pod boki i zmierzyła ją groźnym spojrzeniem. – Może mi zabronisz?

– A zabronię! – Gabrysia uniosła się na sienniku, a potem błyskawicznie wstała.

Wilhelmina spojrzała na nią groźnie, zaciskając dłonie w pięści, gotowa zrobić z nich użytek. Naraz spojrzała na białą, płócienną koszulę dziewczynki. Czerwona plama ciągnęła się od brzucha w dół ku nogom. Na bosych stopach też była krew. Gabrysia podążyła za jej spojrzeniem.

– O Jezu! – jęknęła i zaraz opadła na kolana. Szybko usiadła na sienniku podciągając nogi ku sobie. Krew była też na prześcieradle.

– Jasna cholera, trzeba by cię umyć, bo wszystko zapaskudzone.

– Nie dam się myć...

– Zamknij się. Ej, wy tam, już biegiem do kuchni i garnek z wodą postawić mi na piecu. Zaraz tam przyjdę zobaczyć. I brać się za sprzątanie.

Dziewczynki posłusznie wyszły z sypialni. Z tymi przynajmniej Wilhelmina nie miała żadnego kłopotu. Wszystkie zostały oddane dobrowolnie przez opiekunów czy rodziców i wiedziały, że tu będą miały lepsze życie niż na ulicy. Dlatego były potulne i robiły to, co się im każe. Najgorzej z tą małą Niemką. Czy Polką? zastanawiała się kobieta. Z takimi jak ona tylko ciągły kłopot. Widać, że się będzie stawiać, bo jest harda i pyskata. Ale najważniejsze, że już jest rozdziwiczona. Teraz już wszystko pójdzie z górki. Byleby tylko

czegoś tam w środku nie miała uszkodzonego. Bo jeszcze się może okazać, że jedną tylko noc popracowała i już po robocie. Zembrze i tyle będzie z niej pożytku. Bo z tej drugiej chyba już wcale nic nie będzie. Spojrzała na Zosię, która leżała na boku przykryta kocem, z nogami podciągniętymi do góry. Jak kto ma chory bok, to niewiele się da zrobić. A na operację nikt pieniędzy wydawać nie będzie. A szkoda, bo śliczna jak z obrazka. Nie ma się co dziwić, że szefowa, jak ją tylko zobaczyła na mieście, od razu wiedziała, że trzeba ją brać. Takie piękne niebieskookie blondyneczki są najwięcej warte. Oczywiście pod warunkiem, że są zdrowe.

– Stefan, chodź ino tutaj – zawołała w głąb korytarza. – Stefan chodź ino, bo musisz mi pomóc!

Odpowiedziała jej cisza.

– Gdzie on się podział, ten niecnota. Ino utrapienie z tym moczymordą. Pewnie zaś gdzie polazł. Stefan, Stefan!

Nie było odpowiedzi, więc wyszła z pokoju na poszukiwania Stefana, zamykając za sobą drzwi na klucz.

– Co ci się stało, Gabrysiu? – Zosia odwróciła się do koleżanki. Ta uśmiechnęła się zadowolona.

– Nic takiego. Naprawdę nic.

– A ta krew to co?

– Nic, zobacz – Wyciągnęła spod poduszki nożyczki.

– Po co ci te nożyczki?

– Żeby uciekać.

– Jak?

– Zaraz ci wszystko powiem...

– Ale...

– Uciekamy stąd. Już wiem, jak to zrobić.

– A te nożyczki... Czy chcesz nimi kogoś zabić?

Gabrysia uśmiechnęła się tajemniczo.

– Na razie to tylko sobie przecięłam rękę. – Wysunęła dłoń w kierunku koleżanki i pokazała jej ranę na wewnętrznej stronie dłoni. Zosia spojrzała na przeciętą skórę i poczuła, jak robi jej się słabo.

– To nic takiego. Zacięłam się tymi nożyczkami. Ostre są bardzo. Ale to dobrze, bo dzięki temu będę miała dziś w nocy spokój.

- O czym ty mówisz?
- O tym pijanym starym pierdzielu, co przyszedł do mnie w nocy.

Mężczyzna mógł mieć przynajmniej pięćdziesiąt lat. Był gruby, pomarszczony i spocony. Przyniósł do pokoju butelkę francuskiego szampana i dwa kieliszki. Ale widać było od razu, że niewiele z niego będzie. Gabrysia знаła się na pijakach jak mało kto. Jej ojczym pił codziennie i często widziała, jak zasypia, wypiwszy zbyt dużo. Postanowiła więc mu pomóc.

- A pan to tak umie całą butelkę takiego szampana wypić? - zapytała podchwytliwie.

- Niby że ja bym nie dał rady?

- Tak se właśnie myślę.

- Ja dam radę tej butelczynie i tobie też dam radę. Madame powiadała, że jesteś jeszcze nieruszana. Nie miałaś jeszcze mężczyzny?

Pokręciła szybko głową. Niech no spróbuje do niej podejść, to go dziabnie w szyję tymi nożyczkami. Nie dostanie jej, choćby nie wiem co. Widziała, jak jej matka cierpiała i jęczała z bólu, jak się na niej układał tamten wieprz. A teraz miałby z nią to robić ten tu zapijaczony bydlak. Nigdy w życiu. Zabije siebie i jego.

- No to ja ci dziś pokażę, co znaczy prawdziwy mężczyzna. Tak ci dziś dogodzę, że na całe życie będziesz pamiętać i będziesz mnie wspominać w swoich snach...

- A szampan? - Wskazała butelkę.

- Co szampan? Chcesz się napić. Proszę bardzo. Już ci naleję.

- Ale ja nie chcę. Ja chcę zobaczyć, czy pan wypije całą butelkę.

- Ja nie wypiję? Ja nie wypiję?

Wstał z krzesła i z butelką w dłoni podszedł do łóżka.

- Ale najpierw mnie rozbierz. No dalej. Zdejmij mi buty i spodnie, i wszystko...

Położył się na łóżku, a ona powoli zaczęła ściągać z niego ubranie.

- Kalesony też zdejmuj. O tak, teraz już mogę swobodnie oddychać.

Przekręciła się na bok.

- A teraz ty się rozbieraj. Chcę zobaczyć, za co zapłaciłem.

– Panie radco, czy wszystko jest w porządku? – zapytał kobiecy głos zza drzwi.

– W najlepszym porządku – odpowiedział.

– A jak pan znajduje dziewicę?

– Bardzo znajduję. A tak w ogóle to jestem w chwili obecnej nadzwyczajnie zajęty i prosiłbym o nieprzeszkadzanie.

– Ależ oczywiście, panie radco. Jednakowoż, gdyby se pan co życzył.

– Nic sobie nie życzę!

– Wybornie, panie radco. Więc nie przeszkadzamy.

– O to chodzi, o to chodzi...

Radca zadowolony spojrzał na Gabrysię, która rozebrana do naga usiadła obok, na łóżku.

– Nie poradzi pan tej butelce?

– Ja nie poradzę? Owszem, że poradzę.

Poradził. Dziesięć minut później radca i koneser dziewiczego piękna leżał rozwalony jak basza, pochrapując dźwięcznie. Gabrysia wiedziała, że ten stary zboczeniec obudzi się najwcześniej za kilka godzin. Miała więc czas, by przystąpić do działania. Wydobyła nożyczki i przez chwilę przyglądała się ostrym czubkom. Najlepiej byłoby upuścić trochę krwi temu obleśnemu typowi, ale mógłby się ocknąć i cały jej plan spaliłby na panewce. Trzeba było się poświęcić. Chwyciła nożyczki w prawą rękę, ostrze przyłożyła do lewej dłoni, a potem zamknąwszy oczy, szarpnęła mocno. Krzyknęła głośno, gdy ostrze przecięło skórę. Od razu pojawiła się krew. Wiedziała, co powinna zrobić. Opowiadały o tym starsze koleżanki.

Z obrzydzeniem chwyciła tą zakrwawioną dłonią przyrodzenie radcy i umazała je dokładnie, łącznie z podbrzuszem i nogami. Potem to samo zrobiła z prześcieradłem i w końcu ze swoim brzuchem.

Po chwili krew z rozciętej dłoni przestała lecieć, ale nie była już potrzebna. Łóżko, prześcieradło i co najważniejsze amant, wszystko wyglądało tak, jakby rozdziewiczył przynajmniej kilka niewinnych dziewcząt.

Położyła się na łóżku i przeleżała cicho jak trusia jakąś godzinę. W końcu wstała i podeszła do drzwi. Na korytarzu było cicho, tak

jakby wszyscy już dawno poszli spać. Zamknęła więc pokój z chrapiącym radcą i ruszyła długim korytarzem w kierunku wyjścia. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wyszła więc na klatkę schodową. Przez chwilę kusiło ją, żeby zbiec tymi schodami w dół i uciec gdzie pieprz rośnie, ale wtedy pomyślała o Zosi. Nie mogła jej tak zostawić.

Pociągnęła za klamkę. Drzwi do mieszkania naprzeciwko ustąpiły. Weszła do środka, a potem zaraz na lewo. Tam był ten pokój, w którym je trzymano. Zegar gdzieś w mieszkaniu zaczął wybijać godzinę. Policzyła cztery uderzenia. Czwarta. Wszyscy o tej porze spali. To najlepszy moment na ucieczkę.

– Uciekniemy dziś w nocy – wyjaśniła koleżance.

– A jak cię wezną znowu?

– Nikt mnie nie weźmie. Nie po to straciłam tyle krwi, żeby mnie w nocy brali. Zobaczysz, że mnie zostawią w spokoju. Ciebie też. Uciekniemy.

Drzwi od pokoju otworzyły się. Wilhelmina weszła do środka z wielką aluminiową miską w dłoni. Za nią wszedł Stefan niosący dwa wiadra. Z jednego buchała gorąca para.

Kobieta postawiła miskę na podłodze i kazała mężczyźnie nalać do niej wrzątku. Potem sama dołała zimnej i sprawdziła, czy woda jest odpowiednia, wkładając do niej dłoń. Badanie musiało wypaść dobrze, bo uśmiechnęła się pod nosem i spojrzawszy na Gabrysię, skinęła na nią palcem

– Zdejmuj koszulę i siadaj tu.

– Nie przy nim. – Dziewczynka wskazała Stefana. Ten wzruszył ramionami i odwróciwszy się na pięcie, wyszedł z pokoju. Gabrysia zdjęła zakrwawioną koszulę i całkiem naga podeszła do miski. Usiadła w niej i powoli zaczęła zmywać zaschniętą krew. Jak dotąd jej plan działał bez zarzutu. Gdzieś na dole zaczął szczekać pies. Nie wiedziała, czy to ten rudy, należący do jej koleżanki, ale pomyślała że to i tak jest dobry znak. Jeśli wszystko poukłada się według jej myśli, to już niedługo ta mała Zosia spotka się ze swoim psem, a ona... No właśnie, co z nią? Co ma ze sobą zrobić, jak już się stąd wydostanie?

Godzina 8.20 rano

Seweryn Gil siedział na krześle ze spuszczoną głową i rękoma złożonymi na piersi. Z uwagą godną ciekawszego obiektu przyglądał się czubkom swoich, jeszcze niedawno dobrze wyglancowanych trzewików, które świeciły się blaskiem przeszłym i przytłumionym przez uliczne błoto i zwierzęce odchody. Zazwyczaj uważał, żeby nie ubrudzić butów w drodze do pracy, ale tym razem, umykając przed rozpędzonym automobilem, wszedł wprost w kałużę przy krawężniku, w której na dodatek cichą przystań znalazła końska kupa. Gdyby to przynajmniej była dorożka, to zawsze była szansa, żeby dryndziarza dopaść i zdjąwszy z kozła, pomachać mu przed mordą policyjną blachą i kazać czapką wycierać buty. Ale z samochodem Gil nie miał żadnych szans. Czarne auto zniknęło, a on został z uwalanymi trzewikami. Na szczęście, jako urodzony optymista, wytłumaczył sobie, że wdepnięcie w gówno przynosi szczęście, a poza tym przed rozpoczęciem roboty ma tyle czasu, że może doprowadzić się jeszcze do należytego porządku. Jednak po wejściu do budynku Dyrekcji Policji od razu dopadł go służbowy podoficer Dąbczak i kazał pędzić do pokoju Fischera.

– Ale trzewiki trzeba by wytrzeć, bo usmarowane...

– Nic z tego, pan komisarz kazali na górę w trymiga, bo sprawa niecierpiąca zwłoki jest.

– A jaka sprawa, to ty pewnie nie wiesz, bo Fischer słowa by nie pisnął? – zapytał podchwytliwie Gil.

Starszy posterunkowy podkręcił węża, uśmiechając się tajemniczo.

– Niby by nie pisnął, ale jak człowiek ma łeb nie od parady, to wie, co w trawie piszczy.

– To niby w czym rzecz? – Wywiadowca podszedł bliżej do policjanta, a ten nachylił się do niego i szepnął konfidencjonalnie:

– Rozchodzi się o tego aspiryna Pikulę i nocne aresztowania.

– Łe, to ja se myślałem, że sprawa jest poważna. – Gil wydał wargi lekceważąco. Już wczoraj mówił temu młodemu policjantowi, że nie warto postępować zbyt gorączkowo, ale ten nie chciał słuchać. No

więc jak nie chciał, to jego rzecz. W końcu był starszy stopniem od Gila, który jako wywiadowca miał mundurową rangę przodownika. Gdzie mu więc do aspiranta.

I jak się okazało, miał całkowitą rację. Pikuła prężył się teraz na baczność przed biurkiem Fischera i relacjonował wczorajsze wydarzenia, pokazując wizytówkę z adresem przybytku madame Alouette. Gil, stanąwszy z boku, słuchał opowieści niezbyt uważnie, dopóki nie usłyszał, że o nim mowa. Wtedy podniósł głowę i spojrzał na aspiranta.

– W środku zastaliśmy już będącego tam od jakiegoś czasu wywiadowcę Gila, który jednakowoż nie podejmował jeszcze samodzielnych działań, bo był sam i zapewne nie wiedział, że my je podejmujemy.

– Co pan powiesz, panie Gil? – Fischer skinął na niego palcem.

– Melduję, że udałem się do tego burdelu zgodnie z rozkazem, bo trzeba było wszystko tam sprawdzić, ino że niczego nie udało się sprawdzić po cichu, bo szkieły wkroczyły i zrobił się bajzel. A miałem być tam już w sobotę, ale się nie udało dotrzeć, to dotarłem zaraz jak się udało, znaczy się w niedzielę w nocy. A byłem tam na wyraźne polecenie pana komisarza. Tylko że chciałem dyskretnie, znaczy w charakterze incognito się rozejrzeć. Gdyż otrzymawszy od pana komisarza adres owego burdelu, pomyślałem, że w wieczornej godzinie najlepiej jest sprawie się przyjrzeć dyskretnie, alem się nie przyjrzał, bo się nie dało, jak się zrobiło zamieszanie – mówiąc to, Gil patrzył uważnie na swojego przełożonego, szukając w jego twarzy zrozumienia. Było ono konieczne, bo w sprawie śledztwa łągał jak z nut. Owszem, poszedł do burdelu, ale sprowadził go tam bilet, który wypadł z notatnika Górskiego. Dopiero w tej chwili uzmysłowił sobie, że wcześniej miał już taką wizytówkę, którą otrzymał od Fischera. Tamta należała do zabitego na Wielkiej Niemca i znajdowała się na pudełku zapalek. Tak jakoś zupełnie wypadła mu z głowy, bo tym niemieckim trupem nie zajmował się wcale. Pochłonęła go bowiem sprawa Górskiego i łącząca się z nią kwestia poszukiwanych przez niego dzieci. A do tego jeszcze dodatkowo zajmował się sprawą niewierności Geislerowej. I dopiero teraz, gdy Pikuła wydobyl z kieszeni taką samą wizytówkę, w głowie Gila

zapaliła się lampka. Mieli więc już trzy takie same kartki w trzech różnych sprawach. A on poszedł do madame Alouette, żeby wykorzystując śmierć kolegi, wymusić na burdelmama jakąś zniżkę na usługi... I wymusił, mówiąc, że będzie musiał zawiadomić przełożonych o tym, że tu się wykorzystuje nieletnie prostytutki do nierządu, no chyba że jakaś dojrzała prostytutka przekona go, że tak wcale nie jest i do tego, jeśli jeszcze dostanie co do picia i do jedzenia, to będzie całkowicie przekonany. I już był przekonany w jakichś pięćdziesięciu procentach, gdy w burdelu pojawił się wywiadowca Krause.

I nagle Gil doznał olśnienia. Wszystko tu składało się w jedną całość i tylko on tę całość widział.

– A sprawa wydała mi się nadzwyczaj ważna z powodu pierwsze primo wizytowego biletu znalezionego przy niemieckim truposzu i po drugie primo takiegoż samego biletu, którego tkwił w notesie zabitego wywiadowcy Górskiego. To znaczy się wzbudziło mój niepokój, jak już się okazało, że w Poznaniu trupy zabite noszą w portfelach wizytówki z tego samego burdelu. No to się tam wybrał i naraz okazuje się, że wpada tam jeszcze wywiadowca Krause, a za nim pan aspirant Pikuła również wpada ze szkiełami, to se pomyślał, ho, ho, coś tu musi być na rzeczy w tej kwestii.

– Trzeci bilet nas tam skierował – stwierdził Pikuła, który poczuł, że rewelacje Gila mogą mu pomóc w wybrnięciu z trudnej sytuacji. Dotąd był przekonany, że spartolił całą akcję, a w zasadzie to zawiódł go policyjny nos, bo żadnej akcji nie powinien wszczynać. Tymczasem okazało się, że wszczął i jeszcze możliwe, że odniósł sukces.

– No to skoro już żeście tam się wszyscy znaleźli, to po jaką cholere żeście wszystkich aresztowali? – zapytał Fischer, ocierając spocone czoło chusteczką. Z tego wszystkiego zapomniał otworzyć lufcik i w tej chwili poczuł, że w pokoju jest gorąco jak w piekarniku. Wstał więc zza biurka i podszedł do okna. Otworzył je silnym szarpnięciem i przez chwilę stał tak, delektując się ożywczym, chłodnym powiewem.

– Tego palacza to trzeba by wrzucić do pieca razem z węglem i pilnować, żeby nie wylazł – stwierdził, oddychając pełną piersią.

– Jak to? – Pikuła spojrział zdumiony na swojego szefa.

– A pana w następnej kolejności – mruknął jeszcze i wrócił za biurko. – Rozumiem, że zatrzymuje się obsługę burdelu, bo może wiedzieć coś w sprawie, rozumiem, że wsadza się panienki, bo to może się przydać do statystyk. Ale po jaką cholere aresztowaliście wszystkich gości?

– Ten profesor Kirchner lubi małe dziewczynki – zameldował Pikuła.

– Może sobie lubić małe dziewczynki, psy, koty, a nawet kury, ale czy go ktoś złapał na deprawowaniu małej dziewczynki?

– Dzidzia to stara kurwa – rzucił Gil.

– No właśnie, stara kurwa udająca dziecko. – Podkomisarz wziął się pod boki i marszcząc groźnie brwi, popatrzył na aspiranta. Ten jakby trochę skurczył się w sobie, ale mimo to nie zamierzał oddawać pola walkowerem.

– Mógł coś wiedzieć w sprawie, bo wizytówka...

– Miał taką samą wizytówkę – przypomniał Gil, choć nie był to argument który mógłby przekonać Fischera do czegokolwiek.

– Panie Gil, niech pan nie obraża mojej inteligencji. – Fischer usiadł za biurkiem i chwyciwszy swoją fajkę, zabrał się za jej napełnianie. Wywiadowca odetchnął. Znał swojego pryncypała dość dobrze i wiedział, że etap fajki kończy wyjaśnienia i rozpoczyna czas przemyśleń oraz wyciągania wniosków. Pikuła jednak nie miał o tym zielonego pojęcia, dlatego brnął dalej.

– A tych pozostałych czterech klientów moim skromnym zdaniem mogło posiadać również istotne informacje w sprawie, więc podjąłem decyzję, żeby ich zatrzymać do wyjaśnienia, a jak już wszystko wyjaśnią, to wtedy się ich wypuści pod warunkiem, że są bez winy...

– Tak, tak... – Podkomisarz włożył fajkę do ust i zaczął podpalać. Po chwili mógł już spokojnie zaciągnąć się aromatycznym dymem. – Tak, właśnie w sprawie tych zatrzymań, to będzie pan sobie mógł wszystkie kwestie dogłębnie wytłumaczyć. Szczególnie, że osobiście sprawą zainteresowany jest komisarz Szczepaniak. Tak, tak, ten Szczepaniak, szef naszej policji drogowej, którego żeś pan zatrzymał w nocy, gdy służbowo przebywał w tym burdelu w celu przesłuchania jednej z panienek, która ponoć uczestniczyła

w jakimś drogowym wypadku. Mówił mi, że chciał dyskretnie objaśnić wszystko, ale oficer prowadzący akcję kazał mu zamknąć ryj.

– Boże święty – jęknął Pikuła, spuszczać wzrok na podłogę. Fischer, rozkoszując się fajką, ciągnął dalej. – Na razie powiedziałem mu, że sprawę sam załatwię i przekażę prowadzącemu słowa stanowczej reprimendy, co niniejszym czynię. I mam nadzieję, że pójdzie pan za chwilę przeprosić komisarza. A póki co podsumujmy, w jakim miejscu jesteśmy. Panie Gil, pan jako najbardziej wprowadzony we wszelkie aspekty niech referuje.

– Trzy wizytówki prowadzą w jedno miejsce. O pierwszej i o drugiej już powiadałem, trzecia, ta z ostatniej nocy, do burdelu sprowadziła lotną brygadę. To znaczy się, że jest coś na rzeczy. Ale najlepsze w tym wszystkim jest to, że w tym burdelu łączą nam się dwie, co ja gadam, trzy sprawy, które dotąd były same i niezłączone...

– Śmierć Niemca. – Fischer uniósł w górę kciuk lewej ręki i dotknął go palcem wskazującym prawej. – Śmierć Górskiego. – Oba palce wskazujące się zetknęły. – I w końcu znany w Poznaniu i obserwowany przez naszych wywiadowców erotoman i miłośnik dziecięcych wdzięków, znaczy pedofil, idzie na spotkanie w to samo miejsce. – Postukał w palec środkowy. Dwa trupy, a w tle zaginione dzieci. Na logikę wszystko zaczyna nam się ze sobą zlewać w jeden strumień. Ale nie wiemy do końca, w czym rzecz, kto za tym stoi i oczywiście, kto jest mordercą.

– Trzeba by ich wszystkich dokładnie wy badać – podsunął myśl Gil.

– Bez tego się nie obejdzie. Jednak mam jakieś dziwne wrażenie, że brakuje nam jeszcze jakichś niewielkich elementów, których dotąd nie widzimy, ale gdy je dostrzeżemy, cały obraz nam się rozjaśni.

– To jak obrazek z klocków, które dzieci składają w całość.

Fischer spojrział na Pikułę.

– Dobrześ pan to ujął. To w istocie przypomina układankę dziecięcą. Ułożyliśmy ze sobą kilka klocków, ale brakuje nam przynajmniej dwóch dodatkowych, które włożone na miejsce pokażą nam obrazek lokomotywy.

– Dlaczego lokomotywy? – zdziwił się Gil, któremu nic z tego, o czym tu rozmawiali, nie kojarzyło się z lokomotywą.

– Jak byłem mały, miałem takie klocki, które można było ułożyć w lokomotywę, okręt albo sterowiec. A ja jakoś lubiłem tę lokomotywę najbardziej – wyjaśnił Fischer.

– Ja miałem ze statkami żaglowymi – przypomniał sobie Pikuła, który jeszcze stosunkowo niedawno zajmował się układaniem obrazków z klocków.

– Aha – bąknął Gil. – Miałem kiedyś klocki z drewna, ale obrazków na nich nie było.

– To miał pan łatwiejsze dzieciństwo – zauważył Pikuła.

– Być może. Ale tak czy owak nie wiem, gdzie szukać tych pozostałych klocków.

– Na razie nikt tego nie wie – stwierdził Fischer, rozkładając ręce. – I dlatego pan Pikuła zajmie się przesłuchiwaniami zatrzymanych w burdelu osób za wyjątkiem klientów, których już kazałem wypuścić. A pan, panie Gil, pogada z wywiadowcą Karolakiem, który chciał się meldować w związku ze sprawą porwanej dziewczynki. Kto wie, może to on przyniesie kolejny klocek do ułożenia naszej lokomotywy.

Naraz Gil uniósł rękę ku górze, jakby się zgłaszał do odpowiedzi na lekcji w szkole. Pozostali spojrzeli na niego zdziwieni. On tymczasem szukał czegoś w kieszeniach, by po chwili wydobyć pomięty papier.

– Chyba mam klocek – rzucił zadowolony, kładąc kartkę na biurku.

– A co to jest? – zapytał podkomisarz.

– Klocek, ale jeszcze nie wiem, co znaczy.

– *So. 8 kw. G. 11 w, spo. „Bursz z blizną” u A* – przeczytał na głos Pikuła. – Jakiś szyfr?

– To kartka z notesu Górskiego, tego zabitego. Ostatni wpis taki był, ale nie wiem, o co się rozchodzi. Wydarłem kartkę, żeby notesu nie nosić, bo za gruby, i żeby się nad nią zastanowić, ale...

– Mówił pan, że w notesie była wizytówka Alouette? – zapytał podkomisarz.

– No była, a bo co...?

– To żaden szyfr. To informacja o spotkaniu w przeddzień śmierci Górskiego. W sobotę, 8 kwietnia o 11 wieczór, być może u pani Alouette. Ten, z którym miał się spotkać, to jakiś bursz z blizną.

– Ten zabity Niemiec miał bliznę na gębie. – Przypomniał sobie Gil.

– No tak, tyle że on zginął w środę, czyli trzy dni wcześniej – zauważył Pikula, to znaczy, że nie z nim miał się spotkać, bo ten już nie żył.

– Brawo, panie aspirancie! – Fischer uśmiechnął się pod wąsem. – To w takim razie spytasz pan panią Alouette o bursza z blizną i o spotkanie. Bo coś mi się zdaje, panowie, że ten bursz, to rzeczywiście nasz ostatni klocek.

Godzina 8.30 rano

– A ty to nie idziesz dziś do pracy? – zapytała kobieta, patrząc z niepokojem na swojego męża, który rozłożywszy przed sobą „Kuriera Poznańskiego”, zamiast zbierać się jak zwykle do wyjścia, czytał sobie w najlepsze.

– Tak sobie myślę, że dzisiaj jakoś niezdrowszy jestem i do pracy nie pójdę.

– Jak to? Przecie tak nie można.

– Co nie można? Można, a nawet trzeba, jak się człowiek źle poczuje.

– Pokaż no, niech ja tylko sprawdzę, co tam z tobą się dzieje.

Kobieta podeszła do stołu, chwyciła gazetę i wyrwała ją z mężowskiej ręki. Ten nie zaprotestował. Uśmiechnął się nawet na widok pięknej małżonki, która pochyliła się nad nim.

– Wystaw język i powiedz aaaa...

– Ayyy...

– No dobrze, nic nie widać. Znaczy, żeś jest zdrów jak ryba.

– Nie w gardle choruję, ale tu. – Wskazał na serce. – Jakoś tak słabo się czuję. Nie, kochanie, nie próbuj nawet mnie przekonywać. Muszę odpocząć.

– A co w urzędzie powiedzą?

– A cóż mają powiedzieć? Powiedzą: „Jaka szkoda, że pana naczelnika Geislera nie ma w pracy. Co też my bez niego poczniemy”.

– Nie żartuj sobie, kochany. Przecież to poważna sprawa.

– Nic poważnego w tym nie ma. Jestem niezdrów i tyle. Zaraz nawet chyba się położę do łóżka.

– Anielu! Anielu! Chodź no tu prędko.

Do jadalnego weszła dziewczyna lat około trzydziestu, w białym czepku na głowie i również białym fartuszk, nałożonym na skromną, granatową sukienkę.

– A co tam pani chce? – zapytała grzecznie.

Geislerowa wydeła wargi zniesmaczona.

– Ile ci mam mówić, że nie mówi się: „Co tam pani chce”, ale „Czego pani sobie życzy?”.

– No właśnie tak miałam powiedzieć, że czego pani chce se życzyć, ino zapomniałam.

Gospodyni wzruszyła ramionami. Gdyby nie fakt, że dziewczyna była z nią spokrewniona, to już dawno wyrzuciłaby ją na zbity pysk. No ale z krewnymi w ten sposób się nie postępuje. A już na pewno nie z takimi, co to umieją trzymać język za zębami. A Aniela umiała i trzymała. Zresztą spróbowałyby być nielojalną, zaraz pojechałaby z powrotem na tę swoją wieś. A tu nie dość, że miała dach nad głową i dobre jedzenie, to jeszcze całkiem dobrze zarabiała.

– Pan Geisler nie pójdzie dziś do pracy, bo jest nieco chory.

– O Jezusie, co teraz będzie? – Dziewczyna szczerze się zdziwiła. Widać, coś było tu najwyraźniej nie tak, bo niby skąd to zdziwienie, pomyślał zaraz Geisler, ale niczego nie dał po sobie poznać. Wertował strony gazety, popijając przy tym kawę z mlekiem.

– Jak to, co będzie? Nic nie będzie. Pan zostaje, a ty zajmiesz się dziećmi, bo ja dziś nie mogę.

Mąż odłożył gazetę i spojrzał na nią zdziwiony. Geislerowa poczuła że robi się jej gorąco. Już od dawna przeczuwała, że taki moment może kiedyś nadejść, dlatego przygotowywała sobie różne warianty odpowiedzi, szukając teraz w myślach tego najbardziej przekonującego. Musiała zagrać tak, żeby okazać się całkowicie

wiarygodną. Nie przypuszczała, że mąż ma wobec niej jakiegokolwiek podejrzenia.

– No przecież dziś jest poniedziałek!

– Poniedziałek, owszem, i cóż z tego?

– Ależ, gapciu, poniedziałek, to znaczy, że jestem umówiona u krawca w sprawie mojej wiosennej spódniczki z garsonką. Nie pamiętasz?

– Pierwsze słyszę o jakiejś garsonce.

– Och właśnie, to jesteś cały ty. Niby poświęcasz mi uwagę, a w rzeczywistości myślisz tylko o tych swoich sprawach urzędowych. A moje sprawy w ogóle cię nie interesują. Gdy ci o czymś opowiadam, to tylko kiwasz głową i powtarzasz: „tak, tak, tak...”. A w rzeczywistości wcale mnie nie słuchasz. Wcale cię nie obchodzę. Czy ty mnie już nie kochasz?

Spojrzał na nią zdumiony. Zachowywała się jak prawdziwa aktorka. Kobiety potrafią odegrać każdą, nawet najbardziej dramatyczną scenę, a cóż dopiero taką błahostkę. Awanturowała się i do tego jeszcze wmawiała mu wizytę u krawca. A przecież mógłby przysiąc, że nie mówiła mu o żadnym krawcu. Pierwsze słyszał, żeby coś sobie chciała uszyć. No ale dobrze, ciągnijmy tę farsę, myślał coraz bardziej zdumiony całą tą sytuacją.

– Więc powiadasz, że idziesz do krawca?

– Owszem. A czy mi nie wolno?

– Oczywiście, że ci wolno. Możesz do krawca chodzić, jeśli tylko jest potrzeba. Ale jedna rzecz jeszcze jest potrzebna. Żeby do krawca pójść, trzeba mieć jeszcze materiał, z którego się chce uszyć to... no to, co tam chce się u tego krawca uszyć... Więc jeśli idziesz do krawca, to masz materiał.

– Mój Boże, ty mnie o coś podejrzewasz!

– Ja? Bynajmniej. Mówię tylko o pewnych niekonsekwencjach.

– Anielu, idź proszę do szafy garderobianej i przynieś z dolnej półki paczkę w szarym papierze. A ty zaraz się przekonasz!

– Przekonam się, przekonam.

– Mój Boże, za cóż mnie to spotyka. Za tyle lat wierności i miłości. Takie upokorzenie. Żeby mój własny mąż oskarżał mnie o wiarołomstwo i niewierność.

– A czy ja co takiego powiedziałem?

– Tyś nie musiał nic mówić, Franciszku. Twoje oczy cię zdradziły. Jesteś niewdzięcznikiem. I za cóż to mnie spotyka taka niewdzięczność? Oj, ja nieszczęśliwa! – Ukryła twarz w dłoniach, a jej ramionami wstrząsnął spazm płaczu.

Komediantka, myślał Geisler. Teraz się wszystko wydało. Odeślę ją do tych Wronek do matki. Niech sobie tam we dwie żyją i jeszcze najlepiej niech się oszukują. Wyprawi się ją w trymiga, a dzieciaki oczywiście zostaną w domu, bo gdzieby tam dawać je na zmarnowanie tej nieuczciwej kobiety, która zadrwiła sobie z niego i z jego miłości.

– To jest ta paczka czy jak, bo innej tam ni ma. – Aniela położyła szary pakunek na stole przed szlochającą panią. Ta natychmiast przestała płakać, a jej mąż zauważył, że pod oczyma nie było ani odrobiny wilgoci. Udawała i myśli głupia, że nic nie zauważę. A w tej paczce pewnie jakieś stare gacie do prania zawinięte. Myśli, że się nie zorientuję.

Geislerowa rozwiązała sznurek i szybko rozpakowała zawiniątko. Na stół rzuciła złożony w kostkę solidny kupon aksamitnego, brązowego materiału.

– I co? To jest wymysł? – Wskazała palcem na aksamit i jednocześnie wbiła oskarżycielskie spojrzenie w męża. – Gdybyś mnie słuchał uważniej, tobyś wiedział dobrze, gdzie się dzisiaj wybieram i oszczędziłbyś mi tych tanich scen zazdrości.

Mąż chwycił w palce materiał. Rzeczywiście, wyrób pierwszej klasy, pomyślał. Na pewno była przygotowana na taką sytuację. Na razie wygrała. Trzeba więc będzie zmienić taktykę.

– Ależ ja nic przecież nie mówiłem. Tylko się zdziwiłem, bo rzeczywiście o niczym nie miałem pojęcia. Nie przypominam sobie, żebyś mówiła mi coś o krawcu. No ale nie będziemy przecież się o krawca sprzeczać. Muszę już iść. Wybacz, ale śpieszę się do pracy.

– Jak to do pracy? Przecież jeszcze niedawno żeś mówił, że nie idziesz, bo się źle czujesz?

– No tak, ale już się znacznie lepiej poczułem. Wybacz mi, kochana.

Podszedł do żony i pochyliwszy się, pocałował ją w czoło. Ten przejaw czułości nie wystarczył jednak, by ją udobruchać. Czuła się nadal niezwykle urażona. Przynajmniej takie chciała zrobić wrażenie. W rzeczywistości jednak aż cała gotowała się wewnątrz ze złości. Jak mogłam być tak głupia? Przecież mało brakowało, a wszystko by się wydało. Tak precyzyjnie miała wszystko zaplanowane, a tu proszę, jedna sytuacja, która wymknęła się spod kontroli, i katastrofa prawie gotowa. Na szczęście była osobą przewidującą, dlatego już ponad rok temu kupiła na Starym Rynku, w sklepie z towarami zagranicznymi, ten kawał materiału ubraniowego. I ta zapobiegliwość przyniosła swoje owoce. Gdyby nie ten materiał leżący w szafie, nie miałaby żadnego wytłumaczenia. A tak te głupie uwagi męża zostały na miejscu zneutralizowane.

– Czy pan już poszedł? – zapytała Anielę, która właśnie wracała z korytarza od drzwi.

– Poszedł! O Jezu, już poszedł! Alem się zestrachała.

– Matko przenajświętsza, już po staruchu. Ale mało brakowało i by się wszystko wydało.

– Ja bym nawet na torturach nic nie powiedziała.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Anielka.

– Dziękuję pani kuzynce.

– A teraz zajmij się dzieciakami, a ja się ubieram, bo już jestem spóźniona.

Geisler stał koło szklanej ściany Palmiarni i obserwował ulicę. Mimo że od parku oddzielał ją kuty płot na ceglanej podmurówce, to jednak z tego miejsca, gdzie się zaczął, doskonale widać było wyjście z kamienicy, w której mieszkał. Nie musiał długo czekać. Ledwie dziesięć minut minęło od chwili, gdy opuścił mieszkanie, a przed bramą pojawiła się jego małżonka, ubrana w granatowe palto za kolana i w okrągłym, przykrywającym włosy, bordowym kapeluszu. Musiał przyznać, że prezentowała się całkiem apetycznie. No ale cóż z tego, jeśli była niewierna. A niewierne żony są do wymiany, a nie do podziwiania. Swoją drogą, myślał Geisler, szkoda, że takiej kobiety nie można w sklepie zamienić na lepszą, nawet za dopłatą. Ale w końcu nie jest z niego jakiś obrzydliwy typ i szybko znajdzie

sobie kogoś w zastępstwie. Choćby tę zielonooką pannę Wandę, którą niedawna przyjęto do jego wydziału na pomocnicę kancelistki. Ładna, zgrabna i do tego jeszcze ciągle uśmiechnięta. Trzeba będzie zakręcić się przy tej pannie. Na bogatą nie wygląda, więc awanse samego naczelnika będą dla niej prawdziwym wyróżnieniem oraz wiązać się będą z szybkim awansem społecznym i zawodowym.

Gdy Geislerowa minęła bramę prowadzącą do ogrodu i dalej do Palmiarni, skrył się za drzewem, ale okazało się, że całkiem niepotrzebnie. Nawet nie spojrzała w tamtym kierunku. On za to przyjrzał się jej bardzo uważnie. Jeśli szła do krawca, to gdzie był materiał na ubranie? Nie miała ze sobą paczki. W dłoni tylko parasolkę i niewielką torebkę w drugiej. Musiała więc iść na schadzkę.

Ruszył za nią, kryjąc się po przeciwnej stronie ulicy. Poruszała się dość szybkim tempem, ale dla niego taki marsz nie był wyzwaniem. Kroczył spokojnie, utrzymując odpowiedni dystans. W razie jednak gdyby chciała spojrzeć za siebie, na wszelki wypadek postanowił, że zmieni swój zewnętrzny wygląd. Wychodząc z domu, nie założył swojego zwyczajnego palta, w którym chodził do pracy. Wciągnął na kark jasną wiatrówkę, której używał w ciepłe dni na wyprawy za miasto. Na głowę zaś zamiast kapelusza wcisnął kremowy kaszkiet. Teraz więc z daleka wyglądał jak piekarz, a nie urzędnik. Ale żona przez całą długość ulicy Matejki, podążając w kierunku alei Grunwaldzkiej, nie obejrzała się ani razu za siebie. Szła pogrążona w swoich myślach i nawet przez chwilę nie przyszło jej do głowy, aby się rozejrzeć. Było dokładnie tak, jak mówił Gil, że człowiek nienawykły do krycia się i chowania w ogóle nie bierze pod uwagę takiej możliwości, że ktoś podąża jego śladem.

Minąwszy wielkie skrzyżowanie z Grunwaldzką, przeszła ulicą Koszarową między wojskowymi budynkami z żółtej cegły z lewej i kasynem oficerskim z prawej, by po chwili dojść do skrzyżowania ze Zwierzyniecką, którą niemal na całej jej długości chroniły z dwóch stron dwa szare mury, jeden od tramwajowej zajezdni, drugi od zoologicznego ogrodu. Pani Geislerowa nie chciała jednak podziwiać tramwajów ani oglądać słoni. Skręciła w prawo i zniknęła. Gdy jej mąż stanął po przeciwnej stronie, pod szwalnią mundurową, nie

musiał specjalnie się zastanawiać, gdzie podziąła się jego małżonka. Gdyby wybierała się dalej, do miasta, musiałyby iść wzdłuż jednego lub drugiego muru, a jeśli jej tam nie było, wyjście było tylko jedno. Prowadziło do drzwi narożnej kamienicy. To o niej właśnie mówił mu Gil. A więc w tym domu mieszkał kochanek jego żony. No cóż, trzeba mu spojrzeć prosto w oczy i kto wie, może nawet drania zastrzelić. Bo na taką ewentualność Franciszek Geisler był przygotowany. Za paskiem spodni miał bowiem wetknięty niezawodny pistolet Browning.

Godzina 9.25 rano

Fischer podszedł do okna i spojrzał na obszerne podwórko. Dwaj policjanci z kankami w dłoniach wychodzili z piwnicy. Rozejrzeli się dookoła i zaraz każdy z nich ruszył w swoją stronę. Ten młodszy w kierunku strażnicy, której funkcjonariusze pilnowali wjazdu na dziedziniec policyjny, ten starszy zaś poszedł w lewo, by bocznymi schodami wejść do budynku Dyrekcji. Fischer rozpoznał w nim podoficera rusznikarza, który przez cały dzień siedział w podziemiach i zajmował się reperowaniem policyjnej broni. Widać przy takiej robocie gardło też musiało wysychać. A że beczka dostarczona przypadkowo przez braci Kaźmierczaków nie mogła się zmarnować, wtajemniczeni policjanci zagospodarowywali ją na własnych warunkach. Zapewne nikt nie pomyślał nawet, żeby to piwo komuś oddać. Bo i komu? Przecież nie złodziejom, a faktyczny właściciel dotąd się nie zgłosił. No i w tej sytuacji zrozumiałym było, że gospodarni policjanci postanowili bezpiecznym piwem się zaopiekować. Tym bardziej że to nie wino czy wódka i w beczce długo leżeć nie może. Po odszypuntowaniu góra pięć dni i zaczyna się kwasić.

Przełknął ślinę na myśl o piwie. Właściwie to chętnie wypiłby szklaneczkę. Nie żeby miał specjalny powód. Wcale go nie suszyło, bo podczas spotkania z Mikołajewskim nie wypili zbyt dużo. Ot, kilka kieliszków. Żaden z nich nie był typem hulaki. Fischer prawie

w ogóle nie pijał, a Mikołajewski owszem, ale tylko w chwilach wolnych od pracy.

Fischer napiłby się piwa tak zwyczajnie, dla towarzystwa, żeby pogadać o czymkolwiek z którymś z policjantów, z tym rusznikarzem albo tym młodym z bramy, który niósł piwo dla swojego szefa. Chętnie dowiedziałby się, co u nich słychać w domu, co sądzą o polityce i czy dobrze im się pracuje w policji. Ale były to dzisiaj marzenia ściętej głowy. Za chwilę miał się bowiem meldować u komendanta okręgowego Śliwińskiego.

Gdy przed ósmą, zanim jeszcze dowiedział się o nocnej akcji aspiranta Pikuły, wchodził do budynku Prezydium, jak zwykle podszedł do służbowego podoficera, by wziąć klucz od pokoju i wpisać się do książki służbowej, podając godzinę wejścia. Gdy złożył już swój wystudiowany podpis, przodownik Dąbczak podał mu niewielki kartonik z odręcznie skreślonym poleceniem. Fischer wiedział, co to oznacza. Tylko Śliwiński bawił się w takie formalne ceregiele. Każdy inny z wyższych oficerów, chcąc się zobaczyć z którymś z podwładnych, słał służbowego szeregowca i kazał przychodzić. Ale spotkanie z samym naczelnym policjantem województwa poznańskiego miało być dla podwładnych nie lada przeżyciem. Może i dla podwładnych owszem, ale Fischer wcale nie czuł tego ogromnego dystansu, jaki powinien był go dzielić z nowym przełożonym. Gdy komendantem okręgowym był jeszcze Wiktor Ludwikowski, sprawy wyglądały inaczej. Ten znał się na robocie, bo do policji przyszedł z austriackiej wojskowej żandarmerii. Poza tym był też teoretykiem kryminalistyki, człowiekiem, który wprowadzał w policji zasady posługiwania się odciskami palców należącymi do przestępców. Choć mało kto wierzył w te odciski i ich przydatność do czegokolwiek, to jednak widoczne było, że chłop się starał i był policjantem z krwi i kości. Ten obecny, który pół roku temu zastąpił Ludwikowskiego, radca prawny z Krakowa, przed wojną był policyjnym urzędnikiem, więc o kryminalnej robocie nie miał pojęcia. Ale to on miał teraz dbać o poznańską policję. Na razie niewiele z tego dbania wynikało, poza ciągłymi reorganizacjami i karteczkami z jego podpisem, przepływającymi co chwilę z wydziału do wydziału, a zawierającymi polecenia albo wezwania.

Fischer, jak zwykle w poniedziałek, przyszedł ubrany w policyjny mundur. W pierwszym dniu tygodnia odbywały się bowiem różnego rodzaju narady, operatywki i zebrania, w których trzeba było uczestniczyć. Więc szefostwo wymagało, aby wyżsi oficerowie przychodzili do pracy jak w wojsku w mundurach, jakby mieli zaraz iść na mundurowy apel. Podkomisarz wstał zza biurka, poprawił pas, od którego wchodząc do pokoju, odpiął kaburę z pistoletem i wrzucił do szuflady. Zdjąwszy czapkę z wieszaka, ruszył do gabinetu komendanta.

Zachodząc piętro niżej, spotkał kilku znajomych, ale wymienił z nimi zdawkowe uprzejmości, tłumacząc się komendantem. Ostatniego klepnął tylko w ramię, nie zatrzymując się już na pogaduszki, bo czas był wchodzić.

Zapukał dwa razy i od razu wkroczył do pokoju, w którym urzędowała sekretarka. Na widok Fischera poderwała się zza biurka i skinąwszy mu głową, podeszła do drzwi prowadzących do gabinetu.

– Pan na razie spocznie łaskawie. – Wskazała dwa krzesła pod ścianą. Nie spoczął. Nie było na to czasu. Zza drzwi rozległo się głośnie „wejść”. Kobieta natychmiast je otworzyła, skinieniem głowy zapraszając podkomisarza do środka.

Obszerne, dębowe biurko stało na środku pokoju. Po lewej znajdowała się również dębowa, trójdrzwiowa witryna na książki, którą powinny wypełniać bogato zdobione woluminy, tymczasem wtłoczono w nią sterty teczek, spiętych okólników i szarych zbiorów akt. Na prawo od biurka ustawiono kanapę obitą zielonym sukniem w prążki, na której mogły siedzieć wygodnie nawet trzy osoby. Naprzeciw dwa podobnie obite fotele dostawiono do kwadratowego stolika karcianego. Ten stolik nowy komendant kazał specjalnie dla siebie zakupić w meblowym magazynie, gdyż namiętnie lubił układać pasjansy, a do oddawania się tej pasji konieczny był stół z aksamitnym blatem. Tym razem jednak naczelny policjant nie układał kart. Pił kawę z drobnej, porcelanowej filiżanki, siedząc na jednym z foteli. Na skraju drugiego przycupnął człowiek, którego Fischer znał tylko z widzenia, jednak doskonale wiedział, kim jest. Pułkownik Teodor Gatner był postacią świetnie znaną w Poznaniu.

To on jako jeden z dowódców wojsk powstańczych prowadził pierwszą wojskową defiladę wiosną dziewiętnastego roku. Fischer wiedział, że Gatner pracuje w Sztapie Dowództwa Wojskowego, tuż po sąsiedzku, na placu Wolności, ale czym się zajmuje i co tam robi, nie miał pojęcia, zresztą niespecjalnie go to obchodziło. Zainteresował go za to fakt, że ten człowiek siedzi w gabinecie szefa, pije sobie kawę, a do tego towarzystwa zostaje poproszony on. Coś mu tu nie pasowało.

– O, witam szanownego pana. – Komendant wstał z miejsca na widok Fischera, nim ten zdążył się zameldować. – Podkomisarz Fischer, jeszcze podkomisarz ale już niedługo zapewne komisarz, bo jak panu opowiadałem, szanowny panie pułkowniku, to jeden z naszych najlepszych śledczych i niedługo dosłuży się awansu. Powiadam panu, że jak jaka sprawa dostanie się w jego ręce, to wyjaśniona raz-dwa. A pan, komisarzu, zapewne zna pana pułkownika Gatnera?

– Owszem, ze słyszenia – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Panno Małgorzato, pani pozwoli jeszcze jedną kawę! – zawołał do sekretarki, która stała w otwartych drzwiach, czekając na polecenia szefa.

– Ja wiem, że jest jeszcze wcześniej, ale panowie nie odmówią z okazji takiej wizyty po kieliszeczku jarzębiaczku. Jarzębiak pierwsza klasa. Moja żona robi, palce lizać, powiadam. Ale co tam gadać, jak panowie sami spróbują. Panno Małgorzato, i jarzębiaczek jeszcze, i trzy kieliszki. No dlaczego pan stoi, panie komisarzu, niechże pan siada. O, tu na sofie wygodnie, miejsca pod dostatkiem. Bardzo proszę.

Fischer zasiadł na wskazanym miejscu na wprost Gatnera, który mierzył go uważnym spojrzeniem czujnych oczu.

– Mam wrażenie, że już mieliśmy okoliczność się poznać – rzucił pułkownik, któremu udało się wykorzystać moment, kiedy komendant zmuszony był wziąć haust powietrza.

– Owszem. Bywałem w sztabie w dziewiętnastym roku, z frontu północnego delegowany po pakiety rozkazów.

– Tak jest, pamiętam, pan walczył w Chodzieży i pod Budzynie. To pan wziął do niewoli dwie kompanie świeżych niemieckich

uzupełnień – przypomniał sobie pułkownik.

– Tak jest.

– Dobry był z pana oficer.

– Również mam bardzo dobre wspomnienia.

– A w policji od kiedy?

– Oddelegowany w dziewiętnastym, na wiosnę.

– A to pan z tych oficerów, co prosto z armii, żeby Straż Ludową i żandarmerię naszą w policję przekształcać. Pamiętam ten rozkaz, żeby z szeregów wszystkich prawników wyłuskać i do policji formującej się odstawiać. Znaczy pan prawnik?

– Niezupełnie, panie pułkowniku. Prawnik, ale niedokończony. Dwa lata na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma przed wojną. A potem jakoś czasu nie starczyło.

– To trzeba by dokończyć. Przecie u nas uniwersytet jak się patrzy i prawo można tu studiować. A i zapewne te dwa lata zaliczą, bo czemu by nie mieli zaliczyć? – wtrącił się w rozmowę Śliwiński.

– No widzi pan, zgodę komendanta na kształcenie już pan ma. – Po raz pierwszy podczas tej rozmowy na twarzy pułkownika pojawił się grymas, który można było od biedy wziąć za uśmiech. – Niech pan korzysta, póki wiatry są sprzyjające. A jakby na uczelni naszej poznańskiej jakie trudności z uznaniem lat w Berlinie, niech no pan tylko powoła się na mnie. Tu mnie dobrze znają.

– Gdzie pana pułkownika nie znają? – znów wtrącił się komendant.

– Napisze pan komisarz podanie, a my opieczętujemy, podpiszemy i bieg nadamy, tak że od nas pismo zapowiednie pójdzie do samego rektora. Tak się u nas sprawy załatwia.

– Dziękuję bardzo – bąknął Fischer, bo o ile dotąd był przekonany, że wzywają go, by zapoznać się z jakąś służbową sprawą, o tyle teraz był już pewien. To sprawa cholernie poważna, skoro ci dwaj zaczynają od przekupstwa. W końcu jego szef, który całkiem niedawno zdegradował go do stopnia podkomisarza, teraz mówił o awansie. Coś tu śmierdziało jak cholera.

– A jak tam wasze sprawy rodzinne, komisarzu? – zapytał pułkownik.

– Bardzo dziękuję, wszystko w jak najlepszym porządku.

– A szwagier pański nadal w Paryżu?

Fischera na moment zamurowało. Ten facet był przygotowany do rozmowy na jego temat. Robiło się coraz groźniej.

– Owszem.

– Píše często? Zapewne podoba mu się w Paryżu. No ale to piękne miasto. Któż by nie chciał tam pomieszkać. Tam tyle atrakcji, Montmartre, Mulin Rouge, Place Pigalle... Pan, zdaje się, z siostrą wychowują jego córkę.

– Cóż w tym dziwnego, że siostra jest dla niej jak matka, którą straciła bardzo wcześnie. W końcu jest ona żoną kapitana Wesołowskiego, a ojca Grety.

– Greta, bardzo ładne imię. Niemieckie.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, zwłaszcza tutaj.

– Ależ ja nie mam nic złego na myśli, ha, ha, ha! Gdzież ja z takim nazwiskiem mógłbym mieć co do niemieckich imion? No ale, panie komisarzu, porozmawialiśmy sobie, pośmialiśmy się, a teraz...

– A teraz spróbujemy jarzębiaczku. – Zadowolony komendant wskazał na tacę, którą trzymała w dłoniach jego podwładna. Panna Małgorzata podsunęła ją tak, jak ją nauczono, w kolejności, czyli najpierw gość, potem gospodarz, a na koniec najniższy stopniem.

– No to za spotkanie! – Komendant wzniósł toast i wszyscy trzej stuknęli się kieliszkami. – I jak panowie znajdują jarzębiaczek? Nie mówiłem, że pierwsza klasa?

– Owszem, nawet bardzo dobry – pochwalił smak pułkownik.

– Zgadza się – stwierdził Fischer.

– No to w tej sytuacji możemy już zająć się sprawami. – Gatner powiedział to tonem, jakim oznajmia swoją wolę dowódca podwładnym, nie zostawiając ani odrobiny miejsca na jakąkolwiek dyskusję. Sięgnął po czarną teczkę, która stała na podłodze przy jego krześle. Pogrzebał w niej chwilę, by zaraz wyjąć szarą papierową kopertę. Rozłożył ją na stole i pchnął w kierunku Fischera.

– Będzie pan uprzejmy rzucić okiem.

Fischer chwycił kopertę. Nie była zaklejona. Wydobył więc z niej jedyny papier, który tkwił wewnątrz. Była to kartka pocztowa przedstawiająca naczelnika Piłsudskiego. Odwrócił ją, dostrzegłszy, że coś zostało tam napisane.

Jeśli to Pan Szanowny był na Zwierzynieckiej dziś przed południem, to lepiej, żeby się spotkać w wiadomej sprawie dziś wew barze u Okonia na ulicy Mostowej vis a vis kościoła ewangelickiego, przy stoliku pod oknem o godzinie 9.00. Dyskrecja zapewniona. Życzliwy Policjant.

Fischer poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach. Znał dobrze ten charakter pisma. Te koślawe litery wyszły spod ręki...

– Ten list napisał pański podwładny, niejaki Gil. To nic innego jak ewidentna próba szantażu wobec jednego z moich wyższych oficerów. Pragnąłbym więc, aby pan wyciągnął z tego błyskawiczne konsekwencje, bo nie może być tak, żeby policjanci szantażowali wojskowych.

– A sprawa? O co chodzi? – zapytał Fischer.

– O co by nie chodziło, zostanie szybko i dokładnie wyjaśnione – stwierdził komendant.

Gatner uśmiechnął się pod wąsem, wstał i podał rękę komendantowi. Fischerowi tylko skinął głową. Rozmowa była zakończona, podobnie jak kariera policyjna wywiadowcy Gila, pomyślał ze smutkiem jego bezpośredni przełożony. Tylko trzeba mu będzie jeszcze o tym powiedzieć, ale jak na razie Fischer nie miał pojęcia, gdzie może znaleźć swojego wywiadowcę.

Spojrzał na Gatnera. Ten uśmiechał się lekko, świadom, że w tym spotkaniu jest górą. Fischer też się uśmiechnął.

– A pan pułkownik to do jakiej korporacji należał, jeśli można wiedzieć? – zapytał mimochodem. Od razu dostrzegł zmianę na twarzy wojskowego.

– Ach, myśli pan... – Gatner dotknął dłonią policzka. – Stare dzieje, ale to pamiątka z wojennych czasów, panie podkomisarzu. – Wymawiając słowo „podkomisarz”, zaakcentował je szczególnie mocno. Fischer nie miał pojęcia, skąd mu się to wzięło, ale wyczuł jakimś szóstym zmysłem, że Gatner kłamie w sprawie korporacji, tak samo jak kłamał w sprawie Gila.

Godzina 9.30 rano

Tolek Grubiński znany był z tego, że ma głowę do interesów. Ludzie mówili też, że ma psi węch, którym potrafił wywąchać forszę. Prócz tego umiał jeszcze całkiem niezłe bić się na pięści i oszukiwać w karty. Niestety na tym jego umiejętności w zasadzie się kończyły. Czy miał szczęście do kobiet, tego nie wiedział, bo jakoś dotąd z żadną się nie związał. Zawsze powtarzał, że kobieta w takim trudnym fachu jak jego to niepotrzebne obciążenie. Więc nie szukał takiej na stałe, która poprowadziłaby mu dom i rodziła dzieci. Jeśli miał ochotę na kobiece towarzystwo, zapraszał do siebie którąś z panienek pracujących na Wielkich Garbarach albo Mostowej. Oczywiście taką w odpowiednim wieku, za którą trzeba było zapłacić odpowiednio, ale na takie sprawy jak porządne stosunki Tolek pieniędzy nie żałował.

Wczoraj wracał do domu już dość poważnie podпиты. Upojny wieczór się nieco przeciągnął, bo po wyjściu z hotelu zaliczył jeszcze popularną wśród dryndziarzy knajpę Dykerta przy Świętym Marcinie. Zamówił przy barze „Tatę z mamą”, czyli ćwiartkę spirytusu z sokiem wiśniowym, a do tego na zagryzkę pajdę chleba z pieczonym boczkiem i świeżo tartym chrzanem. Najedzony i dobrze podпиты postanowił, że sam nie będzie wypróbowywał możliwości hotelowego materaca, którego przetransportowanie do jego mieszkania polecił chłopakom. No więc skoro był zupełnie nowy materac na sprężynach, to przydałaby się jeszcze sprężysta dziewczucha.

Okazało się, że pewna czarnowłosa Weronika, z której niezwykłych umiejętności korzystał już wcześniej kilka razy, akurat była wolna.

– O, zdaje mi się że to jakiś lord z Paryża przyjechał z takim eleganckim sakwojazem – zawołała na widok Tolka. Ten zadowolony spojrział na walizczkę, niewielką, i bardzo poręczną, którą zabrał z hotelu. Wewnątrz nie miał niczego ważnego prócz tej sterty papierów, z którą nie bardzo wiedział, co zrobić, ale musiał przyznać, iż sam fakt przechadzania się po mieście z walizką w dłoni sprawiał, że wyglądał jak tajemniczy nieznajomy wprost z filmowego obrazu.

– Panna Weronika tak sama po nocy łązi? – zagadnął niezwykle uprzejmie i z galanterią.

– A co mam robić? Muszę łązić, bo taka robota. Poleżałoby się. No ale to wiadomo, że najlepiej się leży za bejmy.

– A co by panna Weronika powiedziała na zupełnie nowy materac na sprężynach, którego by trzeba koniecznie wypróbować, bo on jeszcze mało używany.

– Jak pan Tolek na spróbie potrzebuje jędrnego tyłka, to mój jak najbardziej się nadaje. A ten materac to gdzie, w hotelu?

– Ady tam w hotelu. U mnie na salonach. Dopiero co go chłopaki przytargali.

– No to co my tu jeszcze robimy? – Weronika chwyciła Tolka za rękę i pociągnęła w kierunku Mostowej, tam gdzie stała kamienica, w której Grubiński wynajmował lokum na poddaszu.

Po drodze zawadzili jeszcze o gospodę U Okonia. Ale nie zabawili tam długo. Tolek kupił tylko kilo podsuszanej kiełbasy, butelkę wódki i kilka flaszek piwa do popicia. Znał się na rzeczy i wiedział, że wytworny kawaler nie przyjmuje w domu damy bez odpowiedniego poczęstunku, bo kobiecie zawsze może się zachcieć czegoś na przekąskę.

Gdy weszli na górę, okazało się że wysłużony siennik został wyniesiony, a jego stare wyrko o solidnej żelaznej ramie z mosiężnymi bokami, ozdobionymi na krawędziach niklowanymi kulami, dzięki grubemu materacowi wyglądało teraz jak królewskie łoże.

Weronika od razu poszła sprawdzić jego jakość. Ułożyła się na nim na płask i zaraz zaczęła wykonywać płynne ruchy biodrami, a sprężyny wprowadzone w ruch jej pośladkami zaczęły wydawać przyjemne, jękliwe dźwięki.

– No dalej, chodź tu i zobacz jakie miękkie – zawołała Tolka. Ten jednak, jak na prawdziwego gospodarza przystało, najpierw zajął się nakryciem stołu. Położył na nim walizeczkę, otworzył i wydobył ze środka butelki, kiełbasę, a na koniec opasłą szarą teczkę.

– A te papiery to co? – zapytała dziewczyna.

– Nic. Tak mi wpadły w łapy, to się wzięło. Nigdy nic nie wiadomo, na co się mogą przydać.

– No chyba że na podpałkę dobre by były? – Wskazała bosą stopą, z której zdążyła już zdjąć pończochę, żelazną kozę, stojącą tuż przy drzwiach. Tolek nie palił w piecu, bo nie miał drewna. To znaczy, mógłby mieć, ile by chciał, ale takie drewno do palenia ktoś musiałby przede wszystkim porąbać, a potem wnieść na górę. Ale nie było komu, więc najczęściej w mieszkaniu miał dość zimno. Dlatego spał w łóżku pod kilkoma kocami.

Wziął teczkę pod rękę i poszedł ułożyć ją na parapecie.

– Nie po to ktoś tam tyle napisał i narysował wew środku, żeby ja jak ostatni szuszwol tyle ludzkiej roboty z dymem puścił. Trzeba mieć szacunek do ciężkiej pracy. A palić w piecu to se można starymi gazetami, a nie takimi porysowanymi papierami.

Uśmiechnęła się do niego, bo nic ją w sumie te papierzyska nie obchodziły.

– No to chodź już do mnie.

– Najsampierw wyzerka, żeby nam w brzuchach nie burczało. Rastołrancja zaprasza na wykwentne danie. Kiełbasa à la Tolek, na zimno z piwkim i wódeczką. Piękna pani pozwoli. – Wziął ją za rękę i poprowadził do stołu.

Dziś rano obudził się z lekkim bólem głowy. Na szczęście dojrzał nie do końca dopitą butelkę z piwem. Wstał więc ze sprężystego łóżka, które w ciągu nocy zostało dokładnie wypróbowane i zdało test wytrzymałościowy, i podszedł do stołu. Piwo było zwietrzałe, ale że świeże, to wypić się dało. Dopił do końca, zagryzł resztką kiełbasy i stanął nad wiadrem, żeby się wysikać.

Nie pamiętał, kiedy skończyły się nocne igraszki. Zresztą pamiętał je jak przez mgłę. I tak nie miały przecież wielkiego znaczenia, bo panna Weronika nie interesowała go na tyle, żeby wiązał z nią jakieś plany. Ale kiedyś trzeba będzie pomyśleć o poważnej przyszłości, stwierdził, na razie jeszcze ma na to sporo czasu. Na razie jest młody i...

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Uśmiechnął się pod wąsem. Tak ostrożnie i jednocześnie lekko mogła pukać tylko kobieta. Znaczący Weronika musiała wrócić. Widać jej się spodobało. Zadowolony popatrzył na drzwi.

– Już lecę, moja królewno. Już zaraz otwieram.

Podciągnął kalesony, poprawił koszulę, która nie wyglądała zbyt apetycznie, bo kilka ostatnich dni miał ją na sobie. Pomyślał, że najwyższy czas ją zmienić...

Otworzył drzwi, uśmiechnął się radośnie na widok Weroniki i zaraz potem uśmiech zastygł mu na ustach.

– Czego...? – zdążył zapytać, ale nic więcej nie udało mu się powiedzieć. Potężny cios, wymierzony w podbródek sprawił, że poleciał do tyłu i potknąwszy się o stół, przewrócił się na plecy, rozkładając się jak obrus. Butelki po piwie i wódce spadły z brzękiem na podłogę. Natychmiast do środka weszło dwóch mężczyzn ubranych jak zwykli robociarze. Trzeci w palcie i kapeluszu, z mocno podkrążonymi oczyma i czarnymi wąsami, przechodzącymi płynnie w hiszpańską bródkę, najwyraźniej dowodził tą dwójką. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni palta, wyciągnął portfel, a z niego kilka banknotów.

– No, dobrze żeś się spisała – stwierdził, podając jej pieniądze. Chwyliła je i włożyła natychmiast za dekollet.

– Ale nic mu nie zrobicie? – Wskazała głową Tolka, który leżał na stole przyciśnięty przez jednego z napastników, podczas gdy drugi przykładał mu pistolet do głowy.

– No skąd? Tylko sobie z nim troszeczkę pogadamy – stwierdził brunet, robiąc całkowicie niewinną minę. Uspokojona Weronika uśmiechnęła się lekko.

– To ja już se chyba pójdę, nie?

– Oczywiście, jak najbardziej. – Mężczyzna uniósł kapelusz i wszedł do mieszkania, zamykając za sobą drzwi. Podeszedł do stołu, odsunął jedno z krzeseł i usiadł na nim. Potem z kieszeni wyciągnął papierośnicę, włożył papierosa do ust i zapalił, cały czas przyglądając się leżącemu na wznak na blacie Tolkowi. Ten najwyraźniej miał ochotę coś powiedzieć, bo poruszał gwałtownie głową, ale nie dano mu żadnej szansy na wyrzucenie z siebie jakiegokolwiek słowa protestu, ponieważ ciężka ręka tego, który walnął go w głowę, zatykała mu usta.

– No proszę, pan Anatol Grubiński we własnej osobie. A ja sobie myślałem, że pan to jest zwykły złodziej, ale patriota. Widać,

niestety, pomyliłem się. No i popatrz pan, jak to pozory potrafią człowieka zmylić. Pan, panie Grubiński, nie dość, żeś złodziej, to jeszcze zdrajca i sprzedawczyk. No, panie miły, muszę przyznać, że nie spodziewałem się tego po panu po tym, co żeśmy już razem działali. No ale okazuje się, że wilka ciągnie do lasu i bliższa złodziejowi natura renegata niż patrioty

Tolek przestał się szamotać, a jego oczy zrobiły się wielkie jak młyńskie koła. Znał tego mężczyznę, choć widział go tylko raz w dziewiętnastym roku. Wspólnie z – wówczas jeszcze porucznikiem – Fischerem nie dopuścili do wydarzenia, które mogło mieć bardzo poważne konsekwencje dla Poznania, a nawet dla kraju. Wówczas ten tu siedzący w jego mieszkaniu człowiek współpracował bardzo blisko z Fischerem. Ale teraz widać coś musiało się stać, bo komisarz nie dopuściłby, żeby go tak potraktowano.

– Tutaj coś jest! – Drugi z dwójki pomocników podszedł do stolika i położył nań teczkę, tę samą szarą teczkę, którą Tolek przyniósł tu nie wiadomo po co z hotelu. Wąsacz, jakby od niechcienia, przewrócił kilka kartek, a potem uśmiechnął się radośnie do Tolka.

– No proszę, a to dowód rzeczowy tego, żeś pan jest łajdak i sprzedawczyk. Chwycił teczkę, włożył ją pod pachę i wstał z krzesła.

– No to, panowie, na nas pora. A tego tu zabieramy ze sobą.

Tolek został natychmiast podniesiony i ustawiony na podłodze. Gdy uścisk na ustach ustąpił, wypluł ślinę na podłogę, a potem spróbował się cały odwrócić. Nadaremno. Poczuł, że ręce z tyłu zakuwają go w kajdanki.

– Panowie, jak Boga kocham...

Kolejny cios, tym razem w brzuch, pozbawił go tchu. I wtedy Tolek zrozumiał, że jak na razie nikt z nich nie zamierza z nim rozmawiać na jakikolwiek temat.

[28] *Kripo, Kriminalpolizei* (niem.) – policja kryminalna.

Rozdział VIII

Godzina 9.45 przed południem

Już ponad godzinę czekał na to, co się wydarzy. Żona weszła do budynku i tyle. Liczył na to, że zaraz za nią pojawi się ten kochanek, którego rozpozna, ponieważ Gil przedstawił mu dość dokładnie opis fizjonomii tego człowieka. Ale ona tkwiła gdzieś wewnątrz, a nikt do domu nie wchodził. Owszem, weszło tam kilka osób, ale żadna z nich nie wyglądała na kogoś z towarzystwa. Był jakiś handlarz obwieszony torbami, w których podobni do niego dostawcy nosili grubo cięty tytoń do skrętów i połamane papierosy z metra. Wszystko to kupowało się na wagę w wytwórniach papierosowych jako towar wybrakowany, który potem można było sprzedać z niewielkim zyskiem, roznosząc od mieszkania do mieszkania. Był też mleczarz z bańkami na wózku, od którego mieszkańcy kupowali mleko rozlewane wprost do blaszanych kanek, po nim ostrzyciel noży i nożyczek, a przed chwilą podjechał chłop z wozem wypełnionym kapustą i ziemniakami. Mimo iż byli to sami mężczyźni, żaden nie wzbudził podejrzeń Geislera, za to on wzbudził zainteresowanie stójkowego. Policjant przez chwilę przypatrywał się mu z wysokości skrzyżowania z ulicą Jackowskiego, zniknął nawet w głębi ulicy, by za chwilę wrócić i znów na niego spojrzeć. To wracanie i znikanie powtórzyło się kilka razy, ale on się nie przejął tym policjantem. W końcu nic złego nie robił. Stać na ulicy może sobie przecież każdy.

– A pan szanowny to czemu tu sterczy? – zapytał policjant, u którego ciekawość zawodowa w końcu zwyciężyła. Widać nie mógł przejść obojętnie obok mężczyzny, który od godziny tkwił w jednym

miejscu. Podszedł do niego z rękoma założonymi z tyłu i miną całkowicie obojętną, dobrze skrywającą pod powierzchnią zawodową dociekliwość.

– A gównu to szanownego pana obchodzi – warknął Geisler.

Policjant aż otworzył usta ze zdumienia. Pewnie otworzyłby jeszcze szerzej, ale pasek od służbowej czapki miał dość ciasno zapięty pod brodą, co w znacznym stopniu ograniczało jego możliwości.

– No, no! – zdołał wydusić z siebie.

– No właśnie – odparł Geisler i odwrócił się demonstracyjnie od stójkowego. Ten jednak postanowił, że nie da za wygraną. Położył mu rękę na ramieniu i odwrócił odchodzącego mężczyznę silnym szarpnięciem w swoją stronę.

– A puśćże mnie, do jasnej cholery, ćwoku niemyty!

– Ja ci zaraz tego ćwoka z dupy wybiję, ty łachudro! – krzyknął policjant i wy dobył ze skórzanej szlufki, przypiętej do paska, gumową pałkę. Uniósł ją i już chciał trzepnąć nią opornego człowieka, gdy ten naraz wziął się pod boki i spojrzawszy groźnie na policjanta, krzyknął:

– Na urzędnika miejskiego rękę podnosisz, cholero? No to ja ci zaraz powiem, z kim masz okoliczność. Masz przed sobą naczelnika wydziału z samego nowego ratusza, pana Geislera, który ci wystawi taką opinię do twoich przełożonych, że spokojnych ludzi na ulicy bez przyczyny zaczepiasz, że mnie do końca życia popamiętasz!

– Pierdolnij go tą pałką! – zawołał jakiś chłopak, który zatrzymał się tuż obok awanturującego się faceta. Nie tylko on zresztą. Interwencja policyjna zawsze była ciekawym uzupełnieniem nudnego dnia, więc na ten widok przechodnie natychmiast zatrzymywali się, by popatrzeć i posłuchać.

– No co, mosz fyfry[29]? – zawołał młody mężczyzna w czapce z daszkiem.

– Szkiety ino by w mordę lały, a nie pomagały ludziom – zauważyła gruba handlarka z wiklinowymi koszykami w rękach.

– Na urzędników pałę podnoszą. Kto to widział? – zdziwiła się szczupła staruszka, wspierająca się na lasce.

– A ja niby skąd mam wiedzieć, że pan jest urzędnik? – Policjant najwyraźniej spuścił z tonu. Opuścił też rękę z pałką.

– Dobry policjant musi mieć nosa do ludzi i wyczuwać urzędnika tak samo jak i złodzieja.

– Słuszna i całkowita racja – poparł urzędnika zażywny jegomość z wielkim brzuchem, na którym z trudem dopinało się palto. Zdjąwszy z głowy swój kapelusz trilby z wywiniętym rondem, zaczął nim machać przed policyjnym nosem. – Policjant musi umieć odróżnić porządnego obywatela od wywijasa.

– Możecie sobie pójść do nowego ratusza i tam zapytać o naczelnika Geislera! – Tym argumentem ostatecznie rozłożył na łopatki gorliwego policjanta. Wiadomym było przecież, że żaden posterunkowy nawet nie podjąłby próby sprawdzania tożsamości wyższego urzędnika. Bo posterunkowi nie byli od spraw urzędniczych, ale od porządkowych kwestii na ulicach, od sprawdzania czystości na podwórkach, pilnowania, by nikt się po mordach nie okładał za dnia na ulicy, i od łapania złodziei.

– Złodziej! Jak Boga kocham, złodziej! – krzyknął ten w kapeluszu.

– Co? Jaki złodziej? – Policjant spojrział na niego zdziwiony.

– Jak jaki, normalny, cholerny złodziej. Miałem zegarek, tutaj, na łańcuszku! – Mężczyzna wskazał pustą kieszonkę kamizelki. O, tutaj go zawsze nosiłem, srebrna omega!

– A niby skąd wiadomo, że nie zginął wcześniej? – spytał młody w czapce z daszkiem.

– Bom przed chwilą jeszcze sprawdzał godzinę. Było akuratnie kwadrans do dziesiątej.

– To znaczy się, że dwie minuty temu jeszcze szanowny pan miał zegarek – stwierdził Geisler, sprawdzając czas na swoim zegarku. – Jest w tej chwili dokładnie dziewiąta godzina i czterdzieści siedem minut. A policja zamiast złodziei łapać, na porządnych ludzi nastaje.

– Policja! – zawołał okradziony.

– Jestem! – odpowiedziała mu policja w osobie posterunkowego.

– No właśnie, jesteście, a złodziej ucieka.

– Gdzie?

– A skąd, do cholery, mam wiedzieć? – zdziwił się były właściciel zegarka marki Omega, który nie miał pojęcia, kto go okradł.

– To musiał być ten szczon, co tu stał blisko szanownego pana – stwierdziła kobieta z laską. – O tam pognał w Nollendorfstraße,

znaczy się patrona Jackowskiego polecioł, jakby go kto gonił.

– No co pan stoisz, leć za złodziejem! – zawołał poszkodowany. Policjant rozejrzał się dookoła, jakby chciał znaleźć akceptację dla swoich działań.

– No leć pan! – zawołał Geisler i policjant ruszył. Po chwili zbiegowisko się rozeszło, bo nie było już po co stać. Tylko Geisler został no i okradziony, przy którym nie wiadomo skąd pojawił się obnośny sprzedawca zegarków, oferujący towar „najlepszych światowych i zagranicznych marek, w tym mało używanych”.

Czy doszło do transakcji, tego urzędnik już nie usłyszał. Mało brakowało, a przegapiłby najważniejszą chwilę. Dosłownie w ostatnim momencie odwrócił się, by spojrzeć na bramę. Zauważył wysokiego, postawnego mężczyznę w czarnym palcie z futrzanym kołnierzem i czarnym kapeluszu fedora na głowie. Człowiek ów szedł od strony ogrodu zoologicznego, trzymając w ręku, także czarną, laskę. Nie musiał się jednak nią podpierać. Służyła mu raczej jako przedmiot zbytku, nadający się prócz wywijania nią co najwyżej do odganiania bezpańskich psów. Geisler nie zdążył mu się przyjrzeć, ale od razu wiedział, że to ten, na którego czekał. Gdy tylko zniknął w drzwiach do domu, urzędnik przeciął ulicę i wbiegł za nim w ciemny korytarz. Stanąwszy w środku, zaczął się rozglądać. Smuga światła wpadająca z drugiej strony, zapewne od podwórka, powiedziała mu, gdzie ma iść. Ruszył przed siebie.

– A czego tutaj chcą? – zapytał jakiś skrzekliwy głos wydobywający się znikąd. Spojrzał w lewo, tam gdzie powinno być źródło tego głosu.

– Kto tu?

– Jak na dziewczynki, to jeszcze nie pora. Zaś przyjdźcie.

Głos był ludzki, a nie diabelski. Jakaś stara ropucha musi być w tym ciemnym kącie, pomyślał zdumiony.

Zapalił zapałkę. Baba w chustce, siedząca na krześle, zmrużyła oczy.

– Po co tyn ogień. Nie trzeba polić.

Zdmuchnął płomyk i podszedł do wejścia na podwórko.

– Tu był jeden pan – powiedział, uchylając drzwi. W korytarzu zrobił się nieco jaśniej.

– Ludzie tu chodzą, wte i wewte.

– Dopiero co był.

– Nikogo nie było.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl banknot dziesięcioletni. Podszedł do kobiety i wręczył jej. Niemal wyrwała mu go z ręki.

– Pan pułkownik teraz se poszli poruchać. Można poczekać. Za jaką godzinę jak skończy...

– Gdzie poszedł?

– Poruchać.

– Gdzie, do cholery? – Chwycił babę za twarz i mocno ścisnął.

– Łe Jezusie!

– Mów gdzie, bo zatłukę!

– Łe Jezusie i Maryjo Przenajświętsza, przecie gadam, że poruchać, znaczy się do burdla.

– Gdzie?

– Jak gdzie? Na prawo, te drzwi, co są po prawej.

Puścił ją i wybiegł na podwórko. Przemierzył je w kilku szybkich susach i znalazł się pod drzwiami, które prowadziły do mieszkania w dwupiętrowej oficynie. Rozejrzył się na wszelki wypadek. Innych drzwi nie było. To mogło oznaczać, że ta oficyna to niezależny od głównego budynku dom, składający się z dwóch pięter.

Złapał za klamkę, szarpnął nią, ale drzwi nie ustąpiły. Kopnął więc z całej siły raz, potem drugi, a w końcu zaczął w nie walić pięściami, gotów je wyłamać. Zaczął nawet rozglądać się za jakimś przydatnym do tego celu przedmiotem, ale nie dostrzegł nigdzie żadnego łomu ani siekiery...

Pomalowane na zielono drzwi otworzyły się. Za nimi stał dość dobrze zbudowany, wysoki, krótko ostrzyżony, może czterdziestoletni mężczyzna, w koszuli pozbawionej kołnierzyka, bez marynarki, za to w granatowej kamizelce.

– Co się rzucasz, padalcu. Przypierdolił ci już kto dzisiaj?

– Gdzie ona jest?

– Kto?

– Moja żona!

– Co? Spierdalaj, pókim dobry!

– Gdzie jest moja żona?

– No dobra, sam chciałeś... – Odźwierny zaczął podwijać prawy rękaw koszuli, dając nachalnemu gościowi do zrozumienia, że ma jeszcze kilka sekund na przemyślenie swojego nędznego życia i podjęcie jedynie słusznej decyzji, zanim dostanie się w te wielkie łapy. Ten jednak nie miał zamiaru zastanawiać się nad czymkolwiek. Sięgnął za pasek i wyszarpał zza niego pistolet. Cerber, dostrzegłszy wycelowaną w swoją pierś lufę browninga, przestał zajmować się rękawem. Widać znał się na rzeczy, bo bez zbędnych dyskusji podniósł obie ręce ku górze.

– Prowadź, śmieciu! – zażądał Geisler.

Jego jeniec odwrócił się na pięcie i z podniesionymi rękami ruszył niewielkim korytarzykiem do przodu. Po chwili przystanął przy schodach i odwrócił się za siebie.

– Na pewno tego chcesz?

– Idź, gnoju! – Geisler był zdecydowany.

Mężczyzna ruszył. Po chwili byli na pierwszym piętrze. Tu korytarz rozchodził się w dwóch kierunkach. Skręcili w prawo. Geisler wyczuł jakieś wahanie u prowadzącego. Wbił mu więc lufę pistoletu w nerkę.

– Prowadź, bo zastrzelę jak psa.

– Sam chciałeś – rzucił przez zęby osilek i chwyciwszy za klamkę trzecich drzwi po prawej stronie, wszedł do środka. Geisler, domyślając się, że w środku może czyhać jakieś niebezpieczeństwo, wsunął się zaraz za nim, cały czas popychając go lufą pistoletu.

W pokoju panował półmrok. Jedyne okno przesłaniały grube zasłony. Mimo to w blasku lampki stojącej na toalecie, ustawionej na wprost drzwi, dostrzegł kobiecą postać. Od razu ją rozpoznał. To była jego żona. Ubrana w lekki, zwiewny szlafrok czesała włosy szczotką. Opuścił pistolet a ten, który go tu przyprowadził, poczuwszy, że nikt nie wbija mu lufy w plecy, odstąpił na bok. Teraz między Geislerem i jego żoną rozciągał się tylko wzorzysty dywan.

– Niepotrzebnie tu przyszedłeś – powiedziała z wyrzutem. A potem zapadła niezręczna cisza, którą rozdarł głośny pistoletowy wystrzał.

Godzina 12.15 po południu

- Czy mogę rozmawiać z komisarzem Fischerem? - Usłyszał w słuchawce męski głos mówiący po niemiecku.

- Tak, słucham, jestem Fischer - odpowiedział w tym samym języku.

- Anthon!

- Tak, w czym mogę pomóc?

- Anthon, nie poznajesz mnie?

- Z kim mam przyjemność?

- To ja, Carl!

Na chwilę zapadła cisza. Fischer próbował zebrać myśli, ale wszystkie rozprysły się na różne strony i odleciały jak ptaki trzepoczące skrzydłami.

- Carl? - zapytał, żeby się upewnić, ale już wiedział, że to musi być właśnie on.

- Tak, stary byku, to ja!

- Carl Aschmutat? Nie mogę w to uwierzyć.

- Chłopie, jak też nie mogłem, gdy usłyszałem, że łączą mnie właśnie z tobą...

- Zaraz, jak... o co tu chodzi, Carl? Mów, jak mnie znalazłeś i skąd, do licha, dzwonicz?

- Od siebie, znaczy dzwonię od siebie z Niemiec. To jest po waszemu Piła.

- Ja wiem...

- No właśnie, oczywiście... Anthon, nie wiem, od czego zacząć.

- Od początku.

- Od początku to powiem ci, że chciałem połączyć się z Prezydium Policji w Posen. No i nasza centrala mnie dość szybko połączyła. Czekałem, wyobraź sobie, zaledwie trzy godziny. No i jak już się dodzwoniłem na centralę tam u was, to powiedziałem, że chciałbym rozmawiać z jakimś oficerem śledczym, który zajmuje się przypadkami kryminalnymi i kwestiami porwań czy uprowadzeń dzieci, o ile takie sprawy w ogóle znajdują się w ostatnim czasie w orbicie waszych zainteresowań, no i najlepiej, jakby ten oficer mówił po niemiecku...

- Ha, ha, ha, Carl, przyjacielu, tu wszyscy mówią po niemiecku.

- No tak, to prawda, przecież to Posen.
- Poznań – poprawił go Fischer.
- No tak, wszystko się zmienia...

Karabin maszynowy terkotał jak młynek do kawy. On leżał w leju po armatnim pocisku i patrzył w niebo. Pas Oriona był doskonale widoczny dokładnie na wprost jego oczu. A więc patrzył na zachód. Pomyślał od razu, że skoro jego umysł podpowiedział mu, że na zachodniej stronie nieba jest pas Oriona, to znaczy, że jeszcze nie umiera. Choć w zasadzie powinien. Kula z ckm-u przeorała mu udo i gdyby nie ocknął się zaraz po zranieniu, to mógłby wykrwawić się na śmierć. Tymczasem ból przywrócił go do świata żywych. Zdjął swój pas i tym pasem obwiązał nogę, tworząc prowizoryczną opaskę uciskową. A gdy już ją zaciągnął, stracił znów przytomność. Miał wrażenie, że traci ją i potem odzyskuje odrobinę świadomości, która mówi mu, że karabin maszynowy terkocze jak młynek kawowy, w którym mama miała codziennie kawę przed śniadaniem.

Anglicy strzelali ze wzgórza, które wznosiło się ponad płaskowyżem, jakieś trzysta metrów stąd. Próbowali je zdobyć, atakując od czoła już pięć razy. Za każdym razem bezskutecznie, poświęcając niepotrzebnie życie setek żołnierzy. Godzinę temu, tuż przed zmierzchem, poszli do ataku jeszcze raz. Tym razem artyleria ostrzelała wzgórze i przeniosła ogień na lewą flankę. Tak jakby zupełnie przypadkiem niewprawny dowódca, którego przysłano do batalionu na oficerskie praktyki, źle obliczył trajektorię lotu. Takie sytuacje zdarzały się dość często, więc u nikogo nie budziły zdziwienia. Gniazda ckm-u nie zniszczono, ale nie taki był plan. Dowództwo postanowiło zaskoczyć wroga. Przeniesiony ogień miał zniszczyć stanowiska obronne na flance, a potem w to ostrzelane miejsce miała uderzyć piechota. I uderzyła. Tyle że chytry plan się nie powiódł. Karabin maszynowy odezwał się z góry dokładnie w chwili, w której niemiecka piechota pojawiła się na prawo od wzgórza. Na domiar złego na wprost Anglicy ustawili kolejny ckm. Atakujący dostali się więc w krzyżowy ogień i atak się załamał, nie doszedłszy nawet do wrogich okopów. Żołnierze niemieccy zapadli w leje po artyleryjskim ostrzale i w zagłębienia na przedpolu. Ci,

którzy szli w awangardzie ataku, zostali przyszpileni do ziemi w trakcie pokonywania zasieków z drutu kolczastego. Atak prowadził podporucznik Anthon Fischer.

Gdy odezwały się ckm-y, był akurat w połowie trałowania przejścia. Karabiny ostrzelały najpierw żołnierzy z czołówki, a potem wbiły się w pole za nimi, dziesiątkując atakujących. Doświadczeni weterani natychmiast zapadli w leje, ale do niedoświadczonych młodzików, którzy przyszli do oddziału jako uzupełnienie, strzelano jak do kaczek.

Fischer wiedział dobrze, że nie ma nadziei na kontynuowanie natarcia. Teraz jego głównym zmartwieniem było wyprowadzenie z przedpola jak największej liczby swoich ludzi. Jediną szansę na powodzenie dawały ciemności. Te zapadły w ciągu dwóch godzin. Anglicy jednak dobrze wiedzieli, że ich przeciwnicy będą podejmowali próby wyjścia z matni. Dlatego z regularnością niemal co do minuty niebo rozświetlała wystrzeliwana w górę raca, a wraz z rozbłyskiem zaczynał się maszynowy ostrzał.

Fischer nakazał ewakuację swoim czterem podwładnym, którzy wraz z nim zalegli pod drutami kolczastymi. Ci bez gadania zaczęli czołgać się do tyłu i wkrótce nie było po nich śladu, gdy po pokonaniu kilkunastu metrów wskoczyli do leja po armatnim pocisku. Po chwili w blasku racy dostrzegł, że szykują się do skoku. Gdy znów zapadły ciemności, sam zaczął się wycofywać. Obliczył sobie, że do najbliższego leja powinien dotrzeć w dwóch turach. Kolejny rozbłysk przeczekał w niewielkim zagłębieniu. Gdy światło zgasło, natychmiast poderwał się i skoczył do przodu. Wydawało mu się, że już jest u celu, gdy nagle jakaś ogromna siła podcięła mu nogi. Poczul rozdzierający ból w prawym udzie i było to ostatnie odczucie, które zapamiętał.

Gdy otworzył oczy, zobaczył na tle rozgwieżdżonego nieba pochylającą się nad nim sylwetkę żołnierza w rogatym hełmie.

– No, bracie, myślałem, że już po tobie – odezwał się do niego Carl Aschmutat. – Masz zamiar przespać całą wojnę?

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytał przyjaciela.

– A, siedziałem sobie spokojnie w okopie i czekałem, aż wpadniesz z wizytą, żebyśmy mogli napić się koniaku. Ale gdy wrócili Mayer

i Kluge, to sobie pomyślałem, że na pewno się przestraszyłeś tego angielskiego rozpylacza i siedzisz gdzieś w jakiejś dziurze i obgryzasz paznokcie ze strachu. No więc zapytałem tych dwóch wałkoni, gdzie się podziewasz, a oni zrobili głupią minę i powiedzieli, że kazałeś im iść przodem, a sam zostałeś, żeby się jeszcze trochę rozejrzeć.

– Dostałem w nogę. – Fischer dotknął lekko uda i jęknął z bólu.

– Masz szczęście, brachu, bo kula przeszła czysto przez mięsień. Obejrzałem już wszystko, jak spałeś. Teraz muszę cię jakoś zatargać do domu.

– Spróbuję iść...

– Chyba zwariowałeś. Nigdzie nie dojdiesz. Trzeba cię zanieść, ale te cholery cały czas kropią po przedpolu. Chyba cię wezmę na plecy...

Naraz na górze leja zrobił się jakiś ruch. Dwaj ludzie wskoczyli do środka i spadli na plecy Carla.

– Jasna cholera! – krzyknął porucznik. – Żeby was jasna cholera wzięła!

– Gefreiter Kluge i Mayer meldują się do pomocy. A pan porucznik żywy. To dobrze.

– Weźmiem pana porucznika na szynel. – Mayer zdjął z siebie swój płaszcz. O i tu paski włożym. – Naciął bagnetem płaszcz w dwóch miejscach tuż pod kołnierzem. W jedną dziurę włożył swój pas, a w drugą ten, który podał mu Kluge. – A teraz pan porucznik się tu położy i lecim.

– Poczekajcie jeszcze chwilę – powstrzymał ich Aschmutat. Zdążymy przed świtem.

Odpiął przytroczoną do paska manierkę i podał ją Fischerowi.

– Masz, wypij odrobinę na wzmocnienie.

Anthon pociągnął łyk i się zakrztusił.

– Myślałem, cholera... że to woda.

– Zwariowałeś? Czy my jesteśmy konie, żeby pić wodę? Kulturalny człowiek pije martela.

Odebrał z rąk kolegi manierkę, sam wypił trochę i podał naczynie szeregowcom.

– Pijcie, koledzy – zachęcił ich.

Mayer nieco zdziwiony wziął naczynie i wypił. Rzadko zdarzały się takie chwile, kiedy oficerowie częstowali alkoholem swoich podwładnych.

– No to bierzemy klienta i wieziemy go na wypoczynek do sanatorium – powiedziawszy to, klepnął Fischera w ramię. Trzymaj się mocno, brachu, bo będzie kołysać.

Pół godziny później wszyscy czterej dotarli do okopów. Następne dwa miesiące Fischer przeleżał w szpitalu.

– No i połączyli cię akurat ze mną.

– Nie miałem pojęcia, że pracujesz w policji. Dawno się nie widzieliśmy, przyjacielu – stwierdził Aschmutat.

– Dopiero niedawno zwolnili mnie z wojska. Jeszcze się musiałem nawojować, gdy ty leżałeś do góry brzuchem.

– Od dziewiętnastego roku jestem w policji w Schneidemühl.

– Niedaleko mamy do siebie.

– Gdyby Polacy nie rozebrali torów, to byłoby jakieś dwie godziny pociągiem.

– Gdyby Niemcy nie chcieli odebrać nam Poznania...

– Mamy niedaleko do siebie.

– Mamy niedaleko...

– To prawda, może będzie okazja znów napić się martela, jeśli przyjechałbym do Posen.

– Mów, w czym rzecz.

– Pewien człowiek zabił swoją żonę. Twierdzi, że dlatego, że ta sprzedała dzieci. Dwójkę dziewczynek w wieku ośmiu i dziewięciu lat. Kupiono je ponoć po to, żeby przewieźć do Polski. Kupiec był podobno z Posen. Tak przynajmniej twierdzi ten ojciec...

– Zabił żonę, bo sprzedała dzieci? A ta przed śmiercią powiedziała mu o kupcu z Poznania?

– Zaraz, zaraz, sugerujesz...

– Sprzedał dzieci i zabił żonę.

– Anthon, ty jesteś jak ten detektyw angielski Sherlock Holmes.

– Mam przecucie.

– Zaraz go weźmiemy w obroty.

– A co do dziewczynek, mamy tu pewną podobną sprawę...

- Miałem przeczucie
- Kiedy przyjedziesz do Poznania?
- Jutro. Pociąg z Kreutz przyjeżdża do Posen o 12.15.
- Będę na peronie.
- Do zobaczenia, przyjacielu!
- Martel czeka na ciebie.

Fischer odłożył słuchawkę. Rozmowa z kolegą, z którym spędził w okopach dwa lata, sprawiła, że znów stanęły mu przed oczami tamte chwile. Zupełnie bezwiednie zaczął pocierać dłonią miejsce na udzie naznaczone przez angielską kulę. Gdyby nie Carl, może zostałby tam w tym leju na zawsze.

Aparat telefoniczny na biurku znów zadzwonił. Pomyślał, że to centrala telefoniczna chce sprawdzić, czy rozmowa międzynarodowa się zakończyła. Tymczasem głos nie należał do telefonistki.

- Panie komisarzu, melduje się przodownik Bielawski z komisariatu w Wysokiej.

- Tak, słucham.

- Z Wysokiej, Bielawski, pan komisarz pamięta, bo ja byłem na kursach kryminalnistycznych, co pan komisarz nam opowiadał o liniach papilarnych i w ogóle o śladach...

- A, Bielawski z Wysokiej, już pamiętam! - Skłamał, bo nie miał zielonego pojęcia o żadnym Bielawskim. W końcu na kursach, na których zdarzało mu się wykladać, było zawsze około setki policjantów z całego województwa. - Co tam u was słysząc, przodowniku?

- Melduję, że pan komisarz powiadał, że lepiej, jak się ma podejrzenia, od razu meldować, a nie czekać, bo czas to jest bardzo ważny w naszej robocie, tak że od razu po niedzieli melduję, że są tu u nas we wsi obok dwie dziewczynki ukradzione ze Sznajdemila i one mają być odebrane jutro przez kogoś z Poznania, i ja właśnie zastawiam zasadzkę, żeby złapać kogoś, kto je odkupił...

Zdumiony Fischer wciągnął głośno powietrze. Zdaje się że Carl Aschmutat nie przyjedzie na darmo. Chyba żeby...

Sięgnął po słuchawkę telefonu i wybrał numer centrali. Miał jeszcze szansę uzyskać połączenie zwrotne, bo wtyczki w łącznicach

na trasie z Niemiec do Polski mogły być jeszcze powtykane do gniazdek. Postanowił zaryzykować i zagrać na bezczelnego...

– Halo – odezwała się telefonistka.

– Mówi się! – zawołał do ebonitowej tubki.

– Jak mówi się?

– No mówi się, coś przerwało. Rozmowa ze Schneidemühl z policją w Posen, cholera, w Poznaniu...

– No to co pan nic nie mówi, ja muszę sprawdzić, wywołać... Proszę czekać!

Pięć minut później usłyszał w słuchawce głos Carla.

Godzina 12.30 po południu

– Nic nie będę gadał.

– Będziesz, i to szybciej, niż se myślisz.

– Tak ci cię zdaje? No to proszę bardzo. Możesz mnie najsamprzód zabić, ale i tak nie powiem, póki...

– Chłopie, i po jaką cholere się stalujesz. Przecie wiesz, że w morde tak mozem przylać, że wszystkie zęby wypadną. Po co ci to?

– Będę gadał, jak przyjdzie tu komisarz Fischer.

– A co ty se myślisz, że komisarz Fischer to jest jakiś szczon na posyłki? Że my se możemy po niego zadzwonić i powiedzieć mu, że mamy tu u siebie jakiegoś szuszwola, a on od razu tu przyleci?

– Jak powiecie, że to się rozchodzi o Anatola Grubińskiego, to przyleci.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie i naraz wybuchnęli śmiechem. Ten ich więzień najwyraźniej starał się zachowywać bezczelnie. A nikt, kto lubi spokój i ciszę w pracy, nie przepada za bezczelnymi typkami, którzy potrafią ten spokój zburzyć. Obaj pomyśleli, że już czas, by użyć innych, bardziej zdecydowanych środków perswazji.

Anatol Grubiński siedział przywiązany do krzesła, które stało na środku dużego pomieszczenia w piwnicy. Tolek znał wiele piwnic, ale tak czystej jeszcze w życiu nie widział. Nie dość, że nie miała normalnego piwnicznego sklepienia w kształcie ceglanych łuków, jak te wszystkie znane mu ze Starego Miasta, a zamiast nich prosty,

biały sufit, to jeszcze wszystkie ściany tego pomieszczenia były pomalowane na biało. Ale najlepsze było to, co dostrzegł na podłodze. Nie było tam ani udeptanego klepiska, ani nawet wylanego betonu. Ta podłoga była wyłożona białymi kafelkami.

Gdy ją zobaczył, pomyślał nawet, że to musi być jakaś chłodnia w restauracji albo może szpitalna sala. W szpitalach też były kafle na podłogach, ale nie takie białe i świecące, tylko zwyczajne, w prążki, które zwiększały tarcie i sprawiały, że ludzie na nich się nie przewracali. W twierdzy Boyen, koło miejscowości Lötzen w Prusach Wschodnich, w której służył podczas wojny, cała piekarnia i wszystkie magazyny żywnościowe były dla czystości i lepszego utrzymania porządku wyłożone żółtymi kafelkami firmy Villeroy&Boch i musiał przyznać, że było to bardzo praktyczne posunięcie. Ale żeby wykladać podłogę takimi białymi, śliskimi kaflami?

Spojrzał w górę, pod sam sufit, ponad głowami tych dwóch facetów, którzy próbowali go przekonać do mówienia. Niewiele było widać przez zakratowane okienko. Ale to, co dostrzegł, to był kawałek nieba przesłonięty przez kilka gałązek bukszpanu. Okno pewnie wychodziło na ogród. Zielony bukszpan przypominał mu o tym, że niewiele czasu zostało już do świąt. Za kilka dni będzie dzielił się ze swoimi najbliższymi jajkiem...

Tych najbliższych nie było zbyt wielu. Kuzyn Antek, który mieszkał z żoną i dziećmi na Dębcu, i jacyś dalsi krewni na wsi, w okolicach Poznania. Matka i ojciec nie żyli już od dawna, a jedyny brat, starszy od niego o dwa lata, zaginął bez wieści gdzieś na froncie francuskim.

Przy świątecznym stole siadał więc zazwyczaj w szynku U Okonia i tam dzielił się jajkiem z Kaźmierczakami i kilkoma innymi znajomkami. Pomyślał, że za jakiś czas trzeba będzie to zmienić. Tylko do zmian potrzebna jest dobra i robotna dziewczucha, a taką niełatwo znaleźć.

– Tej, gościu, nie zasypiaj, bo cię pięścią rozbudzę! – Głos tego niższego przywołał go do rzeczywistości.

– Odpierdolta się! – burknął i zaraz pożałował. Poczł silne uderzenie w nerki, wymierzone precyzyjnie z prawej strony. Jęknął

głośno, ale udało mu się powstrzymać od krzyku. Nie chciał im dać satysfakcji. Głowa opadła mu na pierś. Poczuł, że ten wielki, który przywalił mu w prawą nerkę, idzie teraz na lewą stronę. Spróbował się więc wyprostować i z całej siły napiąć wszystkie mięśnie lewego boku, żeby przyjmując cios, zminimalizować ból. Nic to nie dało. Uderzenie miało siłę kowalskiego młota. Poczuł, jakby ktoś próbował go rozerwać na pół, a przed oczami zobaczył ciemność rozświetlaną przez gwiazdy.

– I co, będziesz gadał? – zapytał ten mniejszy.

Otworzył oczy i spojrzał w lewo, tam gdzie stał mężczyzna. Dopiero teraz dostrzegł za jego plecami, tuż przy podłodze, miedziany kran z okrągłym kurkiem. Tuż pod nim leżał zwinięty równo gumowy wąż. I naraz Tolek zrozumiał, w czym jest rzecz z tą piwnicą, czemu podłoga była wyłożona śliskimi kaflami, a ściany pomalowano białą olejnicą. Zapewne też gdzieś na środku, może pod jego tyłkiem, między nogami taboretu była kratka odpływowa, przez którą mogłaby spokojnie spływać woda zmieszana z rzygowinami, odchodami i krwią, czyli wszystkim tym, co wydzielał z siebie człowiek przesłuchiwany w brutalny sposób. Znalazł się więc w pokoju do torturowania więźniów. Tylko nie bardzo rozumiał dlaczego. Ci dwaj czegoś od niego chcieli, a on głupio się upierał, że im nic nie powie. Tak się właśnie umawiał z Fischerem, który wypuszczał go z aresztu.

– Panie Grubiński, nasza umowa jest ważna do czasu. Wygasa, jeśli się ktoś o niej dowie.

Wtedy to doskonale rozumiał. Umówili się, że w związku z dawnymi zasługami Fischer go wypuszcza, ale w zamian Tolek pomoże mu znaleźć morderców tego cholernego Niemca. No to robił, co mógł, żeby ich znaleźć. Przeszukał jego pokój w hotelu, sprawdził wszystkie jego rzeczy, a chłopaki mieli rozpytać wszystkich w tej sprawie. No i tak właśnie zrobili. I jak się okazało, wszystko powiodło się doskonale, bo Zenuś i Krystek wyśledzili już tego gościa, który strzelał. Teraz mieli go tylko namierzyć i pewnie w tej chwili to robili. Tylko czego chcieli ci ludzie z wywiadu? Tych dwóch nie znał, ale ich dowódcę Mikołajewskiego poznał w dziewiętnastym

roku, kiedy pomagał jemu i Fischerowi namierzyć niemieckich spiskowców, którzy chcieli w Poznaniu wywołać niemieckie powstanie. Wtedy pokazał, że potrafi z bronią w ręku walczyć za Polskę. A teraz ten facet mówi mu, że jest zdrajcą. Nie mógł pojąć, o co w tym wszystkim chodzi. Inaczej by pewnie było, gdyby ten Mikołajewski przyszedł do niego i normalnie, tak od serca, pogadał. Wtedy powiedziałby im wszystko, co by chcieli, z dobrej i nieprzymuszonej woli, ale skoro oni zaczęli od lania, no to się zawziął. No i jeszcze dochodziło to słowo dane Fischerowi. Ich umowa obejmowała przecież bardzo ważną kwestię. Miał wydać Fischerowi mordercę, a w zamian za to zostanie zdjęty policyjny list gończy za Zenusiem Brodziakiem. Więc teraz, jeśli powie temu wywiadowcy, na czym polegała ta umowa, to Fischer gotów jest się obrazić. Dlatego chciał się zobaczyć z komisarzem, zanim cokolwiek im powie. A oni zamiast go tu sprowadzić, wzięli się do bicia...

– Panie Grubiński, tak jak pan sobie życzył, zadzwoniłem do komisarza Fischera.

Podniósł spojrzenie wbite dotąd w podłogę i przeniósł je wprost przed siebie. Na takim samym krześle, jak to, do którego został przywiązany, zasiadł wywiadowca Mikołajewski.

– Co?

– Komisarz powiedział mi, jaki macie układ, i kazał przekazać, że zwalnia pana z danego słowa. A to oznacza, że może mi pan powiedzieć wszystko, co wie w sprawie... w sprawie zabitego Niemca nazwiskiem...

– Heinz Joseph Langsdorff.

– No właśnie, widzę, że doskonale zapamiętał pan nazwisko tego człowieka.

– Takich bydlaków się nie zapomina.

– A to ciekawe. Dlaczego?

– Langsdorff był moim dowódcą podczas wojny.

– I domyślam się, że nie ma pan szczególnie miłych wspomnień z nim związanych.

– Nie.

– I dlatego pan go zabił?

– Nie zabiłem go. Niestety. Ale jakby wpadł w moje łapy, tobym mu się odwdzieczył za stare czasy.

– Czyli to nie pan go zabił?

– Nie ja.

– To w jaki sposób wszedł pan w posiadanie teczki z dokumentami, którą miał Langsdorff?

– Cholera mnie podkusiła.

– Że niby w jakim sensie?

– A no tak, że mogłem se te flepy darować i zostawić w pokoju hotelowym.

– Jakim pokoju?

– Hotelu Royal, tam gdzie stanął ten cholerny Langsdorff. Chłopak ode mnie, Zenuś Brodziak, co nie mógł obojętnie przejść koło zaszlachtowanego Szkiebra, zjuchcił wszystko, co się dało, w tym też klucz do numeru w hotelu. Polazłem tam, żeby sprawdzić, czy czego ciekawego nieboszczyk nie zostawił. No i okazało się, że były walizki z lompami i jakimiś pierdołami no i ta teczka pieprzona. I mnie cholera podkusiła, żeby ją wziąć. No i wzięłem.

– To ciekawa opowieść, panie Grubiński. Wszystko się ładnie w niej układa. Brakuje mi jeszcze tylko jednego elementu naszej układanki.

– Czego? – Tolek nie zrozumiał w pierwszej chwili, o co chodzi Mikołajewskiemu.

– No jak to, panie Grubiński, nie rozumie pan, że potrzebujemy jeszcze mordercy? Nie wiemy, kto go zabił i dlaczego.

– No to się zapytajcie – podpowiedział.

– Kogo mamy zapytać?

– Jak kogo. Tego, co zabił. Zapytajcie się Alojza Spychały, co mieszka na Szkolnej. To on kropnął tego zasranego Langsdorffa.

Godzina 2.10 po południu

Podkomisarz Fischer bardzo chętnie spotkałby się z wywiadowcą Gilem, jednak ten nawet nie pomyślał, że mógłby wrócić do swojego biura w Dyrekcji Policji. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie. Już

dwie godziny temu powinien był się zobaczyć z Geislerem, bo ten obiecał mu dziś zapłacić za jego śledcze usługi, ale jego kolega nie stawiał się na miejsce spotkania. Umówili się w restauracji U Krygiera, na wprost uniwersyteckiego budynku Collegium Minus. Gil lubił tu jadać, bo przyrządzali doskonałą wieprzowinę z sosem i ziemniakami, która wprost rozpływała się w ustach. W oknie wystawowym gości zachęcał do wejścia okrągły szyld z nieporadnie wymalowaną świńską nogą i skrzyżowanymi nożem i widelcem oraz z napisem informującym, że „Tu się jada jak u mamy”. Wewnątrz znajdowało się kilka stolików przykrytych śnieżnobiałymi obrusami, przy których zawsze było tłoczno, bo restauracja znajdowała się w doskonałym punkcie, zaledwie jeden przystanek od dworca głównego i pięćdziesiąt metrów od uczelni, w której uczyły się całe tabuny wiecznie głodnych studentów.

Gil w samo południe zjadł sztukę mięsa w sosie chrzanowym, popił ją piwem i zadowolony siedział, czekając na Geislera. Koło pierwszej zniecierpliwiony zamówił setkę wódki i tataru. O drugiej kolejną setkę i galart z nóżek.

W zasadzie mógłby siedzieć tu jeszcze dłużej, ale doszedł do wniosku, że za dużo już wydał, licząc na pokaźny przyrwy gotówki za wykonane zlecenie śledcze. Nawet jakby chciał, to już nie miał pieniędzy na dalsze biesiadowanie, bo jako człowiek zapobiegliwy wszystko, co zarobił ostatnio, wpłacił na książeczkę wkładową Pocztovej Kasy Oszczędności, zostawiwszy sobie tylko kilka tysięcy. Liczył bowiem na to, że w momencie gdy przyjdzie wymiana pieniądza z marek na te zapowiadane polskie złote, to oszczędności bankowe zostaną wymienione w pierwszej kolejności. A co do tych chowanych w skarpecie... Przecież nigdy nic nie wiadomo i może się okazać, że tego, co się ma w domu odłożone w gotówce, banki nie będą chciały wymieniać. On wolał mieć swoje pieniądze zabezpieczone.

Spojrzał na ścienny obrazek przedstawiający zwykłą podwórzową pompę i napis umieszczony pod spodem „Tu się nie pumpuje”^[30], który pozbawiał go wszelkich złudzeń. Przywołał kelnera, zapłacił i mocno zirytowany wyszedł z restauracji. Stanąwszy na chodniku, rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, co robić dalej.

„W poniedziałek nie pójde rano do pracy, żeby sprawdzić, jak się moja żona zachowa. Może nawet udam, że jestem chory, i zostanę w domu, a potem za nią pójde, żeby się przekonać. Później się zobaczymy”, mówił mu w sobotę Geisler, gdy po spotkaniu w ratuszu poszli razem na golonki i wódeczkę. Popili wówczas tego i Gil nie miał już siły, by wybrać się na Wielkie Garbary, tak jak planował. Dlatego w burdelu zjawił się dzień później i trafił tam na policyjną obławę. Teraz pomyślał, że właściwie wszystko się dobrze poukładało i kto wie, może tak miało być, a jego krokami kierowała Opatrzność. Tylko jak się ona miała do tej dzisiejszej sytuacji, w której winny mu sporą sumkę pieniędzy Geisler wystawił go do wiatru?

Naraz doznał olśnienia. Skoro jego kolega nie poszedł do pracy i zajął się śledzeniem żony, to pewnie utknął pod tym domem na Zwierzynieckiej i stoi tam jak dupa wołowa, czekając, aż ta jego niewierna kobieta stamtąd wyjdzie.

Spojrzał w lewo. Stąd było całkiem niedaleko. Wystarczyło tylko przejść przez most Uniwersytecki, rozłożony nad torami, i dawną kaponierę kolejową, by wejść w szerokie gardło ulicy Zwierzynieckiej. Na jej drugim końcu zapewne tkwił jak samotny palec zdradzony mąż. Lekko podchmielony Gil poczuł, że jego obowiązkiem jest pomóc Geislerowi, który pewnie nie wie, co ma zrobić. Powinien wraz z nim wkroczyć do środka, do tego miejsca schadzek, i nakryć kobietę na gorącym uczynku.

Zadowolony z pomysłu ruszył przed siebie. Przystanął po chwili, by przepuścić zielony tramwaj numer jeden, który dzwoniąc głośno, skręcał właśnie z Dworcowej w ulicę Święty Marcin. W tramwajowej szybie dostrzegł naraz uśmiechniętą twarz swojego młodszego kolegi, wywiadowcy Krausego. Ten też go zobaczył i od razu zaczął do niego wymachiwać.

– Ażeby cię szlag trafił – mruknął pod nosem Gil i uśmiechnął się niewyraźnie.

Tramwaj przejechał kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się na przystanku, dokładnie na wprost restauracji Krygiera. Wysiadło z niego kilka osób, w tym Krause i jego nieodłączny kolega Stolarski.

– Niestety muszą zawsze chodzić parami – powiedział do siebie wywiadowca i zaraz na jego usta wypłynął szeroki, nieszczerzy

uśmiech, mający ukryć zdenerwowanie.

– Panie Gil, ale spotkanie! – zawołał Stolarski.

– Poznań to przecież nie Berlin. Trudno się tu zgubić...

– Behlin to duże miasto, prawda, panie Gil – zgodził się z nim Krause.

– A kto tu mówi o zgubieniu? Ja tylko powiadam, że żeśmy szczęśliwie na pana się napatoczyli, bo komisarz Fischer pana szukał.

– Mnie? – zdziwił się Gil. A niby to po co?

– My nic nie wiemy. – Krause uderzył się w pierś. – Powiadał tylko, że jak kto pana Gila zobaczy, to zaraz niech go posyła do niego, znaczy się do komisarza Fischera.

– Dzisiaj rano był na spotkaniu u samego komendanta. I na tym spotkaniu był też jakiś wojskowy, a potem jak już było po spotkaniu, to Fischer chciał, żeby pana wołać, ale pana nie było, to powiedział, że jakby gdzieś pana znaleźć, to zaraz do niego posyłać, bo sprawa jest pilna.

– He, he, he! Jak to bez człowieka nie mogą się obejść. Tak to jest, jak się dobrze pracuje, że dowództwo musi się w ważnych sprawach naradzić ze starym Gilem, he, he, he!

– To co, jedzie pan z nami? – zapytał Krause.

Gil szybko pokręcił głową.

– Teraz nie, powiedzcie komisarzowi, że jeszcze dziś przyjdę, ale teraz nie. Mam sprawę na mieście.

– Ale komisarz chciał, żeby pilnie przyjść. – Nie dawał za wygraną Stolarski.

– Pilnie nie da rady, bo ja mam jeszcze ino coś sprawdzić i zaraz wracam. – Gil próbował wybrnąć z sytuacji, starając się mówić w przekonujący sposób. Ci dwaj mogli się nie odczepić i jeszcze siłą zaprowadzić go do Fischera, a on przecież miał do załatwienia ważną sprawę. Trzeba było im rzucić coś na pożarcie.

– Ja muszę iść teraz do jednego burdelu na Zwierzynieckiej. Wiecie, w takim domu, na samym końcu ulicy po lewej stronie, a po drugiej stronie jest szwalnia mundurowa...

– No jasne, że wiemy, gdzie dom, ale że tam burdel jest, to niby skąd nam wiedzieć? – Stolarski był młody i nie znał jeszcze

wszystkich przybytków rozkoszy. Zresztą Gil też nie wiedział na pewno, że jest tam burdel, ale na wszelki wypadek improwizował. Zdawał sobie bowiem sprawę, że najlepsze kłamstwa zawierają w sobie część prawdy.

– Burdel, dom schadzek, a i powiadał mi pewien mój informator, że tam też można se zamówić małe dziewczynki. No to ja pójde tam sprawdzę, co i jak, wypytam, bo tego, co tam ma burdel i co się nazywa Koziółek, to ja znam jeszcze sprzed wojny. Przyciśnie się go odpowiednio...

– To my z panem pójdziemy – zaoferował natychmiast Stolarski.

– Obstawa się przyda – dodał Krause.

– Nie, nie! Wszystko byśmy znowu popsuli, jakby my tam we trzech wpadli. Nie, ja sam muszę, na przeszpiegi. A jak coś już wyniucham, to wiecie, raz-dwa do Prezydium się wrócę i zrobimy na nich najazd. Wszystkich się zgarnie.

Obaj młodszy wywiadowcy zrobili głupie miny. Gil natychmiast zauważył ich wahanie.

– Panowie, ja się tam rozpatrzę i zaraz wracam. I wtedy z komisarzem wspólnie tam wchodzimy. No co, zgoda?

Wzruszyli ramionami. Co było robić? W końcu to Gil miał więcej doświadczenia i wiedział dobrze, jak się powinien zachować, podczas gdy oni, młodszy, musieli słuchać poleceń starszych stopniem. A poza wszystkim nie byli przydzieleni do akcji Gila, tylko załatwiali sprawę na kolejowym dworcu, którą zlecił im Fischer. Posłał ich, żeby kupili mu bilet do Chodzieży, bo jak się okazało, jeszcze dziś pilnie zamierzał tam pojechać. Nie powiedział tylko, po co chce jechać na ten koniec Polski. Ale to już przecież nie była ich sprawa.

– No to my będziemy czekać w Phezydium jakby co. – Krause w końcu ustąpił. Młodszy od niego Stolarski nie miał nic do gadania.

Unieśli czapki z głów i zaraz pognali na przystanek, bo akurat znów od dworca nadjeżdżał tramwaj, głośno oznajmiając swoje przybycie dzwonkiem.

Gil odetchnął z ulgą. Popatrzył w ślad za młodymi policjantami, a upewniwszy się, że wsiedli do bimby i odjechali, odwrócił się na pięcie i podreptał w przeciwnym kierunku.

Niby nie było daleko, ale przejście całego dystansu zajęło mu ponad kwadrans. Szedł niezbyt szybko, żeby przypadkiem się nie zmęczyć za mocno. Przystanął na chwilę przy parkanie ogrodu zoologicznego, żeby rzucić okiem na pawie, które łąziły sobie swobodnie wzdłuż ogrodzenia. Patrząc na kolorowe ptaki, przez chwilę myślał o tym, co też może chcieć od niego Fischer. Skoro rozmawiał z jakimś żołnierzem, to sprawa musiała dotyczyć wojska. Ale on niczym wojskowym ostatnio się nie zajmował. Owszem, jakieś pół roku temu pomagał żandarmom w zlokalizowaniu pasera, który odkupował kradzione w koszarach wojskowe koce, no ale to się już dawno zakończyło. A może dalej im ktoś te koce wynosił? Bo tamtego Gil namierzył z łatwością. To nie było nic wielkiego. Wystarczyło tylko popytać tu i ówdzie i już paser z Jezyc trafił za kratki.

Wzruszył ramionami. Nie było co trwonić lotnych myśli po próżnicy. Jak przyjdzie czas, to się dowie. Teraz należało pomóc temu nieborakowi Geislerowi.

Paw, który podszedł blisko ogrodzenia, spojrzął na Gila, rozłożył szeroko swój kolorowy ogon jak ogromny wachlarz, a potem krzyknął przeraźliwie. Głupie bydlę, pomyślał wywiadowca, który przeląkł się tego krzyku. Gdyby nie ściana żelaznego płotu, kopnąłby to ptaszysko, żeby zapamiętało sobie raz na zawsze, że policjanta na służbie nikt nie ma prawa straszyć.

Odwrócił się i podreptał dalej. Gdy doszedł do narożnej kamienicy, przystanął i rozejrzał się uważnie. Geislera nigdzie nie było widać. Po drugiej stronie ulicy przechadzał się w tę i z powrotem policjant, przyglądając się uważnie przechodniom podążającym za swoimi sprawami. Wywiadowca pomyślał nawet, że może trzeba by do niego podejść i zapytać, czy aby nie widział człowieka o wyglądzie... No właśnie, jak wyglądał Geisler? Podobny był do nikogo, a przecież jeśli ktoś wygląda jak nikt, to policjant go za nic w świecie nie zapamięta. Nie miał, niestety, krzywej gęby ani przetrąconego nosa.

Gil doszedł do wniosku, że musi się zdać na samego siebie. Wszedł więc śmiało po schodach na korytarz prowadzący na klatkę schodową. Przytrzymał drzwi, żeby przyjrzeć się dokładnie wnętrzu, pomny tego, jak przestraszyła go ostatnim razem ta skrzecząca

starucha. Tym razem jej krzesło było puste. Ale to dzięki niej wpadł na pomysł, jak historii opowiedzianej dwóm kolegom nadać rys autentyczności. To przecież ta stara wiedźma chciała go zaprowadzić do jakiejś dziewczynki. Ale on na szczęście w małych dziewczynkach nie gustował.

Minął korytarz i wyszedł na niewielkie podwórko. Wtedy ten mężczyzna, który przyszedł na spotkanie z Geislerową, zapukał do drzwi po prawej.

A co mi tam, pomyślał policjant, któremu wypity niedawno alkohol rozgrzał krew w żyłach na tyle, by wyzwolić w nim mocno skrywane na co dzień pokłady odwagi. Zapuka się tam i później się zobaczy. Tylko właściwie po co mam tu włązić? Naraz przyszło otrzeźwienie. Przecież nie szukał ani Geislerowej, ani jej gacha, ani nikogo innego. Chciał się spotkać z Geislerem, który był mu winny pieniądze. A skoro go nie było na ulicy, to zapewne wrócił już do domu. Trzeba by więc iść do niego do chaty i tam się z nim rozmówić...

Naraz drzwi, do których przed chwilą chciał pukać, otworzyły się. Dostrzegł plecy człowieka wychodzącego tyłem. Człowiek ów był pochylony pod wpływem ciężaru, który trzymał w dłoniach. Tym ciężarem był sporych rozmiarów zwinięty dywan. Tragarz szedł dalej, nieświadom tego, że ktoś go obserwuje. Przemieszczał się z trudem, utykając na jedną nogę. Po chwili w drzwiach pokazał się jeszcze jeden. Rozejrzał się dookoła i od razu jego spojrzenie zatrzymało się na stojącym jak kołek na samym środku podwórka Gilu. Wywiadowca zmrużył oczy, wpatrując się w osiłka. Ten naraz uśmiechnął się, a gdy to zrobił, policjant zadrżał ze strachu. Znał tego uśmiechniętego typa. Już raz się do niego tak uśmiechał, przyciskając go całym ciałem do ściany w gospodzie U Okonia.

Nie było na co czekać. Nie miał zamiaru pozwolić, żeby ten facet znów go przydusił. Odwrócił się, by pobiec do wyjścia, i zamarł z przerażenia. Przed nim stał człowiek, który w dłoni miał pistolet. Zimna lufa dotknęła spoconego czoła Gila tuż pod rondem jego kapelusza.

– No proszę, cóż za niespodzianka. Pan Gil we własnej osobie. Kto by pomyślał? – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa rzędy nieskazitelnie białych zębów.

Jak z reklamy proszku do zębów, pomyślał wywiadowca Gil. I to była ostatnia myśl, jaka przemknęła mu przez głowę, zanim jego umysł poszybował w czarną otchłań nicości.

Godzina 3.20 po południu

Aspirant Pikuła był zmęczony. A do zmęczenia dochodziło jeszcze zniechęcenie. Zmęczyły go rozmowy z prostytutkami zatrzymanymi w tym lupanarze na Garbarach, które niczego nie wiedziały i nie słyszały. Wszystko za to wiedziała i o wszystkim słyszała burdelmama, która już na samym początku przesłuchania przejęła inicjatywę, tak że młody oficer został kompletnie zbity z tropu.

– Chodzi o to, panie poruczniku – korpulentna burdelmama, mocno zmęczona przez lata nadużywania mężczyzn i alkoholu, nie miała pojęcia o stopniach policyjnych, a Pikuła w końcu zrezygnował z poprawiania jej pomyłek – żeby klient wyszedł jak najbardziej zadowolony. Bo taki klient wróci do nas z powrotem. *N'est-ce pas*^[31]? No więc kiedy klient jest zadowolony? Ano wtedy, jak się jemu tak dogodzi, że będzie cały czas myślał o tym, jak myśmy mu dogodziły. Było mu dobrze i żeby jemu było dalej tak dobrze, żeby on cały czas miał w głowie nasze dziewczynki. I wtedy on się wróci za jakiś czas i jeszcze przyprowadzi ze sobą kolegów. No ale żeby on był zadowolony, nie wystarczy tylko jemu nadstawić tyłka. Trzeba jeszcze do tego wszystkiego dodać pieśczęty i zrozumienia dla jego potrzeb i inteligentną *la conversation*. A każdy jeden gość ma inne potrzeby. I my musimy je jak wróżka odgadnąć. A pan porucznik to co lubi najbardziej? Miłość francuską czy po kawaleryjsku? Pan mi wygląda na takiego, co to lubi dosiąść klaczki...

– Nie ma co o mnie... – przerwał jej spłoniony oficer, który nie miał jak dotąd zbyt wielkiego doświadczenia z kobietami. – Do rzeczy idźmy...

– O, dostrzegam w panu poruczniku prawdziwy kawaleryjski ogień. Ale i delikatnie ustami też można od czasu do czasu – powiedziawszy to, mrugnęła do niego znacząco.

– No co też pani...

– Raz-dwa zrobię panu pałeczkę, że zapamięta pan na długo. No co, raz-dwa i nikt się nawet nie obejrzy. Zupełnie za darmo, panie poruczniku...

Nie zrobiła. Pikuła umknął z pokoju przesłuchań, jakby go wrzątkiem polewali. Na korytarzu wypalił dwa papierosy, a gdy się już całkowicie uspokoił, wrócił do środka. Zasiadłszy za biurkiem, spojrzał na panią Alouette, robiąc przy tym bardzo groźną minę.

– Proszę odpowiadać tylko na pytania i nie proponować mi niczego nieprzystojnego. Ja jestem funkcjonariuszem na służbie.

– A co to funkcjonariusz na służbie to niby nie człowiek? Takiemu się podwójnie należy, bo się poświęca dla naszej kochanej, odrodzonej ojczyzny. A i ja dla ojczyzny zrobiłabym wszystko. Może się pan porucznik osobiście przekonać. Wystarczy tylko przyjść do nas któregoś wieczora, to ja panu wynajdę taką dziewczynkę, co obsłuży pana tak, że będzie pan zadowolony jak najbardziej.

– Proszę odpowiadać na pytania.

– Jakie pytania? Przecie pan jeszcze żadnego pytania nie zadał. Ja tylko tak gadam sobie, żeby atmosferę ocieplić. Żebyśmy się bliżej poznali, bo to wie pan porucznik, że między znajomymi lepiej się dyskutuje...

– Czy oferowała pani klientom dziewczynki?

– No też pytanie, same dziewczynki mamy u siebie. Chłopców nie, bo to nie przystoi, ale dziewczynki jak najbardziej. Ale jeśli pan porucznik gustuje w chłopcach, to czemu nie. Da się co znaleźć, bo niby u nas chłopców nie ma, ale dla pana porucznika to...

– Mnie nie chodzi o chłopców!

– O dziewczynki. To zrozumiało.

– Mnie się rozchodzi, że dziewczynki...

– No właśnie, dziewczynki u nas najlepsze. Prima sort. Same zagraniczne typy. Jest niemiecka Rita, jest Sophie prosto z Francji, jest wprost z Moskwy przywieziona bolszewiczka Katia i orientalna piękność Sarah...

– Ja je już poznałem – stwierdził policjant, który zdążył przesłuchać prawie wszystkie dziewczęta zatrzymane w domu rozpusty. Egzotyki żadnej w nich nie było. Jedna to Niemka, jedna Żydówka i dwie Polki.

– Pan porucznik to się ale zna na rzeczy – pochwaliła go burdelmama. – A która tak mocniej przypadła panu porucznikowi do serca? Bo jakby co to...

– Wszystkie są piękne – wyrwało się oficerowi i zaraz pożałował chwili szczerości.

– A, to już wiem. Trzeba było tak od razu gadać. Pan jest zwolennikiem orgii rzymskich. Cztery na raz, ale to musielibyśmy się umówić na specjalny seans. Pan rozumie, że moje kwiatuszki mają ogromne powodzenie, więc trudno znaleźć taką chwilę, że wszystkie są wolne naraz, ale cóż, dla pana porucznika robi się specjalną sesję. *Formidable!*^[32] To na kiedy się umawiamy?

– Boże, nie! – Zrozpaczony porucznik poczuł, że został zapędzony w kozi róg i niezależnie od tego, co odpowie, i tak będzie źle.

– W przyszłym tygodniu – rzucił na odczepnego.

– O, to wybornie. W przyszłym tygodniu, dlaczego nie? Tylko najlepiej we wtorek albo wew środę, znaczy na początku tygodnia, bo w soboty i niedziele u nas największy ruch. Towarzystwo *bon ton* wali na potęgę drzwiami i oknami. Ale jakby pan porucznik wpadł, powiedzmy we wtorek, w samo południe, to się dla pana zorganizuje coś niezwykłego. To co, czy ja już mogę iść? Bo wie pan, muszę się zająć przygotowaniem...

– Jeszcze jedno. Proszę spojrzeć na tego człowieka z fotografii, czy jest on pani znany.

Pani Alouette rzuciła okiem i uśmiechnęła się zaraz do aspiranta.

– Oczywiście. To jest pan Hans Hapke. Bywa u nas, gdy przyjeżdża do Poznania w interesach z Berlina. Bardzo grzeczny i ułożony człowiek. Poznałam go natychmiast po tej bliźnie na twarzy. Mimo że gębę ma poraszplowaną, to przyzwoity gość. Bardzo przyzwoity.

– Kiedy był ostatnim razem?

– Niech no pomyślę. Jakoś tak niedawno. Chyba w nocy wew środę, piątego kwietnia to będzie. Bardzo przyzwoity, bardzo.

– Która z panien go przyjmowała?

– A to akuratnie pamiętam, bo to mój kwiatuszek prosto z Francji, ma na imię Monique.

– Nie zatrzymaliśmy jej?

– Och nie, bo pojechała do mamy odwiedzić ją, bo ta jest chora.

– Do Francji?

– Nie, do Przeźmierowa. Mama mieszka w Przeźmierowie.

– A kiedy wróci?

– Jak pan porucznik przyjdzie do nas na rzymską orgię, będzie gotowa...

– I jeszcze jedno. – Był tak skołowany, że dopiero teraz sobie przypomniał, o co kazał mu zapytać Fischer. – A czy wywiadowca Górski bywał u pani?

– Kto?

– No Górski. Policjant. Dokładnie w zeszłą sobotę, o 11 w nocy, miał być u pani i spotkać się z jakimś burszem.

Kobieta natychmiast się przeżegnała.

– No co se niby pan myśli? – zawołała zdenerwowana. – My jesteśmy porządnym domem z paniami do towarzystwa. A z burszami to można się spotykać na mieście. U nas tylko obsługa dla dorosłych panów z towarzystwa najlepszej klasy! Jak komu trzeba chłopca, to też się załatwi, ale jak kto gustuje w gówniarskich burszowskich tyłkach, to niech lezie do bramy. I kto to widział, żeby policjant taki przykład dawał...

– Dziękuję, może pani odejść.

Kobieta wstała natychmiast i żwawo ruszyła w kierunku drzwi. Zanim je jednak otworzyła, odwróciła się jeszcze do aspiranta i posłała mu buziaka.

Pikuła aż wzdrygnął się na myśl, że te usta przypominające wargi suma mogłyby się zetknąć z jego ustami. Na szczęście nie miał czasu roztrząsać tej niesmacznej kwestii, bo posterunkowy wprowadził ostatnią osobę do przesłuchania.

Na pierwszy rzut oka wyglądała jak dziesięcio-, może dwunastoletnia dziewczynka. Jednak wystarczyło przyjrzeć się dokładniej, by zauważyć, że młodość dawno ma już za sobą. Pikuła widział ją wcześniej, dlatego zdążył się przyzwyczać do myśli, że jest to oszustka, która udaje dziecko. Jednak nie czuł do niej jakiegś niechęci, uczucia, jakie początkujący policjant ma w sobie wobec przestępców. Bo ta tak naprawdę przestępczynią nie była. Oszukiwała, to prawda, ale starych satyrów, którzy dybali na dziewiczą cnotę.

– Proszę usiąść. – Wskazał taboret ustawiony przed biurkiem. Wskoczyła na niego bez słowa. Usiadłszy, spojrzała na policjanta, a potem wskazała na leżącą na stole paczkę papierosów.

– Dasz ćmika? – zapytała nieco matowym głosem.

Wzjął do ręki paczkę, podszedł do niej, poczęstował i podpałił.

Zaciągnęła się głęboko dymem.

– I co, tak se będziemy siedzieć?

– Ile masz lat? – zapytał.

– Jedenaście – odpowiedziała cieniutkim, dziewczęcym głosikiem. – A co, lubisz małe dziewczynki?

– Ja tu zadaję pytania! – warknął, bo już miał dość na dzisiaj kobiet, które robią z niego idiotę. A poza tym był nieco śmielszy niż poprzednio, bo ta mała nie deprimowała go jak burdelmama.

– No dobra, to gadaj, kochany, czego chcesz, bo już bym chciała wracać do chaty.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia pięć.

– Imię i nazwisko.

– Apolonia Cholewa.

– Dawno pracujesz jako... no...

– Dziewczynka – podpowiedziała. – Od zawsze, znaczy się od dziecka.

– Aha, a wiesz coś o takich ludziach, co to lubią się zabawiać z małymi dziewczynkami?

– Ha, ha, ha! Ja wszystko o nich wiem. Z każdym z nich spałam. Niektórzy przychodzą do mnie od lat...

– Ja pytam o takich, co to chcą, no wiesz... mieć dziewczynkę, która jest niewiniątkiem... nietkniętą. – Policjant zarumienił się, bo nie potrafił sobie poradzić z właściwym dobozem słów.

– A, idzie panu o tych, co lubiejają rozdziewiczać?

– No właśnie!

– Jak w jakim burdelu klient zgłosi zapotrzebowanie, to zaraz posyłają po mnie. Bo ja pracuję w różnych miejscach. No to oni upijają gościa, a ja przychodzę i biorę go w obroty.

– I dają się nabierać?

– A co pan se myśli, że ja jestem glapami futrowana?[33] Jak się chce zarabiać dobre pieniądze, to trzeba być w swoim fachu najlepszą, tak żeby klient zawsze wychodził zadowolony. I wychodzi z zakrwawionym kutasem, szczęśliwy, że dziecko wyruchał. I na tej ich głupocie ja zarabiam. I wcale mi ich nie żal, tych skurwysynów.

– Oszustwo jest przestępstwem, że tak powiem – stwierdził policjant niezbyt pewnym głosem. – Ale my cię, was, znaczy pani, nie będziemy za takie wykroczenie ścigać. Bo zasadniczo to mi się rozchodzi o prawdziwe, a nie fałszywe dziewczynki. Znaczą się takie, co są małe naprawdę, a nie takie, no...

– Co nie urosły. – Znów pomogła mu znaleźć odpowiednie słowo.

– Ludzie powiadają, że można zamówić prawdziwą dziewicę. Że jest cała banda, która kradnie dzieci, nawet za granicą. I przywożą je do Poznania. I jak się znajdzie jakiś specjalny klient, to dla niego takie dziecko sprowadzą za specjalną cenę. Mamy takie sygnały. I chcemy ich złapać. Nikt nie powinien krzywdzić dzieci.

– Święta prawda, panie oficerze. Nikt nie może krzywdzić dzieci, ale takich skurwysynów, co je krzywdzą, jest pół świata. Mnie też krzywdzili, jak jeszcze byłam malutka...

Przerwała. Naraz aspirant dostrzegł, że oczy jej zaszyły wilgocią. Nie pozwoliła sobie jednak, żeby łzy spłynęły na policzki. Otarła szybko oczy palcami. Policjant wychylił się przez biurko i podał jej swoją kraciatą chustkę. Spojrzała na niego z wdzięcznością i jeszcze raz przetarła oczy.

– Jest taki jeden skurwysyn, co się zajmował od zawsze młódkami. Jeśli ktoś coś wie w tej kwestii, to będzie to on.

– Co to za jeden? – zapytał Pikuła, jednocześnie biorąc do ręki ołówek. Spojrzył na czysty arkusz papieru kancelaryjnego, na którym dotąd nie zapisał niczego prócz imienia i nazwiska dziewczyny.

– Nazywa się Bazyli Koziołek.

– He, he, śmiesznie – skomentował policjant, wyobraziwszy sobie koziołka o imieniu Bazyli, ale pod spojrzeniem Apolonii uśmiech natychmiast zniknął mu z twarzy.

– To bydłę skrzywdziło tyle dziewczynek, że powinno mu się odciąć jaja tępym nożem.

– A gdzie go można znaleźć?

– Na Zwierzynieckiej, w takiej narożnej kamienicy, co jedna tam stoi na wprost szwalni mundurowej. Ale teraz go tam nie ma.

– A to czemu?

– Bo macie go u siebie w pierdlu. Widziałam się z nim na korytarzu, jak mnie tu prowadzili. Ino że musi się pan pośpieszyć, jak chce se z nim pogadać, bo tak mi się widzi, że jego właśnie prowadzili, żeby wypuścić na wolność. Jak pan pobiegnie, to jeszcze zdąży...

Aspirant Pikuła niestety nie zdążył. Bazyli Koziółek wyszedł z budynku policji i wszelki ślad po nim natychmiast zaginął.

Godzina 3.40 po południu

Zenuś klepnął Krystka w plecy. Ten otworzył oczy.

– No co jest? – mruknął niezadowolony.

– Patrz się tam. – Wskazał mu drugą stronę ulicy i dom, z którego dwaj mężczyźni wynosili właśnie wielki dywan. Trzeci wyszedł za nimi i rozejrzał się dookoła, jakby wypatrywał jakiegoś niebezpieczeństwa. Ci dwaj tymczasem ostrożnie ułożyli zwój na dwukołowy, ręczny wózek.

– To jest ten nasz Alojz Spychała. – Zenuś pokazał ręką tego, który wyszedł pierwszy, wyraźnie utykając. Chłopaki dziś od świtu warowali przed kamienicą na Szkolnej, w której mieszkał człowiek wskazany przez matkę Zenusia. No i dzięki temu trafili tu, na Zwierzyniecką.

Gdy tylko rano, zaraz po siódmej godzinie, Spychała wyszedł z kamienicy, Zenuś i Krystek ruszyli za nim. Nie musieli się śpieszyć, gdyż szedł powoli, kulejąc. Najpierw doprowadził ich na plac Wolności, do budynku Wojskowej Komendantury. Mimo że był ubrany po cywilnemu, dostał się do środka bez żadnych problemów. Pokazał tylko wartownikowi jakiś papier i zaraz został wpuszczony. Śledzący go dwaj „agenci” usiedli więc na jednej z ławek stojących na placu i zajęli się obserwacją wejścia. Nie musieli czekać długo. Pół godziny później ich „obiekt” wyszedł z budynku w towarzystwie

drugiego mężczyzny, przeszli obok nieczynnego jeszcze letniego tarasu należącego do Café Esplanada i minawszy rozłożysty klasycystyczny budynek, skręcili w ulicę Ratajczaka.

Jakieś dwadzieścia minut później doprowadzili dwójkę młodych wywiadowców pod kamienicę na rogu Zwierzynieckiej i Kraszewskiego, by zaraz zniknąć za drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową.

– I co teraz? – Zenuś zapytał starszego Krystka, który zazwyczaj podejmował decyzje.

– Jak co? Czekamy. Tolek kazał go śledzić, to śledzimy. Musimy wszystko o gnoju wiedzieć, bo to przecie on zabił tego gościa. Jak co przegapimy, to wina pójdzie na ciebie.

– No tak, ale głodny jestem. – Zenuś od rana nic nie jadł. Zresztą Krystek podobnie. Na szczęście byli bogaci. Rudowłosy Brodziak miał jeszcze sporo pieniędzy pochodzących z portfela zabitego Niemca. Mogli więc przeznaczyć kilka marek na jakieś frykasy.

– Dobra, w takim razie ja tu zostaję, a ty leć tam. – Krystek wskazał na załom muru po prawej. – Na Kraszewskiego jest rzeźnik. Kup cztery kajzerki i pół kilo ścinków kiełbasianych. Nażremy się jak świni!

Zenusiowi nie trzeba było dwa razy mówić. Pognał biegiem. Minał skrzyżowanie z Jackowskiego i zaraz odnalazł sklep rzeźnicki Maryniaka. Jak zwykle o tej porze stała tam kolejka bab z kankami w dłoniach. Kobiety nie wchodziły do środka, bo nie miały po co. Nie kupowały pierwszorzędných wędlin, znanych w całym Poznaniu. One stały tu po kiszczonkę, czyli wywar wodny pochodzący z parzenia wieprzowych kiszek. Taką tłustą i aromatyczną prawie zupełnie sprzedawano za grosze. Na niej gotowało się w domach biedne grochówki i kapuśniaki, zaprawione kiełbasianym smakiem.

Zenuś z pełną kieszenią pieniędzy wszedł do sklepu dumny jak paw. Poprosił o cztery bułki i przez chwilę nawet przyszło mu do głowy, żeby wziąć może nie ścinki, lecz po dwie kiełbachy w całości, ale zaraz odrzucił ten niemądry pomysł. Pół kilo ścinków, czyli końcówek szynki czy kiełbasy, było znacznie lepszym zakupem.

Uśmiechnięty sprzedawca, który umiał docenić poważnego klienta, wsypał mu do papierowej tytki nawet więcej niż pół kilograma i na

wierzch wrzucił świeżutkie kajzerki. Chłopak zapłacił zadowolony i zaraz pognał na Zwierzyniecką, żeby podzielić się z przyjacielem.

Szybko usadowili się na niskim daszku drewnianej budy, stojącej tuż za ceglany ogrodzeniem terenu należącego do warsztatów zajezdni tramwajowej. Tam w dziesięć minut załatwili się z jedzeniem, cały czas pilnie obserwując, co dzieje się po drugiej stronie ulicy. Najpierw do budynku wszedł jakiś szczupły handlarz obwieszony torbami, w których nosiło się grubo cięty tytoń do skrętów i połamane papierosy z metra. Chłopcy znali się na takiej robocie, bo sami od czasu do czasu, gdy mieli trochę luźnej gotówki, kupowali machorkę na wagę w fabryce papierosów Patria, kilka przecnic stąd, na ulicy Staszica, żeby sprzedawać ją potem po domach.

Po handlarzu przyszedł mleczarz, który przywiózł na ręcznym wózku dwukołowym cztery bańki świeżego mleka. Na jego wołanie zapraszające do kupowania zaraz zleciały się kobiety z kankami. Wiadomo, że dla dzieciaków mleko trzeba kupować, więc żadna nie marudziła i brała po dwa, trzy litry, żeby mieć na czym zacierki zrobić. Pojawił się też ostrzyciel noży i nożyczek ze swoim warszatem na wózku, ale ten nie znalazł żadnej klientki. Widać ktoś z konkurencji musiał być tu przed nim. W końcu podjechał chłop z wozem wypełnionym kapustą i ziemniakami.

– Pyry i kapuchę przywiezłem! Do sklepu albo do chaty wniesę! – zaczął nawoływać z wysokości swojego kozła.

– Też, patrz tego. – Zenuś wskazał w prawo, tam gdzie pod płotem szwalni mundurowej stał jakiś na jasno ubrany mężczyzna, który wpatrywał się w ten sam co oni dom. Zaczęli mu się uważniej przyglądać, ale żaden z nich nie znał go nawet z widzenia. Niemniej jednak fakt, że najwyraźniej obserwował tę klatkę schodową, wzbudził ich niepokój.

– Polecę się odlać, a przy okazji szpycnę na niego dokładniej – stwierdził Krystek i od razu przesunął się na skraj dachu szopy. Zeskoczył sprawnie na podwórko, a potem przelazł przez drewnianą furtkę, prowadzącą na Zwierzyniecką. Gdy znalazł się na ulicy, od razu dostrzegł, że coś z tym facetem jest nie tak. Bo zwrócił na niego

uwagę także policjant, który właśnie się przed nim zatrzymał. Krystek pobiegł w ich kierunku, żeby nic nie uронić ze spektaklu.

– A gównu to szanownego pana obchodzi! – warknął mężczyzna.

Chłopak, który stanął tuż obok policjanta, dostrzegł, że ten zrobił zdziwioną minę

– No, no!

– No właśnie! – odpowiedział facet i chciał odejść, ale stróż prawa złapał go za łokieć.

Kłótnia stawała się coraz bardziej zajadła, a chłopak nie mógł zrozumieć, na co jeszcze czeka policjant.

– Pierdolnij go tą pałką! – zawołał w końcu zniecierpliwiony biernością szkieła.

– No co, mosz fyfry? – poparł go jakiś student w czapce z daszkiem.

Potem już wszyscy zaczęli krzyżeć, ale tego krzyku Krystek nie słuchał. Patrzył cały czas na dłoń z policyjną pałką, która to opadała, to się wznosiła. W końcu policjant definitywnie zrezygnował z okładania gościa. Nie wsunął jednak pałki w wąski otwór skórzanej szlufki, ale rzemienny trok przesunął z nadgarstka na umundurowane przedramię. Pałka zawisa luźno na kawałku świńskiej skóry. Na ten widok serce Krystka zaczęło bić mocniej. To była okazja, o jakiej marzył. Pała w zasięgu ręki, a do tego wszystko w ciżbie ludzkiej.

Błyskawicznie wydobył ostry jak brzytwa scyzoryk, otworzył go i przeciął nim delikatnie rzemień, podtrzymując go w palcach, tak żeby policjant nie odczuł ani przez chwilę braku ciężaru. Zastygły jak słup soli stał tak z rzemieniem i pałą w dłoniach, czekając na ruch szkieła. I wtedy mężczyzna odwrócił się gwałtownie do tyłu. Chłopak bezbłędnie wyczuł moment. Rzemień zsunął się z ramienia i pałka znalazła się w jego dłoniach. Nikt jednak na niego nie patrzył. Wszyscy spoglądali w głąb Kraszewskiego, w kierunku Rynku Jeżyckiego.

Schował zdobycz pod połę kurtki, a policjant, nieświadom braku broni, pognał jak strzała, goniąc kogoś albo coś... To już dla chłopaka nie miało żadnego znaczenia. Szczęśliwy, jakby dostał prezent na gwiazdkę, pobiegł pochwalić się koledze.

Tak byli zaaferowani trofeum, aż mało brakowało, żeby nie zauważyli elegancko ubranego gościa, który wchodził do obserwowanego przez nich domu. Człowiek zmierzał od strony ogrodu zoologicznego, trzymając w dłoni laseczkę.

– Taka laska to może być nawet fajniejsza od pałki – stwierdził z odrobiną zazdrości w głosie Zenuś.

– Pałka to pałka. Jak taką przysolisz, to dupa pęka na pół.

– Ale laska, jak pierdolniesz, to też boli, a w ogóle w rączce to może być schowany sztylet. Ktoś cię będzie chciał trzepnąć, a ty ciach i wyciągasz takiego żgoka, i ciach przez ryj.

– Tego to już ktoś przejechał. – Krystek wskazał mężczyznę. – Patrz się na jego ryfę. Ma poraszplowany polik.

Ale Zenuś nie zdążył już nic zobaczyć, bo elegant zniknął za drzwiami kamienicy. Po zaledwie dwóch minutach do środka wszedł ten awanturnik, którego musiał uspokajać policjant. Wszedł i został tam, podobnie jak Spychała.

Potem przez dłuższy czas nic się nie działo i chłopcy prawie posnęli, grzejąc się w ciepłe wiosenne słońca. Nudzili się jak rzadko kiedy, ale rozkaz Tolka Grubińskiego był wyraźny – mieli śledzić Spychałę, więc poczucie obowiązku nie pozwalało im zejść z posterunku...

Nie wiedzieli, ile czasu minęło od chwili, gdy zalegli na dachu, mimo że Zenuś był szczęśliwym posiadaczem zegarka. Niestety jak dotąd jeszcze żaden z nich nie nauczył się rozpoznawać na nim godzin. Żołądki jednak mówiły im, że to już czas obiadu. Zaczęli więc zastanawiać się, czy aby nie powtórzyć porannej uczyty i nie kupić znów kiełbasy. Ale Krystek wybrzydzał, bo miał ochotę na miskę grochówki. Najlepsza, gotowana na wywarze z golonek, podawana była w samym środku Starego Rynku, na Kurzej Nodze u Szymańskiego. Do miski zupy dawano chleb zupełnie za darmo, tyle ile klient sobie zażyczył, a ci dwaj potrafili zjeść naprawdę dużo. Już byli myślami przy swoich miskach pełnych zupy.

– Ty, patrz się na tego gnoja. – Zenuś uderzył Krystka w ramię i sam przywarł mocno do dachu. Jego kompan zrobił to samo i zaraz spojrzął na drzwi do domu.

– Nie tam, na lewo się patrz.

– No co? Jakiś mały grubas.

– To jest właśnie ten szkieł, znaczy tajniak Gil, co mnie chciał zaaresztować i com jego na schodach przewalił. Ja go znam, bo on jest taki tajniak, że go wszyscy znają.

Krystek zmrużył oczy, jakby chciał poprawić sobie widoczność. Rzeczywiście i dla niego postać wywiadowcy Gila nie była obca.

– Co on tu, pierdolony, robi? – zapytał sam siebie. Nie musiał odpowiadać. Gil osobiście wyjaśnił tę kwestię. Przystanął przed drzwiami do kamienicy, którą obserwowali, postać przez chwilę, jakby się rozglądał, i w końcu zniknął w budynku.

– Co tu się dzieje? – Zenuś nie mógł wyjść ze zdumienia. – Wszyscy tu włązą, a nikt nie wychodzi?

Jakiś czas potem ludzie zaczęli jednak wychodzić. Ci z dywanem byli pierwsi. Gdy śledzony przez nich Spychała chwycił za dyszel wózka, obaj wywiadowcy odetchnęli z ulgą. Ich mordęga na dachu się skończyła. Mogli iść za Alojzem i jego wyższym towarzyszem, utrzymując odpowiedni dystans. Gdy odeszli, z drzwi domu wyszli jeszcze inni spośród wchodzących. Ale nie wszyscy. Tyle że tego Zenuś i Krystek już nie widzieli.

[29] Mieć fyfry (gwar.) – bać się.

[30] Gra słów, od niemieckiego słowa *pumpen* – pożyczać, kredytować.

[31] *N'est-ce pas* (franc.) – czyż nie?

[32] *Formidable* (franc.) – wspaniale.

[33] Futrowana glapami (gwar.) – karmiona wronami; w znaczeniu: nie być naiwnym.

Rozdział IX

Wysoka

Godzina 4.05 po południu

– Nie wyglądasz ty mi, kochanieńki, na parobka.

– A niby na co?

– Nie na co, ino na kogo?

– Kogo?

– Na kogo, znaczy się nie na parobka, ale na gospodarskiego dziecioka. Jak na parobka masz za bardzo okrągłą gębę, znaczy, że dobrze jesz. Czyli żeś się upasł na państwowym wikcie.

Młody policjant Staszek Frąckowiak wzruszył ramionami. Czy to jego wina, że jadał teraz tak jak nigdy przedtem, zanim wstąpił do policji? Wcześniej nawet mu się nie śniło, że można jeść mięso trzy razy w tygodniu. Jak był w wojsku, to dawali mięso tylko w niedzielę. Ale teraz, odkąd rozpoczął swoją zawodową służbę, zarabiał tak dobrze, że mógł sobie pozwolić na wykupienie obiadów u pani Kluge, żony aptekarza, która dorabiała sobie, gotując w domu dla kilku kawalerów. No i nic dziwnego, że na takim domowym wikcie trochę mu się przybrało.

– Policjant musi mieć poważny wygląd, nawet jak jest młody – rzucił uwagę, którą wyjął wprost z ust swojego szefa. Bielawski często jej używał dla podkreślenia wyjątkowości policyjnej służby.

– Ino mi się nie wymądrzaj, bo pypcia na języku dostaniesz. Idź się lepiej pomodlić do kościoła, do naszej Śnieżnej Paniienki, bo jak ja się za ciebie weznę, to cię matka rodzona nie pozna...

– Matka nie żyje przecież. – Chłopak spuścił głowę, przypomniał sobie o mamusi, która umarła na hiszpankę jeszcze w dziewiętnastym roku. Na szczęście z całej rodziny tylko jej nieboraczce się nie poszczęściło. Ojciec i siedmioro rodzeństwa przeżyli i do dziś mieli się całkiem dobrze. On za to najlepiej ze wszystkich, bo nie dość że wykształcony – skończył cztery klasy – to jeszcze miał stałą posadę. Frąckowiak pochodził z Wysokiej, a przodownik znał jego całą rodzinę, więc teraz poczuł, że palnął głupstwo. Nie miał jednak w naturze potrzeby przepraszania za pomyłki, szczególnie podwładnych.

– Nie ma co strzepić gęby po próżnicy. Jak już żeś jest gotowy, to dalej, jedziemy! – Wskazał drzwi prowadzące z pokoju służbowego wprost na ulicę. – A ty żebyś mi się nie migał od roboty! – Pogroził palcem szeregowemu Matczakowi, który zajął już miejsce za biurkiem i pochylony nad okólnikiem dotyczącym zarządzeń regulaminowych czytał uważnie, poruszając przy tym ustami, bo jak wiadomo dzięki temu nie dość, że łatwiej się czyta, to i jeszcze więcej da się zapamiętać. Tak przynajmniej mówił komendant posterunku, a Matczak, o rok starszy od Frąckowiaka, wziął sobie za punkt honoru, żeby wszystkiego, co musi wiedzieć policjant, nauczyć się na pamięć. Wywołany przez dowódcę wstał natychmiast.

– Melduję, że się nie migam, czytam, tak jak pan przodownik kazali.

– No i dobrze robisz. Bo z czytania ino same mądre rzeczy się biorą. A jakby kto przyszedł z jaką sprawą...

– Melduję, że jakby kto przyszedł, natychmiast się go rozpyta w jakiej sprawie. A jak będzie co ważnego, to zeznanie upisze do brudnopisa. – Wskazał na stary zeszyt, który przydzielił mu dowódca. Co prawda, jeszcze nic w nim nie zapisał, bo jak dotąd nie zdarzyło się, żeby miał okazję od kogoś przyjąć zeznanie, no ale zawsze mógł być ten pierwszy raz. Naostrzony ołówek też miał w pogotowiu.

– A jakby się kto pytał, to powiedz, że...

– Melduję, że powiem, że pan komendant wyjechał w teren w bardzo ważnej sprawie służbowej.

– Będą z ciebie ludzie – ucieszył się Bielawski, słysząc takie zgrabne odpowiedzi swojego podwładnego. Chłopak miał łeb na karku i garnał się do nauki. Kto wie, może dzięki temu za jakiś czas nawet podoficerem zostanie? Z tego Frąckowiaka też będzie pociecha, bo on może nie miał takiego bystrego umysłu jak jego kolega, ale za to potrafił doskonale sprawdzić się w terenie, a w akcjach takich jak ta, którą właśnie w tej chwili zaczynali, był naprawdę niezły. – No dobra, dosyć gadania. Pilnuj porządku! – polecił jeszcze na koniec i wyszedł na zewnątrz. Frąckowiak w cywilnym ubraniu podążył za nim.

Na ulicy pachniało wilgocią i końskim łajnem. Przed chwilą nad miastem przeszła krótka, acz intensywna wiosenna ulewa. Ciemne chmury napłynęły od zachodu, od niemieckiej strony. Porywisty wiatr zmarszczył korony sosen na Górach Wysockich i wdarł się do miasteczka. Tu zerwał resztki zeszłorocznych suchych liści z drzew rosnących przy kościele Matki Bożej Różańcowej i pognał dalej na wschód. A nabrzmiące chmury, które przyciągnął ze sobą, pękły nad samym środkiem miasta i spłynęły po dachach parterowych domków, a z nich wprost na ulice.

Teraz kocie łby lśniły, jakby je ktoś specjalnie umył, by przodownikowi lepiej się jechało bryczką, którą pożyczył specjalnie na dzisiejsze rozjazdy od księdza Majewskiego. Do Mościsk nie było co prawda daleko, ale dziś szczególnie przodownik nie mógł pozwolić sobie na stratę czasu. Musiał się tam znaleźć jak najszybciej, objaśnić Frąckowiakowi, co ma na miejscu robić, a potem wrócić do Wysokiej, bo pod wieczór powinien przyjechać komisarz Fischer z Poznania. Dzisiaj już trzeba przygotować pułapkę, do której wpadną ludzie zajmujący się handlem dziećmi. Ale żeby wszystko się udało, musiał zawieźć na miejsce swojego człowieka.

– To niby co mam robić, jak już tam będę? – zapytał młody policjant, sadowiąc się na koźle.

– A powozić to ty umiesz?

– No jakżeby inaczej, jak mój tatuś jest stangretem. Ja się przy koniach wychowałem.

– No to bierz się za lejce. – Dowódca wskazał na ramię przywiązany do stalowej rączki ręcznego hamulca.

Chłopak z radością odwinął lejce i zarzucił sobie na nadgarstki. Gramolący się na górę przodownik dostrzegł ten drobiazg świadczący o tym, że chłopak rzeczywiście zna się na powożeniu. Żółtodziób ująłby rzemienie w dłonie, ale fachowiec oplatał je luźno wokół nadgarstka, żeby przypadkiem nie uciekły mu podczas jazdy.

– No to jazda! – Klepnął chłopaka w ramię, usiadłszy koło niego.

– Wio, mała, wio! – zawołał woźnica i młoda klaczka ruszyła rażno do przodu.

– Ino nie goń za szybko, bo i tak zdążymy. – Na wszelki wypadek zastrzegł przodownik, który nie przepadał za szybką jazdą.

– Spokojna głowa! – Młodzieniec wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A tak w ogólności to co ja tam mam robić, panie przodowniku?

– Uważać na wszystko.

– Czyli że jak?

– Ano tak, że kręcisz się tam i patrzysz, co i jak, tak jakbyś robił w obejściu. A jak przyjadą ci, co tam mają przyjechać z Poznania i zabrać dzieciaki, to też patrzysz się uważnie i zabezpieczasz nam tyły. Bo my wkroczymy wspólnie z komisarzem Fischerem, żeby ich aresztować na gorącym uczynku.

– Aha. – Chłopak pokiwał głową. – Już rozumiem, znaczy, że mam być jak ariergarda.

– O właśnie, dobrze żeś to powiedział. My będziemy awangarda, a ty ariergarda, a w środku ci bandyci.

Powóz minął ostatnie zabudowania miasteczka przy ulicy Świętego Walentego i wjechał na bitą drogę prowadzącą do Mościsk, której pobocza porośnięte były jesionami. Po obu stronach traktu rozciągały się świeżo zaorane pola. W dali widać już było pierwsze zabudowania wsi, do której zmierzali. Powinni zajechać na miejsce za jakieś dziesięć minut. Bielawski doskonale znał tę okolicę, lecz mimo to rozglądał się uważnie, rejestrując wszystkie szczegóły otoczenia. Robił to na wszelki wypadek, zastanawiając się, jak też może wyglądać ta ich jutrzejsza akcja. Nie wydawało mu się to zbyt trudne przedsięwzięcie. Wystarczyło tylko zacząć się gdzieś w pobliżu zagrody Kleszczyńskiego i czekać...

– A oni to przyjdą czy przyjadą? – Pytanie podwładnego wyrwało go z zamyślenia.

- Znaczy się kto niby?
- No ci, co po te dzieciaki przyjadą.
- Aha. A ci... A cholera ich wie...

Naraz Bielawski uświadomił sobie, że jego podwładny właśnie odkrył poważną lukę w jego planie. O tym jak dotąd wcale nie pomyślał. Ci ludzie, którzy mają jutro zabrać dzieci, muszą tu jakoś z Poznania dojechać. A najprościej było dojechać pociągiem do Chodzieży. Jeszcze prościej, bo znacznie bliżej, przyjechać do Sznajdemila, ale od dwóch lat nie było już połączenia kolejowego między Chodzieżą a Schneidemühl, bo ten odcinek dawnej drogi kolejowej kończył się przed Ujściem. Tory rozebrano, bo nasze władze zdecydowały, że graniczne przejście kolejowe nie jest tu potrzebne.

No więc teraz z Poznania można było dojechać tylko do Chodzieży, a dalej jakąś powózką. Z tym nie powinno być żadnego kłopotu, bo przed dworcem kolejowym zawsze stało kilka wozów miejscowych przewoźników, którzy czekali na każdy pociąg, licząc na okazję do zarobku. To znaczy, domyślał się Bielawski, że ci, co jutro przyjadą, wysiądą z pociągu, wynajmą powózkę i pojedą do Mościsk. A jak już przyjadą i wejdą do chałupy, to się wyskoczy z ukrycia, capnie ich za karki i będzie po robocie.

Ucieszył się na tę myśl, bo teraz już wszystko poskładało mu się do kupy. Czyli plan akcji został przemyślany w najdrobniejszych szczegółach i będzie mógł go z dumą przedstawić komisarzowi Fischerowi.

- Przyjadą na pewno jakąś powózką, bo niby jak by mieli przyjść z Chodzieży. Pieszko by nie dali rady – wyjaśnił.

- Prawda. - Frąckowiak pokiwał głową ze zrozumieniem. - Z Chodzieży, żeby iść, to za daleko. Ale ze Sznajdemila też jest daleko. Muszą jechać powózką.

Pierwsze chałupy Mościsk wyraźnie rysowały się na tle czystego nieba. Po chmurach, które przyszły dziś od Niemiec, nie było już śladu. Wieczór zapowiadał się pogodny, to znaczy, że i jutro też może być ładnie.

Przodownik Bielawski pomyślał, że to dobry znak dla jego przedsięwzięcia.

Poznań

Godzina 5.20 po południu

Wywiadowca Gil rozejrzał się, ale niewiele mógł dostrzec. Wszystko przez to, że w pokoju, w którym przebywał, nikt nie włączył światła. Przez chwilę w ogóle nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Te ciemności, a do tego ból głowy...

– Może umarłem i jestem w czyścicu? – powiedział sam do siebie. Jednak od razu uzmysłowił sobie, że jednak nie umarł, bo wypowiedział słowa na głos i nawet je usłyszał. A gdyby ich nie było słychać, to byłby dowód na to, że nie żyje, bo jako duch nie mógłby nic powiedzieć, gdyż duchy nie mówią. Chyba nie mówią. A może jednak mówią, tyle że my ich nie słyszymy, a one mówią jeden do drugiego? Nie potrafił dojść do porozumienia sam ze sobą. Skomplikowane te sprawy pośmiertne. Nie ma się co nad nimi zastanawiać, tylko trzeba się zastanowić nad sobą. Gdzie ja właściwie jestem i czemu mnie boli łeb? Nic sensownego nie przychodziło mu jednak do głowy, która była nie wiedzieć czemu obolała. Pokręcił nią w prawo i lewo, ale ból nie przeszedł. I podczas tego kręcenia naraz zdał sobie sprawę, że głowa jest jedyną częścią jego ciała, którą może ruszyć swobodnie. Nie dało się bowiem poruszyć ani rękami, ani nogami. Spróbował szarpnąć mocniej prawą ręką i zaraz poczuł, jak coś wbija mu się w nadgarstek. Wtedy zrozumiał, że został związany. A gdy już wreszcie uświadomił sobie fakt zniewolenia, wówczas przyszło zrozumienie. Został pojmany i związany przez tych trzech facetów, z którymi rozmawiał w gospodzie U Okonia. Ale dlaczego go powiązali?

Najwyraźniej z kojarzeniem nie było u niego jeszcze wszystko w porządku, bo nie mógł sobie przypomnieć niczego poza tym, że wszedł na jakieś podwórko...

– No jak tam pańska głowa, panie Gil?

Spojrzał w kierunku, z którego doszedł do niego głos. Na lewo od siebie dostrzegł człowieka, który trzymał w dłoni przygaszoną lampę naftową. Od razu go rozpoznał. To był ten gość o białych zębach.

– Czemu żeście mnie powiązali?

Zrobiło się jaśniej, bo przybysz pokręcił metalowym kółeczkiem i wysunął więcej knota. Z lampą podszedł do stojącego na środku pokoju stołu i postawił ją na blacie. Odsunął sobie krzesło i usiadł.

Teraz wywiadowca policyjny mógł się lepiej zorientować w sytuacji. Leżał związany na łóżku. W pokoju oprócz łóżka i stołu z trzema krzesłami nie było już więcej mebli. No bo czteroskrzydłowy parawan z chińskimi malunkami, stojący tuż przy drzwiach, nie był chyba meblem. Tylko po co tu ten parawan? Czy ktoś się za nim rozbierał i ubierał? Parawany przecież stawia się u krawca i w burdelach...

I wtedy Gil przypomniał sobie już wszystko. To, jak przyszedł na Zwierzyniecką, żeby odnaleźć swojego kolegę Geislera, i chwilę, w której postanowił na wszelki wypadek sprawdzić tę kamienicę, gdzie mieszkał Koziółek, sutener, którego wsadził za pobicie prostytutki. No i najważniejszą rzeczą, którą teraz sobie przypomniał, było to, że ci dwaj faceci, ten niższy, kulejący, i ten drugi, znacznie większy, wynosili z oficyny zwinięty w rulon dywan. A że Gil był nie w ciemną bitą, od razu domyślił się, w czym rzecz.

– Powiązaliśmy pana, żebyś sobie pan krzywdy nie zrobił.

– A czemu bym miał robić se krzywdę niby?

– Różnie może być, a w policyjnej robocie przecież o wypadek nietrudno... – Mężczyzna uśmiechnął się i błysnął białymi zębami.

– No to już skończ pan te głupoty. Rozwiąż mnie i się rozstańmy kurtularnie jak biali ludzie.

Ten znów się uśmiechnął.

– Życie nie zawsze bywa takie proste, jakby się chciało, panie Gil. A przecież wszystko akurat w wypadku naszej pięknej znajomości mogło zakończyć się po naszym przyjemnym pierwszym spotkaniu. Gdybyś pan mnie posłuchał i przestał się zajmować tą sprawą, toby nie było problemu, ale jak widać, nie dość, żeś pan jest głupi, to jeszcze do tego niehonorowy.

– O... o, co to, to nie! – Obruszył się Gil. – Ja sobie wypraszam, żebym nie był honorowy! Bo co pan możesz o moim honorze

wiedzieć?

– Może i niewiele. Ale jedno wiem na pewno, że żeś pan dał słowo, że przestaniesz się sprawą zajmować i nie będziesz pan wtykał kluka w nieswoje sprawy i żeś pan słowa nie dotrzymał.

– No tak bywa w policyjnej robocie, że człowiek przypadkiem... no bo ja, że tak powiem... – Zaczął się plątać, bo nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. Zresztą wcale nie przypominał sobie, żeby dawał mu jakieś słowo.

– Ale najgorsze, panie szanowny Gilu, jest to, że żeś pan dał słowo i jeszcze wziął pieniądze za to, żebyś się pan odczepił. No i dla mnie sprawa jest jasna, kto daje słowo i jeszcze bierze forszę i potem nie dotrzymuje warunków umowy, to dla mnie jest łajdak, kanalia i gnida na dodatek, która zdolności honorowych nie ma ani krztyny, więc człowiek honoru nie powinien z panem nawet rozmawiać, tylko nahajem mordę obić.

Zdumiony Gil otworzył gębę. Przez moment nie mógł wydusić z siebie słowa. Jakie pieniądze? Pierwszy raz słyszał o tym, żeby ktoś dawał mu jakieś pieniądze... Co prawda gdy rano, po spotkaniu w knajpie, założył marynarkę, ze zdziwieniem natrafił na okazały zwitek banknotów. Wszystkie o nominale 10 tysięcy. Mogło być ich ze dwadzieścia. Nie przeliczył nawet, bo i po co. Znalazły się, to znaczy, że powinny tam być. Widać musiał mu je ktoś podarować za coś, tyle że nie wiedział ani kto, ani za co... I teraz tamta rozmowa stanęła mu przed oczyma. Jeszcze przed chwilą o niej nie pamiętał, a tu naraz, rach-ciach, tak jakby ktoś otworzył w głowie zatrzaśniętą na głucho i zapomnianą szufladkę.

– No to, panie Gil, umowa stoi? – powiedział wtedy ten białozębny gość.

– Co ma nie stać. Stoi jak mur-beton. Jak Gil co powie, to koniec i kropka. Powiedziane zapamiętane. Nic nie może się zdarzyć, żeby się nie mogło wydarzyć.

– No to jak żeśmy się już dogadali, że przestaniesz pan węszyć niepotrzebnie, to teraz druga część naszej umowy. Tu masz pan pieniądze, żebyś pan pamiętał o naszej umowie. Dwieście tysięcy

marek polskich piechotą nie chodzi. Ile pan zarabiasz w tej policji na miesiąc?

– Hm, no będzie jakieś dwieście czterdzieści...

– No widzisz pan, jak my umiemy docenić tych, co z nami współpracują. Dostajesz pan prawie tyle forsy, ile masz pan w miesiącu. I to jeszcze bez wysiłku.

– He, he, he! Takie bejmy, jak się człowiek nie narobi, ale zarobi, to są najlepsze.

– Tylko, panie Gil – mężczyzna podał zwitek banknotów, ale nie pozwolił, by ten wyjął mu je z dłoni – pamiętaj pan, że nic żeś pan nie widział i nic nie słyszał. A naszej rozmowy to w ogóle nie było.

– He, he, he! Jakiej rozmowy? – zażartował i jednocześnie poczuł, że jego rozmówca zwalnia uchwyt. Pieniądze, które znalazły się w jego dłoni, zaraz wylądowały w kieszeni marynarki. No i następnego dnia odkrył je tam dość mocno zdziwiony.

Teraz wreszcie wiedział, skąd się tam wzięły. Tyle że było trochę za późno, bo już wpadł jak śliwka w kompot. Choć zawsze powtarzał, że nie ma takiego kłopotu, z którego nie dałoby się jakoś wykaraskać. Ale tym razem sytuacja wydawała się beznadziejna. Trzeba zatem będzie pokombinować, pomyślał.

– A gdzie jest Koziółek? – zapytał ni stąd, ni zowąd, tylko po to, żeby zyskać na czasie.

– Jaki Koziółek? – zdziwił się jego rozmówca.

– No Koziółek Bazyli. Mieszka w tej kamienicy. Alfons Koziółek.

– A, ten... – Białozębny najwyraźniej coś sobie przypominał. – Koziółek siedzi, bo pobił jakąś dziwkę, albo ona jego pobiła. A o co chodzi z tym Koziółkiem?

– E, nic. Tak se ino przypominałem. Bo Koziółek by potwierdził, że Gil zawsze dotrzymuje słowa. Ja mu powiedziałem kiedyś, że pójdzie siedzieć, to proszę, poszedł... U mnie słowo warte więcej od piniędzy. No to jak dałem, to już się nie zajmowałem. Ino że tak wyszło, że miałem się spotkać z tym moim znajomkiem Geislerem, bo miał jeszcze mi coś tam przekazać, żebym ja mógł już dokumentnie, raz na zawsze, zamknąć tę sprawę, tak jak żeśmy się umawiali, bo ja już chciałem ją kompletnie zamknąć... I tak w ogóle to żeśmy się mieli

spotkać w restauracji U Krygiera na Świętym Marcinie, pan wie gdzie, naprzeciwko uniwersytetu, to tam czekałem na niego, tak jak żeśmy się umówili, i ja już chciałem mu powiedzieć, że sprawa jest zamknięta i szlus, ale on nie przyszedł. No to zacząłem kombinować, gdzie on może być i se tak pomyślałem, że jemu we łbie już z tej rozpaczy się pomieszało, że jego żona go w trąbę puściła, to mogły mu się klepki we łbie poprzewracać i zaczął coś robić na własną rękę. A gdzie miał robić, jak nie w tym miejscu, gdzie ja namierzyłem jego żonę, jak przychodzi na schadzki. Bo jak by my się wcześniej spotkali, to ja bym jemu w ogóle o tym domu nie powiedział. No ale nic nie poradzę, już powiedziałem i trzeba było ratować sytuację. No to przyszedłem tutaj i szukam, ale go nigdzie nie ma, tom se pomyślał, że już może jest za późno, bo on się władował już może w kłopoty, znaczy się ten mój znajomek Geisler się władował. I dlatego rozpatrzyłem się po kątach i se mówię tak, jak go nie ma, to ino zajrzę do tego mieszkania, no i zajrzałem. Niepotrzebnie zajrzałem.

– No nie, niech pan nie przesadza. Zajrzał pan i dobrze pan zrobił.

– Jak to?

– Ano tak, że dzięki temu dowiedziałem się, że pan nadal wężysz.

– Przypadek, powiadam, że to przypadek.

– No tak, mówił pan. Rzeczywiście, przypadek.

– Gdybym z nim się wcześniej dogadał, toby było inaczej. A tak co?

Szkoda chłopa.

– W jakim sensie szkoda?

– Poczciwy był i w sensie, że mógł jeszcze pożyć. A tak...

– A skąd niby wiadomo, że on nie żyje?

– A co pan se myślisz, że ja jestem glapami futrowany? Że nie wiem, co może dwóch wielkich facetów wynosić w dywanie? – powiedziawszy to, spojrzał na swojego rozmówcę i naraz dostrzegł, że jego wyraz twarzy zmienił się całkowicie. Maskę lekkiej obojętności zastąpił wyraz napięcia. Był tam zaledwie sekundę i zaraz zniknął. Ale Gil go dostrzegł i naraz zrozumiał, że popełnił błąd, że niepotrzebnie pochwalił się swoją spostrzegawczością, że ta cała rozmowa była po to, żeby dowiedzieć się, czy on coś zauważył...

- Miło się z panem rozmawiało. - Mężczyzna wstał z krzesła i chwycił lampkę. - Jeszcze sobie pogawędzimy za jakiś czas.
 - Tak? No będzie mi miło. Ale zostaw pan tą lampkę, bo tu ciemno.
 - Lampkę? E, nie. Niech się pan przyzwyczaja, panie Gil.
 - Do czego?
 - Do ciemności.
- Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Pokój spowił kompletny mrok. Jak w grobie, pomyślał wywiadowca policyjny Seweryn Gil.

Godzina 6.10 pod wieczór

- Powiadam, że jeszcze dycha.
- Ady nie gadaj. Przecie jest zabity. Jak kto jest cały we krwi, to znaczy się, że musi nieżywy być.
- Łe, ty to się ale znasz na nieboszczykach.
- Pewnie, że się znam. Już niejednego widziałem.
- No i jak żeś widział, to żeś powinien wiedzieć, że prawdziwy nieboszczyk to leży na plecach, a jak kto na przód pada, to znaczy się, że jeszcze żyje. - Zenuś w ten sposób przekazał całą swoją wiedzę na temat trupów, których dotąd nie miał zbyt wiele okazji do oglądania. Ale jednego, kompletnie martwego, widział całkiem niedawno i pewne było, że tamten nie żyje, bo zanim zaczął przetrząsać mu kieszenie, kopnął go mocno w nogę. I dopiero jak się upewnił, że leżący w śmietniku mężczyzna naprawdę nie żyje, zabrał się za rabowanie zwłok.

Krystek nadal nie był przekonany. Patrzył na leżącego i tak naprawdę nie miał pojęcia, co powinni zrobić. Facet wyglądał na zabitego, a zabitego to najlepiej zostawić samemu sobie. Tyle że jego przyjaciel upierał się, że zabity jeszcze żyje, bo niby zbadał mu puls, a puls się ruszał. No to Krystek chciał sprawdzić, ale nie wyczuł. A może łąpał nie tam, gdzie trzeba?

Ale najciekawsze było to, że przez dłuższy czas w ogóle nie wiedzieli, że będą mieli dziś do czynienia z jakimś trupem albo półtrupem. Oni zajmowali się zupełnie innymi sprawami, a w końcu okazało się, że zamiast śledzić faceta, zajęli się kimś zupełnie innym.

Gdy Spychała, ten kulejący gość, którego mieli pilnować, ruszył za dwukołowym wózkiem, pchanym przez jego większego i pewnie silniejszego kolegę w kierunku ulicy Bukowskiej, chłopcy poszli za nimi szczęśliwi, że wreszcie coś zaczyna się dziać i nie muszą już tkwić na tym głupim dachu. Nie uszli jednak daleko. W zasadzie zaledwie dwie przecznice. Wózek przejechał ulicę Koszarową, potem przeciął Grunwaldzką, by po chwili wjechać w zazieleniające się ogrody przed terenem remizy strażackiej.

– Po jaką cholerę ktoś wiezie dywan na ogródki? – zdziwił się Krystek.

– Może tędy tylko na szagę[34] jadą – próbował zrozumieć intencję śledzonych ludzi Zenuś. Okazało się, że miał rację. Po chwili wózek, przejechawszy ulicę Śniadeckich, jeszcze raz wyjechał na nieużytki, za którymi rozciągał się cmentarz farny dochodzący do cmentarza żydowskiego.

To jeszcze bardziej zdziwiło obu „śledczych”. Bo o ile dywan nie pasował do ogrodów, o tyle do cmentarza tym bardziej. Tu jednak natrafili na pewien problem. Mogli dalej podążać za wózkiem, ale na odkrytym terenie nieużytków byli widoczni jak na dłoni. Zatrzymali się więc, by się naradzić. Stali na skraju chodnika, ukryci za drzewem, i spoglądali w ślad za mężczyznami z wózkiem, którzy szli wydeptaną pośród krzaków ścieżką, prowadzącą w kierunku cmentarnego płotu.

Naraz mężczyźni przystanęli, rozejrzeli się wokół, a potem ten większy wepchnął wózek w krzaki, albo raczej jakąś przestrzeń między krzakami, i zaraz obaj tam zniknęli.

– Gdzie oni wleźli? – Zenuś starał się coś dojrzeć, ale bez skutku.

– Tam, za tymi krzajdami[35] coś kopali niedawno. Jakąś dziurę pod dom albo co – wyjaśnił Krystek, który jakiś czas temu przechodził w pobliżu, ale dziury nie miał czasu zobaczyć, bo miał ważne sprawy na głowie. Chociaż go kusiło, bo wiadomo, że każda dziura kopana w ziemi daje niezwykle możliwości zaglądnienia doń z góry, a gdy się człowiek napatrzy do woli, to można jeszcze poskakać z krawędzi na piach.

– Dalej, lecimy! – zakomenderował i ruszył biegiem. Zenuś ruszył za nim. Krystek poprowadził kolegę nie tą samą drogą, którą przebyli dwaj ludzie z dywanem, ale zaraz, jeszcze po drugiej stronie ulicy, odbił nieco w prawo, żeby uniknąć zderzenia z powracającymi mężczyznami. Dzięki temu chciał też nabrać dystansu, żeby móc z bezpiecznej odległości zobaczyć, co robią obserwowani.

Przedarli się przez zarośla, które po wczorajszym deszczu zaczęły gęstnieć obsypane wiosenną zielenią, by po chwili wdrapać się na niezbyt wysoki wał, usypany z wybranego z wykopu piachu. Ostrożnie wyjrzeli zza jego krawędzi. Wykop miał jakieś trzydzieści metrów długości. Taka odległość dzieliła ich teraz od obserwowanych mężczyzn, ich wózka i dywanu. Śledzeni stali na krawędzi dziury z drugiej strony i palili papierosy. Rulon leżał na ziemi.

– Wyrzucają dywan! – Na ten widok Zenuś nie mógł wyjść ze zdumienia. Taki kobierzec musiał sporo kosztować, zwłaszcza że był ogromny. Nikt normalny nie wyrzuca takich rzeczy. Tym bardziej że dywany mogą służyć w domu całymi latami, dopóki nie wydeptają się w nich dziury. A i wtedy można coś jeszcze zaradzić, zszywając stare fragmenty ze sobą.

– Może się w nim jaka dziura wypaliła albo co? – Krystkowi też takie marnotrawstwo nie mogło się zmieścić w głowie.

– Nawet jakby się wypaliło, to przecie idzie resztę pociąć i mniejsze kawałki dać na sprzedaż albo nawet do chaty se położyć. Jak wywałą, to się go obejrzy i zobaczysz, że jeszcze wykroimy z niego tyle, że i u ciebie w chacie, i u mnie się da radę całe płyty rozłożyć...

Ale ich nadzieje bardzo szybko się rozplynęły. Mężczyźni nie mieli zamiaru pozbywać się cennego dywanu. Gdy już wypalili, wrzucili niedopałki do dziury, a potem podeszli do dwóch krawędzi zawiniątka. Każdy złapał za jeden narożnik i naraz obaj równocześnie pociągnęli je ku sobie. Dywan przesunął się ku dołowi i zaczął się błyskawicznie rozwijać. Mężczyźni jednak trzymali mocno i pewnie, a kolorowa, wzorzysta płachta w piękne, stylizowane roślinne motywy ukazała się dwóm obserwatorom w pełnej krasie. Dywan nie miał żadnej dziury ani plamy. Miał za to w środku coś zupełnie innego. Ze zwoju wyleciał człowiek, który spadł w dół i z plaśnięciem zaległ w błocie.

Spychała i jego kompan zwinęli starannie dywan, otrzepując go z piasku, położyli na wózku i po chwili nie było już po nich śladu. Chłopcy w pierwszej chwili na widok ciała chcieli uciec, ale ciekawość zwyciężyła. Oczekali kilka minut, by upewnić się, że niebezpieczeństwo minęło, a gdy poczuli się pewniej, zsunęli się ze sterty piachu wprost do wykopu i jego brzegiem, wolnym od zebranej na dnie deszczówki, ruszyli do widocznego z daleka trupa.

Zenuś, który przybiegł pierwszy, na wszelki wypadek uniósł głowę mężczyzny, tak aby umożliwić mu swobodne oddychanie. Potem obaj przewrócili ciało na wznak.

Teraz, gdy już dokładnie obejrzelili sobie postrzelonego w klatkę piersiową mężczyznę, musieli zastanowić się, co robić dalej.

– Najlepiej to by było, żeby go zostawić, bo po co nam kłopoty – zaczął Krystek.

– Ale jak jego zostawisz, to wyzionie ducha.

– Po mojemu to już wyzionął.

– Tego na pewno nie wiesz. A człowieka ratować trzeba. Tak jest napisane w piśmie – stwierdził Zenuś z miną człowieka obeznanego z różnymi religijnymi przykazaniami.

– A ty skąd wiesz, co jest w piśmie napisane? Przecie do kościoła na mszę nie chodzisz?

– Nieraz chodzę.

– Ta, ale tylko w poniedziałki, hi, hi! Złodziej chodzi do kościoła na mszę w poniedziałki, bo w niedzielę idzie do kościoła, ale do roboty, hi, hi!

– Dobra, nie ma co gadać. Ja tu zostaję i pilnuję. Daj mi tą policyjną pałkę na wszelki przypadek, a ty leć na policję. Niech szkieły się martwią o gościa.

– A gdzie na tą policję mam iść? Może pójde na samą górę?

– Znaczy się gdzie?

– Do komisarza Fischera. Tolek powiadał, że to najporządniejszy szkieł w Poznaniu. A ty siedź tu i nie daj nikomu zabrać gościa. Niech czeka, ja raz-dwa obróczę i wróczę się z policją i jakimiś łapiduchami. Jak będzie jeszcze dychał, to się mu pomoże.

Chodzież

Godzina 7.35 wieczorem

Pociąg toczył się powoli. Koła wagonów stukały głośno, co rusz natrafiając na szpary pomiędzy kolejnymi stalowymi szynami. Zwalniał wyraźnie, wjeżdżając na rozjazdy świadczące o tym, że za chwilę będzie duża stacja.

Fischer wstał z miękkiego siedzenia i spojrzął z zaciekawionym przez okno. Ostatnim razem był w Chodzieży w dziewiętnastym roku. Jego oddział wysłano na front północny. Tam służył aż do końca marca, dokładnie do chwili, kiedy wezwał go do siebie jego dowódca, kapitan Zdzisław Orłowski, szef IV Powstańczego Okręgu Wojskowego. Fischer był przekonany, że wezwanie ma charakter rutynowy i dotyczy sytuacji na froncie w okolicach Budzyna. Jak się jednak wkrótce okazało, Orłowskiego nie interesowały kwestie polowe.

– Pan, poruczniku, zdaje mi się studiował coś tam? – zapytał na samym początku rozmowy. Zdziwiony Fischer potwierdził.

– Dwa lata prawa na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma w Berlinie.

– I bardzo dobrze, poruczniku, bardzo dobrze. – Kapitan wskazał podwładnemu krzesło naprzeciw szerokiego blatu biurka, na którym prócz sterty map i jakichś teczek z papierami stały menażka, manierka i wielka kryształowa popielnica.

– Poprosiłem pana, poruczniku, tu do mnie, żeby wydać mi szczególne polecenie. Muszę przyznać, że robię to niechętnie, ale zdaje mi się, że nie mam innego wyjścia. Ludzie z takimi kwalifikacjami jak pańskie potrzebni są gdzie indziej.

– Nie rozumiem, panie kapitanie.

– Chodzi o to, że frontowych młodszych oficerów mamy już sporo, ale prawników jak na lekarstwo.

– Nie jestem jeszcze prawnikiem.

– Gdyby pan był, już dawno by mi pana zabrali do tworzącego się wojskowego sądownictwa. Wszystkich prawników już wezwano z frontów i przeflancowano do Poznania. Uchowali się tylko tacy,

przepraszam za słowo, niedorobieni, ale jak się okazuje i po takich dowództwo wyciąga łapę.

– W jakim sensie, panie kapitanie?

– W sensie takim, że od tej chwili zdaje pan swój oddział podporucznikowi Wawrzyńskiemu, a sam pakuje się i za dwa dni melduje się w Poznaniu w Prezydium Policji.

– Po co mam się meldować w budynku policji?

– Powstająca Policja Państwowa potrzebuje fachowców. W związku z tym zostaje pan przeniesiony do policji, by zostać oficerem śledczym albo cholera wie czym tam jeszcze... Dowie się pan na miejscu.

I w ten oto sposób dawny frontowiec i niedokończony prawnik stał się policjantem. Oczywiście tylko na chwilę, przekonywał sam siebie. Wcale nie miał ochoty, by zostać poznańskim szkiełem, ale co było robić? Rozkaz to rozkaz.

To tak, jakby historia zatoczyła krąg, pomyślał Antoni, spoglądając na budynek dworca z czerwonej cegły, na którym dawny napis „KOLMAR” zastąpił nowy „CHODZIEŻ”. W dziewiętnastym roku wyjeżdżał stąd pociągiem do Poznania, by z żołnierza przedzierzgnąć się w policjanta. Teraz wracał już jako policjant prowadzący śledztwo w sprawie, która w jakiś sposób wiązała się z jego frontowym przyjacielem Carlem Aschmutatem.

Hamulce pociągu zajęczały jak chór potępionych dusz i pociąg zatrzymał się na peronie. Fischer sięgnął po kapelusz, który leżał na półce obok niewielkiej walizeczki. Zabrał ze sobą tylko parę najpotrzebniejszych rzeczy, kilka zmian bielizny i przybory toaletowe, gotów tu w razie potrzeby spędzić kilka nocy. Liczył jednak, że już jutro będzie mógł wrócić do Poznania, a sprawa, którą miał tu załatwić, zostanie pomyślnie rozwiązana w ciągu najbliższych kilkunastu godzin.

Nałożywszy kapelusz na głowę – przyjechał tu ubrany po cywilnemu, żeby niepotrzebnie nie rzucać się w oczy – przewiesił przez ramię płaszcz i z walizką w dłoni wyszedł na korytarz wagonu drugiej klasy. Jako urzędnik wyższej rangi miał prawo podczas podróży służbowych do korzystania z klasy pierwszej, ale uważał, że

to byłaby fanaberia i niepotrzebne trwonienie państwowych pieniędzy. Druga klasa była w sam raz dla niego i w zupełności mu wystarczyła. Trzeciej natomiast nie używał nigdy, bo nie lubił smrodu przepoconych ciał i niemytych nóg. Uważał, że już nawąchał się tych aromatów podczas wojny, więc wystarczy mu na całe życie.

Spojrzał na peron, rozglądając się za jakimś mundurowym. Od razu spostrzegł policjanta stojącego przy drzwiach prowadzących do kas biletowych i dworcowej poczekalni. Był jeszcze zbyt daleko, aby być pewnym, ale zdało mu się na pierwszy rzut oka, że ta sylwetka jest mu skądś znajoma.

Otworzył drzwi wagonu i przepuścił przed sobą kobietę z dużą walizką w dłoni. Chciał jej pomóc i podać bagaż, ale burknęła coś niechętnie i wyskoczyła na peron, trzymając walizkę. Mało brakowało, a nazbyt obciążona przewróciłaby się, ale na szczęście dla niej chwycił ją pod łokieć stojący przy drzwiach kolejarz.

– Paniusia uważa, bo nóżki łatwo połamać!

– Dziękuję, zbytek troski – odburknęła.

Całkiem ładna, uznał Fischer, spoglądając na jej oblicze. – Tylko na co komu taka ładna kobieta, która nie potrafi się zachować i odstrasza swoją opryskliwością, pomyślał, ale zaraz stracił do niej całe zainteresowanie, bo przed nim stanął policjant. Ten sam, którego przed chwilą widział z okna pociągu.

– Pan porucznik, znaczy się pan komisarz Fischer! – zawołał na jego widok wąsaty, wielki jak sękaty pień starszy przodownik.

– Lebioda, jak Boga kocham, co wy tu robicie?

– Ano służy się, panie poruczniku.

Uśmiechnięty od ucha do ucha policjant strzelił obcasami i zasalutował. Fischer chwycił go w swoje niedźwiedzie ramiona i ucałował z dubeltówki. Mimo że sam był dobrze zbudowany i jako były zapaśnik mógł pochwalić się wielkimi mięśniami ramion i karku, to przy Lebiodzie wyglądał jak cielak przy buhaju.

– Gdzie żeście się podziewali, sierżancie, przez te lata? Znaczy, nie sierżancie, ale starszy przodownika.

– Wew szpitalu przeleżałem do lipca, panie poruczniku – mówiąc to, spuścił wzrok, jakby się tłumaczył z jakichś swoich dawnych przewin. Ale winy żadnej w nim nie było, a wręcz przeciwnie.

Fischer doskonale pamiętał moment, w którym Lebioda trafił do szpitala polowego. Było to w lutym dziewiętnastego roku, gdy na przedpolach Budzyna natrafili niespodziewanie na silny kontratak świeżych niemieckich sił, które do walki wprowadzono wprost ze stacji kolejowej. Nowi żołnierze, wypoczęci i najedzeni, a co za tym idzie pełni zapału, przyjechali z Piły pociągiem i od razu rzucili się do ataku. Zmarznięci i niewyspani Polacy, którzy trzymali stanowiska w transzejach, zaczęli pod ostrym ogniem słabnąć i lada moment poszliby w rozsypkę. Fischer, który dowodził kompanią strzelców i zabezpieczał podejście do miasta, uznał, że nie można pozwolić, by Niemcy wyparli ich ze stanowisk, bo gdy raz dadzą tyły, cała linia się rozsypie. Uznał, że przeważających liczebnie młodych Niemców jest w stanie pokonać tylko opanowanie i doświadczenie starych wiarusów. Zwołał więc kilku swoich podoficerów. Usiedli na dnie okopu, a Fischer odczepił od paska manierkę z wódką. Upił łyk i puścił flaszkę w obieg. Zaczęli popijać, doskonale wiedząc, co może oznaczać ten poczęstunek pod kulami przeciwnika.

– Panowie, musimy ich odepchnąć, bo jak zbliżą się na odległość rzutu granatem, to już po nas, bo jest ich zbyt wielu, a my nie mamy tu ckm-u. Trzeba im dać kopa w dupę na naszych warunkach. Mamy przed sobą co najmniej trzy kompanie młodych srajtuchów, a w okopach siedzi jedna kompania starych frontowych pierdół.

Doświadczeni frontowcy doskonale wiedzieli, co to oznacza.

– Ja, panie poruczniku, wezmę pierwszą drużynę i pójdę do przodu z lewej flanki – zadeklarował Lebioda. Fischer klepnął go w ramię.

– Zgoda. Na mój gwizdek centrum pod Olkiewiczem przykrywa wszystko ogniem. Anastazy, naróbcie hałasu jak cholera.

– Zrobi się, panie poruczniku! – Sierżant Olkiewicz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Na dwa gwizdki Lebioda skokami do przodu, a Olkiewicz cichnie, żeby nie postrzelić idących do ataku. I wtedy od razu zaczyna grzać prawa flanką pod Okoniem. Tak, żeby mi ani sekundy ciszy nie było, jak Lebioda będzie biegł. Strzelać, jakby sam diabeł was lał po tyłkach. Nie mogą się zasrańcy zorientować, skąd do nich walimy.

Gdy atak dojdzie do tych krzaków w połowie dystansu, prawa flanką Okonia przerywa ostrzał, a ludzie Lebiody otwierają ogień i krzyczą „hura”! Jak już Lebioda będzie tuż przy torach i rzuci granaty, wszyscy wyskakujemy z okopów i grzejemy, ile się da do przodu. Jeśli to dobrze rozegramy, panowie, to za pół godziny od tej chwili będziemy mieć ich wszystkich powiązanych jak snopki we zniwa.

– Tak jest – odpowiedzieli chórem trzech podoficerowie i błyskawicznie rozeszli się do swoich ludzi, żeby przekazać rozkazy.

Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak przewidział Fischer. Niemieckie kompanie nie wytrzymały polskiego ataku, w którym zginęło dwóch atakujących, a pięciu zostało rannych. Ponad stu pięćdziesięciu niemieckich żołnierzy dostało się do niewoli. Zginęło zaledwie siedmiu. Pozostali uciekli, ale nikt ich nie ścigał. Nie było takiej potrzeby.

– Zazdroszczę panu takich żołnierzy – stwierdził stary kapitan, oddając Fischerowi swój pałasz.

– Może pan go zatrzymać – stwierdził Polak. – A żołnierze najlepsi na świecie. Zdobywali doświadczenie pod Verdun i nad Sommą. Elita armii, panie kapitanie. Kto wie, może wśród nich są i pańscy dawni ludzie.

– Szkoda, że musimy walczyć przeciwko sobie.

– Szkoda. Wojna to nic dobrego. Ale najgorsze jest to, że naprzeciw siebie stają towarzysze broni. Dlatego dzisiaj postanowiliśmy zminimalizować straty. Pańscy rekruci nie mieli żadnych szans z moją maszynką do mielenia mięsa.

Straty tego dnia rzeczywiście były minimalne. O najpoważniejszej Fischer dowiedział się kilka minut później. Lebioda, któremu chciał podziękować za brawurowy atak, leżał z raną brzucha przy torach. Raną ciętą. Któryś z tych niemieckich gówniarzy, pewnie śmiertelnie przestraszony, wraził mu bagnet w brzuch. Na szczęście nie był doświadczonym frontowcem i nie okręcił ostrza. Rana była więc czysta.

– Aleśmy im kota pogonili, panie poruczniku – powiedział podoficer na widok Fischera, uśmiechając się przy tym z trudem i przyciskając dłoń do boku.

– Dobra robota, sierzancie. Twoja robota. A teraz nie gadaj za dużo. Okoń, Olkiewicz, zorganizować transport do szpitala, szybko!

Nie musiał im nic mówić. Już zorganizowali. Tkwili w miejscu, klęcząc przy Lebiodzie, żeby nie czuł się samotny. Brata się nie zostawia...

Od tego czasu już się nie widzieli. Fischer wiedział, że Lebioda przeżył, bo mówili mu o tym dwaj jego koledzy, podoficerowie, którzy wraz z porucznikiem trafili na wojnę bolszewicką. Ale nie miał pojęcia, co się z nim dalej działo.

– Siostrzyczka ze szpitala, panie poruczniku, zez Chodzieży jest. Tak jakoś się zostało tutaj. – Uśmiechnął się, mrugając jednym okiem.

– Dobrze cię widzieć, stary diable.

– Pana też. Pan da walizkę. Idziemy do hotelu dworcowego, tu zaraz na Kościuszki.

– Jak panowie do hotelu, to może i mnie pan pomoże z tą walizką, bo sama nie dam rady chyba...

Fischer spojrzał zdziwiony w prawo. Na peronie stała kobieta, która tak opryskliwie podziękowała mu za pomoc. Teraz uśmiechała się, robiąc słodką minę. Co było robić? Przecież nie mógł jej odmówić.

– Oczywiście, droga pani, z największą przyjemnością.

Hotel dworcowy rzeczywiście był niezbyt daleko. Pięć minut później Fischer wpisywał się już do księgi gości. Gdy zapisywał swoje nazwisko, przeczytał z ciekawości wpis powyżej, którego dokonała jego towarzyszka podróży. Oczywiście, przepuścił ją przy recepcji, bo wiadomo przecie, że kobiety mają pierwszeństwo. No i dzięki temu dowiedział się, że pani Zuzanna jest z Poznania, ale nazwisko Potocka nie powiedziało mu zupełnie nic.

Godzina 10.50 w nocy

Aspirant Pikuła miał pecha. Zaliczał dwa wieczorne dyżury dzień za dniem. Tyle że ten dzisiejszy wcale nie był jego dyżurem. Służbę miał

pełnić ktoś inny, ale ten inny, którego on nawet nie znał, nagle zachorował i aspirant nie mógł zdać swojej służby. No więc skoro nie mógł jej zdać, liczył choć na to, że nic w nocy nie będzie się działo. I zaraz okazało się, że się przeliczył. Wszystko przez tych dwóch, którzy podczas poprzedniego nocnego dyżuru namówili go na akcję w burdelu na Wielkich Garbarach. Dał się przekonać, bo był niezbyt doświadczonym policjantem. Ale dziś zamierzał być twardy i za nic w świecie nie miał zamiaru pozwolić się zwieść. Niestety, znów mu się nie udało, mimo że gdy przyszli do niego cztery godziny temu, nie chciał dać się namówić na jakąkolwiek eskapadę. I prawie mu się udało. Prawie, bo gdyby był bardziej stanowczy, teraz siedziałby sobie spokojnie w pokoju oficera dyżurnego i czytał zeszyt kryminalny o przygodach Sherlocka Holmesa. Może jednak nie nadaję się do pracy w policji, zastanawiał się. Może jestem za miękki i zbyt ulegam wpływom? Analizował swoje postępowanie, przyglądając się budynkowi zza szyby policyjnego auta. Naprawdę był twardy. I pierwsze starcie z siłą argumentów dwóch wywiadowców wygrał.

– Ale, panie aspirancie, jemu się coś musiało stać.

– He, he, he! Takim jak on zazwyczaj nic się nie może stać. Takie stare łajzy są kute na cztery łapy.

– Powiedział, że jak tylko wróci, to zaraz nam się opowie, co i jak, ino że się nie wrócił – próbował przekonać oficera wywiadowca Stolarski.

– Phawdę gada – poparł kolegę wywiadowca Krause.

– To wróci jutro. Pewnie na kacu wróci i wam wszystko opowie.

– Co opowie?

– Opowie, jak was spławiał. A wyście się dali nabrać, że niby jest mu potrzebna pomoc.

– Niephawda!

– Powiedział, że się tylko rozejrzy. I że tam mieszka sutener, niejaki Koziółek, i że są tam małe dziewczynki...

Pikuła był jednak twardy. Nie zamierzał po raz drugi wpakować się w wątpliwą sprawę. Już po tej ostatniej akcji czuł się niezbyt komfortowo. A oni teraz chcieli, żeby on zarządził drugi nalot. I znów ma najechać na burdel?

– Absolutnie się nie zgadzam! A poza tym niejaki Koziółek Bazyli siedział u nas, ale go dziś zwolnili. Więc Gil nie mógł iść do niego, bo jak szedł, to on jeszcze siedział w areszcie.

– To może nie ten Koziółek? A jak nasz kolega potrzebuje pomocy? Koledze pan odmawia? Policjantowi?

– Jak kto jest policjantem, to sam sobie potrafi pomóc. Niewzruszony aspirant otworzył szufladę służbowego biurka i zaczął w niej grzebać, dając tym samym do zrozumienia, że zakończył już rozmowę. Ale ci dwaj nadal tkwili na miejscu. Stali przed biurkiem i czekali.

– Ale wam nikt nie zabrania iść tam i się rozejrzeć – powiedział niby do siebie, ale na tyle wyraźnie, że obaj wywiadowcy natychmiast się ożywili.

– Pójdziemy w takim razie, panie aspirancie.

– Phawda, pójdziemy.

– Ale wiecie... – Spojrzał na nich, marszcząc groźnie brwi. Nie potrafił tego robić tak dobrze jak Fischer, więc z tym zmarszczeniem wyglądał nieco komicznie. Ale wywiadowcy nie parsknęli śmiechem, bo sprawa była zbyt poważna. – Ja w ogóle o tej sprawie nic nie wiem. Działacie samowolnie i bez rozkazu. Jak coś nie wyjdzie, to wasza sprawa.

– Się hosumie, panie aspirancie.

– Nas tu wcale nie było!

Już chcieli odejść, gdy naraz za ich plecami rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

– Wejść! – zaordynował oficer.

Do pokoju energicznie wkroczył młody posterunkowy, który pełnił służbę za kontuarem dla interesantów, w holu przy głównym wejściu.

– Melduję posłusznie, panie aspirancie, że jest tu dzieciak.

– Gdzie? – zdziwił się Pikuła.

– No na wartowni.

– Jaki dzieciak?

– Jaki to ja nie wiem, ale szczon pyskaty i nie chce nigdzie iść.

– A co mi do tego, posterunkowy? Co mnie obchodzi jakiś dzieciak?

– Mam go wykopać?

- Jak to wykopać?
- No normalnie, kopa w dupę i już go nie ma...
- Czy wyście oszaleli? Policja Państwowa nikogo nie kopie! Zrozumieliście?
- Tak jest! Znaczy dać mu normalnie po dupie?
- Po żadnej dupie, posterunkowy. Żadnego bicia. My nie jesteśmy od bicia, ale od słuchania ludzi i wychodzenia naprzeciw ich potrzebom. A czego potrzebuje ten chłopak? To jakiś żebrak?
- Melduję, że żaden żebrak. On powiada, że ma jakieś doniesienie dla komisarza Fischera, ale komisarza nie ma, bo wyjechał, no tom se myślał, że się go wyrzuci, bo co taki szczon może chcieć od komisarza, ale on nie dał się wyrzucić i jak ja onego chciałem chwycić za kark, to mi uciekł. I teraz siedzi na schodach i powiada, że nigdzie nie pójdzie.
- To może my już pójdziemy... - zaproponował Krause.
- Nie, czekać! Zaraz, pomożecie jego chwycić. Chodźcie wszyscy!
- Cała czwórka wyszła na korytarz prowadzący do holu. Posterunkowy szedł przodem. Zatrzymał się, doszedłszy do schodów. Na najwyższym stopniu siedział chłopak o blond czuprynie, ubrany w szare palto. Czapkę cyklistówkę trzymał w dłoniach. Na widok policjantów wstał gotowy do natychmiastowej ewakuacji. Nie uciekł jednak. Widać miał ważną sprawę do załatwienia.
- Jak się nazywasz, chłopcze? - zapytał go, uśmiechając się przy tym dobrotliwie, aspirant Pikuła.
- Kaźmierczak Krystek.
- A po co żeś tu przyszedł?
- Bo chciałem gadać z komisarzem Fischerem.
- Ty znasz komisarza Fischera?
- Znam - skłamał bez zmrużenia oka.
- To nie ma komisarza Fischera, bo wyjechał. Musisz przyjść jutro albo pojutrze, jak wróci, bo pojechał nad granicę...
- Jutro będzie futro.
- Co?
- Mówi, że jutro będzie po ptokach - wyjaśnił Stolarski.
- Aha. A niby to dlaczego?
- Bo ten gość umrze.

– Jaki gość?

– Ten, co jego wyrzucili z dywanu.

Wszyscy czterej policjanci popatrzyli na chłopaka, jakby ten postradał zmysły. Musiał to zauważyć, bo zaczął szybko opowiadać o tym, czego był dziś świadkiem.

– Wszystko zaczęło się przy tej kamienicy na Zwierzynieckiej. Bo do tej kamienicy weszedł Spychała, taki jeden gość, co my jego śledzili, bo nam kazał... – Tu na chwilę się zatrzymał, żeby się zastanowić, czy powiedzieć całą prawdę, czy też z tą prawdą nieco się rozminąć. W końcu jak nie ma tego Fischera, to i tak nie sprawdzą dzisiaj, pomyślał. – Kazał nam go śledzić i zobaczyć, co on robi, pan komisarz Fischer.

Dojrawszy, jak zdumiony oficer unosi brwi ku górze, zrozumiał, że wybrał mądrze.

– Sam pan komisarz Fischer wam kazał śledzić jakiegoś człowieka?

– Tak jest. Może się pan zapytać – potwierdził szybko chłopak i wrócił do opowiadania, żeby uniknąć kolejnych kłopotliwych pytań.

– I my z Zenusiem, znaczy się z Zenonem Brodziakiem, moim kolegą, śledzili my tego typa, aż on przyszedł na Zwierzyniecką.

– Gdzie dokładnie na Zwierzyniecką? – zapytał młody człowiek ubrany jak robociarz. Chłopak pomyślał, że skoro pyta, to pewnie jest policjantem w cywilu.

– Dokładnie na rogu Zwierzynieckiej i Kraszewskiego, tam gdzie jest szwalnia wojskowa naprzeciwko. Tam właśnie poszedł.

– To tam, gdzie szedł Gil, panie aspirancie! – zawołał wywiadowca Stolarski. – Widzi pan, wszystko nam się układa. Mów dalej, chłopcze. Mów wszystko po kolei!

– No to on tam weszedł. I my czekali ładnych kilka godzin, wuchta wiary się tam kręciła, ale ten Spychała nie wychodził.

– A taki mały, ghuby, w kapeluszu wchodził? – zapytał Krause.

– Mały i gruby w kapeluszu wchodził, ale też nie wyszedł.

– No i widzi pan! Mieliśmy hację! Weszedł tam Gil, ale już nie wyszedł!

– No i co było dalej? – Zniecierpliwiony Pikuła ponaglił chłopaka.

– Dalej to ci dwaj wyszli, znaczy się ten, co my jego śledzili i jeszcze jeden, taki wielki jak klofta^[36]. I jeszcze jeden wyszedł z nimi, ale

zaraz się wrócił. A ci dwaj wynieśli ze sobą dywan. Wrzucili jego na wózek i poszli z nim na Grunwaldzką, na takie nieużytki, co są koło cmentarza farnego. I tam jest taka dziura, co ją kopią pod jakąś budowę. I my zobaczyli, że oni ten dywan rozwinęli i wyrzucili z niego jednego gościa...

– Tego grubego? – zapytał oficer.

– Nie! – Krystek pokręcił głową. – Chudego! Ale strzelonego w pierś. I mnie się widzi, że on jeszcze dychał i tam został pilnować mój koleżka Zenuś, a on tam se leży...

– Panowie, jedziemy natychmiast! Posterunkowy, dzwonić po auto i grupę interwencyjną. A ty, mały, dobrześ się spisał. Jak to wszystko jest prawdą, to nagroda cię nie minie. Prawdę żeś nam powiedział?

– Pod Bogiem, panie oficerze.

– No to dobrze. Jedziesz z nami.

– Automobilerem? – Chłopak nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Już sama jazda autem była dla niego najlepszą nagrodą. Ale Zenuś robi minę jak go zobaczy...

– Panowie, do roboty, na dziedziniec do auta! – wydał polecenie Pikuła

I dzięki temu grupa interwencyjna siedziała teraz w samochodzie zaparkowanym w bezpiecznej odległości od domu, który wskazali im dwaj chłopcy. Wskazali i sobie poszli, bo aspirant im grzecznie podziękował za pomoc. Ich nieboszczyk rzeczywiście jeszcze żył, więc wezwano do niego ambulans, który odwiózł go do wojskowego szpitala na Libelta, bo tam najlepiej znali się na ranach postrzałowych. A Pikuła wraz ze swoją ekipą pojechał na Zwierzyniecką. Teraz musiał tylko poczekać, aż wróci do auta wywiadowca Krause, który poszedł do burdelu na przespiegi...

11.05 w nocy

– A pan to tutaj zapewne służbowo? – zapytała kobieta. Fischer uśmiechnął się pod wąsem. Była naprawdę bardzo ładna. Jasne

włosy, przycięte w modny sposób na pazia, z prostą grzywką, sięgającą niemal do brwi. Ubrana była w granatową sukienkę za kolana, odsłaniającą połowę łydki.

Antoni tylko spojrział na zgrabne nogi i poczuł, że robi mu się gorąco. Ta nowa moda na odsłanianie nóg sprawiała, że mężczyznom nawet mimowolnie wzrok uciekał w dół. Fischer nie był tu więc wyjątkiem, tym bardziej że kobieta usiadła przy stoliku nie naprzeciwko, jak nakazywałyby dobry obyczaj, ale z boku, tak że podczas rozmowy mógł obserwować jej profil, ale także i łydki.

– Owszem, służbowo.

– Komisarz policji przyjeżdża do takiej małej miejscowości? To musi być jakaś fascynująca sprawa morderstwa.

– Nie, skąd. Nic w tym nadzwyczajnego, proszę pani. Fischer zdziwił się trochę, że został rozpoznany, ale zaraz przypomniał sobie, jak głośno przywitał go na peronie Lebioda.

– Niech pan opowie, panie...

– Antoni. Przepraszam, nie przedstawiłem się, ale muszę przyznać, że mnie pani zaskoczyła swoją obecnością. Nie liczyłem na kobiece towarzystwo podczas kolacji. Jestem podkomisarz Antoni Fischer.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Piękne imię, panie Antoni. Takie męskie. A ja jestem Zuzanna Potocka.

– Panna Zuzanna – rzucił, niewiele się zastanawiając. I od razu, sądząc po zmienionym wyrazie twarzy swojej rozmówczyni, zauważył, że palnął głupstwo.

– Bynajmniej nie panna, panie Antoni. Wdowa. Mój mąż świętej pamięci, Józef Potocki, zginął w siedemnastym roku w Belgii.

– Przepraszam bardzo, pani Zuzanno. Nie dostrzegłem obrączki na prawej dłoni.

– Jest na lewej. – Wyciągnęła ku niemu dłoń w taki sposób, że musiał ją chwycić w rękę i złożyć pocałunek.

– Przeprosiny przyjęte, ale w ich ramach musi mi pan opowiedzieć coś o swoim śledztwie.

– Nie wiem, czy jest o czym.

– To ja decyduję! Jest pan moim dłużnikiem, więc mam nad panem władzę. W związku z tym biorę pana w jasyr. I dopóki nie zaspokoi

pan mojej ciekawości, nie dam panu spokoju.

Fischer znów poczuł, że robi mu się gorąco. Ta kobieta miała na niego jakiś magnetyczny wpływ. Musiał przyznać, że była piękna, a to jeszcze bardziej go peszyło. Człowiek, który potrafił zabijać wrogów bez zmrużenia oka, wobec kobiety stawał się całkowicie bezradny. Czuł, że gdyby tylko chciała, mogłaby okręcić go sobie wokół palca, a on nie wydusiłby z siebie ani słowa sprzeciwu.

Do stolika podszedł kelner ubrany bardzo sztywnie w czarne spodnie i w kamizelkę w biało-czarne pasy, założoną na białą koszulę, zapiętą pod szyją czarną muchą. Był sam na sali, a do obsłużenia miał dziesięć stolików. Hotelowa restauracja była pełna gości. Przeważali mężczyźni, sądząc po ubraniach, raczej dobrze sytuowani, którzy przyszli pić wódkę i zagryzać zimnym kotлетem we wnętrzu przyjemnie urządzonego i czystego, o ścianach wyłożonych zielonym sukniem w dębowych obramowaniach i z okrągłymi stolikami, przykrytymi białymi obrusami.

– Pani szanowna sobie życzy coś zjeść czy może wypić?

– Och nie, jeść o tej porze już nie będę. – Uśmiechnęła się do Fischera, a ten popatrzył w dół na swój do połowy zjedzony kotlet schabowy na zimno z ogórkiem kiszonym i od razu zrobiło mu się głupio. Zwykle też nie jadał o tej porze, ale dziś był wyjątkowy dzień, a czas obiadowo-kolacyjny spędził w pociągu.

– Zjadłam w pociągu chleb z masłem i jajko, więc mi to całkowicie wystarczy. Ale chętnie bym coś wypić. Poproszę więc kawę i może coś mocniejszego. Co pan poleca?

– Z kobiecych wódek mamy ajerkoniak, nalewkę wiśniową i ziołowego jagermaistra...

– Niech pan da spokój z tymi słodkościami. Koniaku bym się napiła. Macie koniak, hę?

– Oczywiście szanowna pani, jest martel.

– Co pan sądzi, komisarzy, o martelu? Wypije pan ze mną?

– Oczywiście, z największą przyjemnością. Da pan dwie kawy i dwa martele.

Kelner skłonił się i odszedł do bufetu. Fischer tymczasem odsunął od siebie talerz z kotлетem i sięgnął po kufel z piwem. Zaschło mu w gardle z wrażenia. Początkowo źle ją ocenił, tam, na dworcu, gdy

odrzucała jego ofertę pomocy przy wysiadaniu. Widać musiała być zmęczona po podróży, a ja może nazbyt nachalny, zastanawiał się, patrząc w jej błękitne oczy. Bo teraz była zupełnie inna, bardziej otwarta i – co tu dużo gadać – po prostu czarująca. Znów spojrzał ukradkiem na jej nogi.

– Pewnie się pan dziwi, że miałam tyle śmiałości, by do pana podejść, ale wie pan, ja tu nikogo nie znam.

Spojrzała na te kilka stolików za plecami Fischera, przy których pili wódkę i zagryzali śledzie miejscowi pijacy. – A pana zdążyłam już poznać, więc wybór był prosty. No a ci prowincjusze, sam pan widzi... A w panu od razu daje się wyczuć nienaganne maniery. Pan musiał bywać w wielkich miastach.

– Owszem – przyznał mile połechtany. Mieszkałem dwa lata w Berlinie w trakcie studiów.

– No proszę, od razu wiedziałam. Pan jest taki wielkomiejski.

Odchrząknął, bo nie bardzo wiedział, jak zareagować. Dotąd nie zauważył u siebie ani odrobiny wielkomiejskości. Ale skoro ona tak mówiła... pewnie coś w tym było. W końcu to ona ma świeży osąd.

Kelner przyniósł kawę i koniak. Chwyciła kieliszek i uderzyła nim w brzeg drugiego.

– Wypijmy za nasze spotkanie, panie Antoni.

– Z największą przyjemnością, pani Zuzanno.

Ze zdziwieniem zauważył, że wypita cały kieliszek koniaku dwoma łykami. Cóż to za kobieta!

– Do licha, tego mi właśnie było trzeba. Kelner, powtórzmy! – Wskazała na swoje puste szkło. Fischer, chcąc nie chcąc, musiał szybko dopić swój koniak, bo kelner zaraz przybiegł z butelką.

– Niech pan zostawi tę flaszkę, bo zdaje się, że panu komisarzowi również smakuje.

– Owszem – przyznał. – Lubię martela, bardzo nawet.

– No to nawet gusta mamy podobne. A pali pan?

– Tak, ale fajkę.

– Proszę śmiało palić. Ja również palę, ale nie fajkę, tylko papierosy.

Wydobyła z małej torebki srebrną papierośnicę.

– A może ma pan ochotę na papierosa?

Skinął głową.

– Dlaczego by nie?

Wziął z jej dłoni zapałki i podpalił jedną.

Przez chwilę palili w milczeniu, rozkoszując się aromatycznym dymem. W końcu Fischer nie wytrzymał. Zżerała go ciekawość.

– Pani tak sama w podróży?

– A czego miałabym się bać. Przecie z Poznania do Chodzieży niedaleko. Tylko dwie godziny jazdy. Żaden wyczyn.

– No niby tak, ale jednakowoż to samotne podróżowanie doskwiera.

– Ma pan słuszność, dlatego spragniona towarzystwa rzuciłam się na pana jak harpia. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy.

– Cała przyjemność po mojej stronie. A pani tu z towarzyską wizytą?

– Ja, do tej dziury na końcu świata? Ależ bynajmniej, panie Antoni. Tylko w interesach. Interesy załatwiam i szybko uciekam.

– Kobieta i interesy. To brzmi jak oksymoron.

– Możliwe, ale to wy, mężczyźni, sprawiliście, że wiele z nas musiało sprawy wziąć w swoje ręce. Przez wasze wojny zostaliśmy same.

– Tak, to prawda. Pani wybaczy.

– Znowu mnie pan przeprasza. Więc nie wypłaci się pan, żeby się wykupić z mojego jasyru.

– Mógłbym być pani więźniem na wieki – zażartował, ale od razu poczuł, jak głupie i tanie było to, co powiedział.

– Więc jest pan mój na zawsze – stwierdziła, uśmiechając się uroczo, a on poczuł, że jego serce jest gorące jak rozgrzana w kowalskim piecu podkowa.

– Mam tu, pod Chodzieżą, niewielki majątek po mężu. Jutro przyjedzie po mnie rządca i rano pojedziemy na krótką inspekcję. Muszę przejrzeć księgi. Ustalić, co tam będziemy siać, sprawdzić, jak się mają konie. Uwielbiam konie. A pan?

– Ja również – potwierdził. Umiał jeździć konno i umiał z końmi rozmawiać. Przekonał się o tym kiedyś na froncie na Ukrainie, gdy musiał uspokoić konia przerażonego wrogim ostrzałem. Dzięki temu osobliwemu talentowi udało mu się wyprowadzić spod padających wokół kul wóz wypełniony rannymi żołnierzami.

– Proszę bardzo, to mamy już kolejną rzecz, która nas łączy.
– Bardzo mnie to cieszy.
– A jak już wszystko tam sprawdzę, bo wie pan, że pańskie oko konia tuczy, to odwiozą mnie do Chodzieży i wracam do Poznania.
– To być może wracać będziemy razem. Ja tylko załatwię swoje sprawy i chciałbym zdążyć na ten pociąg o trzeciej. Mam nadzieję, że się uda.

– O proszę, wygląda więc na to, że wrócę do domu w wybornym towarzystwie.

– Będzie mi szalenie miło.

Wypiła kolejny koniak.

– Kelner, płacić! – zawołała, a mężczyzna pojawił się natychmiast.

– O nie, ja zapłacę. Pan dopisze do mojego rachunku. Na pokój numer dwanaście.

– Bardzo pan łaskaw, drogi panie Antoni.

– Pani wyświadcza mi łaskę, dotrzymując mi towarzystwa.

Wstała od stołu. On podniósł się natychmiast i ucałował ją w dłoń. Uśmiechnęła się pięknie i odwróciwszy do niego plecami, ruszyła w kierunku foyer, z którego prowadziły schody na hotelowe piętro. Odprowadzał ją wzrokiem, oczarowany jej wdziękiem...

Naraz kobieta zachwiała się i zapewne by się przewróciła, gdyby nie ściana. Od razu ruszył na ratunek. Chwycił ją silnie w pól i przytrzymał.

– Och mój Boże, co się stało?

– Mało brakowało, a by pani upadła.

– Oj, niezdara ze mnie. Kręci mi się w głowie. Może za dużo wypiłam.

– Tak się niekiedy dzieje po wypiciu...

– Antoni, proszę odprowadzić mnie do pokoju.

– Oczywiście. Proszę mnie chwycić za kark.

Chwyciła.

Uniósł ją w górę i poszedł z tym słodkim ciężarem na schody. Poczuł, jak opiera głowę o jego pierś.

– Ależ ty jesteś silny, Antoni. Mógłbyś mnie tak długo nieść?

– Mógłbym – potwierdził, ale jak długo, nie powiedział, bo nie wiedział.

– Numer trzynasty.

Wydobyła klucz z torebki, a on już chciał ją postawić, by mogła otworzyć drzwi.

– Nie, proszę, trzymaj mnie jeszcze, bo się przewrócę. Kręci mi się w głowie...

Włożyła klucz w dziurkę i otworzyła.

– Zamknij, proszę, bo jeszcze ktoś zobaczy i pomyśli sobie Bóg wie co.

Zamknął kolanem i poniósł ją do łóżka. Delikatnie położył na pościeli, a jego wzrok znów powędrował w stronę smukłych nóg, odzianych w białe pończochy. Naraz poczuł jak łapie go za rękę.

– Pochyl się, mój wzięty w jasyr oficerze. Chcę ci coś powiedzieć na dobranoc.

Pochylił się posłusznie, a ona uniosła się szybko i wpiła się ustami w jego usta. Poczuł jej język stykający się z jego własnym.

– Nie, nie, Antoni, proszę, nie możemy. Co sobie ludzie o nas pomyślą? – Odepchnęła go.

– Jacy ludzie? – zdziwił się. – Przecie tu nikogo nie ma.

– Mój Boże, Antoni, jaki ty jesteś męski! – Znów przywarła do niego i zaczęła zeń zdejmować marynarkę. Nim się zorientował, już rozpięła mu koszulę.

Nie minęło pięć minut, a i jemu udało się ją wreszcie rozebrać. Nago prezentowała się niczym Wenus. Mógłby tak patrzeć na nią całą wieczność, ale ona nie dała mu możliwości. Zaczęła go całować po piersiach, potem po brzuchu i w końcu, nim się zorientował, o co jej chodzi, objęła go ustami. Jego ciało przeszył dreszcz rozkoszy. Słyszał już o miłości francuskiej, ale jak dotąd nigdy jej nie zaznał. Zresztą w kwestiach fizycznej miłości nie był wielkim specjalistą. Dotąd miał okoliczność z kobietami zaledwie trzy razy. Raz z pewną panną podczas przepustki w Berlinie i dwa razy we Francji, ale coś takiego, jak to teraz...

– O Boże! – jęknął, bo miał wrażenie, że za chwilę eksploduje. Ale ona była czujna. Podniosła się z kolan i pociągnęła go ku sobie, chwytając silnie za przyrodzenie. Opadła na łóżko, a on zaległ tuż przy niej, by czasami nie przygnieść jej drobnego ciała ciężarem swoich atletycznych mięśni. Nim się zorientował, zdecydowanym

ruchem wprowadziła go w siebie sprawnie i szybko, jakby o niczym innym nie marzyła od lat.

Musi być bardzo spragniona miłości, przeleciało mu przez głowę. Pewnie jestem pierwszym, z którym ma do czynienia po mężu nieboszczyku, dlatego jest tak wyposzczona i namiętna. Ogień, nie kobieta! Wybacz mi, kolego, który patrzysz teraz na nas tam, z góry, ale mam poważne plany wobec twojej byłej żony, myślał, poruszając powoli biodrami, podczas gdy ona jęczała cicho z rozkoszy. Sprężyny łóżka wtórowały im z wyraźną radością, współgrając w duecie z jej anielskim głosem. To był najpiękniejszy koncert, jaki podkomisarz Antoni Fischer kiedykolwiek słyszał.

[34] Na szagę (gwar.) – na skrót.

[35] Krzoidy (gwar.) – krzaki.

[36] Klofta (gwar.) – kłoda.

Rozdział X

Wtorek

11 kwietnia

Godzina 12.10 w nocy

Wywiadowca Gil może i wyglądał na człowieka, który do dwudziestu liczy z wielkim trudem, ale to były tylko pozory. On potrafił wyciągać wnioski z różnych przesłanek. Na przykład z twarzy tego faceta z białymi zębami wyczytał tyle, że jest to zimny drań. A z zakończenia ich rozmowy wysnuł wniosek, że człowiek ów, mówiąc mu, że ma się przyzwyczajać do ciemności, wcale nie zamierzał mu wydłubywać oczu, żeby pozbawić go możliwości widzenia. On zamierzał go najzwyczajniej w świecie zamordować z zimną krwią. I to dlaczego? Ponieważ wiedział, że w tym dywanie są zwłoki i nawet domyślił się czyje. Biedny kolega Geisler nie przeżył i najgorsze, że nie wiadomo dlaczego musiał zginąć. Może to jego żona go strzeliła. A kto wie, może nie ona, ale jej gach? Ten w końcu na broni się znał. Był żołnierzem i to nie byle jakim, bo pułkownikiem i jednym z dowódców w powstaniu. Nawet prowadził paradę wojskową na placu Wolności, którą Gil oglądał z wysokości pierwszego piętra domu handlowego Hessego. Na komfortowe miejsce na balkonie wpuścił Gila jego dawny znajomek, który był tam kierownikiem działu galanteryjnego. I dobrze, że go wpuścił, bo ze swoim wzrostem w tym tłumie, który otaczał plac, niczego by nie zauważył. A tak widział wszystko doskonale, łącznie z prowadzącym paradę i wymachującym szablą oficerem. Wtedy ujrzał go po raz pierwszy i musiał przyznać, że oficer ów prezentował się bardzo okazale.

Nawet szrama na gębie dodawała mu wojskowego uroku. Dlatego gdy zobaczył go wychodzącego z tego burdelu, od razu wiedział, z kim ma do czynienia i postanowił wysłać mu kartkę z propozycją spotkania. Prawda, że niezbyt mu się udało to przedsięwzięcie, ale musiał próbować, skoro okazja do zarobienia paru fenigów sama pchała się w łapy. Tak jak musiał próbować nie dać się zarznąć bez potrzeby. Dlatego powiązany jak baleron Gil postanowił, że łatwo się nie podda.

Na szczęście w pokoju nie było kompletnie ciemno. Przez okno wpadało do środka nieco księżycowej poświaty. Ale już wcześniej, gdy był tu w środku ten białozębny facet, policjant zlustrował z przyzwyczajenia całe pomieszczenie. I dzięki temu wiedział teraz, w jaki sposób może się uwolnić z więzów. Trzeba było się tylko trochę wysilić.

Najpierw musiał wstać z tego łóżka. To nie było szczególnie trudne, pomimo związanych rąk i nóg. Na szczęście ci jego oprawcy nie byli zbyt biegli w sztuce krępowania więźniów. Owszem, spętali mu nogi i ręce, ale dłonie związali z przodu. Gdyby zawiązali je z tyłu, to o ucieczce mógłby tylko pomarzyć, a tak więzy z przodu dawały pewną swobodę.

Powoli i bardzo ostrożnie zsunął nogi z krawędzi łóżka. Było wysokie, więc nie dosięgnął stopami podłogi. Musiał się ześlizgnąć w dół, uważając, żeby nie narobić zbyt wiele hałasu. Przesunął się jeszcze bliżej krawędzi i udało się. Stał przy łóżku oparty o nie pośladkami.

Miejsce, do którego musiał się dostać, znajdowało się po drugiej stronie pokoju, tuż przy drzwiach. Był to metalowy stojak na miskę z wodą. Gdy było jasno w pokoju, zauważył, że jest solidny, a obręcz, na której leżała miska, wykonano zapewne z miedzianego pasa blachy. W tym upatrywał swoją szansę. Nawet najlepiej wyszlifowana blacha przez lata używania musiała się dorobić jakichś nierówności. Wiedział to dobrze, bo u siebie w domu miał podobny stojak, który co jakiś czas trzeba było szlifować, żeby przypadkiem nie narazić się na skaleczenie.

Zaczął powoli przemieszczać się w kierunku stojaka, przesuując po podłodze raz jedną, raz drugą stopę o dystans, na jaki pozwalały

mu więzy. W końcu dotarł do celu. Starając się zrobić to jak najciszej, zdjął miskę i ostrożnie postawił na podłodze. Nie wydała żadnego dźwięku.

Wyprostował się i wtedy mało nie doszło do katastrofy, bo na moment stracił równowagę. Pewnie wpadłby w tę miednicę, ale na szczęście udało mu się chwycić krawędź stojaka. To go uratowało.

Przez moment stał, oddychając ciężko, ale po chwili szybkie tętno i oddech wróciły do normy. Oparł więc dłonie o stojak i powoli zaczął trzeć sznur między przegubami. Na początku nie widział żadnego efektu, ale jako człowiek doświadczony wiedział, że w końcu się go doczeka.

Lepiej żeby szybciej niż później, pomyślał i zaczął trzeć nieco bardziej intensywnie. Po kilku minutach poczuł, że wiązanie na przegubach nieco się poluzowało. To znaczyło, że jego działanie przynosi efekty. Jeszcze przyspieszył. Po chwili sznur przestał krępować mu dłonie. Błyskawicznie usiadł na podłodze i zaczął szukać supła na nogach. W końcu go znalazł. Był mocno zadzierzgnięty. Musiał jednak sobie z nim poradzić. Przydałoby się coś twardego, najlepiej jakiś scyzoryk, pomyślał. Ale nie miał niczego takiego... Zaraz, zaraz, a spinka do krawata utrzymująca go w należyтым porządku i spinająca go z koszulą? Na pewno mu jej nie zabrali. Sprawdził, była na miejscu. Wysunął ją więc i tak uzbrojony zaczął grzebać w węźle. Od razu udało mu się go rozluźnić.

Naraz do jego uszu dobiegły jakieś hałasy na korytarzu. Dwaj mężczyźni rozmawiali ze sobą. Potem usłyszał wyraźne kroki. Ktoś podszedł do drzwi. Wiazanie na nogach puściło. Zdjął szybko sznur. Usłyszał metaliczny dźwięk wkładania klucza do zamka i kliknięcie przekręcania. Na czworakach przesunął się w kierunku parawanu. Schował się za nim niemal dokładnie w tej samej chwili, kiedy drzwi otworzyły się, a światło z zewnątrz wpłynęło do pokoju szerokim strumieniem.

– Nie ma tego skurwysyna! – Usłyszał czyjś głos.

– No przecież nie wyszedł przez dziurkę od klucza. – Ten drugi był o wiele bardziej rozsądny. – Zobacz pod łóżkiem.

– Ty, gruby, wyłaż, bo nie mamy czasu na ksiuty. Jak się będziesz z nami bawił, to pożałujesz... Nie ma pod łóżkiem!

– Nie gadaj tyle. Zobacz jeszcze kotary przy oknie albo parawan. Stawiam sto tysięcy marek, że gruby jest za parawanem. Gruby, jesteś tam?

I wtedy wywiadowca policyjny Gil uświadomił sobie całą beznadziejność swojej sytuacji. Był kompletnie bezbronny wobec tych dwóch osiłków. Mógł im przeciwstawić co najwyżej swoją inteligencję. Ale ta mogła być niewystarczająca w zetknięciu z brutalną siłą.

Godzina 11.45 w nocy

Gdy zegar wybił trzy kwadransy na północ, Gabryśia delikatnie pociągnęła za ramię śpiącą obok koleżankę. Ta natychmiast otworzyła oczy. Miała wrażenie, że nie spała ani minuty, dlatego liczyła wszystkie wybijane przez zegar godziny i kwadransy. Ostatni, który pamiętała, to kwadrans po dziesiątej.

– Już niedługo północ. Godzina duchów – szepnęła jej do ucha Gabryśia.

– Nie za wcześnie?

– Wcześnie. Ale musimy być gotowe. Coś się tam dzieje. Słyszałam jakiś harmider.

– Gdzie?

– No tam, za ścianą. To znaczy na korytarzu.

– Aha. A jak otworzymy drzwi? Przecież oni je zamykają na klucz.

– Jest sposób. Wszystko przemyślałam. Klucz jest w drzwiach z tamtej strony. Musimy go dostać.

– Ale jak?

– Zobaczysz. A teraz się ubieraj, tylko cicho, żeby ich nie obudzić. – Wskazała ręką przeciwległą ścianę, przy której stały łóżka. Na trzech z nich spały pozostałe dziewczynki. Przez okno dostawało się tyle poświaty księżycowej, że nie musiały robić wszystkiego po omacku. Szybko się ubrały, wciągając na siebie grube pończochy, wysłużone sukienki i rozpinane swetry. Te wszystkie ubrania dostały w chwili,

gdy się tu pojawiły. Były znoszone, ale jeszcze nadawały się do użytku.

– Szkoda, że nie mamy jakichś płaszczyków. Na dworze może być zimno. – Praktyczna Zosia martwiła się na zapas. Nie zaprzętała sobie jednak głowy tym, jak wydostaną się na zewnątrz, skoro jej koleżanka wszystko wiedziała lepiej. Całkowicie jej w tej kwestii zaufała, a ta od razu przejęła inicjatywę. Podczas gdy Zosia gotowa do wyjścia siedziała na łóżku, Gabrysia zabrała się do roboty.

Wzięła do ręki niewielki dywanik, który dotąd leżał pomiędzy ich łózkami. Położyła go tuż przy drzwiach, a potem wsunęła w szparę między krawędzią drzwi a podłogą. Zosia ze zdziwieniem obserwowała każdy ruch koleżanki, ale nie bardzo potrafiła zrozumieć, co ona w ten sposób próbuje osiągnąć. Tymczasem Gabrysia pracowała wytrwale i powoli przesuwała dywanik na zewnątrz. Wkrótce tylko jego niewielki fragment pozostał w pokoju. Reszta była już po drugiej stronie. Wtedy zostawiła go w spokoju i z kieszeni wydobyła nożyczki, po czym uklękła przy drzwiach. Jedno z ostrzy włożyła w dziurkę od klucza. Pogrzebała chwilę, a potem odwróciła się do koleżanki.

– Teraz wszystko albo nic.

– Co?

– Zobacz.

Wcisnęła mocno nożyczki w dziurkę i zaraz do uszu dziewczynek doleciał stłumiony przez dywan dźwięk spadającego klucza.

– Patrz teraz!

Chwyciła dwa brzegi dywanika i zaczęła go wciągać z powrotem. Naraz Zosia dojrzała na dywanie srebrzący się w świetle księżyca klucz od drzwi.

– Ojejku! – powiedziała trochę za głośno. Gabrysia syknięciem przywołała ją do porządku.

– Idziemy. I bądź cicho – poleciała. Zosia skinęła głową. Jeszcze nie mogła uwierzyć w to, co właśnie się działo, a koleżanka urosła w jej oczach do rozmiarów jakiejś mitycznej czarodziejki, która potrafiła zapanować nad każdym przedmiotem za pomocą magii i siły woli.

„Czarodziejka” tymczasem włożyła klucz do dziurki i przekręciła go. Zamek ustąpił. Przycisnęła klamkę i drzwi się otworzyły.

Ostrożnie wyjrzała na korytarz. Było tam ciemno, ale ona wiedziała, dokąd się kierować. Musiały skręcić w prawo i przejść jakieś dziesięć metrów.

– Chodź za mną. Daj rękę.

Zosia posłusznie wykonała polecenie. Poczowała, jak Gabrysia ścisną ją mocno i prowadzi za sobą pewną obraną drogą. Gdzieś za nimi, z tyłu, słychać było jakieś głosy i muzykę. Ktoś puszczał piosenki z płyt patefonowych, a może nawet radia. Oddalały się od tego zgiełku.

– Drzwi mają cztery zamki i jeden łańcuch – wyjaśniła koleżance. – Policzyłam je wszystkie, jak mnie wtedy niósł ten goryl. Macaj drzwi, a jak natrafisz na zamek, przekręcaj.

Z tym zadaniem poradziły sobie nadspodziewanie dobrze. Zamki były naoliwione i bez trudu dało się otworzyć wszystkie zasuwki. Z łańcuchem też nie było problemu. Gabrysia zdjęła go ostrożnie, uważając cały czas, żeby nie wydał jakiegoś dźwięku. Udało się. Teraz klamka. Przycisnęła ją mocno...

Mało brakowało, a krzyknęłyby z radości, gdy drzwi ustąpiły. Złapała Zosię za rękę i pociągnęła ją za sobą. Były na schodach. Trzeba było iść w dół. Z mieszkania naprzeciwko dolatywały dźwięki muzyki i jakieś głośne rozmowy, przerywane co jakiś czas śmiechem. Widać ktoś się tam dobrze bawił. Tak samo jak tam, za nimi, też grała muzyka. Wszędzie wokół panowała atmosfera dobrej zabawy i tylko one dwie były przestraszone, ale zdeterminowane.

Naraz z dołu usłyszały trzaśnięcie drzwiami i czyjeś podniesione głosy. Jacyś mężczyźni pokrzykiwali na siebie. Słychać też było kroki na schodach. Musiały natychmiast coś zrobić. Może wrócić? pomyślała Gabrysia. Nie, nie po to wychodziły z tych drzwi, żeby teraz dobrowolnie wracać do więzienia.

– Na górę! – Pchnęła Zosię, a ta bez namysłu skoczyła na schody. Lekko i zwinnie pobiegły na wyższe piętro. Nikt ich nie usłyszał, bo nie miały na nogach butów. Buty zostały pod łóżkiem. Zapomniały o nich, rozemocjonowane ucieczką. Ale co tam, najważniejsze, że były wolne. Kroki mężczyzn wspinających się po schodach zaczęły się zbliżać.

– Tu włącz. – Gabrysia otworzyła drzwi na półpiętrze. Wepchnęła koleżankę i weszła tam sama. Od razu zamknęła za sobą drzwi na haczyk.

– Co to za miejsce? – zapytała Zosia.

– Jak to, nie czujesz tego smrodu? Jesteśmy, kochana, w kiblu i musimy... – przerwała, bo głosy mężczyzn były coraz bliżej. Ktoś stał po drugiej stronie drzwi.

Godzina 12.30 w nocy

– W buhdelu jest pełno ludzi. Kilka kuhw w salonie i jacyś podchmieleni goście. Gha muzyka i wszyscy się dobrze bawią. Porządku pilnuje dwóch gości. Jeden niższy jest kulawy, a wyższy wygląda jak kafah do wbijania słupów w dno rzeki. Taki jak na Wahcie pracował, jak umacniali nabrzeże. Z jego łapą to ja haczej bym nie chciał się spotkać.

– Ile jest wejść? – Pikuła wolał znać wszystkie szczegóły.

– Ja widziałem tylko jedno, to, któhym mnie wpuścili i potem wyrzucili. Ale kto wie, czy nie ma tam więcej wyjść. Jak w każdym szanującym się buhdelu powinny być jeszcze dhugie drzwi na wypadek nalotu policji.

– Prawda – poparł kolegę Stolarski. – Zawsze mają w takim miejscu drugie drzwi w razie czego...

– A na Wielkich Garbarach też było drugie wejście? – zapytał oficer.

– ...bo jakoś żeśmy wtedy... phawda, żeśmy nie pomyśleli... Trzeba było to sphawdzić!

– Nikt nie pomyślał, bo za szybko wszystko się działo... – stwierdził Pikuła. Obaj wywiadowcy poczuli się dość głupio. A aspirant wcale nie miał zamiaru im dogadywać. Ot, tak spytał, żeby się upewnić, i nie zamierzał ciągnąć tematu. Jedno było pewne, od poprzedniej akcji nauczył się szybkiego podejmowania decyzji.

– Jeśli jest tam drugie wyjście, to zapewne będą próbowali uciekać na drugie podwórko. W tej sytuacji pan Stolarski zabierze czterech policjantów i obstawi ten drugi dziedziniec. Pan Krause wchodzi ze mną do burdelu wraz z czterema ludźmi. Pan, panie Bednarek –

zwrócił się do kierowcy – zostaje na ulicy i zabezpiecza tyły. W razie gdyby ktoś się przedarł przez nasze dwa kordony. Rozumie pan, zatrzymujemy każdego człowieka, który próbuje uciec w kierunku Bukowskiej albo Zwierzynieckiej. A, i dwóch mundurowych proszę wysłać jak najszybciej za ogrodzenie ogrodu zoologicznego. Nigdy nie wiadomo, czy tam się ktoś nie będzie próbował przedostać.

– Tak jest! – potwierdził przodownik Bednarek.

– Jakies pytania? – Oficer spojrzał na siedzących z tyłu wywiadowców i mundurowych policjantów. Nikt nie miał żadnych wątpliwości. Pikuła wolał jeszcze się upewnić co do jasności swoich poleceń.

– Strzelamy tylko wtedy, gdy ktoś nas zaatakuje. Panowie, bez rozlewu krwi proszę. Zrozumiano?

– Zrozumiano! – odpowiedzieli policjanci.

– No to do roboty! – zakomenderował i z aut zaczęli wyskakiwać funkcjonariusze. Tych w mundurach ich dowódca przodownik Bednarek rozdzielił na trzy grupy.

Stolarski zabrał swoich i od razu pobiegli na podwórko sąsiedniej posesji. Dwaj policjanci ruszyli biegiem do bramy ogrodu zoologicznego. Pozostali ruszyli za Pikułą. Ta grupa poruszała się najwolniej, by dać czas pozostałym na zajęcie stanowisk. Przed drzwiami prowadzącymi do klatki schodowej wszyscy przystanęli, a aspirant wyciągnął z kieszeni zegarek ze stoperem. Wcisnął przycisk i wskazówka zaczęła biec jak szalona. Odczekał dokładnie dwie minuty. Tyle powinno wystarczyć pozostałym, by mogli usadowić się na swoich pozycjach. Sięgnął do kabury przytroczonej do pasa i wy dobył z niej rewolwer Nagant. Na piersi zawiesił sygnałową latarkę elektryczną i włączył białe światło

– Idziemy! – zakomenderował i pierwszy wpadł do kamienicy.

– Czego tutaj? – zaskrzeczała baba siedząca na krześle w głębi ciemnego korytarza.

– Milczeć! – polecił ostro i wybiegł na podwórko.

– Tutaj, na phawo. – Wskazał mu kierunek Krause, który dokładnie rozpoznał teren godzinę temu. Poszedł na przespiegi jak zwykły klient burdelu, rozejrzał się w środku i zamówiwszy szampana, przypomniał sobie naraz, że nie zabrał ze sobą portfela

z pieniędzmi. Brak gotówki dla obsługi tego przybytku był poważną przeszkodą, uniemożliwiającą kontynuowanie wizyty, i gość został natychmiast wykopany za drzwi. Teraz zamierzał podziękować wykidajłom za obsługę.

Stolarski stanął przed wejściem, licząc na to, że gdy zobaczy go któryś ze strażników, nie nabierze podejrzeń i otworzy mu, choćby po to, żeby spuścić mu łanie za nachalność. I rzeczywiście nie pomylił się w swoich przewidywaniach. Gdy zapukał po raz drugi, potężnie zbudowany mężczyzna, ten sam, który kopnął go w tyłek, otworzył drzwi.

– Czego tu, szuszwolu niemyty. Tu się przychodzi nie z gołą dupą, ale z bejmami.

– A z pistoletem można? – Uśmiechnięty od ucha do ucha wywiadowca Stolarski wskazał na trzymany w dłoni pistolet wojskowy Parabellum.

– Auuu! – Zza pleców goryla dobiegło wycie jakiegoś człowieka. Mężczyzna odwrócił się za siebie, najwyraźniej zdziwiony. Policjant wykorzystał moment i zdzielił odźwiernego w głowę kolbą rewolweru. Ten zachwiał się, ale nie upadł. Moment zamroczenia wykorzystał wysuwający się z boku przodownik Bednarek. Uderzył mężczyznę swoją policyjną pałką w kark. Ten cios sprawił, że odźwierny opadł na kolana. Bednarek uderzył jeszcze raz, tym razem w głowę. Ten cios był ostatni. Nikt po Bednarku nie musiał już poprawiać. Widać, że przodownik znał się na swojej robocie.

– Kości zostały rzucone! – stwierdził aspirant Pikuła, przekraczając ciało nieprzytomnego cerbera. Przodownik rozejrzał się uważnie, ale nigdzie nie dostrzegł żadnych rzuconych kości. Coś się widać musiało oficerowi pomylić.

Godzina 12.35 w nocy

- Ktoś tam wali do drzwi – powiedział jeden z bandziorów.
- Idź, zobacz, a ja grubego zaraz wywlekę za uszy, he, he.
- Dobra, zaraz wracam.

– Gruby, gdzie żeś się schował? Myślisz, że cię nie dopadnę? No dalej, wychodź, pókim dobry!

Gil zdawał sobie sprawę z beznadziejności swojego położenia, ale nie zamierzał tanio oddać skóry. Spojrzał w prawo. Tam, pod ścianą, stał drewniany taboret. No cóż, przydałby się jaki nóż albo nawet szabla, ale na ten chamski ryj musi wystarczyć rączka, pomyślał, spoglądając na mebel. Chwycił go prawą dłonią za nogę akurat w chwili, gdy nad parawanem pojawiła się głowa jednego z oprawców. Szarpnął taboret w górę i z rozmachem uderzył w zdziwioną twarz oprycha. Coś nieprzyjemnie chrupnęło mu w szczękę.

– Auuu! – zawył uderzony.

Gil nie miał zamiaru czekać, aż zaatakowany dojdzie do siebie. To był ten niższy, który kulał na prawą nogę. Może z tą nogą było coś nie w porządku od zawsze, a może to jakaś świeża historia? pomyślał policjant i na wszelki wypadek postanowił to sprawdzić.

Rzucił się na trzymającego się za twarz człowieka z taboret w ręce. Tym razem cios zadał w prawe udo.

– Jezusie! – krzyknął uderzony i zwał się natychmiast na podłogę. Gil trzepnął go jeszcze raz w głowę, aby mieć całkowitą pewność, że jego przeciwnik nie będzie zdolny do walki. Po tym uderzeniu nie wydał już żadnego głosu.

Policjant tymczasem podniósł upuszczony przez bandziora rewolwer bębenny.

– No to dawać mi tu tego drugiego! – powiedział do siebie, odciągając na wszelki wypadek cyngiel. Wymierzył w otwarte drzwi, czekając na wroga. Nie zamierzał dać się zabić w chwili, w której szanse dwóch stron się wyrównały. Gdy usłyszał szybkie kroki na korytarzu, był już gotowy do starcia. Mierzył w przestrzeń, w której powinien pojawić się ten drugi, wielkolud. Palec na cynglu kolta zadrżał. Dostrzegł pojawiającą się postać, zmrużył lewe oko, a gdy ponad muszką pojawiła się głowa, pociągnął mocno za spust.

– O ja piehdole! Nie strzelaj, do cholehy! – zawołał mężczyzna stojący w drzwiach. Gil otworzył lewe oko i zaraz po tym oboje oczu rozwarł szerzej ze zdumienia. Nie trafił z dystansu trzech metrów. Kula utkwiała we framudze drzwi. I to wyraźnie ucieszyło policjanta.

Bo gdyby był lepszym strzelcem, to jego kolega, wywiadowca Krause, byłby teraz nieboszczykiem.

– Chciałem go ino nastraszyć, no wiesz, żeby żywcem wziąć bandziora – skłamał na poczekaniu.

– O, i jest pan Gil – ucieszył się na jego widok aspirant Pikuła.

– Melduję, panie aspirancie, że przyszedłem tu w ramach obowiązków służbowych – zaczął wyjaśniać, ale Pikuła machnął ręką. – Później opowiecie, co i jak. Idziemy dalej. Krause, prowadźcie!

Gil wyszedł za nimi na korytarz. Na jego końcu znajdował się jasno oświetlony salon. W połowie były schody prowadzące na górną kondygnację. Oznaczało to, że cała oficyna była burdelem. Aspirant i wywiadowca poszli do salonu.

Gil postanowił, że rozejrzy się na piętrze.

– Ty i ty, idziecie ze mną – powiedział do dwóch młodych posterunkowych, uzbrojonych w karabiny Mauser. Machnął na nich ręką i ruszył do góry. Tam też był podobny korytarz jak ten na dole, a schody prowadziły jeszcze wyżej. Gil postanowił jednak przejrzeć najpierw pokoje na pierwszej kondygnacji. Pierwszy z prawej był pusty, drugi też, za to w trzecim natrafił na jakiegoś chudego jegomościa w okularach, który klęcząc na łóżku, atakował wypięty kobiecy tyłek.

– Wynocha stąd, bo zajęte! – zawołał na widok Gila. Policjant tylko wzruszył ramionami. Nic go ten facet nie obchodził, ale na wszelki wypadek postanowił zepsuć mu zabawę.

– Policja, ubierać się. Dość dupczenia!

Mężczyzna otworzył szeroko usta ze zdumienia. Zaraz jednak się opanował.

– To oburzające, pan nie wiesz, kto ja jestem?

– Zaraz się dowiem, ale teraz ubierać się. Ty, pilnuj ich – polecił młodemu posterunkowemu. Ten wszedł do środka i zdjął karabin z ramienia. Na wszelki wypadek, gdyby gość chciał uciekać, ale też po to, by zrobić wrażenie na prostytutce, która nie krępując się swojej nagości, rozłożyła się wygodnie na łóżku, podpierając głowę ramieniem.

– Chcesz się zabawić, chłopczyku? Dam ci za darmo, bo jakaś jestem dziś niedopieszczona – powiedziała, przeciągając się jak kotka.

Gil tymczasem wpadł do drugiego pokoju i aż zamarł z wrażenia. Na łóżku leżała mała dziewczynka i wcale nie była to jego znajoma Dzidzia. Ta mogła mieć najwyżej dziesięć lat. Oczy miała zapuchnięte od płaczu, a jej drobnym ciałkiem wstrząsały spazmy. Obok łóżka na fotelu siedział nagi mężczyzna. W dłoni trzymał kieliszek koniaku. Spojrzał na Gila i uśmiechnął się krzywo.

– Zdaje się, że pan sobie na zbyt wiele pozwala. To prywatny pokój.

– Ty skurwysynu! – krzyknął policjant i wycelował w niego lufę swojego zdobycznego colta. – Co żeś jej zrobił, bydlaku?

– Jak to co? Uszczęśliwiłem, sprawiłem że stała się prawdziwą kobietą. Tylko człowiek ograniczony nie pojmuje, czym jest obcowanie z niewinnością, jaką rozkosz daje wejście do tego rajskiego ogrodu, nieskalanego przez nikogo innego. To jest jak poezja... Ale co ja też mówię i do kogo. Do jakiegoś prymitywnego policjanta, który nie tylko nie ma pojęcia o prawdziwym pięknie, ale nawet o ortografii i interpunkcji. A wracając do naszych spraw, panie policjancie, to proponowałbym panu dla jego własnego dobra zamknąć drzwi z drugiej strony.

– Ty popieprzony bydlaku! Ubieraj się, jesteś aresztowany!

– Zdaje się, że pan nie zrozumiał tego, co mu powiedziałem – stwierdził Gatner i odwrócił głowę w bok, jakby chciał dać do zrozumienia Gilowi, że rozmowę uważa za zakończoną. Policjant zamilkł wpatrzony w jego profil, a właściwie w jeden punkt na jego twarzy. Dopiero po chwili dotarło do niego, co widzi. Blizna na lewym policzku. Burszowska blizna. I naraz Gil poczuł coś dziwnego, co zaczęło dziać się w jego głowie. Jasne myśli pojawiły się nie wiedzieć skąd i naraz zaczęły układać się w klarowny obraz jak te kolorowe dziecięce klocki przedstawiające lokomotywę. Tyle że nie lokomotywę zobaczył, ale obraz trupa leżącego w śmieciach na Wielkiej, z twarzą naznaczoną podobną szramą. Notatkę Górskiego o spotkaniu z burszem. Tyle że Górski nie mógł spotkać się z burszem Langsdorffem, który już przecież nie żył. To jest więc ten pieprzony

bursz, którego namierzył. To z nim miał się spotkać w burdelu na Garbarach, a może tutaj, w tym miejscu...

– To tyś zabił Górskiego!

– Co? – zdziwił się Gatner.

– To twoja robota, szcurze. Tyś zabił porządnego człowieka, bo on wyszedł wszystkie twoje sprawy z dziećmi. On by ci nie odpuścił, dlatego żeś kazał go zabić. Ty kanalio!

Podniósł rewolwer i wycelował w głowę pułkownika.

– I tego Niemca Langsdorffa... To również twoja sprawa!

Gatner uśmiechnął się, próbując maskować zmieszanie.

– Żądam rozmowy z pańskim przełożonym. Proszę tu przyprowadzić jakiegoś oficera!

– Ja jestem oficerem. Aspirant Pikuła – odezwał się młody policjant zza pleców Gila.

Gil opuścił rewolwer. Miał szczerą ochotę wypalić w łeb temu bydlakowi, ale spokojny głos Pikuły sprawił, że emocje odeszły, dając miejsce racjonalnym myślom.

– A ja jestem pułkownik Teodor Gatner. Proszę się dobrze zastanowić, zanim popełni pan największy błąd w swoim życiu.

Aspirant spojrział na dziecko leżące na łóżku. Podeszedł bliżej, zdjął koc z krzesła i przykrył nim nagie ciało dziewczynki.

– Już się zastanowiłem, panie pułkowniku. Posterunkowy, zakujcie tego drania w kajdanki i zabrac go do więźniarki.

– I tak oto kariera aspiranta Pikuły w Policji Państwowej dobiegła końca. Głupie i nieprzemyślane decyzje mszczą się na głupcach, którzy je podejmują – stwierdził pułkownik.

– A jakby próbował ucieczki, możecie strzelać, posterunkowy. Jasne? – Pikuła nie miał wątpliwości.

– Tak jest, panie aspirancie. No dalej, ubieraj pan pory, bo z gołym futem nie będziesz pan po ulicy łąził! – Posterunkowy rzucił mu spodnie i koszulę.

Zgwałcona dziewczynka z trudem podniosła się z łóżka i podeszła do Gatnera. Stała przed nim i po chwili splunęła mu w twarz. Pułkownik zareagował błyskawicznie. Uderzył ją na odlew. Dziecko się przewróciło. Posterunkowy też był szybki. Nim Gil i Pikuła zdążyli

zareagować, chłopak złapał karabin za lufę i uderzył kolbą gwałciciela.

Pułkownik stracił przytomność i przynajmniej trzy zęby.

– Ręce do góry, zasrańcy! – zawołał ktoś od drzwi. Gil od razu rozpoznał ten głos. Należał do mężczyzny z białymi zębami, który skazał go na przebywanie w ciemnicy. Pomocnik Gatnera stał w drzwiach z pistoletem w dłoni. Naraz jego spojrzenie zsunęło się z Gila ku podłodze, na której leżał jego mocodawca.

– Panie pułkowniku! – krzyknął i w tym momencie popełnił błąd. Nie docenił wywiadowcy, który cały czas trzymał w prawej dłoni colta. Gil jak prawdziwy kowboj uniósł broń na wysokość biodra i pociągnął za spust. Huk wystrzału rozniósł się po pokoju niczym salwa armatnia. Mężczyzna zachwiał się, potem osunął na kolana, a po sekundzie padł na twarz. Kula wystrzelona z pistoletu Gila przebiła czoło i wyszła z drugiej strony czaszki, wbijając się w ścianę.

Gil spojrział na rewolwer, a potem na trupa.

– Ciekawe, że jak mierzyłem, to poszło wew framugę, a bez mierzenia prosto w łeb.

– Pan to strzela jak ten komboj z filmu, co się nazywa Broncho Billy – stwierdził z uznaniem posterunkowy.

Gil wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, kto to jest Broncho Billy. Nie miał w zwyczaju chodzić do kina. Zdecydowanie bardziej cenił sobie operę.

Godzina 12.50 w nocy

Na schodach zrobiło się całkiem cicho. Obie dziewczynki nasłuchiwały uważnie, ale od dłuższego czasu nic się nie działo. Słychać było tylko dźwięki wydawane przez patefon. Zabawa musiała trwać w najlepsze.

– Już sobie poszli? – zapytała Zosia.

– A niby skąd mam wiedzieć? Jak nie słychać tupania na schodach, to chyba sobie wszyscy gdzieś poszli. Powinniśmy spróbować wyjść.

– Może jeszcze trochę poczekać?

– A jak ktoś przyjdzie do wychodka się odlać, to co wtedy? Nie możemy siedzieć tu do końca świata. Jak jest droga wolna, to uciekamy.

– A jak brama będzie zamknięta? W mojej kamienicy bramę na noc się zamyka.

– Będziemy się martwić, jak będzie zamknięta. Ale nie martw się, coś wymyślimy. Idziemy! – zdecydowała Gabrysia. Zdjęła haczyk i ostrożnie otworzyła drzwi. Na półpiętrze było pusto. Powoli, krok za krokiem, zaczęły schodzić. Po chwili minęły drzwi mieszkania, z którego się wydostały. Przechodząc przy nich, obie wstrzymały oddech, bojąc się, żeby żaden dźwięk ich nie zdradził. Przyśpieszyły i zaraz znalazły się na samym dole. Drzwi prowadzące do bramy nie były zamknięte. Wyszły na zewnątrz, kierując się do wyjścia.

W solidnej drewnianej bramie były osadzone mniejsze drzwi. Gabrysia stanęła przed nimi i nacisnęła klamkę. Nie ustąpiły.

– *Sheiße!* – zakląła po niemiecku, tak jak zwykł to robić jej ojczym.
– Zamknięte.

– I co teraz?

– Idziemy na podwórko – zakomenderowała i od razu ruszyła w głąb bramy.

Wyszły na zewnątrz. Po prawej stronie była oficyna. Na wprost podwórko zamykała druga, trzypiętrowa oficyna. Natomiast po lewej stronie stały szopki z komórkami, które przyklejone były plecami do ceglanego ogrodzenia, oddzielającego dwie posesje. To była ich szansa.

– Musimy wejść na dach. – Gabrysia wskazała rząd szopek. – Jak już tam wejdziemy, to wtedy przeleziemy na drugie podwórko i fru!

– Ale jak się tam dostaniemy?

– Chodź, sprawdzimy.

– Żeby była jakaś drabka...

– Po drabinie to każdy głupi by wlaź.

Obeszły wszystkie komórki, ale drabiny nie znalazły. Była za to beczka na deszczówkę. Trzeba było tylko na nią się wdrapać.

– Ja cię podsadzę, a ty staniesz na krawędzi beczki i z niej się podciągniesz na daszek. Dasz se radę.

– Dobrze...

– A wy co tu robicie? – Usłyszały jakiś męski głos za sobą.

Obie stanęły w miejscu jak skamieniałe, tak jakby ten bezruch mógł spowodować, że staną się niewidzialne.

– No dalej, gadać mi tu zaraz, bo policję wezwę i pójdzieta siedzieć za złodziejstwo.

– A wy kto jesteście, że nas policją straszycie? – odpowiedziała hardo Gabrysia.

– Gównu ci do tego, smarkulo. Ja tu jestem najważniejszy, a nie jakieś małe złodziejki. Co, żeście chciały się włamać do komórek i pokraść klunkry?

– Zdzicho, co tam się dzieje? – zawołała przez okno jakaś kobieta.

– Złapałem złodziejki na kradzieży. Szopki chciały okraść.

– No to dawaj je tutaj. Zamkniemy je do rana, a potem polecisz po szkielełów. Niech je wsadzą. Tfu, dziadowskie nasienie. Pewnie Żydy albo Cygany!

Mężczyzna złapał każdą za rękę, a potem, szarpnąwszy, pociągnął za sobą. Poprowadził je do tylnej oficyny, do mieszkania na parterze. Jego żona zapaliła lampę naftową akurat w chwili, gdy wprowadzał dziewczynki do domu. Przepuściła ich w drzwiach, a potem zamknęła je na klucz. Mogła mieć pięćdziesiąt lat, ubrana była w koszulę nocną i czepek przykrywający włosy. Na ramiona narzuciła wełniany szal. Jej mąż też był w koszuli nocnej i butach założonych na gołe stopy. Oboje wyglądali raczej komicznie, a nie groźnie.

– A teraz gadać mi tu zaraz, co żeśta tam robiły na dworze? – zapytała kobieta.

– No jak co? On już powiedział, że żeśmy kradły – wyjaśniła Gabrysia.

– Nie kradłyśmy...

– Cicho, głupia – ofuknęła koleżankę. – Nie ma się co zapierać i trzeba gadać prawdę. Chciałyśmy co ukraść, ale wszystko było zamknięte i nam się nie udało.

– A jak żeśta tu przyszły? – pytała dalej.

– Przez mur, na daszek i na dół.

– Jak przez mur? Przecie on wysoki.

– Drabkę żeśmy postawiły.

– No ładnie. Spryციule. Widział żeś, Zdzicho, jakie spryციule? Po drabce przez mur.

– No prawda, Hela. Masz rację.

– A skąd żeście są?

– Z Poznania.

– A ja się pytam, skąd dokładnie?

– Z Jeżyc – wspomogła koleżankę Zosia.

– I z Jeżyc żeśta przylazły tu, żeby szkody narobić?

– Tak jest.

– A gdzie macie trzewiki?

– Po drugiej stronie muru zostały, bo chciałyśmy, żeby po cichu było.

– Widzisz, Zdzicho, jakie spryციule. Po cichu chciały.

– No, Hela. Masz rację. – Zdzicho pokiwał głową.

– Rano, jak już się widno zrobi, pójdiesz na posterunek policji i przyprowadzisz tu szkieła. Niech se je weźmie i do więzienia wsadzi. A teraz daj im koc, niech se za karę śpią na podłodze. I niczego mi tu w kuchni nie ruszać ani nie grzebać po szafkach, bo do jedzenia nic nie ma. Zrozumiano?

Obie skinęły głowami.

Gospodarz przyniósł im dwa grube wojskowe koce. Potem wyszedł bez słowa w ślad za żoną, która poszła do łóżka.

– Po coś mówiła, że my złodziejki? – W końcu mogła zapytać Zosia.

– Jak po co? Nie rozumiesz? Jutro przyjdzie tu policjant. To znaczy, że będziemy miały najlepszą ochronę i wszystko powiemy policji. Nikt już nam nie robi krzywdy.

Położyły się na jednym kocu, a drugim przykryły. W kuchni było przyjemnie ciepło od rozgrzanej westfalki. Podłoga i koce nie były tak wygodne, jak łóżka z siennikami, na których spały przez ostatnie dni, ale tu, w tym miejscu, obie czuły się o wiele lepiej. Były w końcu już prawie na wolności.

Godzina 7.30 rano

Poranna mgła leżała grubą warstwą na łące. Wiśniowy opel ze składaną, czarną budą stał zaparkowany przy poboczu drogi. Trzej policjanci przy aucie stanowili dość osobliwy widok. Jeden był przodownikiem polskiej Policji Państwowej, drugi ubrany był w zielony mundur policji niemieckiej, a trzeci miał na sobie cywilne ubranie i nakrycie głowy przypominające kapelusze z kowbojskich filmów. Zatrzymali się przed wjazdem do wsi Mościska, by pójść za potrzebą i zapalić. Niemiecki policjant przyjechał na umówione spotkanie służbowym autem. O takim wozie polski policjant Antoni Fischer mógł co najwyżej pomarzyć. Nasza policja nie była tak dobrze wyposażona jak ta niemiecka.

Miejscowy policjant Ludwik Bielawski ocenił, że nie muszą się śpieszyć. Pierwszy pociąg z Poznania przyjedzie do Chodzieży dopiero o 6.45. To oznaczało, że gdyby osoba, na którą czekają, przyjechała tym składem, to aby dotrzeć do Mościsk powozem, potrzebowała jeszcze przynajmniej godziny. Mieli więc sporo czasu, żeby domknąć swoją pułapkę. Byli pewni swego i przekonani, że nikt im się nie wymknie.

– I te muchy, wyobraź sobie, składają tam jajka, a z jajek wychodzą larwy, które żywią się tkanką. – Porucznik Carl Aschmutat postanowił podzielić się z kolegą świeżo nabytą wiedzą z zakresu kryminalistyki.

– Obrzydlistwo. – Fischer zmarszczył nos.

– No wiem. Widzieliśmy tych much we Francji miliony. Ale nikt z nas specjalnie im się nie przypatrywał. A szkoda, bo to cenne informacje, które mogą się przydać śledczym oficerom. Chłopie, wyobraź sobie, że jesteś na miejscu zbrodni, które zostało dokładnie wyczyszczone, ciało usunięte, a krew zmyta z podłogi. Zanim jednak ktoś wszystko wyczyści, do roboty biorą się muchy i piją tej krwi tyle, ile się da, a potem lecą na najwyższy punkt w pomieszczeniu, zazwyczaj żyrandol, siadają tam i pierwsze, co robią, jak już usiądą, to dotykają tymi swoimi trąbkami powierzchni, na której siadły. Tak jakby przykładały stempel. Przestępca nie pomyśli, że z lampy trzeba by też usunąć krew. A ty już wiesz, że lampę należy sprawdzić.

– Zapamiętam to, przyjacielu, i możesz być pewny, że będę teraz sprawdzał wszystkie lampy

- Nie żartuj sobie, Anthon. To poważna sprawa.
- Ależ ja jestem jak najbardziej poważny, Carl. Zaczynam oględziny od lamp i kinkietów.
- I bardzo dobrze zrobisz.
- Muchy to gównojady – stwierdził Bielawski, który jak każdy normalny człowiek nie przepadał za tymi owadami.
- A wiecie, czemu muchy gryzą? – zapytał Niemiec.
- Bo są głodne. – Przodownikowi przyszło na myśl najprostsze wytłumaczenie.
- To niby logiczne – stwierdził Fischer.
- Aschmutat uśmiechnął się tajemniczo.
- Gdy leżysz sobie na kanapie po południu i zasypiasz rozleniwiony po obiedzie, to wtedy zawsze znajdzie się jakaś natrętna cholera, która siada ci na twarzy i ugryzie.
- Prawda – zgodził się Bielawski. – Najlepiej na gębę chustkę położyć. Chustki nie przegryzą.
- Pomysł dobry, ale jak nie w twarz, to w rękę. Zawsze taka natrętna zołza się znajdzie... A wiecie, dlaczego takie nachalne? A no dlatego, że one, gryząc naszą skórę, sprawdzają, czy żyjemy. Bo jakbyśmy nie żyli, to zaraz zabrałyby się za składanie jaj.
- Może byśmy coś wypili? – zaproponował Fischer, który już miał dość słuchania o muchach. Zabrał ze sobą na spotkanie butelkę martela, który jemu i jego dawnemu przyjacielowi kojarzył się z wojennymi wspomnieniami. Wyciągnął piersiówkę, odkręcił zakrętkę i podał Carlowi.
- Jak za starych dobrych czasów – ucieszył się Aschmutat.
- Mieliśmy taki zwyczaj w okopach, że po powrocie z akcji wypijaliśmy po kubku koniaku. Z tych prostych aluminiowych garnuszków – wyjaśnił Fischer.
- Bielawski uśmiechnął się pod wąsem.
- Każdy powód jest dobry, żeby się napić – stwierdził przodownik, przyjmując flaszkę z rąk niemieckiego oficera.
- Naraz dobiegł do nich dźwięk samochodowego silnika. Auto widać było wyraźnie na końcu drogi. Jechało od Mościsk i zbliżało się dość szybko.
- Automobil jedzie – zauważył Bielawski.

– Zatrzymajcie go! – polecił Fischer.

– Tak zatrzymać bez powodu to raczej nie wolno, panie komisarzu. A jak to goście od pani dziedziczki?

– Zatrzymajcie, Bielawski. Jakby co to powód zawsze się znajdzie. Zatrzymujcie!

Bielawski wyszedł na środek jezdni i rozłożywszy obie ręce, zaczął nimi machać. Citroen zwolnił, a po chwili stanął tuż przed policjantem. Fischer podszedł bliżej. Ze zdumieniem zobaczył, że obok kierowcy siedzi jego dobra znajoma. Rozpoznawszy go, kobieta opuściła szybę.

– Antoni, czy zawsze urządzasz obławy na swoich przyjaciół?

– Ależ skąd. Nie urządzam obławy na ciebie. Sprawdzamy tylko wszystkie pojazdy. A nie widziałaś w Mościskach jakichś innych aut?

– Nie, nie widziałam. Zresztą nie miałam czasu się rozglądać. Wiesz, miałam tam swoje sprawy.

– Tak, oczywiście.

Wyjechała z hotelu wcześniej rano, jeszcze przed świtem. Jak mówiła, żegnając się czule z Fischerem, przyjechał po nią samochodem kierowca przysłany z majątku. Zapewniła Antoniego o swoim oddaniu i zobowiązała, żeby zaraz po powrocie do Poznania przyszedł do niej, nie zważając na porę. Obiecał, że pojawi się od razu. Zresztą na Matejki, adres z numerem domu na tej ulicy zapisała mu na kartce, nie miał daleko. To tylko trzy kroki z dworca, a i do niego, na Jeżyce, też było blisko...

– Panie komisarzu, tam z tyłu siedzą dzieciaki – szepnął mu do ucha Bielawski. Fischer spojrzął na tylną kanapę. Rzeczywiście, siedziały tam dwie jasnowłose dziewczynki.

– Dzieci? Co to za dzieci?

– Nie mówiłam ci... No cóż, teraz już wszystko jasne. Nic się nie da ukryć. Ale i po co ukrywać cokolwiek, Antoni. I tak byś się przecież dowiedział. To dzieci, prawda jest taka, że to moje dzieci...

– Nie mówiłaś.

– Nie mówiłam, bo za mało jeszcze słów do siebie wypowiedzieliśmy. Ale jeśli tylko będziesz chciał, będziemy mieli na to jeszcze sporo czasu. Czy chcesz, Antoni?

– Tak, no oczywiście... Khy... – chrząknął zakłopotany.

– To dobrze. Dziękuję ci. Jedziemy teraz do hotelu po moje rzeczy, a potem wracamy do domu. Jeśli chcesz wracać z nami, mogę na ciebie poczekać.

– Nie chciałbym cię kłopotać. Nie umiem powiedzieć, kiedy uwinę się tu ze wszystkim. Jedź, moja droga. Zobaczymy się w Poznaniu.

– Obiecujesz?

– Oczywiście. Najszybciej jak się da.

– Panie komisarzy, ale te dzieciaki...

– Nie zwracajcie głowy, przodownik. Wybacz, kochana. Jedź już, zanim mój podoficer nie zaaresztuje nas wszystkich.

– *Adieu!* – rzuciła, składając usta jak do pożegnalnego pocałunku, i auto ruszyło przed siebie. Fischer poczuł ciepło rozlewające się w okolicy serca.

– Czarująca osóbką. – Carl klepnął go w ramię. Czyżby to była przyszła pani Fischer?

– No, nie wiem... – stwierdził Antoni, który patrzył za znikającym w dali samochodem, zastanawiając się, czy pisane mu będzie spędzić resztę życia u jej boku. Miała, co prawda, dwoje dzieci, ale to jeszcze jej nie przekreślało jako dobrej partii. A dzieci, no cóż, można wychować jak swoje. To przecież nic wielkiego. Już jedną wychowanicę ma u siebie w domu, to dwie inne nie zrobią różnicy. Nawet będzie dzięki temu weselej...

– Panie komisarzy, melduję, że to chyba były te dzieciaki.

– Co?

– No te, co my je tam zostawili w domu, żeby po nie przyjechali. To mnie się zdaje były te dzieciaki...

– Niemożliwe. Te to córki rodzone pani Zuzanny Potockiej, mojej znajomej. Musicie ją znać. Ona chyba jest dziedziczką Mościsk.

– Ale gdzie tam. Dziedziczką jest pani Popielowa.

– No to może ja coś pomyliłem. Nie znacie tej kobiety? Ona tu przyjechała sprawy majątkowe załatwić. Pani Zuzanna Potocka. Jej mąż zginął na wojnie w siedemnastym roku...

Bielawski pokręcił głową.

– Tu u nas w okolicy żadnych Potockich nie ma i nie było.

– Niemożliwe, musicie się mylić – próbował przekonać policjanta, ale też nie chciał w ten sposób dopuścić do siebie strasznej prawdy.

Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

– Carl, jedziemy do Mościsk!

Niemiec wskoczył do samochodu i włączył silnik za pomocą automatycznego rozrusznika. Auto było gotowe do drogi. Fischer usiadł na tylnej kanapie, a przodownik Bielawski z przodu, jako przewodnik znający okolicę.

– Teraz prosto jedziemy – wskazał kierunek, a Aschmutat wyjechał z pobocza na bitą drogę.

Kilka minut później byli już we wsi.

– O, to ta chałupa na prawo, tam gdzie tyle ludzi – wskazał Bielawski. – Co oni tam robią?

– Fischer poczuł, że oblewa go zimny pot. Schrzaniał sprawę i dał się zwieść jak małe dziecko. Zuzanna Potocka to w istocie oszustka...

Samochód się zatrzymał. Trzej policjanci wyskoczyli ze środka na drogę. Tłum składający się z kilkunastu bab i jeszcze bardziej licznej gromadki dzieci rozstał się na widok mundurów. Przy rowie oddzielającym dom od drogi klęczała kobieta w czerwonej chustce na głowie. Na kolanach położyła zakrwawioną głowę mężczyzny, który leżał na wznak z zamkniętymi oczyma. Dwa metry od niego było drugie ciało.

– O Jezusie Nazareński, chłopca mi zabiły, o Jezusie, co ja teraz pocznę. Jezus Maria Józef, co ja teraz pocznę?!

– A żeby tę kurew chuj strzelił – zaklął głośno przodownik Bielawski. – Zabiła mi policjanta i jeszcze tego Kleszczyńskiego. Niech no ja tą kurwę dostanę w swoje ręce...

Policjant w przebraniu parobka poruszył ręką. Bielawski uklęknął przy nim.

– Jak Boga kocham, żyje! Mów co się stało!

Posterunkowy uśmiechnął się krzywo. – Melduję, że chciałem ją zatrzymać i zaaresztować... ale miała pistolet.

– Boże, com ja narobił najlepszego! Oszustka i morderczyni! – powiedział do siebie Fischer.

– Co mówisz? – zapytał go Carl, który nie znał polskiego.

– Jedziemy za nią!

– Co?

- Pokażesz, na co stać twoje auto? Dopadniemy ją!
- O, z największą przyjemnością. – Carl Aschmutat wyszczerzył zadowolony zęby. Lubił szybką jazdę, a ta zapowiadała się jak udział w samochodowym rajdzie w trudnych warunkach, bo polskie drogi znane były ze swojej fatalnej nawierzchni.

Godzina 7.45 rano

Ubrany po cywilnemu przodownik Karolak cieszył się, że nie musi od rana siedzieć za biurkiem i porządkować akt. Fischer wziął go do siebie niemal z ulicy, ale jak na razie nie dawał mu żadnej poważnej roboty. Dlatego sam sobie taką robotę wynalazł. Poprosił komisarza o zgodę na przypilnowanie we wtorkowy poranek, a kto wie może i cały dzień, warsztatu szewca Bartosika, czyli tego miejsca, gdzie zostawił do reperacji buty człowiek, który być może miał coś wspólnego z porwaniem Zosi Węgorkówny. Fischer nie miał nic przeciwko temu. Jednak na wszelki wypadek Karolak nie poszedł rano do swojego nowego miejsca pracy, żeby czasami nie natknąć się na przełożonego, który mógłby zmienić zadanie i kazać mu coś przepisywać. A on zdecydowanie wolał zająć się poważną sprawą. Dlatego ubrał się w swoje dawne zecerskie ubranie robocze i poszedł na ulicę Poznańską.

Szewc pozwolił mu usiąść na zapleczu, a sam, o dziwo, całkiem trzeźwy, zabrał się rażno do roboty. Minęło zaledwie pół godziny, gdy naraz policjant usłyszał, jak Bartosik zaczyna kaszleć. Nie było to zwyczajne odkaszlnięcie, ale atak kaszlu, tak jak się umówili. To miał być sygnał, że nadchodzi człowiek, na którego czekali.

Postawny mężczyzna z kiepsko przystrzyżoną brodą zapłacił za naprawę i od razu na miejscu zmienił buty na te zreperowane.

- A tych byś pan nie wziął w rozliczeniu? – zapytał z nadzieją, ale chyba niezbyt mocną, bo buty były bardzo kiepskie i żaden szewc nie dałby za nie złamanego grosza.

- Dej pan spokój. Kto by takie byle co chciał nosić na girach. Rzuć pan psu, może zeźre.

Mężczyzna wzruszył ramionami i wyszedł z zakładu. Karolak od razu ruszył za nim. Na szczęście podejrzany nie przyjechał tu dorożką. Poszedł dość szybko Kościelną i na przystanku przy Rynku Jeżyckim wsiadł w trójkę. Policjant zdążył wskoczyć na tylny pomost. Zielony tramwaj powiózł ich przez całe miasto do placu Bernardyńskiego. Tu mężczyzna wyszedł z wozu i skierował się w głąb Wielkich Garbar.

Policjant trzymał się cały czas blisko niego, ale w tłumie, jaki przemierzał tę wielką poznańską ulicę w jedną i drugą stronę, wykrycie ogona graniczyło niemal z cudem. Tym bardziej że śledzony przez niego człowiek nie czuł żadnego zagrożenia. Szedł dziarskim krokiem, zadowolony i pewny siebie. Przystanął na chwilę przed sklepem rzeźnickim i przez moment patrzył na wyłożone w oknie wędliny. Nie musiał stać w kolejce, bo ta jak zwykle stała za kiszczonką na zupę. Kilkanaście kobiet z kankami w dłoniach czekało cierpliwie, aż kiełbasy będą zaparzone, a woda zostanie sprzedana za grosze.

Mężczyzna podjął decyzję. Wszedł do środka i po chwili wyszedł z pętem kiełbasy i bułką w dłoni. Każdy szanujący się poznański rzeźnik sprzedawał bułki z najbliższej piekarni, bo wiadomo, że nie ma nic lepszego na przegryzkę jak bułka z kiełbasą. Piekarczycy dostarczali kosze świeżych kajzerek już od samego rana.

Policjant Karolak poczuł, że burczy mu w brzuchu. Też by zjadł sobie taką kiełbasę, ale był człowiekiem obowiązkowym i nie mógł sobie pozwolić na zgubienie śledzonego obiektu. Musiał ustalić wszystko na jego temat, gdzie mieszka, jak się nazywa, żeby zaraportować Fischerowi, a może, jak sam go przyciśnie, od razu wsadzić go do aresztu.

Naraz mężczyzna zniknął z pola widzenia. Nie przeszedł na drugą stronę ulicy i nie wszedł do sklepu konfekcyjnego. Jediną możliwość dawała brama.

Policjant przyspieszył kroku. Furtka osadzona w solidnych drewnianych wrotach właśnie się domykała. Chwycił kłamkę i pchnął ją. Wszedł do środka, nie zauważając nawet, że i on był pilnie śledzony. Przez całą drogę szedł za nim krok w krok, a potem jeszcze podjechał tramwajem rudy pies z podwórka na Poznańskiej.

Brama była na tyle duża, że spokojnie mógł przez nią na podwórko wjechać solidny wóz przeprowadzkowy. To tylko świadczyć mogło o zamożności właściciela kamienicy. Była wysoka, czteropiętrowa z dwoma dużymi oficynami. Przy tej wewnętrznej, położonej w najdalszej części podwórka, stał człowiek, którego śledził. Nie tylko on stał, ale jeszcze kilka innych osób i policjant w mundurze i w czapce z paskiem pod brodą. Widać, że poważnie traktował swoją służbę. Miał w dłoni notes i coś do niego wpisywał.

– To one, złapane na złodziejstwie w nocy. – Stróż wskazywał na dwie dziewczynki palcem.

– Prawdę gada. Komórki chciały obrobić, gówniary.

– Taki złodziejski pomiot to zaraz na szubienicę, bo nic z tego nie wyrośnie – radziła gruba kobieta z pierwszego piętra.

– Szkoda sznura, potopić by to jak kociaki. – Szczupła sześćdziesięciolatka z trzeciego była zwolenniczką bardzo radykalnych rozwiązań.

– A wy co tu robicie, małe cholery? Jazda mi na górę! – zawołał groźnie człowiek, który doprowadził tu Karolaka.

– Nigdzie nie pójdziemy! – zawołała wyższa z dwóch dziewczynek. – To jest ten bydlak, co mnie zaniósł, żeby mnie ten stary dziad poruchał, panie policjancie!

– Co? To wy pracujecie w burdelu na górze? – zapytał policjant, groźnie marszcząc brwi.

– Nas zamknęli w mieszkaniu na drugim piętrze, jak się wchodzi na górę, to na lewo, a na prawo, w tym drugim mieszkaniu, przyjmują panów, znaczy się jest tam ten burdel – wyjaśniła szybko Gabrysia.

– To one są od pani Wilhelminy – stwierdził stróż.

– Czyli że co? – Policjant próbował rozeznaczyć się w tutejszych zawiłościach.

– Pani Wilhelmina ma mieszkanie po lewo i ona sprząta i gotuje, i w ogóle wszystko robi dla madam Alouette, co przyjmuje u siebie panów. I u niej pracują jakieś posługaczki młode – tłumaczył mężczyzna.

– No właśnie! – ucieszył się śledzony przez wywiadowcę Karolaka mężczyzna, widocznie zadowolony, że nieporozumienie się wyjaśniło.

– On mnie porwał z ulicy! To on mi dał cukierki, a potem mnie wrzucił do dryndy.

– Co ona pierdoli, panie władzo? Ja to w ogóle ich nie znam. – Mężczyzna momentalnie zmienił front. Podniósł zaciśniętą pięść, jakby chciał nią uderzyć Zosię.

Pies wskoczył w tłum i szczekając głośno, podbiegł do swojej pani, odgradzając ją od niebezpieczeństwa.

– Rudy, kochany piesku, wiedziałam, że mnie znajdziesz!

Zdażyła pogłaskać go po głowie, ale on nie miał zamiaru dawać się pieścić. Usiadł tyłem do Zosi i warcząc cicho, obnażył swoje groźne kły. Cerber z burdelu odsunął się przestraszony.

– A przed chwilą mówiłeś, że mają iść na górę.

– Co? Że co? – Facet odwrócił się i zobaczył za sobą mężczyznę w poplamionym kombinezonie robociarskim. Taki ubiór nie był niczym dziwnym w tej okolicy. Dziwne jednak było to, że mężczyzna ów trzymał w dłoni rewolwer.

– Ręce do góry, jesteście aresztowani! Posterunkowy, obszukajcie go.

– A pan co za jeden?

– Przodownik Karolak z Dyrekcji Policji. Zdaje się, że mamy tu jednego z bandytów zajmujących się kidnappingiem.

– Czym? – Policjant nie zrozumiał.

– Porwaniami dzieci, by zmuszać je do prostytucji.

– To nieprawda! – próbował zaprzeczyć obwiniony.

– Prawda, pilnował nas i zamykał w pokoju! – zawołała Zosia.

– Posterunkowy, skujcie tego bydlaka. I zaraz lećcie na komisariat, żeby przysłali nam tu wsparcie. Będziemy przeszukiwać burdel.

– A ty jak się nazywasz? – zwrócił się do niższej dziewczynki tajniak.

– Zosia Węgorkówna, mieszkam na ulicy Poznańskiej.

– To ja właśnie ciebie, Zosiu, szukam po Poznaniu. Nic już ci nie grozi. A twoja koleżanka?

Zosia odwróciła się do stojącej za nią Gabrysi i chwyciła ją za rękę.

– To nie jest moja koleżanka. To jest moja siostra.

– Cholera, nie wiedziałem, że was dwie porwali. Mama nic nie meldowała.

– Bo mamusia jeszcze nie wie, że ma teraz dwie córki.

Wywiadowca wzruszył ramionami. Widać tej małej w głowie się pomieszało ze strachu. Trzeba, by ją obejrzał lekarz. Ale teraz, jak wrócą do domu, to przyjdą do siebie i oprzytomnieją. Najważniejsze, że wszystko się udało i może teraz komisarz Fischer uwolni go na stałe od tego biurka i da robotę w terenie. Bo może on i był dobrym zecerem, ale robotę na ulicy miał we krwi, jak każdy prawdziwy szkieł.

Godzina 10.35 przed południem

W dwie godziny dojechali do Poznania. Jednak nie udało im się dopaść auta, które jechało przed nimi. Fischer cały czas robił sobie wyrzuty. Gdyby nie jego chora fascynacja tą kobietą, dzieci byłyby już odzyskane, a przestępczyni zamknięta pod kluczem. Najgorsze było jednak to, że miał w sobie poczucie winy za śmierć tego mężczyzny w Mościskach i kto wie, może i tego młodego policjanta. Nie mógł zrozumieć, dlaczego był tak naiwny i wygadał tej oszustce, że rano robi obławę na handlarzy dziećmi. A ona wystrychnęła go na dudka. Pojechała przed nim, zabrała dzieci i grając mu na nosie, spokojnie się oddaliła. A on na to wszystko pozwolił.

To była istna diablica. Jeszcze teraz czuł się skołowany i jednocześnie podeksycytowany na wspomnienie tej szalonej nocy. Rzuciła na niego urok, nie ma dwóch zdań, to był najprawdziwszy urok, pod działaniem którego był nadal.

Tak naprawdę to nie wiedział, co teraz powinien zrobić. Mieli dopaść jadące przed nimi auto, ale się nie udało, mimo że Carl okazał się naprawdę wybornym kierowcą. Pędził przed siebie na złamanie karku, a samochód w jego pewnych rękach rozpędzał się miejscami, tam gdzie droga była prosta, nawet do stu kilometrów na godzinę. I co z tego, jeśli na przejeździe kolejowym pod Rogoźnem musieli się zatrzymać i stracili jakieś dwadzieścia minut.

Fischer chciał wymusić na dróżniku podniesienie szlabanu, bo na zdrowy rozum można było się przekonać, że pociąg nie nadjeżdżała. Ale kolejarz był twardy.

– Jak jest telefon z Budzyna, że jedzie bana, to się opuszcza i szlus. Nie ma gadki. Nie podniesę, choćby sam *teufel* mnie tu próbował przegadać...

No i stracili tu sporo czasu, a zielony citroen odjechał w siną dal i tyle go widzieli.

Naraz przyszedł Fischerowi do głowy pewien pomysł.

– Te francuskie samochody to chyba od niedawna produkują? – zapytał Carla, który był dość dobrze obeznany z motoryzacją.

– Z tego, co udało mi się o nich wyczytać w gazetach, to produkcja ruszyła po wojnie w dziewiętnastym roku.

Opel toczył się po brukowanym wjeździe do Poznania od strony Obornik. Tu droga była znacznie lepiej utrzymana, ale koła w zetknięciu z brukiem wydawały niezbyt przyjemny odgłos.

– To znaczy, że jest to stosunkowo nowe auto.

– Już rozumiem, o co ci chodzi. Citroenów w tym kolorze pewnie nie będzie jeszcze zbyt wiele. Jeśli rejestrujecie je na policji...

– Oczywiście, każde auto musi być rejestrowane w naszym urzędzie. One podlegają mobilizacji podobnie jak ludzie. W razie wojny przestają być prywatną własnością.

Przejechali drogą wzdłuż Cytadeli, odbili w Solną, by po chwili skrócić w Libelta. Aschmutat nie znał Poznania, więc Fischer był przewodnikiem.

– O, a tu z prawej jest szpital wojskowy – Wskazał ponurą bryłę przysadzistego budynku. – A teraz przez ten plac i już jesteśmy pod Prezydium Policji. Zaparkuj tu, po lewej. – Zatrzymali się na chodniku przed Esplanadą.

– A wpuszczą mnie do tego budynku policji?

– No a jakże. Przecież jesteś w policyjnym mundurze. – Klepnął przyjaciela w plecy i wyskoczył na chodnik.

Mundur Carla wywołał rzeczywiście spore poruszenie na korytarzach Dyrekcji Policji. Ostatni raz bowiem ludzi w takich uniformach widziano tu w dziewiętnastym roku. Antoni prowadził gościa do swojego pokoju, jednak nie doszedł nawet do pierwszego piętra. Na schodach natknął się na uśmiechniętego od ucha do ucha wywiadowcę Gila.

– Panie komisarzy, wszyscy o pana pytają, a pan chyba za granicę pojechał – stwierdził, spoglądając na stojącego obok szefa niemieckiego policjanta.

– To mój przyjaciel ze Schneidemühl, Carl Aschmutat...

– Bardzo mi miło. A tu się dzieje od nocy tyle, że pan sobie nawet nie wyobraża.

– Mów pan, panie Gil, szybko, bo nie mam czasu.

– Dziś w nocy wraz z aspirantem Pikułą zamknęliśmy pułkownika Gatnera, którego żeśmy złapali zaraz potem, jak zgwałcił małą dziewczynkę.

– O Boże! Co pan powiesz?

– Prawda jest taka, że Gatner siedzi i już nawet był u niego prokurator. Dowody są niezbite. Jego ludzie już się przyznali i zaczęli sypać. Opowiedzieli o bandzie, która kupowała i porywała małe dziewczynki do zabawy dla takich zwyrodnialców jak ten Gatner. I mamy tych bandziorów pod kluczem. Nie ma jeszcze tylko jednej osoby, współniczki pułkownika, niejkiej pani Geislerowej, ale to kwestia czasu. Wpadnie w nasze ręce prędzej czy później...

Zamilkł, widząc, jak oczy Fischera rozszerzają się w niemym zdumieniu.

– Jak wygląda ta Geislerowa? – zapytał, ostrożnie wypowiadając każde słowo.

– Bardzo ładna, drobna blondynka, piersi kształtne i tyłek również zaokrąglony, nie taki jak deska, ale jędrny i w ogóle.

– Jasna cholera... Ależ ze mnie idiota!

– Że niby jak?

– Nieważne. Gdzie mieli ten swój burdel?

– Na Zwierzynieckiej, ostatni dom po lewej.

– Ona właśnie wróciła z Chodzieży. Pewnie tam pojedzie. Nie ma pojęcia, że był tam nalot. Ktoś tam został w środku z naszych?

– A po co, panie komisarzy? Wszystko my przepatrzyli, dziewczynki i klientelę się zgarnęło, ale porządnych gości my zaraz wypuścili, żeby ambarasu nie narobić.

– Ona może tam być. Panie Gil, jedziemy. Carl, chodź, to niedaleko.

Opel ruszył z piskiem opon w kierunku biblioteki przy Ratajczaka, mało nie rozjeżdżając żywej reklamy w kształcie tubki pasty do

butów Dobrolin. Zamknięty w jej wnętrzu mężczyzna pomachał pięścią w kierunku auta, ale żadna z osób siedzących w środku nie zwróciła na niego uwagi. Samochód wjechał w szeroką ulicę Święty Marcin, minął rząd dorożek stojących jak zwykle pod Dykertem i pognał w kierunku mostu Uniwersyteckiego.

Pięć minut później auto stanęło pod murem zoo, tuż przy innym samochodzie, zielonym citroenie, który zaparkowano przy samym chodniku.

– To jest samochód należący do Gatnera – stwierdził Gil, przyglądając się zielonej karoserii.

– Skąd pan wie? – zdziwił się Fischer.

Gil wzruszył ramionami.

– Sprawdziłem to na wszelki wypadek. Tylko on ma w mieście citroena w takim kolorze.

– Panowie, wchodzimy, nie ma czasu na gadanie – ponaglił ich Fischer. – Ona musi być w środku. Pan, panie Gil, zostaje przy wyjściu na ulicę, ty, Carl, pilnuj podwórka. Ona nie może nam uciec. Ja wchodzę do środka.

Drzwi nie były zamknięte. Pociągnął za klamkę i ustąpiły. Z rewolwerem w dłoni ruszył długim korytarzem. Na jego końcu było jasno. Dienne światło musiało wpadać przez okno.

– Nie ma czasu, idziemy stąd! – natychmiast rozpoznał jej głos. Mówiła do kogoś wzburzona. – Tylko zabiorę parę rzeczy i już nas nie ma. A wy bądźcie grzeczne, bo inaczej oddam was do rzeźni miejskiej na kotlety!

– A dokąd to się pani wybiera? – zapytał, stając w drzwiach prowadzących do dużego salonu. Na stole, przy którym stała, leżała niewielka walizka. Pakowała do niej jakieś pudełka. Dojrzał dziurę w podłodze i przy niej kilka odrzuconych na bok drewnianych klepek. Najwyraźniej zabierała ze sobą jakieś ukryte bogactwa.

Na kanapie siedziały dwie dziewczynki. Spojrzał na nie, a gdy jego wzrok wrócił do niej, Zuzanna Geisler trzymała w dłoni niewielki pistolet.

Fischer usłyszał jakiś szmer z tyłu. Odwrócił się za siebie. Za nim stali Gil i Aschmutat. Widać znudziło im się pilnowanie wyjść i postanowili sprawdzić, co się dzieje w środku.

– Poczekajcie chwilę. Porozmawiam z nią. – Spojrzał na kobietę. Ta nadal celowała w niego.

– Zabierz dzieci! – Carl wskazał na kanapę.

– Nie rób nic głupiego – powiedział Fischer, patrząc na nią. – Tylko wyprowadzę dziewczynki. Nie chcesz chyba, żeby im się stała jaka krzywda. Mogę je zabrać?

Lekko skinęła głową. Antoni wszedł do środka pewnym krokiem.

– Chodźcie ze mną – powiedział po niemiecku, uśmiechając się lekko, a potem chwycił je delikatnie za ręce. Geislerowa przez cały czas trzymała go na muszce.

– Idźcie tam. – Wskazał na drzwi. Tam czekają na was panowie, którzy się wami zaopiekują. Nie bójcie się. Nikt już wam nie zrobi więcej krzywdy.

Gdy zniknęły w korytarzu, poczekał jeszcze chwilę, żeby upewnić się, że są bezpieczne. Gdy przyjaciel pomachał do niego, wrócił do pokoju.

– Zuzanna Geisler, tak?

– Już wiesz? Zresztą cóż za różnica? Dla mnie i tak wszystko skończone.

– To prawda, to koniec. Nawet twój współnik ci nie pomoże. Gatner już siedzi. On też jest skończony.

Uśmiechnęła się.

– Ha, ha, ha! Antoni, ty naprawdę jesteś naiwny. Nic mu nie zrobicie. Nawet jeśli go wsadziliście do aresztu, to jeszcze dzisiaj, najdalej jutro wyjdzie na wolność. Myślisz, że jego koledzy i partyjni przyjaciele dadzą mu pójść na dno? Cóż, że lubuje się w młodych panienkach. Najważniejsze, że jest swój. Że to ich brat, a do tego jeszcze Polak i żarliwy katolik, który co niedziela leży krzyżem w kościele. Tacy zawsze płyną z prądem. Może raz wolniej, raz szybciej, a niekiedy nawet się zatrzymują. Ale jednego możesz być pewien, pan Gatner prędzej czy później znowu wypłynie. Tylko dla mnie nie ma żadnej nadziei. Muszę odejść...

– Oddaj mi pistolet i chodź ze mną.

– Po co mam iść? Żeby spędzić najlepsze lata życia w więzieniu? Mam siedzieć za kratą i myśleć o tym, jak bardzo cię... Kocham.

– Po co mi opowiadasz takie bajki?

– To nie żadne bajki. To szczerą prawdą. Gdybym nie straciła dla ciebie głowy, wszystko byłoby inaczej. Pojawiłeś się w moim życiu na moją zgubę...

– Nie kłam!

– Nie kłamię, najdroższy!

Położyła pistolet na stole i podeszła szybko do Fischera. Chciał się odsunąć, ale chwyciła go mocno w pasie i przywarła głową do jego piersi.

– Dla mnie już nie ma życia, Antoni. Proszę cię o tę jedną rzecz. Daj mi chwilę. Proszę. Daj mi to skończyć... Daj mi skończyć wszystko w godny sposób. Zrób to, proszę, dla mnie, dla naszej... miłości.

Fischer spojrzał w jej zbolące oczy, a potem na ten niewielki pistolet. Wiedział, że nie potrafi jej odmówić.

– Dobrze...

Wypuściła go z objęć i wzięła z powrotem pistolet w drżącą dłoń.

– Dziękuję ci, kochany. *Adieu!*

Wyszedł na korytarz, ocierając ukradkiem łzę z policzka. Zapomniał jednak natychmiast o swoim wzruszeniu, gdy zobaczył Gila stojącego na środku podwórka z rewolwerem w dłoni. Wywiadowca wciskał lufę w cherlawą pierś jakiegoś niezbyt dobrze odzianego jegomościa w średnim wieku.

– Gil, co to jest?

– A to jest właśnie, panie komisarzu, Bazyli Koziółek, sutener pierdolony.

– No i co?

– No i wylazł właśnie zez drzwi i prosto na mnie tu.

– No ale co z tego.

– On tu mieszka, panie komisarzu. Musi wszystko wiedzieć.

– Ja nic nie wiem. Ja właśnie wyszedłem z ciupy. Nic nie wiem. – Koziółek jak zwykle miał pecha. Zdążył wyjść z policyjnego aresztu, upić się z tej okazji i od razu wpadł w łapy Gila.

– Zatrzyma się go do wyjaśnienia, panie komisarzu – stwierdził Gil, zakładając Koziółkowi kajdanki.

– A gdzie Carl? – zapytał Fischer, który już przestał interesować się Koziółkiem.

– Poszedł zaprowadzić dziewczynki do auta... – A co z tą cholera? – zapytał wywiadowca. – Przykuł ją pan do stołu? Bo to, panie, cwana sztuka!

– Poprosiła, żebym pozwolił jej... się spakować.

– Co? I pan jej pozwolił? Przecie ona to oszustka! – Gil nie mógł się nadziwić.

Naraz rozległ się strzał. Fischer spuścił głowę.

– Prosiła, żebym dał jej szansę odejść z godnością – powiedział cicho, czując, jak wzruszenie chwyta go za gardło.

– I pan jej uwierzył? He, he, he! – Gil z niedowierzaniem pokręcił głową. – Idź pan zobaczyć trupa, zanim się całkowicie ulotni.

– Co...? – Naraz do komisarza dotarł sens słów wywiadowcy. Zawrócił do kamienicy i po chwili był z powrotem w pokoju, w którym zostawił Zuzannę. Po pani Geisler vel Potockiej nie było śladu. Tylko firanka poruszana przeciągiem powiewała w otwartym oknie.

Podbiegł tam i wyjrzał na zewnątrz. Na chodniku, koło zielonego citroena, leżała niewielka walizka. Obok z pistoletem w dłoni stał Carl Aschmutat. Spoglądał w dół, na leżące u jego stóp drobne ciało kobiety, której Antoni Fischer zaufał dwa razy. O dwa razy za dużo.

Epilog

Wtorek

11 kwietnia

Godzina 11.20 wieczorem

– Jeszcze w osiemnastym roku poszedłem do szkoły policyjnej w Berlinie, a potem zaraz skierowano mnie do tej dziury.

– Jakiej dziury?

– No tej, w której teraz mieszkam, Schneidemühl. Prawdziwa dziura. Nic tam nie ma, tylko rynek i kilka ulic na krzyż, a wokół lasy.

– Przynajmniej powietrze świeże. Nie to, co w dużym mieście. Tutaj człowiek chodzi z butami uwalanymi w końskim gównie, po ulicach spływa gnojówka z latryn, a w każdej bramie śmierdzi szczynami. Ale to jeszcze nic. Gdy się zaczyna robić zimno, w mieście robi się szaro od dymów wydobywających się z pieców, bo ludzie z biedy palą wszystkim, czym się da. Wszystko, co nadaje się do spalenia, wędruje do palenisk, bo na czysty węgiel mało kogo stać. Powiadam ci, w takie dni, kiedy nie ma wiatru i powietrze stoi, aż strach wyjść na ulicę, bo nie ma czym oddychać.

– E, u nas powietrze wcale nie takie dobre. Wszędzie wody i mokradła i te lasy... A w dużym mieście jak wyjdiesz, to przynajmniej masz dokąd iść – stwierdził Carl, uśmiechając się do przyjaciela. Powinien wyjechać już wczoraj, ale Antoni w ogóle nie chciał o tym słyszeć. Zresztą jego siostra też była stanowcza.

– Nie wypuścimy pana, Carl, dopóki nie opowie nam pan wszystkiego o sobie. Pan musi wiedzieć, że każda wojenna

wspominka Antoniego zawsze jest opowieścią o panu.

– To prawda – poparła ją Greta. – Wujcio stale pana wspomina. Musimy przecież sprawdzić, czy jest pan rzeczywiście taki dzielny, jak nam opowiadał.

– Ciekawe, jak to sprawdzisz? – Antoni spojrział na przybraną siostrzenicę z pobłażliwym uśmiechem.

– Ależ to bardzo proste. Wystarczy tylko skonfrontować twoje opowieści z opowieściami pana Carla. Choćby o tym waszym koniaku i aluminiowych kubkach. Bo wujcio do dziś, jak ma kiepski humor, nalewa sobie martela do tego poobijanego wojskowego kubka i nie chce słyszeć o kieliszku.

– No proszę, to tu akurat mamy podobne przyzwyczajenia. I mnie martel z kieliszka nie smakuje. Ten smak musi się łączyć z żołnierskim naczyniem.

– Może więc powinno się wam jeszcze do koniaku dosypać ziemi, żebyście poczuli się jak na froncie? – zażartowała Anna.

– Ażebyś wiedziała, że to dobry pomysł. – Fischer zadowolony z żartu klepnął się w kolano. – Co o tym sądzisz, Carl? Grecik, idź no do tej doniczki i przynieś nam trochę ziemi. – Wskazał na stojącą na parapecie okiennym aspidistrę.

Obie kobiety spojrzały na Antoniego jak na wariata. Greta wstała posłusznie, zastanawiając się, czy przypadkiem to nie kolejny żart, który ma na celu wystrychnąć ją na dudka. Jednak po tym, czego się dowiedziała od Antoniego o uratowaniu jej koleżanki Zosi i dodatkowo jeszcze jednej dziewczynki, zrobiłaby dla niego wszystko, czego by tylko zażądał. Mogła mu nawet pozwolić zjeść tę ziemię z doniczką i tym kwiatem. Uśmiech na jego wąsatej twarzy uświadomił jej jednak, że nie zamierzają jeść ziemi. Sam koniak wystarczy.

– Jak wujcio następnym razem będzie chciał zjeść co głupiego, to proszę prosić Karolkę, żeby przygotowała. Ja już nic nosić nie będę – stwierdziła, udając nadąsaną. Ale nie mogła się na niego długo gniewać.

– Czy panna przyjmie przeprosiny? – Chwycił ją za warkocz i lekko szarpnął.

– Auu! – zawołała, ale dąs zniknął z twarzy. – Jeden pocałunek załatwi sprawę. – Podsunęła mu drobną dłoń pod nos. Chwycił ją i pocałował. Greta objęła go za szyję i cmoknęła w czoło.

– Jak to dobrze, że udało się Zosię odnaleźć. Dziękuję, wujciu. Jutro do niej pójdę. Muszę się z nią koniecznie zobaczyć...

– Pójdziemy razem. Muszę z nią porozmawiać. Myślę, że już doszła do siebie po tych przeżyciach.

– Antoni, ja nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby Greta...

– Ależ, Anno, to przecież dzięki niej podjęliśmy śledztwo. To, że nam się powiodło, to jej zasługa. Musi się przecież zobaczyć z koleżanką.

– Porozmawiamy o tym jutro – stwierdziła Anna, wstając od stołu.

– Na nas już czas, bo pora późna. A panowie, jak się domyślam, mają jeszcze sporo do obgadania.

– Rzeczywiście. Trochę jeszcze posiedzimy – stwierdził Antoni, wstając. Carl uczynił to samo.

Pożegnawszy się z paniami, poszli do biblioteki. Na małym, okrągłym stoliku, pomiędzy dwoma wygodnymi, klubowymi fotelami, stała butelka martela i dwa aluminiowe kubki. Gospodarz otworzył koniak i rozlał do garnuszków.

– Ilekroć to piję, zawsze wracam tam myślami – stwierdził Carl, usadowiwszy się wygodnie.

– Smak, tak jak i zapach, wiąże się nierozzerwalnie ze wspomnieniami. Ciekawe, że martel każe nam wracać do okopów, a zapach gówna z nich uciekać.

– Mam nadzieję, że nigdy już nie będziemy musieli przeżywać tego koszmaru.

– Ludzie chyba zmądrzeli trochę po tej hekatombie – stwierdził Fischer, który miał taką nadzieję, lecz widział również wyraźnie, że tak naprawdę wojna nadal wisi w powietrzu, a jeśli dojdzie do porozumienia bolszewicko-niemieckiego, jest bardziej możliwa niż jeszcze pół roku temu. No ale nie mógł powiedzieć przyjacielowi o tym, że polski wywiad już zbiera informacje na temat niemieckich zbrojeń, a wykradziona z fabryki Kruppa dokumentacja nowoczesnej armaty, która leży w sejfie Poznańskiego Zrzeszenia Kółek Rolnych i Gospodarskich, jest na to najlepszym dowodem. Nie mógł mu

powiedzieć o tym, że jego kolega, przeniesiony do rezerwy kapitan Feliks Mikołajewski, tworzy siatkę szpiegowską w Berlinie, w której już działa kilku byłych poznaniaków, Niemców, którzy wyjechali po powstaniu z Poznania i teraz pracują w stolicy Rzeszy na ważnych urzędach. Nie mógł mu powiedzieć, że sam jest współpracownikiem polskiego kontrwywiadu i od trzech lat, działając w policji, rozpracowuje niemiecką agenturę w Poznaniu i Wielkopolsce. Ale czy to w tej chwili ma jakieś znaczenie, myślał, wpatrując się w bursztynowy płyn w aluminiowym kubku. Teraz trzeba się cieszyć chwilą i obecnością człowieka, który uratował mu dwukrotnie życie.

– Tutaj, w Posen, masz teatry, operę – ciągnął przerwana wcześniej myśl Carl. – A tam u mnie żadnych atrakcji. No chyba że za taką uznać targ konny, który trzy razy w tygodniu odbywa się na wielkim placu, koło dworca kolejowego. Słyszałem nawet, że jest koncepcja, aby na tym placu zbudować teatr miejski. Tylko kto do niego będzie chodził? Może ci chłopci, co przyjeżdżają na ten targ? Nie, Anthon, tak się nie da żyć. Muszę się stamtąd gdzieś wynieść. Chciałbym do Berlina, ale wiesz, trzeba by się czymś wykazać.

– No to teraz się właśnie wykażesz. Wsadziłeś mordercę kobiety i jednocześnie człowieka, który sprzedał własne dzieci. Nie dość, że masz go pod kluczem, to jeszcze wrócisz do siebie w glorii i chwale bohatera, przywożąc sprzedane dziewczynki.

– Myślisz? – Carlowi najwyraźniej zaświeciły się oczy. – Może masz rację. Choć mój szef, radca policyjny Gebhard, wcale nie jest skory do rozdawania zaszczytów.

– Carl, on może i nie być chętny do pogłaskania cię po głowie. Ale ważniejszym jest, co powie o tym publiczna opinia.

– A co ona może wiedzieć? Przecie to sprawy tajne, o których się opinii nie mówi.

– Opinia dowie się z prasy.

– Jak to?

– Wiesz przecież, jak to jest z pismakami. Oni wymieniają się informacjami i ciekawe wiadomości przelatują ponad granicami szybciej niż ptaki. Do miejscowej gazety może zatelefonować jutro ktoś, kto ze szczegółami opowie im o brawurowej akcji policji polskiej i niemieckiej, która doprowadziła do odzyskania

uprowadzonych dziewczynek. No i oczywiście o chwalebnej roli pewnego policjanta ze Schneidemühl, który w pogoni za porywaczami rzucił się do Poznania i wyrwał je z mrocznej jaskini bandy porywaczy...

– No nie wiem. – Aschmutat pokręcił głową. – W moim sennym miasteczku mało kto zainteresuje się taką informacją. Czasami mam wrażenie, że tam ludzie, jeśli nawet czytają, to robią to wolniej niż gdzie indziej. Jak to na pograniczu, drogi przyjacielu. Tam nawet ptaki zawracają...

„Pommersche Grenzland Zeitung”

Środa 12 kwietnia

Banda polskich kidnaperów rozbita w Posen

Jak udało się dowiedzieć dzięki naszym specjalnym źródłom, nie tylko tu, na miejscu, ale również w Polsce, historia, którą już opisywaliśmy na naszych łamach, znalazła swój szczęśliwy koniec. Porucznik Policji Kryminalnej z naszego Miasta Carl Aschmutat, dowiedziawszy się, że dziewczynki sprzedane przez ojca potwora i pijaka zostały przewiezione przez porywaczy do Posen, nie zamierzał odłożyć sprawy ad acta. Nasz dzielny funkcjonariusz na osobiste polecenie swojego dowódcy, nadradcy policyjnego p. Josepha Gebharda, zabrawszy policyjny samochód, pojechał do Polski, by odzyskać owe dziewczynki. Na szczęście dla śledztwa spotkał się tam z życzliwym przyjęciem w miejscowej policji, w której podkomisarzem jest p. Anthon Fischer, były porucznik armii JCM, dwukrotnie odznaczony Żelaznym Krzyżem za odwagę na polu walki i jednocześnie frontowy druh naszego policjanta p. Aschmutata, a jak wiadomo przyjaźń przypieczętowana krwią wojenną zobowiązuje na całe życie. Porucznik Aschmutat przekazał swojemu druhowi wszelkie informacje o dziewczynkach, a ten wskazał miejsce, w którym dzieci mogły być przetrzymywane.

Obaj policjanci wkroczyli z bronią w rękę do jaskini rozpusty, do której właśnie przywieziono dziewczynki. Na szczęście

bandycka szajka nie zdążyła ich skrzywdzić. Uzbrojeni po zęby bandyci zostali złapani na gorącym uczynku, a przywódczyni szajki została na miejscu zastrzelona przez naszego bohatera. Dziś obie uratowane dziewczynki wracają do domu przywiezione przez bohaterskiego por. p. Carla Aschmutata.

A my, mieszkańcy naszego miasta, powinniśmy radować się niezmiernie, że nad bezpieczeństwem naszych mieszkańców czuwa policjant, który dla naszych dzieci zdolny jest do najwyższych poświęceń. Zwrócić należy również uwagę na fakt, że w polskiej policji zdarzają się ludzie o najwyższych kwalifikacjach policyjnych, tacy jak komisarz p. Anthon Fischer, niemiecki oficer, który podczas wojny wykazał się nadzwyczajną odwagą w obliczu wroga. Znamiennym jest więc fakt, że najlepszymi fachowcami wśród polskiego żywiołu są Niemcy, którzy nie porzucili swojego Heimatu i nadal trwają na posterunku w zawsze niemieckim mieście Posen.

Gdy w środę przed południem samochód prowadzony pewną ręką Carla wjechał na Saarlandstraße, policjant ze zdziwieniem dostrzegł, przed wzniesionym z czerwonej cegły trzypiętrowym budynkiem komisariatu policji tłum ludzi, którzy zajmowali nie tylko chodnik, ale stali również na brukowanej ulicy. Na widok policyjnego auta zaczęli coś wykrzykiwać i machać w jego kierunku. W pierwszej chwili chciał zatrzymać automobil i odjechać, by z bezpiecznej odległości sprawdzić, co się dzieje. Nie mógł przecież wystawiać na niebezpieczeństwo dwóch wiezionych na tylnej kanapie dziewczynek, które po strasznych przeżyciach wracały do domu. Do domu, ale jakiego domu? Kto się nimi tu zajmie? zdążył jeszcze pomyśleć, gdy naraz usłyszał skoczne rytmy *Marsza Kirasjerów*. Teraz dostrzegł paradne mundury strażackiej orkiestry i połyskujące w słońcu blachy trąb, puzonów i talerzy. Podjechał wolno pod drzwi komisariatu, a tłum rozstał się przed nim jak morskie fale, rozcinane ostrym dziobem statku.

Gdy tylko auto zatrzymało się, do drzwi od strony kierowcy podszedł uśmiechnięty od ucha do ucha, okrągłolicy i jak zawsze spocony nadradca Gebhard, ubrany w dwurzędową marynarkę,

zapiętą na wielkim brzuchu na wszystkie guziki. W dłoni trzymał „Pommersche Grenzland Zeitung”, którym wymachiwał w takt wojskowego marsza. Gdy Aschmutat wysiadł z auta, jego szef chwycił go w ramiona i ucałował z dubeltówki.

– A oto i nasz bohater! – zawołał, a ludzie zaczęli klaskać i wivatować. – A dzieci, gdzie są nasze dzieci? – zawołał ktoś z tłumu.

Carl spojrzął za siebie, gdzie na tylnej kanapie tuliły się do siebie dwie przestraszone dziewczynki. Nachylił się do nich i uśmiechnął ciepło.

– Nic się nie bójcie, kochane. Ta orkiestra to na waszą cześć. Tak się ludzie cieszą, że wróciłyście do domu.

– A nasz tatko też się cieszy? – zapytała starsza, Elza, ładna blondynka o niebieskich oczach. Policjant wzruszył ramionami. Na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć.

„Kurier Poznański”

Piątek 14 kwietnia

Wykrycie sprawców tajemniczego morderstwa

Jak już wcześniej donosiliśmy, w środę 5 kwietnia w zaułku przy ulicy Wielkiej znaleziono zwłoki mężczyzny, który widocznie padł ofiarą skrytobójstwa. Dzięki sprawności naszej policji kryminalnej została zbrodnia wyjaśniona wcześniej, niż się spodziewano. Główną zasługę w wyświeceniu zbrodni ma podkomisarz Antoni Fischer, kierownik ekspozytury policji śledczej, który nie spoczął dopóty, dopóki zbrodnia nie została wyjaśniona we wszystkich szczegółach.

W trakcie śledztwa okazało się, że zamordowanym jest obywatel niemiecki Heinz Joseph Langsdorff, który przebywał w Poznaniu służbowo w interesach. Niemiec został obrabowany nie tylko z pieniędzy, ale także z garderoby.

Na trop bandytów wpadł początkowo wywiadowca Alfred Górski z komisariatu przy Alejach Marcinkowskiego. Udało mu się należycie wytypować bandytów i rozpoznać ich. Raport w tej

sprawie miał złożyć na ręce podkomisarza Fischera rano w poniedziałek 10 kwietnia. Nie zdążył jednak, gdyż został zamordowany skrytobójczo za pomocą bagnetu. W taki sam sposób jak zamordowano Niemca Langsdorffa.

Śledztwo wziął w swoje ręce sam podkomisarz p. Fischer, który powziąwszy informacje na temat możliwych sprawców, zarządził obławę w domu schadzek przy ulicy Zwierzynieckiej, gdzie policjanci zastali dwóch podejrzanych, z których jeden dodatkowo był ranny w nogę. Jak się później okazało, rana pochodziła z pistoletu, którym zaatakowany Niemiec postrzelił napastnika, ale to mu nic nie dało, bo drugi z bandytów zabił go bagnetem. Dowodem łączącym obie sprawy, który ostatecznie przekonał podkomisarza p. Fischera do ich winy, był sposób użycia bagnetu, który nie dość, że został wbity w ciało ofiary, to jeszcze dodatkowo przekręcony w trzewiach na wojskowy sposób, by zadać dotkliwszą i śmiertelną ranę. Obaj aresztowani mordercy byli bowiem wcześniej w wojsku, a obecnie jako byli wojskowi przeniesieni byli do rezerwy.

Okazało się dodatkowo, że ów gang niegodziwców tego samego dnia, 10 kwietnia w poniedziałek, próbował zamordować jeszcze jedną osobę, szanowanego urzędnika, zapewne w celach rabunkowych, a ciała zamierzali się pozbyć w budowlanym wykopie. Nie udało im się to dzięki dzielnej postawie dwóch młodzieńców: Zenona Brodziaka i Krystiana Kaźmierczaka, którzy natrafiwszy na ciało, natychmiast zawiadomili policję, ratując w ten sposób życie owego urzędnika, który jak się okazało później, zraniony kulą żywy był jeszcze i potrzebował pilnie pomocy. Dzięki tym dzielnym młodym ludziom człowiek ten wraca w chwili obecnej do zdrowia.

W ten oto sposób sprawiedliwość jeszcze raz zatryumfowała, a śmierć policjanta na służbie nie poszła na marne, bo groźni bandyci zostali pochyceni i się już przyznali do swoich uczynków, za co wkrótce staną przed sądem. Ich herszt zginął, trafiony policyjną kulą. Mamy nadzieję, że obu złoczyńcom sąd wymierzy karę odpowiednio surową wobec ogromu ich zbrodni

i dzięki temu bandyci, tacy jak ci dwaj, nie będą już zagrażać spokojnym mieszkańcom Poznania.

A podkomisarzowi p. Antoniemu Fischerowi należą się słowa szczególnego uznania i oczekiwanie, że wkrótce ten dzielny policjant uzyska wreszcie należne mu za świetną służbę komisarzskie dystynkcje.

„Kurier Poznański”

Czwartek 20 kwietnia

Fantazja i rzeczywistość

Dziś rano nadeszły wiadomości dokładne o podpisanym w Rapallo traktacie między Rathenauem i Cziczerinem. Przez traktat Niemcy uznają de jure rząd sowiecki w Rosji. Rosja zaś daje Niemcom stanowisko uprzywilejowane. Nie należy zamykać oczu na fakt, iż traktat ma wielkie znaczenie polityczne dla całej Europy i dla nas w szczególności.

Podczas gdy zgromadzeni w Genui poważni przedstawiciele trzydziestu państw europejskich snuli fantastyczne plany odbudowy Rosji i ustalenia na kontynencie naszym wiecznego pokoju, przedstawiciele Rosji sowieckiej, która posiada dziś 1 i pół miliona ludzi pod bronią, i reprezentanci Niemiec, które w cichości przygotowują nową armię i fabrykują dla niej broń, zawarli formalne przymierze, pozornie dotyczące tylko stosunków handlowych i dyplomatycznych, lecz będące niewątpliwie przymierzem politycznym.

Jakie będą następstwa traktatu w Rapallo? W naszych oczach jest on ostrzeżeniem dla państw zachodnich, należy do tej samej kategorii faktów, co śmierć jedenastu żołnierzy francuskich na Górnym Śląsku. Dla nas są to objawy świadczące o tem, że Niemcy przygotowują się do odwetu, że gromadzą siły i zasoby, które zapragną zużytkować może prędzej, niż niejednemu się wydaje.

„Kurier Poznański”

Czwartek 20 kwietnia
Kronika miejscowa

Święcone dla weteranów

Dzięki inicjatywie działacza patriotycznego i niepodległościowego płk. p. Teodora Gatnera postarał się główny Wydział Opiekuńczy nad Inwalidami Wojennymi Oddział III Tow. Pomoc Inwalidom o uprzyjemnienie Świąt Wielkanocnych tym wszystkim, którzy w pamiętny dzień powstania 1863 r. nieśli swoje młode życie Ojczyźnie w ofierze. Patriotyczny zespół kupiectwa polskiego dostarczył na ten cel tyle darów, że każdy z weteranów otrzymał dużą skrzynkę podarków.

Patriotyczną mowę na temat pamiętnego powstania styczniowego i miłości do Ojczyzny oraz poświęceń dla jej czci i honoru wygłosił płk p. Teodor Gatner, którego słowa z niejednych oczu wycisnęły serdeczne łzy wzruszenia.

Spis treści

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Epilog